

Thomas Harlan

Brama Ognia

(The Gate of Fire)

Przełożył Janusz Ochab

*Dla Suzanne
Bez jej miłości i wsparcia
w ogóle nie byłoby to możliwe*

**SANKTUARIUM W DELFACH, ACHAJA, 710 AB URBE CONDITA (31
p.n.e.)**

Pałace promienie słońca zalewały wąski dziedziniec między domem Wyrocni i kolumnami Miejsca Oczekiwania. Kobieta zeszła chwiejnym krokiem ze schodów przed domem – w eleganckich butach trudno było jej zachować równowagę na stopniach wyżłobionych głęboko przez dziesiątki tysięcy stóp. Gwardziści pochwycili ją za ręce i przytrzymali. Uśmiechnęła się smutno i w geście wdzięczności musnęła palcami ich opalone ramiona. Blask słońca i błyszczące, kolorowe ściany kompleksu świątynnego kłuły ją w oczy, przywykłe do mroku panującego we wnętrzu domu. Kobieta zakryła twarz zasłoną z czerwonego jedwabiu i ruszyła powoli w stronę południowego krańca dziedzińca.

Za kolumnami ustawionymi wzdłuż krawędzi dziedzińca rozciągał się widok na górskie zbocze opadające ku błyszczącej odnodze morza. Daleko w dole woda skrzyła się niczym posrebrzane żelazo. Powietrze wydawało się kobiecie niesamowicie czyste, kiedy oparła się o jedną z kolumn i położyła dłoń na ciemnej powierzchni w kolorze ochry. Farba złuszczyła się pod dotykiem, pozostawiając na jej palcu wąską smuzkę barwnika. Kobieta czuła się wyczerpana i stara; zmęczona długimi zmaganiem. Z dala od ciekawskich spojrzeń strażników i służących, którzy wyszli za nią z domu Wyrocni, pozwoliła, by łzy sączyły się powoli z jej obwiedzionych węglem oczu. Zamrugła powiekami i spojrzała na zachód, na długi jezior wody Morza Wewnętrznego.

Kątem oka dojrzała kłęby dymu bijące w niebo, oddech drewna, smoły i płótna.

Resztki naszych snów, pomyślała. Apollo i Re przywołali je z powrotem do nieba.

Łzy wyżłobiły wąskie smugi w starannym makijażu podkreślającym jej urodę. Odsunęła się od kolumny i zwróciła do kapitana gwardzistów.

– Rufusie, musimy... – Urwała nagle, widząc, jak służący rozstępują się na boki. Jakaś mała postać dreptała przez tłum kobiet, podtrzymywana z obu stron przez uśmiechnięte służki. Serce zabiło jej mocniej, gdy ujrzała duże oczy i niewinną twarzyczkę. Kapitan odsunął się o krok, lustrując tłum spojrzeniem. Pokryta bliznami dłoń gwardzisty spoczęła na miedzianej gałce miecza. Królowa przyklęła, zapominając o zasłonie, która opadła z jej twarzy.

– Och, mój śliczny chłopczyku... – Wyciągnęła ręce, pochwyciła synka i wyprostowała się, opierając go na biodrze.

Jeden sen zostaje na ziemi, pomyślała. Głębokie bruzdy na jej twarzy wygładziły się, a do oczu powrócił groźny błysk. *Zwycięstwo będzie moje!*

KONSTANTYNOPOL, STOLICA WSCHODNIEGO CESARSTWA RZYMSKIEGO 1378 AB URBE CONDITA (623 n.c.)

Z drogi! Obywatele, zróbcie miejsce dla legionu! Szczupły, ciemnowłosy mężczyzna odsunął się na bok i skrył w szerokich odrzwiach, czekając, aż przez ulicę przejdzie długa kolumna uzbrojonych mężczyzn. Rzymscy żołnierze ubrani byli w poszarpane czerwone płaszcze okrywające znoszone i pogięte zbroje. Żelazne hełmy, zapięte pod brodami na skórzane paski, także były mocno podrapane i pogniecione. Pierścienie zbroi okryły się gdzieś tam plamami rdzy, gdzieś tam okrywały je skórzane łąty. Niektórzy legionści mieli tylko fragmenty zbroi, a ich ramiona i uda chroniły kawałki gotowanej skóry lub ciężkie wełniane nogawice. Podobnie wyglądały ich twarze, wymęczone miesiącami walk na murach miasta. Mimo to była od tych ludzi dziwna moc, coś zimnego i okrutnego niczym zimowe niebo wiszące nad miastem, pewne zwycięstwa.

Mężczyzna oparł się o framugę i poprawił ciemnozieloną, wełnianą pelerynę sięgającą mu za kolana. Drobne kropelki lodowato zimnej wody opadły na ciężkie, czarne buty, śnieg, który spadł minionej nocy, topniał teraz w ciepłe miasta, wypełniając ulice paskudną brunatną breją. Przez ramię mężczyzny przerzucony był ciężki skórzany pas podtrzymujący na jego plecach pochwę, w której krył się długi miecz. Błysk metalu ukrytego pod peleryną zdradzał obecność metalowej kolczugi.

Na końcu podwójnej kolumny legionistów szedł *ouragos*, żołnierz zamykający kolumnę. Jego spojrzenie zatrzymało się na moment na mężczyźnie, na jego ostrych, zachodnich rysach, wąskiej talii, szerokich ramionach i spiczastych nawoskowanych wąsach. Żołnierz jeszcze przez dłuższą chwilę przyglądał się obcemu, nim wreszcie odwrócił wzrok i podążył za kolumną.

Nikolas zachował kamienną twarz, choć miał wielką ochotę uśmiechnąć się szyderczo. Nieprzyjazne, chłodne spojrzenie żołnierza mocno go zirytowało, wiedział jednak, że nie powinien wzniecać o tej porze żadnych bijatyk.

To przez te wąsy, pomyślał zadowolony z siebie. Każdy człowiek zazdrości innym tego, czego sam nie może mieć.

Zima nie spieszyła się tego roku do wschodniej stolicy. Dopiero po długiej jesieni przeplatanej okresami zimnej pogody, ciepłych słonecznych dni i gwałtownych, zimnych wiatrów, osiadła w mieście na dobre. Każdej nocy na dachy świątyń i *insuli* spadała świeża warstwa śniegu, skrywając litościwie brud zbyt wielu ludzi stłoczonych tu przez osiem lat niemal nieprzerwanego oblężenia.

Nikolas stawiał długie kroki, lawirując między popękkanymi płytami chodnika. Z szerokich szczelin wypływały kłęby śmierdzącej pary – pod ulicą biegł kanał

ściekowy. Nikolas nie zwracał uwagi na nieprzyjemne zapachy – przybył do miasta w lecie, kiedy smród był znacznie gorszy. Na końcu ulicy wznosiły się hałdy gruzu – popękane cegły i dachówki – blokujące drogę.

Wspiął się na to niestabilne, okryte śniegiem gruzowisko. Kaptur jego peleryny opadł na plecy, odsłaniając pociągłą twarz. Gdy spomiędzy chmur zaczęło wreszcie prześwitywać słońce, podniósł dłoń okrytą rękawicą, by przysłonić oczy o dziwnej, fioletowej barwie, które zwróciły nań uwagę niejednej kobiety. Za stertą gruzu rozciągał się szeroki bulwar sięgający do zewnętrznych murów miasta. Domy i sklepy, które wznosiły się niegdyś w cieniu murów, zostały wyburzone pięć lat wcześniej, kiedy do miasta przybył cesarz Herakliusz. Teraz przestrzeń wzdłuż umocnień wypełniona była ludźmi, końmi, wozami i wszelkiego rodzaju ekwipunkiem wojennym.

Nikolas ruszył w dół zbocza i wkroczył na teren zajęty przez wojsko. Szedł ostrożnie, starając się nie zwracać na siebie uwagi kamieniarzy i inżynierów pracujących w cieniu potężnych murów. Spojrzał w górę, obserwując poczynania żołnierzy stacjonujących na szczycie wysokich na czterdzieści stóp umocnień. Wydawali się beztroscy, wręcz nonszalancy – stali na wewnętrznych umocnieniach, przez które wróg jeszcze nigdy się nie przedarł. Wzdłuż murów wznosiły się rozstawione w nierównych odstępach wieże. Dotarłszy do szańca, barbarzyńca skrzył w lewo i podszedł do wąskiej, półkolistej bramy osadzonej w murze. Przez otwarte szeroko wrota, okute żelaznymi klamrami i ozdobione figurką mężczyzny w staromodnej todze, unoszącego rękę w geście błogosławieństwa, wjeżdżał właśnie oddział konnicy.

Wyszędłszy ponownie w błądny blask zimowego słońca, mężczyzna otulił się szczelniej peleryną. Między potężnymi murami wewnętrznymi i niższymi, choć także budzącymi respekt, umocnieniami zewnętrznymi ciągnął się szeroki na jakieś piętnaście kroków pas otwartej przestrzeni zwany *peribolos*. Tutaj także kręcili się robotnicy z młotami i kilofami, doglądani przez inżynierów w wysokich kapeluszach, dzierżących w dłoniach woskowe tabliczki. Widać było również liczne oddziały żołnierzy w czerwonych i szarych ubraniach, maszerujących na południe, w stronę morza. Nad tą rzeką ludzi wznosił się drugi mur, *protichisma*, wzdłuż którego toczyła się bitwa. Ten szaniec miał tylko trzydzieści stóp wysokości, lecz podobnie jak mur wewnętrzny naszpikowany był wieżami i blankami.

Nikolas rozejrzał się dokoła i ruszył do drewnianej wieży wybudowanej przy murze. Gdy wspinał się po schodach we wnętrzu wieży, liczył ludzi na ulicy, próbował określić wytrzymałość masywnych granitowych bloków złączonych przez inżynierów cesarza Konstantyna i ludzi ze stronnictwa hipodromu w potężny mur

zewnątrzny największego miasta świata. Teraz było to dlań przyjazne miasto, jednak w jego zawodzie trudno było pozbyć się starych nawyków. Dziś, widząc tę zdumiewającą siłę, był zadowolony, lecz zastanawiał się, co myślałby o nim, gdyby stał za murami i spoglądał ze wzgórz Tracji na przedmiot pożądania.

Widziałbym ogromne miasto, otoczone murami i wieżami, które nie mają sobie równych na całym świecie. Właśnie to bym zobaczył.

Gdy dotarł na szczyt muru, uderzył weń zimny północny wiatr, który szczypał w uszy i szarpał połamami peleryny. Ciężkie szare chmury znów się rozstały, przepuszczając wąskie smugi słońca. Powietrze było jednak rześkie, Nikolas wdychał więc łąpczywie aromat żywicy z odległych ognisk i ostry zapach morza, tak różne od zgniłego smrodu miasta. Uśmiechnął się do siebie, uradowany tą nagłą odmianą. Przez wiele dni nienawidził miasta. Znów wróciło doń wspomnienie sosnowego pokładu kołyszącego się pod jego stopami, bryzy głaszczącej go po twarzy i huku fal uderzających w wybrzeże Kaledonii. Westchnął ze smutkiem i odsunął te myśli od siebie. Pięćdziesiąt kroków dalej na lewo wznosiły się sześciokątne mury Drugiej Bramy Wojskowej, ciemne i złowieszcze, poznaczone bliznami po uderzeniach pocisków i kamieni. Nikolas ruszył w tę stronę.

Po jego prawej ręce wznosiły się blanki przypominające ogromne wyszczerbione zęby. Między blankami mury pokryte były plamami zakrzepłej krwi i upstrzone śladami po uderzeniach różnego rodzaju broni, którą napastnicy atakowali miasto przez ostatnie trzy lata. Rzymscy żołnierze stali za zasłoną muru, otulając się szczelnie płaszczami. Niektórzy trzymali w dłoniach kubki z parującym, gorącym winem. Wszyscy przyglądali mu się uważnie, kiedy przechodził, on zaś pozdrowiał niektórych skinieniem głowy. Ciężka kolczuga, którą nosił pod płaszczem i lnianą koszulą, dawała mu poczucie bezpieczeństwa i zapewniała dodatkową osłonę przed zimnem. Pod kolczugą miał jeszcze ubranie ze sztywnego filcu oraz jedwabną tunikę. Na nogach nosił ciężkie, nabijane ćwiekami buty, które chrzęściły na cienkiej warstwie lodu pokrywającego przejście.

Wkrótce Nikolas dotarł do kolejnej wieży wznoszącej się dwadzieścia stóp nad poziom muru. Przysadzista i masywna, chroniła dostępu do znajdującej się poniżej bramy o podwójnych wrotach. Wieżę wieńczyła wysunięta nad skraj muru platforma wzmocniona drewnianymi burtami pokrytymi skórą. Z platformy rozciągał się widok na lodowate, ciemne wody kanału biegnącego wzdłuż podstawy muru. Kanał miał dwadzieścia stóp szerokości i wypełniony był różnego rodzaju śmieciami; ciągnął się od południowego krańca muru – od wybrzeża Propontydy – na północ, gdzie nikał w wyłożonym cegłą tunelu pod starym pałacem Blachornos, by sięgnąć wód Złotego Rogu. Przez całe lato żołnierze i niewolnicy armii oblegającej miasto wrzucali do

kanalu chrust, wiklinę i ziemię, próbując zasypać tę barierę broniącą dostępu do muru. Wielki kagan Awarów zamierzał przedrzeć się przez umocnienia, najpierw jednak tłumy słowiańskich barbarzyńców musiały jakoś się do nich dostać. Rzymscy obrońcy spędzali równie dużo czasu na oczyszczaniu fosy. Wodę i ziemię wokół murów zaśmiecały także resztki rozbitych wież oblężniczych. Nikolas zatrzymał się przy wieży i wychylił z najbliższej strzelnicy.

Przed miastem rozciągało się otwarte pole, sięgające odległych lasów i zabudowań trackiej wsi. Pole upstrzone było ośnieżonymi hałdami i kopcami – pozostałością trzech lat wojny. Jeszcze dalej, w odległości około pół mili, znajdowały się linie wojsk awarskich – bezładna zbieranina obozów i umocnień tworzących długi łuk zwrócony w stronę murów miasta. Barbarzyńcy, jeźdźcy z północnych stepów, jeszcze w poprzednim pokoleniu podbili bałkańskie prowincje Cesarstwa Wschodniego, jednak dopiero ostatnio spróbowali swych sił w walce przeciwko stolicy. Armia, którą zgromadził kagan, wielokrotnie przewyższała siły obrońców. Nikolas wiedział, że na zewnątrz stacjonuje co najmniej pięćdziesiąt tysięcy barbarzyńców, a prawdopodobnie wciąż napływali kolejni. Perspektywa plądrowania największego miasta na świecie przyciągała cudzoziemców niczym gnijące mięso muchy.

Mur odrzucił już wiele potężnych armii, a ludzie broniący miasta nie bali się kolejnych ataków. Nikolas nie mógł się nadziwić zuchwałości cesarza, który zgromadził wielką armię, a potem opuścił wciąż obleganą stolicę, by walczyć gdzie indziej. Takie poczynania wydawały się świadectwem szaleństwa – szaleństwa i niezachwianej wiary w dzieło przodków, które miało się oprzeć wszystkiemu, co mógł mu przeciwstawić chanat awarski.

Do tej pory się nie pomylił, pomyślał Nikolas. Lecz jeśli kiedyś będzie ten pierwszy raz...

U podnóża wieży stał jasnowłosy centurion, wspierając się potężnym ramieniem o mur. Jego hełm wisiał u pasa, przypięty rzemieniem. U drugiego boku zwieszał się długi miecz, szerszy i cięższy od tych, którymi posługiwała się większość żołnierzy imperium. Wpatrywał się w ośnieżone pola i słupy dymu unoszącego się z ogniska nieprzyjaciela.

– Zimny dzień na walkę – powiedział Nikolas, przystanąwszy obok. Centurion odwrócił się i zmierzył go spojrzeniem. Spomiędzy spierzchniętych warg żołnierza wypływała strużka pary.

– Owszem, zimno – odparł wreszcie. – Ale wkrótce zacznie się bitwa. Może nie tutaj, ale na pewno tam, na dole. – Centurion odwrócił się i wskazał na linię masywnych murów sięgających morza. – Przy Złotej Bramie. Barbarzyńcy ciągną dziesięć lub dwanaście machin oblężniczych; słyszysz skrzypienie ich kół? Powinni

używać smaru, a nie świńskiego tłuszczu; szybciej niszczą się od niego osie.

– Słyszę. Jestem Nikolas z Roskilde. Tutaj wszystko przygotowane?

– Tak. – Centurion nie spuszczał z niego spojrzenia. – Masz jakieś sprawy do załatwienia na murze?

Nikolas spojrzął na pole i potarł brodę wierzchem dłoni.

– Owszem, sprawę jednego stronnictwa – odparł. – Jestem winien przysługę pewnemu dobremu człowiekowi. Pomyślałem, że może macie tu trochę pracy i przydam się do czegoś.

Centurion uniósł lekko brwi.

– Jeśli chcesz się bić, idź do Złotej Bramy. Tutaj jest dosyć spokojnie. Musisz być sporo winny temu człowiekowi, skoro chcesz nadstawiać karku na murze.

Nikolas wzruszył ramionami i spojrzął na żołnierza niewinnym wzrokiem.

– Trzy square dziennie plus wino i miód, jeśli jest.

Na twarzy centuriona pojawiła się podejrzliwość, która potem ustąpiła miejsca wyrazowi zrozumienia.

– Aha, więc nie masz grosza przy duszy?

Nikolas skinął głową, przybierając pełną skruchy minę.

– Byłem na statku, zagrałem o wszystko, co miałem, no i znalazłem się w dokach tego miasta. Spędziłem niejedną noc, śpiąc w alejach Dzielnicy Wyścigów.

– I ktoś cię poratował? – spytał z niedowierzaniem centurion. – W tym mieście nie ceni się gościnności ani uprzejmości względem obcych, szczególnie *fyrden*, którym brakuje szczęścia.

Nikolas ponownie wzruszył ramionami.

– Znalazł mnie właściciel gospody i powiedział, że jego stronnictwo mnie nakarmi, jeśli pójdę walczyć na mur zamiast jednego z nich. No i jestem.

Centurion skrzywił się z niesmakiem. Stronnictwa rządzące hipodromem – Zieloni i Błękitni – nie mieli już takich wpływów jak dawniej, ale ich przywódcom nadal nie brakowało sprytu. Nie umieli obalić cesarza ani wynieść nikogo na tron, z pewnością jednak wiedzieli, jak uchronić swych klientów przed cesarskimi podatkami i zaciągami.

– Jak chcesz – mruknął centurion, zwracając się ku wieży. – Znajdź sobie jakieś zaciszne miejsce.

Nikolas skinął głową i wyrzwał ponownie za mur. Nad ziemią nadal panował spokój, pozbawione liści drzewa stały w bezruchu pod zimnym, szarym niebem pokrytym grubą warstwą chmur. Wkrótce zaczną padać śnieg; Nikolas wyczuwał w powietrzu jego zapach.

Nikolas usadowił się w strzelnicy muru obok wieży. Było mu całkiem wygodnie, choć zimny północny wiatr muskał jego twarz niczym pocałunek *freysdottir*. Oparł się wygodniej o kamień, czekając na rozwój wypadków. Choć z natury nie grzeszył cierpliwością, jego rzemiosło nauczyło go już wielu cnót. Cierpliwość była jedną z nich. Naciągnął kaptur głębiej na głowę, chroniąc twarz przed zimnymi podmuchami wiatru.

Zastanawiał się, czy ludzie po drugiej stronie muru pili na pół zamarznięty miód, skuleni wokół ognisk w swych skórzanych namiotach. Zastanawiał się, czy niewolnicy z żelaznymi obręczami na szyjach, odziani jedynie w tuniki z surowej wełny, przynosili wojownikom kolejne dzbany z miodem i grube, ociekające krwią płaty mięsa. Odruchowo położył dłoń na rękojeści miecza. Kiedyś jego szyję także oplatała żelazna obręcz. Takich rzeczy się nie zapomina.

On też nosił niegdyś ciężkie dzbany z miodem dla uczujących w holu wojowników, bosymi, okrwawionymi stopami stąpając po śniegu. Niebo też było wtedy szare, bo Bóg Burz kochał Danię bardziej niż jakąkolwiek inną krainę na świecie. Drobiny gradu siekły go wtedy po plecach, znacząc je czerwonymi plamami. Życie nie było łaskawe dla obcego chłopca o dziwnych oczach, sprzedanego w niewolę daleko za granice cesarstwa. Jarlowie Danii nie byli litościwymi panami.

Ale bez nich... Nikolas dotknął pochwy z mieczem i przeciągnął po niej dłonią, uśmiechając się do siebie. *Bez nich nie poznałbym Nibelungów i nie zdobył twojej miłości.*

Chmury pochłonęły ostatecznie słońce, niebo pociemniało i pochyliło się jeszcze niżej nad ziemią. Wielkie płatki śniegu opadały powoli ku ziemi, topniały na kamieniach muru. Nikolas ruszył w stronę drewnianych schodów za bramą. Czekał na murze przez trzy godziny, zziębnięty, wpatrując się w odległą linię drzew. W obozie Awarów, który nikał powoli za zasłoną gęstego śniegu, panował spokój. Odgłosy walki dobiegające z drugiego krańca murów, od Złotej Bramy, przybierały powoli na sile. Wieża przy Drugiej Bramie przesłaniała widok na redutę broniącą miasta od południa, słychać było jednak wyraźnie brzęk metalu o metal i głuchoe odgłosy kamieni uderzających w mur. U podnóża schodów, na placyku za strażnicą gromadziła się grupa rycerzy. Nie, upomniał się w myślach Nikolas, *alae equities*.

Nikolas pokonał ostatnie stopnie i stanął przy wieży. Kilka kroków dalej jeźdźcy w srebrzystych zbrojach przygotowywali się do wyjazdu na ośnieżone pola. Kłęby pary unosiły się znad boków ich wierzchowców, głosy ludzi i brzęk żelaza odbijały się echem od sklepienia bramy. Rycerze sprawdzali uprząż i długie proste miecze przywieszane do siodeł. Wielu nosiło na plecach drewniane kołczany, wypełnione

strzałami o lotkach z szarych piór. Nikolas podrapał się po głowie i odwrócił ku wieży. Zgrzyt metalu zwrócił jego uwagę ku górze. Długie, żelazne belki zamykające bramę chowały się powoli w kamiennym sklepieniu bramy. Ibrkot ukrytych kół mechanizmu odbijał się echem od kamiennych ścian. Każda belka miała stopę szerokości i była gruba jak ramię dorosłego mężczyzny. Nikolas policzył głowy; przed bramą czekało trzydziestu, czterdziestu ludzi, większość na koniach. Zaczął przyglądać się ich twarzom, szukając tej, która pasowałaby do zasłyszanego niegdyś opisu.

*Szczupły mężczyzna, pół Słowianin, pół Grek, o milej, sympatycznej twarzy.
Szpieg i zdrajca miasta.*

– Wypad – przemówił ktoś za nim. Nikolas odwrócił się, zachowując obojętny wyraz twarzy. Obok stał jasnowłosy centurion z wieży. – Pojadą spalić ze dwie, trzy wieże. Przypomną barbarzyńcom, że nie mogą zapominać o flankach.

– Chcecie nauczyć ich, jak wygrywać? – Nikolas pożałował tych słów niemal w tej samej chwili, gdy je wypowiedział. Centurion mierzył go przez chwilę gniewnym spojrzeniem, a potem odszedł, przepychając się między końmi. Nikolas przygryzł wargę, zakłopotany, i zastanawiał się przez chwilę, czy nie pójść za nim, ale zostało mu mało czasu. Legioniści przy bramie przygotowali się już do wyjazdu. Jeźdźcy w pierwszym szeregu próbowali sformować podwójną linię o równych odstępach. Konie stłoczone na małej przestrzeni przepychały się nerwowo, a Nikolas zmuszony był cofnąć się pod sam mur. Cegły uwierały go w plecy. Kierowany odruchem sięgnął do metalowej pętli przytrzymującej miecz w pochwie. Z tyłu dobiegł go dźwięk wojskowej trąbki i pokrzykiwania.

Brama zaczęła się powoli otwierać. Nikolas zaklął i ruszył wzdłuż muru w stronę rozchylających się wrót. Pięciu mężczyzn napierało z całych sił na szorstkie deski bramy, czemu towarzyszył przeraźliwy pisk zawiasów. Kiedy Nikolas próbował przecisnąć się przez tłum ludzi i koni, przez szparę między skrzydłami bramy wlał się strumień szarego światła. Tuż za nim wionął podmuch zimnego powietrza, który uderzył w nozdrza koni stłoczonych przed wyjściem i wywołał wśród nich krótkotrwałe zamieszanie. W miarę jak żołnierze coraz szerzej uchylali ciężkie wrota, oczom czekających ukazywała się coraz większa połać ośnieżonego pola.

Nikolas podskoczył, próbując dojrzeć coś ponad głowami jeźdźców. Legioniści napierali nań z tyłu, próbując przedostać się do bramy. Nikolas odwrócił się i zaczął przepychać się w przeciwnym kierunku. Ktoś rzucił krótki rozkaz, a żołnierze zaczęli wyjeżdżać na zewnątrz. Kątem oka Nikolas dojrzał jakiś błysk i odwrócił się ponownie w stronę bramy. Gąszcz końskich i ludzkich nóg skutecznie przesłaniał mu widok, mimo to dostrzegł obnażone ostrze miecza, w którym odbijał się blask padający zza murów.

Nikolas zaklął pod nosem, oparł dłoń na ramieniu stojącego obok żołnierza i wykorzystując nierówności muru, na którym postawił stopę, podciągnął się w górę.

– Hej, ty, złaż ze mnie! – krzyknął zaskoczony i przestraszony żołnierz.

Nikolas zaklął głośno. Człowiek, na którego polował, stał po drugiej stronie przejścia, zaledwie piętnaście stóp dalej, zasłonięty przez żołnierzy zmierzających ku bramie. Nikolas zeskoczył na ziemię i od niechcienia zablokował ręką kuksańca, którego chciał mu wymierzyć legionista. Zgrzyt wysuwanego z pochwy miecza, który sekundę później pojawił się w dłoni Nikolasa, skutecznie uciszył protesty żołnierza. Nikolas spojrział w prawo, na otwartą bramę, a potem w lewo, by policzyć jeźdźców, którzy czekali jeszcze na wyjazd. Połowa kolumny była już na zewnątrz. Nikolas napiął mięśnie, gotując się do ataku.

Nagle powietrze wypełnił przeraźliwy, rozdzierający krzyk. Nikolas przepadł do ziemi, słysząc syk setek nadlatujących strzał. Ludzie zaczęli krzyczeć w panice. Słysząc było głuche odgłosy ciosów. Nikolas przysunął się do muru, osłoniło go ciało padającego żołnierza. Strzała o czarnopiórych lotkach przebiła legionistę na wylot, krew wypływała strumieniem z jego pleców i ust. Nikolas pochwycił go za ramię i naciągnął na siebie jak tarczę. Kopyto przerażonego konia trafiło prosto w napierśnik żołnierza, gnąc stal niczym pergamin. Nikolas skrzywił się, gdy trup podskoczył w jego rękach, a świeża krew zbryzgała mu twarz. Wcisnął się w zagłębienie muru, czekając na dalszy rozwój wypadków. Tymczasem zza bramy dobiegały okrzyki wojenne Awarów.

Nikolas słyszał także krzyki rycerzy uwieczonych w bramie i zabijanych nieustającym gradem strzał. Pociski wpadały przez otwartą bramę prosto w masę umierających ludzi i koni. Za bramą panowało ogromne zamieszanie – niektórzy legioniści próbowali wrócić w obręb murów, inni chcieli uciekać na zewnątrz. W powietrzu mieszały się wrzaski centurionów wydających rozkazy swym ludziom. Na zewnątrz, pod murem, także toczyła się walka. Okrzyki wojenne barbarzyńców odbijały się echem od sklepienia bramy. Jakiś koń wycofujący się w popłochu tyłem, trafiony został dwiema strzałami i padł na ciało żołnierza, za którym chował się Nikolas. Ten zdołał w porę odsunąć się na bok, ale i tak został trochę poturbowany.

Konie, które wydostały się na zewnątrz, galopowały wzdłuż muru, rżąc z przerażenia. Świst strzał przycichł nieco, a potem całkiem ustał. Słysząc było tupot biegnących. Nikolas skrzywił się i zepchnął z siebie trupa. Martwy legionista, w którego oczach wciąż malowało się krańcowe zdumienie, opadł na ziemię, a Nikolas zerwał się na równe nogi. Prawą ręką, śliską od krwi, wyciągnął miecz z krwawej mazi pokrywającej bruk. W bramie pojawiły się ciemne postacie z toporami i włóczniami w dłoniach. Nikolas wskoczył na stertę trupów – ludzkich

i końskich – by w ostatniej chwili unieść miecz i sparować uderzenie topora pierwszego z nacierających Awarów.

Barczysty awarski arystokrata okryty był pelerynami z gronostajów i lisów. Pod futrami lśniła żelazna zbroja, sięgająca do jego szyi otoczonej kołnierzem ze złota i do bicepsów. Miał wysokie kości policzkowe, skośne oczy i płaski, szeroki nos. Topór znów podniósł się do ciosu. Nikolas odskoczył na bok i niemal potknął się o padłego konia. Żelazny klin przeciął powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem znajdowało się jego ramię. Nikolas pochylił się i natarł ramieniem na Awara, uderzając go prosto w pierś. Dłoń o długich brudnych paznokciach wbiła się w jego twarz i rozorała mu policzek. Nikolas odepchnął rękę barbarzyńcy, a potem sam spróbował wbić palce w jego oczy. Awar odsunął się do tyłu, uderzając go lekko w bok głowy. Nikolas podążył za jego ruchem i kopnął go kolaniem w wewnętrzną część uda. Mężczyzna jęknął z bólu, a Nikolas wykorzystując chwilę jego wahania, uderzył łokciem w szyję. Kołnierz wygiął się pod ciosem, uchronił jednak krtań barbarzyńcy przed zmiążdżeniem.

Tymczasem przez otwartą bramę wbiegali kolejni barbarzyńcy, bez ustanku strzelając z krótkich, ciężkich łuków w kłębiący się tłum legionistów zepchniętych na ulicę. Rzymianie padali jak muchy, gdy ciężkie strzały przesywały zbroje ze skóry lub cienkie kolczugi. Za awarskimi weteranami nacierał wielki tłum Słowian o słomianych i rudych włosach, sztywnych od brudu i tłuszczu. W rękach trzymali tarcze pomalowane w geometryczne wzory w odcieniach błękitu, czerwieni i czerni. Nad ich głowami kołysał się las włóczni. Biegli naprzód, wrzeszcząc przeraźliwie na widok otwartej bramy.

Awar wywinął się z uścisku Nikolasa niczym węgorz i odepchnął go na bok. Nikolas pośliznął się na pokrytym krwią bruku i poleciał do tyłu, zatrzymując się na ciele zabitego legionisty. Jego miecz zniknął gdzieś między ciałami umierających koni. Awar rzucił się na niego, wznosząc do ciosu rękę, w której błysnęło ostrze długiego noża. Nikolas poczuł zimny dreszcz na plecach, ujrawszy, że został odcięty od reszty obrońców. Przetoczył się do tyłu i wstał, zrywając z lewej ręki pozostałości rękawa. Awar znów zaatakował, wykonując kilka krótkich, błyskawicznych pchnięć nożem. Nikolas ponownie odsunął się do tyłu, przeskakując nad ciałem martwego gnidosza, a potem wyprostował złożoną w pięść dłoń, wyciągając kciukiem wyrzutnię sprężynową.

Rozległ się ostry metaliczny szczęk; metalowa strzała wbiła się w oko Awara i zatrzymała na wewnętrznej stronie jego stożkowego hełmu. Krew i białe fragmenty kości pokryły twarz barbarzyńcy, który upadł bez słowa między inne ciała.

Nikolas dostrzegł kątem oka jakiś ruch i rzucił się na ziemię. Awarska strzała

przemknęła zaledwie tuż nad jego głową i odbiła się od muru. Nikolas przeczołgał się szybko do przodu, szukając między ciałami swojego miecza. Gdy znów usłyszał świst strzał wystrzelonych w jego stronę, schował się za ciałem martwego konia i przy samej ziemi ponownie ruszył naprzód.

Tymczasem nieco dalej, na ulicy, toczyła się zażarta walka. Przez otwartą bramę wlewały się kolejne zastępy Awarów i Słowian nacierające na Rzymian, którzy próbowali zatrzymać ich przy murze. Legioniści stojący na szczycie murów rzucali włócznie i kamienie w masę ludzi tłoczących się na ulicy. Kamieniarze i inżynierowie pracujący przy umocnieniach biegli w stronę bramy, trzymając w dłoniach włócznie i wielkie młoty. Ponad szczęk broni i jęki umierających wzbijały się ryki jasnowłosego centuriona, który przywoływał do siebie swoich ludzi.

Nikolas odetchnął z ulgą: rzeźbiona rękojeść Brunhildy wystawała spod ciała siwej klaczy. Rękojeść przywitała spoconą dłoń Nikolasa niczym dawno niewidziany przyjaciel. Cztery stopy pokrytej runami skandynawskiej stali opierały się przez chwilę, potem jednak wysunęły się spod zakrwawionej padliny. Nikolas musiał raz jeszcze uchylić się przed strzałą, choć teraz już awarscy łucznicy wzięli na cel Rzymian stojących na umocnieniach. Nikolas przebiegł sprintem otwartą przestrzeń dzielącą go od najbliższej wieży o drewnianych schodach.

Przeskakując po dwa i trzy stopnie naraz, wbiegł na drugi poziom wieży, piętnaście stóp nad bitwą toczącą się na ulicy. Wcześniej wspięli się tutaj dwaj Awarowie, którzy teraz szyli strzałami w szeregi Rzymian walczących poniżej. Nikolas zacisnął dłonie na rękojeści Brunhildy i pokonawszy ostatnie dwa stopnie, wykonał zamaszyste cięcie i wbił miecz głęboko w szyję Awara stojącego po prawej stronie. Nieboszczyk poleciał na drugiego łucznika. Jasna krew tętnicza wytrysnęła strumieniem w górę, obryzgując mężczyzn tłoczących się poniżej, a głowa Awara przechyliła się pod upiornym kątem. Drugi barbarzyńca próbował zaatakować, nim jednak zdążył to zrobić, potężne kopnięcie Nikolasa złamało mu nogę w kolanie. Awar wciąż wył z bólu, gdy Nikolas przerzucił go przez barierkę.

Co najmniej kilka strzał poleciało w jego stronę. Nikolas uchylił się i ponownie ruszył w górę schodów, na następny podest. Stopnie zadrżały pod ciężarem Awarów pędzących w jego stronę. Nikolas stanął na nieheblowanych deskach trzeciego podestu i podniósł Brunhildę, szykując się do walki. Czterech Awarów o długich wąsach i czarnych prostych włosach, odzianych w lśniące żelazne kolczugi, pędziło w górę schodów. Na szczęście zasłonili Nikolasa przed atakiem łuczników stojących poniżej, na ulicy.

Pierwszy Awar wskoczył na podest i natychmiast zaatakował Nikolasa toporem, próbując uderzyć go w brzuch. Nikolas odsunął się na bok, a potem zamarkował cios

z góry, znad głowy. Awar zablokował atak ostrzem topora, a Nikolas błyskawicznie zmienił kierunek uderzenia, trafiając nomadę w lewą rękę. Brunhilda wbiła się głęboko w ciało, przecinając mięśnie i ścięgna. Awar zaklął i odskoczył do tyłu, przerzucając topór do zdrowej ręki. Nikolas przeszedł do ataku, ustawiając się tak, by ranny przeciwnik oddzielał go od pozostałych Awarów. Barbarzyńca próbował zablokować jego cios, lecz Nikolas doskoczył i pchnął mieczem w górę, wbijając ostrze w gardło mężczyzny. Awar nie zdążył nawet zacharzyć, gdy czubek ostrza zazgrzytał o wewnętrzną ściankę jego hełmu.

Kolejny Awar pchnął włócznią nad ramieniem martwego już towarzysza, trafiając Nikolasa prosto w lewą pierś. Grot włóczni wykonany z kiepskiego stopu żelaza zatrzymał się na oczkach kolczugi, ale lewą część ciała Rzymianina przeszył przenikliwy ból. Nikolas błyskawicznie obrócił się w miejscu, pozwalając, by włócznia ześliznęła się z jego ciała, wyciągając jednocześnie Brunhildę z martwego Awara. Drugi Awar przyciągnął do siebie włócznię i wskoczył na podest.

Nikolas pochylił się nisko, czując, jak grot włóczni ociera się o jego głowę, a potem sam rzucił się naprzód, pchając Brunhildą niczym włócznią. Awar próbował uciec przed ciosem, lecz z dołu napierali nań kolejni wojownicy. Długie nordyckie ostrze przebiło skórzaną zbroję pod lewą pachą i natychmiast popłynął strumień ciemnoczerwonej krwi. Nikolas wyrwał ostrze z ciała umierającego przeciwnika i pchnął go na kolejnych barbarzyńców pędzących w górę schodów.

Z pierwszych szeregów Awarów, na które spadł ich martwy towarzysz, podniosły się wściekle okrzyki. Wykorzystując chwilę zamieszania, Nikolas odgarnął włosy z twarzy i odsunął się do tyłu, szukając dobrego oparcia dla stóp. Miecz wydawał mu się wyjątkowo lekki, a w powietrzu tańczyły maleńkie punkciki światła. Nawet powietrze było ciepłe, niemal gorące. Jakiś Awar wbiegający na schody rzucił weń toporem, wydawało się jednak, że płynie on w powietrzu wolniej niż w wodzie; Nikolas spokojnie odsunął się na bok i ponownie przyjął pozycję bojową.

Dwaj włócznicy wygrzebali się wreszcie z kłębowiska ciał i wspięli na podest. Rozdzieliwszy się, zaczęli zachodzić go z dwóch stron, trzymając się blisko balustrady. Groty włóczni mierzyły w jego głowę, wysuwając się raz po raz do przodu, niczym języki węży. Nikolas zaatakował mężczyznę po lewej stronie, tnąc drzewce włóczni Brunhildą. Doświadczony Awar cofnął szybko włócznię i zamierzył się na głowę Rzymianina. W tej samej chwili do ataku ruszył drugi barbarzyńca, kierując ostrze włóczni na udo Nikolasa. Rzymianin obserwował ich poczynania z zimnym spokojem. Krew płonęła w jego żyłach, dodając mu sił i przyspieszając bieg jego myśli. Odchylił się do tyłu, unikając ciosu w głowę, i obrócił się w prawo, by przyjąć atak na nogi. Brunhildą odepchnął włócznię na bok, kierując jej ostrze ku

podłódze. Uczyniwszy krok w stronę Awara, Nikolas błyskawicznie obrócił się w miejscu i zamaszystym cięciem przeciął drzewce włóczni na pół, a potem uderzył w ramię włócznika. Lekka kolczuga i skórzany kaftan nie stanowiły dobrej osłony. Awar otworzył szeroko usta w grymasie zdumienia. Na deski posypały się maleńkie oczka kolczugi zdobione lśniąco rubinowymi kropelkami.

Nikolas dokończył obrót, zatapiając ostrze miecza w piersi pierwszego włócznika. Awar wciągnął głośno powietrze, a potem zakrztusił się własną krwią. Nikolas kopnął go mocno w tułów, wyciągając jednocześnie miecz. Ciało mężczyzny uderzyło w ogrodzenie i zawisło na mgnienie oka w powietrzu, by potem runąć na ulicę. Drugi Awar wciąż nic mógł otrząsnąć się ze zdumienia i bólu, wpatrzony w swe zakrwawione ramię i zdruzgotaną włócznię.

Na schodach powyżej trzeciego podestu rozległ się nagle tupot nóg. Nikolas zerknął w górę i dojrzał czerwone płaszcze zbiegających legionistów. Z dołu podniósł się krzyk, a Nikolas odwrócił się dość szybko, by ujrzeć chmurę strzał zmierzających w jego stronę. Okrzyk wściekłości uwiązał mu w gardle, gdy rzucił się do tyłu.

Z płonącego drewna wystrzelił w górę snop iskier, które tańczyły przez moment na tle ciemnego nieba. Nikolas leżał oparty plecami o kamienną ścianę, ledwie żywy ze zmęczenia. Z najwyższym trudem uniósł lewą rękę i pojękując cicho, ściągnął rzemienie przytrzymujące wyrzutnię sprężynową na jego przedramieniu. Znów padał śnieg, lecz ciepło bijące od ogniska topiło płatki, nim dotknęły bruku. Legioniści krzatali się wokół ogniska, oświetleni jego blaskiem lub światłem bijącym od pochodni zatkniętych w bramie. Obok ogniska przejechał z turkotem wóz. Znad burt wozu wystawały sine ręce i nogi, z brudnych desek spływała strużka krwi. Ciała zmarłych wrzucano do wielkich ognisk płonących wzdłuż muru. W powietrzu unosił się mdlący zapach spalenizny.

Nikolas zacisnął mocno zęby, tłumiąc jęk, i pochylił się do przodu, by ściągnąć kolczugę. W miejscu, gdzie uderzyła w nią awarska włócznia, oczka kolczugi były powyginane. Koszula oddzielająca jego ciało od filcowej tuniki nasiąkała krwią i potem. Nikolas syknął cicho, gdy zimne powietrze owiało odsłonięte ciało, a warstwy zbroi i ubrań oderwały się od skóry.

Niemal całą lewą część tułowia miał sinofioletową. Dziesiątki ran powstałych w miejscu, gdzie oczka kolczugi wbiły się w skórę, pokrywała zakrzepła krew. Dotknął ostrożnie największego rozcięcia, tuż pod lewym ramieniem. Z poszarpanej czerwonej rany wypłynął przezroczysty płyn.

– Dobrze wyglądasz. Kolejna zwycięska misja, jak widzę.

Nikolas podniósł wzrok; był tak wyczerpany, że przez chwilę, nie mógł umiejscowić źródła głosu. Obok niego stał tęgi mężczyzna, którego ramiona okrywała

czerwona peleryna. Mężczyzna też miał na sobie kolczugę, którą okrywał wypolerowany napierśnik, a pod pachą trzymał żelazny hełm. Miał gładko ogoloną twarz, choć broda zapewne dodałaby mu urody, zakrywając stare blizny na twarzy. Włosy oficera były przycięte bardzo krótko, niemal przy samej skórze.

Nikolas zmrużył oczy. Jakiś słaby głos w jego umyśle przypomniał mu, że zna tego człowieka.

– Trybun Sergiusz... *ave*. Witaj. – Nawet wypowiedzenie tych kilku słów było dla Nikolasa ogromnym wysiłkiem. – Uciekł – mruknął Nikolas słabo. – Szczwany sukinsyn...

Trybun przykucnął obok Nikolasa i uniosł kciukiem jego powiekę. Nikolas skrzywił się z bólu. Trybun pokręcił powoli głową i przyjrzał się uważniej jego obrażeniom, a potem przesunął delikatnie palcem po stłuczonych żebrach.

– Przyszedłem cię odszukać, kiedy się dowiedziałem o tym ataku. Sporo tu było dziś pracy, a ty zawsze trafiasz w największą rozróbę... Rozmawiałem z jednym z dowódców, mówił, że pokazałeś się dopiero przed południem. Co robiłeś do tej pory? Wysłałem cię tutaj o świcie! – Sergiusz przestał go na moment łajać i przyjrzał mu się uważniej. – Czy ty w ogóle rozumiesz, co do ciebie mówię?

Nikolas zamrugał powiekami i spojrzał nań nieprzytomnie. Dlaczego on do niego mówił? Perspektywa zapadnięcia w sen wydawała mu się ogromnie kusząca, choć z drugiej strony coś mu podszeptywało, że nie jest to najlepszy pomysł. Obraz stojącego przed nim mężczyzny zakołysał się trochę, jakby ten stał pośrodku ogniska.

– Co?

Trybun westchnął i wstał. Gestem przywołał do siebie dwóch mężczyzn w tunikach niewolników i futrzanych butach.

– Weźcie go na nosze i zabierzcie do koszar. Tutaj do niczego mi się nie przyda. Dajcie mu coś ciepłego do jedzenia i trochę wina. Niech obejrzy go lekarz. Jego oczy wyglądają tak, jakby ucztował od kilku dni, więc nie pozwólcie mu zasnąć.

Silne ręce pochwyciły Nikolasa za ramiona i podniosły z ziemi. Czuł się bardzo osłabiony, lecz myśl o winie i świeżym chlebie z oliwą i czosnkiem nieco go rozbudziła. Dwaj niewolnicy pomogli mu ułożyć się na noszach i przykryli go kocem pachnącym goździkami i jakimiś perfumami. Leżąc, Nikolas odkrył, że znów widzi w miarę normalnie. Niebo nad miastem było czarne jak smoła; gdyby nie zakrywały go ciężkie grube chmury, widziałby gwiazdy i księżyc. Płatki śniegu wirowały w powietrzu, przesuwając się przez pasy czerwonego i złotego blasku rzucanego przez ogniska. Niewolnicy podnieśli nosze i kołysząc się lekko na boki, potruczali w ciemność.

Śnieg nie przestawał padać.

NIEBO NAD LACJUM, ITALIA ZACHODNIE CESARSTWO RZYMSKIE

Młody mężczyzna odziany w czarne i ciemnoszare ubrania wspiął się na drabinę o szczeblach z brzoźowego drewna osadzonych w metalowej ramie. Dotarłszy na szczyt, otworzył metalową klapę, wpuszczając słoneczny blask do wnętrza rury, w której umieszczona była drabina. Zmrużył na chwilę oczy, a potem jasny błękit jego oczu pociemniał, przybierając metaliczny odcień pokrywający zarówno źrenicę, jak i tęczówkę. Gdy przywykł do światła, wygramolił się z rury i postawił stopy na pokładzie obserwacyjnym. Porywisty wiatr uniósł jego długie brązowe włosy – w których zaczęły pojawiać się pasma siwizny – i zarzucił mu na twarz. Mężczyzna z westchnieniem opadł na pokład zastawiony drewnianymi siedzeniami i zasłany zwojami lin. Górna część Machiny została zaprojektowana tak, by ryk wiatru na pokładzie obserwacyjnym przycichł do jednostajnego basowego pomruku, który pochodził w głównej mierze z serca maszyny. Mężczyzna przetkał uszy, wkładając do nich długie szczupłe palce, a potem obwiązał się jedną z lin i umocował ją do mocnej mosiężnej klamry osadzonej w podłodze.

– Książę, nie ufasz jeszcze własnej mocy?

Młody mężczyzna uśmiechnął się cierpko do siedzącej naprzeciwko młodej kobiety i pokręcił głową.

– Nie, muszę być przytomny i świadomy, by odbudować skórę, kości, tkanki i wszystkie płyny życiowe. Upadek z tej wysokości zabiłby mnie równie skutecznie jak każdego innego człowieka.

Młoda kobieta odpowiedziała lekkim uśmiechem, choć w jej twarzy i postawie kryła się rezerwa, która nieco go irytowała. On także się uśmiechnął, znacznie wyraźniej, szczerze i ciepło. Na moment zniknął chłód obecny w jego oczach i twarzy, przez moment znów był miłym, młodym lekarzem, którego poznała jakiś czas temu, a nie księciem cesarstwa czy mocą, którą stał się później. Pomimo głębokiej nieufności odpowiedziała mu w taki sam sposób, a jej twarz – nieco w kształcie wydłużonego owalu okolonego grzywą puszystych, niemal czarnych włosów z pięknymi ciemnymi oczami i zmysłowymi ustami – także się odmieniła. Mężczyzna poczuł lekkie ukłucie w sercu, widząc, jaka jest piękna i elegancka w grubym futrze, ze skórzanymi rękawiczkami na dłoniach i w jedwabnych spodniach kryjących długie smukłe nogi.

– Nie jest ci zimno, kiedy siedzisz tu tyle godzin? – spytał.

Na twarz młodej kobiety znów powrócił wyraz nieufności, odwróciła wzrok, spoglądając na długie, ciemne skrzydło Machiny. Lecieli nad chmurami, promienie słońca odbijały się w delikatnej żelaznej konstrukcji skrzydeł. Metaliczna tkanina

pokrywająca szkielet marszczyła się lekko i połyskiwała w popołudniowym blasku. Wszechobecne drzenie Machiny przenikało cały pokład i ciała siedzących w niej ludzi. Ogon, długi i spiczasty, kołysał się leniwie, połyskując tysiącami maleńkich metalowych łusek. Młoda kobieta przechyliła się lekko na bok, gdy Machina weszła w zakręt, omijając śnieżnobiałą, wybrzuszoną ku górze chmurę. Powietrze oddzielające Machinę od lśniącej powierzchni chmury było kryształowo czyste. Głęboko w szczelinach chmury migotały błyskawice i wyl porywisty wiatr. Kobieta ponownie spojrzała na księcia.

– Tutaj, na górze, świat wydaje się całkiem inny. Wyspy chmur w morzu powietrza, a my w statku płyniemy powoli między nimi. Czy zastanawiasz się czasami, księżę, patrząc na ten krajobraz, co czułbyś, stojąc na krawędzi chmury, otoczony kłębam bieli, i patrząc na świat w dole, tak odległy, maleńki i doskonały?

Księżę pokręcił głową. Miał zbyt wiele spraw na głowie, by spędzać czas na wyglądanie przez okna Machiny, nawet te wielkie, zamocowane na dziobie.

– Nie – odparł, a w jego głosie pojawiła się nuta goryczy. – Mam za dużo pracy. Zbyt wiele spraw do omówienia z Gajuszem i Aleksandrem. Kristo, znowu się robi niebezpiecznie! Jedna chwila...

Podniosła rękę i spojrzała mu prosto w oczy po raz pierwszy od chwili, gdy wyszedł na pokład.

– Księżę Maksjanie, czuję oddech śmierci na mym karku równie wyraźnie jak ty. Wyraźniej, bo nie potrafię się bronić. Ty spędzasz czas na naradach i przygotowaniach z tymi dwoma truposzami i z innymi sługami. Ja nie mam z tym nic wspólnego – jestem twoją własnością, niewolnicą, rozrywką i pocieszeniem, kiedy czujesz się samotny lub spragniony wrażeń. Tutaj, na górze, znajduję trochę przestrzeni dla siebie, nieco spokoju.

Opuściła powoli rękę, choć jej oczy płonęły gniewem.

Księżę przełknął ślinę, zaskoczony i skonfundowany. Oparł się o zimną metalową poręcz i pograżył w myślach. Po chwili z przerażeniem stwierdził, że nie wie, co jej odpowiedzieć, ani jak zareagować.

Krista obserwowała go uważnie, wciąż wykrzywając lekko usta w gniewnym grymasie. Miała nadzieję, że księżę nie dostrzeże przerażenia, które ukrywała pod tą maską. Nienawidziła gorącego, ciasnego wnętrza Machiny, wypełnionego żywymi trupami i służącymi, których księżę zatrudnił podczas swej długiej podróży na Wschodzie. W pomieszczeniach poniżej panował dziwny zapach, słodkawy i lepki. Krista czuła się bezpiecznie tylko w zaciszu swego pokoju lub w otoczeniu swoich Wołochów. Pozostali – szczególnie homunkulus Chiron i ten stary zbereźnik Gajusz Juliusz – przyglądali jej się bezustannie wyglodniałym wzrokiem. A jednak...

wszystko we wnętrzu tego okrętu żyło i umierało z woli księcia, a ona wciąż miała wpływ na jego poczynania. Omal nie uśmiechnęła się do siebie, widząc, jak książę zмага się z myślami i emocjami.

Krista odpięła linę oplatającą ją w pasie i podeszła do księcia. Pochwyciła inną linę i przymocowała ją do tego samego zaczepu, którego użył Maksjan. Potem usiadła obok niego i wtuliła się w jego bok, zarzucając nogę na jego nogi. Maksjan zmienił nieco pozycję i objął ją w pasie. Krista ujęła jego dłonie i przyłożyła do swojego brzucha.

– Panie – zaczęła, kładąc głowę na jego piersiach – wiesz już, co teraz zrobisz?

Maksjan poruszył się lekko, jakby zadowolony, że może powrócić myślami do znajomych rzeczy. Coś się w nim zmieniło, odzyskał pewność siebie i poczucie celu.

– Tak – odparł.

Krista zauważyła, że nawet jego głos się zmienił, nabrał królewskich tonów. Skrzywiła się odruchowo, usłyszawszy w tym głosie echa władczego barytonu Aleksandra. Dawno już stwierdziła, że odkąd porzucili ruiny Dastagirdu i starożytne sekrety kapłanów ognia, jej pan przejmuje coraz więcej manier i nawyków swoich dwóch doradców.

– Wrócimy potajemnie do egipskiego domu pod Rzymem. Przypuszczam... nie, wierzę, że dzięki mocy tkwiącej w Aleksandrze i Gajuszu, zdołam pokonać klątwę. Będzie to równie trudne i niebezpieczne jak poprzednio, ale teraz wiem, że może się udać.

Krista zmarszczyła brwi i odwróciła się nieco, by mógł ujrzeć jej twarz.

– Omal nie zginąłeś podczas ostatniej próby, panie. Czy Aleksander ma aż taką moc, byś tym razem mógł być pewny zwycięstwa?

Maksjan uśmiechnął się do niej, błyskając białymi zębami. Długie dni spędzone w mrocznych, wilgotnych grobowcach i katakumbach zrujnowanego perskiego miasta pozbawiły jego skórę ciemnobrązowej opalenizny. Krista przeciągnęła wierzchem dłoni po jego policzku, zadziwiona jego gładkością. To znacznie lepsze niż ta krzaczasta broda, która ciągle łaskocze mnie w policzek, pomyślała.

– Moja droga – odrzekł Maksjan. – Nauczyłem się trochę... nie, nauczyłem się bardzo dużo, odkąd pojechaliśmy na Wschód. Omal nie umarłem, próbując niegdyś przegnać tę klątwę, to zepsucie, z ciała tamtego żołnierza tylko za pomocą czystej siły. To było bardzo głupie. Klątwa nie jest pojedynczą rzeczą czy człowiekiem, którą jeden człowiek, ja czy ktokolwiek inny, może pokonać w bezpośredniej walce. – Maksjan zmienił nieco pozycję, zwracając się do niej przodem. Na jego twarzy malował się entuzjazm. – Kiedy wlałem moc w tego starego legionistę czy w to wykradzione dziecko, próbowałem przegnać klątwę z poszczególnych narządów:

z kości, serca, mózgu. To było bezsensowne! Nawet gdyby udało mi się oczyścić pojedynczy narząd z kławy, zepsucie wróciłoby tam ze zdwojoną siłą, atakując krew i kości. Nie mogłem usunąć tej zarazy, bo była wszędzie wokół nas, we wszystkim. To tak, jakbym próbował powstrzymać morze łopata. Niemożliwe. – Przerwał na moment, by zaczerpnąć tchu.

Krista omal nie roześmiała się głośno, widząc jego podniecenie. Był jak mały chłopiec, pokazujący z dumą ubłoconą żabę, którą znalazł nad sadzawką.

– Możliwe jest jednak coś innego. Możemy zniszczyć ognisko, punkt centralny tej choroby, jeśli tylko uda nam się je odszukać. Gdzieś w archiwach cesarstwa musi być zapis dotyczący powstania tej kławy. Znajdziemy go. Księgi kapłanów z Dastagirdu kryły wiele sekretów, a jeden z nich nadaje się doskonale do realizacji moich planów.

Krista uniosła długie kształtne brwi, zaskoczona jego pewnością siebie. Maksjan umilkł na moment nieco skonsternowany, potem jednak podjął przerwany wątek. – Tak, widzę twoją minę, wiem, co chcesz mi dać do zrozumienia. Nie, moja droga, posłuchaj: wiemy już całkiem sporo – w czasach pierwszego cesarza, Oktawiana, tekst i cel przysięgi wierności składanej przez legionistów uległ zmianie; nowy tekst, opatrzony iskrą mocy, zobowiązywał każde go legionistę do służby państwu, nakazywał mu pozostać na polu bitwy do samego końca, chronić kraj przed zniszczeniem i zepsuciem. Na początku był to drobiazg, maleńki kamyk rzucony na puste pole. Lecz czas płynie. Tysiące, a potem dziesiątki tysięcy legionistów składają nową przysięgę, walcząc i umierając ku chwale Cesarstwa Rzymskiego. Każdy z nich to kolejny kamyk do sterty rosnącej na polu. Niektórzy ze składających przysięgę sami noszą w sobie moc, w nich iskra rośnie w siłę, zamienia się w płomień. Przysięga i regulamin służby w legionach obowiązują także synów legionistów, przysięga przechodzi więc na nich, przenoszona wraz z krwią z ojca na syna. Pokolenie po pokoleniu kława nabiera mocy. Kamyczki zamieniają się w skalę, ogromny monolit.

Maksjan znów przerwał na moment. Machina zaczęła zniżać lot, chowając się w chmurach, książę okrył więc ich oboje wełnianym płaszczem, który utkała dlań niegdyś Alais. Marznący deszcz bił o deski wokół nich, wzbierał rwącymi strumieniami i znikał za krawędzią pokładu. Słońce zniknęło, pochłonięte przez czarne chmury, a oni wpłynęli nagle w ogromny korytarz chmur i dymu.

Blask błyskawic raz po raz rozpałał otaczające ich ciemności, gdy Machina kontynuowała podróż w głąb chmury burzowej. Krista odwróciła wzrok od jaskrawej błyskawicy, która przez mgnienie oka tańczyła na czubku skrzydła. Czuła, jak ciało Maksjana drży wstrząśnięte potężnym grzmiotem, który towarzyszył ostatniemu

wyładowaniu.

Potem znów wpłynęli w światło dnia, a nad ich głową pojawił się gruby sufit obłoków. Deszcz nadal padał, Machina wykonała jednak szeroki zakręt w lewo i nagle znaleźli się obok zasłony deszczu. Poniżej widzieli szare morze i terasowate pola na zboczach ogromnej stożkowej góry. Fale biły o białą plażę wielkiej zatoki, tu i ówdzie widać też było kolorowe żagle okrętów. Krista wpatrywała się jak urzeczona w ten niezwykley krajobraz, śledziła z zachwytem wstęgi dróg i mozaiki miast znikające pod skrzydłami. Na szczycie góry, obwiedzionym śnieżnobiałymi obłokami, leżała dolina w kształcie miski.

– Oto właśnie rzecz, którą nazywamy kłatwą – kontynuował Maksjan. – Rzecz, którą brałem za zarazę, mordującą nocą, zabijającą artystów i wynalazców. To ona właśnie wysysa życiodajne soki z każdego rzymskiego dziecka, odbiera mu siły i zdrowie. Kryje się w rzymskiej krwi, gości przy każdym rzymskim stole, a nawet w łóżu nowożeńców.

W jego głosie pojawiły się nuty gorzkiego, nieprzemijającego gniewu. Krista czuła, jak jego dłoń zaciska się w pięść.

– Codziennie zabija naszą przyszłość. Jakich postępów dokonałaby nasza filozofia bez tej kościstej ręki, która czai się w ciemności, by uśmiercić największe umysły? Dokonania tych ludzi przyniosłyby korzyść każdemu mężczyźnie, każdej kobiecie, każdemu dziecku w cesarstwie! Jednak wszyscy oni nieświadomie chcieli naruszyć tkanę cesarstwa; popełnić zbrodnię, za którą karą, zdaniem tego niewidzialnego sędziego, jest śmierć.

Jeśli ta plaga jest tak wszechobecna, jak można ją pokonać? – spytała Krista, starając się nie tracić ducha w obliczu zagrożenia, które dotyczyło także jej. – Musiałbyś objąć swą mocą wszystkich ludzi zamieszkujących cesarstwo, a przecież są ich miliony!

– Tak, też w ten sposób rozumowałem. Lecz dzieła kapłanów ognia ukazały mi inną prawdę; nawet stary Abdmachus domyślał się, co trzeba zrobić, gdy chciał dać mi dźwignię mogącą poruszyć świat.

Krista zerknęła na twarz księcia, nie dojrzała tam jednak żadnych oznak współczucia czy litości dla perskiego czarownika, który przyłączył się doń na początku tych poszukiwań. Teraz ów mały, dziwny człowieczek był jedną z owych istot zamieszkujących wewnątrz Machiny, które żyły tylko dzięki woli księcia. Zniknął jego łagodny śmiech oraz słabość do śliwek i gruszek, jego ciało było martwe, choć nadal się poruszał i mówił – głównie wtedy gdy ktoś zadawał mu pytanie. W odróżnieniu od Gajusza i Aleksandra nie upajał się swoim „nowym” życiem, lecz siedział cicho w ciemności, wpatrzony w pustkę.

– Góry nie można zniszczyć – kontynuował Maksjan, ignorując smutek malujący się na twarzy Kristy. – Ani też każdego kamyczka po kolei. Ale można ją poruszyć. Jestem przekonany, że u jej podstawy znajduje się korzeń, kotwica, która podtrzymuje całą strukturę przysięgi. Jak... jak łuk mostu, jak zwornik, który spaja całą konstrukcję. To właśnie musimy odkryć, musimy poznać naturę owego fundamentu. Gdy go odnajdę, wtedy go zniszczę i przysięga straci moc. Dzięki Aleksandrowi moja moc wzrosła stokrotnie. Jeśli tylko zdobędziemy ostatni element, cała układanka będzie gotowa.

– A jeśli... – zaczęła ostrożnie Krista, świadoma, że znajduje się w latającej Machinie, dwa tysiące stóp nad ziemią – teoria Gajusza jest prawdziwa? Co wtedy?

Maksjan zeszywniał i zacisnął dłoń na jej ręce. Krista oddychała powoli, starając się nie zważać na ból. Książę milczał przez chwilę zamyślony, nie zwracając uwagi, że sprawia dziewczynie ból.

– Nie – przemówił wreszcie Maksjan, zmieniając pozycję i puszczając jej rękę. – Nie sędzę, by miał rację. Nie ma wykształcenia w tym kierunku. To tylko jego przypuszczenia, którymi mnie karmi, bym działał zgodnie z jego pragnieniami. Nie ma żadnych dowodów, tylko przeczucie.

Krista uśmiechnęła się lekko, słysząc strach w głosie Maksjana. Rozważała przez moment różne możliwości, ale gdy dostrzegła, że księcia ogarnia przygnębienie, postanowiła odłożyć tę kwestię na później.

Deszcz doskwierający wczasowiczom w Neapolu i Bajach został za nimi, a Machina szybowała nad polami Lacjum. Książę pożegnał się z Kristą i wrócił do gorącego ciasnego wnętrza Machiny, by wydać instrukcje załodze przygotowującej się do lądowania. Pozostawiona sama sobie, dziewczyna rozcierała powoli obolały nadgarstek i rozmyślała. Musiała z kimś o tym porozmawiać, i to szybko. Książę przygotowywał się do bardzo ryzykownego przedsięwzięcia, które mogło pozbawić życia nie tylko jego, ale i niezliczone rzesze niewinnych ludzi.

– Ale jestem całkiem sama – powiedziała głośno. – Samotna ciemnowłosa niewolnica bez rodziny i przyjaciół.

Ta myśl przeniknęła ją bólem niemal równie intensywnym jak ten, który czuła w ręce. Odsunęła od siebie wspomnienia innych chwil spędzonych z księciem. By zająć myśli czym innym, wygładziła płaszcz i obejrzała metalową rurkę przypiętą do wewnętrznej części jej przedramienia. Czubkiem palca dotknęła grotu metalowej strzałki ukrytej we wnętrzu rurki i sprawdziła, czy nie ma na niej jeszcze śladów krwi z oka tej grubej krowy Alais. Czuła lekkie swędzenie przenikające pocisk, świadectwo obecności mocy, którą książę wlał weń wiele miesięcy wcześniej.

Upewniwszy się, że sprężyna jest naciągnięta, a pierścień na kciuku lekko poluzowany, sprawdziła pozostałe elementy swego wyposażenia – długi, wąski nóż tkwił u jej boku, na biodrach spoczywała drucziana pętla. Znajoma procedura pomogła jej uspokoić myśli.

Machina przechyliła się na bok, zmierzając ku pokrytym gęstym lasem wzgórzom na skraju wypełnionej mgłą doliny. W świetle późnego popołudnia błyszcząły marmurowe kopuły i kolumny. Rozłożone szeroko skrzydła Machiny chwyciły powietrze niczym olbrzymie żagle, spowalniając jej lot. Krista uniosła się lekko nad siedzisko, spoglądając na martwy ogród i wielki dom wieńczące pobliskie wzgórze.

– Nic się tu nie zmieniło! Ruina wypełniona odorem śmierci!

Barczysty mężczyzna o wąskiej tali i krótko przystrzyżonych siwych włosach szedł przez jeden z niższych pokładów Machiny. Ubierał się jak Pers: miał lekkie lniane spodnie podtrzymywane przez bogato zdobiony skórzany pas, obcisłą jedwabną koszulę i wyszywaną kurtę z wołowej skóry. Jego nos mógł jednak należeć tylko do Rzymianina i to pochodzącego z patrycjuszowskiej rodziny. Oczy, zimne i szare, ani na moment nie pozostawały w bezruchu, spoglądały to na dach domu, to znów na bujne chwasty, które zarosły stary ogród. Na skórzanym pasku przerzuconym przez jego ramię wisiał krótki miecz o starym, klasycznym kształcie.

– Dobrze znasz to miejsce, Gajuszu. Pewnie spędziłeś tu dzieciństwo, prawda?

Po metalowych schodach, które wynurzyły się z brzucha Machiny, schodził inny, nieco niższy mężczyzna. Jego krokom towarzyszyły pokrzykiwania służących, którzy zaczęli wyładowywać ze statku drewniane skrzynie zawierające łupy z Dastagirdu i księgi perskich mędrców. W ogrodzie było dość chłodno, a zapach świeżej ziemi zrytej szponami Machiny łaskotał nozdrza Juliusza.

– Nie, Aleksandrze, wychowywałem się nad morzem, w domu mojej ciotki. To miejsce to kaprys, na który pozwoliłem sobie już jako dojrzały mężczyzna. Chodź ze mną, chciałbym ci coś pokazać.

Starszy mężczyzna przeszedł przez ogród i zaczął wspinać się po szerokich granitowych schodach prowadzących do wysoko sklepionej arkady okalającej dom. Choć na stopach miał tylko lekkie buty wojskowe, kamień zatrzeszczał nieprzyjemnie, gdy tylko postawił nogę na pierwszym stopniu. Gajusz znieruchomiał i spojrzał na kamienną płytę pod swoimi sandałami. Marmur popękał w tym miejscu niczym kruchy lód, pokrywając się całą siatką drobnych rys. Gajusz zmarszczył brwi i uniósł rękę w ostrzegawczym geście.

Aleksander, który nosił swe długie złociste włosy spięte na plecach dwoma miedzianymi paskami, także przystanął. Podobnie jak starszy mężczyzna był bardzo czujny, jego jasnyniebieskie oczy omiatały spojrzeniem cienie za kolumnami

i brązowymi szeregami drzew i krzewów powyżej domu. Odwrócił się powoli, ukazując Gajuszowi swe kształtne policzki i nos. W odróżnieniu od Rzymianina ubrany był tylko w proste sandały i krótką białą tunikę, która nie zakrywała jego muskularnych ud ani bicepsów. Zimny wiatr środkowej Italii nie robił na nim żadnego wrażenia. Kiedy na pochylni rozbrzmiały kroki służących, Aleksander odwrócił się i zawołał:

– Poczekajcie, chłopcy. Dzieje się tutaj coś dziwnego. Na razie niczego nie wyładowujcie.

Służący – grupa ciemnowłosych Wołochów i Ormian – zatrzymali się i odłożyli swoje pakunki. Władczy ton w głosie młodego mężczyzny był tak silny, że nie mogło być mowy o jakimkolwiek nieposłuszeństwie. Aleksander wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Gajuszem i skinął głową na prawo, pochylając się nieco. Podobnie jak starszy mężczyzna, młodzieniec był uzbrojony w długi, prosty miecz konnicy. Perska stal wysunęła się z pochwy, a Aleksander ruszył bezszelestnie na lewą stronę domu. Gajusz obserwował go przez chwilę, podziwiając grę mięśni pod śniadą skórą i wilczą zwinność młodzieńca.

Rzymianin pokręcił głową, odganiając od siebie błahe myśli i ruszył na prawo, nadstawiając uszu. Sucha trawa szeleściła pod jego stopami.

– Książę? – Krista weszła powoli w mrok zalegający we wnętrzu Machiny. Głuchy pomruk ucichł, pozostawiając po sobie dziwną, niepokojącą ciszę. Nawet ciche dźwięki, takie jak stukot jej sandałów o metalową podłogę, nabierały niezwyklej mocy. Niewolnica pchnęła okrągłe drzwi prowadzące do kajuty znajdującej się w samym sercu Machiny. Dobrze naoliwione zawiasy obróciły się bezgłośnie, odsłaniając pokój o lekko podniesionej podłodze, wypełniony ułożonymi na skos żelaznymi płytami. – Maksjanie?

Echo jej wołania wypełniło na moment cały pokój. Migotliwy białoniebieski blask serca Machiny oświetlił jej twarz. Krista szła powoli wzdłuż ściany, omijając jak najszerszym łukiem klatkę ze złotego i srebrnego drutu, w której wnętrzu znajdowała się krystaliczna kula spoczywająca na pucharze ze zdobionego runami żelaza. Prócz echa jej kroków pokój wypełniał przenikliwy pisk, Krista jednak przestała już zwracać nań uwagę. Zmierzała do lekko uchylonych drzwi po drugiej stronie pokoju, skąd dobiegł jakiś dźwięk.

Te drzwi także otworzyły się bezgłośnie pod jej dotykiem. W pokoju było całkiem ciemno, choć światło padające z serca Machiny od czasu do czasu wydobywało z mroku jakiś niewyraźny kształt. Krista stłumiła strach i weszła do środka, lewą ręką ciągnąc za sobą płaszcz, prawą zaś trzymając gotową do ataku.

Stworzenie będące sercem Machiny, uwięzione w klatce ze szkła i metalu

i zdobionej magicznymi znakami, spoglądało na nią smutnymi oczami.

Jego cienkie jak pajęczyna skrzydła uderzały raz za razem o szkło, maleńkie ręce drapały rozpaczliwie o idealnie gładką ścianę więzienia.

Krista czekała przy drzwiach, nasłuchując uważnie. Pokój wypełniały czyjś chrapliwy, nierówny oddech i ostry zapach potu... i strachu.

– Panie? – Krista pochyliła się do przodu i wyciągnęła rękę przed siebie. Jej palce dotknęły ubrania, a potem zimnego ciała. – Ach! Możesz mówić?

Migotliwe światło znów wydobyło z mroku postać księcia, który leżał zwinięty w kłębek na podłodze. Krople potu pokrywały jego czoło i ramiona. Krista zaklęła cicho, wzięła go pod ramiona i podniosła z podłogi. Był bardzo zimny i drżał na całym ciele. Dziewczyna przyłożyła palce do jego szyi – krew pulsowała w tętnicy z ogromną prędkością.

– Co się dzieje? – spytała cicho, unosząc jednocześnie powiekę księcia. Jego źrenica była powiększona i całkiem czarna.

Maksjan poruszył się w jej ramionach, a jego skóra zaróżowiła się nagle, przejęta falą ciepła.

– Zabierz mnie... – wychrypiał. – Zabierz mnie stąd. To jest zbyt silne. Krista skinęła głową i delikatnie ułożyła księcia na podłodze. Okryła go kocem, a potem wybiegła z pokoju.

Służący zajęci pracą w magazynie i na rampie wyładowczej podnieśli głowy zdumieni, gdy usłyszeli tupot jej nóg. Krista zatrzymała się i przykucnęła, by wyrzec do ogrodu. Dom egipskiej królowej wydawał się mniejszy i znacznie bardziej zaniedbany niż minionego lata. Głowa sfinksa strzegącego wejścia do domu odpadła od tułowia, wszystkie drzewa i krzewy porastające niegdyś ogród zwiędły.

– Szybko! – krzyknęła do Wołochów siedzących na metalowej pochylni. – Ty i ty, chodźcie ze mną. Księżę potrzebuje pomocy.

Nie czekając na ich reakcję, obróciła się na pięcie i wbiegła z powrotem do wnętrza Machiny. Dwaj Wołosi posłusznie ruszyli za nią. Krista wpadła do pokoju, w którym zostawiła księcia i zastała go w pozycji półsiedzącej. Na jego twarzy malował się ogromny wysiłek. Dziewczyna dotknęła koca i natychmiast cofnęła rękę zaskoczona. Gruba wełna zamieniła się pod jej dotykiem w pył.

– Do domu... zabierz mnie do domu... – przemówił księżę słabym głosem.

Krista przyklękła i założyła sobie jedną rękę księcia na ramiona. Silniejszy z dwóch Wołochów także ukląkł i pochwycił Maksjana w pasie. Na sygnał Kristy oboje się wyprostowali i podnieśli księcia z podłogi. Krok po kroku wyszli z pokoju i dotarli do korytarza. Księżę wisiał bezwładnie w ich objęciach, zupełnie pozbawiony sił. Krista czuła, jak krew coraz mocniej pulsuje jej w skroniach.

– Nie zatrzymuj się – warknęła do Wołocha. – Musimy dojść do domu.

Służący wsunął wolne ramię pod nogi księcia, wziął go na ręce i poderwał się do biegu. Krista zsunęła rękę Maksjana ze swoich ramion i pobiegła za niewolnikiem.

Metalowa pochylnia zadudniła pod ich stopami, kiedy wybiegli na martwą, brunatną trawę ogrodu. Wołoch zaczął ciężko dyszeć, tracąc siły z każdym krokiem, który oddalał go od Machiny i przybliżał do wejścia domu. Krista biegła obok niego, obserwując z przerażeniem, jak kruczoczarne włosy chłopca zaczynają matowieć i siwieć. Niewolnik zachwiał się na stopniach prowadzących do głównego wejścia, kamienie pękały z trzaskiem nie tylko pod jego stopami, ale nawet pod lekkimi sandałami dziewczyny. Gdy dotarli do linii kolumn, dudnienie w uszach Kristy zamieniło się w przeraźliwy pisk. Niewolnica próbowała pochwycić księcia, kiedy Wołoch zachwiał się i runął prosto na jedną ze starożytnych kolumn.

Drugi młodzieniec, który przez cały czas biegł za nimi, rzucił się pomiędzy Kristę a umierającego niewolnika. Choć nie tak silny jak jego brat, zdołał pochwycić księcia i odciągnąć go od zwłok Wołocha. Krista zaklęła i jednym skokiem pokonała odległość dzielącą ją od ciemności zalegających między kolumnami. Przez moment zabrakło jej tchu w piersiach, wylądowała jednak bezpiecznie i obróciła się w miejscu. Przeraźliwy pisk w jej głowie ucichł raptownie. Pozostały przy życiu Wołoch, który wciąż trzymał księcia na rękach, był tuż za nią.

Krista ogarnęła spojrzeniem ogród i zauważyła, że drzewa i różane krzewy otaczające dom są martwe. Wszystko wokół uschło.

Gajusz przeszedł powoli za róg domu, stąpając ostrożnie po popękanych ceglach, niegdyś tworzących szeroki taras, łączący się z jadalniami położonymi na tyłach domu, z których roztaczał się widok na zbocze porośnięte trawą i drzewami. Niegdyś ukryte pod ziemią rury doprowadzały wodę do fontann i przepustów podlewających drzewa cytrynowe i pomarańczowe. Teraz drzewa były martwe, porośnięte grubym pnączem o lśniących czarnych liściach. Przepusty zamieniły się w niebezpieczne czarne dziury w podłodze tarasu. Ostre krawędzie popękanych ceramicznych rurek czyhały na nogi nieostrożnego przechodnia.

Umysł starego Rzymianina wypełniły nagle wspomnienia sprzed lat. Gajusz skrzywił się ze złością i odegnał je od siebie. Spędził zbyt wiele czasu w miłej kompanii nieprzyjaciół, by okazywać prawdziwe uczucia komukolwiek innemu. Tylko przed jedną osobą odsłonił niegdyś duszę. Ten dom był tylko jednym z prezentów, którymi chciał obsypać tę kobietę.

Teraz, gdy wracał myślą do tamtych czasów, zastanawiał się, czy klątwa, z którą zmagął się książę, nie powstała wcześniej, niż wszyscy przypuszczali. Czy nie

wyjaśniałoby to okoliczności jego własnej śmierci? Wydawała się tak pospolita! Wchodził na wielkie Forum Romanum, z daleka już dostrzegł swego przyjaciela, sprzymierzeńca, który podszedł do niego z podniesioną ręką i wymuszonym uśmiechem. Potem był palący ból w boku – upadek, twarze pochylone nad jego ciałem, niektóre znajome, inne obce. Zimna ciemność, a potem okropne przebudzenie w mrocznej, wilgotnej dziurze wypełnionej kośćmi i błotem. Starzec pokręcił głową i wszedł na werandę.

W tej samej chwili zza przeciwległego rogu wyszedł Aleksander. Płytki schowane pod dachem – wciąż prawie nienaruszonym, a w niektórych miejscach nawet naprawionym podczas ich poprzedniego pobytu – nie pękały pod jego stopami, ściany także wydawały się wciąż wystarczająco mocne. Gajusz uniósł brwi w niemym pytaniu. Aleksander odpowiedział olśniewającym uśmiechem, a potem wzruszył ramionami i schował miecz do pochwy.

– Nic, tylko ruiny i martwota. Widziałeś jakieś zwierzęta?

– Nie. – Gajusz pokręcił głową.

– Po tamtej stronie leżą sterty martwych ptaków. To dziwne, ale żaden z nich nie zgnił. Wyglądają tak, jakby były wysuszone, całkiem pozbawione wody.

Gajusz wydał usta i obrócił się powoli, spoglądając na wyblakłe znaki, które Pers Abdmachus wymalował rok wcześniej na podłodze, kolumnach i ścianach. Potem on także schował swój miecz do pochwy.

– Wygląda na to – mówił powoli, spoglądając na martwe drzewa – że klątwa atakuje dom, ale zaklęcia starego czarownika są dość mocne, by ją powstrzymać. Powinniśmy wrócić do Machiny i pomóc w rozładunku. Przebywanie na zewnątrz domu nie jest chyba bezpieczne.

Aleksander odwrócił się, by wrócić do wejścia tą samą drogą, lecz Gajusz pochwycił go za ramię i osadził w miejscu.

– Tędy – powiedział, uśmiechając się cierpko. – Lepiej nie ryzykować. Poza tym chciałbym ci tu coś pokazać.

Aleksander odpowiedział uśmiechem, lecz Gajusz nie zdjął ręki z jego ramienia. Macedończyk spojrzał nań nieufnie.

– Kto to jest?

Aleksander wpatrywał się w masywny posąg stojący w atrium domu. Gajusz uśmiechnął się przelotnie, choć jego uwaga nie była już skupiona na młodym Greku. Pokoje i komnaty, przez które przechodzili przed chwilą, wyglądały na opustoszałe, lecz różne drobne przedmioty – choćby wiklinowy fotel w jednym z pokoiów – nie znajdowały się tam, gdzie je niegdyś zostawili. Ktoś był w domu, bez wątpienia poszukiwał śladów poczynań księcia. Znaki wryte na ścianach i wymalowane na

podłozie pozostały jednak niezmiennione, co bardzo ucieszyło starego Rzymianina. Był pewien, że w przeciwnym razie z budynku pozostałyby tylko fundamenty.

– To ty, mój przyjacielu – odrzekł wreszcie Gajusz, zwracając się do swego towarzysza. Rzymianin uważał, że posąg jest uderzająco podobny do pierwowzoru.

– Ja? – Aleksander odwrócił się i spojrzał nań z niedowierzaniem. – Przecież to wcale nie jest do mnie podobne!

Gajusz wzruszył ramionami.

– Ci, którzy przyszedli po tobie, lubili upiększać twą postać, dodawali ci wzrostu i przydawali zasług – albo z równie wielkim zapałem cię oczerniali. Kobieta, którą niegdyś znałem, kazała wyrzeźbić ten posąg na twoją cześć. To był jej dom, a ona czciła cię niemal jak boga.

Aleksander uśmiechnął się ponuro.

– Moi ludzie zawsze na to narzekali. To ludzie Wschodu mają w zwyczaju traktować swych władców i panów jak bogów. Lecz nie Grecy! – Roześmiał się nagle. – Nie moi Grecy!

– Cóż... – mruknął Gajusz, mrużąc oczy. – Ta kobieta była Greczynką, ostatnią z rodu, i przysięgała na twoje imię oraz moc, którą symbolizowałaś.

Aleksander skinął głową, wpatrzony w dal.

– Kobiety zawsze szukały we mnie źródła mocy dla siebie samych lub dla własnych rodzin. Z tego, co opowiadałeś mi o swoim życiu, wynika, że zapomniałeś o tej lekcji. To właśnie przez romans z tą kobietą straciłeś poparcie ludu i senatu.

Gajusz skrzywił się i rozłożył szeroko ręce.

– Kto to może wiedzieć? Relacje z tego okresu są niejasne, a ja za życia nie dostrzegałem takiego zagrożenia. Zresztą ty akurat nie powinieneś mi tego wypominać. Zostałeś otruty, bo opętała cię wizja stworzenia nowej cywilizacji; moje imperium wciąż stoi, podczas gdy twoje zamieniło się w pył.

Aleksander skinął głową w zamyśleniu, rozglądając się po mrocznym pokoju. Malowane płyty, pokrywające niegdyś kamienie i beton ścian, popękały i spadły na podłogę. Mimo to komnata wyglądała imponująco i można się było domyślić, że niegdyś było to piękne, jasne miejsce wypełnione pochodniami, lampami i wieloma innymi cudownymi wynalazkami Rzymian. Z drugiej jednak strony te kamienie i budowle niewiele różniły się od pałaców czy miast, którymi rządził lub które niszczył. Nawet język jego rodaków się nie zmienił, choć minęło wiele stuleci, które unicestwiły całe narody i ludy. Wydawało się to dość dziwne, choć być może rzeczywiście był to wynik działania jakiejś klątwy.

– Tak... twoje imperium wciąż stoi – odparł wreszcie Aleksander. – Choć twoje imię przewija się głównie w podręcznikach dla dzieci i jako nazwa jednego ze świąt.

Czy bogacze tych czasów wznoszą twoje pomniki w swoich domach? – W głosie Aleksandra pojawił się cień szyderstwa.

Gajusz uśmiechnął się szeroko i zatknął kciuki za pas.

– Owszem, mój chłopcze, w wielkich domach tego miasta wciąż stawia się posągi moje lub mojego bratanka. Obok skrzyżowania w centrum miasta stoi wielki grobowiec z kolorowego marmuru wzniesiony na moją cześć. Ludzie pamiętają o mnie równie dobrze jak o tobie.

Aleksander spojrzał w oczy starszego mężczyzny. Przez chwilę przypomniał mu się pewien zadziorny przyjaciel z dzieciństwa, którego nie widział od bardzo długiego czasu. W oczach i twarzy Rzymianina było coś znajomego... Aleksander opamiętał się nagle, wybuchnął śmiechem i uklonił.

– Wybacz, jestem twoim gościem, a zachowuję się nad wyraz niegrzecznie. Oprowadź mnie, proszę, po tym budynku, i opowiedz mi jego historię.

Gajusz skłonił lekko głowę, przyjmując przeprosiny.

Maksjan nadal leżał na podłodze, owinięty kocem. Krista uklękła przy jego głowie i uniosła ją lekko, by wsunąć pod nią koc. Oddech księcia nieco się wyrównał, odkąd weszli do domu, mógł też ruszać rękami i nogami. Krista otarła rękawem pot z jego czoła.

– Dziękuję – wyszeptał księżę. Nie odzyskał jeszcze w pełni głosu.

– Nie ma za co, panie – odparła. – Bez ciebie wszyscy umrzemy.

– Być może... – Maksjan wpatrywał się w jej twarz, ściągniętą strachem i troską. Po raz kolejny uświadomił sobie, jak bardzo potrzebuje jej pomocy i wsparcia. Omal nie wypowiedział tych słów głośno, coś go jednak powstrzymało. Oddalili się od siebie od czasu śmierci Wołoszki Alais w Dastagirdzie. Maksjan wiedział, co się wtedy wydarzyło; Gajusz z nieskrywaną przyjemnością opowiedział mu o pojedynku dwóch kobiet w ostatniej komnacie świątyni ognia. Księżę nigdy jednak nie rozmawiał o tym z Kristą, a ona także nie poruszała tego tematu.

– Czy wszyscy są już w środku?

Krista skinęła głową i podwinęła rękawy tuniki.

– Tak, wszyscy mogą się spokojnie poruszać wokół domu; wygląda na to, że klątwa ściga tylko ciebie, panie. Machina jest bezpieczna. Kazałam służącym schować ją za drzewami i postawić obok straż. Za chwilę będzie gorące jedzenie. Trudno w to uwierzyć, ale instalacja wodno-kanalizacyjna wciąż działa. – Krista uśmiechnęła się i ujęła dłoń księcia.

– Co z Gajuszem i Aleksandrem? – spytał Maksjan, ściskając lekko jej rękę. Kristina pokręciła głową i spojrzała nań z rezygnacją.

– Kręcą się wokół domu, żeby pokazać, który z nich jest ważniejszy. Sama

musiałam się wszystkim zająć.

Maksjan zmarszczył brwi i pokręcił głową, znieruchomiał jednak, gdy przed oczami zaczęły mu tańczyć białe iskry.

– Odszukaj ich i przyprowadź do mnie – wyszeptał. – Nie mamy czasu na ich sprzeczeki.

– Pewnie myślałeś już o tym, żeby go udusić podczas snu.

Gajusz odwrócił się, próbując dojrzeć w ciemności zarys głowy Aleksandra. Przez dziurę w dachu nad ich głowami wpadała wąska smuga światła, która rozpraszała nieco mrok. Złote włosy młodzieńca wydawały się białe w tym świetle, lecz jego twarz ukryta była w cieniu, odległa i nieodgadniona.

– Wiele razy. – Gajusz mówił bardzo cicho, choć znajdowali się z dala od kuchni zajmowanych przez Wołochów i Ormian oraz sypialni, gdzie leżał książę Maksjan ze swoją konkubiną. Rzymianin i Grek spoczywali na sienniku w zimnej, wilgotnej piwnicy egipskiego domu. – W drodze na Wschód moje myśli często zwracały się ku truciźnie, tyle że on bez wątplenia by się połapał, co chcę zrobić, albo poczuł jej działanie i natychmiast się wyleczył. Pomyślałem, że wystarczyłoby krótkie pchnięcie nożem w tył czaszki. Ale ta mała wiedźma nie spuszcza go z oka. To bardzo utrudnia sprawę...

Aleksander roześmiał się niskim, melodyjnym śmiechem, który przejął Gajusza dreszczem.

– Rzeczą, której nienawidziłem najbardziej – powiedział Grek – była świadomość, że ktoś ma nade mną władzę, że kontroluje moje życie, decyduje o moim losie. Taką władzę miał nade mną ojciec, a teraz ma ten twój książę. Wydawało mi się, że zdołałem przed tym uciec, a teraz koszmar znów powraca.

Gajusz parsknął i usiadł prosto, pocierając twarz dłońmi.

– On nie jest moim księciem. To niechciany przyjaciel, który zrywa cię ze snu i zmusza do udziału w jakimś okropnym przyjęciu lub eskapadzie. Jednak jego pomysły to tylko mrzonki, ucieczka przed światłem gorzkiej prawdy.

Aleksander także usiadł prosto i naciągnął tunikę. Jednym skokiem zerwał się na równe nogi, wypełniony energią, jaką daje młodość. Gajusz obserwował go kątem oka, przejęty zawiścią. To naprawdę ładny chłopak, pomyślał, i zawsze już taki będzie.

– Prawda jest taka, że on jest naszym życiem. – Choć w jego głosie słychać było tony goryczy, Aleksander uśmiechał się. – Życie jest dla nas cenne. Przynajmniej dla mnie. A ty? Czy jesteś już dość stary, by z ochotą zrzucić z barków ten ciężar?

– Ha! – Gajusz także wstał z podłogi, choć z pewnością nie tak energicznie jak

Aleksander. Nie mógł znaleźć sandałów, szukał ich więc po omacku i uderzył się w duży palec u nogi. Skrzywił się z bólu, który jednak szybko ustąpił. Pomyślał, że to efekt uboczny stanu, w jakim się znajdował. – Nigdy nie chciałem pożegnać się z tym życiem. Dokuczają mi tylko, równie boleśnie jak tobie, świadomość, że musimy... musimy służyć innemu. Taki już nasz los. Warto więc, byśmy pamiętali... – Gajusz urwał, usłyszawszy jakiś szelest na schodach prowadzących na parter. Dźwięk przypominający kroki. Podniósł rękę, a Aleksander także spojrzął na schody. Dźwięk się nie powtórzył. – Warto, byśmy pamiętali – kontynuował Rzymianin – że ze względu na naszą sytuację powinniśmy dołożyć wszelkich starań, by poprawić pozycję naszą i naszego pana. Tak, to paskudne słowo, ale prawdziwe! Jeśli jego los się poprawi i nam będzie lepiej. Czyż nie tak?

Aleksander skrzywił się lekko, ale skinął głową.

– Mówisz jak perski dworzanin. Ale masz rację.

– W porządku – parsknął Gajusz. – Uznam to za komplement. Obecnie nasze możliwości są ograniczone, musimy więc przekonać księcia, by dał nam większą swobodę działania. Wówczas będziemy mogli realizować cele, które zna, oraz te, o których nie ma pojęcia.

– Co? – Aleksander podniósł rękę i spojrzął gniewnie na swego starszego towarzysza. – Mówisz jak ateński prawnik; wiele słów i mało treści.

Gajusz uniósł lekko brwi i uśmiechnął się drwiąco.

– Jestem... byłem... dość zdolnym prawnikiem – powiedział. – Dobrze, powtórzę tę myśl, prostolinijny Greku. Dziś księżę pragnie jednej rzeczy: zdjąć ze swego ludu tę klątwę. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by mu pomóc. Jednak gdy klątwa zostanie zneutralizowana, nawiedzą go inne myśli. Uważam, że pomożemy sobie samym, jeśli będziemy dążyć do realizacji obu celów, tego bieżącego i tego przyszłego. Nie traćmy więc czasu, kiedy on zmaga się z własnym sumieniem.

Aleksander wpatrywał się przez chwilę w Gajusza zdumiony, w końcu jednak w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. Młodzieniec uśmiechnął się do Rzymianina, błyskając w półmroku białymi zębami.

– Nie tylko prawnik, ale i mądry doradca.

Tym razem obaj usłyszeli odgłos kroków na schodach i spojrzeli w stronę drzwi, w których ukazała się Krista.

– Panowie – przemówiła, jakby nieświadoma ciemności panujących w piwnicy. – Księżę chciałby z wami rozmawiać.

Gajusz skłonił lekko głowę, dając w ten sposób do zrozumienia, że to Aleksander powinien pierwszy wejść na schody.

Księżę leżał na łożu sypialni na piętze. Drewniana rama była już niemal całkiem

przegnita, wystarczająco jednak wytrzymała, by utrzymać księcia okrytego całą stertą kołder i koców, które służący przynieśli z Machiny. Na stoliku u wezgłowia łoża płonęły dwie świece. Gajusz wszedł do pokoju i przesunął się na bok, by oprzeć się o ścianę, jak to miał w zwyczaju. Aleksander przykucnął na podłodze przy łożu, obserwując księcia swymi błękitnymi oczami. Krista zajęła miejsce na jedynym krześle w pokoju. Na skrzyżowanych nogach dziewczyny leżał zwinięty w kłębek mały czarny kot. Maksjan wciąż był osłabiony i wymizerowany, z jego policzków zniknęła już jednak chorobliwa bladość.

– Przyjaciele, czeka nas trudna i delikatna walka. Wróciliśmy do bastionu naszego wroga, silniejsi o Aleksandra i sekrety perskich magów. Teraz jednak ta wielka moc skupiona jest na mnie i naciera z wielką siłą. Gajuszu, nie możemy czekać, aż odzyskam dość sił, by samodzielnie się wszystkim zajmować. Zbyt wiele pracy przed nami. Ty i Aleksander musicie być moimi oczami i rękami w mieście.

Stary Rzymianin skłonił lekko głowę, nie odrywając jednak spojrzenia od twarzy Maksjana. Księżę wracał do zdrowia bardzo powoli; Gajusz uśmiechnął się w duchu, widząc całe mnóstwo możliwości, które otwierały się przed nim powoli niczym płatki kwiatów na wiosnę.

– Jak unikniemy klątwy? – spytał Aleksander głosem wyczerpanym z emocji, jakby perspektywa rychłej śmierci nie robiła na nim żadnego wrażenia. – Czy nie zostaniemy przez nią uśmierceni, gdy tylko opuścimy to miejsce?

Maksjan pokręcił powoli głową.

– Nasz wróg nie jest sprytny ani mądry – powiedział. – Ma ogromną siłę, ale nie planuje z wyprzedzeniem. Jeśli będziecie działać ostrożnie i nie naruszyacie tkanki imperium, klątwa nie rozpozna w was wrogów. A nawet gdyby rozpoznała, to minie trochę czasu, nim zareaguje i uderzy. Zna jednak mnie! Zna moją siłę woli i bez ustanku na mnie napiera. Jeśli wy i Krista wyjdziecie na zewnątrz i będziecie robić rzeczy, które nie stanowią oczywistego zagrożenia, nic się wam nie stanie.

Aleksander wzruszył ramionami i spojrzał na Gajusza. Rzymianin skinął lekko głową i zwrócił się do księcia.

– Co mam robić, panie?

Przez twarz Maksjana przemknął lekki uśmiech.

– Przede wszystkim musimy odszukać pełny tekst przysięgi, co oznacza, że wraz z Aleksandrem będziecie spędzać czas w Archiwach Cesarskich i prywatnych bibliotekach, do których uda wam się zdobyć dostęp.

Gajusz uśmiechnął się szelmowsko do Kristy. Ta odpowiedziała mu lodowatym spojrzeniem i zajęła się głaskaniem kota. Ta krótka wymiana spojrzeń nie uszła uwagi Maksjana.

– Gajuszu... Żadnych flirtów. Czasu mamy niewiele, więc musimy działać

szybko.

– Jak to? – Aleksander wstał i wygładził tunikę. – Jeśli masz rację, możemy spokojnie oskrzydlać wroga, a on i tak nie zauważy naszych manewrów.

– Klątwa nie jest naszym jedynym wrogiem – odpowiedział Maksjan ze znużeniem. – Będą mnie szukać także agenci mojego brata, jeśli dowiedzą się, że wróciłem do Lacjum. Obawiam się, że po naszej ostatniej rozmowie w Armenii mój drogi brat uważa mnie za szaleńca. Cesarz nie może pobłażać obłąkanym krewniakom.

Gajusz utworzył usta, by coś powiedzieć, powstrzymał się jednak zgromiony spojrzeniem Maksjana.

– Nie, starcze, nie zdecydujemy się na proponowane przez ciebie rozwiązanie tej sprawy. Mogę osiągnąć cel innymi sposobami. Idźcie do miasta i wypytajcie o najnowsze wieści, znajdźcie ten tekst i uzupełnijcie zapasy...

Krista wyprosiła obu mężczyzn na zewnątrz, a potem zamknęła za nimi zielone drzwi.

MEKKA, ARABIA FELIX

– Wujku Mahomecie! – Młoda kobieta o kruczoczarnych włosach związanych na plecach szeroką wstążką i zielonych oczach ledwie widocznych ponad jedwabnym kwefem, podniosła zdumiony wzrok na gościa. Wstała z kamiennego stołka ustawionego tuż przy wejściu do domu, wygładziła suknię i skłoniła się nisko.

Mahomet odpowiedział jej równie grzecznym ukłonem i zdjął z ramion płaszcz oblepiony brudem tysięcznej podróży.

– Witaj Rasano, córko siostry mojej żony.

Dziedzinec za plecami Mahometa rozbrzmiewał głosami ludzi, koni i wielbłądów. Brzęk mieczów i włócznie odbijał się echem od pobielanych ścian domu, buty dzwoniły o bruk. Mahomet zdjął z głowy burnus, rozwijając długą lnianą wstęgę. Jego twarz była brązowa od słońca i zmęczona wieloma tygodniami podróży przez pustkowia. Dziewczyna wpatrywała się w jego oblicze, które przecinała nowa blizna, sięgająca od lewego oka po ukrytą pod czarnym zarostem brodę.

Mahomet przechylił lekko głowę i spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Siostrzenico, przywołaj, proszę, moją żonę. Chciałbym się z nią przywitać, nim wejdę do naszego domu.

Dziewczyna otworzyła szerzej oczy, jakby uświadomiwszy sobie nagle jakąś szokującą prawdę.

– Wujku... nie słyszałeś? Myślałam, że wróciłeś, bo...

Mahomet uniósł rękę, przerywając jej w pół zdania i odwrócił się do tłumu mężczyzn na podwórku. Byli to ludzie z głębi pustyni, o długich, zakrzywionych szablach i ponurych twarzach. Wielu z nich nosiło blizny, pozostałości po licznych walkach. Spod ich szat prześwitywały metalowe kolczugi. Mahomet przywołał do siebie dwóch mężczyzn o surowych obliczach, z niebieskimi wstęgami północnych plemion wplecionymi w ich kufie.

– Cisza! Dżalal, Szadin – stajnie i woda są tam. Zabierzcie konie i oporządźcie. Za chwilę przyślę służących z jedzeniem i pić dla ludzi.

Dwaj mężczyźni ukłonili się i odeszli, by wypełnić polecenie, a Mahomet ponownie odwrócił się do dziewczyny. Ta, blada jak ściana, przebiegała nerwowo palcami.

– Och, wujku! Myślałam, że wiesz! Proszę, wybac mi! Tak mi przykro! – Dziewczyna ukłoniła się ponownie, omal nie padając na kolana.

Mahomet zmarszczył brwi i skrzyżował nogi, by zdjąć buty.

– Co mam ci wybaczyć? Gdzie jest Chadidża? Gdzie są wszyscy? Dziewczyna znów złożyła mu pokłon, tym razem dotykając czołem podłogi.

– Och, wujku, są w małym domu na wzgórzu. W domu z białych kamieni! Proszę, wybac mi moją głupotę, myślałam, że przyjechałeś tu ze względu na wieści...

Mahomet jeszcze bardziej zmarszczył brwi, a w jego oczach pojawił się strach.

– W domu z białych kamieni? Kto umarł? – Znieruchomiał raptownie, przejęty straszną, bolesną pewnością. Dziewczyna nadal klęczała, zwrócona twarzą ku ziemi, teraz jednak Mahomet słyszał delikatne kapanie jej łez. Przeszedł obok niej i wbiegł do wnętrza domu, zapomniawszy nawet zdjąć buty, jak nakazywał obyczaj i dobre wychowanie.

Mahomet zatrzymał się i podniósł rękę, by zastukać w futrynę drzwi. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, w środku jednak aż gotował się ze złości. Zza drzwi dochodziły przytłumione głosy. Opuścił rękę i powoli rozprostował palce.

– ...są moje! To karawany Banu Haszim, to nasze wielbłądy, nasze towary! Jakim prawem mają trafić do niego? Nie jest naszym krewnym; to tylko najęty pracownik, któremu dobrze poszło! Swoją pozycję zawdzięcza...

Mahomet skrzywił się, gotów przez moment wyłamać drzwi kopniakiem. Czuł za sobą obecność Dżalala. Podniósł rękę i gestem nakazał Tanuchowi odejść. Mężczyzna skinął głową, wsunął nóż do pochwy i zniknął w chłodnym mroku korytarza. Mahomet wziął głęboki oddech, przygotowując się do wejścia, a potem zastukał do drzwi.

Otworzyła mu bardzo rozgniewana kobieta w średnim wieku.

Mahomet uśmiechnął się i wszedł do pokoju, schylając głowę pod futrynę.

– Witaj, Taijo, siostrze mojej żony. Witaj, Halo, siostrze mojej żony. Kobieta, która otworzyła mu drzwi, odwróciła się do niego plecami i przeszła do niskiego stołka przy oknie. Hala wstała, skłoniła się w milczeniu przed Mahometem i ponownie usiadła na swoim miejscu. Wysokie, wąskie okno po drugiej stronie pokoju wychodziło na wewnętrzny ogród wielkiego domu. Hala spojrzała na Mahometa smutnymi oczami. Była ulubienicą starszej siostry i towarzyszyła jej niemal wszędzie. Podobnie jak Chadidza miała łagodne rysy i inteligentne oczy, podobnie też jak ona zachowywała się w sposób łagodny i opanowany. Mahomet odpowiedział ukłonem na jej pozdrowienie i zajął miejsce na krześle w rogu.

W pokoju było ciemno i chłodno, przez wąskie okno wpadała do wnętrza tylko wąska smuga światła. Mahomet usiadł w niedbalej pozie i czekał spokojnie, choć jego serce przepełniał smutek i troska. Druga kobieta obecna w pokoju, Taija, była najmłodszą z żyjących córek starego Chuwajlida i jego ulubienicą. Siedziała sztywno, wpatrzona w widok za oknem, nerwowo skubiąc brzeg szaty. Hala spojrzała na swoją

siostrę, a potem obróciła się do Mahometa, złożwszy dłonie na kolanach. Mahomet przywołał na usta uśmiech, choć wiedział, że wygląda on fałszywie.

– Bracie, obawialiśmy się, że coś ci się przydarzyło, kiedy nie wróciłeś z karawaną z Damaszku.

– I tak było – wychrypiał Mahomet, nagle ogarnięty wyrzutami sumienia. – Na północy toczyła się wielka wojna między Persją i Rzymem. Perskie armie pod dowództwem ich wielkiego generała Szahr-Baraza chciały zdobyć Damaszek. Zaangażowałem się w tę wojnę, co bardzo opóźniło mój powrót.

– Zaangażowałeś się? – Głos Taiji był cichy, lecz jednocześnie przepełniony gniewem gorzkim jak liście herbaty. – I któż cię tak zaangażował? Jak ona miała na imię? Ani Rzym, ani Persja nie są sprzymierzeńcami Kurajszytów. W jakim celu nasza rodzina miałaby mieszać się w ich sprawę?

Mahomet zmienił nieco pozycję, obracając się ku Taiji.

– Poznałem mężczyznę, którego nazywałbym dzisiaj mym bratem, gdyby jeszcze żył. Prawdziwego przyjaciela. Los zagnał go na północ, do Damaszku, a potem do Miasta Jedwabiu, Palmyry. Pojechałem z nim, bo potrzebował mojej pomocy. Jak mogłem odmówić bratu?

– Nie było cię zbyt długo – powiedziała Hala lekko podniesionym głosem.

Mahomet skinął głową, wciąż patrząc jej w oczy. Widział, że kobieta z trudem powstrzymuje łzy, bo szczerze kochała swą siostrę. Taija także bliska była płaczu, gotowa była jednak zrobić wszystko, by ten biedny kuzyn nie ujrzał jej łez.

– Wiem. Pod Palmyrą doszło do wielkiej bitwy, wróg oblegał miasto przez wiele miesięcy. Ucieczka była niemożliwa. Ledwie uszedłem z życiem.

Taija nagle wstała, podeszła do drzwi i otworzyła je na całą szerokość. Wyjrzała na korytarz, a upewniwszy się, że nie ma tam nikogo, ponownie zatrzęsnęła drzwi.

– Przez cały czas, gdy Chadidza leżała złożona chorobą, myślała tylko o tobie – warknęła Taija, wracając do swego miejsca przy oknie. – Kiedy już nie widziała, a gorączka trawiła jej kości, prosiła tylko o wieści o tobie – o tobie, włóczędze! O mężu, którego nigdy nie ma w domu, który nawet te krótkie chwile bytności w tym miejscu spędza zamknięty w jaskini, w towarzystwie złodziei i żebraków!

Hala wstała i próbowała pochwycić siostrę za ramię. Taija odtrąciła jej rękę i przemówiła jeszcze głośniejsze:

– Zostawiłeś ją samą, a ona umarła! Ufała ci nawet wtedy, gdy nie ufała już nikomu innemu – a ty ją porzuciłeś! Przy życiu podtrzymałby ją widok twojej twarzy lub twój głos, lecz ty odmówiłeś jej nawet tego! W końcu uwierzyła, że zginąłeś gdzieś na pustyni, i umarła, pewna, że nigdy nie powrócisz.

Mahomet wstał, przeraźliwie spokojny. Taija cofnęła się przestraszona, lecz on

nie podniósł ręki. Odsunął krzesło, uklęknął na kamiennej podłodze i pokłonił się przed siostrami żony, przykładając czoło do plecionej maty ułożonej na środku podłogi.

– Przepraszam – powiedział. – Gdybym wiedział, zrobiłbym wszystko, by być tutaj.

Wstał, a Hala podeszła i wygładziła zagięty róg jego tuniki. Taija tylko patrzyła nań w milczeniu. Jej twarz wyglądała jak biała maska z oczami umalowanymi na czarno i złotymi kolczykami w uszach.

– Wiem – wyszeptała Hala, pozwalając, by łzy wypłynęły strumieniem z kącików jej oczu, – To był nieszczęśliwy zbieg okoliczności, dzieło złych mocy.

Powieka Mahometa zadrgała, jego twarz pobladła jeszcze bardziej.

– Nie... na świecie istnieje prawdziwe zło, ale to nie ono sprawia, że padamy ofiarą zbiegu okoliczności. Nie mów, że to było dzieło zła; widziałem jego twarz, ale nie tutaj.

– Zło? – wyszeptała z niedowierzaniem. – Wiesz tak dużo o nim, że możesz je widzieć, dotykać go, oceniać jego wartość? Zaniedbanie jest złem, obojętność jest złem!

Twarcz Mahometa pociemniała, wydawało się, że nagle urósł, wypełnił cały pokój.

– Widziałem oblicze prawdziwego zła, siostrze mojej żony. To ciemny kształt, który przyćmiewa słońce, którego głos rozbija mury w pył, który chodzi po świecie w ludzkiej postaci. To coś, przed czym dżinni drżą ze strachu i chowają się na pustyni. Coś, co samą swą obecnością przeraża świat. To nie ono zabiło Chadidżę. Wiem, bo widziałem je z murów Palmyry, widziałem, jak mój przyjaciel umiera z jego ręki. Gdyby tędy przeszło, nic nie zostałoby z tego miejsca.

Hala otworzyła szerzej oczy, słysząc w słowach Mahometa echo strachu i bitewnego zgiełku.

– Bzdura! – Taija omal na niego nie splunęła, powstrzymała się jednak w ostatniej chwili. – Nie obchodzi cię, że moja siostra, którą tak bardzo kochałam, nie żyje. Cóż, dla mnie i dla mojej rodziny to prawdziwy cios. Za późno wróciłeś do naszego domu, Kurajszyto, i nie będziesz już tutaj panem. Nie obchodzi mnie to, że byłeś mężem Chadidży; zabiorę tę część dziedzictwa mojego ojca, która należy do mnie.

Hala odwróciła się gwałtownie do swojej siostry:

– Tak nie można! Mahomet i Chadidża byli mężem i żoną, i to on dziedziczy. Nasz ród jest bogaty dzięki jej mądrości i staraniom. Wybrała sobie tego mężczyznę, by był u jej boku, by dawał nam siłę, by był naszymi oczami na świat rozciągający się

poza pustynią. Teraz, kiedy jej zabrakło, to on nas poprowadzi.

Taija parsknęła pogardliwie.

– Ty głupia tkaczko! Przez wszystkie te lata siedziałaś tylko przy stołku Chadidży, uśmiechałaś się przymilnie i przedłaś. Mój mąż i ja zrobiliśmy tyle samo co ten chłopiec w jej służbie. To ojciec uczynił nas bogatymi! To on wznosił ten dom i dał mu siłę. Bez niego byłaby tutaj tylko szopa i stado brudnych kóz!

Hala tupnęła nogą w podłogę, pobrząkując bransoletką z małymi dzwoneczkami oplatającą jej kostkę.

– Głupia krowo! Ojciec dał nam dom i zaczątki dobrobytu; lecz to mądrość Chadidży uczyniła nas naprawdę bogatymi! Nigdy nie było wśród nas kobiety mądrzejszej od niej, nawet jeśli nie mogła urodzić syna. Widzisz go? On jest wybrankiem kobiety, która troszczyła się o nas i dbała o naszą przyszłość. Gdy żyła, ceniłaś sobie jej rady ponad wszystko. Teraz, kiedy leży martwa w domu z białych kamieni, chcesz powiedzieć, że kłamała?

Taija w milczeniu wybiegła z pokoju, pobrząkując dzwoneczkami na nogach. Po chwili z drugiej strony korytarza dobiegł huk zatraskiwanych drzwi. Mahomet patrzył przez chwilę na otwarte drzwi, a potem usiadł na krześle, opierając głowę na rękach.

Hala odwróciła wzrok, a potem przeszła do miejsca przy parapecie.

– Czy tym razem zostaniesz na dłużej? – spytała cicho. – Opowiedz mi, co wydarzyło się na północy.

– Nie – odparł Mahomet, podnosząc głowę i spoglądając na bugenwillę i jaśmin za oknem. – Ten dom mnie przygnębia.

Cykanie świerszczy odbijało się echem od popękanej szarej skały. Po kamieniu przeszły stopy obute w skórzane sandały ze srebrnymi ćwiekami. Mężczyzna około pięćdziesiątki wspinał się na skałę w palących promieniach słońca. Ubrany był w burnus z kapturem, który naciągnął na głowę. Miał mocne, wyraziste rysy twarzy, krzaczastą brodę i zakrzywiony nos. Jego ciemnobrązowe dłonie, duże i poznaczone śladami wielu bitew, chwyciły pewnie skalne krawędzie i podciągały ciało w górę. Twarz mężczyzny była ponura, dręczyły go bowiem smutne myśli.

Góra wznosiła się na skraju głębokiej i szerokiej doliny. Jej szczyt porastały tylko szare krzewy i kolczaste pnącza. Na zboczu leżały porozrzucone głazy, poznaczone głębokimi pęknięciami i szczelinami, efektem działania bezlitosnego słońca i wiatru. Nad górą zwieszało się idealnie błękitne niebo, po którym wędrowała żółta tarcza słońca. Lekkie podmuchy wiatru nie rozpraszały żaru lejącego się z nieba i bijącego od kamieni. Pod stopami mężczyzny chrzęścił żwir, a powietrze wypełnione było brzęczeniem pszczoł i muzyką świerszczy.

Mężczyzna przeszedł pod skalnym urwiskiem upstrzonym małymi kolczastymi roślinami, które okryły się właśnie białym kwieciami. W skrawku cienia rzucanego przez urwisko rósł krzew o ciemnoczerwonej korze i grubych trójkątnych liściach. Mężczyzna przeszedł przez gąszcz krzewów ciągnący się wzdłuż urwiska i wspiał na wąską ścieżkę między kamieniami. Skały na szczycie urwiska były rozpalone promieniami słońca. Stąd widział już szczyt góry, stertkę kamieni i popękanych skał. Powietrze było ciężkie i gorące niczym całun.

Stanąwszy na szczycie, spojrzał na rozciągnięty w dole świat, ogromny obszar pustyni, gór i wzgórz. Dolina poniżej góry wydawała się bardzo odległa, wypełniał ją dym z ognisk wiosek i miasta. Na ogromnej połaci nieba nie było ani jednej chmurki. Kolor olbrzymiej niebieskiej kopuły zmieniał się od białego pasa widocznego tuż nad horyzontem do głębokiego błękitu nad głową mężczyzny. Słońce zawieszona wysoko na niebie było rozpaloną plamą bieli. Pod stopami mężczyzny drzemała ogrzewana słonecznym blaskiem góra. Tutaj, na otwartej przestrzeni, wreszcie czuć było wiatr, który poruszał jego szatami. Mężczyzna stanął prosto i obracał się powoli, spoglądając na otaczający go krajobraz.

Widziana z góry ziemia wyglądała jak chaotyczna układanka płaskowyżów i głębokich wadi wyżłobionych przez letnie burze. Ze skalnych i pustynnych równin wyrastały niskie, choć strzeliste góry. Jedyne plamy zieleni widoczne w pobliżu znajdowały się na dole, w dolinie i za murami miasta. Mężczyzna odwrócił się plecami do wielkich pustynnych przestrzeni. Dolina była długa i wąska, wzdłuż jej brzegów wznosiły się wzgórza, a za nimi góry. Tu sięgała jeszcze zieleń, starannie pielęgnowana i strzeżona. Przy studniach i wzdłuż strumieni ziemię okrywały małe pola i sady. Mężczyzna spojrzał na południowy zachód, na dolinę Mekki. Kątem oka dostrzegał zieleń oazy Zam-Zam. Znajdowała się tam głęboka studnia otoczona sadzawkami i świątyniami.

Mężczyzna usiadł na wielkiej kamiennej płycie i spuścił nogi za jej krawędź.

Mężczyzna leżał na szczycie góry. Miał zamknięte oczy. Blask słońca palił bezlitośnie jego skórę, a podmuchy wiatru szarpały rękawami burnusa. Miał spękane usta, ale jego ciało, pomimo żaru lejącego się z nieba, było zimne. Obok leżała odrzucona laska, którą podpierał się w drodze na szczyt. Nawet przez zamknięte powieki widział błękitne niebo. Ukrył się w starych wspomnieniach.

Działaj!

Głowa mężczyzny obróciła się lekko, choć jego umysł wędrował z dala od ciała, a wołanie dotarło doń dopiero po dłuższym czasie. Głos zawisł w powietrzu wokół niego, dźwięczny i czysty niczym dźwięk dzwonu.

Działaj!

Mężczyzna otworzył powoli oczy, a potem odwrócił głowę, uciekając wzrokiem od bezlitosnego słońca. Poruszył ustami, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi siebie samego: zmęczonego mężczyznę bliskiego starości, leżącego na rozpalonych słońcem kamieniach na szczycie góry. Potem poczuł gorący wiatr na rękach i nogach i smak pyłu w ustach.

Działaj!

Mężczyzna uniósł się na łokciu i rozejrzał dokoła. Widział tylko skały i niebo. Na górze prócz niego nie było żadnych ludzi. Wiatr ucichł i nad ziemią zawisło nieruchome, rozgrzane powietrze.

– Kto tu jest? – szepnął ochryple.

Ja jestem. Jestem we wszystkich rzeczach. Padnij na twarz, człowiecze, i słuchaj.

Mężczyzna próbował wstać, jednak nogi ugięły się pod nim i upadł. Pochylił głowę, próbując odepchnąć się rękami od ziemi. Dłonie ześliznęły się ze skały, która skruszyła się nagle na piasek. Ostry ból przeszył mu głowę, gdy uderzył czołem o występ skalny.

– Czym jesteś? – spytał głosem jeszcze słabszym niż przed chwilą. *Posłuchaj, człowiecze, którego Pan świata stworzył z zakrzepłej krwi, czy znasz Jego wolę?*

– Kim jesteś? – Mężczyzna próbował krzyczeć, nie mógł jednak złapać oddechu.

Czy składasz hołd Temu, który uczynił wszystko, co istnieje? Czy oddajesz Mu cześć? Przyjdź do Niego, posłuchaj i poznaj Jego wolę.

Mężczyzna jęknął, wstrząsany niekontrolowanymi drgawkami.

Czy widzisz, że na świecie jest zło? Zło, które przeciwstawia się Panu świata, które bruka Jego doskonale dzieło?

W umyśle mężczyzny pojawił się obraz przeraźliwie rzeczywisty i tak świeży jak wtedy, gdy ujrzał go po raz pierwszy. Jego ciałem wstrząsnęła kolejna fala drgawek.

Ciemny kształt wszedł na skalistą równinę. Wielka armia ludzi o włóczniach błyszczących w świetle poranka otoczyła mury warowni. Mężczyzna odziany w jasną zbroję stał na szczycie wielkiej wieży z granitu. Ciemny kształt podniósł pięść, a powietrze zadrżało przeniknięte rykiem niesłyszanych dotąd słów. Człowiek na wieży nie ugiął się pod tym strasliwym dźwiękiem. Przed armią przeszedł wir kamieni, pyłu i kości. Rozrastał się coraz bardziej, aż zawisł nad warownią, a ludzi na murach ogarnął strach. Z powietrza wychynął ciemny kształt, ogromny i przerażający. Ziemia drżała pod jego stopami. Mężczyzna krzyknął do swych ludzi, by uciekali, porzucili wieżę. Było za późno. Potwór zaryczał i opuszcł pięść. Kamienne bloki większe od człowieka rozprysły pod tym ciosem niczym porcelana. Wieża zaczęła się przechylać, a mężczyzna rzucił się przed siebie, wyskoczył z budowli.

Wiatr owiał mu twarz, a potem ciało uderzyło o bruk. Ziemia znów zadrżała, a mężczyzna podniósł wzrok, by zobaczyć, jak cała wieża osuwa się na niego.

Mężczyzna zaszlochał, przejęty bólem wspomnień, które pojawiły się w jego umyśle.

Działaj! Poddaj się woli swojego Pana i walcz z tym albo twoja rasa stanie się zabawką w rękach ukrytych mocy. Działaj! Wiesz, co trzeba zrobić.

Mężczyzna zadrżał raz jeszcze, a potem znieruchomiał. Po chwili znów zerwał się wiatr, który poruszał liśćmi krzewów i nawiewał piasek na jego ciało.

PRYZSTAŃ W PHOSPHERION, KONSTANTYNOPOL

Na lewo. – Szept centuriona niósł się wzdłuż szeregu mężczyzn. Nikolas wychylił się nieco do przodu, próbując dojrzeć w gęstniejących ciemnościach początek szeregu. Z przodu widać było przyćmione światło lampy i jej odbicie w powierzchni wody. Nikolas chuchnął w zgrabiałe dłonie i naciągnął mocniej płaszcz na ramiona. Deski pokładu zaskrzypiały cicho, kiedy człowiek stojący przed nim postąpił o krok. Nikolas także przesunął się do przodu. Czuł się dziwnie i niezręcznie w podbitej korkiem zbroi, przyzwyczajony był bowiem do ciasno dopasowanej kolczugi. Miał wrażenie, że przez to okrycie jest o wiele grubszy i sztywniejszy niż zwykle.

Obok szeregu przeszedł inny centurion z insygniami królewskiej floty na ramionach. Lampa, którą niósł w rękę, oświetliła mężczyzn stojących rzędem na trapie, a także burtę trzypokładowej galery, zwanej na południu dromon, na którą właśnie wchodził. Nikolas zadrżał, kiedy owiała go zimna bryza znad wód Propontydy. Doki przystani wojskowej ukryte pod murami miasta wypełniały tysiące ludzi, którzy wchodziłi w ciszy na okręty.

Nikolas nieco zdenerwowany przeszedł pospiesznie przez trap, gdy nadeszła jego kolej, odzyskał jednak spokój, gdy tylko jego stopy dotknęły pokładu. Tutaj, na okręcie wojennym, po raz pierwszy od czterech lat pozbył się wszelkich wątpliwości i strachu. Przeszedł do przodu i rozejrzał się dokoła. Długi na dziewięćdziesiąt stóp pokład galery wypełniał się legionistami. Wysokie burty z desek obitych skórą chroniły główny pokład oraz ukryte poniżej trzy rzędy wiosłarzy. Nikolas spojrział w dół, w ciemność, z której spoglądały na niego oczy setek ludzi siedzących już na swoich ławkach. Okręt kołysał się lekko, gdy na pokład wchodziłi kolejni żołnierze.

Centurioni przeganiałi ludzi na rufę, ku tylnej nadbudówce, ustawiając ich w dwa szeregi po obu stronach wieży artyleryjskiej wyrastającej ze środka pokładu. Zapomniawszy już o dokuczliwym chłodzie, Nikolas zdjął z ramion ciężki wełniany płaszcz i zwinął go w ciasny walek. Przesunął się bliżej burty i oparł o słupek. Żeglarze ukryci pod pokładem plotkowali i sprzeczali się ze sobą. Powietrze rozgrzane przez trzysta ciał wypływało do góry, ogrzewając stojących powyżej. Nikolas ruszył naprzód po wąskim, zatłoczonym pomoście.

Żołnierze pozostający w porcie ściągnęli trap na brzeg, a marynarze wciągnęli na pokład liny cumownicze i zwinęli je w grube zwoje. Wiosłarze ucichli nagle. Przez chwilę słychać było jeszcze skrzypienie ławek, a potem na cichy dźwięk piszczałki wszyscy podnieśli wiosła. Nikolas doszedł do pomostu pierwszej wieży artyleryjskiej, gdzie znajdował się otwór w burcie statku.

Galera ruszyła powoli naprzód, holowana przez dwie długie łodzie wiosłowe,

które wyprowadzały ją z przystani. Brzeg odsuwał się powoli do tyłu, zamieniając się najpierw w rząd słabych światel odbitych w wodzie, a potem w ogromny ciemny kształt, nad którym wnosiły się światła znaczące szczyt murów. Potężne wieże obronne płonęły światłem pochodni i latarni. Szczyt każdej z nich otaczała żółta poświata; blask ognisk otoczonych mgłą unoszącą się nad zimnymi wodami Złotego Rogu. Nikolas wychylił się za burłę, wciągając w nozdrza zapach morza i wiatru.

Uśmiechnął się do siebie, zadowolony, że trafił na pokład okrętu ruszającego do walki. Łodzie odrzuciły liny holownicze i odsunęły się od dziobu galery. Pod pokładem rozbrzmiały głośnie tony fletu, a żeglarze wysunęli za burty długie wiosła. Wielkie pióra w kształcie liści zanurzyły się w wodzie, a potem w jednym tempie przesunęły do tyłu. Nikolas czuł, jak okręt pod jego stopami ożywa, i uśmiechnął się ponownie, choć tym razem był to uśmiech drapieżnika, który poczuł świeżą zdobycz. Znow rozległy się dźwięki fletu wyznaczające rytm wiosłowania, a trzystunoga bestia sunęła cicho przez ciemne wody, niczym wielki kot na polowaniu.

Wokół dromonu, ukryte w blasku nocy, płynęły setki innych galer cesarskiej floty. Podniósł się wiatr z północy, który wydał żagle okrętów wypływających z ujścia Rogu na szersze wody Propontydy. Na horyzoncie widać już było blask nadchodzącego świtu.

* * *

Pokój był mały i brudny, oświetlała go tylko jedna słaba lampa. Nikolas wszedł i usiadł; na jego twarz wypłynął szeroki uśmiech. Bawił go fakt, że ludzie, dla których pracował, uważali za konieczne ukrywanie się w tak nędznych pomieszczeniach. Większość obywateli cesarstwa nie zwracałaby na nich uwagi, nawet gdyby rozmawiali o swoich sprawach na środku Forum. Pracodawcy Nikolasa nie dostrzegali jednak absurdalności tej sytuacji. Z pewnością nie dostrzegali jej Sergiusz. Trybun był surowym i zasadniczym człowiekiem. *Cesarstwo to nasz obowiązek. Nasz obowiązek to cesarstwo.*

– Czujesz się już lepiej?

Nikolas skinął głową. Szybko wracał do zdrowia, choć po ranach na jego ciele zawsze pozostawały wyraźne blizny. Na jego plecach wciąż widać było ślady bata, pamiątkę po czasach spędzonych w skandynawskiej niewoli.

Sergiusz potarł brodę, spoglądając na arkusze papieru rozłożone na chwiejnym stoliku pod ścianą.

– W biurach jest za dużo ludzi – oświadczył trybun, spoglądając na harmonogram dyżurów. – Zostałeś przesunięty do pracy w terenie. – Przesunął jakąś karteczkę na drugi kraniec stołu. Nikolas podniósł ją i obrócił. Na odwrocie widniał rysunek

dwóch czarnych ryb.

– W flocie będą mieli jakąś dużą robotę za dzień lub dwa. Zgłoś się do nich. –
Sergiusz znieruchomiał na moment i spojrzał na Nikolasa spod ściągniętych brwi. –
Umiesz pływać, prawda?

Nikolas uśmiechnął się szeroko, odsłaniając białe zęby. Dla ludzi robiących
w legionach karierę, takich jak Sergiusz, służba na galerze była równoznaczna
z pobytem w więzieniu. Dlaczego Nikolas miałby mu mówić, że tym, którzy zasłużyli
sobie na miejsce przy wiosłach Pana Burz, spokojne, ciepłe wody Morza
Wewnętrznego przypominały większą wannę?

– Poradzę sobie. Czy to kara?

– Za co? Za to, że pozwoliłeś uciec temu łajdakowi Otholariksowi? Nikolas
wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Rzeczywiście, zmitrężył wtedy trochę czasu.
Smród i brud wielkiego miasta nie były mu miłe, nie oznaczało to jednak, że nie mógł
tu znaleźć ciekawych rozrywek. Teraz, na myśl o jeźdźcach, którzy padli w walce pod
bramą, poczuł wyrzuty sumienia. Sergiusz postukał w stół drewnianym rylcem.

– Masz dobre referencje od innych dowódców. Ja też nie mogłem skarżyć się na
twoją pracę aż do tej historii przy bramie. Jeśli spiszesz się dobrze na statku, wrócisz
do pracy na łądzie.

Nikolas skinął głową, nie potrafił jednak udawać, że przedkłada pracę na łądzie
nad miejsce na okręcie wojennym. Nim właśnie rodowe i zazdrość przegnały go
z duńskiego dworu, spędził dziesięć lat na drakkarach. Czym różniło się porywanie
lub zabijanie przeciwników cesarstwa od najazdów na wybrzeże Hibernii czy
Kaledonii? Nikolas poczuł lekki niesmak.

Mgła zaczęła się wreszcie rozstępować, przeganiana pierwszymi promieniami
słońca, a żelazny dziób okrętu wysunął się ze ściany szarości. Nikolas, oparty o burłę,
wpatrywał się w mrok. Mgła tłumiła wszelkie odgłosy, sprawiając, że plusk wiosł
zanurzanych w wodzie dochodził jakby z wielkiej odległości. Cesarska flota sunęła
naprzód w ślimaczym tempie, powstrzymywana przez ograniczające widzialność
opary.

Skandynaw odwrócił się, słysząc kroki nachodzącego żołnierza. Skinął uprzejmie
głową, kryjąc grymas niechęci. Mężczyzna był niski i krępy, miał gęste kruczoczarne
włosy sięgające ramion. W odróżnieniu od większości ludzi na statku nie nosił hełmu.
Jego oczy kryły się pod gęstymi, krzaczastymi brwiami, a skóra, choć jasna, a nawet
blada, miała nieprzyjemny ciemny odcień.

– Witam – powiedział mężczyzna, ogarniając spojrzeniem ubranie Nikolasa, jego
broń i ręce. – Jestem Władimir z Karpat, a ty?

Nikolas zmarszczył brwi i podniósł głowę, wskazując brodą na ciężką kolczugę, którą mężczyzna nosił pod tuniką z zielonej wełny. Oczka kolczugi, każde wielkości solida, przymocowane były miedzianym drutem do podbicia z twardej skóry. Ten mężczyzna z pewnością nie był żeglarzem.

– Próbowalesz w tym kiedyś pływać?

Władimir pokręcił głową, pozwalając, by biel zębów odsłoniętych w przelotnym uśmiechu rozblęła na moment w cieniu jego brody i elegancko przyciętych wąsów.

– Nienawidzę wody i staram się trzymać od niej z daleka. Słyszałem, że to źródło chorób.

Nikolas odchrząknął, tłumiąc śmiech, i wskazał głową na morze.

– Tutaj jest tylko woda. Sam zgłosiłeś się na tę wycieczkę?

– Nie, staram się unikać wszystkiego, co może grozić mi śmiercią – odparł Władimir, kręcąc głową i opierając się o burtę. Uśmiechnął się przyjaźnie. – A ty?

– Trudno powiedzieć, żebym zrobił coś, czym bym sobie na to zasłużył – mruknął Nikolas, spoglądając na morze. – Prócz walki w obronie miasta. Zamierzasz wrócić do domu, kiedy coś przydarzy się tej łajbie?

Władimir spojrział w dół i dotknął swej ciężkiej kolczugi. Jego palce były grube i powykręcane niczym korzenie drzewa wyrastającego ze skalnej szczeliny. Uśmiechnął się niepewnie, niemal nieśmiało.

– Cóż, pewnie trudno byłoby mi w tym pływać... Ale bez kolczugi czułbym się nagi.

Nikolas skinął głową i podrapał się po szyi. On także czuł się nagi bez porządnej kolczugi, lecz podbijana korkiem zbroja znacznie lepiej nadawała się do tego rodzaju zadań. Dobrze służyła wielu pokoleniom rzymskich żeglarzy, dlatego więc nie miałyby dobrze służyć i jemu.

– Znam to uczucie. Trzymaj się środka okrętu. Nikomu nie zabraknie pracy, kiedy wreszcie ta mgła się rozproszy.

Władimir skinął głową i przesunął stopami po pokładzie, szukając wygodniejszej pozycji. Przez moment przypominał Nikolasowi jelenia stojącego w głębi lasu, grzebiącego nogą w ziemi i parsającego na widok wrogiego samca. Skandynaw przechylił lekko głowę – w tym człowieku było coś dziwnego. Domyślał się, że to Rus albo Sarmata, choć nie miał rysów twarzy ludzi stepu, może więc pochodził z lasów, do których nie sięgała władza Wielkiego Chana. Odziany w ciemne szaty wydawał się równie solidny i naturalny jak kamień, w jego twarzy było jednak coś efemerycznego.

Nikolas pokręcił głową, odganiając od siebie te myśli. W tej samej chwili pokład pod jego stopami zadrżał, a podwójny dźwięk fletu nakazał żeglarzom podnieść

wiosła nad powierzchnię wody.

– Co to? – spytał Władimir szeptem.

– Persowie – odparł spokojnie Nikolas. – Ludzie arcykapłana podobno dowiedzieli się, że spróbują przepłynąć dzisiaj, w święto.

Władimir sprawdził, czy jego miecz gładko wysuwa się z pochwy. Kątem oka Nikolas dostrzegł kościaną rękojeść owiniętą czerwoną skórą i błysk starego żelaza. Sam także dotknął rękojeści Brunhildy. Z wieży wznoszącej się nad ich głowami dobiegł brzęk przesuwanych słoików. Zazgrzytał kołowrót kotwiczny. Dromon dryfował we mgle, niesiony silnym prądem Morza Ciemności. Wysoko na niebie lśnił bladopomarańczowy dysk słońca. Nikolas spojrział na nie spod przymrużonych powiek – tak, mgła musiała wkrótce ustąpić.

– Pochyl się trochę – powiedział do Władimira. – Zawsze zaczyna się od ostrzału. Na nas kolej przyjdzie później, kiedy rozpocznie się prawdziwa bitwa.

– Och. – Władimir kucnął za drewnianą burtą. – Widzę, że już to kiedyś robiłeś. Od razu pomyślałem, że wyglądasz na żeglarza.

Nikolas spojrział nań gniewnie kątem oka. Mgła już niemal całkiem zniknęła. Pochylił się, by rozwiązać rzemyki sandałów. Na morzu najlepiej walczyło się boso. Zaczął nucić pod nosem jakąś wesołą melodię.

– *Naprzód!* – rozbrzmiał okrzyk z przedniej wieży okrętu. Nikolas wychylił się za burtę, nie zwracając większej uwagi na świst strzał spadających na pokład. Morze było jasne, grzbiety fal błyszczały w południowym słońcu, gnane ostrym, zimnym wiatrem. Wiosła raz po raz zanurzały się w wodzie, a z każdym ich uderzeniem okręt nabierał prędkości. Piana fal rozbijanych dziobem okrętu spadała na marynarzy stłoczonych na dziobie. Nikolas spojrział do przodu, na rosnącą w oczach sylwetkę perskiego statku. Długi na dziewięć stóp, żelazny taran wyrastający z dziobu rzymskiego okrętu kołysał się nad wodą, uderzając od czasu do czasu w grzbiety fal. Nagle dromon wpłynął w dolinę między dwiema podłużnymi falami, a taran zniknął na moment pod wodą.

Perski okręt, gnany naprzód północnym wiatrem, zaczął uciekać przed nacierającym statkiem Rzymian. Nikolas syknął głośno, jakby chciał w ten sposób ponaglić dromon, pchnąć go na wroga. Nagle ton fletu zmienił się, a wiosła po prawej stronie okrętu zawisły na moment w powietrzu. Jednocześnie wiosła po lewej burcie uderzyły dwa razy szybciej. Dromon zatańczył na falach, skręcając gwałtownie w prawo. Persowie stłoczeni na pokładzie statku handlowego zaczęli przeraźliwie krzyczeć. Deszcz strzał wypuszczanych z ich łuków przerzedził się, a potem całkiem ustał. Marynarze w brudnych wełnianych spodniach zaczęli wyskakiwać za burtę.

Nikolas uśmiechnął się szeroko i kopnął swego towarzysza w nogę.

Władimir wstał, przytrzymując się burty.

– Zaczyna się – zawołał Nikolas, przekrzykując szum wody i plusk wiosel.

Perscy żołnierze odsuwali się od burty, do której zbliżał się wielki taran. Ich statek zsunął się nagle w dolinę między falami. Jednocześnie dziób rzymskiego okrętu wynurzył się z wody i runął w dół fali, uderzając w sam środek wrogiego żaglowca.

Nikolas odruchowo ugiął nogi w kolanach, przygotowując się na wstrząs wywołany zderzeniem. Pokład pod jego stopami podskoczył lekko, a Władimir zaklął, uderzywszy głową o burtę. Taran wbił się w sosnowe poszycie perskiego statku z przeraźliwym trzaskiem i zgrzytem, który zagłuszył krzyki Persów wyrzuconych za burtę przez siłę uderzenia. Grube deski pomostu pękały na pół, rozrzucając po pokładzie długie drzazgi; potem dromon przebił się przez perski okręt niczym topór przez zgniłą gałąź.

Nikolas zaklął i przypadł do pokładu. Fala pchnęła dromon do ataku o jedną chwilę za wcześnie – wiosła z przodu nie zdążyły się schować w kadłubie okrętu. Ponad trzydzieści wiosel z prawej burty uderzyło w perski statek i pękło z trzaskiem niczym zbyt mocno napięty luk. Dolny pokład wypełnił się nagle straszliwym krzykiem umierających ludzi. Długie na trzydzieści stóp wiosła zgniatały ludzkie ciała na miazgę. Krew zmieszana z odłamkami kości i mięsa tryskała fontannami na ściany, ławki pękały jak kruche gałązki. W jednej chwili zginęło ponad sześćdziesięciu ludzi.

Nikolas zerwał się z desek, nieczuły na krzyki ludzi uwięzionych pod pokładem. Perski statek uderzył w prawą burtę rzymskiego okrętu, a resztki wystających za burtę wiosel zaplątały się w olinowanie perskiego masztu. Statek handlowy, a właściwie jego tylna część, wypełniał się coraz szybciej wodą. Perscy żołnierze, którzy pozostali jeszcze przy życiu, pełzali po pokładzie, próbując się czegoś uchwycić. Niektórzy zniknęli już pod powierzchnią wody, ciągnięci w dół przez ciężkie zbroje.

Nikolas widział kątem oka, jak Władimir podnosi się z pokładu i staje u jego boku.

– Uważaj na nieproszonych gości – warknął Nikolas, wsuwając Brunhildę do pochwy.

– Co? – Władimir wciąż był jeszcze nieco oszołomiony po uderzeniu w głowę. – Gdzie...

Nikolas przesadził jednym susem burtę dromonu, który przechylał się coraz mocniej na prawo, ciągnięty przez tonący okręt perski. Za sobą słyszał głosy żeglarzy, ponure i odległe niczym krakanie wron wśród wzgórz Danii. Stał na najwyższym rzędzie wiosel. W tym miejscu pióro wiosła miało niemal stopę

szerokości, zwięźało się jednak niczym liść. Nikolas uśmiechnął się ponuro – tutaj przynajmniej mógł wyzbyć się obaw, że jeśli nie trafi przy którymś kroku na kolejne wiosło, zostanie obity.

Z tyłu dobiegł go pełen przerażenia okrzyk Władimira.

Ruszył biegiem do przodu, przeskakując lekko z wiosła na wiosło. Pióra wiosel zaklinowane były o perski statek, dzięki czemu Nikolas mógł się po nich poruszać. Dotarłszy do ostatniego z zachowanych w całości wiosel, zaczął przesuwac się po nim bokiem. Pokład perskiego statku, przechylony niemal do pionu, znajdował się zaledwie dziesięć stóp dalej. Nikolas wysunął nóż z pochwy przypiętej do nogi i przykucnął, balansując na dwóch równoległych wiosłach. Zakrzywione, ostre niczym brzytwa ostrze noża, wbiło się w splątane liny wiążące ze sobą oba statki. Nasączone wodą powrozy ustąpiły po krótkiej chwili pod naciskiem noża. Morze podniosło się ku niemu i opadło, pchając złamane wiosła na odeskowanie pomostu.

Nikolas ociekał potem. Ktoś krzyczał coś do niego z pokładu dromonu, Nikolas jednak nie słuchał. Po chwili nadeszła kolejna fala, a ciemne i zimne wody Propontydy okryły Skandynawa po samą szyję. Coś ciężkiego uderzyło go w bok; gdy otarł twarz z wody ujrzał dryfujące obok ciało martwego mężczyzny. Odepchnął je od siebie.

Odzyskawszy równowagę, przeskoczył na kolejne wiosło – tu splątały się liny, połamane wiosła i fragmenty perskiego masztu. Słyszał, jak za jego plecami pozostali przy życiu żeglarze wciągają do wnętrza rzymskiego statku uwolnione wiosła. Liny pod jego stopami były śliskie od krwi i ludzkich wnętrzności. Nikolas przykleknął, opierając kolano o brzuch trupa zaplątanego w liny. Nóż wbił się w grube sploty. Nikolas ciął szybko, czując, jak ciągnięty przez perski wrak dromon przechyla się coraz mocniej, a ciemna masa wody zbliża się ku otworom w jego burcie.

Kolejna lina oderwała się od splątanej masy, ciągnąc za sobą wiosło. Niemal w tej samej chwili Nikolas stoczył się do morza, dojrawszy kątem oka jakiś ruch. Zadrzał, gdy lodowata woda otoczyła nagle jego spocone ciało. Jakiś okrwawiony Pers skradał się ku niemu przez wrak. Choć nie miał zbroi, w dłoni trzymał włócznię gotową do pchnięcia. Nikolas odepchnął się od splątanej masy lin, na którą wpełzł właśnie Pers. Jego usta poruszały się w okrzyku, który jednak ginał w szumie fal. Nikolas próbował ponownie odepchnąć się do tyłu, powstrzymywały go jednak złamane wiosła wystające z burty dromonu. Pers pchnął włócznią w jego stronę.

Nikolas zanurkował pod wodę, czując, jak jej ciemna powierzchnia zamyka się mu nad głową. Przez zamuloną, niebieskoczną wodę Propontydy widział błysk ostrza włóczni, które zanurzyło się w wodzie, a potem ponownie zniknęło. Próbował zanurkować głębiej i odpłynąć od wraku, lecz podbita korkiem zbroja wypychała go

na powierzchnię. Włócznia znów zanurzyła się w wodzie, uderzając go w ramię. Zbroja zatrzymała cios, lecz jego siła wepchnęła go całkiem pod wodę i obróciła wokół osi. Próbował pochwycić zanurzony w wodzie maszt, lecz palce ześliznęły się po gładkiej, dębowej powierzchni.

Władimir przeskakiwał z nogi na nogę, z coraz większym niepokojem wyglądając za burtę. Rzymski okręt nadal połączony był z perskim wrakiem, uwolniono już jednak wystarczająco dużo wiosła, by powstrzymać przechylenie się statku i zapobiec jego zatonięciu. Rzymscy łucznicy ukryci na wieżach rozprawiali się z perskimi niedobitkami. Jednak Nikolas, który zniknął w wodzie wśród szczątków rozbitego statku, nadal nie wypływał na powierzchnię. Za wygraną nie dawał także Pers, który atakował go włócznią; wciąż klęczał na splątanych linami deskach i uderzał w wodę.

Władimir rozejrzał się dokoła; na pokładzie dromonu tłoczyli się walczący żołnierze. Dokoła wciąż toczyła się ogromna bitwa morska; setki statków ścierały się w śmiertelnych zmaganiach. Wiele spośród perskich jednostek płonęło zielonym ogniem, wyrzucanym z miotaczy umieszczonych na wieżach rzymskich okrętów. Inne próbowały uciekać w stronę Chalkedonu, lecz mniejsze i szybsze galery rzymskie osaczały je niby stado wilków. Niebo przesłoniła gruba warstwa dymu. Wydawało się, że nikt nawet nie zauważył zniknięcia Nikolasa i jego walki z perskim włócznikiem. Władimir dotknął ciężkich oczek swojej zbroi i rozejrzał się. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Przez chwilę zmagał się z samym sobą, rozważając wszystkie za i przeciw. Potem pokręcił głową i przeskoczył przez burtę. Jego ciężkie kawaleryjskie buty pośliznęły się na najwyższej warstwie wiosła. Z trudem odzyskawszy równowagę, wyprostował się i zaczął powoli przesuwac w dół wiosła. Kiedy dotarł niemal nad samą wodę, wiosło podniosło się z ciemnej wody, a Władimir przeskoczył na następne. Trafił stopą w sam środek pióra i natychmiast odbił się od niego, wykonując kolejny skok. Wiosła zaczęły się poruszać, odciągając dromon od tonącego perskiego wraku.

Władimir zachwiał się i przechylił do przodu, wymachując zamasyście rękami. Wiosło opadło ku morzu i wsunęło się pod fale. Woda zamknęła się wokół stóp Władimira, pozbawiając go całkowicie równowagi. Mężczyzna zaklął szpetnie i runął do wody. Zimne fale zamknęły się wokół niego i ciągnęły go w dół. Tymczasem wiosło zaczęło się podnosić, a Władimir podpłynął w górę i objął ramionami grube drzewce. Na moment wychynał nad powierzchnię, lecz wiosło znów zniknęło w wodzie, a on razem z nim.

Władimir trzymał się kurczowo dębowego drzewca, toteż gdy ponownie wynurzyło się z wody, zaczerpnął szybko oddechu i wyciągnął rękę w bok. Kiedy

tylko jego palce zamknęły się na sąsiednim wiosle, przerzucił ciało do przodu, uderzając z całej siły w kolejne drzewce. Stracił na moment oddech, nie wypuścił jednak wiosła z rąk. Rzymski okręt odsuwał się powoli od wraku. Marynarze odcinali zmiążdżone ciała wiosłarzy z dziobowej części okrętu od wiosel i wypychali je za burtę. Wraz z nimi do wody wpadały uszkodzone wiosła. Ciała i szczątki okrętu unosiły się na wodzie, odpychane przez fale.

Władimir przesunął się na koniec wiosła, a gdy to zanurzyło się w wodzie, wypuścił je z rąk, zatykając jednocześnie usta i nos. Woda zamknęła się wokół niego, ciężkie buty i zbroja ciągnęły go w dół, zaczął jednak mocno przebierać nogami i rękami. Splątana masa desek, lin i ludzkich ciał była coraz bliżej, dzieliło go od niej zaledwie kilka mocnych pociągnięć ramionami. Pers z włócznią odwrócił się w chwili, gdy Władimir pochwycił liny zanurzone w wodzie. Krzyknął i pchnął włócznią. Władimir odsunął się na bok, jedną ręką wciąż przytrzymując się lin. Gdy włócznia zanurzyła się w wodzie obok jego piersi, wolną ręką pochwycił jej drzewce i przytrzymał w miejscu. Pers próbował wyrwać broń z jego uścisku. Przez chwilę obaj mężczyźni zmagali się w milczeniu, wreszcie włócznia pękła na pół, a Pers, zaskoczony, stracił równowagę i runął do tyłu, znikając pod ciemną powierzchnią oceanu. Władimir wdrapał się powoli na grubą warstwę splątanych lin i odłamków desek. Tratwa zakołysała się na falach, utrzymała jednak jego ciężar.

– Nikolas! – zawołał Władimir słabym, zachrypniętym głosem. Wodę wokół niego pokrywała warstwa złożona z kawałków wiosel i masztów, rozbitych skrzyń, ludzkich ciał i gęstych plam krwi. Wyczerpany ogromnym wysiłkiem, jakim było dlań dopłynięcie do tratwy, Władimir opadł na kolana i wbił palce w splątane liny.

– Hej, Nikolas!

Tratwa zakołysała się na falach. Dromon odpływał powoli od szczątków wrogiego wraku. Perska flota wydawała się rozbita, rozdrobniona na setkę tonących lub przejętych przez Rzymian okrętów. Okręty Rzymian wyglądały jak demony wojny, olbrzymie maszyny wojenne o czerwonych, jakby skąpanych we krwi żaglach. Niebo przesłaniała warstwa dymu, zza której wyglądał czerwony krąg słońca.

– Nikolasie!

Tratwa przechyliła się raptownie, a Władimir opadł ciężko na grubą warstwę lin, odłamków drewna i ludzkich ciał. Na skraju owej gęstwiny pojawiła się okrwawiona ludzka dłoń zaciśnięta na linie. Władimir podpełznął do niej, starając się nie kołysać zbyt mocno prowizoryczną tratwą. Z wody wychynęła wreszcie głowa Nikolasa, a potem jego ramiona. Władimir pochwycił pasek przytrzymujący zbroję i pomógł mu wysunąć się z wody.

Nikolas chwycił łąpczywie powietrze i pluł wodą. Przekręcił się na plecy, wbijając palce w splątane liny i przytrzymując się ich kurczowo. Władimir odsunął

się na bok i uśmiechnął od ucha do ucha, nie zważając na długie pasma mokrych włosów przyklejone do twarzy. Nikolas wypluł resztki wody i także wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Doskonałe... ehe, ehe... posunięcie, przyjacielu. Choć mógłbym sam dopłynąć do dromonu... wiesz, jakie to łatwe w tej zbroi...

Władimir poklepał go po ramieniu, wciąż uśmiechając się głupkowato.

– Nieważne, przyjacielu. Jestem pewien, że wy, żeglarze, znacie mnóstwo różnych sztuczek, które pozwolą nam wrócić do domu.

Słońce wędrowało na zachód, przysłonięte grubą warstwą dymu, by po chwili dotknąć dachów odległego miasta. Nikolas przetoczył się z powrotem na brzuch i spojrzał na odległe co najmniej o milę żagle floty. Szczątki wraku kołysały się leniwie na falach, a z nieba zaczął powoli opadać biały popiół. Gdzieś niedaleko rozległ się nagle głośny plusk, a potem krótki, przerażający krzyk. Nikolas przysłonił dłonią oczy. Tuż pod powierzchnią wody przesunął się wielki biały kształt, potężna płetwa ogonowa uderzyła gwałtownie na boki. Po chwili zniknął w głębinie, unosząc ze sobą świeżą zdobycz.

Powietrze wypełniło się trzepotem skrzydeł, gdy nad pobożowisko nadleciało stado mew. Po chwili poplamione krwią ptaki osiadły na falach, rozpoczynając wieczorną ucztę.

– Doskonale, naprawdę doskonale.

– Proszę bardzo – odrzekł Władimir, wyciskając z włosów morską wodę.

GÓRSKIE OBSZARY TABARISTANU, PÓLNOČNA PERSJA

Mężczyzna odziany w stare szaty i brudną zbroję popatrzył w górę. Wysoko widać było wąski pasek przedwieczornego nieba. Mężczyzna jechał na kasztanowatym rumaku, nisko pochylony w siodle. Po jego twarzy i postawie widać było, że jest potwornie zmęczony; miał za sobą długą drogę. Stukot końskich kopyt odbijał się echem od urwisk okalających wąski kanion. Nad sobą widział tylko poszarpany pas błękitu. Jechał ukryty w cieniu niemal przez cały dzień, nim dotarł do tego miejsca. Po lewej stronie, poniżej drogi ze skał wypływała spieniona katarakta; huk spadającej na skały wody ginał wśród rozłożystych ciemnych sosen i szarzielonych skał.

Za mężczyzną jechał wóz ciągnięty przez zaprzęg dwunastu mułów, które z mozolem wspinały się na strome wzniesienie. Za wozem maszerowały setki ludzi – oni także byli wyczerpani ponadmiesięcznym marszem przez pustynie, góry i lasy. Koła wozu ledwie mieściły się w kanionie. Mężczyzna prowadzący pochód delikatnie ścisnął nogami boki konia, który podjął powolny marsz w górę krętej drogi. Pomimo zmęczenia mężczyzna przyglądał się uważnie skałom i krawędzi urwiska – kraina, do której właśnie wjechali, miała fatalną reputację, z powodu ogromu przelanej tu krwi.

Słońce skryło się za szczytem gór i skalnymi grzbietami na długo przedtem, nim zniknęło za zachodnim horyzontem; kanion pogroził się w ciemności. Niebo przybrało różowo-fioletową barwę, a góry oblał rozproszony, złotawy blask, który zniknął dopiero po zachodzie słońca. Mężczyzna prowadzący ściągnął wodze i podniósł rękę.

Wóz przejechał jeszcze kilka kroków i zatrzymał się. Gorące oddechy mułów zamieniały się w zimnym wieczornym powietrzu w obłoczki pary. Ciemna sylwetka leżąca na tyle wozu poruszyła się i wstała powoli. Zaszleściły szaty z czarnego jedwabiu okrywające szczupłe ramiona i szeroką pierś człowieka na wozie. Mężczyzna siedzący na koniu obrócił się w siodle i nerwowo przyglądał długie wąsy.

– Panie, mamy jechać dalej czy rozbijemy obóz na drodze? Inne, niewypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu.

– Nie, wierny Chadamesie – odpowiedział mu szept z ciemności. – Jesteśmy już niedaleko. Za tym przesmykiem otwiera się dolina. Odpoczniemy tam pośród słodkich ogrodów i bujnych traw. Jeszcze tylko trochę wysiłku, a dotrzemy do końca naszej długiej podróży.

Chadames wzdrygnął się, usłyszawszy ten spokojny, niski głos. Przez długie tygodnie wyczerpującej podróży nic nie budziło w nim takiego niepokoju, jak stały

i nieprzerwany powrót tego człowieka do zdrowia. Nie tak dawno, pod murami Miasta Jedwabiu, Palmyry, i na pustyniach Syrii ten głos był ledwie słyszalnym skrzekiem wydobywającym się z okaleczonego ciała. Ciała, które bliskie było śmierci, gdy wyciągnęli je z płonących ruin Równiny Wież. Chadames dowodził wtedy armią w imieniu swego pana Szahr-Baraza i przez krótką chwilę łudził się słodką nadzieją, że czarownik stanął już u wrót śmierci. Uklęknął jednak obok jego ciała i otworzył zlepione krwią oko, by sprawdzić, czy w dziwnej, żółtej źrenicy tli się jeszcze życie. Znalazł tam ową iskrę, a źrenica skupiła się na nim, rozrosła i zafalowała niczym grzbiet węża. Życie, które wpełzło z powrotem do zmaltretowanego ciała księcia ciemności, miało jeszcze dość mocy, by zapanować nad wolą Chadamesa i nagiąć ją do swych potrzeb.

– Tak... tak szybko? Jesteśmy już na miejscu? – wychrypiał Chadames, zaskoczony.

Z wozu dobiegł pobłażliwy śmiech dorosłego rozbawionego przez dziecko.

– Tak, Chadamesie, to jest Dolina Orlego Gniazda. Jedźmy dalej, jesteśmy już bardzo blisko.

Chadames odwrócił się i ponownie ścisnął boki swego konia, podrywając go do jazdy. Gdy chwilę później perski arystokrata wyjechał zza zakrętu, gwizdnął zaskoczony, ujrawszy przed sobą ogromną bryłę ufortyfikowanej bramy o potężnych ośmiokątnych wieżach wyrastających prosto ze skały. W ciemnościach trudno było ocenić jej wielkość, lecz blask zachodzącego słońca odbity od gór wydobywał z półmroku mur zbudowany z potężnych granitowych bloków, który zamykał wyjazd z kanionu. Wieże wznoszące się po obu jej stronach miały co najmniej sto stóp wysokości. Nad łukowatym sklepieniem bramy ciągnął się szeroki mur z blankami. Poniżej znajdowała się śluza, spod której wypływały spienione wody strumienia towarzyszącego im w drodze od dwóch dni. Woda spadała jeszcze z wysokości stu łokci, uderzając w skały poniżej. Droga znikła w ciemnościach u podstawy najbliższej wieży.

Chadames pozwolił, by koń sam przeprowadził go przez kamienne wrota. Koła wozu turkotały za jego plecami w równym tempie. Choć widział przed sobą tylko nieprzeniknioną ciemność, perski wódz jechał naprzód, ufając słowom swego pana. Po chwili znalazł się we wnętrzu tunelu niewiele szerszego od wozu. Tunel skręcał najpierw na prawo, a potem ponownie w lewo. Przy każdym zakręcie muły musiały zwalniać, a wóz ledwie się mieścił między kamiennymi ścianami. Wszystko to odbywało się w całkowitych ciemnościach. Chadames jechał powoli naprzód, trzymając rękę przy ścianie i ufając instynktowi swego konia.

Zimny wiatr, który towarzyszył mu podczas przejazdu przez tunel, nagle ustał, a Chadames uświadomił sobie, że jest już na zewnątrz, na szerokiej drodze u wejścia

do doliny. Niebo było czarne jak atrament, ciemności nie rozpraszał blask ani jednej gwiazdy. Pers wciągnął w nozdrza wilgotne powietrze – niebo zakrywały deszczowe chmury. Zjechał na skraj drogi i poczekał na wóz.

– Oto Dolina Orlego Gniazda – przemówił ponownie czarownik, gdy wóz zatrzymał się przy koniu Chadamesa. – My dwaj pójdziemy na górę, by przekonać się, jakich zniszczeń dokonał czas. Każ ludziom rozbić obóz na brzegu strumienia. Mogą rozpałcić ogniska; tutaj nie znajdzie nas żaden wróg.

Chadames patrzył w milczeniu na wóz, w którym od wrót Palmyry wieźli długą trumnę ze złota i ołowiu owiniętą starannie linami i łańcuchami. Wciąż dręczył go obraz zimnych żółtych oczu. Wydawało mu się nawet, że wisiały w powietrzu jeszcze chwilę po tym, jak ciemna sylwetka czarownika oddaliła się od niego.

Pers westchnął i sięgnął do lampy podróźnej zawieszanej na łęku jego siodła. Tej nocy mogli przynajmniej obozować przy świetle.

* * *

Nim Chadames wyjechał z obozu na drogę ciągnącą się wzdłuż strumienia, na niebie pojawił się już księżyc. Przez chwilę oblewał srebrnym blaskiem poszarpane górskie szczyty otaczające dolinę, wkrótce jednak zniknął zakryty chmurami. Przez ten krótki czas Chadames przekonał się, że dolina jest rozległa i żyzna, widział kępy wysokich drzew i rozległe łąki. Ze wszystkich stron otaczały ją ogromne skalne urwiska, a jedynej drogi dostępu broniła brama, przez którą wjechali. Chadames postawił tam straż, gdy tylko ostatni z jego ludzi znalazł się w dolinie. Czarownik twierdził, że nikt nie mógł przedrzeć się za nimi przez góry, lecz perski generał wcale nie był tego taki pewien. Tam gdzie przeszedł jeden człowiek, mogli przejść inni.

Z dwudziestu tysięcy ludzi, którzy szturmowali mury Palmyry trzy miesiące wcześniej zostało zaledwie pięciuset szesnastu – tylu doliczył się Chadames przy wejściu do doliny. Każdy z nich był krańcowo wyczerpany długą podróżą. Chadames zastanawiał się, co właściwie ich tutaj przywiodło. Niektórzy szli za nim, wierni swemu dowódcy do samego końca. Innych pociągała straszliwa moc ciemnego księcia – tych Chadames obserwował szczególnie uważnie, przyszli bowiem z pustyni, by przyłączyć się do nich podczas ucieczki z Syrii. Jeszcze inni, tacy jak najemnicy z Uze, służyli w ochronie księcia od czasu wielkiej bitwy pod Emesą, i zadowoleni z żołdu najwyraźniej nie chcieli zmieniać tego układu. Pozostali uciekli w ciemność podczas marszu lub dezercerowali całymi oddziałami, gdy tylko armia przechodziła obok jakiegoś miasta. Niektórzy zmarli podczas długiej i wyczerpującej podróży, a ich ciała spoczęły w bezimiennych grobach. Chadames podniósł lampę podróźną, oświetlając ciągnącą się przed nim drogę, i ruszył w górę doliny.

Rozstawiając strażę przy bramie, miał dość czasu, by zauważyć, że zarówno potężne wieże, jak i łączący je mur zostały opuszczone przed wielu laty. W szczelinach między potężnymi głazami rosły karłowate drzewa, pod murami zgromadziła się gruba warstwa liści i ziemi. Ogromne wrota z dębowych belek okutych żelazem połączonych stalowymi nitami stały otworem od niepamiętnych czasów; trzeba było ogromnej siły, by ruszyć je z miejsca i obrócić na zardzewiałych zawiasach.

Także droga, choć zbudowana w solidnym rzymskim stylu i zaopatrzona w rynsztoki po obu stronach, była już mocno zniszczona. Pierwszy most nad strumieniem był niemal całkowicie zrujnowany. Chadames musiał zejść z konia i przeprowadzić go powoli na drugą stronę. Nie miał pojęcia, jak księżę ciemności przejechał tędy wozem, choć przyzwyczał się już, że ta istota potrafi dokonać wielu niezwykłych rzeczy. Za drugim mostem droga zaczęła się powoli pięć w górę. Nocne powietrze było nieruchome, wyciszone, a nawet nieco duszne, co trochę zdziwiło Chadamesa, pamiętał bowiem silny wiatr wiejący w tunelu pod bramą. Droga wspinała się na długie zbocze, wzdłuż którego ciągnął się długi szereg kamiennych pylonów. **W blasku lampy Pers** dostrzegł rdzawe ślady po umocowanych w kamieniu żelaznych pierścieniach, przez które niegdyś zapewne przeciągnięty był łańcuch.

Droga zataczała szeroki łuk i wciąż wspinała się w górę zbocza. Za kolejnym zakrętem otwierał się widok na szeroki krąg wyłożony starannie dopasowanymi kamieniami i płytami. Ludzie, którzy zajmowali niegdyś tę ukrytą przed światem dolinę, musieli być świetnymi kamieniarzami i konstruktorami. W miarę jak kręta droga wznosiła się coraz wyżej i wyżej, powietrze stawało się coraz zimniejsze, a dokuczliwy chłód zaczął przenikać przez ubranie Chadamesa. Generał ubrał się ciepło na tę wyprawę, wiedział bowiem, że góry Iranu i Tabaristanu są bezlitosne dla lekkomyślnych wędrowców, którzy padają ofiarą chłodu i niespodziewanych burz. Wydawało mu się, że właśnie teraz w otaczającym go powietrzu rodzi się burza, jej zimne macki sięgały pod ubranie i ścisnęły go za szyję. Czuł też, że tuż nad jego głową zawisł jakiś ogromny ciężar ukryty w ciemnościach nocy.

Ostatni fragment drogi, wykuty w litej skale, kończył się wąską kamienną platformą zawieszoną na krańcu stromego zbocza. Podpierały ją potężne pylony, wyrastające z ciemności poniżej i oplatające jej krawędź niczym olbrzymie palce. Chadames zatrzymał konia i spojrzał do tyłu w ciemną głębię doliny. Daleko w dole migotały ogniska jego ludzi, maleńkie niczym świetliki. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach, gdy uświadomił sobie, jaka odległość dzieli go od tamtego miejsca – gdyby stał tutaj za dnia, z pewnością zakręciłoby mu się w głowie. Odwrócił się.

Z ciemności wyrastała brama wyciosana w skalnym zboczu. Miała ponad czterdzieści stóp szerokości i pięćdziesiąt wysokości, a strzegły jej wyrzeźbione w kamieniu posągi. Dwie potężne klamry utrzymywały portal w całości. Na ich powierzchni wykuto jakieś znaki i symbole ułożone w krąg otaczający centralny symbol Wiecznego Płomienia. Z obu stron bramy wyrastały postacie kamiennych ludzi – ich ciała tworzyły boczne krawędzie wrót, a splecione ze sobą ramiona – nadproże. Ich twarze ginęły w ciemnościach, gdzie nie mogło ich dosięgnąć słabe światło lampy Persa. U podnóża bramy leżał jakiś kształt okryty peleryną z czarnego jedwabiu.

Chadames pobladł, zrobiło mu się słabo. Płomień patrzył nań z żółtego kręgu światła rzucanego przez lampę. Wydawało się, że nawet w tym miejscu, choć wykuty w kamieniu, porusza się i skacze, rozsiewając dokoła ostry blask. Generał odruchowo podniósł prawą rękę, by uczynić znak Pana światła, powstrzymał się jednak i położył ją z powrotem na łęku siodła. W jego pamięci odżyły krzyki ludzi umierających w bólu i smród płonących ciał.

Skoro tak bardzo kochasz ogień, przemówił przerażający głos, będziesz go miał.

Czarownik nie przyzwalał na to, by jego ludzie, jego pomocnicy, nawet jego generałowie, kierowali się naukami proroka Ahura Mazdy, tego który rządzi wszechświatem w świetle. Chadames nie próbował mu się sprzeciwić w tej kwestii, szczególnie po rzezi w świątyni w Surze. Każdy, kto jechał u boku tej istoty ciemności, jechał z dala od światła Łaskawego.

Pers zeskoczył z konia i omal nie stracił równowagi, gdy nogi lekko ugięły się pod nim. Teraz, kiedy dotarli już do celu, jego ciało – tak długo podtrzymywane tylko siłą woli – zaczęło się buntować i domagać snu, jedzenia, odpoczynku, a nawet kąpieli. Nie zważając na te niepokojące sygnały, Chadames podszedł do ciała leżącego u podnóża ogromnej bramy. Spod peleryny wystawały buty z wytłaczanej skóry.

Generał klęknął i ostrożnie obrócił ciało na plecy. Głowa czarownika opadła bezwładnie na bok, żółte oczy wpatrywały się w pustkę. Jego niegdyś wyrazista twarz wydawała się teraz zwiotczała i martwa, lecz spomiędzy białych zębów wciąż wydobywał się słaby oddech. Chadames odsunął na bok ręce czarownika, a poczuwszy na nich wilgoć, oświetlił je lampą. Przez chwilę patrzył na nie zdumiony; były mokre od łez.

Uze odziani w grube futra, spod których wyglądały lśniące zbroje, wstali jak jeden mąż, kiedy Chadames wjechał z powrotem do obozu. Ich filcowe namioty, przycupnięte niczym ropuchy, otaczały szerokim kręgiem wielką jurtę czarownika.

Każdej nocy podczas długiego marszu z Syrii rozbijali najpierw namiot księcia, a potem otaczali go własnymi namiotami. Tagaj, szczerbaty wódz Uze, wyszedł przed szereg swoich ludzi i sięgnął po bezwładne ciało czarownika, które podał mu Chadames. Jego grube ramiona, pokryte potężnymi splotami mięśni i starymi bliznami, bez trudu uniosły ten ciężar. Pers zsiadł z konia i gestem nakazał Tagajowi, by zaniósł ciało do namiotu. Pozostali Uze otoczyli go ciasnym kręgiem.

– Idź – warknął Chadames w narzeczu barbarzyńców z północy. – Przyprowadź tu po kolei wszystkich ludzi, którzy są w obozie, jednego po drugim. Jeśli ktoś odmówi, powiedz, że to mój rozkaz. Jeśli odmówi ponownie, powiedz, że taka jest wola naszego pana. Jeśli nadal nie będzie chciał przyjść, zabij go.

Pers czuł, jak przenika go dziwna gorączka. Kręciło mu się w głowie, wiedział jednak, że mimo strachu musi wykonać swój obowiązek i dochować wierności wodzowi, któremu przysięgał służyć. Część jego umysłu, która wciąż pamiętała słowa starego kapłana ognia z jego rodzinnej wioski, nakazywała mu poderżnąć gardło człowieka leżącego przed nim na miękkich poduszkach. Przypomniawszy sobie jednak jasne oczy innego człowieka, którego uważał za swego prawdziwego pana i przyjaciela – generała Szahr-Baraza.

„Zostawiam go tutaj, by cię wspierał, Chadamesie – rozbrzmiało w jego uszach echo głosu największego generała, jakiego kiedykolwiek znał. – Lubi jednak działać na własną rękę, więc pilnuj go jak narowistego konia! Jeśli ten fanfaron i fircyk Szahin będzie chciał odebrać ci władzę, on stanie po twojej stronie. Zobaczysz, jak wtedy wielki książę będzie skamlał ze strachu! Powierzam cię jemu, a tobie jego i tę wielką armię. Wypełniaj swe obowiązki względem Króla Królów, stary przyjacielu”.

Chadames zamrugał powiekami, przeganiając łzy. Z relacji, które doń docierały, wynikało, że królewski Odyniec zginął nad rzeką Kerenos, gdzie jego armia została pokonana przez Rzymian. Nie żył już także Król Królów, zabity przez rzymskich cesarzy w ruinach Ktezyfonu, królewskiej stolicy nad Eufratem. Chadames zastanawiał się, czy za tym odległym górskim pasmem istnieją jeszcze choć resztki imperium. Po upadku królewskiej siedziby, śmierci szachinszacha i rozbiciu armii nie było już komu rządzić imperium. Generał opadł ciężko na krzesło. Czuł, że znów ogarnia go ogromne zmęczenie i że lada moment zaśnie.

Wstał ponownie, przetarł oczy i podszedł do łóżka, na którym Tagaj złożył czarownika. Chadames przyglądał się przez chwilę jego blademu obliczu. Tak, pomyślał, dokładnie tak jak poprzednio. Przecenił własne siły, zmagając się z tym kamiennym łukiem i symbolem ognia.

Generał podniósł wzrok na Tagaj a, który przykucnął po drugiej stronie łóżka. Na

kolanach barbarzyńcy leżał lśniący zakrzywiony miecz. Chadames wskazał głową na stertę bagaży ułożonych pod ścianą namiotu.

– W jego rzeczach jest krzemienny nóż. Znajdź go.

Tagaj skinął głową i wstał, by wykonać polecenie. Chadames uniósł powiekę czarodzieja. Żółta źrenica drgnęła lekko i odwróciła się, uciekając przed blaskiem lampy olejowej zawieszanej pod sklepieniem namiotu.

– Więc jednak wciąż żyjesz. – Pers westchnął ciężko i potarł twarz. Jego broda i wąsy porośnięte były brudem długiej drogi. Obowiązek każe, honor służy. Stare przysłowie z czasów jego młodości.

Wrócił Tagaj, który z nabożną czcią trzymał w dłoni wąski nóż z lśniącego czarnego krzemienia. Lekko zakrzywione kamienne ostrze musiało być już bardzo stare, gdyż liczne paski skóry oplatające rękojeść broni zlepione były potem i krwią. Chadames pewnie ujął nóż, nie przejmując się przesadami, które budziły niepokój barbarzyńskiego wodza. Obrócił broń w dłoni. Wydawała się bardzo ciężka w stosunku do swoich rozmiarów, a jej nierówne ostrze pobłyskiwało dziwnie w blasku lampy. Pers podniósł wzrok i zobaczył strach w oczach starego Uze.

– Przyrowadź pozostałych – mruknął generał i poprawił głowę leżącego, odchylając ją lekko do tyłu. Rozchylił usta czarownika i przybliżył do nich kawałek jedwabiu. Oddech księcia ciemności był słaby i nierówny. Tagaj wymknął się z namiotu, lecz Pers nawet tego nie zauważył. Odgarnął do tyłu ciemne włosy chorego, odsłaniając bladą, ściągniętą bólem twarz. W innych okolicznościach mógłby uznać czarownika za przystojnego – miał orli nos i wysokie kości policzkowe tworzące szlachetny profil. Teraz jednak ani trochę go to nie obchodziło; myślał jedynie o wypełnieniu swego obowiązku i ratowaniu honoru.

Odsunęły się drzwi namiotu, a do środka weszli jacyś ludzie. Chadames odwrócił się i zmrużył oczy, ujrzawszy dowódców swoich pododdziałów. Byli rozgniewani – Uze nie służył raczej z uprzejmości – i trzymali dłonie na rękojeściach mieczy. Chadames wstał, obracając w dłoni kamienny nóż.

– Mirza. Chodź tutaj i odsłoń przedramię.

Jasnowłosy Chorasanczyk, który służył pod wodzą Chadamesa i Szahr-Baraza od ponad dwunastu lat, podczas których wziął udział w dziesiątkach kampanii i bitew, posłusznie wystąpił o krok do przodu, na jego twarzy malował się jednak gniew i podejrzliwość. Chadames odsunął się na bok, ukazując mu nieruchome ciało czarownika.

– Tak – powiedział generał, potwierdzając niewypowiedziane przypuszczenia wszystkich wodzów. – Znów jest ciężko ranny, być może nawet ciężiej niż po bitwie na Równinie Wież. Musimy go ratować.

– Dlaczego? – W głosie Mirzy tliły się nutki buntu, a jego oczy wypełniała zimna wściekłość. – Znowu mamy poświęcić naszych ludzi? Oddać ich krew? Zabił już tylu spośród nas.

Chadames skinął głową, zachowując godny podziwu spokój.

– To surowy pan, a śmierć kroczy u jego boku niczym wierny pies. Boicie się go?

– Tak – odparł Mirza bez zastanowienia. – I wszyscy chętnie byśmy się go pozbyli; dość już sprowadził na nas nieszczęść. Wiemy, że musisz mu służyć, bo przysięgłeś Odyńcowi stać u jego boku. My wypełniamy twoje rozkazy, ale czy nawet honor nie ma granic?

– Czy twój honor je ma? – spytał Chadames lodowatym tonem. Wyprostował się i ogarnął spojrzeniem stojących przed nim mężczyzn. Za ich plecami dostrzegł Uze tłoczących się przy wejściu do namiotu. – Wszyscy przysięgaliśmy wierność i posłuszeństwo Królowi Królów. Czy teraz chcecie tę przysięgę złamać? Czy zapomnieliście o własnym honorze?

– Nie – warknął Mirza, nie spoglądając nawet na gniewne oblicza swych towarzyszy. – I do czego nas to doprowadziło? Wielki król Chosroes nie żyje, a wraz z nim jego żona i dzieci. Nie ma dziedzica! Baraz także nie żyje, a przeklęty Rzym obrócił całe imperium w perzynę. Ukrywamy się w górach jak żebracy, wypełniając polecenia tego sługi ciemności. Dlaczego z tym wreszcie nie skończyć? Wytnijmy mu serce i spalmy je w ogniu Pana Światła. Wtedy będziemy mogli wreszcie wrócić do domu!

Chadames pokręcił głową i przeszedł powoli między swymi ludźmi, spoglądając po kolei w ich twarze. Gniew wypełniający namiot osłabł, przycichł. Generał powrócił do łoża chorego, uklęknął i obrócił głowę czarodzieja twarzą w stronę swych podwładnych. Potem podniósł na nich wzrok.

– Czy pamiętacie swoje przysięgi? Te, które składaliście domowi Sasanidów, przed Królem Królów tego wietrznego dnia w Ktezyfonie, gdy zwycięstwo należało do nas, Człowiek z Drewna został obalony, a prawowity król zajął jego miejsce na tronie? To były potężne przysięgi, składane przed imperium i człowiekiem, który je przywrócił, Chosroesem. Pamiętacie tamten dzień? Byłeś tam Mirzo u mojego boku, i ty Perozie, i ty Isfandiarze. Ja pamiętam, co przysięgałem tamtego dnia. Czyżbyście wy już zapomnieli?

– Nie – odparł Mirza w imieniu pozostałych. – Lecz jakie to teraz ma znaczenie? Wszystko, czemu przysięgaliśmy wierność, leży w ruinach, nie żyje, zostało rozrzucone na cztery wiatry. Zostały tylko wspomnienia, które z czasem także zginą, wyparte przez okrutny Rzym.

Nie – rzekł Chadames z mocą, podnosząc się z klęczek. – Dom Sasanidów wciąż

żyje, ukryty przed oczami świata, i któregoś dnia znów wstanie, a my mu w tym pomożemy, uczynimy go silnym. Podejdź tu.

Mirza stał nieruchomo na szeroko rozstawionych nogach, uparty i gniewny. Generał spojrział mu w oczy. Przez chwilę obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, wreszcie Mirza pokręcił głową i uczynił krok do przodu. Chadames pochylił się i szepnął mu coś do ucha. Mirza zeszywniał zaskoczony, lecz dłoń generała pochwyciła szybko jego przedramię i unieruchomiła je w żelaznym uścisku. Błysnęło ostrze czarnego noża i polała się krew.

Mirza krzyknął. Uze stojący przed namiotem uśmiechnęli się w ciemnościach.

Chadames siedział na stołku przy wąskim łóżku. Minął kolejny dzień, a słońce schowało się za zasłonę gór. W dolinie zapadły ciemności rozpraszane blaskiem lamp i ognisk rozpalonych przez małą armię. Żołnierze piekli nad ogniem kozy, które schwytali w kanionie nad obozowiskiem. Chadames obawiał się, że wkrótce będą musieli opuścić dolinę, by uzupełnić zapasy żywności.

Pers westchnął ciężko i podrapał się za uchem, spoglądając na ciało czarownika, który leżał w bezruchu od jedenastu dni. Żołnierze odzyskali już trochę sił, co oznaczało, że przymusowa beczynność wkrótce zacznie im dokuczać. Generał zastanawiał się właśnie, jak temu zapobiec, gdy z rozmyślań wyrwało go głośnie stukanie. Rozejrzał się dokoła i zobaczył, że lewa noga czarownika drga i uderza o krawędź łóżka. Chadames pochylił się i sprawdził tętno na szyi chorego.

Oczy czarownika otworzyły się powoli, oślepione nieco blaskiem lamp. Przez chwilę patrzyły tępo przed siebie, potem obróciły się ku Chadamesowi i pojawił się w nich cień zrozumienia. Żółte źrenice zadrżały; jeszcze raz przykryte na moment powiekami, a potem pojawiła się w nich pełna świadomość.

– Jak długo? – wychrypiął czarownik, wbijając wzrok w Chadamesa.

– Prawie dwa tygodnie – odparł generał, podnosząc miedziany kubek i przystawiając do ust mężczyzny. Czarownik pociągnął łyk rzadkiego czerwonego płynu i uniósł brwi zaskoczony.

– Tym mnie poieś? – spytał głosem, który był tylko wspomnieniem jego zwykłej mocy. – Jesteś dla mnie zaskakująco dobry, wierny Chadamesie.

Generał spojrział prosto w żółte źrenice czarownika, nie okazując żadnych emocji. Zrobił to, co uważał za konieczne.

– Zadziałało poprzednio, pomyślałem więc, że spróbuję i teraz. Jak się czujesz?

Czarownik roześmiał się słabo, a jego głos wydał się generałowi zaskakująco ludzki.

– Jak ktoś, kto stanął u wrót śmierci... Jestem ci ogromnie wdzięczny, generale. Musiałeś postąpić wbrew sobie, poświęcając życie swych ludzi.

Chadames pokręcił powoli głową.

– Nikt dla ciebie nie umarł, panie. Ty tak postępujesz, nie ja. – Odsunął rękaw zielonej koszuli w czerwone pasy, w którą był ubrany, odsłaniając przedramię. Na nadgarstku widniała szeroka, poprzeczna blizna. Była poszarpana i czerwona, wyglądało jednak na to, że goi się prawidłowo. Obrócił rękę tak, by czarownik mógł ją zobaczyć. – Staralem się dotrzymywać przysięg, które złożyłem Królowi Królów, czarownikowi. Żadna z nich jednak nie mówiła, że muszę patroszyć swych ludzi i ofiarować niebiosom ich serca, by przywrócić ci moc. Czerpiesz siłę z ludzkiej krwi, więc daliśmy ci jej tyle, byś mógł przeżyć. Każdy oddał jednak tylko drobinę, by samemu zachować siły i życie.

Czarodziej zamrugnął powiekami, zaskoczony jadowitym tonem głosu generała, a potem podniósł powoli rękę, by dotknąć jego przedramienia. Przeciągnął palcem wzdłuż blizny, a potem opuścił rękę na koc, którym był okryty. Zamknął oczy i przez długi czas leżał w bezruchu. Potem, gdy generał miał już wstać i wyjść z namiotu, otworzył je ponownie.

– Jak to zrobiłeś? – wychrypiał.

– Krzemienym nożem z twoich bagaży – odparł Chadames. – Pamiętałem, co robiłeś poprzednio, więc wydawało mi się, że tak będzie najlepiej.

– Ilu ludzi oddało swoją krew?

Chadames spojrzał na czarownika spod ściągniętych brwi, lecz jego oczy znów były zamknięte, jakby zapadł w sen.

– Nie wszyscy. Kilku stało na straży albo poszło na zwiady, kiedy zwoływałem ich do tego namiotu. W sumie było ich około pięciuset.

– Pięciuset... – Czarownik wypuścił powoli powietrze. Potem znów otworzył oczy i pochwycił Chadamesa za rękę. – Jestem więc twoim dłużnikiem, generale. W tej kwestii okazałeś się znacznie mądrzejszy ode mnie. Powiem ci coś... – Czarownik umilkł na chwilę, jakby ważąc słowa, a kiedy przemówił, jego głos wyraźnie przybrał na sile: – Nadejdzie kiedyś dzień, i to wkrótce, gdy ten znak, ta blizna po starym nożu, będzie znaczyć więcej niż całe królestwa. Nie zapomnę ani ciebie, ani tych pięciuset, którzy przyszl mi z pomocą, kiedy leżałem tu bliski śmierci.

Czarownik usiadł nagle i zsunął nogi z łóżka, wprawiając Chadamesa w zdumienie. Wydawało się, że nagle odnalazł w sobie pokłady nieograniczonej energii – słabość i zmęczenie opadły zeń niczym stary płaszcz. Generał także podniósł się z miejsca, choć znacznie wolniej, gdyż nie widział żadnego powodu do pośpiechu. Książę ciemności spojrzał na niego oczyma, do których powróciła dawna moc.

– Sprowadź tu tych szesnastu, którzy nie oddali dla mnie krwi. Pójdziemy jeszcze raz do bramy w górach. Nikt inny – ty, tych szesnastu i ja. To wystarczy. –
Czarownik wstał i wyszedł z namiotu, odziany jedynie w cienką tunikę i spodnie.

Chadames nie był pod wrotami zdobionymi symbolem ognia od czasu, gdy znalazł tam ciało czarownika. Teraz znów wspinał się krętą drogą i choć tym razem czynił to za dnia, znów miał wrażenie, że otacza go jakaś tajemnicza niewidzialna siła. Na krańcu doliny, gdzie droga wycięta była już w litej skale, wznosił się szczyt z czarnego kamienia. Otoczony jednostajną szarością przy ciągał wzrok wszystkich, którzy tędy przechodzili, choć Chadamesowi wydawał się dziwnie niewyraźny i bezkształtny. Otaczała go mgła, która przez cały czas wisiała nad doliną. Pod chmurami krążyły czarne kropki – kruki lub wrony. Na wielu niższych wzniesieniach widać było elementy wzniesione ludzką ręką – mury i platformy wyrastające ze skalnych zboczy. Z wnek wyglądały długie wąskie okna, a wysoko, niemal pod chmurami widać było łukowate sklepienia.

Poniżej, w cieniu bramy, Chadames dojrzał kucającego czarownika. Szesnastu ludzi, którzy jechali z generałem, zatrzymało się i czekało, aż ich dowódca zsiądzie z konia. Chadames przykazał czterem z nich, by spętali konie, a potem podszedł wraz z nimi do czarownika. Książę ciemności klęczał przy bramie; prawą dłoń trzymał na zimnej powierzchni kamienia, rozłożywszy szeroko palce. Znów był odziany w kruczoczarne szaty, od których odcinała się tylko złota bransoleta na jego rękę i czerwone sznurowania butów. Generał zatrzymał się w odległości dziesięciu kroków od czarownika i czekał. Jego ludzie uczynili to samo.

Po chwili czarownik wyprostował się i odwrócił do Persa.

– Wszyscy już są? Dobrze. Generale, proszę to wziąć.

Czarownik podał Chadamesowi małe gliniane naczynie wypełnione jakąś czarną mazią.

– Nie tak dawno – mówił czarownik, stając pośród żołnierzy – nie było was w obozie w czasie, gdy odbywał się rytuał ratujący moje życie. Ci, którzy byli wtedy przy mnie, którzy pozwolili mi żyć, zdobyli sobie mój szacunek i wdzięczność. Wy, ze względu na różne obowiązki, nie mogliście wziąć udziału w tym... błogosławionym wydarzeniu.

Żołnierze, wśród których byli Lachmidzi, Arabowie, Baktrowie i Persowie, przyglądali się czarownikowi podejrzliwie. Nie słyszeli nic o wydarzeniach tamtej nocy, bo Chadames zmusił wszystkich obecnych wówczas w obozie do zachowania tajemnicy.

– Chadamesie – kontynuował książę ciemności – weź farbę i naznacz każdego z tych ludzi tym znakiem. – Czarownik rozchylił koszulę, ukazując dziwny znak

przypominający trójkąt o zaokrąglonych rogach wymalowany na jego piersiach.

Generał wahał się przez moment, mierząc czarownika podejrzliwym spojrzeniem, wreszcie pokręcił głową. Jeśli ta istota chciała im wyrządzić jakąś krzywdę, nie potrzebowała do tego specjalnych rytuałów. Podeszedł do pierwszego z brzegu mężczyzn i wymalował podobny znak na jego czole. Lachmida zmarszczył nos z obrzydzeniem – farba była gęsta i śmierdząca. Chadames cofnął się o krok, przyjrzał krytycznie swemu dziełu, a potem przeszedł do następnego żołnierza. Gdy skończył, czarownik siedział na skrzyżowanych nogach pośrodku kręgu złożonego z jego ludzi.

– Generale – przemówił czarownik. – Odprowadź konie za najbliższy zakręt. Narobimy tu trochę hałasu, a nie chciałbym ich przestraszyć.

Chadames skinął głową zaskoczony, posłusznie jednak rozpętał konie i przywiązał do jednej liny. Potem pogłaskał je po chrapach i cmoknął na swojego ogiera, by poprowadził je w dół zbocza. Gdy szedł w dół drogi, słyszał śpiewny głos czarownika, nuącego jakąś formułę. Nim dotarł za najbliższy zakręt i przywiązał wszystkie konie do wielkich pylonów wyznaczających krawędź wybrukowanego obszaru, dziwny śpiew wypełniał już otaczające go powietrze niemal namacalnym drżeniem.

Chadames odwrócił się, by spojrzeć w stronę bramy, i poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Upadł na kamienie, sparaliżowany i osłabiony.

Śpiew czarownika wypełniał cały świat, odbijał się echem od odległych szczytów i urwisk otaczających dolinę. Błękitna błyskawica rozdarła powietrze i prześliznęła się po krawędzi czarnego wierzchołka, by rozszcześcić się na płachty białego i czerwonego światła wędrujące od kamienia do kamienia. Wokół bramy zapłonął nagle czerwony blask, którego źródło niewidoczne było dla oczu oszołomionego Chadamesa. Chmury wirowały wokół czarnego szczytu, zerwał się wiatr, który szarpał ubraniami generała leżącego na kamiennym półkolu. Rozległ się ogłuszający grzmot, a potem na ciemnym niebie pojawiła się pomarańczowożółta błyskawica przeskakująca z chmury do chmury.

Później wir powietrza odsunął się powoli od szczytu, odsłaniając wieżę wykutą z kamienia. Potężna forteca złożona niemal z samych łuków, kolumn i wykuszy, sięgała samego nieba, które nagle przybrało zielonoczarne odcień.

Chadames krzyknął, oślepiony czerwoną błyskawicą, która wystrzeliła z kamiennej bramy.

Potężny grzmot zatrzęsł posadami gór. Konie rżały przerażone, próbując zerwać się z uwięzi, potem padły na ziemię powalone podmuchem wiatru pędzącego od samego szczytu. Huragan przygniótł Chadamesa do ziemi, wcisnął jego twarz

w kamień. Generał poczuł w ustach smak krwi, potem przeszył go ostry ból. Wiatr przyginał do ziemi drzewa w dolinie, wyrzucał wodę ze strumieni i stawów. Z dłoni i mieczy żołnierzy strzelały błękitne iskry. Ludzie rzucali się na ziemię, przejęci paraliżującym strachem.

Straszliwy trzask, głośniejszy nawet od tego, który rozbrzmiał chwilę wcześniej, przeniknął do wnętrza ziemi. Konie padły bez życia na ziemię, a Chadames stracił resztki świadomości. Oślepiający czerwony blask zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił.

Zgrzyt kamieni trących o kamień dało się słyszeć nawet w odległym o ponad milę obozie. Żołnierze, którzy nosili na nadgarstkach świeżo zasklepioną bliznę, padli na kolana i skłonili głowy przed ciemną górą, która ukazała się wreszcie w całej okazałości nad doliną. Niektórzy z nich radowali się głośno, inni płakali ze strachu, czując, jak resztki ich starej wiary bezpowrotnie więdną i umierają.

Chłodny dotyk kamienia wyrwał Chadamesa z nieświadomości. Było mu zimno, bardzo zimno. Gdzieś w pobliżu kapąła woda. Próbował poruszyć głowę, znieruchomiał jednak, gdy straszliwy ból przeszył mu skronie. Próbował przełknąć ślinę, ale okazało się, że ból przeniósł się niżej, do gardła. Kiedy wreszcie udało mu się otworzyć powieki, zobaczył, że leży na łożu z kamieni, osadzonym w ścianie wielkiej komnaty. Przez chwilę widział plamy światła tańczące przed jego oczami, w końcu jednak skupił wzrok i przekonał się, że owe plamy światła to pochodnie umocowane na ścianach. Potem usłyszał jakieś grzechotanie i krzyki. Zamknął oczy, próbując zebrać siły.

– Tutaj, moi wierni słudzy! – Znał ten głos, wypełniony teraz radością i wyczekiwaniem.

Rozległ się głośny brzęk, a potem zgrzyt metalu o kamień. Chadames ponownie otworzył oczy, czemu tym razem towarzyszył znacznie mniejszy ból. W jednej ze ścian komnaty otworzyły się szerokie drzwi, a do środka weszła grupa jego ludzi – rozebranych do pasa i spoconych – którzy ciągnęli za sobą wielką trumnę ze złota i ołowiu. Generał przekręcił się na bok. Do komnaty wkroczył czarownik tryskający energią i siłą.

– Na podest, moi przyjaciele. Tak, złóżcie to tutaj.

Trumna wsuwała się do komnaty po trochu, czemu towarzyszyły steki i posapywania ciągnących ją ludzi. Wreszcie wsunęła się na drewniane belki prowadzące na kamienny podest osadzony w ścianie komnaty. Nad podestem wznosiła się wykuta w kamieniu kopuła z trójkątnymi oknami. Za oknami widać było gnane wiatrem chmury i ścianę deszczu. Z dala dobiegł przytłumiony grzmot. Dzięki połączonym wysiłkom ponad trzydziestu ludzi trumna spoczęła na podeście.

Czarodziej wyglądał na wyjątkowo zadowolonego. Stał przy trumnie i gładził jej powierzchnię.

– Wkrótce, mój drogi, znów poczujesz dotyk życia...

Chadames zamknął oczy i odwrócił głowę; słyszał tę przemowę już wiele razy podczas długiej drogi ze zrujnowanej Palmyry. Nie miał ochoty wysłuchiwać jej ponownie; ból w jego członkach i głowie był wystarczająco dokuczliwy. Próbował zasnąć, sen jednak długo doń nie przychodził.

– Czujesz się lepiej, wierny generale?

Chadames ocknął się, przestraszony. Nie słyszał, jak czarownik zbliżył się do łoża. Obrócił głowę i uchylił lekko powieki. Ujrzał żółte źrenice czarownika tuż przy swojej twarzy. Wydawało się, że bije od niego przeraźliwy chłód. Chadames zadrżał, choć jego ciało okrywały grube koce.

– Nie chciałem, by stała ci się jakakolwiek krzywda – mówił czarownik łagodnym tonem. – Odesłałem cię z końmi... ale takie rzeczy się zdarzają.

– Tak – odparł Chadames, kaszląc. – Zdarzają się. Gdzie my jesteśmy?

– Ach... Sporo cię ominęło, wierny generale. Jesteśmy w komnacie w pobliżu szczytu Orlego Gniazda – miejsca nazywanego niegdyś *kahar kehediupan*, Komnata Życia. Twój ludzie opiekowali się tobą, odkąd wjechaliśmy w góry. Otrzymałeś potężny cios w głowę.

– A ty... – wykrztusił Chadames przez zaciśnięte zęby. – Co zrobiłeś w tym miejscu?

Czarownik wyprostował się i odsunął o krok, kładąc ręce na biodrach.

– Obudziłem tę górę – oświadczył z dumą. – W dawnych czasach ludzie nazywali to miejsce Damawand i ufali mocy jego murów i umocnień. Ufali też, że jeśli uspią tę moc, nie obudzi się, dopóki oni tego nie zechcą. Nieroztropne założenie. –

Uśmiechnął się do Chadamesa i przysiadł na skraju kamiennego łoża. – To miejsce pełne tajemnic, wierny generale, tajemnic, które pragną, bym je poznał. To miejsce mocy, która przyjdzie do mnie, skoro już tutaj zamieszkałem. Damawand jest teraz moje, a wraz z nim moc, która przyciągnie jeszcze więcej mocy.

Chadames zamknął oczy. Myśli kotłowały się bezładnie w jego umyśle, aż wreszcie jedna się wyklarowała.

– A ludzie, którzy zostali z tobą przy bramie? Co z nimi?

– Ach... – Czarownik wziął głęboki oddech. – Jesteś mądry, szlachetny Chadamesie, znacznie mądrzejszy ode mnie. Dzięki tobie pojąłem pewną bardzo cenną prawdę – że jeden człowiek, nawet obdarzony siłą wielu, jest wciąż tylko jednym człowiekiem. Ma tylko jedną parę rąk i jedną parę oczu, może być tylko

w jednym miejscu naraz. O tak, to naprawdę bardzo cenna lekcja!

Czarownik wyciągnął rękę i pogłaskał generała po twarzy. Dotyk przejął go najpierw zimnym dreszczem, a potem odprężającym ciepłem – zniknął chłód, który przenikał do tej pory jego ciało, wygnany na zewnątrz, poza przytulny kokon otulającego go koca. Wbrew sobie Chadames westchnął i ułożył się wygodniej.

– Jeden człowiek może walczyć i przegrać – mówił dalej czarownik. – Dwóch może już przetrwać, a pięciuset zwyciężyć. Nie obawiaj się, wierny generale, o los ludzi, którzy stali ze mną przy bramie, przed znakiem ognia; teraz są dla mnie cenniejsi od wszystkich skarbów świata, to moich szesnastu wybranych, moje ręce tam, gdzie sam nie mogę sięgnąć, moje oczy tam, gdzie sam nie mogę zajrzeć, mój głos tam, gdzie sam nie mogę przemówić. Zapewniam cię, nie musisz się o nich troszczyć. Będą pod dobrą opieką. Tak jak ty...

Czarownik mówił dalej, lecz Chadames nie rozumiał już jego słów. Zmorzył go rozkoszny sen.

Głos bębnowy odbił się echem od ścian wielkiego holu. Chadames stał odziany w pełną zbroję i ciemnozielony płaszcz – barwę jego domu. Pod pachą trzymał żelazny hełm zdobiony srebrem i złotem. Nawoskowane wąsy sterczały z jego twarzy niczym kły dzika. Długie, siwo-brązowe włosy leżały na jego ramionach, splecione w grube warkocze. Kilka kroków za nim stała połowa jego ludzi, ustawionych w czterech idealnie równych szeregach i odzianych w najlepsze szaty. Nad ich głowami wznosił się kopulasty, wsparty na kolumnach sufit ogromnej skalnej komnaty, położonej pośrodku góry, naprzeciwko wielkiej bramy.

Pod sufitem zalegały cienie i dym z setek pochodni zatkniętych na ścianach. W centrum komnaty znajdowało się podium z ułożonych w stopnie bloków skalnych, na którego szczycie na prostym tronie z żelaza siedział w swobodnej pozie czarownik. Pięciuset jego podwładnych stało podzielonych na dwa równe szeregi, po obu stronach tronu, kapitanowie na stopniach, a zwykli żołnierze niżej. Czarownik miał na sobie ciemnobordową szatę z jedwabnym kapturem, który leżał starannie ułożony na jego ramionach. Pod płaszczem nosił czarną koszulę i spodnie pobłyskujące niczym woda w blasku pochodni. Podobnie jak jego podwładni był starannie ogolony i uczesany. W czasie gdy Chadames leżał w gorączce, czarownik sobie tylko wiadomym sposobem sprowadził do górskiej warowni całe zastępy służby – stajennych, praczek, pokojówki, a nawet chłopców, których zadaniem było zapalenie tysięcy lamp i pochodni, rozświetlających mroki skalnych komnat.

Bębny ucichły, choć w rozedrganym powietrzu jeszcze przez chwilę słychać było ich echo. Ciężkie wrota z dębiny i żelaza, które strzegły głównego wejścia do

komnaty, zaskrzypiały przeraźliwie i otworzyły się pchane przez dziesiątki niewolników w czarnych tunikach. Przez otwarte drzwi wkroczyła grupka ludzi. Ukryty gdzieś w głębi komnaty werbel zaczął wybijać rytm zgodny z rytmem ich kroków. Goście przeszli przez otwartą przestrzeń holu, trzymając się w ciasno zbitej grupie, by w końcu zatrzymać się u podnóża podium. Chadames przyjrzał im się uważnie.

Tak jak mówił wcześniej czarownik, byli to wodzowie pobliskich klanów, plemion i wiosek. Góry Iraku poprzecinane były wąskimi dolinami i ukrytymi kotlinami. Plemiona, które wiodły skromny żywot na jałowych płaskowyżach i górskich zboczach, nie były przyjaźnie nastawione do ludzi z nizin. Często też dochodziło między nimi do sporów, wzajemnych zatargów, zdrad i morderstw. Do górskiej warowni przybyli wodzowie sześciu największych klanów wraz z eskortą, której członkowie dotykali teraz nerwowo swej broni. Wszyscy byli bogato odziani – przynajmniej według nich, nie mogli się bowiem mierzyć ze splendorem cesarskiego dworu czy nawet dyskretną elegancją czarownika.

– Witajcie, czcigodni goście. Miło mi podejmować was w moim domu – przemówił czarownik ciepłym, pogodnym głosem. Wstał i zszedł z podwyższenia. W jego lekkich sprężystych ruchach dało się wyczuć ogromną energię i siłę woli. Wodzowie plemion przyglądali mu się z podejrzliwością lub strachem, a gdy stanął przed nimi, cofnęli się o krok.

– Proszę, jesteście tutaj gośćmi. Nie musicie się niczego strzec ani niczego obawiać.

Czarownik przyzwał gestem jedną ze służących stojących w cieniu – młodą, ciemnowłosą kobietę w prostej sukience z czarnego lnu, chuście i zasłonie. Kobieta, która trzymała w dłoniach srebrną tacę z bochenkiem chleba i dwoma złotymi pucharami, podeszła do czarownika i uklękła przy jego boku. Czarownik wyjął z rękawa nóż i przekroił bochenek.

– Oto chleb z mojego domu! Jest wasz.

Podał kawałek chleba stojącemu najbliżej wodzowi – wysokiemu, barczystemu mężczyźnie z gęstą czarną brodą i w czerwono-złotym turbanie na głowie. Wódz przyglądał się przez moment kawałkowi chleba, potem wziął go ostrożnie do ręki. Chleb był świeżo upieczony; nawet z wysokości podium Chadames czuł ostry zapach drożdży i bogaty aromat świeżo wypieczonej skórki. Czarownik odłożył resztę chleba na tacę i wzniosł pierwszy złoty kielich.

– Oto sól mojego domu, jest wasza. – To powiedziawszy, wysypał sól na odwróconą dłoń wodza. Z cieni zalegających za tronem wyszła inna kobieta, tym razem rudowłosa, która niosła jeszcze jeden puchar. Czarownik przelał nieco wina

z kielicha stojącego na tacy do nowego i wziął go do ręki. Służąca złożyła mu niski ukłon, wzięła kielich stojący na tacy i podała go wodzowi, składając jeszcze jeden pokłon. Nie podnosiła jednak wzroku, skrywając twarz za zasłoną.

– Oto krew mojego domu, jest wasza. Wypijcie ze mną i przekonajcie się, że jesteście tutaj gośćmi i między nami panuje pokój.

Czarownik podniósł kielich do ust i opróżnił go, a potem otarł wierzchem dłoni cienką strużkę wina, która pociekła mu po brodzie. Wódz górskiego klanu przyglądał się uważnie jego poczynaniom. Czarownik wziął chleb i sól z tacy, spróbował soli, a potem odgryzł kawałek chleba. Gdy już go pogryzł i przełknął, zwrócił się do zgromadzonych przed nim gości.

– Witajcie, przyjaciele, w domu na Górze Orła. Proszę, przyłóżcie się do mnie.

Brodaty wódz, pozbywszy się podejrzeń, także spróbował chleba i soli, a potem upił łyk wina. Pozostali poszli za jego przykładem. Następnie wszyscy usiedli na podłodze, krzyżując nogi. Czarownik usiadł obok nich, odrzuciwszy do tyłu czerwone szaty. Wydawało się, że czuje się zupełnie swobodnie w ich towarzystwie.

– Potrafisz pięknie mówić – odezwał się chrapliwym głosem najważniejszy z wodzów. – Wiele żądasz, przychodząc do ukrytej góry i czyniąc z niej swój dom.

– Żądam tylko tego, co do mnie należy – odparł czarownik spokojnym tonem. Wódz uniósł lekko brwi, usłyszawszy te słowa. – Nie było mnie tutaj przez długi czas – kontynuował czarownik, spoglądając na krąg wodzów. – Lecz dziś znów tutaj mieszkam. Dawno temu wasi przodkowie wiernie mi służyli i przysięgali, że staną pod moimi sztandarami, gdy ich do tego wezwę. Dziś wzywam was do tego samego.

Wodzowie rozglądali się po ogromnej komnacie. Niektórzy spoglądali z niepokojem na uzbrojonych ludzi stojących przy tronie, inni spojrzeli w górę, na ogromną flagę zawieszoną pod sufitem – miała dwadzieścia stóp szerokości i sto wysokości. Na ciemnym, lekko pofalowanym tle widać było koło złożone z dwunastu karmazynowych, splecionych ze sobą węży. Jeden z wodzów zmarszczył brwi i skubał brodę, jakby szukając w myślach jakiejś opowieści związanej z tym symbolem.

– A kimże ty jesteś, żeby stać w holu zbudowanym przez Fariduna i twierdzić, że należy on do ciebie? – spytał drwiącym tonem wódz i uczynił gest, jakby chciał wstać z miejsca.

Czarownik podniósł rękę, a jego twarz pociemniała z gniewu. Podniósł się jednym płynnym ruchem.

– Dla tego imienia nie ma tu teraz miejsca, Chawaj Ali. Bracia ognia nie wykuli tej komnaty ze skały ani nie zbudowali fortecy, która nas tutaj otacza. Ukradli ją. – Głos czarownika przybrał na sile i odbił się echem od sufitu. – Ja zbudowałem to miejsce! Na mój rozkaz uczyniło to dziesięć tysięcy niewolników. To moja warownia,

a zwie się Damawand. – Przerwał na moment, a potem dodał łagodniejszym już tonem: – Tak szybko o mnie zapomnieliście?

Czy pamięć ludzka jest aż tak krótka; kiedyś moje imię znane było na całym świecie, a szczególnie dobrze znano je tutaj...

Wydawało się, że wypowiadając te słowa, czarownik rośnie, przerasta co najmniej o głowę mężczyzn stojących za jego plecami. Bębny znów podjęły swą rytmiczną, jednostajną pieśń, a za tronem i w ciemnych zakamarkach komnaty zapłonęły nagle ognie. Ich migotliwe czerwone światło wydobyło z mroku wielkie kamienne posągi zdobiące kolumny i łuki w holu. Najważniejszy wódz podniósł się z podłogi, stanął na szeroko rozstawionych nogach i spojrzał groźnie na czarownika.

– Wyjaw nam wreszcie swe imię, przybyszu! Wzywasz nas tutaj, lecz nie chcesz powiedzieć, jak się nazywasz. Powiedz, kim jesteś, i daj już spokój tym zagadkom!

Czarownik odwrócił się powoli ku niemu i znów jakby urósł. Naciągnął kaptur na głowę, a jego oczy, okryte teraz cieniem, zapłonęły niesamowitym żółtym blaskiem. Kiedy przemówił, zadrzała podłoga i zerwał się wiatr, który omal nie pogasił pochodni oświetlających komnatę.

– Nie poznaliście mnie po znakach i czynach? Więc powiem wam, śmiertelnicy. Jestem Azhi Dahaka, zwany przez niektórych Dahakiem. Jestem panem tego miejsca, tej wieży z kamienia i wszystkich ziem, które leżą pod tym niebem.

Wódz pobladł i cofnął się o krok. Pozostali zachłysnęli się z przerażenia i zaczęli powoli czołgać się do tyłu. Nie mogli uciec, bo na sygnał Chadamesa Uze otoczyli ich stalowym pierścieniem. Zakrzywione ostrza w rękach nomadów błyszczały czerwienią ognia, który płonął za tronem. Czarownik odwrócił się i wszedł z powrotem na podium, a usiadłszy na swym tronie z żelaza, spojrzał na wodzów. Niektórzy padli przed nim na kolana, inni skamleli cicho ze strachu.

– Tak, teraz już wiecie, przypomnieliście sobie opowieści waszych matek. Tak, jestem władcą demonów, czarownikiem, który płynie po nocnym niebie na skrzydłach *bjachi*. Wróciłem do swej siedziby, a wy pokłońcie się teraz przede mną i złożcie te same przysięgi, które składali wasi pradziadowie, gdy po raz pierwszy stąpałem po tej ziemi.

Spośród wszystkich wodzów tylko jeden nie padł jeszcze na kolana – największy z nich, Chawaj Ali. Na jego twarzy malował się gniew i tępy upór. On jeden nie okazywał żadnego strachu przed czarownikiem.

– To nie jest twoje miejsce – warknął. – Tę fortecę zbudował Faridun! Kapłani ognia znów cię pokonają, jak już to raz uczynili. Nie ma tu miejsca dla ciebie i twojego władcy ciemności...

Dahak wybuchnął nagle drwiącym śmiechem. Podniósł rękę, a na jego znak

z ciemności wyszły postacie odziane od stóp do głów w zbroje ze stali, w hełmach przypominających oblicza przerażających rogatych demonów. Czerwony blask ognisk nadawał im niesamowity, niematerialny wygląd. Każdy z nich trzymał na ramieniu drzewce, na których wisiały głowy starszych mężczyzn, uwiązane za zlepione krwią brody.

– Oto wasi kapłani ognia, ci, którzy przywoływali moc martwego boga – triumfował Dahak. – Widzicie, jak oddają mi hołd?

Mężczyźni w zbrojach ukłękli, a głowy uderzyły głucho o podłogę. Chadames przełknął ciężko, ujrawszy puste oczodoły, ślad po wylupionych oczach, i straszliwe rany na twarzach kapłanów, nie ruszył się jednak z miejsca.

Dahak ponownie wstał i zszedł o jeden stopień. Potem podniósł rękę i nakreślił nią w powietrzu jakiś znak.

– Kim jestem? – rozbrzmiał jego głos.

Głowy leżące na podłodze w kałużach krwi zaczęły się poruszać.

– Powiedzcie, kapłani ognia, czy mnie znacie?

Z ust jednej z głów wyciekła strużka krwi, potem rozległo się głucho charczenie, wreszcie głowa otworzyła usta i przemówiła:

– Jesteś naszym panem, o władco ciemności. – Głos był przerażającą parodią ludzkiej mowy, lecz wypowiedziane słowa były wyraźne i jednoznaczne. Dwaj wodzowie zemdleli, osuwając się prosto w ręce Uze, którzy stali za nimi.

Natychmiast odciągnięto ich na bok. Dahak odwrócił się do Chawaja Alego i uśmiechnął szeroko, odsłaniając śnieżnobiałe zęby. – Jak widzisz, wszyscy wcześniej czy później złożą mi pokłon. Ty także, dzielny wodzu.

GDZIEŚ NA MORZU EGEJSKIM

Łódź wspięła się na długą i wysoką falę. Błękitna woda uciekała z sykiem przed parą oczu wymalowanych na jej dziobie. Wysoko w górze krążyły kormorany i mewy. W tylnej części łodzi nad wiosłami pochylała się młoda kobieta o rudych włosach splecionych w warkocze. Wiosła zanurzyły się w wodzie, a łódź wspięła się na kolejną falę. Podczas długich tygodni spędzonych na morzu kobieta opaliła się na brąz, przemoczona koszula z czerwonej bawełny kleiła się do jej ciała. Cienkie warkocze przewiązane niebieskimi wstążkami kołysały się na wietrze, uderzając w twarz o wysokich kościach policzkowych i mocno zarysowanych ustach. Zmrużywszy ciemnoszare oczy, kobieta rozejrzała się po morzu. Nacisnęła mocniej na jedno wiosło, a łódź obróciła się w miejscu.

– Tam – oświadczyła z mocą. – To mury Tery.

Jej towarzyszka, która zajmowała miejsce na dziobie, odwróciła się i spojrzała na skalne urwisko wyrastające z powierzchni morza. Miała gęste kruczoczarne włosy, które opadały luźno na śniade, szczupłe ramiona. Ubrana była w togę z białego lnu, która niedawno opuściła sklep w Aleksandrii. Na jej nadgarstkach pobłyskiwały srebrne bransolety, a szyję otaczały łańcuchy ze złota i szafirów. Pasażerka odwróciła się ponownie do kobiety przy wiosłach, a w jej ogromnych ciemnych oczach pojawił się uśmiech.

– Żadnej plaży? Przystani? Musimy wejść na te urwiska? – Śniadoskóra kobieta roześmiała się głośno, błyskając białymi jak śnieg zębami.

– Droga księżniczko – odparła rudowłosa kobieta – obiecałam, że znajdę ci bezpieczne schronienie i tak będzie. Jeszcze tylko odrobina cierpliwości, a ta wyspa odsłoni przed tobą niektóre ze swoich tajemnic.

– Skoro tak mówisz... Podziwiam twą odwagę. Okręt, który nas tutaj przywiózł, dawno już odpłynął, a na nim mój brat i dzieci. Może na tej wyspie nie ma nikogo? Chcesz mnie zachować tylko dla siebie?

Kobieta znieruchomiała na moment i spojrzała spod przymrużonych powiek na owalną twarz swej towarzyszki. Potem wciągnęła wiosła do łodzi i przytrzymała je nogą. Pomimo wielu tygodni spędzonych na morzu, na jej nosie i policzkach wciąż widać było piegi. Odwróciła wzrok od towarzyszki, spoglądając na błękitne morze i skalne urwiska.

Szirin uniosła lekko brwi skonsternowana.

– Thyatis? Nie chciałam ci robić przykrości, to był tylko taki żart... Wiem, że nie chciałaś rozdzielać mnie i dzieci i że było to dla ciebie równie bolesne jak dla mnie.

Rzymianka odwróciła się, poczuwszy delikatny dotyk na ramieniu. Szirin

przesunęła się w jej stronę, podciągając wolną ręką skraj sukni i odsłaniając smukłe, zgrabne nogi. Siedziała teraz na środku łodzi, którą poprzedniego dnia kupiły od kapitana „Dumy Falyssos”. Górna część jej sukni zsunęła się nieco, odsłaniając gładkie ramiona i naszyjniki, które niknęły w chłodnym cieniu między piersiami. Thyatis zmarszczyła brwi, ujrawszy smutną minę Szirin.

– Dobrze wiesz, pani, że zrobiłam to dla bezpieczeństwa twojego i twoich dzieci. Kiedy już znajdą się w Rzymie, księżna weźmie je pod swoją opiekę. Wtedy nikt nie będzie łączył ich z twoją osobą. Wszyscy wiedzą, że twoja rodzina zginęła w ruinach Ktezyfonu. Kto będzie szukał zmarłych? Kto domyśli się, że te pałacowe maskotki to dzieci najszlachetniejszej krwi?

Szirin roześmiała się ponownie, odrzucając włosy do tyłu. Potem ujęła dłoń Thyatis. Jej palce, gładkie i wypielegnowane, pocierały zgrubienia i blizny na dłoniach Rzymianki.

– Jesteś taka poważna! Wiem, że przez jakiś czas muszą przebywać z dala ode mnie... Wygodne życie cesarzowej nie przygotowało mnie do tego, co mnie tu czeka. Zdaję sobie sprawę, że wyświadczasz mi wielką przysługę, przywożąc mnie tutaj. Myślę, że przez jakiś czas poradzę sobie bez tych rozwrzeszczanych smarkaczy; przynajmniej trochę odpocznę!

Thyatis skinęła głową, tłumiąc wątpliwości, które rodziły się w jej sercu, i wypuściła dłoń młodej księżniczki. Podniosła wiosła i ponownie zabrała się do pracy. Od lądu dzieliła je jeszcze spora odległość. Szirin wróciła na swoje miejsce na dziobie, usiadła na skrzyżowanych nogach i oparła się o burtę. Łódź zakołysała się na kolejnej fali; w miarę jak zbliżały się do lądu, morze robiło się coraz bardziej niespokojne.

Przez nimi wznosiły się mury Tery, ciemne i ponure. Wyspa wrzynała się w błękitne morze, trudna do opisanego skalna bryła, która nie dała się pochłonąć falom podczas potopu. Czarnoszarej powierzchni skał nie porastał najmniejszy choćby skrawek zieleni. Łódź kołysała się na coraz większych falach, huk wody uderzającej o skały uniemożliwiał jakąkolwiek rozmowę. Thyatis napierała mocniej na wiosła, mokra od morskiej wody i potu. Przed dziobem łodzi wyrosła wielka fala zwieńczona białą grzywą. Szirin drgnęła przestraszona i wskazała na coś po prawej stronie łodzi. Fala odsłoniła na moment skalną iglicę ukrytą tuż pod powierzchnią wody. Thyatis zaczęła wiosłować jak szalona, po raz pierwszy od wielu tygodni wyężdżając wszystkie siły. Łódź obróciła się nieco, a kolejna fala przeniosła ją tuż obok skalnego zęba.

Urwisko wyrastające przed nimi z morza – pionowa ściana ciemnych łupków i wulkanicznej skały – rozszczepiła się nagle na dwoje. Szirin krzyknęła ze zdumienia, a Thyatis wciągnęła wiosła. Szybkimi, sprawnymi ruchami, obwiązała

jedno z nich liną leżącą na dnie łodzi, a drugie wsunęła do uchwytu na rufie. Za dziobem łodzi wyrosła kolejna fala, która uniosła łódź ze sobą. Thyatis przytrzymała wiosło sterujące nad wodą.

Wyspa i horyzont zaczęły się nagle zapadać, gdy fala unosiła łódź coraz wyżej. Szirin skuliła się na dnie łodzi i objęła ławkę na dziobie. Thyatis przykucnęła na rufie i zaparła się nogami o ławkę, czując, jak fala pod łodzią rośnie i nabiera sił. W urwisku przed dziobem łodzi, pojawił się wąski przesmyk wypełniony spienioną, huczącą wodą. Fala wpadła do szczeliny, ciągnąc za sobą łódź. Thyatis umiejętnie manewrowała wiosłem, pilnując, by łódź płynęła tuż przed grzbietem fali.

Po obu stronach łodzi przemknęły poszarpane skalne ściany. Powietrze wypełnione było śnieżnobiłą morską pianą. Z dna łodzi Szirin widziała przesuwane nad jej głową łuki wykute w skale. Nagle w jej uszy wdarł się ogłuszający ryk, a łódź obróciła się wokół własnej osi niczym liść w strumieniu.

Thyatis zanurzyła wiosło sterujące w wodzie, a łódź odsunęła się na bok, by potem wpłynąć do mrocznego tunelu. Przez chwilę Szirin widziała tylko grzbiety fal uderzające w skalne ściany, lecz wkrótce łódź ponownie wypłynęła w blask słońca.

– Pani, musisz wstać i pokazać się – powiedziała Thyatis. Szirin odwróciła się i zobaczyła, że jej towarzyszka jest całkiem przemoczona. Bawełniana koszula i krótka lniana spódniczka przykleiły się do jej umięśnionego ciała, które wyglądało teraz niczym płaskorzeźba z Miasta Wielkich Królów. Szirin zatrzymała dla siebie pełne podziwu komentarze i odwróciła się do przodu, opierając jedną stopę na dziobie, a drugą na ławce. Nieco zdenerwowana, przesunęła palcami po gęstych włosach; na szczęście nie były splątane. Nieco uspokojona, rozejrzała się dokoła.

Otoczał ją wielki krąg turkusowej wody. Blask słońca tańczył na grzbietach niewielkich fal. Szirin spojrzała w dół i roześmiała się perliście, ujrawszy wielką ławicę żółto-pomarańczowych rybek przepływających pod łodzią. Poniżej widać było złoty piasek i tysiące innych ryb igrających w wodzie czystszej niż najczystsze szkło. Z dna ukrytej zatoki wyrastały strzeliste wieże koralowca i morskich paproci. Wokół zatoki wznosiły się wysokie na sto stóp skalne urwiska. Po drugiej stronie zatoczki widać było wąskie półkole białego piasku, z którego wyrastało ukryte częściowo w cieniu marmurowe molo.

Na pomoście stały trzy postacie ubrane w powłóczyste lśniące szaty. Jedna z nich trzymała turkusowy parasol nad głową osoby stojącej pośrodku. Pozostałe trwały w bezruchu, czekając. Molo łączyło się z wejściem do świątyni wykutej ze skały i ozdobionej strzelistymi kolumnami. Nad świątynią wznosiły się budynki, także wykute częściowo w skale. Blask bijący od białego marmuru kłuł w oczy, które chciały się sycić widokiem posągów i frontonów zdobiących świątynię. Wysoko

w górze widać było wielką, zwieńczoną kamiennymi łukami kolumnadę, poniżej zaś maleńkie postacie ubrane w kolorowe stroje i przyozdobione jasnymi kwiatami.

– To jest Tera, przyjaciółko.

Szirin ledwie usłyszała słowa Thyatis. Pośrodku wyspy leżało ukryte miasto, miasto kremowych budynków i smukłych białych kolumn. Łódź dryfowała po kryształowo czystej wodzie, jakby zawieszona w oceanie błękitnego powietrza. Thyatis kilkoma pewnymi ruchami wiosel przybiła łodzią do krawędzi pomostu. Jedna z trzech postaci, szczuplejsza niż pozostałe i ciemnoskóra, sięgnęła w dół i zarzuciła pętlę liny na dziób łodzi. Thyatis skłoniła się nisko przed pozostałą dwójką i delikatnie dopchnęła rufę łodzi do pomostu.

– Witaj, Pani Wyspy. Dwie kobiety szukają tu schronienia wśród cór Artemidy.

Kobieta stojąca pośrodku uśmiechnęła się szeroko. Była niemal równie wysoka jak Thyatis i równie szczupła, lecz w jej włosach pojawiły się już pasma siwizny, a na twarzy widać było oznaki zbliżającej się jesieni życia. Miała na sobie prostą wełnianą suknię, a za jedyną ozdobę służył jej naszyjnik z szafirowym wisiosem. U jej boku stała inna kobieta, podobna do niej jak siostra lub córka. Jej jasne oczy otaksowały obie kobiety wysiadające z łodzi.

– Co za miłe spotkanie, córko marnotrawna – przemówiła Pani Wyspy. – Witamy was na wyspie. Proszę, wyjdźcie na brzeg.

Szirin weszła na marmurowy pomost, zaskakująco chłodny i miły w dotyku. Ciemnoskóra kobieta, która przycumowała łódź, podała jej pomocną dłoń. Szirin drgnęła, zaskoczona siłą jej uścisku. Ta kobieta była bardzo niska, a jej skóra lśniła dziwnym złotym odcieniem, jakiego Szirin nie widziała dotąd u żadnego człowieka. Jej owalna twarz wydawała się przyjazna i skora do uśmiechu, choć teraz nie miała żadnego wyrazu. Szirin spojrzała w ciemne jak węgiel oczy kobiety i przez chwilę poczuła się dziwnie zdezorientowana. Szybko jednak odzyskała równowagę i złożyła ukłon przed Panią Wyspy.

– Witaj, zaginiona córko – powiedziała starsza kobieta, kryjąc uśmiech.

– Witaj, Córko Łuczniczki – odparła Szirin, starannie wymawiając archaiczne słowa, których nauczyła jej wcześniej Thyatis. – Szukam schronienia przed burzą. Szukam schronienia przed ludzkim gniewem. Szukam schronienia przed losem i bogami. Jasna pani, wysłuchaj mych prośb i pozwól mi ukryć się przed światem. Proszę, wpuść mnie do swej świątyni, a ja będę wiązać dla ciebie moje włosy i iść twoimi ścieżkami do końca mych dni.

Siwe brwi Pani Wyspy powędrowały na środek jej czoła, rzuciła wściekle spojrzenie na Thyatis, która wyszła właśnie z łodzi i zdjęła przemoczoną bawełnianą koszulę. Rudowłosa kobieta śmiało spojrzała jej w oczy i z niewinną miną wyżywała

ubranie. Pani Wyspy spojrzała ponownie na Szirin, zwracając po raz pierwszy uwagę na archaiczny fason jej ubrań i klasyczną fryzurę.

– Rozumiem... Moja utracona córka przywozi nową uczennicę, i to prawdopodobnie wielce kłopotliwą.

Młodsza kobieta, która trzymała w rękach parasol, odchrząknęła znacząco. Pani Wyspy przewróciła oczami i machnęła na nią ręką.

– Spokojnie, Aurelio, uczynię zadość zwyczajom wyspy i zakonu.

Po czym zwróciła swe stalowe spojrzenie na Szirin i przyglądała jej się przez chwilę, by wreszcie przemówić:

– O kobieto, ty, która stajesz przed obliczem bogini, czy oddajesz się pod opiekę zakonu Łowczyńi?

Szirin uklęknęła, próbując sobie przypomnieć pozostałą część rytualnej formułki.

– Artemida patrzy na nas wszystkich – wyrecytowała, wbijając wzrok w buty starszej kobiety. – Skrzydlata strażniczka wszelkiego stworzenia. Jestem Szirin z Chazarii. Szukam schronienia przed światem. Weź mnie pod swoje skrzydła, *O Potnia Theron*, a ja odpłacę ci miłością, oddaniem i posłuszeństwem.

Pani Wyspy rzuciła kolejne wściekłe spojrzenie w stronę Thyatis, która włożyła właśnie mokrą koszulę i związała ją pod piersiami. Pani Wyspy westchnęła ciężko i podniosła rękę, by nakreślić w powietrzu jakiś znak nad głową Szirin. Wysoko w górze, skąd patrzyły na nich setki twarzy widocznych w oknach i podcieniach ukrytego miasta, jakiś głos zaintonował pieśń. Szirin nie rozumiała słów, wiedziała jednak od Thyatis, że jest to pieśń powitalna i prośba o błogosławieństwo bogini.

– Witaj córko Szirin – powiedziała Pani Wyspy. – Znalazłaś swój azyl, tutaj na Wyspie Łowczyńi, w tym błogosławionym i sekretnym miejscu.

Szirin wstała i ukloniła się ponownie. Niższa kobieta poklepała ją po ramieniu, a Pani Wyspy odwróciła się, by poprowadzić je ku chłodnym podcieniom świątyni. Pozostawiona przy pomoście łódź kołysała się leniwie na falach. Pieśń podchwytywana przez kolejne dziesiątki i setki głosów przybierała na sile, piękna i spokojna jak szum morskich fal.

Słońce chowało się za horyzontem, zamieniając morze w taflę złota i pokrywając niebo pasmami fioleto i różu. Nieliczne chmury płonęły jasno niczym sztaby złota w kuźni. Szirin, która siedziała w oknie pokoju przydzielonego jej i Thyatis, westchnęła cicho w zachwycie. Piękno morza i nieba oglądane z tej wysokości radowało serce. Okno zostało wykute w litej skale i wychodziło prosto na morze. Thyatis podniosła wzrok znad niewielkiego stolika, jednego z kilku mebli stanowiących skromne wyposażenie pokoju. Na jej kolanach leżał miecz, ułożony na wełnianym kocu. W rękach trzymała szmatkę i osełkę, a na stoliku obok stała butelka

z olejem. W ciepłym blasku zachodzącego słońca obie kobiety wyglądały jak posągi wykute ze złota.

– O co chodzi? – spytała Thyatis zmęczonym głosem, walka z morzem kosztowała ją wiele wysiłku. Ręce i ramiona miała obolałe.

– Nigdy nie byłam w równie spokojnym miejscu. Po tylu dniach podróży wreszcie czuję, że jestem bezpieczna nawet wtedy, gdy nie ma cię u mojego boku.

Uśmiech zadowolenia rozjaśnił na moment twarz Thyatis. Potem rudowłosa kobieta westchnęła i spojrzała na ostrze, które lśniło w słabnym blasku niczym czyste srebro. Za oknem przeleciało stado rozwrzeszczanych rybitw, wracających do swych gniazd na urwiskach nad świątynią.

– Uznałam, że nie ma lepszego miejsca... że nie ma żadnego innego miejsca, do którego mogłabym cię zabrać po zagładzie twojego domu.

Szirin skinęła głową i zmieniła nieco pozycję. Thyatis nie podnosiła wzroku, wiedząc, że na twarzy młodej kobiety maluje się smutek i tęsknota.

– Mój dom... Zastanawiam się, czy Ktezyfon kiedykolwiek był moim domem. Mieszkałam tam wprawdzie z mężem i dziećmi, ale czy to był mój dom? Jego obraz szybko mi znika z pamięci, choć inne pozostają równie wyraźne jak zawsze; jurty moich wujów; zapach koni w deszczu; ogromne połacie stepu. Gdy myślę o pałacach i ogrodach, widzę tylko ciebie, moja przyjaciółko, okrwawioną, stojącą w deszczu nad ciałem mojego męża. I płomień na nocnym niebie.

Szirin umilkła na moment wpatrzona w przedwieczorne niebo. Słońce zniknęło wreszcie za krawędzią oceanu, pochłonięte przez karmazynowe wody. Niebo pociemniało, naznaczone blednymi pasmami czerwieni, ostatnimi okrucami dnia. Thyatis milczała, pochylona nad lśniącym ostrzem, które pracowicie pocierała zwilżoną w oleju szmatką. Wreszcie Szirin przemówiła ponownie:

– To było... to było jak sen, albo jakieś widzenie, wypełnione wspaniałymi wnętrzami, eleganckimi ludźmi i bajecznymi prezentami, sen o księciu, który mógł spełnić każde moje życzenie, zaspokoić każdą zachciankę. Piękna twarz skrywająca mroczne serce. Byłam lalką, pięknie ubraną i ufryzowaną, przedmiotem przeznaczonym do oglądania i podziwiania. Potem przyszliście wy, nieproszeni, przyprowadzając ze sobą tego niezdare, mojego wuja; skóra mi cierpnie na myśl o tym, co mogło was spotkać!

Thyatis skrzywiła się i wsunęła indyjskie ostrze do pochwy.

– To był jego plan – odparła krótko. – Nie mam do niego żadnych zarzutów. Zadział, a my trafiłyśmy tutaj.

Szirin roześmiała się i przechyliła głowę w bok. Gęste czarne włosy rozsypały się na jej ramiona.

– Trafiłyśmy tutaj... ty i ja, para, jakiej nikt chyba nie potrafiłby wymyślić. Wiem, droga Thyatis, że czujesz się winna z powodu tego, co zrobiłaś: wyrwałaś mnie z domu i zabrałaś w długą podróż do obcej krainy. Zapominasz jednak, że nie jestem jakąś rozpieszczoną damą dworu.

Thyatis podniosła wzrok, zaskoczona ostrą nutą w głosie Szirin. Uniosła lekko brwi, rozbawiona tą gwałtowną reakcją.

– Nie patrz tak na mnie! – Szirin wstała ze swego miejsca i podeszła do Rzymianki, zaciskając dłonie w pięści i opierając je na biodrach. – Jeździłam na koniu, nim umiałam chodzić, strzelałam z łuku, nim umiałam mówić. Tak czynią wszyscy członkowie mojego ludu i ty dobrze o tym wiesz! Podczas wojny z Człowiekiem z Drewna jeździłam u boku Chosroesa z włócznią i tarczą w ręku... przemądrzała Rzymianko!

Szirin uszczypnęła Thyatis w ucho i odskoczyła do tyłu, chichocząc, kiedy rudowłosa kobieta warknęła gniewnie. Thyatis błyskawicznie podniosła się z miejsca, a jej miecz wylądował po drugiej stronie pokoju, na stercie bagaży, które przyniosły ze sobą z łodzi. Szirin roześmiała się głośno i wystawiła język. Thyatis warknęła ponownie, choć udawany grymas gniewu na jej twarzy miał wkrótce zamienić się w szeroki uśmiech. Skoczyła do przodu i chwyciła Szirin za odsłonięte ramię. Szirin wywinęła się zgrabnie z uchwytu i schowała za krzesło przy stole.

Thyatis natychmiast znalazła się po drugiej stronie stołu.

– Bezczelna księżniczka! – krzyknęła. – Tłusta i powolna jak łania w lecie!

– Och! – Oczy Szirin błysnęły gniewnie, a jej odpowiedź była natychmiastowa: – Rzymski prosiak, pulchny i wypasiony!

Szirin odsunęła się o krok, podniosła prawą nogę do brzucha i wyprowadziła błyskawiczne proste kopnięcie. Thyatis obróciła się bokiem, unikając ciosu, a jej prawa ręka natychmiast wystrzeliła do tyłu i pochwyciła księżniczkę za piętę. Szirin odbiła się mocno od podłogi i zrobiła salto do tyłu, wrywając nogę z uścisku Rzymianki.

Thyatis krzyknęła radośnie i obróciła się w miejscu, przechylona równoległe do podłogi w szerokim obrotowym kopnięciu. Szirin w tym samym momencie przypadła do ziemi i obróciła na pięcie, podcinając nogę Thyatis. Rzymianka runęła na plecy, w ostatniej chwili zdążyła jednak obrócić się na bark, ale podczas ostatniego element padu uderzyła w stolik. Nogi mebla pękły z trzaskiem, rozrzucając po pokoju drzazgi i kawałki drewna.

– Zobacz, co narobiłaś! – krzyknęła Thyatis, zrywając się na równe nogi. Bez namysłu pchnęła zniszczony stolik pod ścianę.

Szirin potrząsnęła głową, odrzucając włosy do tyłu, i ponownie pokazała

Rzymianie język.

– Niezdarna krowa! Każdy potrafiłby tego uniknąć! Punkt dla mnie!

– Naprawdę? – warknęła Thyatis, przepełniona dziką radością. Przesuwała się powoli w prawo, trzymając ręce przed sobą, gotowe do ciosu i obrony. – Punkt za co?

Szirin utrzymywała bezpieczny dystans. Toga przeszkadzała jej w walce, rozsupłała więc ostatni węzeł na ramieniu, pozwalając, by luźna szata opadła na podłogę. Thyatis próbowała wykorzystać okazję i rzuciła się w stronę księżniczki, ta jednak uciekła za łóżko i związała włosy wstążeczką. Pod togą nosiła krótką lnianą spódniczkę i obcisłą jedwabną bluzkę o krótkich rękawach.

– Za udane podcięcie! Każdy sędzia by mi go przyznał, niewychowana Rzymianko!

– Doprawdy, rozpieszczona Chazarko? – Thyatis wyskoczyła nad łóżko, szykując kolejny atak. Szirin uciekła w bok, lecz Rzymianka zdążyła uderzyć ją ramieniem. Księżniczka syknęła i zatoczyła się do tyłu, Thyatis przytrzymała jednak jej nogę własną nogą, a potem opadła na nią i przyszpiliła jedną rękę do podłogi. Szirin zakłęła i próbowała wyzwolić się z uścisku, lecz Rzymianka zablokowała najpierw jej drugą nogę, a potem, po krótkiej walce, unieruchomiła także drugą rękę.

Krople potu spłynęły po nosie Thyatis i opadły na policzek Szirin, by w końcu zatrzymać się w zagłębieniu pod jej gardłem.

– Typowo rzymskie rozwiązanie – syknęła Szirin, spoglądając gniewnie na Thyatis. – Tylko brutalna siła, żadnej subtelności.

– Typowo perska wymówka. – Thyatis uśmiechnęła się, dotykając czołem czoła Szirin. Rzymianka oddychała nieco ciężiej niż zwykle.

– Jak dzieci, zupełnie jak dzieci – przemówił nagle melodyjny głos. Thyatis otworzyła szeroko oczy, a potem błyskawicznie podniosła się z podłogi, jedną ręką przesunęła Szirin za siebie, a drugą osłoniła głowę przed ciosem.

Drobna pięść, bez trudu ominęła blok Rzymianki. Thyatis, dojrawszy kątem oka szczupłą, drobną kobietę z włosami splecionymi w warkocze, próbowała uciec w bok, jednocześnie wciąż przesuwając Szirin za siebie. Piastka uderzyła ją w wewnętrzną część prawej piersi, a Thyatis zachłysnęła się głośno, zaskoczona siłą ciosu. Ból wypełnił jej piersi niczym płynny ogień. Poleciała do tyłu i uderzyła plecami w ścianę pod oknem. Jej twarz zastygła w wyrazie krańcowego zdumienia, a oczy wypełniły się łzami.

Szirin, odrzucona na bok, zaatakowała w tej samej chwili, wyprowadzając kopnięcie na głowę nieznajomej. Jednocześnie próbowała uderzyć otwartą dłoń w splot słoneczny kobiety. Ciemnoskóra nieznajoma jakby od niechcienia uchyliła się przed kopnięciem, a grymas wściekłości widoczny na twarzy Szirin wywołał u niej

lekki uśmiech. Lewa ręka kobiety bez trudu zbiła cios Chazarki, a kiedy ta poleciała do przodu, pociągnięta siłą własnego uderzenia, nadziała się na otwartą dłoń przeciwniczki.

Szirin zachłysnęła się z bólu i znieruchomiała, pozbawiona nagle oddechu. Kobieta odsunęła się na bok, płynnie i elegancko, niczym łabędź, po czym uśmiechnęła się ponownie i ukloniła przed obiema kobietami. Szirin, która wciąż nie mogła złapać oddechu, zadrżała, a potem opadła na kolana, by wreszcie runąć bezwładnie na podłogę. Thyatis, wyężywszy całą siłę woli, odsunęła się od ściany i podczołgała do przyjaciółki. Przewróciła ją na plecy, a następnie drżącą dłonią przesunęła dwoma środkowymi palcami wzdłuż jej nosa i gardła, przez piersi i wzdłuż wewnętrznej części uda. Chazarka drgnęła i zaczęła chwytając otwartymi ustami powietrze, zdolna wreszcie do oddychania.

– Całkiem nieźle – powiedziała kobieta, nie kryjąc rozbawienia. – Ale nie przygotowałaś się należycie i byłaś trochę... zdekoncentrowana.

Thyatis podniosła wzrok. Na jej twarzy pojawił się najpierw wyraz zdumienia, potem radości, a w końcu rezygnacji.

– *Sifu* – wychrypiąca, wciąż ciężko oddychając. – Nie umiesz się normalnie przywitać?

Ciemnowłosa kobieta pokręciła głową i posmutniała.

– Nie. Nie w tym świecie pełnym zasadzek. Witaj w domu.

Thyatis wstała i pomogła Szirin podnieść się z podłogi. Potem ukloniła się nisko.

– Dziękuję, *sifu*. To moja przyjaciółka...

– Szirin z domu Aseny – przerwała jej kobieta. – Nowa uczennica w świątyni.

– Tak – potwierdziła Thyatis, zerkając podejrzliwie na swą rozmówczynię. –

Miałam przedstawić ci ją jutro.

– Poznałyśmy się już dzisiaj – odparła kobieta, pokazując w uśmiechu białe zęby.

– Jutro zaczniemy trening.

Szirin uniosła brwi i spojrzała z ukosa na Thyatis, która wpatrywała się ze zdumieniem w śniadoskórą kobietę.

– Trening? Nie będzie tutaj dość długo, by...

– Będzie tu tyle, ile trzeba – przerwała jej ponownie kobieta tonem nieznoszącym sprzeciwu. – A dopóki stąd nie wyjedzie, będzie moją uczennicą. Taka jest Droga.

– Nie wszystkie uczennice świątyni są twoimi uczennicami, *sifu*? Ona nie musi...

– Poczekaj! – przerwała jej Szirin lodowatym tonem. Thyatis umilkła i zerknęła niepewnie na przyjaciółkę. Szirin odpowiedziała jej chłodnym spojrzeniem. – Ja o tym zdecyduję – oświadczyła. Odwróciła się do *sifu* i ukloniła nisko, trzymając przed sobą złożone dłonie. – *Sifu* – zaczęła – czy to ciebie nazywają Mikele?

Mistrzynią stylu Otwartej Dłoni? Czy to ty uczyłaś Thyatis, tę wielką, niemrawą krowę z Rzymu, jak walczyć całym ciałem?

Mikele skłoniła lekko głowę, mierząc Chazarkę wzrokiem.

– Tak – odparła w końcu. – Ja jestem nauczycielką Drogi. Szirin także śmiało zmierzyła ją wzrokiem.

Mikele była bardzo szczupła, drobniejsza nawet od Szirin. Była niczym ostrze miecza, doskonale wyważona i ostra jak stal. Na jej głowie piętrzyły się zwinięte ciasno warkocze, podtrzymywane przez srebrne grzebienie i złote szpilki. Ubrana była w prostą bawełnianą koszulę z niskim kołnierzem i szerokie perskie spodnie. Jej szczupła twarz o wysokich kościach policzkowych i lekko skośnych oczach wydawała się łagodna. Szirin domyślała się, że w młodości Mikele była zaskakująco piękna. Wiek pozbawił ją jednak urody; tylko w oczach nadal widniało nieprzemijające, prawdziwe piękno. Jej wąskie usta skore były do uśmiechu, o czym świadczyły promieniście ułożone zmarszczki. W każdym jej ruchu i słowie widać było ogromny spokój i opanowanie.

Szirin ukłoniła się ponownie, pozwalając, by pukle kruczoczarnych włosów opadły na jej twarz.

– Jeśli nauczyciel zechce przyjąć ucznia, uczeń gotów jest do nauki. Mikele uniosła jedną brew i spojrzała na Thyatis.

– Wreszcie jakieś rozsądne słowa. Chodźcie, Pani Wyspy zaprasza was na kolację.

Blask księżyca oblewał brzuchate kolumny srebrną poświatą. Thyatis stała w cieniu, oparta o chłodny marmurowy murek. Szirin stała obok niej, okryta lekką wełnianą chustą. Znajdowały się w małej okrągłej świątyni wzniesionej w najwyższym punkcie wyspy. Od wejścia do świątyni odchodziły długie wąskie schody o tysiącu stopniach, prowadzące do ukrytych poniżej pokojów i świątyń. Nocne powietrze na tej wysokości było chłodne, a świątynia Artemidy pozbawiona była ścian, dzięki czemu na wszystkie strony roztaczał się z niej wspaniały widok na ocean. Nad bezkresnym bezmiarem wody unosił się okrągły księżyc, który wypełniał świat złotym blaskiem.

Szirin przysunęła się bliżej Thyatis, gdy chłodna bryza podniosła jej chustę i owiała odsłonięte ręce. Rzymianka objęła ją wpół, a księżniczka przytuliła się do niej i otuliła mocniej chustą. Gdzieś na nagim zboczu polowały nietoperze, przesywając ciszę nocy ledwie słyszalnymi piskami.

– Czy to pierwszy budynek, jaki tu wzniesiono? – spytała Szirin cichym, rozmarzonym głosem.

Thyatis pokręciła głową i oparła brodę na czubku głowy Szirin.

– Nie. Pierwsza świątynia leży na dnie laguny. Czasami, kiedy słońce stoi

wysoko na niebie, można zobaczyć jej dach, głęboko pod wodą. Teraz jednak prawie całkiem przykrył ją piasek. Kiedyś, gdy uczyłam się pływać, zanurkowałam dość głęboko, by jej dotknąć. Wszystkie pozostałe budynki – świątynia Skrzydlatej Łowczyni, dormitoria, kuchnie i piekarnie, warsztaty – zostały zbudowane później. Siostry, które przybywały na wyspę, własnoręcznie wykuły je w skale.

Szirin ujęła w dłonie dłoni Thyatis i przesunęła palcem po starej bliznie na nadgarstku Rzymianki.

– To musiało zająć całe wieki – powiedziała cicho.

– Tak – przyznała Thyatis. – Ale siostry są tutaj od bardzo dawna.

– Nie ma tu żadnych mężczyzn? Nawet niewolników?

– Nie – odparła Thyatis, uśmiechając się w ciemności. – Nawet niewolników. Tak było w starej Themiscyrze, tak jest w Terze. Na świecie i tak jest wystarczająco dużo mężczyzn. Tu ich nie trzeba.

– Jak tu trafiłaś? Uciekłaś od rodziny?

Thyatis zeszywniała lekko, potem jednak rozluźniła się ponownie, choć jej dłoni zacisnęła się mocniej na dłoni Szirin.

– Nie... Nie uciekłam. Mój *pater*... mój ojciec był właścicielem ziemskim w jednej z rolniczych prowincji Rzymu, kiedy jednak nadeszły ciężkie czasy, popadliśmy w długi. Ja... my... moje siostry i ja, on... zostaliśmy sprzedani na targu niewolników.

Szirin podniosła wzrok na przyjaciółkę. Jej twarz wydawała się nieruchoma jak skała. Po chwili Rzymianka westchnęła ciężko i pokręciła głową, brzęcząc dzwoneczkami wplecionymi w jej włosy.

– Na targu była kobieta, przyszła chyba tylko popatrzeć... Zobaczyła mnie, chudego rudzielca, i chyba jej się spodobałam. Była księżną, żoną gubernatora, i nie musiała się martwić o pieniądze. Trafiłam do jej domu, choć wtedy nawet jej nie zobaczyłam. Niewiele pamiętam z tamtego dnia, tylko straszliwe pragnienie i ogromny hałas, głosy tysięcy ludzi. Odesłali mnie do domu na skraju miasta, świątyni, w której kobiety mogły znaleźć schronienie. Kapłanki nakarmiły mnie, wykapały i dały czyste ubrania. Zostałam tam przez jakiś czas, a potem przyszły po mnie dwie kobiety w maskach i wywiozły z Rzymu. Trafiłam tutaj, do szkoły, do Mikele.

Szirin czuła, że Thyatis uśmiecha się cierpko do wspomnień.

– Spędziłam tutaj pięć lat. To były straszne czasy! Szkoła nie toleruje żadnych przejawów nieposłuszeństwa. Wyczyściłam chyba wszystkie schody i korytarze w tych budynkach. Ale wiele się też nauczyłam. Nauczyłam się walczyć, widzieć i reagować bez zastanowienia, odruchowo. Nauczyłam się Drogi Otwartej Dłoni,

walki mieczem i wielu innych pożytecznych umiejętności.

– Wszystkiego uczyła cię Mikele?

– Nie, ona uczy tylko Drogi Otwartej Dłoni. Inna nauczycielka, Atalanta, pokazała mi, jak walczyć mieczem, a jeszcze inne nauczyły mnie czytać i pisać. W szkole pracuje wiele nauczycielek, ale Mikele najbardziej zapada w pamięć.

Szirin znów zrobiło się zimno; wiatr przybierał na sile. Była trochę zła z powodu własnej słabości; jako dziecko biegała boso po śniegu i nawet tego nie zauważała. Ogromne otwarte stepy nad Morzem Kaspijskim nie słyneły z łagodnej pogody i ciepłego klimatu. Stałam się niezdarną i zepsutą księżniczką, łąjała się w myślach. Ale to się zmieni.

– Chcesz wrócić do środka?

Szirin spojrzała na Thyatis i skinęła głową, uśmiechając się. Dwie smukłe postacie ruszyły w dół długich schodów, oblane srebrnym blaskiem księżyca.

MEKKA, ARABIA FELIX

To niemożliwe. Jak coś takiego mogło się wydarzyć? Hala klęczała na bawełnianej macie w swoim pokoju do szycia. Pokój był jasny i przestronny, zwieńczony wysokim sufitem z cedrowych belek zdobionych sztukaterią. Z dwóch stron pokój zamykały pomalowane jasną farbą ściany. Dwie pozostałe składały się niemal wyłącznie z okien, których drewniane okiennice były teraz otwarte. Za oknami widać było korony drzew pomarańczowych rosnących w położonym niżej ogrodzie. Za zielonym dywanem drzew wyrastały dachy pozostałych budynków kompleksu Banu Haszim, a jeszcze dalej rozciągała się pozostała część miasta. Hala nalała gorzkiej zielonej herbaty do małych białych filiżanek. Mahomet siedział naprzeciwko niej, na grubym perskim dywanie. Patrzył za okno, na błękitne niebo.

– Chciałem umrzeć – mówił cicho. – Ale ten głos kazał mi żyć. Jego dźwięk wypełniał powietrze jak głos Boga. Nie mogłem odmówić.

– Czy to był właśnie on? – Hala odstawiła emaliowany czajniczek, a potem wlała do każdej filiżanki łyżeczkę miodu. – Czy to był Bóg?

Mahomet odwrócił głowę i spojrzał na nią. Przyglądała mu się uważnie, bo odkąd się ocknął, zachowywał się dziwnie, jakby nagle się od nich oddalił. Pasterz znalazł go na szczycie góry, bliskiego śmierci. Dzielnny chłopiec zniósł go z góry na własnych plecach, do samego domu Chadidży. Od tego czasu minęło już wiele tygodni, lecz Mahomet dopiero od niedawna mógł chodzić i stać o własnych siłach. Pojedyncze siwe włosy w jego brodzie i włosach zamieniły się w szerokie pasma siwizny.

– Bóg? A czy ktokolwiek inny może przemawiać z powietrza niewidzialny? Ten głos mówił o siłach, które obudziły się na świecie. Powiedział, że muszę z nimi walczyć. Kazał mi działać.

Mahomet powoli podniósł filiżankę i upił łyk słodko-gorzkiej herbaty. Odstawił filiżankę i spojrzał prosto w oczy swej szwagierki.

– Muszę wypełnić to polecenie. Pojadę w świat z tymi, którzy zechcą mi towarzyszyć, i stanę przeciwko siłom, które widziałem.

Hala zmarszczyła brwi. Jej oczy błyszczały jasno nad ciemną zasłoną, którą nosiła w obecności szwagra. Spędziła wiele godzin przy łożu Mahometa, czekając, aż wyzdrowieje, słuchając jego mamrotania. Wiedziała, być może nawet lepiej niż on, jakie słowa usłyszał na szczycie góry.

– Czy to rozsądne? – spytała, biorąc do ręki igłę i wyglądając materiał na kolanach. – Najpierw trzeba zrobić parę rzeczy tutaj, w domu. Oczywiście nie można ignorować bożych nakazów, ale jeśli zamierzasz wyjechać, musisz wprzód załatwić kilka spraw.

Mahomet zmarszczył brwi. Uciekł z domu żony w dniu powrotu i poszedł w góry. Od tej pory nie widział nikogo prócz Hali i służących, co bardzo mu odpowiadało. W ciągu tych wszystkich lat, kiedy był mężem Chadidży, starał się trzymać z dala od sporów i rozgrywek politycznych, które wstrząsały szlachebnymi rodami Mekki. Liczne bogate rodziny, które mieszkały w mieście lub miały majątki w okolicy, bez ustanku walczyły ze sobą o pozycję i wpływy. Nie cierpiał ich za afronty, które czynili mu na każdym kroku; gdy żenił się z Chadidżą był ubogim sierotą. Westchnął ciężko, przygnębiony perspektywą nurzania się w tym bagnie.

– Nie widziałeś się nawet ze swoją córką – kontynuowała Hala, wypruwając krzywy szew z sukienki. – Przed wyjazdem powinieneś chociaż zjeść kolację z Rukajją w jej domu.

Mahomet westchnął ponownie, zaciskając dłonie w pięści. Nienawidził tego. Rodzinne obowiązki ciążyły mu jak ołów.

– Ona tęskni za tobą. Przychodziła tu codziennie, kiedy leżałeś nieprzytomny, i siedziała ze mną przy łożu. To ona przyniosła koszulę, którą masz teraz na sobie. Sama ją uszyła.

Mahomet spojrzał na swoją koszulę i westchnął po raz trzeci.

– Dobrze, więc jakie sprawy muszę jeszcze załatwić, nim pozwolicie mi odejść?

Hala uniosła lekko brwi, usłyszawszy gorycz w jego głosie. Już od dawna zastanawiała się, czy związek jej siostry z Mahometem nie ucierpiał z tego właśnie względu. Przypuszczała, że sprawy rozległego klanu Banu Haszim oraz skomplikowany system sojuszów i układów, które tak radowały subtelną Chadidżę, wypełniały serce kupca olbrzymimi obawami. Nie należał do ludzi, którzy dobrze sobie radzą z tego rodzaju strachem. Poza tym jako sierota nigdy nie lubił zajmować się sprawami rozległej rodziny.

– Nikt nie może cię tutaj zatrzymać – odparła, nawlekając nić na igłę. – Starszyzna zastanawia się jednak, jaka jest twoja pozycja po śmierci Chadidży. Niektórzy uważają, że powinieneś być wodzem plemion Banu Kurajsz i Banu Haszim; z jednym łączą cię więzy krwi, z drugim małżeństwo. Wiesz dobrze, że Taija i jej mąż nie zechcą cię uznać za głowę klanu. Uważają, że skoro w twoich żyłach nie płynie krew Haszymidów, nie możesz być wodzem.

– Tak? Gdyby stary Al-Uzza spłodził synów, nie byłoby problemu. Halo, twoja siostra chciała rządzić i robiła to. Ja nie chcę. Odpowiadała mi rola jej męża, lecz sama myśl o rządzeniu tym tłumem sióstr, córek i kuzynów budzi we mnie odrazę. Niech Taija i jej mąż rządzą, jeśli tego chcą. Ja wkrótce stąd wyjadę. Zabiorę moich towarzyszy broni na północ.

Hala westchnęła i odłożyła igłę. Zgromiła Mahometa wzrokiem, a potem

uśmiechnęła się, gdy ten skulił się pod jej spojrzeniem. Nie na darmo spędziła tyle lat, siedząc u stóp Chadidży.

– Tutaj chodzi o coś więcej niż tylko o ród. Twój status w rodzinie i mieście zawsze był trochę dziwny. Przez to, że przebywałeś tyle czasu w górach, niektórzy uważają cię za świętego męża. Długie miesiące i lata, które spędziłeś na podróżach, czynią z ciebie wielce tajemniczą postać. Teraz miałeś świętą wizję, o której mówiłeś często przez sen. We śnie nie miałeś żadnych wątpliwości – objawił ci się Bóg. Nie tylko ja i Rukajja słyszałyśmy te słowa. Nawet służący tego domu, choć znani z dyskrecji, plotkują czasem na rynku.

Mahomet podniósł na nią wzrok przerażony.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że wszyscy wiedzą, co się stało? Mają mnie za szaleńca?

– Owszem, niektórzy. Inni codziennie stukają do drzwi twojego domu, błagają, by pozwolono im cię zobaczyć, porozmawiać z tobą. Mówią, że dotknęli cię bogowie i że przyniesiesz im szczęście lub uleczysz ich choroby. To jeszcze pogorszyło sytuację między nami i innymi klanami. Niekórzy uważają, że chcesz zostać wielkim kapłanem Al-Kaby.

Mahomet roześmiał się głośno, choć był to śmiech gorzki i ponury.

– Przy Studni? Myślę, że szukam nieszczęścia, które dopadło mojego ojca i dziadka? Ten labirynt świątyń i ołtarzów jest jeszcze bardziej rozpolitykowany niż ten dom! Gdyby moja matka opuściła tę dolinę po śmierci starego Abda, uniknęlibyśmy wielu kłopotów.

– Gdyby tak zrobiła – odparła cicho Hala – nie poznałbyś Chadidży i nie ożenił się z nią. Nie mógłbyś cieszyć się swoimi córkami, ani nie miałbyś czasu na podróże po świecie. Nadal pasałbyś owce na pustkowiu.

Mahomet wstał raptownie i podszedł do okna. Spojrzał na rozległy, piękny ogród i luksusowe meble na patio. Wielki Dom Banu Haszim był silny i bogaty, pełen służby i członków rodziny. Jego kontakty handlowe sięgały Aleksandrii w odległym Egipcie, Sany na dalekim południu, czy nawet drugiego brzegu wielkiego morza, Sindu i Indii. Jako jego przedstawiciel i wysłannik miał okazję zobaczyć lądy, miasta i ludy, których nie widział żaden inny człowiek z Mekki. Widział cuda, o których tutaj, w tym suchym i zakurzonym miejscu, nikt nawet nie słyszał. Wszystko to dała mu jego żona, kiedy próbował jakoś przegnać jaskółczy niepokój ze swego serca.

– Masz rację – przemówił wreszcie. – Czas i okoliczności przyniosły mi wiele darów. Ona zawsze nosiła dla mnie ciężkie brzemię. Teraz to brzemię leży przy drodze. Muszę je podnieść.

– Dobrze to ująłeś – odparła cierpko Hala. – Naprawdę gotów jesteś to zrobić?

Mahomet drgnął, zaskoczony jadowitą nutą w jej głosie, i przyjrzał jej się uważniej. Miał wrażenie, że gdy leżał nieprzytomny w gorączce, stosunki między nimi uległy zmianie. Przedtem wydawała mu się mało znacząca i cicha przy swej energicznej siostrze, teraz jednak zrozumiał, być może po raz pierwszy w życiu, że to ona była fundamentem, matczynym rdzeniem tej rodziny. I choć nie miała tak ostrego języka i tak ciętego dowcipu jak jej siostra, nie była głupia ani naiwna. Mahomet powrócił na swoje miejsce, przejęty rosnącym z każdą chwilą poczuciem wstydu.

– Wyrządziłem ci krzywdę, siostrze mojej żony – powiedział, kłaniając się nisko.
– Przez wiele lat unikałem wielu obowiązków lub je ignorowałem. Ty tego nie czyniłaś. Co muszę zrobić, by naprawić to zaniedbanie?

Tym razem to Hala westchnęła i spojrzała za okno.

– Nie wiem. W mieście panuje wielki niepokój, ale powinieneś zobaczyć się ze swoją córką, póki jeszcze możesz. Obawiam się, że te sprawy może rozstrzygnąć tylko rozlew krwi. Taija i kilku innych członków plemienia są bardzo rozgniewani; inni dostrzegają sposobność tam, gdzie dotąd nigdy jej nie było. – Wstała, zmęczona nieco siedzeniem w jednej pozycji. Nie była już młoda.

– Chodź ze mną. Chciałabym ci coś pokazać.

Na ścianie widniała szeroka plama wyblakłego brązu. Mahomet pochylił się niżej i przeciągnął palcem po zakrzepłej krwi. Odpadła od ściany wraz z cienką warstwą gipsu. Na bruku wąskiej ulicy widoczne były jeszcze inne plamy. Mahomet wyprostował się i rozejrzał po pustej alejce.

– Kiedy to się stało?

Hala, której twarz zakrywała teraz cięższa zasłona, podniosła rękę i wskazała w górę ulicy. Za jej plecami stały dwie służące. Jedna z nich trzymała nad jej głową szeroki parasol, który chronił ją przed popołudniowym słońcem. Za służącymi stali dwaj Tanuchowie Mahometa.

– Przedwczoraj. Dwaj twoi ludzie, Tihuri i Sajjaki, wracali z targu z kilkoma służącymi z naszego domu. Tutaj osaczyła ich grupa mężczyzn. Byli ubrani w pustynne szaty i mieli zakryte twarze. Tihuri zginął – to jego krew jest na ścianie – ale zranił kilku napastników. Dziewczyny uciekły z krzykiem do domu. Sajjaki zabił dwóch napastników, ale reszta uciekła, zabierając ze sobą ciała.

– Czy to się zdarzało już wcześniej? – Mahomet obrócił się powoli, spoglądając na dachy domów ustawionych wzdłuż doliny. Skinął na swoich ludzi i wszyscy ruszyli powoli w dół ulicy. – Czy spory między rodzinami stały się tak zajadłe, że dochodzi do rozlewu krwi?

– Tak – potwierdziła ze smutkiem Hala. – Wiele urazów i animozji, które za

życia Chadidży były uśpione, odżyło teraz na nowo. Próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej o tym napadzie: niektórzy mówią, że to sprawka Haszymidów, inni że to Ben Sarid nasłał tych ludzi.

Mahomet przyspieszył kroku, by dogonić szwagierkę.

– Ben Sarid? A o cóż oni mogą się z nami kłócić? Stary Menachem był jednym z najlepszych przyjaciół mojego ojca. Podarował mi nawet pewną książkę, kiedy po raz pierwszy wyjeżdżałem z miasta.

Hala roześmiała się gorzko.

– Twój ojciec nie żyje, podobnie jak Menachem. Jego syn, Uri Ben Sarid, jest teraz przywódcą rodu, i chce uczynić swój dom równie bogatym jak nasz. Jego pośrednicy już spierają się z naszymi w dokach portów od Aelany do Zanzibaru. Oficjalnie relacje między naszymi rodzinami są całkiem poprawne, ostatnio jednak wyraźnie się ochłodziły. On dobrze wie, że przymierze Kurajszytów i Haszymidów bliskie jest rozpadu, a jego rodzina może tylko na tym skorzystać.

Mahomet pokręcił głową niezadowolony. W młodości spędził wiele dni na wspólnej zabawie z Urim, ścigając się z nim między posągami i ołtarzami rozległego kompleksu budynków tworzących Dzielnicę Świętej Studni. Ojciec Mahometa był niegdyś dobroczyńcą tutejszej świątyni Allaha, a stary Menachem był mędrcelem i nauczycielem swojego ludu. Nie chciałby myśleć o nim jako o swoim wrogu. Z drugiej jednak strony nie uciekał przed tą myślą – rozczarował już swoją rodzinę i przyjaciół i nie chciał czynić tego ponownie.

– Czyli ogólnie rzecz biorąc, miasto jest podzielone na trzy frakcje – przemówił po chwili. – Może nawet dwie, jeśli uda się rozwiązać ten problem z Haszymidami, Tajją i jej kuzynami.

Hala i jej służące dotarły do drzwi na tyłach wielkiego domu. Przy bramie ujrzeli kilku Tanuchów, większość siedziała lub stała w cieniu wielkich drzew wyrastających nad mur. Wszyscy byli uzbrojeni. Mahomet przyjrzał się im z aprobatą. Pomimo pozorów rozleniwienia jeźdźcy pustyni byli czujni i gotowi do walki. Mahomet poczuł nagle dziwne mrowienie na karku i odwrócił się od bramy, przez którą przeszła właśnie Hala i jej służące. Dwie lub trzy przecznice dalej, w cieniu budynku stał jakiś człowiek.

– Obserwują przez cały czas, kapitanie.

Mahomet skinął lekko głową, przyjmując do wiadomości słowa tanuskiego wartownika. Potem wszedł do środka. Jego ludzie pozostali na straży, którą trzymali nieprzerwanie, odkąd wrócił z gór. Oni przynajmniej nie sprawiali mu żadnego kłopotu.

– Tutaj, panie. To jest dom szlachetnej Rukajji.

Mahomet wcisnął monetę w dłoń służącego i oddalił go skinieniem głowy.

Mężczyzna uklonił się nisko i ruszył w drogę powrotną, niosąc przed sobą lampę zawieszoną na długim drągu. Kupiec stał przez chwilę nieruchomo, skubiąc kołnierz koszuli. Hala i jej służące spędziły niemal godzinę na rozczesywaniu jego włosów i brody oraz układaniu kurty i haftowanej koszuli na jego szerokich ramionach. Chciały też go namówić na pofarbowanie siwych pasm w brodzie, lecz Mahomet odwiódł ich od tego pomysłu.

– Wyglądam, jak wyglądam – burczał, budząc śmiech kobiet, które jednak ostatecznie dały za wygraną.

Zmarszczył brwi i rozejrzał się dokoła; tutaj ulice były szerokie, a przed każdym domem paliły się pochodnie lub lampy. Mimo to wciąż miał wrażenie, że ktoś go obserwuje, a panująca dokoła martwota działała mu na nerwy.

– Kapitanie?

Mahomet skinął głową na dwóch Tanuchów tworzących jego eskortę. Jednym z nich był Sajjaki, który niedawno uciekł z zasadzki przy targowisku, gdzie został raniony w nogę. Towarzyszył mu Da'ud, który przyłączył się do nich na pustyni, na południe od zrujnowanej Palmyry. Mahomet uważał, że Da'ud jest nieco za młody na pustynnego bandytę, chłopiec okazał się jednak zaskakująco sprawny w boju i rozważny.

– W porządku – mruknął i ruszył w górę schodów prowadzących do schowanych w murze drzwi wejściowych. Zastukał energicznie w ciężkie drewniane deski, z których zbite były drzwi. Wyglądało na to, że Rukajji nieźle się powodzi; kołatka wykonana była z mosiądzu, a nie z tańszego żelaza. Po chwili drzwi otworzyły się na całą szerokość, a dwaj ciemnoskórzy służący przywitali Mahometa niskimi ukłonami.

– Poinformujcie, proszę, panią domu, że przybył jej ojciec – oświadczył Mahomet, przechodząc przez próg. Służący uklonili się ponownie, a jeden z nich odszedł w głąb domu. Do środka weszli także dwaj Tanuchowie, którzy ani na chwilę nie zdejmowali dłoni z rękojeści mieczy. Mahomet odsunął się od drzwi i wziął głęboki oddech.

Nie widział Rukajji prawie od sześciu lat. Została odesłana do rodziny zastępczej w mieście Abha na południu, a kiedy wróciła, on właśnie przebywał w Indiach. Gdy on wrócił wreszcie do domu, okazało się, że Rukajja wyszła za mąż za jednego ze swych dalekich kuzynów – Szarifa z rodu Al-Kusr – i opuściła dom matki. Mahomet uświadomił sobie ze smutkiem, że nie rozpoznałby jej na ulicy, gdyby przeszła obok niego.

Czyżby naprawdę aż tak długo mnie tutaj nie było?

Otworzyły się wreszcie wewnętrzne drzwi. Inny służący zaprosił ich gestem do centralnej części domu. Ściany holu okrywały gobeliny i draperie, dzięki czemu

wyglądał on jak wielki namiot pustynny. Ułożone na podłodze dywany odsłaniały wąski pas ceramicznych płytek tworzących ścieżkę. Mahomet szedł szybko, mijając marmurowe posągi i kufry z palisandru. Pośrodku holu znajdowało się podwyższenie, do którego prowadziły trzy kamienne stopnie. Na podwyższeniu czekała młoda kobieta z rękami złożonymi skromnie na brzuchu, ubrana w suknię z drogiej czerwono-pomarańczowej tkaniny. Złoty łańcuszek podtrzymywał półprzezroczystą zasłonę na jej twarzy. Mahomet uklonił się nisko, przykładając dłoń do serca.

– Szlachetna pani, dziękuję ci za twą gościnność. Jestem Mahomet z plemienia Kurajszytów.

Kobieta roześmiała się melodyjnie i wzięła go za rękę.

– Ojcze! Tak oficjalnie zwracasz się do własnej córki! Czyżbyś mnie nie rozpoznał?

Mahomet poczerwieniał ze wstydu i podniósł oczy, szukając słów, którymi mógłby przeprosić Rukajję za ten nietakt. Gdy jednak spojrzał na swą córkę, zaniemówił na dłuższy czas ze zdumienia.

Wydawało się, że w Rukajji znów ożyła jego żona i to taka, jaką zapamiętał z ich pierwszego spotkania. Ten sam silny nos i wyraziste rysy, te same jasne oczy i ogromna chmura włosów. Po chwili opamiętał się jednak i zaczął dostrzegać też subtelne różnice: oczy Chadidży miały kolor bursztynu, a oczy jego córki były ciemnobrązowe, niczym filiżanka etiopskiego „czarnego napoju”; skórę Chadidży pokrywały maleńkie blizny, pamiątka choroby przebytej w dzieciństwie, natomiast skóra Rukajji była idealnie gładka.

– Ojcze, usiądź przy mnie, proszę i opowiedz mi o swoich podróżach.

Mahomet pozwolił, by córka zaprowadziła go przez hol do pokoju dziennego. Podobnie jak w domu jej matki, okna salonu wychodziły na ogród. Teraz w ogrodzie zalegały ciemności rozpraszane drżącym blaskiem świec, które odbijały się w ozdobnych sadzawkach i migotały pośród krzewów róż. Mahomet usiadł na rzymskiej sofie okrytej grubym aksamitem. Do pokoju weszli służący, którzy nieśli na tacach puchary z winem i pocięte na kawałki owoce w małych misach. Mahomet upił łyk wina i uniósł lekko brwi w wyrazie aprobaty.

– Dobrze, prawda? Chciałam podać ci tylko to, co najlepsze.

Rukajja usiadła na krześle naprzeciwko ojca. Mahomet, zaskoczony luksusowym wyposażeniem domu, dopiero teraz zaczął sobie uświadamiać, jak wielkimi bogactwami rozporządza rodzina Chadidży – jego rodzina. Odstawił puchar z winem – było to wino z Lacjum! – na pokryty masą perłową blat stołu. Królewski gest córki wzruszył go, ale i zaniepokoił. Ostrzeżenia Hali o sporach wewnątrz plemienia coraz mocniej do niego przemawiały. Spojrzał na córkę, jej ubrania, biżuterię i służbę okiem kupca.

Kontakty handlowe rodu Banu Haszim obejmowały całą Arabię, a tym samym cały świat. Na północy i zachodzie leżał Rzym i jego ogromne, spragnione luksusowych towarów miasta. Arystokraci i bogacze ze starego cesarstwa łaknęli bez ustanku indyjskich rubinów, jawajskiego pieprzu i cynamonu, moluckiego kardamonu, tymianku i mirry. Z Pamiru sprowadzano jedwab, porcelanę i jadeit, z Indii stal, z Chin gumę i sok z makówek, a z wybrzeży Afryki dzikie zwierzęta. Rzym wchłaniał ogromne ilości towarów i równie hojnie płacił. Płacił złotem i srebrem, ceramiką i maszynami, których nie potrafił wytworzyć żaden inny naród. Płacił bronią i wykwalifikowanymi niewolnikami. Wszystko to musiało przepłynąć przez morze, a Zatoka Arabska była drogą łączącą Wschód z Zachodem. Ze względu na położenie, Dom Banu Haszim idealnie nadawał się do przygotowania i wysyłania towarów na Wschód i Zachód, oraz ściągania opłat od tych kupców, których transporty przechodziły przez to miejsce. Wszystkie okręty z Indii musiały przepłynąć przez wody kontrolowane przez floty Dżuddy i Sany; wszystkie karawany kupieckie z Rzymu musiały przybyć do portów, w których czekali pośrednicy i agenci Haszymidów, którzy ściągali opłaty, mieli dostęp do magazynów, wiedzę i kontakty, pozwalające im wycisnąć ostatniego aureusa z każdej transakcji.

– Córko... Kukaj jo, minęło tyle czasu... Przykro mi, że nie byłem na twoim ślubie. Wiem, że to musiało cię zabołec.

Rukajja wstała z krzesła, odgarnęła suknię do tyłu i ukłękła obok swego ojca, ujmując w swe wypiełgnowane dłonie jego sękatą, poznaczoną bliznami dłoń. Mahomet wyczuwał w jej włosach delikatny zapach perfum.

– Ojcze, nie żywię do ciebie urazy. Często rozmawiałam z mamą o twojej pracy. Wiem, dlaczego musiałeś tak często wyjeżdżać. Cieszę się, że w końcu dotarłeś tutaj, do mojego domu. Ostatnio w mieście dzieją się złe rzeczy. Wiem, że o tym słyszałeś. I wiem, że znów może zapanować tu pokój, jeśli ty tego zechcesz.

Mahomet popatrzył prosto w oczy swej córki. Odpowiedziała mu stanowczym spojrzeniem, wyraźnie zatroskana.

– Nie żywię urazy do nikogo w tym mieście, córko. Ale czy inni także pragną pokoju?

– Tak – odparła, wstając z klęczek. – Zaprosiłam dwóch z nich, by zjedli dziś z nami kolację. Znasz ich, to Uri Ben Sarid i mój wuj, Taufik. Pamiętasz go; poślubił ciotkę Taję.

Mahomet zmarszczył brwi; Taufik uważał go za wroga i intruza od pierwszej chwili, gdy ich drogi się skrzyżowały. Ten haszymidzki arystokrata zawsze traktował kupca Kurajszytę z lodowatą uprzejmością. Teraz jego uszy też z pewnością były wypełnione jadem, który sączyła do nich Tajja.

- Zechcą przyjść? Rukajja znów się roześmiała.
- Już tutaj są, ojczce. Czekają w jadalni. Chodźmy do nich.

– Dżalal? – rozbrzmiał szept w ciemnościach. Tanuch odwrócił się, nie odrywając jednak spojrzenia od ulicy w dole. Wzdłuż krawędzi dachu przesuwawała się jakaś postać.

– Ssz... – syknął Dżalal na swojego towarzysza, a potem przywołał go do siebie ruchem dłoni. Młodszy mężczyzna, jeden z Palmyrczyków, którzy wraz z Mahometem opuścili zrujnowane miasto, przysunął się do niego.

– O co chodzi? – spytał Dżalal ledwie słyszalnym szepem, przystawiając usta do ucha chłopca.

– W tamtej alejce są jacyś ludzie – odparł Palmyrczyk. – Trzydziestu albo czterdziestu.

– Uzbrojeni? – Dżalal odwrócił się ponownie w stronę ulicy. Była to wąska alejka w starszej części miasta, u podnóża wzgórza. Tutaj, w labiryncie uliczek i jedno – lub dwupiętrowych budynków mieszkali ludzie z rodu Kurajszytów. Bogactwa Banu Haszim, ich posiadłości i budynki na zboczach wzgórz znajdowały się już poza miastem, nie dość jednak daleko, by nie sięgał tam smród garbarni i zapach zbyt wielu ludzi stłoczonych w jednym miejscu. Po ataku na Tihuriego i Sajjakięgo kapitan wysłał ich tutaj, między swoich krewnych. Dżalal czuł się tu znacznie lepiej, choć w tej dzielnicy, każdy, kto nie należał do Kurajszytów, traktowany był z podejrzliwością lub wręcz z nienawiścią. Tanuchowie też byli obcy, służyli jednak ukochanemu wodzowi Kurajszytów, a to naprawdę wiele znaczyło. Bez ustanku trzymano także silną straż, kapitan obawiał się bowiem, że wcześniej czy później jego wrogowie przestaną bawić się w chowanego i przejdą do otwartego ataku.

Być może teraz miało się okazać, że czekali zbyt długo. Dżalal nadstawił uszu – tak, słyszał tupot nóg. Sięgnął za siebie, po łuk leżący na dachu. Była to krótka, mocna broń, podobna do tej, jaką posługiwali się Hunowie z zimnych północnych stepów. Dżalal usiadł wygodniej i ułożył sobie na kolanach kołczan ze strzałami. Palmyrczyk usiadł obok niego.

– Chłopce, idź szybko na dół i obudź wszystkich. Powiedz Szadinowi, że zaatakują też z tej strony. Niech wszyscy będą gotowi do walki. Czeka nas dzisiaj ciężka przeprawa.

Chłopiec skinął głową i ruszył w drogę powrotną. Dżalal przeciągnął kciukiem wzdłuż zakrzywionego drzewca. Nie patrząc na kołczan, odszukał strzałę o trójkątnym grocie, nałożył ją na cięciwę, którą odciągnął do samej brody. Skierował strzałę w dół i czekał. Tupot się zbliżał.

Mahomet wszedł do przestronnego pokoju – wydzielonej części holu, otoczonej z trzech stron przez lekkie ramy, na które naciągnięto ryżowy papier ozdobiony malowidłami gór i nieba. Na niskim stoliku ustawiono naczynia z jedzeniem i pić. Po przeciwległych stronach stołu siedziało już dwóch mężczyzn, przed którymi stały puchary z winem. Wyglądało na to, że żaden z nich nawet nie tknął napoju. Kukaj ja weszła za Mahometem i ukloniła się obu mężczyznom.

– Drogi wujku – przemówiła, zwracając się do mężczyzny siedzącego po prawej – witaj w moim domu. Niech bogowie mają w opiece ciebie i twoją rodzinę.

Wuj Taufik, chudy mężczyzna o długim zakrzywionym nosie i rzadziejących siwych włosach, odpowiedział Rukajji ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy, a nawet nie spojrzął na Mahometa. Ubrany był w długie, czarno-szare szaty o tradycyjnym kroju. Siedział sztywno wyprostowany, skubiąc nerwowo długą czarną brodę. Mahomet uśmiechnął się lekko, zauważył jednak, że dłoń jego szwagra spoczywa tuż obok rękojeści szabli ukrytej wśród fałdów jego szaty.

– Szlachetny Uri Ben Sarid – mówiła dalej Rukajja, kłaniając się drugiemu mężczyźnie. – Witaj w moim domu. Niech bogowie mają w opiece ciebie i twoją rodzinę.

Uri wstał i uśmiechnął się szeroko. On także był szczupły, widać jednak było, że dba o formę, i że jego szaty kryją sploty twardych jak żelazo mięśni. Miał wąski nos, wyraźnie zarysowane brwi i krótko przycięte włosy – zgodnie ze zwyczajem swego plemienia – oraz wypielegnowane wąsy i brodę. Uklonił się Rukajji, a potem przeszedł obok niej, by zamknąć Mahometa w niedźwiedzim uścisku.

– Przyjacielu! Zbyt długo się już nie widzieliśmy!

Mahomet odpowiedział mu równie szerokim uśmiechem, zadowolony, że widzi w twarzy swego przyjaciela niekłamaną radość. Uścisnął mocno jego dłoń, a potem skłonił się nisko.

– Urwis Uri, postrach targowisk, a teraz wódz Ben Sarid; wódz, bogowie, wódz! Dobra robota, mój przyjacielu.

– Usiądźcie, proszę – powiedziała Rukajja, zapraszając ich z powrotem do stołu. Sama zajęła miejsce najbliżej drzwi, jak nakazywał dobry obyczaj. Mahomet usiadł naprzeciwko, zwrócony twarzą do drzwi. Taufik zajmował miejsce po jego lewej stronie, a Uri po prawej. Kurajszyta skłonił głowę ku swej córce i uśmiechnął się. Pochwyciła jego spojrzenie i odpowiedziała uśmiechem.

– Pierwsze danie – przemówiła – to lekki owocowy syrop – z kawałkami pomarańczy, cytryny oraz malinami.

Klasnęła w dłonie, a do pokoju weszły dwie urodziwe służące obciążone

srebrnymi tacami, na których stały małe szklane miseczki. Mahomet przyjął podane mu naczynie, dziwiąc się niezwyklej przejrzystości szkła, i poczekał, aż gospodyni sięgnie po pierwszy kęs. Rukajja wyjęła z miski kawałek pomarańczy i przegryzła go na pół.

Dżalal wypuścił strzałę z łuku i natychmiast sięgnął po następną, która znalazła się w powietrzu, nim jeszcze pierwsza przeszła ramię jednego z setki ludzi biegnących wzdłuż ulicy. Mężczyzna krzyknął z bólu, gdy drzewce o czarnych lotkach przebiło jego ramię, gruchocąc po drodze kość. Na jego ubraniu natychmiast wykwitła ciemna plama krwi, a on sam runął na swoich kolegów. Mężczyźni podnieśli wściekły krzyk, jednak jeden z nich umilkł nagle, gdy druga strzała przeszła jego gardło tuż nad żelaznym kołnierzem kolczugi. Zachwiał się i upadł, obryzgując bruk ulicy krwią. Kilku biegnących za nim ludzi runęło na jego ciało, wstrząsane przedśmiertnymi drgawkami.

Dżalal podniósł się na równe nogi i strzelił ponownie, prosto w wąską ulicę. Pierwszy szereg nacierających dotarł właśnie do drzwi domu, w ruch poszły topory i młotki. Strzała Dżalala wbiła się z brzękiem w hełm jednego z mężczyzn atakujących drzwi toporem. Mężczyzna uderzył jeszcze raz, odłupując wąską drzazgę, potem jednak znieruchomiał i osunął się martwy na ziemię. Coraz gęstszy tłum napierał na wejście, Dżalal zmienił więc taktykę, strzelając jak najszybciej prosto w ludzką gęstwinię. Powietrze wypełniły wrzaski bólu i gniewu.

Z wnętrza domu zaczęli wybiegać Tanuchowie, którzy ustawili się wzdłuż krawędzi dachu. Każdy z nich trzymał w rękach łuk podobny do broni Dżalala, a towarzyszył im chłopiec niosący kosze pełne strzał. Dżalal usłyszał brzęk ostrzy dochodzący zapewne z sąsiednich ulic. Wystrzelił ponownie, odprowadzając spojrzeniem strzałę, która zniknęła w gąszczu ludzi na ulicy. Z nieba zaczęły spadać kolejne strzały, a coraz więcej napastników padało bez życia na bruk. Dżalal czuł dym i gorzki zapach krwi unoszący się w powietrzu.

– Oto drugie danie – oświadczyła Rukajja, podając wujowi srebrną tacę. – Proszę, wuju, spróbuj tych przepiórek. Są bardzo słodkie, nadziewane orzechami i miodem.

Taufik zmarszczył brwi, zsunął jednak dwa maleńkie ptaki na swój talerz, na którym leżał już ryż i chleb. Haszymida podał tacę Mahometowi, który przyjął ją z uprzejmym uśmiechem.

– Widzicie? – powiedziała gospodyni, kiedy taca okrążyła już stół. – Możemy siedzieć przy jednym stole i dzielić się posiłkiem, jak rodzina i przyjaciele. – Skłoniła lekko głowę w stronę Taufika i uśmiechnęła się promiennie. – Wuju, czyż dom,

w którym panuje pokój, nie jest cudownym domem?

Taufik obdarzył ją gniewnym spojrzeniem i przerwał jedzenie.

– W domu, w którym panuje pokój, każdy zna swoje miejsce i pracuje dla wspólnego dobra. Dom, w którym służący uważają się za panów, jest domem nieszczęśliwym i niegodnym. – Haszymida przerwał na moment i uśmiechnął się słabo do Uriego. – Oczywiście, członkowie rodziny Ben Sarid są nam równi z prawa i urodzenia.

Mahomet z najwyższym trudem utrzymał język za zębami. Ciekaw był, jak Rukajja poradzi sobie z tą sytuacją.

– Wujku, proszę! Nikt w naszym plemienu nie chce sięgać ponad należne mu miejsce. Ale ty jesteś niezadowolony; proszę powiedz, dlaczego?

Oczy Taufika błysnęły gniewnie. Otworzył usta, by odpowiedzieć gospodyni, kiedy do pokoju znów weszły służące, tym razem niosąc wielką tacę z pieczonym jagnięciem ułożonym na ryżu i przybranym ziołami.

– Ach! – zakrzyknęła Rukajja, podnosząc ręce i odwracając się od swego wuja. – Główne danie! Proszę, spróbujcie sosu miętowego. Zrobiłam go sama według starego przepisu, który poznałam w domu mojej mamy. Jest pyszny!

Płomienie ogarniały jedno skrzydło budynku, strzelały z okien wychodzących na ogród. Dżalal krzyknął na swoich ludzi walczących między drzewami i wskazał na ogień. Napastnicy przeskakiwali przez mur otaczający ogród; pomyśleli o zabraniu drabin. Tanuchowie walczący na podwórzu wycofali się na długą, zadaszoną werandę na tyłach domu. Dżalal i jego łucznicy osłaniali z dachu ich odwrót. Tuzin napastników padł na ziemię, przeszyty czarnymi drzewcami, na ich miejsce nadbiegali jednak kolejni.

– Jest ich zbyt wielu – wydyszał Szadin, który przed momentem wspiał się na dach. Był czarny od sadzy i dymu, w wirze walki zgubił gdzieś hełm. Jego miecz ociekał krwią, a oczka koleczugi zlepione były błotem.

– Tak. – Dżalal skinął głową, nakładając na cięciwę kolejną strzałę. – Musimy wezwać posiłki.

Wymierzył i wypuścił strzałę, nie zwracając uwagi na huk płomieni i trzask dachówek pękających w żarze. Kolejny napastnik zachwiał się i runął na ziemię. Krzycząc z bólu próbował zatamować dłońmi krew tryskającą z przerwanej tętnicy udowej. Dżalal szukał już następnego celu. Gdy go ujrzał, w jednej chwili sięgnął po strzałę, napiął łuk i zwolnił cięciwę. Pocisk chybił celu, kiedy napastnik poruszył się w ostatniej chwili.

– Kogo? Kurajszytów? Wątpię, czy zechcą pomóc komuś, z kim nie łączą ich

więzy krwi.

Dżalal opuścił łuk. Napastnicy w ogrodzie otworzyli bramę i wbiegali na podwórze. Tanuch gestem nakazał chłopcu trzymającemu kosze ze strzałami, by się wycofał. Potem wraz z pozostałymi Tanuchami ruszył w stronę wjazdu.

– Gdzie jest Sajjaki? Ma w siodle coś, co mogłoby się na przydać. Szadin pokręcił głową.

– Pojechał z dowódcą na kolację. Co masz na myśli?

Dżalal zaklął pod nosem – w bitewnym zamieszaniu całkiem zapomniał o kapitanie. Teraz jego dowódca i pan przebywał gdzieś na wzgórzu, z dala od swych podwładnych, być może nawet już nie żył. Utrzymanie tego budynku i tak mijało się z celem. Zatrzymał się przy włączu prowadzącym w głąb domu. Z dołu dochodziły odgłosy bitwy, szcęk żelaza i krzyki umierających ludzi. Wyglądało na to, że parter nadal był w rękach Tanuchów.

– Szadin, podpał drugie skrzydło domu i nie dopuszczaj tych bandytów na dach. Wyjdziemy stąd przez frontowy mur. Za chwilę wrócę tu z całą resztą.

Dżalal zbiegł ze schodów i zaczął przywoływać do siebie walczących na dole Tanuchów. Słyszał też kroki Szadina i jego ludzi biegnących po dachu. Pod sufitem w holu pojawiły się pierwsze smugi dymu.

Mahomet odsunął od siebie pusty talerz, wielce zadowolony z kolacji. Kucharze córki go nie zawiedli – jagnięcina była krucha i delikatna, marchewki i sos doskonale przyrządzone. Użyto tylko delikatnych ziół, które podkreśliły smak mięsa, a nie przytłumiły go całkiem, jak często bywało na rzymskich ucztach. Z przyjemnością też słuchał Uriego i Taufika dyskutujących o rodzinnych koligacjach i układach. Wszystko to przypominało mu jego własny dom.

– To absurdalne – warknął Taufik, celując w Ben Sarida kawałkiem chleba. – Banu Haszim powinni przewodzić temu miastu, zarówno ze względu na tradycję, jak i to, że najlepiej się do tego nadajemy. Mamy doświadczenie, odpowiednie środki i zapał do pracy.

– Nieprawda! – zaprotestował Uri. – Prawo celne i podatkowe sprzyjają istniejącym już przedsiębiorstwom, takim jak wasze! Ogromne opłaty za wznoszenie nowych budynków czy renowację starych zniechęcają tych z nas, którzy chcą prowadzić w mieście nowe interesy. Chronicie swoje przedsięwzięcia naszym kosztem, choć pracy, towarów i pieniędzy starczyłoby dla wszystkich!

Taufik roześmiał się głośno, brzydkim, drwiącym śmiechem. Mahomet powrócił myślami do bieżących spraw. Choć podczas kolacji Rukajja próbowała wywołać dyskusję między Kurajszytą i Haszymidą, Taufik uparcie unikał wszelkich

drażliwych tematów. Potem Uri dał się wciągnąć w rozmowę o podatkach i opłatach. Mahomet spojrzał na córkę i uniósł brew w niemym pytaniu.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i odpowiedziała mu bezradnym spojrzeniem.

Cóż, pomyślał. Nie jest jeszcze taka, jak jej matka. Ale może z czasem...

– Szlachetny Taufiku – przemówił Mahomet spokojnie, jego słowa jednak natychmiast przerwały zażarty spór o podatki. – Musimy porozmawiać o sprawie przywództwa rodu Banu Haszim. Zgodnie z prawem przywództwo to należy do mnie, jako do spadkobiercy Chadidży, wiem jednak, że nie wszyscy są z tego zadowoleni. Czy kwestionujesz moje prawo do kierowania naszym rodem?

Taufik otworzył usta ze zdumienia, kompletnie zaskoczony tak bezpośrednim postawieniem sprawy. Po chwili zamknął usta, przyjrzał się Mahometowi spod przymrużonych powiek i zaczął skubać brodę, obmyślając odpowiedź.

– Szlachetny Mahomecie – zaczął po chwili, nim jednak mógł dokończyć, w holu rozległ się krzyk i brzęk. Mahomet spojrzał na drzwi i w ostatniej chwili dostrzegł kątem oka błysk ostrza, które pojawiło się nagle w dłoni Taufika. Rzucił się natychmiast w bok, krzycząc na alarm. Nóż przedziurawił nogawkę jego spodni i oderwał kawałek materiału. Mahomet przetoczył się na bok i wyciągnął szablę z pochwy. Uri zerwał się na równe nogi i także sięgnął po broń.

Z holu znów dobiegły krzyki i odgłosy walki. Rukajja także zerwała się ze swego miejsca i przerażona zakryła usta dłońmi. Mahomet nie zwracał na nią uwagi, zajęty poczynaniami Taufika, który przewrócił kopniakiem stół, posyłając w jego stronę deszcz naczyń, ryżu i kości jagnięcia. Mahomet odskoczył na bok, uciekając przed kantem stołu, który rozdarł papierową ścianę za jego plecami. Podniósł szablę i przeszedł do kontrataku.

Stal uderzyła z brzękiem o stal. Taufik nie ustępował ani na krok, zasypując go gradem pchnięć i ciosów. Mahomet cofnął się o kilka kroków, rozrywając ramieniem drugą papierową ścianę, by zrobić miejsce do walki. Odgłosy walki dobiegały już nie tylko z holu, ale i sprzed domu. Pochłonięty parowaniem szaleńczych ataków Taufika, Mahomet nie słyszał, jak tanuscy strażnicy wykrzykują jego imię. Zablokował cios wymierzony w głowę, po czym sam ciął przeciwnika pod kolano. Haszymida odskoczył do tyłu, a Mahomet rzucił się do ataku. Taufik plunął mu w oko, Kurajszyta w porę jednak obrócił głowę i z całej siły naparł na przeciwnika ramieniem. Ciało Taufika poleciało do tyłu, wyłamując z głośnym trzaskiem cienkie drewniane deski przeciwległej ściany.

Mahomet przeskoczył nad leżącym na podłodze stołem, ale poślizgnął się na kałuży rozlanego tłuszczu i runął ciężko na plecy. Taufik wygramolił się spomiędzy połamanych desek i zamierzył nań szablą. Mahomet przetoczył się na bok, w ostatniej

chwili uciekając przed ostrzem szabli, które uderzyło z brzękiem w podłogę. Jednocześnie kopnął Haszymidę w gołe nóżki. Arystokrata krzyknął z bólu i wściekłości, a potem zamachnął się do kolejnego ciosu, tym razem mierząc w brzuch Mahometa. Kupiec zablokował uderzenie głowicą szabli, obrócił się na plecy i wyprowadził mocne kopnięcie prosto w splot słoneczny przeciwnika. Taufik jęknął bezgłośnie i runął na plecy, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami.

Mahomet podniósł się szybko z podłogi, a jego miecz wbił się pod brodę Taufika i rozerwał mu gardło. Mahomet odsunął się do tyłu i wytarł ostrze miecza w nogawkę spodni. Powietrze wypełniał brzęk stali uderzającej w stal. Kupiec obrócił się i przewrócił kopniakiem papierową ścianę.

Wielki hol wypełniony był ciałami martwych i konających ludzi. Kolejni – Banu Haszim, sądząc po szatach i turbanach – wbiegali właśnie do wnętrza domu. Służący i strażnicy Rukajji zginęli lub uciekli. Sajjaki i Da'ud cofnęli się aż do jadalni i walczyli u boku Uriego, który zdobył skądś włócznię. Haszymidzi rozproszyli się, atakując ich szeroką ławą.

– Na schody – krzyknął Mahomet, wskazując do tyłu, na szerokie schody prowadzące na piętro. – Rukajjo, biegnij pierwsza i zbierz swoich służących. Potrzebujemy pokoju z mocnymi drzwiami! Sajjaki, Da'ud, za nią! Uri, do mnie!

Mahomet wycofał się na schody, gotów upuścić krwi pierwszemu śmiałkowi, który go zaatakuje. Uri stał u jego boku, podczas gdy pozostali pobiegli w głąb korytarza. Haszymidzi podchodzili coraz bliżej. Mahomet przyglądał się im z uwagą – wszyscy ubrani byli w grube szaty, pod którymi kryły się kolczugi i lekkie zbroje. Pierwszy szereg napastników dotarł już na schody. Nad ich głowami unosił się las włóczni i tarcz gotowych do ataku. Mahomet przesunął stopę na bok, a wyczuwszy pod nią kraniec dywanu, odskoczył do tyłu, na szczyt schodów. Na ścianach wisiały dwie lampy olejowe z rżniętego szkła. Mahomet podchwycił spojrzenie Uriego i wskazał głową na lampę po jego lewej ręce.

Haszymidzi kłębiący się na schodach podnieśli nagle krzyk i rzucili się do ataku, prowadzonego przez dwóch wojowników. Mahomet przesunął się o jeden stopień w dół i wyprowadził zamaszyste cięcie z półobrotu. Mężczyzna po lewej odchylił się do tyłu, jego towarzysz próbował jednak zanurkować pod ostrzem. Mahomet zmienił nagle kierunek uderzenia, wkładając w ten ruch całą siłę. Indyjska stal trafiła napastnika w bark. Oczka kolczugi zaiskrzyły w zetknięciu z twardym ostrzem i pękły. Szabla wbiła się w ciało napastnika, a Mahomet szarpnął ją na bok, rozrywając chrząstki i kość. Napastnik krzyknął przeraźliwie, a krew z jego rozszarpanego ramienia obryzgała biegnących za nim mężczyzn.

Tymczasem Uri zamarkował cios skierowany na mężczyznę, który uskokzył przed atakiem Mahometa, a potem ściągnął włócznią lampę zawieszoną na ścianie

i rzucił ją prosto w tłum atakujących. Szkło pękło na drobne kawałki, a płonący olej trysnął na twarze Haszymidów. Jeden z nich runął natychmiast do tyłu, gdy ogień ogarnął całą jego głowę. Otworzył usta do krzyku, lecz zachłysnął się tylko olejem, który wlał się do jego gardła. Uduszony ogniem i dymem, stoczył się bezwładnie w dół schodów. Uri wrzasnął triumfalnie i obrócił się w lewo, atakując włócznią jednego z poparzonych Haszymidów. Szerokie ostrze uderzyło w mostek mężczyzny i przebiło je z trzaskiem. Uri odepchnął kopniakiem umierającego mężczyznę, uwalniając drzewce i zrzucił w tłum napastników.

Mahomet ponownie wycofał się o kilka kroków, odpierając jednocześnie ataki trzech napastników. Uri stał o krok za nim, a jego włócznia wysuwała się zza jego pleców i cofała niczym atakujący wąż. Na schody wbiegały coraz to nowe zastępy Haszymidów. Cofając się powoli pod naporem atakujących wrogów, Mahomet trafił plecami na wielką donicę i musiał odskoczyć na bok, by nie dosięgły go dwie włócznie. Cofnął się szybko o krok i napał ramieniem na wielką donicę, która runęła z hukiem na podłogę. Haszymidzi odsunęli się do tyłu.

– Uciekaj! – krzyknął Mahomet do Uriego, ruszając biegiem w dół korytarza. Ściągał ich wściekły wrzask.

Dach budynku zapadł się do środka z wielkim hukiem, z okien strzeliły fontanny płomieni i iskier. Gdzieś w środku zapaliła się amfora z olejem lub żywicą sosnową, i błękitne płomienie dołączyły do pomarańczowoczerwonej feerii ognia, który ogarniał drewno i słomę. Działal stał na ulicy, pośród rozrzuconych na bruku ciał, i wrzeszczał na swoich ludzi:

– Formować szyk! Formować szyk!

Tanuchowie biegli doń z ciemności, obładowani bronią i sprzętem. Był wśród nich Szadin, który trzymał w dłoni drzewce ze zwiniętą chorągwią. Działal roześmiał się z ulgą na ten widok – bał się, że chorągiew przepadła w płonącym domu.

– Rozwinąć sztandar naszego dowódcy! – ryknął, przekrzykując huk płomieni. Ich niespodziewany atak na ulicy odepchnął Haszymidów strzegących frontowego wejścia do domu. Rozczłonkowane ciała świadczyły o umiejętnościach i sile tanuskich wojowników. Szadin uśmiechnął się w ciemności, błyskając białymi zębami. Kilkoma wprawnymi ruchami rozwiązał wstążki oplatające chorągiew.

Kilku Tanuchów, którzy dotarli już do Szadina i Działala, obróciło się i wyciągnęło łuki. Po drugiej stronie ulicy kryli się Haszymidzi, którzy próbowali przegrupować szyki. Brzęknęły zwalniane cięciwy, a dwóch Haszymidów padło bez życia na ziemię. Szadin wznosił sztandar, długi trójkątny proporzec, który w blasku płonących budynków wydawał się całkiem czarny. Od ciemnego tła odcinał się wyraźnie kształt pojedynczej zakrzywionej szabli. Działal spojrzał z dumą na ów

symbol i podniósł szablę, krzyząc:

– Za dowódcę! Za Kurajszytę!

Wszyscy Tanuchowie przyłączyli się do niego, wrzeszcząc z całych sił:

– Za Kurajszytę!

Dżalal wskazał na zbocze wzgórza, gdzie ulica pięła się między wąskimi budynkami ku rezydencjom Haszymidów.

– Naprzód, chłopcy! Naprzód! Nasz dowódca nas potrzebuje! Tanuchowie ruszyli naprzód jak jeden mąż, zbita masa uzbrojonych po zęby wojowników oblanych krwawym, czerwonym blaskiem. Mahomet napał ramieniem na drzwi, wspomagany przez Uriego. Drzwi już miały się zatrzaskać, gdy w ostatniej chwili włócznia któregoś z napastników wbiła się w futrynę. Mahomet próbował wypchnąć ją butem, ta jednak tkwiła mocno na swoim miejscu. Drzwi zatrzęły się, gdy uderzyli w nie stojący po drugiej stronie Haszymidzi.

– Włócznia! – krzyknął Mahomet, szukając wolną ręką swej szabli. Rukajja doskoczyła do drzwi, zamachnęła się szeroko ciesielskim toporem i przecięła włócznię. Złamane drzewce zniknęło za drzwiami, które zamknęły się z trzaskiem. Uri zasunął sztabę. Dębowe deski jęknęły głucho pod kolejnym uderzeniem rozwścieczonych napastników. Mahomet odskoczył do tyłu i przesunął pod drzwi stojącą obok sofę.

Wycofali się do komnat Rukajji na najwyższym piętrze domu. Mahomet i Uri zajęli się barykadowaniem drzwi, podczas gdy służące, które Rukajja zwołała wcześniej do siebie, kuliły się ze strachu w przeciwległym krańcu pokoju. Obryzgani krwią Sajjaki i Da'ud wrócili z sąsiedniej komnaty, niosąc ze sobą ogromny kufer na ubrania, który także ustawili pod drzwiami. Mahomet cofnął się o krok, otarł pot z czoła i spojrział na Rukajję.

– Córko, gdzie jest twój mąż i jego ludzie? Musiał chyba usłyszeć ten hałas? Odpowiedziała mu ponurym spojrzeniem.

– Mąż nie pochwałał moich planów – oświadczyła gorzkim tonem. – Wybrał się na wieczór do swojej matki, zabierając ze sobą większość strażników. Przed chwilą widziałam jednego z jego braci na schodach.

Mahomet skinął głową. W Mekce rozpoczęła się otwarta wojna między rodami, wojna, która nie oszczędzała nikogo. Rozejrzał się po pokoju, ze szczególną uwagą przyglądając się oknom i sufitowi wspartemu na grubych belkach. Wskazał nań głową i spytał:

– Czy tu jest jakieś wyjście na dach? Możemy tędy uciec?

Rukajja usiadła na obszywanym złotym aksamitem podnóżku i ukryła twarz w dłoniach. Długie włosy opadały w nieładzie na jej ramiona.

– Na dachu jest ogród i sznury do suszenia bielizny, ale można się tam dostać tylko po schodach, które są w holu. Stąd można wyjść tylko przez te drzwi.

Uri roześmiał się, wsparty niedbale na włóczni.

– Twój mąż zbudował ci piękną klatkę, pani. Będziemy musieli wyciąć dziurę w suficie.

Mahomet skinął z powagą głową.

– Tak. Sajjaki, zabierz moją córkę i jej służące do ostatniego pokoju. Wyrąb dziurę w dachu. Powstrzymamy ich tutaj, dopóki nie skończycie.

Sajjaki, potężnie zbudowany, barczysty mężczyzna, skinął głową i podniósł ciężki topór jak piórko.

– Tak jest, dowódco.

Wyprowadził służące z pokoju. Rukajja chciała zostać, lecz Mahomet przykazał jej stanowczym gestem, by poszła z innymi. Uri odprowadził ją smutnym spojrzeniem.

– Próbowałem zaaranżować jej małżeństwo z moim synem, Ezechielem. Niestety, nie udało mi się wtedy spotkać osobiście z Chadidżą. Szarif wygrał tamtą rozgrywkę.

Mahomet uśmiechnął się lekko i skinął głową. Żona opowiadała mu czasem o różnych podchodach i manewrach, które wypełniały czas rodzin mieszkających w Mekce. Był przekonany, że zawsze działała w interesie rodziny. Roześmiał się gorzko i podszedł do drzwi, nasłuchując. Wydawało mu się, że słyszy kroki i krzyki Haszymidów biegających po domu.

– Wcześniej czy później znajdą jakiś taran – mruknął do siebie, obstukując jednocześnie ściany pokoju. Wyglądało na to, że są grube i solidne na tyle, by wytrzymać uderzenia ciężkich toporów. Jego zięć prawdopodobnie nie szczędził pieniędzy na zapewnienie należytej ochrony swym kobietom. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Da’ud, szybko, przejdź się po tych pokojach i sprawdź, czy nie ma tu jakichś ukrytych drzwi czy korytarzy. Stukaj w ściany. Szybko!

Da’ud skinął głową i bez słowa przeszedł do sąsiedniego pokoju. Uri zaczął badać ściany pokoju, w którym się znajdowali. Nie było to łatwe; ściany pokrywały grube zasłony, pod którymi kryły się ozdobne drewniane płyty. Mahomet stał przy drzwiach, nasłuchując. Po chwili Uri wrócił do punktu wyjścia.

– Tutaj nic nie ma – oświadczył cicho. – Choć to bardzo dobry pomysł. Wiem, że w moim domu jest kilka takich korytarzy. Cóż, sam je zbudowałem, więc trudno, żebym o tym nie wiedział. – Zachichotał i poklepał Mahometa po ramieniu. – Brakowało mi Ciebie, przyjacielu. To niezwykle, że nasze ścieżki krzyżują się znowu w takich właśnie okolicznościach.

Mahomet uśmiechnął się lekko. Kiedy byli dziećmi, to Uri chciał zobaczyć świat

i podróżować po dalekich krainach. Został jednak w domu, by skutecznie walczyć o dobrobyt i pozycję swojej rodziny. Mahomet, który każdą wolną chwilę poświęcał na czytanie starych zwojów, wyjechał z miasta.

– Przygotuj się – powiedział, przechodząc na środek pokoju. – Zaraz spróbują wyważyć drzwi.

Przez chwilę obaj stali w bezruchu, w ciszy przerywanej tylko ich oddechami i miarowym stukaniem topora, którym Sajjaki wyrąbywał otwór w suficie. Potem zza drzwi dobiegły jakieś szmery, a chwilę później dębowe deski zadrżały pod potężnym uderzeniem. Sztaba blokująca drzwi zatrzeszczała ostrzegawczo, nie poddała się jednak.

– Da’ud! – krzyknął Mahomet, wznosząc szablę nad głowę. Uri, stojący kilka kroków dalej, podniósł włócznię. – Chodź tutaj!

Bum! Drzwi zatrzeszczały, a sztaba pękła na pół. Haszymidzi stojący na zewnątrz krzyknęli gromko, niczym cała armia. *Bum!* Sztaba odleciała do tyłu, a drzwi uchyliły się nieco, przytrzymywane w miejscu przez ciężką komodę. W szczelinie natychmiast ukazały się grotы włóczni. Mahomet podniósł rękę, ostrzegając Uriego. Da’ud wbiegł do pokoju i stanął po prawej ręce Mahometa. Komoda skrzypiała i zgrzytała, gdy napastnicy przesuwali ją po podłodze, napierając na drzwi. Któryś z nich rzucił włócznią, która wylądowała na podłodze obok Mahometa. Kurajszyta znieruchomiał, szykując się do walki.

Atakujący jeszcze raz uderzyli taranem w drzwi, a komoda odleciała z hukiem na bok. Czterech Haszymidów wskoczyło do pokoju. Ich twarze zakrywały chusty, znad których wyzierały tylko przepełnione nienawiścią oczy. Pierwszy rzucił się na Mahometa, ten jednak bez trudu sparował uderzenie. Na korytarzu rozległ się triumfalny okrzyk, a do pokoju wpadli kolejni Haszymidzi. Mahomet także wydał z siebie okrzyk bojowy i ruszył do ataku, zasypując wrogów gradem ciosów. Ubrany w czarne szaty wojownik odbił dwa pierwsze uderzenia, trzecie jednak wytrąciło mu broń z ręki. Obok przecisnął się inny napastnik, który zaatakował Da’uda i próbował podejść Uriego.

Mahomet uderzył głowicą szabli w twarz przeciwnika, zmieniając jego nos w krwawą miazgę, a potem ciał w jednego z ludzi atakujących Uriego. Mężczyzna krzyknął przeraźliwie, gdy szabla przecięła jego kręgosłup, i runął bezwładnie na podłogę. Uri przeszedł do kontrataku i szybkim jak błyskawica pchnięciem wypatroszył Haszymidę stojącego po jego prawej ręce. Wykorzystując krótką chwilę przewagi, Mahomet rzucił się do drzwi, na ludzi, którzy próbowali przedostać się przez barykadę kufrów i sof rozrzuconych przy wejściu. Jeden z nich próbował ją przeskoczyć, przewrócił się jednak, a nim jeszcze dotknął podłogi, szabla Mahometa

przebiła jego brzuch. Uri w tym czasie zabił włócznią kolejnego napastnika.

Usłyszawszy czyjś krzyk za plecami, Mahomet zaryzykował i obejrzał się przez ramię. Trzej napastnicy przedostali się do tyłu i opadli biednego Da'uda. Cięli bezlitośnie jego ciało, kiedy ten resztkami sił próbował im się jeszcze przeciwstawić, by w końcu spocząć na podłodze w kałuży krwi. W drzwiach ukazała się Rukajja, która niosła przed sobą lekką, rzymską arkubalistę z ciemnego drewna. W łóżu leżał gotowy do strzału czworokątny pocisk. Mahomet odwrócił głowę, w ostatniej chwili blokując cios kolejnego napastnika. Usłyszał brzęk zwalnianej cięciwy i okrzyk bólu, ale nic więcej. Atakowali go dwaj Haszymidzi. Zablockował uderzenie jednego z nich i pchnął go w bok. Drugi napastnik nie mógł już powstrzymać opadającej szabli, która uderzyła jego towarzysza w ramię. Obaj mężczyźni krzyknęli z wściekłości, a Mahomet odskoczył do tyłu, na rozrzucone po podłodze meble.

Uri tymczasem nadział na włócznię jednego z Haszymidów, którzy zabili Da'uda. Potem puścił drzewce, pozwalając, by przebity wróg padł na podłogę. Ostatni napastnik w pokoju mocował się właśnie z Rukajją, odwrócił się jednak, usłyszawszy kroki Uriego. Pchnął kobietę na podłogę i sięgnął po sztylet przypięty do boku. Ben Sarid zatrzymał się raptownie, a w jego dłoni błysnął sztylet; długie na pół łokcia ostrze z syryjskiej stali. Haszymida krzyknął i rzucił się do ataku, mierząc w gardło Uriego. Ben Sarid zanurkował pod sztyletem i uderzył atakującego ramieniem w pierś. Obaj mężczyźni zwarli się w żelaznym uścisku.

Przez drzwi przeciskali się kolejni włócznicy. Mahomet cofał się krok po kroku, odpierając nacierających wrogów. Próbował zaatakować z flanki, musiał jednak ustąpić przed gęstwiną włóczni.

– Uri, skończ z nim i uciekaj do drugiego pokoju! – rzucił Mahomet przez ramię.

Uri i Haszymida wciąż walczyli ze sobą na podłodze, spleceni w uścisku. Krople potu z czoła przeciwnika kapały prosto do oczu Uriego. Ręka, w której Haszymida trzymał broń, przesunęła się niżej, ostrze sięgało już niemal twarzy Uriego. Ben Sarid obrócił głowę na bok, a sztylet uderzył w podłogę. Mahomet przeskoczył nad nogami obu mężczyzn, biegnąc do drugiego pokoju, a po drodze ciął szablą w dół. Czubek ostrza przeciął skroń mężczyzny, z której trysnęła fontanna krwi. Haszymida krzyknął i próbował odtoczyć się na bok. Uri przygniótł jego rękę do podłogi i wytrącił z niej broń, po czym wbił własne ostrze w jego pierś.

Napastnicy przy drzwiach ryknęli wściekle i wpadli do pokoju. Uri przeczołgał się obok Mahometa, który natychmiast zatrzęsął za nim drzwi. Haszymidzi doskoczyli do drzwi i zaczęli uderzać w nie toporami. Cienkie, ozdobne deski pękały z trzaskiem, niczym chrust. Mahomet rozejrzał się dokoła, szukając czegoś, czym mógłby zablockować wejście.

Pokojówki jego córki miały piękny, bogato zdobiony pokój, brakowało w nim jednak ciężkich przedmiotów, które mogłyby powstrzymać napierających wrogów. Uri spojrział na niego i wzruszył ramionami.

– Do następnego pokoju – wydyszał Mahomet. Walka porządnie go zmęczyła: nie był już taki młody. – Czy Sajjaki wyrąbał już dziurę w dachu?

Dżalal biegł w górę ulicy, prowadząc za sobą około trzydziestu Tanuchów i ludzi z plemienia Kurajszytów. Mekka płonąła: tłumiona przez trzydzieści lat nienawiść przerodziła się wreszcie w otwartą bitwę. Płonęły wielkie rezydencje na wzgórzu, z ich okien strzelały długie języki ognia. Na niebie gromadziły się ciemne chmury, podświetlane od dołu upiornym czerwonym blaskiem. Wchodząc na wzgórze, Tanuchowie widzieli grupki walczących ze sobą ludzi i ciała rozrzucone po ulicy. Gdy wreszcie zaczęli zbliżać się do rezydencji Rukajji, Dżalal zwolnił. Wyszędłszy zza rogu, przystanął i podniósł rękę. Pozostali Tanuchowie także się zatrzymali. Zrobili to również Kurajszytów, którzy przyłączyli się do nich w dzielnicy u podnóża wzgórza.

Sztandar Tanuchów doskonale spełnił swoje zadanie, podobnie jak okrzyk wojenny. Plemię Kurajszytów poinformowane o groźbie, jaka zawisła nad ich ukochanym przywódcą, powstało tłumnie przeciwko Haszymidom. Teraz zielone turbany ściagały czarne turbany po ulicach i opuszczonych budynkach. Tłumy ludzi opuszczały miasto przez otwarte na oścież bramy, porzucone przez strażników z rodu Banu Haszim.

Dżalal wyjrzał za róg, osłaniając twarz kawałkiem zielonego płótna. W jego oczach odbijał się blask odległych pożarów. Za rogiem zaczynała się ulica, przy której stały trzy duże domy. Brama jednego z nich była wyłamana, a przed wejściem kręcili się Haszymidzi. Niesione przez nich pochodnie oświetlały dom i nieruchome ciała leżące na ulicy.

Dżalal machnął rękę, przywołując do siebie Szadina.

– Przy bramie są Haszymidzi – wyszeptał mu do ucha. – Wyślij przodem łuczników. Pozostali niech ustawią się w dwóch kolumnach. Zajdziemy ich z boków. Łucznicy niech strzelają w środek. Musimy szybko zdobyć bramę.

Szadin skinął głową i wrócił do pozostałych wojowników, wydając im szeptem rozkazy. Dżalal nałożył strzałę i napiął cięciwę, przez cały czas śledząc poczynania Haszymidów. Z wnętrza domu dochodziły jakieś przytłumione krzyki. Może ktoś jeszcze stawiał tam opór napastnikom. Nieważne, pomyślał. Jeśli nikt nie przeżył, na stosie pogrzebowym dowódcy spłonie góra napletków. Dżalal uśmiechnął się ponuro do tej myśli. Po chwili wrócił do niego Szadin z grupą mężczyzn.

Z domu dobiegły kolejne okrzyki, a stojący przy bramie Haszymidzi obrócili się, by zajrzeć do wnętrza. Dżalal szybko opuścił rękę, po czym wysunął ją do przodu. Łucznicy wybiegli na ulicę, tuż za nimi podążali ludzie Szadina, którzy natychmiast rozdzielili się na dwie grupy. Dżalal naciągnął w biegu łuk i posłał w ciemność pierwszą strzałę.

Noc wypełniła się nagle sykiem przecinających powietrze pocisków. Pierwszy z trafionych Haszymidów złapał się z jękiem za szyję, nim ktokolwiek nawet usłyszał tupot nóg nadbiegających Tanuchów. Dżalal, podobnie jak jego towarzysze, posyłał strzałę za strzałą. Połowa obrońców leżała już na ziemi, gdy Szadin wbiegł w bramę, wymachując nad głową szablą. Do krzyków umierających Haszymidów dołączył brzęk stali.

Dżalal schował łuk na plecy i sięgnął po szablę.

– Naprzód! – krzyknął do łuczników. – Czas popracować trochę szablami.

Mahomet obrócił się w miejscu, parując niskie uderzenie przeciwnika. Jego ręka zadrżała niczym kowadło pod uderzeniem młota, jednak Kurajszyta nawet tego nie zauważył. Krew płonęła mu w żyłach żywym ogniem, cały świat skurczył się do szarego tunelu wypełnionego gniewnymi twarzami jego kuzynów. Stał uderzała o stal, mięśnie reagowały coraz szybciej i z coraz większą siłą. Czuł dziwne mrowienie z tyłu głowy, kiedy trzech, a potem czterech Haszymidów zaatakowało go jednocześnie. Ich szable migotały w powietrzu i uderzały raz za razem, a on blokował, obracał się i sam rozdawał ciosy. Na moment zwarł się z jednym, lecz zaraz odrzucił go do tyłu z wielką siłą. Pozostała trójka zaatakowała jeszcze mocniej, tnąc i dźgając, jego szabla wirowała jednak z nieprawdopodobną prędkością, zbijając ciosy i kontratakując. Kolejna riposta rozcięła rękę jednego z Haszymidów od nadgarstka do łokcia. Ranny zawył z bólu i wycofał się pospiesznie.

Przez moment wydawało mu się, że ktoś go woła, choć ów głos z trudem przebijał się przez szum krwi tętniącej w jego uszach. Lecz Haszymidzi znów zaatakowali, w drzwiach pojawili się nowi wojownicy. Podłoga śliska była od krwi, delikatnie draperie i poduszki zdobiące sypialnię jego córki leżały podarte w strzępy. Lewą ręką Mahomet odruchowo sięgnął po sztylet, a gdy wrogowie znów nań natarli, zablokował ostrze pierwszego z nich między szablą i sztyletem. Napastnik odsunął się do tyłu, wrywając swą broń z kleszczy, Mahomet wskoczył jednak w jego miejsce w szeregu, parując ciosy dwóch innych wojowników i tnąc sztyletem gardło trzeciego. Fontanna krwi oślepiła na moment dwóch pozostałych, a Mahomet bez namysłu pchnął jednego z nich w serce.

Szary tunel wypełniał świat bez reszty. Mahomet obracał się w koło i tańczył

pośród wirującej stali i strumieni krwi. Atakowały go coraz to nowe zastępy wrzeszczących wściekle Haszymidów, a on ciął, łamał kolana podkutymi żelazem butami, rozbijał twarze w krwawą miazgę.

Znów usłyszał wołanie, tym razem jednak dotarło ono do jego świadomości. To córka krzyczała do niego przez otwór w suficie, błagała, by poszedł za nią. Mahomet odepchnął skierowaną nań włócznię, przeciął drzewce na pół i zatopił ostrze szabli w ramieniu włócznika. Potem wyrwał ostrze z padającego na podłogę ciała i wskoczył na stertę mebli ustawionych pod otworem wyrąbanym w suficie. Nad sobą widział twarz Rukajji i jej wyciągniętą rękę.

Krzesło ustawione na szczycie sterty przewróciło się pod jego ciężarem, Mahomet jednak w ostatnim momencie chwycił się krawędzi otworu. Córka złapała go za ramiona i próbowała wciągnąć. Mahomet trafił stopą na oparcie innego krzesła i odepchnął się od niego z całych sił. Rukajja złapała go za pasek i wciągnęła do połowy. Mahomet stracił na moment orientację, zaplątany w jej sukniach.

Usłyszał brzęk zwalnianej sprężyny i poczuł uderzenie metalu w ciało.

Podciągnął się na obu rękach i wysunął z otworu, unosząc na ramionach córkę, a potem przetoczył się szybko na bok, podtrzymując jej bezwładne ciało. Nad miastem unosiły się kłęby dymu, podświetlane czerwoną łuną pożarów. Mahomet przetoczył ciało Rukajji na plecy i spojrzał w jej puste, martwe oczy. Pocisk z arkubalisty trafił ją w szyję, gdy pomagała mu wyjść na dach. Pod jej piękną białą twarzą rozlewała się czerwona plama krwi. Mahomet wyprostował się powoli, nie zważając na wrzaski dobiegające z otworu w dachu. Popiół opadający z nieba pokrywał jego twarz i brodę cienką warstwą siwizny. Spojrzał w dół, do wnętrza pokoju, gdzie jego Tanuchowie wyrzynali kompletnie zaskoczonych Haszymidów. Jego oczy błyszczały łuną pożarów trawiących miasto.

WYSPA TERA, CYKLADY

Thyatis schodziła powoli po wykutych w piaskowcu stopniach. Szła dostojnym krokiem, z dumnie uniesioną głową. Miała na sobie tylko krótki bawełniany chiton i kilka miedzianych bransolet na lewej ręce, jej długie złote włosy związane były na plecach pojedynczą wstążką. Przed nią otwierała się wielka komnata zwieńczona skalną kopułą. Ściany komnaty okrywał cień, z którego wyglądały tylko masywne kolumny rozstawione w równych odstępach. Przez okrągły otwór w suficie wpadał blask słońca, słaby i rozproszony. Na środku komnaty, w najlepiej oświetlonym miejscu, stała Mikele. Ubrana była w proste pantalony z białej bawełny i żółtą tunikę ze sztywnym kołnierzem. Pod tuniką nosiła obcisłą czarną koszulę z długimi rękawami. Jej włosy były spięte w ciasny kok na czubku głowy.

Thyatis zatrzymała się na skraju kręgu światła i ukloniła nisko, trzymając przed sobą złożone ręce. Za nią, na szczycie ułożonych w półkole schodów czekała Szirin, ubrana w luźną togę okrywającą całe jej ciało. Ona także związała włosy z tyłu głowy. Thyatis podniosła wzrok i spojrzała w oczy Mikele.

– *Sifu*, przyprowadziłam kandydatkę, która pragnie poznać Drogę Otwartej Dłoni.

Mikele nie ruszyła się z miejsca, lecz jej głos odbił się echem od niewidocznych ścian komnaty.

– Skoro jest uczennica, pojawi się nauczycielka. Czy jest tutaj uczennica?

– Tak, *sifu*.

Thyatis skłoniła się ponownie i odsunęła na bok, podchodząc do jednej z wielkich, żłobionych kolumn otaczających centralny krąg komnaty. Szirin zeszła ze schodów, by podobnie jak Thyatis zatrzymać się na skraju kręgu światła i uklonić nisko.

– Jestem uczennicą – oświadczyła głośno. – Czy jest tutaj nauczycielka?

– Tak – odparła Mikele, wciąż nie ruszając się z miejsca. – Pokaż się w kręgu światła.

Thyatis syknęła cicho, gdy Szirin zsunęła z ramion togę i wkroczyła w krąg słonecznego blasku. Jej oliwkowa skóra lśniła. *Strophium* z egipskiej bawełny okrywało jej pełne piersi, na biodrach wisiała wąska przepaska. Miesiące treningu na pokładach statków, które wiozły Szirin przez arabskie i egipskie wody, pomogły jej pozbyć się warstwy tłuszczu nagromadzonego podczas czterech lat pałacowego życia w Ktezyfonie. Wydawało się, że unosi się w powietrzu, pewna siebie i gotowa do czynu. Thyatis przełknęła ciężko, jakby ujrzała Szirin po raz pierwszy.

– Jestem nauczycielką – odparła Mikele, skłaniając lekko głowę. – Pragniesz się uczyć?

– Tak. – Szirin postąpiła o krok, wchodząc głębiej w krąg światła, i ponownie

złożyła ukłon. – Pragnę się uczyć.

Mikele przyglądała jej się przez chwilę z powagą, potem na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Więc twemu życzeniu stanie się zadość.

Thyatis westchnęła i ruszyła w drogę powrotną, w górę schodów. Tymczasem pozostałe adeptki Drogi, które do tej pory siedziały cicho w cieniu, wyszły z ukrycia, a ich głosy i śmiech wypełniły komnatę stanowiącą centralny punkt ich szkoły.

Thyatis przystanęła na szczycie schodów i spojrzała ze smutkiem w dół, na Szirin pogrążoną w rozmowie z innymi dziewczętami. Mikele, która stała nieco na uboczu, podniosła na nią oczy i uśmiechnęła się lekko. Rzymianka obróciła się w miejscu i wyszła. Czuła się wykluczona z życia swej przyjaciółki i to bolało, ale od dawna wiedziała, że powinna to dla niej zrobić.

Pod ścianą pokoju o podłodze wyłożonej drewnem stała drewniana kukła. Powierzchnia podłogi była wyszlifowana przez tysiące stóp, które stapały po niej od lat. Człowiek z drewna, który trzymał przed sobą sztywno wyprostowane ręce, także był już mocno zużyty, choć tylko w określonych miejscach. Jego szyja i twarz, łokcie, krocze i kolana nosiły ślady niezliczonych uderzeń i kopnięć. Niegdyś na jego twarzy wymalowana była twarz o rudej brodzie i krzaczastych brwiach, lecz farba starła się już przed wielu laty.

Thyatis, rozebrana do *strophium* i przepaski biodrowej, stała przed kukłą, z rękami uniesionymi przed twarz i lewą stopą wysuniętą do przodu. Nagle ruszyła do ataku, zamieniając się w żywą kulę energii. Drewniany przeciwnik drżał pod gradem kopnięć i uderzeń. Thyatis zadawała kolejne razy z coraz większą prędkością i siłą. Krew pulsowała jej w żyłach, wypełniała mięśnie żywym ogniem. Nagle Rzymianka krzyknęła wściekle i wyprowadziła potężne kopnięcie z półobrotu, prosto w głowę kukły. Drewniana kula zatrzeszczała głośno i oderwała się od tułowia, uderzając w ścianę pokoju. Thyatis wróciła do *pozycji* wyjściowej, dysząc ciężko przez zaciśnięte zęby. Pot lał się z niej strużkami. Bawełniana przepaska, całkiem przemoczona, przykleiła się jej do ud.

Krzyknęła ponownie i zaatakowała łokcie nieruchomego przeciwnika. Drewniany mężczyzna przyjął je z niewzruszonym spokojem, podobnie jak dziesiątki tysięcy innych uderzeń. Thyatis obróciła się w miejscu, wykonując jeszcze kilka sekwencji bloków, a potem przypadła ciężko do podłogi i schowała głowę w dłoniach. Czuła się tak, jakby ktoś zbił jej ciało rzeźnickim młotem.

– Ach, moja droga – dobiegł ją głos od drzwi. – Nie powinnaś niszczyć urządzeń. Ten biedak i tak nie ma lekkiego życia.

Thyatis podniosła się z podłogi, marszcząc brwi, uspokoila się jednak, ujrawszy

w drzwiach Panią Wyspy odzianą w długą, sięgającą niemal podłogi suknię. Siwe włosy kobiety opadały luźno na jej ramiona, w ręce trzymała składany wachlarz; weszła do pokoju dystyngowanym krokiem. Usiadła na ławce pod oknem. Daleko, za jej plecami widać było błękitną linię horyzontu. Wachlarz kołysał się leniwie w jej ręce.

Thyatis pokręciła głową i przeszła w róg pokoju, gdzie leżała odłamana głowa. Podniosła ją, a potem włożyła na okaleczony tułów. Drewniana kula opadła bezwładnie na bok.

– Powinnam chyba zrobić nową kukłę – rzekła Rzymianka.

– Hmm... To mogłaby być dla ciebie miła odmiana; musiałabyś zanurkować do któregoś z wraków na Zębach i przynieść stamtąd drewno. Ale w ten sposób nie odzyskasz spokoju ducha, moja droga. Zmęczenie daje tylko krótkotrwałą ulgę. Choć... Trzeba jeszcze przynieść i ociosać wiele kamieni do nowej świątyni...

Thyatis odwróciła się, by zgromić kobietę gniewnym spojrzeniem, złagodniała jednak, ujrawszy jej łagodną twarz i dobrotliwy uśmiech. Rzymianka pokręciła głową, rozsiewając dokoła kropelki potu.

– Jestem załamana – odparła, zgrzytając zębami w bezsilnej złości. – Jestem nieszczęśliwa. Chciałam tego, a teraz doprowadza mnie to do rozpacz. Chciałam tego, ale... teraz nie chcę. Och, bogini, czuję się całkiem zagubiona. Nienawidzę tego. Nie mam nic do roboty!

Pani Wyspy skinęła tylko głową.

– Myślisz, że postąpiłam słusznie? – spytała Thyatis, spoglądając z niepokojem na starszą kobietę. – To znaczy, przywożąc tutaj Szirin. Nie pytałam nikogo o pozwolenie... Wydawało mi się, że to najlepsze rozwiązanie...

– Twój instynkt nigdy cię nie zawodził – odparła kobieta, przekrzywiając lekko głowę i przyglądając się młodej Rzymiance z zaciekawieniem. – Dlaczego teraz przestałaś mu ufać?

– Bo... bo tym razem sięgnęłam wyżej niż kiedykolwiek. To gra księżnej, nie moja. Do mnie należą mroczne alejki i puste drogi. Nocne podchody i morderstwa. Ale to... porwanie i ukrywanie księżniczki... w tę grę nie grałam nigdy wcześniej. Byłoby mi o wiele łatwiej, gdybym tylko wykonywała rozkazy cesarza!

Starsza kobieta skinęła głową i uśmiechnęła się. Potem poklepała ławkę swą chudą, pomarszczoną dłonią.

– Usiądź koło mnie, moja droga. Podjęłaś bardzo poważną decyzję, sprzeciwiając się rozkazom swego dowódcy, postępując wbrew woli twej pani, księżnej. Jak myślisz, dlaczego to zrobiłaś?

Thyatis jęknęła, usiadła i ponownie ukryła twarz w dłoniach. Słowa

wydobywające się zza jej palców były przytłumione, lecz zrozumiałe.

– Nie wiem! Myślałam, że księżnej bardziej przyda się żywa Szirin w Rzymie niż martwa w Ktezyfonie. Ale jeśli cesarz kiedykolwiek się o tym dowie... Obie stracimy głowy...

Pani Wyspy położyła dłoń na ramieniu młodej kobiety.

– Nie sądzę, moja droga. Plotki docierają nawet tutaj, na naszą małą wyspę. Cesarz Wschodu, och ten jest wściekły, że wymknęła mu się z rąk taka zdobycz. Tak, chciał, by twoja przyjaciółka była prezentem ślubnym dla jego brata. Ale twój pan, cesarz Galen, podobno jest zadowolony z takiego obrotu spraw, choć oczywiście nie chce się głośno do tego przyznać.

– Dlaczego? – Thyatis zmarszczyła brwi, wpatrując się uważnie w twarz starej nauczycielki. – Kazał mi przedostać się do miasta jego wrogów i czekać, a ja go zawiodłam. Nie było mnie tam, kiedy jego żołnierze szturmowali bramy. Błąkałam się wtedy po Pałacu Łabędzia, próbując odnaleźć... – Rzymianka umilkła nagle.

– Próbując odnaleźć kogo? – Starsza kobieta znów przekrzywiła głowę, niczym drapieżny ptak zaciekawiony jakimś przedmiotem. – Próbowałaś odnaleźć przyjaciółkę, której życie było w niebezpieczeństwie. Próbowałaś wydostać z oblężonego miasta nie tylko siebie, ale swoich ludzi i rodzinę twojej przyjaciółki. Uważasz, że ważniejsze były intencje twojego cesarza, których wtedy mogłaś się tylko domyślać?

Pani Wyspy wstała i przeszła powoli pod zachodnią ścianę pokoju, by oprzeć się o niską balustradę przy jednym z osadzonych w grubym murze okien. Z okna rozpościerał się widok na zalaną słońcem wyspę i lazurową taflę oceanu. Wydeła usta, spoglądając na pusty horyzont.

– Odgadywanie intencji i życzeń cesarzy to niebezpieczne zajęcie. Ich głowy zaprzatają sprawy zupełnie różne od tych, którymi martwisz się ty i wszyscy inni ludzie niemający takiej władzy. Ze względu na swe obowiązki widzą świat w innych barwach niż ty czy ja. Cesarze zapominają o swojej rodzinie i przyjaciółach, a nawet o tych, którzy dobrze im się przysłużyli. Im nigdy nie można ufać, wiesz o tym.

Thyatis podniosła wzrok. Jej dawna opiekunka patrzyła za okno nieobecnym wzrokiem, jakby sięgała myślą do odległych wspomnień.

– Cesarz musi przede wszystkim troszczyć się o swoje imperium – kontynuowała cichym głosem starsza kobieta. – Myślę, że w tej sytuacji, kiedy zdecydowałaś się pójść za głosem serca i pomóc przyjaciółce, szala przechyla się na twoją korzyść.

– Więc postąpiłam słusznie? – spytała Thyatis, wstając i pocierając nerwowo dłońmi o uda.

Pani Wyspy roześmiała się i odwróciła w jej stronę.

– Nikt tego nie wie – odparła. – Ale powiedz mi, moja droga, czy gdybyś zostawiła Szirin w ruinach pałacu, by wbrew własnej woli została żoną księcia Cesarstwa Wschodniego, uważałabyś teraz, że postąpiłaś słusznie?

Thyatis znieruchomiała. Oczami wyobraźni ujrzała księcia Teodora i Szirin klęczącą u jego stóp w podartej szacie, zapłakaną i posiniaczoną. Księżę stał nad nią, zaczerwieniony i śmiał się głośno, a po jego czole ściekały krople potu. Rzymianka odruchowo zacisnęła dłonie w pięści i zgrzytnęła zębami.

Pani Wyspy pokiwała głową.

– Widzisz? – powiedziała, przywołując Thyatis do rzeczywistości. – Nie mogłabyś tego znieść. Twoje serce samo podejmuje za ciebie decyzję.

– Tak – zgodziła się Thyatis, wcale nieuspokojona. – Tak właśnie jest.

Szirin oparła się o zimną kamienną ścianę przebieralni. Ze znużeniem uniosła nogę i zaczęła rozplątywać wstążki podtrzymujące ochraniacz na goleni. Każdy ruch sprawiał ból. Jej palce drżały, gdy próbowała rozplatać węzeł. Po chwili uświadomiła sobie, że już od dłuższego czasu męczy się z jednym węzłem, który zacisnął się mocno podczas długiego dnia treningu. Jej dłonie opadły na kolana. Powoli, choć starała się z tym walczyć, opadła na bok, nie mogąc zebrać dość sił, by usiedzieć w pozycji pionowej. Kamienna ławka była twarda i zimna, ale teraz nie miało to żadnego znaczenia. Zamknęła oczy i pograżyła się we śnie. Śniła o nieustannym ruchu i bólu.

Obudził ją delikatny dotyk. Usiadła prosto, mrugając gwałtownie powiekami. W polu jej widzenia pojawiła się twarz, z której spoglądały na nią duże ciemne oczy.

– *Sifu...* – wycharczała. – Przepraszam! Nie chciałam zasnąć!

– Nie szkodzi, ptaszyno – odparł łagodny, melodyjny głos. – Pozwól, że ci pomogę.

Szczupłe dłonie wsunęły się pod jej ramiona i uniosły ją nad podłogę, choć Szirin myślała, że zemdleje z bólu, który przeszył jej zmaltretowane mięśnie. Miesiące treningu na okrętach, które przewiozły ją i jej rodzinę przez Zatokę Perską i głębokie zielone wody Marę Ethyraeum aż do Egiptu, pomogły jej nieco odzyskać formę, nie mogły się jednak w żaden sposób równać z pierwszym dniem treningu na wyspie. Mikele zniosła ją po schodach do pomieszczenia wypełnionego parą.

Gorąca woda obmyła stopy Szirin. Dziewczyna westchnęła z ulgą, czując ciepło ogarniające jej nogi.

– Wsuń się powoli do wody – powiedziała Mikele, zdejmując z niej krótką bawełnianą chlamidę Szirin ochoczo wypełniła jej polecenie, siadając na marmurowym stopniu biegnącym wzdłuż krawędzi wielkiej wanny. Woda sięgała jej

do piersi. Była naprawdę cudowna. Mikele usiadła powyżej, na skraju wanny, opuszczając nogi po bokach Szirin. Księżniczka odchyliła głowę do tyłu i głośno wypuściła powietrze.

– Niezłe się dzisiaj sprawiłaś – oświadczyła Mikele swobodnym tonem, masując kciukami skórę na czubku głowy dziewczyny. – Na razie jesteś powolna, ale z czasem to się zmieni. Nie jesteś też zbyt silna, ale temu także możemy zaradzić. Jesteś też zbyt sztywna – nosisz zbyt wiele złego *chi* poniżej pleców i wzdłuż kręgosłupa.

Po chwili Szirin przestała słuchać tego, co mówiła do niej Mikele, rozkoszując się cudownym ciepłem, które przenikało całe jej ciało, i falą odprężenia wypływającą spod palców nauczycielki.

– Dlaczego przywiozłaś swą przyjaciółkę właśnie tutaj?

Thyatis odstawiła drewniany kubek na stół i otarła usta wierzchem dłoni. Po drugiej stronie, na drewnianym krześle o wysokim, rzeźbionym oparciu siedziała Pani Wyspy. Nadszedł wieczór, a wraz z nim ciemność, która okryła poszarpane urwiska wyspy, wielką misę laguny i wykute w skale okna. Thyatis siedziała przy starym cedrowym stole ustawionym w małej alkowie w kwaterach Pani Wyspy. Alkova ukryta pod krawędzią klifu wychodziła na lagunę. Skała pod niewielkim balkonem została wykuta w taki sposób, by był on niewidoczny dla ludzi patrzących nań z dołu. Kobiety spędziły ze sobą całe popołudnie, zjadły także kolację. Na stole wciąż stały naczynia z jedzeniem – kilka prostych misek z wypalanej gliny i podobnych talerzy – i czerwona amfora z kreteńskim winem.

Thyatis uśmiechnęła się lekko w ciemności.

– Prawdę mówiąc, nie brałam nawet pod uwagę żadnego innego miejsca.

– Hm... – mruknęła starsza kobieta, spoglądając na lagunę. – Myślę, że po prostu przywiozłaś ją do domu. Do miejsca, w którym czujesz się bezpiecznie. Dokonałaś właściwego wyboru, moja droga. Tutaj będzie bezpieczna. Myślę jednak, że nie podjęłaś tej decyzji całkiem bezmyślnie.

– A ja myślę, że tak właśnie było – odparła Thyatis, podciągając kolana pod brodę i obejmując je rękami. – Cały ten okres jawi mi się teraz jako niewyraźna plama.

Och... – Jej dawna opiekunka cicho się roześmiała. – Być może twoja głowa nie myślała, ale z pewnością robiło to serce. Powiedz mi, dlaczego przywiozłaś ją do nas jako uczennicę, nowicjuszkę? Przyjęłybyśmy ją i bez tych starożytnych ceremonii; wiele kobiet, które znalazły tu schronienie, nigdy nie składało przysięgi. Dlaczego ubrałaś ją w suknie o starożytnym kroju? Dlaczego kazałaś jej recytować tę starą formułkę?

Thyatis poczerwieniała lekko i podrapała się po głowie, odwracając wzrok.

– Nie wiem... Po prostu wydawało mi się, że tak to powinno wyglądać.

Zapomniałam o niezaprzyjęzonych...

– Bzdura! – burknęła starsza kobieta, sięgając do miski z orzechami. Przez chwilę żuła orzech w milczeniu, wpatrując się w Rzymiankę, która unikała jej wzroku. – Tak naprawdę chodziło o coś więcej niż tylko o tradycję i ceremonię, nawet jeśli twój przyćmiony umysł nie chce się do tego przyznać. Powiedz mi: czy gdyby wyjechała stąd jutro, tęskniłabyś za nią?

– Tak. – Thyatis westchnęła, chowając twarz w kolanach. – Brakuje mi jej teraz, kiedy całym dniami trenuje w świątyni Drogi. Powinam już wracać do Rzymu; księżna będzie wściekła, jeśli nie pojawię się u niej wkrótce, ale trudno mi pogodzić się z myślą o rozstaniu.

– Aha, tak też myślałam. Powiedz mi, moja droga, co byś zrobiła gdyby ona miała umrzeć?

Thyatis podniosła głowę i spojrzała na nią ponuro.

– Człowiek, który śmiałby ją tknąć, drogo by za to zapłacił – odparła z powagą. – Dlaczego zadajesz mi wszystkie te pytania?

– Hm... to pewnie tylko niezdrowa ciekawość. Czasami nawiedzają mnie zabłąkane myśli, niczym małe kotki szukające miski świeżego mleka i ciepłego schronienia. Tę myśl sprowadziłaś do mnie ty: przywiozłaś śliczną Szirin do nas, na naszą wyspę, by mogła być twoją *phedaia*.

– Moim czym? – spytała Thyatis.

– Stary Likurg mógłby obrazić się na mnie, że używam w ten sposób słowa, które on ukuł, ale wydaje mi się, że oznacza ono tyle, co „siostra w boju”. Właśnie tego pragniesz, prawda?

Thyatis zmarszczyła brwi, skonfundowana.

– Szirin? Chcesz powiedzieć, że przywiozłam ją tutaj... że chcę posłać ją do walki? Zrobić z niej zabójczynię? Nie, nie chcę tego...

Pani Wyspy podniosła rękę, uciszając Thyatis.

– Nie, moja droga, to nie ma być twoje odbicie, ale raczej ktoś równy tobie, partnerka. Ktoś, kto dorównuje ci umiejętnościami i talentem. To miła perspektywa, nawet jeśli do tej pory nie zdawałaś sobie sprawy z własnych zamiarów.

– Chwileczkę. Myślisz, że ona... zostanie ze mną?

– Czy zostanie? Nikt nie zna przyszłości, ale tego właśnie chcesz, prawda? By stała u twojego boku do końca życia?

– Tak – odpowiedziała Thyatis cicho. Dawna opiekunka uśmiechnęła się do siebie, obserwując, jak twarz młodej kobiety odzwierciedla myśli przemykające niczym spłoszone łanie. – Chciałabym tego.

– Chcesz tego – sprostowała starsza kobieta, kładąc dłoń na ręce Thyatis. – Jesteś jej opiekunką, strażniczką, wybawicielką? Czy to ci wystarczy? Czy wystarczy ci świadomość, że chronisz ją przed światem i jesteś za nią odpowiedzialna? Że jej dzieci mają co jeść i zdrowo rosną? Że zawsze jest w domu i czeka, aż wrócisz z kolejnej wojny?

– Nie! – Thyatis podniosła głowę i spojrzała na starszą kobietę z oburzeniem. – Szirin nie jest moją własnością!

– Otóż to – powiedziała Pani Wyspy cierpkim tonem. – Dlatego przyprowadziłaś ją tutaj; nie po to, by została jedną z nas lub pozostawała w ukryciu, dopóki księżna i cesarz nie zadecydują o jej losie. Nie, sprawa jest znacznie bardziej złożona... Ty chcesz mieć przyjaciółkę, partnerkę, *phedaia*, kogoś równego sobie – ani pani, ani niewolnicy – kto będzie stał u twojego boku. Siostrzany umysł i wolę, z którym będziesz tworzyła idealny zespół. Chcesz tego?

– Tak – odparła Thyatis, bliska łez. – Chcę tego.

– Hm... być może dopniesz swego, ale ciekawa jestem, czy będziesz zadowolona...

Turkusowe fale uderzały z hukiem o brzeg. Wysoko na niebie wisiał rozpalony do białości dysk słońca. Białe grzbiety fal wspinały się na plażę i unosiły ziarna czarnego piasku wokół bosych stóp Thyatis. Nieco dalej od brzegu morze było niemal całkiem nieruchome, niczym tafla turkusowego lustra. Thyatis szła powoli wzdłuż plaży, zostawiając ślady stóp w wilgotnym piasku. Piegi na jej policzkach i nosie jeszcze wyraźniej niż zwykle odcinały się od opalanej skóry, rozpuszczone włosy opadały luźno na ramiona. Słomiany kapelusz z szerokim rondem osłaniał jej oczy, zielone jak powierzchnia morza, nad którym się właśnie przechadzała. Dzban wina obijał się miarowo o pasek barwnego materiału, którym okryła biodra. Wąski pas piasku skręcał pod wielką skarpcę z czarnej skały. Tutaj, na północnym krańcu wyspy, znajdowała się pusta plaża wychodząca prosto na otwarte morze.

Za skałą plaża rozszerzała się nieco i tutaj też, na niewielkiej wydmie, stał pawilon wzniesiony z drewnianych żerdzi splecionych grubą liną, przykryty lnianym daszkiem. Thyatis podeszła bliżej, brodząc w płytkich falach. W cieniu lnianego dachu siedziała Szirin, która na jej widok uśmiechnęła się promiennie. Ona także miała rozpuszczone włosy, choć kilka pasemek splecionych było w dwa warkocze, przewiązane cienkimi niebieskimi wstążeczkami, które opadały równo po obu stronach twarzy. Miała na sobie cienką bawełnianą tunikę. Obok pawilonu leżały sandały, które zdjęła, gdy tylko znalazła się na plaży. Kostkę lewej nogi oplatała srebrna bransoleta z maleńkimi złotymi dzwoneczkami. Thyatis usiadła obok księżniczki i otrzepała oblepione piaskiem stopy.

– Och, widzę, że znów się poparzyłaś. – Szirin usiadła prosto i przeciągnęła palcem po ramieniu Thyatis, ściągając warstwę złuszczonego naskórka. Thyatis syknęła i odwróciła głowę. Ciemne oczy Szirin wydawały się nieprawdopodobnie duże. Thyatis starała się nie myśleć o piersiach przyjaciółki, które dotykały teraz jej ramienia. Wydawało się, że cienka tkanina tuniki nie jest w stanie powstrzymać żaru bijącego od ciała Szirin. Rzymianka potrząsnęła głową, odrzucając z oczu złote loki. Było jej trochę zimno.

– Tak, nie dla mnie taka słoneczna pogoda. Potrzebuję trochę zimnego deszczu... au!

– Śśś... – Szirin przesunęła się za plecy Thyatis i kilkoma wprawnymi ruchami rozmasowała jej sztywny kark. – Mam dobrą maść. Dostałam od cioci.

Thyatis syknęła cicho zaskoczona, gdy strużka zimnego płynu pociekła jej po plecach.

– Nie ruszaj się – przykazała jej Szirin, zacierając ręce.

– Tak, wasza wysokość – mruknęła Thyatis, oglądając się przez ramię. Szirin usiadła okrakiem za jej plecami, przyciskając długie oliwkowe nogi do ud Rzymianki. Thyatis zaczerwieniła się mimowolnie i ukryła twarz we włosach. Szirin wcierała maść w jej plecy długimi, miękkimi ruchami. Thyatis westchnęła z zadowoleniem i rozluźniła się nieco.

– Barbarzyńcy z północy – szeptała Szirin do ucha Thyatis, owiewając ją swym gorącym oddechem – powinni unikać słońca. Powinni przebywać w zamkniętych pomieszczeniach, gdzie jest ciemno i bezpiecznie. Inaczej zamieniają się w pieczone raki.

– W zamkniętych pomieszczeniach? – powtórzyła Thyatis, przez ściśnięte gardło.

– Tak – mruzczała Szirin zmysłowo, przysuwając się jeszcze bliżej, napierając piersiami na plecy Rzymianki i przesuując dłońmi wzdłuż jej ramion. – Gdzieś, gdzie jest ciepło i wygodnie, na przykład w łożu.

– W łożu? – wyszeptała Thyatis, a potem wciągnęła głośno powietrze, gdy ciepłe, śliskie dłonie Szirin zamknęły się na jej piersiach. Szirin wykonywała powolne, okrężne ruchy, nacierając jej piersi i pieszcząc sutki. Thyatis jęknęła cicho i odwróciła głowę ku perskiej księżniczce. Jej usta czekały już na nią, miękkie, wilgotne i gorące. Thyatis zapomniała o całym świecie, czuła tylko dłonie Szirin na swoich piersiach i jej gorący pocałunek. Położyła się powoli na piasku, a Szirin wsunęła się na nią, przylgnęła do niej całym ciałem.

Wiatr od morza poruszał dachem pawilonu, który skrzypiał rytmicznie, jakby na przekór uderzającym o brzeg falom. Maleńkie dzwonki na kostce Szirin dzwoniły delikatnie przy każdym jej ruchu.

ANTIOCHIA, RZYMSKA SYRIA MAGNA

Młody mężczyzna o rudych włosach, które w bezlitosnym słońcu pustyni przybrały niemal biały odcień, biegł wzdłuż długiej kolumny ogromnych wozów o kołach oblepionych ciastowatym, białym pyłem. Nad niektórymi wozami wznosił się płócienny dach chroniący ich zawartość – skrzynki, beczki, ładnych młodych mężczyzn i kobiety skutych łańcuchami, pęki strzał i włóczni, bele sukna, posągi z marmuru, brązu i porfiru, wiklinowe kosze wypełnione naczyniami owiniętymi słomą, amfory z winem i olejem, tysiące drewnianych skrzyń oznaczonych symbolem perskiej mennicy – przed słońcem, deszczem i wiatrem nękającymi podróżników w północnej Mezopotamii. Do wagonów uwiązane były muły i woły. Zwierzęta ryczały na biegnącego mężczyznę, jakby zirytowane miarowym stukotem jego wojskowych sandałów o twardą nawierzchnię drogi. W cieniu wozów odpoczywały tysiące żołnierzy w znoszonych czerwonych płaszczach i poobijanych zbrojach okrytych białym pyłem drogi.

Młodzieniec biegł w jednostajnym tempie, minął ostatni z wozów załadowanych towarami i ujrzał długi szereg koni, które stały nieruchomo w spiekocie słońca, z głowami zwieszonymi nad ziemią. Ich właściciele, odziani w zbroje *tagmata* Cesarstwa Wschodniego, siedzieli w grupach na skraju drogi. Niektórzy kryli się w cieniu brudnych jedwabnych parasoli, które trzymali nad ich głowami służący. Większość spała przy swoich koniach lub rozmawiała cicho. Wszyscy wydawali się już ogromnie zmęczeni długim marszem. Za oddziałem jazdy droga zakreślała i biegła w dół długiego zbocza, do brzegu szerokiej rzeki. Mężczyzna uśmiechnął się, widząc proporce i wozy własnego oddziału, stojące tuż przy drodze, jak wszystkie pozostałe. Zwolnił nieco kroku: powierzchnię zbocza znaczyły liczne szczeliny i nierówności, na których łatwo było zwichnąć nogę. Teraz mijał kohorty piechoty – składające się w większości z Germanów i Gotów, którzy mamrotali coś do siebie w swych dziwnych językach – rozłożone po obu stronach drogi. Oficerowie przyglądali się biegnącemu w dół zbocza młodzieńcowi, żaden z nich jednak nie próbował go zatrzymać.

Kaduceusz i brosza w kształcie błyskawicy przypięta do jego płaszcza dodawała mu powagi i pewności siebie. Cesarz dawał członkom Cesarskiego Korpusu Taumaturgicznego dużo swobody. Nawet Rzymianie i inni barbarzyńcy służący w legionach uznawali ich przywileje. Uważano powszechnie, że gniew czarownika sprowadza nieszczęście – i tak w istocie było.

Młody mężczyzna zatrzymał się na skraju drogi, pochylił się do przodu, oparł dłonie na udach i dyszał ciężko. Obok przejechał wóz ciągnięty przez zaprzęg ogromnych wołów. Na wozie leżało sześć dębowych beczek spiętych miedzianymi

klamrami. Woda chlupocząca w zamkniętych beczkach miała przynieść ulgę tysiącom ludzi odpoczywającym wzdłuż drogi. Chłopiec uśmiechnął się do woźnicy i pomachał doń wesoło. Był to już trzeci wóz z wodą, który mijał w drodze od bram miasta. Odsapnąwszy nieco, ponownie poderwał się do biegu, starając się ominąć chmurę kurzu, która ciągnęła się za wozem. Uśmiechnął się w myślach do siebie; lubił biegać, nawet jeśli musiał to robić w tak niesprzyjających warunkach.

* * *

Gąszcz barczystych mężczyzn w zbrojach z żelaza rozstał się na moment, pozwalając okrytemu kurzem kurierowi wejść do namiotu. Młodzieniec zdjął skórzany kapelusz i otrzepał go o nogawicę. Dwaj strażnicy przeszukali go dokładnie, a nie znalazłszy niczego podejrzanego, nakazali mu gestem, by przeszedł dalej.

Za składanym stolikiem siedział szczupły ciemnowłosy mężczyzna. Kurier przyklęknął na jedno kolano, składając *proskynesis* zgodnie z wymaganym na Wschodzie zwyczajem.

– Witaj, cesarzu i boże Galenie.

– Witaj, chłopcze. – Marcjusz Galen Atreusz, cesarz Cesarstwa Zachodniego, odłożył pióro i otarł atrament z dłoni. Miał pociągłą twarz i proste czarne włosy. Jego jasne oczy błyszczały niepospolitym intelektem. – Jakie wieści przynosisz?

Posłaniec wstał i wyjął tubę ze zwojem ukrytą w torbie przypiętej do pasa. Był bardzo młody, miał nie więcej niż szesnaście lat, krótko przycięte włosy i zaciętą twarz.

– List, cesarze, od cesarzowej.

Dłoń Galena sięgająca po tubę znieruchomiła na mgnienie oka, potem jednak przyjęła przesyłkę i położyła ją na stole. Cesarz uśmiechnął się i przywołał jednego ze swoich ludzi.

– Dobra robota, chłopcze. Powinieneś się teraz wykapać, ogolić i coś zjeść. Timos, zajmij się tym młodym człowiekiem.

Starszy Grek skinął głową, uśmiechnął się do kuriera i wyprowadził go z namiotu. Cesarz przez chwilę przyglądał się z niepokojem wiadomości zamkniętej w tubie. Wreszcie obrócił ją na drugą stronę i zobaczył, że opatrzona jest pieczęcią jego żony, Heleny, cesarzowej Zachodu. Westchnął ciężko. Ostatnio widział ją w Katanii, w ich rezydencji na Sycylii. Padły wtedy między nimi ostre słowa – słowa, których do tej pory żałował. Helena słała mu listy; Galen trzymał je nieotwarte w skrzyni z osobistymi rzeczami.

W Rzymie, a nawet wcześniej, kiedy stacjonował w Kolonia Agrypina w Germanii z Pierwszym Legionem Minerwy, Helena zyskała sobie reputację

obdarzonej niezwykłym talentem poetki, pisarki i oratorki. Jej ostry język upokorzył niejednego krzykacza. Do legendy przeszła objętość prowadzonej przez nią korespondencji. W ciągu jednego tygodnia deszczowej pogody w Agrypinie napisała siedemdziesiąt trzy listy. Galen cenił jej intelekt ponad wszystko. Wciąż zadziwiał go fakt, że udało mu się znaleźć kogoś, kto dorównywał mu inteligencją, a być może nawet go przewyższał.

Lecz co by się stało, gdyby ten intelekt, wiedziony gniewem, obrócił się przeciwko niemu? Galen bał się jej dowcipu, nawet on, władca połowy cywilizowanego świata. Podniósł tubę i obrócił ją w palcach, czując jak w środku przesuwają się arkusze papirusu. A jeśli to dobre wieści? – pomyślał.

Przed oczami stanęła mu Helena jak żywa, jej ciemne oczy wypełnione gniewem, głos podniesiony w wyjątkowo ciętej ripoście, szczupła dłoń zamknięta na szyjce minojskiej wazy, starszej od samego Rzymu. Odłożył tubę na bok. Zaczął tamtą kłótnię niefortunną uwagą o stanie jej zdrowia. Ona miała ostatnie słowo. *Może później, kiedy się czegoś napiję.*

– No i co? – W głosie młodej kobiety pobrzmiwał gniew. Rudowłosy młodzieniec pokręcił głową i uśmiechnął się szeroko. Dawno już przywykł do jej gwałtownego charakteru.

– Nic na to nie poradzę, dowódco piątki. W mieście jest taki zamęt, że minie wiele dni, nim ujrzymy chłodne portyki agory lub nawet wnętrze gospody.

– To po to wysyłałam cię na zwiad? – warknęła młoda kobieta, przesuwając dłonią po swych krótkich kruczoczarnych włosach. Grymas rozczarowania wykrzywił jej twarz. Podobnie jak rudowłosy młodzieniec nosiła karmazynowy płaszcz z niebieską lamówką i skórzany kaftan nabijany ćwiekami z brązu. Broszka podtrzymująca płaszcz na jej ramieniu była jednak srebrna, podczas gdy broszkę chłopca wykonano z brązu. – To po to siedzimy tu godzinami, czekając na twój powrót?

Młodzieniec wzruszył tylko ramionami i pociągnął łyk z bukłaka, który podał mu inny mężczyzna siedzący na tyle wozu. Była to tylko woda z octem, ale trzeciego dnia nie mógł się spodziewać niczego innego. Napój przepłukał jego gardło z kurzu.

– Możesz obrzucić mnie gromami, Zoe, ale nie zmienię woli cesarza! Hej, zostało coś do jedzenia?

– Nie, Dwyrinie – warknął ciemnowłosy młodzieniec, opierając się o burtę wozu.
– Zjedliśmy wszystko z nudów, czekając na ciebie.

– Odenatusie, ty palmyrski prosiaku! – Dwyrin dźgnął swego towarzysza w ramię. – Nie zostawiliście pewnie nawet najmniejszej figi!

Odenatus pokręcił z żalem głową.

– Ani jednej – odparł. – Ani daktyla, ani pieczonego kurczaka, ani osełki sera, ani chleba, ani suszonego mięsa, ani wina ani niczego...

Zoe parsknęła gniewnie i zeskoczyła z wozu. Stanąwszy na ziemi, poprawiła pas, sprawdziła, czy krótki miecz, *gladius*, przylega dobrze do jej boku i czy pozostałe elementy wyposażenia są na swoim miejscu. Dwyrin i Odenatus przeszli na tył wozu i usiedli na skraju platformy, zwieszając nogi na zewnątrz.

– Dowódco piątki, wybierasz się gdzieś?

Zoe obdarzyła Dwyrina lodowatym spojrzeniem i zdjęła z haka wbitego w burtę wozu swój słomiany kapelusz.

– Idę do miasta, poszukać noclegu i czegoś do jedzenia – oświadczyła. – Wy dwaj zostaniecie tutaj, będziecie pilnować wozu i sprzętu. I macie być w wozie, a nie obok niego. Nie możemy dopuścić do tego, by znów okradł nas jakiś pijany Sarmata.

– Chwileczkę... – Dwyrin zmarszczył brwi. – Czy armia nie będzie tu rozbijać obozu? Dlaczego sami mamy sobie szukać noclegu?

Odenatus roześmiał się chrapliwie.

– W Antiochii? W legendarnej luksusowej Antiochii? Pod koniec tak udanej kampanii? O mój młody przyjacielu, cesarz nie splugawiłby swych czerwonych butów takim czynem! Dla legionistów to pierwszy owoc zwycięstwa – to miasto nad leniwymi wodami Orontesu, to miasto zielonych altan, smacznego wina i pięknych kobiet, które czekają na nas pod cedrami na zboczach góry Silpius.

Dwyrin spojrzał ze zdumieniem na koleżkę.

– Zrobiłeś się elokwentny, przyjacielu. Chyba za dużo o tym ostatnio myślałeś. Gdyby rzeczywiście wszystko było tu za darmo, żaden centurion nie utrzymałby swoich ludzi w ryzach. Czy to możliwe, żeby rzymska armia nie rozbiła na noc obozu?

Zoe wywróciła oczami, zirytowana.

– Och, no dobrze, armia rozbiła stały obóz, *campus martius*, na zachód od miasta, na drugim brzegu rzeki. I tam, prędzej czy później, wszyscy rozbiją swoje namioty. Ale przez następny tydzień lub dwa żołnierze całe złoto i srebro, które ciągnęliśmy ze sobą z Ktezyfonu, będą wydawać w burdelach, tawernach i szulerniach miasta... Jak widzisz, nasz przyjaciel przeraził się, że wszystkie te przyjemności mogą go ominąć, i że nie zdąży zaspokoić swoich zwierzęcych żądz. – Wskazała głową na zatłoczoną drogę i czekających żołnierzy. – Minie jeszcze dzień i dwa, zanim uporządkują to wszystko i wyślą ludzi do miasta. Potem oficerowie zajmą wszystkie lepsze miejsca w gospodach, a zwykli żołnierze będą musieli spać na siedzeniach w cyrku albo w obozie, na gołej ziemi. Chcę wziąć kąpiel i wiem, jak to załatwić. Ale w tym czasie wy dwaj musicie pilnować wozu.

Odenatus ściągnął brwi i przyjrzał się swej kuzynce podejrzliwie.

– Ale nie zapomnisz o nas chyba, kiedy będziemy ciągnęli ten przeklęty wóz

przez wąskie ulice miasta i wysłuchiwali wrzasków centurionów, prawda? Może byłabyś tak miła i zjrzała do palmyrskiego konsula? Wtedy wszyscy pewnie dostalibyśmy przyjemne pokoje, moglibyśmy do woli korzystać z kąpieli i łaźni, a służący zajmowałiby się naszymi włosami i paznokciami. Chyba nie miałabyś nic przeciwko temu, żeby jakiś młody przystojny niewolnik, a może nawet dwóch, nacierał ci plecy olejkiem...

Zoe zgromiła Odenatusa spojrzeniem, a potem westchnęła teatralnie.

– Cóż, rzeczywiście planowałam znaleźć kwatery dla całej trójki, jeśli nie w apartamentach konsula, to przynajmniej w którejś z gospód należących do naszego miasta. Ale jeśli wolisz zająć się tym sam, nie będę stawiała ci na drodze.

Odenatus uniósł ręce w geście kapitulacji.

Zoe skinęła głową i odgarnęła kosmyk włosów z czoła.

– Zaciągnijcie wóz do obozu. Znajdę was, jeśli się nie zgubicie albo nie potopicie w rzece.

Dwyrin patrzył z uśmiechem na oddalającą się młodą kobietę. Wydawało się, że w ciągu roku ich znajomości wydorosłała; choć wciąż była niecierpliwa, łatwo wpadała w gniew i traktowała wszystko z pewną podejrzliwością, znalazła chyba jakąś równowagę w sztuce, którą wspólnie praktykowali. Dobrze też czuła się w roli dowódcy, a Dwyrin cieszył się, że ten obowiązek przypadł właśnie jej. Oparł się o burtę wozu i zamknął oczy, by – jak czynił to coraz częściej w tej jałowej, spalonej słońcem krainie – wrócić myślami do wspomnień z dzieciństwa, do obrazu zielonych pól Hibernii i kropel porannej rosy na liściach.

– Ładny dźwięk – ocenił Dwyrin, wskazując kubkiem na rozświetloną blaskiem ognisk ciemność. – Te głosy stworzone zostały do śpiewania pod gołym niebem.

Odenatus, który ułożył się już na swoim posłaniu, skinął w milczeniu głową. W nikłym blasku lampki zawieszanej na burcie wozu Dwyrin ledwie dostrzegł ruch swego towarzysza. Po drugiej stronie obozu, wypełnionego teraz wozami i tysiącami namiotów, mocne męskie głosy wyśpiewywały jakąś pieśń. Wydawało się, że słucha jej cała noc. Pieśń wznosiła się ku kopule nieba, na której lśniły tysiące gwiazd. Dwyrin nie rozumiał słów, ale był przekonany, że opowiada o wielkich czynach wojowników i myśliwych.

– Nazywają ich Blemejami – powiedział Odenatus, napełniając kubek winem z amfory, którą wspólnie opróżniali. – Pochodzą z czarnych królestw położonych u źródeł Nilu – Meroe i Aksum. Wielu z nich służy w moim mieście, ochraniają karawany, w razie potrzeby walczą też na wojnie. Trudno znaleźć waleczniejszych i odważniejszych wojowników. Myślę, że nie lubią naszych miast, choć w ich ojczyźnie są podobno *metropolei* nie mniejsze i nie mniej bogate niż Aleksandria czy Konstantynopol.

– O czym śpiewają? Odenatus pokręcił głową.

– Nie wiem. Śpiewają podczas bitwy, by dodać sobie sił i napełnić strachem przeciwników. Podobno wierzą, że jeśli zginą podczas bitwy z pieśnią na ustach, pójdą do raju. Mówił mi o tym mój dziadek, który bardzo sobie cenił ich usługi.

Dwyrin odłożył kubek i wstał, przeciągając obolałe plecy. To był długi i męczący dzień, choć na szczęście armia nie przeszła jeszcze przez środek Antiochii. W górze rzeki legionieści zbudowali most pontonowy, dzięki czemu armia mogła przepłynąć się na zachodni brzeg i pojechać drogą przez pola uprawne do wielkiego *campus martius*, w którym Rzymianie stacjonowali w czasie pokoju. Przejazd ciężkiego wozu po moście pontonowym – który chwiało się pod ich stopami niczym żywe stworzenie, czuły na każdy ruch przejeżdżających wozów – było jednak trudnym zadaniem. Dwyrin wciąż czuł ten wysiłek w obolałych ramionach i nogach. W końcu jednak dotarli do wyznaczonego miejsca, rozbili namioty i mogli się raczyć ciepłym posiłkiem.

W obozie panowała dziwna cisza, dzięki czemu do ich uszu docierał odległy śpiew Blemejów. Kohorty ustawiły swoje namioty w ściśle określonym, uporządkowanym szyku typowym dla rzymskiej armii, lecz brakowało charakterystycznego zgiewku. Dwyrin słyszał chrapanie dobiegające z najbliższego namiotu, przypuszczał więc, że wszyscy położyli się wcześniej spać. Centurion powiedział, że nazajutrz co czwarty żołnierz dostanie przepustkę do miasta, podczas gdy pozostali będą odpoczywać lub naprawiać wozy. Podobno w ciągu tygodnia armia miała znaleźć się na drodze prowadzącej do wybrzeża i Seleukii, gdzie czekała już flota, która miała zabrać ich do domu.

Dwyrin nie wiedział, co ma o tym myśleć. Dołączył do armii w ogromnym pośpiechu – w związku z ogłoszonym w ostatniej chwili zaciągu w egipskich szkołach taumaturgicznych – do tej pory jego prawdziwym domem, była mała akademika Pthamesa. Trafił tam jako dziecko, nieświadomy wielkiego świata otaczającego jego małą wioskę w Hibernii. Rodzinny dom wydawał mu się teraz nieprawdopodobnie odległy, dzieliły go odeń długie miesiące podróży morskiej na same krańce cesarstwa, a właściwie nawet poza nie. Dzikie plemiona z jego rodzinnych stron nigdy nie ugięły się przed Rzymem, który jednak nie przywiązywał do tego wagi. W mniemaniu senatorów Brytania leżała gdzieś na krańcu świata. Teraz miał wrócić wraz ze swą kohortą do Konstantynopola – ogromnego miasta, którego poprzednim razem nie zdążył nawet zobaczyć – i znaleźć tam nowy dom wśród setek czarowników, którzy służyli państwu i cesarzowi.

– Tęsknisz za domem? – spytał Dwyrin, starając się nie okazywać ogarniającego go smutku.

– Za miastem? – Odenatus podniósł nań wzrok. – Za jego złotymi murami i jasnymi ogrodami, pełnymi hiacyntów i bugenwilli? Za długimi pasażami i arkadami, za szerokimi, brukowanymi ulicami i cudownymi zachodami słońca? Tak, tęsknię za tym wszystkim. Tęsknię też za moją rodziną. Za siostrami i ich rozbrykanymi dziećmi, za zrzędlwym ojcem... Brakuje mi ich wszystkich.

Młody Palmyrczyk umilkł, wpatrzony w ciemność. Przez chwilę obracał w dłoniach kubek z winem, pograżony w myślach.

– Zoe chce tu zostać, wiesz, w armii. Mieliśmy służyć tylko podczas tej kampanii, to był dar miasta dla cesarstwa, ale wydaje mi się, że Zoe znalazła tu coś, czego brakuje jej w domu. Poczucie miejsca i celu. Kim mogłaby być w mieście? Żoną? Myślisz, że to do niej pasuje? A co z tobą? Czy ty też czujesz, że teraz to jest twój dom? Wiem, że nie trafiłeś tu z własnej woli.

Tym razem to Dwyrin zamyślił się na chwilę.

– Nie wiem – odpowiedział wreszcie. – Łowcy czarowników zabrali mnie od mojej rodziny, kiedy byłem jeszcze bardzo mały, a potem sprzedali mnie cesarstwu. Przez długi czas to szkoła była moim domem, ale tam też nie mogę wrócić. – Podniósł rękę i podwinął rękaw tuniki. Mały, ciemny znak legionów odcinał się wyraźnie od jego jasnej skóry. – Teraz mam to, znak przynależności do legionu. Nawet gdybym mógł stąd odejść, nie miałbym dokąd pójść. Będzie mi was brakowało. Wiele nas połączyło podczas tej kampanii. Przede wszystkim nie zginęliśmy! Żyjemy i wrócimy do domu bogaci; oczywiście jeśli nie wydamy tu wszystkiego w burdelach.

Odenatus uśmiechnął się lekko, podrapał po głowie i odstawił pusty kubek.

– Wiem, co masz na myśli, barbarzyńco. Nie uważasz, że powinna już wrócić?

– Tak, powinna.

Dwyrin wstał i spojrział w ciemność. Na murach miasta płonęły setki lamp i pochodni: długa linia klejnotów zawieszonych w ciemności nocy.

– Cóż, nie mamy przepustki... Musimy chyba wymknąć się z obozu i poszukać jej w mieście. Nie wiadomo, do jakich to zepsutych i zdeprawowanych miejsc będziemy musieli zajrzeć, nim ją znajdziemy...

Hm... – mruknął Odenatus, z trudem stając na równe nogi. Wypite przed chwilą wino uderzyło mu trochę do głowy. – Lepiej, żeby nikt się nie zorientował, że nas tu nie ma. Powinniśmy zostawić wiadomość dla centuriona.

– Tak – odparł Dwyrin z uśmiechem. – Powinniśmy mu coś zostawić. Zgasił palcami knot lampki. Wóz pogrążył się w głębokich ciemnościach.

Dwyrin odszukał po omacku swój płaszcz. Słyszał, jak Odenatus robi to samo. Palmyrczyk kucnął jeszcze przy wejściu do namiotu, w którym zapłonęło na moment nikle, przytłumione światelko. Kiedy wstał, spod płótna namiotu zaczęło się

wydobywać miarowe chrapanie. Dwyrin uśmiechnął się do siebie i spojrzął w górę, na otchłań aksamitnej nocy i migoczących gwiazd. Rzeka Mleka była doskonale widoczna w przejrzystym pustynnym powietrzu.

– Chodźmy – wyszeptał Odenatus. Razem zaczęli się przekradać przez wąskie uliczki obozu.

Mimo lamp rozstawionych na każdym rogu ulicy, w dzielnicy za Bramą Laurową, na południowym krańcu miasta, zalegały ciemności. Dwyrin potknął się na wystającym kamieniu i poleciał kilka kroków do przodu. Odenatus szedł powoli, przyglądając się uważnie portykom domów. Była to bogata dzielnica kupiecka – na ulicach nie walały się śmieci ani ciała pijanych Rzymian – lecz o tak późnej porze wszyscy musieli już spać. Palmyrczyk zatrzymał się, wpatrzony w elegancki dom, przed którym wznosiły się cztery smukłe kolumny. Podeszedł do drzwi pogrążonych w ciemności – przed wejściem nie paliła się żadna lampa, co w tej dzielnicy było dość niezwykle. Odenatus przyłożył dłoń do portalu i przechylił głowę, nasłuchując.

Dwyrin stał na ulicy i przyglądał się innym domom. W każdym widać było jakieś oznaki ludzkiej obecności: kwiaty na balkonach, lampę lub świecę płonąca w holu. Wydawało się, że budynki oddychają nocnym powietrzem, żyją życiem swoich mieszkańców. Dom, przed którym właśnie przystanęli, wydawał się pusty i martwy, porzucony.

– Jesteś pewien, że to właśnie tutaj?

Odenatus zmarszczył brwi i przesunął dłonią po rzeźbionych kolumnach strzegących wejścia do budynku.

– To tradycyjne symbole miasta; dwie palmy przed każdym wejściem. Byłem tu już kiedyś z moim dziadkiem, jestem pewien, że to ta ulica. Ale ten dom wydaje się pusty, a to jest już bardzo dziwne... Jestem pewien, że Zoe przyszłaby najpierw właśnie tutaj, do konsula. Nie wiem, gdzie mogła pójść potem, jeśli nikogo tu nie zastała...

Dwyrin owinał się szczelniej żołnierskim płaszczem. Robiło się coraz chłodniej.

– Poszukajmy kogoś, kto mógłby nam powiedzieć, co się z nimi stało. Może przenieśli się do jakiegoś większego budynku.

Poczekaj – zawołał Palmyrczyk, gdy Dwyrin zawrócił i zaczął się oddalać. – Za dużo dzisiaj wypiliśmy. Nie myślimy rozsądnie. – Pogrzebał w dużym skórzanym mieszkku, który nosił przywiązany do uda, podobnie jak Dwyrin. Po chwili wyciągnął stamtąd trójkątną ceramiczną płytkę. – Jest... – mruknął z satysfakcją. – Masz swoją?

Dwyrin skinął głową. Jego płytka także leżała na dnie mieszka. Odszukał ją dotykiem, jak uczył ich tego Kolonna, ich stary nauczyciel. Płytką była nacięta

wzdłuż jednego z boków, a gdy przyłożył ją do płytki Odenatusa, natychmiast wsunęła się na miejsce, jakby wiedziona własną wolą.

– Pamiętasz zaklęcie?

Dwyrin skinął głową. Dotyk gładkiej, chłodnej powierzchni płytki sam przywiódł do niego te słowa. Spowolnił oddech i pozwolił wyciszyć się umysłowi. Przez chwilę, kiedy zbliżał się do stanu oczekiwania i pustki, który jego nauczyciele nazywali otwarciem Hermesa, czuł, jak wywołane winem otępienie próbuje uspić jego umysł, potem jednak to wrażenie minęło. Gdy już się skupił, wyzwolił swoje nadwidzenie, skupione wokół dwóch płytek, które trzymał w dłoni. Ciemności opadły, zastąpione przez światło wypływające z miejsca łączenia płytek. Potem pojawiły się fioletowoniebieskie fale, sięgające do bruku ulicy i fasad domów. W miejscu, gdzie stał Odenatus, kłębił się i falował oślepiająco jasny płomień. Dwyrin wiedział, że jego ciało wygląda tak samo – rzeki ognia pulsujące w rytm bicia jego serca.

Wypchnął te obrazy ze swej świadomości, pomny słów wypowiedzianych niegdyś przez starego centuriona: „Drugim wrogiem czarownika jest zbyt szerokie widzenie, które mąci umysł i nie pozwala się skupić”. Teraz widział tylko dwie płytki, do których dołączyły obrazy dwóch kolejnych, jasnej i ciemnej. Wszystkie cztery tworzyły kwadrat; zwykłą płytkę podłogową z wypalanej gliny, szorstką po jednej stronie i gładką po drugiej.

– Widzisz – wyszeptał Odenatus. – Eryk zginął, ale Zoe nadal nosi swoją. Prowadź nas, wierna towarzyszeko.

Dwyrin odsunął powoli swoją płytkę, podobnie jak Odenatus. Dwa niematerialne fragmenty zawisły na moment w powietrzu. Czwarta – ta, która umarła wraz z biednym Erykiem w zimnych wodach rzeki obok perskiego miasta Tauris – zniknęła, trzecia zaś obróciła się w powietrzu i odleciała. Dwyrin roześmiał się głośno; musieli biec, by dotrzymać jej tempa. Odenatus zaklął szpetnie. Nienawidził biegania.

Na wschodzie pojawiły się pierwsze plamy światła zwiastujące nadejście świtu. W dokach panował przenikliwy chłód, lecz barczysty mężczyzna wydawał się nieczuły na zimno. Z gór wyrastających w głębi łądu wiał przenikliwy, dojmujący wiatr, jednak pomimo odsłoniętych ramion i nóg mężczyzna nie schodził z kamiennego pomostu. Jego gwardziści czekali kilka kroków dalej. Okryci zbrojami i futrami nazwaliby pewnie dojmująco zimny poranek rzeńskim, ale wszyscy byli Skandynawami lub Rusami, nawykłymi do znacznie surowszych warunków. Wzdłuż krawędzi pomostu przesuwała się potężna cesarska galera. Jej wielki maszt wciąż był złożony, a wokół kadłuba tłoczyło się kilkanaście łodzi wiosłowych. Nad wodą niósł się chłupot wiosła i miarowy śpiew wiosłarzy. Pięciorzędowiec „Juno Klaudiusz” potrzebował niemal dwóch godzin, by wypłynąć z przystani na otwarte morze. Pokład

okrętu oświetlały dziesiątki lamp. W blasku widać było niewielką postać stojącą na tylnym pokładzie.

Mężczyzna na pomoście podniósł rękę w pożegnalnym geście i uśmiechnął się lekko. Postać na okręcie pomachała doń w odpowiedzi i podniosła opatulone w futra zawiniątko, by mężczyzna jeszcze przez chwilę mógł spojrzeć na drobną, bladą twarzyczkę swego dziecka. Wreszcie mężczyzna opuścił dłoń i naciągnął kaptur na głowę. Odwrócił się, usłyszawszy czyjeś kroki na pomoście.

– Witaj bracie! Czy cesarzowa już odpłynęła?

Herakliusz, władca Cesarstwa Wschodniego, autokrator i august Greków i Rzymian, odwrócił się do swego młodszego brata. Dobrotliwy uśmiech zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca surowemu obliczu władcy połowy świata. Podniósł rękę i przywitał się z bratem.

– Witaj, książę Persji. Tak, Martyna i mój syn już odpłynęli. Powinni dotrzeć do Konstantynopola w ciągu tygodnia. Podczas gdy my, drogi bracie, nadal będziemy zajmować się organizowaniem transportu, dzieleniem łupów, załadunkiem towarów i armią...

Teodor uśmiechnął się szeroko na dźwięk słowa „łupy”. Herakliusz był wysoki i barczysty, Teodor zaś tęgi i przysadzisty, obaj jednak mieli zadarty nos swego ojca i jego bezpośrednie podejście do życia. Książę odziany był w kawaleryjski skórzany kaftan, buty do jazdy konnej i półpancerz z przewieszonym przez plecy mieczem. Płaszcz cesarza utkany był z grubej czerwonej wełny przetykanej fioletową nicią, książę zaś zdecydował się na krótszą pelerynę w orientalnym stylu, podbitą futrem i zdobioną złotymi nićmi. Herakliusz zastanawiał się przez moment, czy nie powiedzieć swemu bratu, że choć nosi tytuł księcia Persji, wcale nie musi nosić perskich ubrań, w końcu jednak powstrzymał się od komentarzy.

– Jadłeś już śniadanie? Moi służący już coś gotują...

Herakliusz pokręcił przecząco głową i ruszył w dół pomostu. Jego brat szedł tuż za nim, jak czynił to od dwudziestu lat, gwardziści zaś otoczyli ich szerokim kołem. Zimne, niebieskie oczy wojowników z północy bez ustanku obserwowały otoczenie, nawet ciemne wody zatoki, a ich dłonie spoczywały na rękojeściach mieczy.

– Poleciałem dowódcom wszystkich legionów, by stawili się u mnie o świcie – powiedział Herakliusz. – Trzeba postanowić, które kohorty wrócą do stolicy lub do Egiptu, a które tu zostaną. Wielu ludzi musi wrócić do swoich farm i miast na prowincji; na ich miejsce trzeba będzie wcielić i wyszkolić nowych rekrutów. Musimy też zdecydować, co zrobić z dwoma zachodnimi legionami, które zostawił nam mój brat cesarz.

– Cóż to za wojska! – parsknął Teodor pogardliwie. – Stara piechota i inżynierowie! Gdybyśmy oblegali jakieś miasto, pewnie bardzo by nam się przydali,

ale teraz? Nie są nam do niczego potrzebni. Byłoby znacznie lepiej, gdyby zostawił nam tych swoich sarmackich rycerzy.

Herakliusz przyjrzał się uważnie swemu bratu: młodzieńcza fantazja i zamiłowanie do bohaterskich czynów wciąż brały w nim górę nad zdrowym rozsądkiem. Cesarz zastanawiał się przez chwilę, czy nie oddać pod jego zarząd nowo zdobytych prowincji perskich, ostatecznie jednak odsunął od siebie tę myśl. *Potrzebuję tu kogoś, komu mógłbym zaufać. On będzie miał rozsądnych doradców i ludzi, którzy nieco ostudzą te jego młodzieńcze zapędy.*

– Cesarz Galen zostawił nam coś, czego bardzo nam brakuje, drogi bracie: doświadczoną piechotę i specjalistów. Okażą się dla nas cenniejsi od złota, gdy w ciągu najbliższych sześciu miesięcy przyjdzie nam wyszkolić cztery nowe legiony. Będziesz potrzebował nie tylko kawalerii, by...

– Nie potrzebuję piechoty, by rządzić Persją! – przerwał mu gwałtownie Teodor. – Potrzebuję jazdy i to dużo! Persja jest ogromna i słabo zaludniona. Potrzebuję katafraktów, którzy mogliby patrolować cały kraj i zarządzać nim. Piechota sprawdza się tutaj, w Syrii, Egipcie i Azji, ale nie tam. – Wskazał na wschód, gdzie na tle jaśniejącego nieba rysowała się sylwetka góry Silpius. – Tam potrzebuję kawalerii i to więcej niż owe cztery legiony.

Herakliusz spojrział na swego brata i uniósł lekko brwi. Teodor umilkł, nieco speszony.

– Myślałem już o tym – przemówił po chwili Herakliusz. – Zastanawiałem się nad zasadniczymi zmianami w funkcjonowaniu armii na prowincji, zarówno w cesarstwie, jak i w nowych prowincjach. Chciałbym też zmienić sposób szkolenia rekrutów i wsparcie oddziałów w terenie. Wiesz, że dokonałem już kilku zmian... cóż, to dopiero początek. Obecne prowincje podzielone zostaną na dystrykty...

Cesarz i jego brat wyszli z portu, pogrążeni w dyskusji. Gwardziści podążali za nimi, niczym milczący mur otaczający obu mężczyzn. Na wschodzie robiło się coraz jaśniej, światło wypełniało powoli kamienne nabrzeża i doki Seleukii. Stały tu na kotwicy setki statków, ciężkich transportowców i potężnych galer. Ulice zaczęły się wypełniać robotnikami portowymi. Z miasta wyszły też długie szeregi żołnierzy Cesarstwa Zachodniego – łatwo rozpoznawalne ze względu na nieco archaiczne zbroje i nienagannie równy szyk – kierowane przez zachrypniętych centurionów ku czekającym w porcie okrętom. Były to ostatnie legiony cesarza Zachodu, który wypłynął na morze poprzedniego dnia.

Widmowy obraz ostatniej płytki zniknął w blasku dnia, zmuszając Dwyrina do gwałtownego hamowania. Zakłęcie prowadziło ich przez ciemne ulice i puste place,

przez publiczne ogrody i mosty. Wreszcie dotarli do wschodniej bramy, tej samej, którą Dwyrin przekroczył dzień wcześniej. Brama była zamknięta na noc, a pochodnie i lampy strażników przygaszone, blask wstającego dnia był już jednak wystarczająco jasny.

– Gdzie teraz? – wydyszał Odenatus, czerwony ze zmęczenia po długim biegu.

– Nie... poczekaj. Jest tutaj.

Pod bramą, tuż obok wartowni, leżała jakaś skulona postać. W świetle brzasku widać było czerwony płaszcz i ciemne buty. Dwyrin podbiegł bliżej, przejęty nagłym strachem. *A jeśli ktoś ją zaatakował? Pchnął zniechęca nożem?*

– Zoe? – przemówił lekko zachrypniętym głosem. Przykucnął obok niej, Odenatus pochylił się nad jego ramieniem. W powietrzu unosił się zapach wina i jakiś inny, kwaśny zapach. – Dowódco? – Dotknął jej ramienia.

Dziewczyna leżała przez chwilę w bezruchu, potem drgnęła pod jego dotykiem. Dwyrin westchnął i nakazał Odenatusowi gestem, by wziął ją pod drugą rękę. Razem podnieśli ją do pionu. Kaptur zsunął się do tyłu, a głowa Zoe opadła bezwładnie na jej ramię. Cała przednia część jej płaszcza pokryta była zaschniętymi wymiocinami i innymi, trudnymi do określenia plamami. Z jej dłoni wypadł tani dzban na wino, który rozbił się o bruk. Ze środka wypłynęło ledwie kilka ostatnich kropeł czerwonego napoju.

– Fuj, ale zapaszek – prychnął Odenatus. – Co ona piła?

– Raczej, co sobie myślała. Możemy zapomnieć o miękkich łóżkach i ciepłej kąpieli!

Zoe uniosła powoli powieki i skrzywiła się okropnie, gdy oślepiło ją światło dnia. Podniosła rękę, próbując zasłonić twarz. Chłopcy odciągnęli ją od bramy i ułożyli pod dachem najbliższego sklepu. Wiedzieli, że wkrótce ulice wypełnią się wieśniakami prowadzącymi wozy pełne warzyw, owoców i innych towarów na sprzedaż. Dwyrin ostrożnie posadził dziewczynę na stopniach przed sklepem, podtrzymując jej głowę, by nie uderzyła w ścianę.

– Zoe? – przemówił Odenatus z zatroskaną miną, kucając obok dziewczyny. – Poznajesz nas?

Dowódca piątki oparła się o ścianę sklepu. Odenatus ujął jedną ręką dłoń kuzynki, a drugą odgarnął z jej twarzy splątane włosy. Dziewczyna uchyliła lekko powieki. Nawet blade światło było zbyt jasne dla jej głowy.

– Odenatus? – przemówiła słabym, zachrypniętym głosem. Dwyrin zrozumiał, że Zoe musiała wcześniej bardzo długo płakać. Rozejrzył się dokoła w poszukiwaniu studni. Po drugiej stronie niewielkiego placu za bramą stała fontanna. Dwyrin pobiegł do niej, wyciągając po drodze kubek na wino. Napełnił go i wrócił pod sklep.

Dotarłszy do dwójki Palmyrczyków stanął jak wryty. Odenatus był blady jak ściana, usiadł ciężko na ulicy i wpatrywał się Dwyrina niewidzącymi oczyma. Hibernijczyk odwrócił głowę, zdumiony i napotkał wzrok Zoe pełen czystej, nieposkromionej nienawiści.

Młoda kobieta wstała powoli ze schodów, przytrzymując się jedną ręką ściany, drugą zaś zaciskając w pięść.

– Cholerny Rzymianin! – Jej głos przeciął ciszę poranka niczym nóż. – Twoje cudowne cesarstwo nas zniszczyło! Wszystkich, co do jednego!

– Co? – zdołał wykrztusić Dwyrin, nim Zoe podeszła do niego i uderzyła go z całej siły pięścią w twarz. Hibernijczyk zachwiał się i cofnął o krok zaszokowany.

Śmierząca rzymska świnia! – Kolejny cios trafił go w gardło. Dwyrin runął na ziemię, chwytając powietrze otwartymi ustami. Zoe rzuciła się na niego z pięściami, kopała go po żebrach. Dwyrin odtoczył się na bok i zerwał na równe nogi, czerwony z gniewu. Podniósł ręce, gotów do walki. Zoe krążyła wokół niego z wściekłością, obrzucając go najgorszymi obelgami, emanując falami gniewu. Znów poderwała się do walki, a Dwyrin w ostatniej chwili zablokował uderzenie i odepchnął ją od siebie. Dziewczyna obróciła się w miejscu i wyprowadziła kopnięcie na jego kolano, przed którym Dwyrin ledwie zdołał uskoczyć.

– *Irrumator!* Zabiję ciebie i każdego, kto wygląda jak ty, ty... urku! Odenatus, z twarzą mokrą od łez, pochwycił swą kuzynkę od tyłu, po czym oboje runęli na bruk.

– Pomóż mi! – krzyknął na Dwyrina, kiedy Zoe wila się i szarpała w jego uścisku jak węgorz. Dwyrin doskoczył do nich i próbował przygwoździć nogi kobiety do ziemi. Przez chwilę zmagali się ze sobą pośród posapywań i przekleństw. Dwyrin krzyknął z bólu, gdy Zoe ugryzła go z całej siły. Dopiero gdy wsunął jej między zęby kawałek materiału, zdołali ją unieruchomić. Odenatus dyszał ciężko, a z oczu wciąż ciekły mu strugi łez.

– Co... co się stało? – spytał Dwyrin. On także był zdyszany, a do tego wciąż bolała go głowa po ciosie Zoe.

– Och, mój przyjacielu, nie mogę w to uwierzyć... Nasze miasto zostało zniszczone.

Dwyrin wpatrywał się zszokowany w twarz swego przyjaciela, nie do końca pojmując sens jego słów.

– Zniszczone? Jak... to znaczy kto? Persowie? Na pewno nie cesarstwo!

– Nie wiem, tylko tyle powiedziała... ale widziałem to w jej twarzy. Wszyscy zginęli: moja matka, mój ojciec, moje siostry, wszyscy, z którymi się wychowałem, których znałem... – Odenatus znów zaczął płakać, a Dwyrin mógł jedynie tulić go mocno do siebie i bezskutecznie szukać słów pocieszenia.

Znów była noc. Dwyrin siedział samotnie przed namiotem. Krąg światła rzucany przez lampę zawieszoną na wozie obejmował młodego Hibemijczyka i fragment jednego z wielkich kół. Opróżniwszy niemal galon wina, Dwyrin przestał wreszcie płakać. Reszta kohorty przebywała w mieście, gdzie wydawała swoją część perskiego łupu na różnego rodzaju przyjemności. Dwyrinowi noc wydawała się pusta i zimna. Został sam. Zoe opuściła legion jeszcze tego samego dnia, gdy znaleźli ją przy bramie. Odenatus próbował ją namówić, by została choć jeszcze na kilka dni, lecz ona nie chciała słuchać i wyszła przez wschodnią bramę, sama, na piechotę. Po krótkiej walce przy bramie ani razu nie spojrzła na Dwyrina, z trudem też akceptowała Odenatusa. Dwyrin stał wtedy w blasku słońca i patrzył, jak jej sylwetka znika w oddali. Ten widok przejmował go zimnym dreszczem, choć perskie słońce paliło tego dnia bezlitośnie.

Dwyrin podniósł kubek do ust. Wino nie miało żadnego smaku. Otwarta nienawiść, jaką okazała mu Zoe, przybiła go, czuł się oszołomiony i zraniony. Tyle że tej rany nie mógł obwiązać ani opatrzyć. Strużka wina pociekła mu po brodzie i tunice, lecz nawet tego nie zauważył.

Odenatus odszedł zaledwie przed chwilą. On także był zdruzgotany wiadomościami z Palmyry, zdołał się jednak jakoś pozbierać i dopełnić wszystkich formalności związanych z odejściem z cesarskiej armii. Biorąc pod uwagę zamieszanie, jakie panowało w mieście, nie zajęło mu to dużo czasu – zaledwie cztery dni czekania w dusznych biurach. Odebrał swój żołd z ponurą miną i przez długą chwilę ważył w ręce ciężkie monety, nim odwrócił się od biurka trybuna. Zabrał z wozu rzeczy Zoe i załadował je na wielbłądy, które kupił w mieście. Dwyrin przyglądał mu się mętnym wzrokiem, leżąc w cieniu przed namiotem. Odenatus nie odezwał się do niego ani słowem, choć Dwyrin miał nadzieję, że spokojny Palmyrczyk nie żywi doń tej samej jadowitej nienawiści, która zrodziła się w sercu Zoe.

Dwyrin postawił kubek obok amfory. Oba naczynia były już puste. Lampka na wozie wypaliła ostatnią kroplę oleju i zgasła.

– Chcesz, żebym poszedł z tobą? – rozbrzmiał w ciemności jego głos, w pobliżu jednak nie było już nikogo. Chciał powiedzieć to Odenatusowi, głos jednak uwiązł mu w gardle i nie mógł wykrztusić ani słowa. – Pójdę, jeśli tylko mnie poprosisz.

Młody Hibemijczyk położył się na ziemi i zwinął w kłębek. Kamienie wbijały mu się w bok i plecy, ale nawet tego nie czuł.

– Powinniśmy trzymać się razem – wyszeptał. – Jesteśmy silnym zespołem. Wysoko nad obozem, niesiona wieczorną bryzą, przeleciała sowa, pohukując głucho.

CAMPUS MARTIUS, RZYM

Gajusz Juliusz kuczał w głębokim cieniu, otulony czerwonym płaszczem, który okrywał mu ramiona i spływał na ziemię. Wśród ozdobnych drzewek panował dojmujący chłód, lecz stary Rzymianin uśmiechał się radośnie. Zginał i prostował palce, obserwując, jak pod jego skórą przesuwiają się mięśnie i ścięgna. Niebo zakrywały ciemne chmury, znad których wystawał tylko rąbek cienkiego jak sierp księżyca.

– Z czego się śmiejesz? – spytał Aleksander głosem, w którym dało się wyczuć napięcie i podniecenie.

– Pomyślałem – szepnął Gajusz przez ramię – że gdybym był żywym człowiekiem, trząsnąłbym się tutaj z zimna i pewnie byłbym cały zeszytywniały. Ale teraz? Czuję się doskonale! Owszem, czuję zimno, ale nie sięga moich kości.

– Hm... – Na Macedończyku te słowa najwyraźniej nie zrobiły większego wrażenia. Młodzieniec bez ustanku sprawdzał, czy torby i narzędzia zawieszane u jego pasa są na swoim miejscu. – Ja wciąż biegam szybciej i dalej od ciebie. Mój chwyt jest silniejszy.

Gajusz Juliusz uśmiechnął się w ciemności, słysząc ogromną pewność siebie w tym aksamitnym głosie. Serce zabiło mu mocniej w martwym i zimnym ciele. Coś w tym młodzieńcu ogromnie go pociągało, domagało się od niego, by ślepo spełniał jego żądania, nawet gdyby miało się to dlań skończyć tragicznie. Stary Rzymianin był ostrożny i cyniczny, wiedział, że niegdyś on sam oddziaływał w podobny sposób na innych. Miał nadzieję, że w razie potrzeby będzie jednak umiał nad sobą zapanować.

– To prawda – mruknął stary Rzymianin. – Ale umarłeś bardzo młodo, gdy miałeś jeszcze tyle do zrobienia. Twoje ciało jest znacznie sprawniejsze od mojego, zmęczonego i zniszczonego sukcesem... Ale tak czy inaczej nie czuję teraz zimna, i bardzo mi się to podoba.

Aleksander mruknął tylko coś w odpowiedzi i oparł się plecami o pień sosny. Ukrywali się w pierwszym rzędzie drzew. Przed nimi ciągnęła się droga z ułożonych ciasno kamieni i żużlu, a za nią majaczyła okrągła bryła wielkiego grobowca. Wzdłuż podstawy grobowca ciągnął się rząd krzewów różanych. Wysoki marmurowy mur otaczał taras, na którym także rosły inne ozdobne drzewka – cytryny i oliwki. Wyżej wznosiły się jeszcze dwa tarasy, porośnięte zieloną darnią i kolorowymi kwiatami. Cały gmach wieńczył okrągły murowany podest, na którym stała marmurowa kolumna podtrzymująca lśniący złotem posąg.

Gajusz Juliusz patrzył przez chwilę na statuę iskrzącą się w blasku pochodni osadzonych u podnóża murowanego cokołu. Usta starego Rzymianina wykrzywiły się

w pogardliwym uśmiešku. Widok jego krewniaka, z wieńcem laurowym na głowie i rękami wzniesionymi nad Rzymem w geście błogosławieństwa, działał mu na nerwy.

– Szczeniak... – syknął przez zęby, czując, jak w jego sercu rośnie gorzka zawiść.

– Uwaga. – Aleksander dotknął jego ramienia i wskazał na grobowiec.

Kilkanaście kroków dalej za rzędem starannie przyciętych krzewów różanych zaczynały się schody prowadzące do szerokich złożonych drzwi. Złote wrota lśniły w blasku lamp zawieszonych po obu stronach wejścia. W alkowie tuż przy drzwiach stały dwa stołki i żelazny kosz wypełniony płonącymi drewnami. Dwaj żołnierze w płaszczach i zbrojach pretorianów siedzieli na stołkach i ogrzewali dłonie przy ogniu. Przed momentem wstali i przypięli miecze do pasów.

– Zmienia się warta? – Aleksander napiął mięśnie, gotów natychmiast poderwać się do biegu.

Gajusz pokręcił głową i położył dłoń na ramieniu młodszego mężczyzny.

– Nie, jeszcze nie. Pewnie po prostu idą *utmeiant vein meiantur*, że tak powiem.

Dwaj pretorianie rozejrzeli się uważnie dokoła, a potem jeden z nich wziął do ręki lampę i odszedł wraz z drugim między starannie wypielegnowane drzewa. Gajusz obserwował ich z uwagą, dopóki światło latarni nie zniknęło między pniami. Wtedy skinął głową na Macedończyka.

– Chodźmy.

Długi brązowy nóż zazgrzytał w zamku. Drzwi, wciąż zamknięte, ozdobione były wygrawerowanymi obrazami, które przedstawiały wydarzenie związane z narodzinami cesarstwa. Gajusz Juliusz zaklął cicho i wyjął klucz. Heksagonalny mechanizm zamka stawiał zacięty opór. Stary Rzymianin sięgnął do skórzanej torby zawieszanej u pasa i wyjął drugi klucz. Aleksander, który stał tuż za nim, poruszył się lekko, brzęcząc lekko swoją lorką. Gajusz pokręcił głową, próbując ułożyć lepiej hełm na głowie. Minęło już wiele czasu, odkąd po raz ostatni miał na sobie pełną zbroję legionisty. Teraz czuł wyraźnie jej ciężar na ramionach i piersiach.

Tłusty polityk, rugał sam siebie w myślach. Ten chłopak nawet nie zauważył, że nosi dzisiaj zbroję.

Drugi klucz trzasnął cicho i zaczął się obracać. Gajusz nacisnął nań mocniej, a żelazny bolec schował się ze zgrzytem w zamku. Wydawało się, że ów zgrzytliwy dźwięk słychać w całej okolicy, Gajusz wiedział jednak, że brzmiał on tak tylko w ich uszach.

– Chodźmy – rzucił, gdy drzwi uchyliły się lekko. Schował klucz do torby i napał na ciężkie od złota skrzydło, a następnie wśliznął się szybko do wnętrza oświetlonego blaskiem kilku świec. Aleksander deptał mu po piętach.

* * *

– To wszystko? Trochę popiołu? – Aleksander obrócił w palcach marmurowy cylinder. Cylinder miał stopę długości i pokryty był misternie rzeźbionymi scenami przedstawiającymi mężczyzn, kobiety, konie, okręty i Forum. – To jest takie małe!

– Niewiele zostaje z człowieka, kiedy już pożegna się z tym światem – odparł Gajusz, grzebiąc nożem w szczelinie, w której przed chwilą stał cylinder. – Ale zdaje się, że wy, Macedończycy, nie przechowywaliście nawet tego.

– Nie – potwierdził Aleksander w zamyśleniu. – Wiatr i ogień zabierają zmarłych z powrotem do bogów. Wielu ludzi odesłałem w ten sposób do domu.

Gajusz podniósł wzrok, zaskoczony nutą melancholii, która pojawiła się w głosie młodszego mężczyzny. W ciągu kilku miesięcy, które minęły od jego wskrzeszenia, Aleksander nigdy nie tracił dobrego humoru. Okoliczności jego śmierci i powrotu do życia jakby nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Gajusz przypuszczał, że młodzieńcowi wydawało się to całkiem naturalne, a wręcz należne wodzowi jego formatu.

– Ciekawe, dlaczego mnie nie uhonorowali w ten sposób? – Twarz Aleksandra oświetlona blaskiem świecy, którą przyniósł ze sobą Gajusz, wydawała się smutna i zmęczona. – Czy po tym wszystkim, co wycierpieliśmy wspólnie, nienawidzili mnie tak bardzo, że zostawili mnie w ziemi, uwięzionego w złocie i ołowiu?

Gajusz wsunął sztylet do pochwy, wstał ostrożnie i wycofał się z murowanej wnęki, w której mieściły się cztery mniejsze nisze. Odwiązał od pasa jedwabny woreczek i rozsypał go.

– Nawet po śmierci – mówił cicho, nie przerywając pracy – budziłeś miłość i nienawiść, mój przyjacielu. Jeśli spisane historie mówią prawdę, po twojej śmierci rozpętały się gwałtowne spory. Niektórzy generałowie chcieli natychmiast odesłać cię do bogów, inni uważali, że należy cię przewieźć do Macedonii i pogrzebać w mieście twoich ojców. Każdy z nich chciał udowodnić, że kochał cię i oplakiwał twą śmierć bardziej od pozostałych.

Aleksander skrzywił się lekko i potrząsnął głową, jakby chciał odegnać od siebie te obrazy z przeszłości.

– Byli jak psy – kontynuował Rzymianin, z twarzą ukrytą w cieniu – które rzucają się sobie do gardeł, gdy tylko zginie przywódca ich sfory. Cała armia rzemieślników przez dwa lata budowała twój wóz pogrzebowy i twój katafalk. Wielcy generałowie od dawna już wyrzynali się nawzajem w walce o władzę nad imperium, nim twoje ciało zostało wreszcie należycie pogrzebane. Podobno twój kondukt pogrzebowy był tak długi, że trzeba było pięciu dni, by przejść od jego

początku do końca. Żaden człowiek nie odebrał nigdy większego hołdu. Całe narody budowały twoją trumnę.

Macedończyk usiadł ciężko na jednym ze stopni grobowca. Nad ich głowami wznosił się kopulasty sufit, pełen wnęk, w których stały urny z prochami i posągi zmarłych. Błady krąg światła rzucany przez świecę ledwie dotykał stóp młodzieńca.

– Dlaczego nie zachowali tradycji moich przodków? To niebo powinno być moim grobem!

Gajusz przyjrzał się uważniej swemu towarzyszowi, zastanawiając się nad jego słowami.

– Nie byłeś już żołnierzem, zasługującym na żołnierską śmierć – powiedział cicho. – Stałeś się cesarzem. Balsamiści, którzy namaszczali twoje ciało i okrywali całunem, modlili się przez cały dzień i całą noc, nim weszli do pokoju, w którym leżałeś. Bali się, że zostaną uśmierceni za dotyknięcie ciała „nie człowieka, lecz boga”.

Gajusz przyklęknął i położył swą starczą dłoń na kolanie młodzieńca. Aleksander podniósł nań pełne łez oczy.

– A mój syn? Żona? Moja matka?

– Umarli w ciągu dziesięciu lat od twojej śmierci – odparł Gajusz beznamiętnym tonem. – Zostali zamordowani na dworze w Pełli przez tych, którzy cię nienawidzili. Nie przeżył żaden twój dziedzic. Podobno syn, którego cesarzowa Roksana urodziła po twojej śmierci, został uduszony przez Kasandra. Nawet twoje wspaniałe imperium nie przetrwało po twojej śmierci. Nim twój kondukt pogrzebowy opuścił Babilon, w miejscu stworzonego przez ciebie imperium istniało już pięć królestw.

Aleksander wpatrywał się w Gajusza oczami pełnymi bólu.

– A najsilniejsze... – wyszeptał i zakrył usta dłonią.

Ruina – odparł Gajusz Juliusz. Rzymianin szczerze współczuł młodzieńcowi, który uświadomił sobie wreszcie śmierć swego wielkiego dzieła i marzenia. – Wszystko legło w gruzach w ciągu jednego pokolenia. W końcu walczyli nawet o twoje ciało. Nigdy nie dotarłeś do świętej, starożytnej Egei; nigdy nie spocząłeś w grobowcu, który wzniesli twoi żołnierze. Nawet po śmierci byłeś czymś więcej niż tylko ciałem: byłeś symbolem i trofeum dla najambitniejszych. Aleksander warknął gniewnie i wstał, zaciskając dłonie w pięści.

– Więc nie potrafili uszanować nawet tego? Ostatniej podróży zmarłego? Kto ukradł monety z moich oczu?

Gajusz uniósł lekko brwi, zaskoczony gwałtowną reakcją Macedończyka. Z trudem ukrył uśmiech. Ironia całej tej sytuacji była naprawdę wspaniała. *Dlaczego ciało żywego boga nie mogłoby być narzędziem w rękach przebiegłych ludzi? Czyż nie dzieje się tak właśnie teraz?*

– Ten, który mienił się twoim bratem, oczywiście – odparł Gajusz, wskazując na

cylinder leżący na podłodze. – Przebiegły Ptolemeusz ukradł twoje zwłoki, gdy kondukt pogrzebowy przechodził przez Syrię. Zabrał twe ciało z powrotem do Egiptu i złożył je w słynnym grobowcu zwanym Sema, gdzie leżało przez sześćset lat. Byłem tam, kiedy jeszcze żyłem, i oddałem ci hołd w świątyni Amona, jak dziesiątki tysięcy innych.

– Ptolemeusz... – Aleksander uśmiechał się i złościł jednocześnie. – Ten łajdak! Tak... tak, on odważyłby się na coś takiego. Nie należy wierzyć przyjaciołom z dzieciństwa. Oni nigdy nie okazują ci należytego szacunku!

Widząc, że młodzieniec nie zwraca na niego uwagi, Gajusz przyciągnął do siebie cylinder i zaczął odkręcać wieko. Urna zabezpieczona była niegdyś spiżowym paskiem, który jednak w ciągu kilku wieków zdążył skorodować. Gajusz szybko rozprawił się z metalową wstążką: choć drzwi grobowca były starannie zamknięte, strażnicy w końcu mogli zauważyć coś podejrzanego i zajrzeć do środka. Wieko wciąż przywierało do urny. Gajusz pogrzebał w torbie i wyjął z niej przecinak ślusarski i młotek. Młotek okryty był futrem, by przy uderzaniu nie robił hałasu. Rzymianin ustawił urnę między stopami i przyłożył do niej przecinak.

– Kto zwyciężył? – Głos Aleksandra znów był energiczny i rzeczowy, pozbawiony nuty melancholii. – Kiedy psy walczą, w końcu pojawia się nowy przywódca? Kto to był? Ptolemeusz? Antioch? Mam nadzieję, że nie Seleukos!

Gajusz podniósł nań wzrok i westchnął.

– Żaden z nich, chłopcze. Ostatecznie wygrał bezczelny, młody Rzym. Nim nastały czasy tego szczeniaka... – postukał młotkiem w wieko urny – republika obaliła wszystkich diadochów, twoich następców, i podbiła świat. Cóż, prócz Partii...

Aleksander zmarszczył brwi i rozejrzał się po grobowcu, jakby dopiero teraz go zobaczył.

– To wszystko, na co było was stać po tylu latach? Byle jaka świątynia w Tebach była od tego większa!

Gajusz zbył tę uwagę lekkim uniesieniem brwi i ponownie pochylił się nad urną. Przystawił do niej przecinak i ostrożnie postukał weń młotkiem. Po chwili pokrywa drgnęła, a stary Rzymianin mógł ją bez trudu odkręcić.

– Faj, co za smród! – Gajusz odsunął od siebie urnę i gestem nakazał Aleksandrowi, by nadstawił jedwabną torebkę. Popiół wysypał się szarym strumieniem, wypełniając ledwie pół torebki.

– To musiał być jakiś liliput – doszedł do wniosku Aleksander, zaglądając z ciekawością do torby.

Gajusz zignorował go i obwiązał torbę fioletowym sznurkiem.

– Weź to – zwrócił się do Aleksadra. – Ja muszę odstawić urnę na miejsce, żeby

niczego nie zauważyli.

Gajusz wsunął marmurowy cylinder do właściwej niszy, a potem wyjął zza pasa drugą, znacznie cięższą torbę. Otworzył ją i wysypał zawartość do urny, odwracając głowę.

– A fe! I ty narzekałeś przed chwilą na smród? Co to jest, na bogów? – Aleksander odsunął się od niszy, zatykając nos i oddychając przez usta.

Gajusz wycofał się o krok i wytarł ręce o płaszcz. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Oddaję tylko komuś należyty hołd – mruknął, zadowolony z siebie. – Sprawdź, czy wszystko pozbieraliśmy.

Aleksander skinął głową, po czym obaj obejrzeni dokładnie grobowiec, zacierając ślady swego pobytu i zbierając narzędzia. Wkrótce potem oddalili się w głąb tunelu prowadzącego do wyjścia.

OKOLICE ANTIOCHII, RZYMSKA SYRIA MAGNA

Powietrze nad obozem wypełniał stukot drewnianych mieczy ćwiczebnych. Towarzyszyło mu miarowe popiskiwanie małych wiatraczków, które chłodziły gorące, suche powietrze w namiotach kohorty taumaturgów. W jednym z większych namiotów o podniesionych klapach siedziało na trójkątnych obozowych stołkach dwóch mężczyzn. Rozmawiali o mężczyźnie, który stał pośrodku namiotu z rękami założonymi za plecy. W jego oczach i postawie widać było wielkie znużenie.

– Chłopak niewiele teraz może – powiedział jeden z siedzących mężczyzn, weteran o potężnej klatce piersiowej i jasnych, krótko przyciętych włosach. – Został sam. Trzeba go będzie przydzielić do nowej *manus*.

Drugi mężczyzna, wyższy stopniem, miał rude włosy i ziemistą twarz. Ubrany był w tunikę trybuna ze złotymi błyskawicami na ramionach i drogi skórzany pas. Jego wodniste oczy kryły się za dwoma szklanymi krążkami włożonymi w delikatną metalową ramkę.

– Nie można go przyłączyć do jakiejś innej *manus*, w której brakuje ludzi? Pod Kerenos ponieśliśmy spore starty, których do tej pory nie uzupełniono.

Trybun zmierzył Dwyrina taksującym spojrzeniem. Chłopiec zignorował go, wpatrzony w bliżej nieokreślony punkt w przestrzeni. Odkąd Zoe i Odenatus opuścili legiony, nie wiedział, co ze sobą począć. Nie miał z kim ćwiczyć – wszyscy inni taumaturdzy w kohorcie byli od niego o wiele starsi i znacznie lepiej wyszkoleni. Próbował trenować sam, zbyt wiele ćwiczeń wymagało jednak obecności pozostałych członków piątki. Legiony uczyły bojowej taumaturgii opartej na współpracy. Sam mógł ćwiczyć jedynie przywoływanie ognia, co i tak przychodziło mu bez większego trudu, oraz podstawowe znaki i osłony.

Blanco zmarszczył brwi, zastanawiając się nad słowami trybuna. Już wcześniej myślał o tym, by przenieść chłopca do którejś z niepełnych piątek. Niestety, dowódca każdej piątki, do którego zwracał się z taką propozycją, bez namysłu ją odrzucał. Zbyt długo trwało przestrajanie całej grupy, czy to złożonej z pięciu, czy z trzech osób. Nikt nie chciał zaczynać od nowa i to z chłopcem o tak słabym wyszkoleniu. Centurion ze szczerym żalem pokręcił powoli głową.

– Niestety, trybunie, będzie musiał przejść do nowo utworzonej piątki, wraz z innymi rekrutami.

Trybun westchnął ciężko, choć w rzeczywistości wcale nie przejmował się tą sprawą. Miał jeszcze mnóstwo pracy związanej z układaniem harmonogramów i nowym zaciągiem, a odsuwając przeniesienie chłopaka do nowej jednostki w bliżej nieokreślonej przyszłości, pozbywał się chociaż jednego problemu!

– W porządku, miej go na oku, centurionie. Dostanie nowy przydział, gdy tylko wrócimy do Konstantynopola.

Dwyrin czuł, że ogarnia go jeszcze większe przygnębienie. Teraz już naprawdę nie było tu dla niego miejsca. Miło by było, pomyślał, walnąć go w tę tłustą gębę, może wtedy trochę by się mną przejął. Nie mógł jednak tego zrobić. I to nie tylko ze względu na obecność Blanca. Za uderzenie przełożonego z pewnością zostałby ukarany czymś więcej niż zwykłą chłostą. Jednak perspektywa samotnego powrotu do stolicy wydawała się wystarczająco surową karą.

– Odejść – rzucił trybun, odwracając się do czekających nań dokumentów.

Dwyrin siedział sam w ciemności, pod rozgwieżdżonym niebem. Jego wóz został zawłaszczony przez inną jednostkę, więc za schronienie służył mu jedynie koc i cienki materac. Przypuszczał, że mógłby znaleźć sobie miejsce w jednym z namiotów ustawionych w równym szyku przy głównej ulicy obozu, co jednak przy niezmiennie ciepłej i bezdeszczowej pogodzie, która towarzyszyła im przez cały pobyt w dolinie Orontesu, nie miało większego sensu. Księżyc jeszcze nie wstał, dzięki czemu niezliczone gwiazdy lśniły pełnym blaskiem. Nocny wiatr znad pustyni owiewał delikatnie twarz Dwyrina, który leżał na plecach, z kocem zwiniętym pod głową.

Słyszał, jak strażnicy przechadzający się wzdłuż głównej drogi narzekają na wieczorny chłód. Uśmiechnął się lekko mimo przygnębienia, które dręczyło go od wielu dni. Nie miał może wielkiej wprawy we władaniu magią obronną, która tak intrygowała taumaturgów, ale potrafił kontrolować ogień i ciepło – i to w takim stopniu, by przywołać zar ukryty w okolicznych skałach i kamieniach i okryć się nim niczym niewidzialną kołdrą. Kiedyś, w wysokich górach Albanii, mógł tylko zazdrościć tej umiejętności innym magom, teraz jednak sam bez trudu korzystał z jej dobrodziejstw.

W górze popiskiwały nietoperze, polujące w ciemnościach nocy na mniejsze i większe owady. Dźwięki te były ledwie słyszalne, pomagały mu jednak osiągnąć pewien spokój ducha. Głosy nietoperzy brzmiały tak samo w jego dalekim domu, kiedy krążyły nad polami pszenicy i żyta. Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego tamto życie wydawało mu się tak odległe. Tak czy inaczej jednak, nie miało to większego znaczenia. Złożył przysięgę legionisty i zaciągnął się na dwadzieścia lat. Zostanę w legionach aż do śmierci. Nie była to wesoła myśl, wydawała mu się jednak wielce prawdopodobna.

– MacDonald? – Głos centuriona Blanca dochodzący z ciemności wyrwał go ze smutnych rozmyślań. Dopiero teraz Dwyrin usłyszał chrzęst jego sandałów na żwirze.
– Widzę, że jeszcze nie śpisz.

Dwyrin usiadł prosto i objął kolana ramionami. Był zmęczony, ale nie mógł spać.

– *Ave*, centurionie. Co cię tutaj sprowadza o tak późnej porze?

Blanco usiadł obok niego, odtrącając butem zabłąkanego skorpiona. Dwyrin widział w nadwidzeniu niebieską sylwetkę stworzenia uciekającego między skały.

– Ty – odrzekł Blanco znużonym głosem. – O ile pamiętam, ktoś inny miał się zająć tobą i twoimi problemami, ale ta osoba postanowiła nas opuścić, co oznacza, że teraz ja muszę przejąć jej obowiązki.

– Centurionie, nie musisz niczego robić – powiedział Dwyrin z rezygnacją, choć sam już się nad tym zastanawiał, kiedy przez ostatnie trzy dni siedział beczynn timer w cieniu jednego z wozów. Podobnie jak pozostali członkowie jego oddziału, dostał trzydniową przepustkę do miasta. Nadal miał ją przy sobie. Na myśl o uśmiechniętych, radosnych ludziach rozpalonych alkoholem i tańcem robiło mu się niedobrze. Dopóki dostawał swą dzienną rację wina i jedzenia, mógł jakoś żyć, zresztą w tej chwili nie potrzebował niczego więcej.

– Postaram się trzymać z dala od trybuna – ciągnął młody Hibernijczyk. – Nie będę wam sprawiał żadnych kłopotów.

Blanco odchrząknął i postukał palcami w pas.

– Nie o to chodzi. Jesteś żołnierzem, który służy w mojej kohorcie. Musisz opanować umiejętności, które inni dawno już opanowali, nauczyć się koncentracji i panowania nad mocą. Jeśli tego nie zrobisz, zawsze będziesz zostawał z tyłu... Moim zadaniem jest dopilnować, byś był odpowiednio wyszkolony, wyposażony i gotowy do walki.

– Kto mnie wyszkoli? – spytał Dwyrin, rozkładając bezradnie ręce. – Nie zdążyłem nauczyć się wszystkiego, co umieli Zoe i Odenatus, nim stąd odeszli. Teraz nie mogę nawet marzyć o tym, żeby dogonić któregoś z innych taumaturgów. Widzę, jak na mnie patrzą; dla nich jestem wart mniej niż tresowana mysz!

– To prawda – mruknął bez entuzjazmu Blanco. – Nie przyjmie cię żadna inna pięćka. Dlatego będziesz musiał zdać się na mnie.

Dwyrin drgnął, zaskoczony. Centurion był siwowłosym weteranem, potrafił doskonale posługiwać się narzędziami, dzięki którym utrzymywał dyscyplinę wśród swych podwładnych, budzić w nich strach i ból. Nie miał może takich umiejętności technicznych jak inni czarownicy, nie brakowało mu jednak mocy i doświadczenia.

– Skoro tak mówisz, centurionie...

– Owszem – uciął Blanco, wstając i otrzepując nogi. – Pokażę ci, co umiem, kiedy będę mógł. Od ciebie tylko zależy, czy to wykorzystasz.

KRYPTY ALAMUTU

Chadames zstępował w dół długich schodów. Za jego plecami zostały już tysiące stopni wyciosanych z żywej skały góry. Trzech spośród Szesnastu szło tuż za nim. Ogień płonący w dole rzucał migotliwy blask na ich ciemne maski i kamienną twarz wodza. Schody zakręcały, sięgając kamiennej platformy wystającej ze ściany. Ogromne tygle, w których płonęło płynne żelazo, wyrzucały w górę kłęby dymu gromadzące się pod sklepieniem olbrzymiej komnaty. Powietrze wypełnione było stukotem młotów uderzających w rozpalony metal. Chadames szedł dalej, choć coraz trudniej było mu oddychać powietrzem przesyconym trującymi oparami. Trzej mężczyźni kroczyli jego śladem jakby tego nie zauważali, choć każdy z nich niósł ładunek dwukrotnie cięższy od tego, który mógł udźwignąć dorosły silny człowiek.

Perski wódz szedł już przez komnatę, omijając wielkie, poruszane dźwigniami młoty i grupy zlanych potem mężczyzn w brudnych przepaskach biodrowych, którzy przeklinali olbrzymie maszyny. Wielkie łańcuchy sięgały w okrytą ciemnościami otchłań pod sufitem komnaty i przesuwaly się bez ustanku w górę. Jeszcze głębiej, pod tunelami i ukrytymi magazynami Damawandu, płynęła wielka podziemna rzeka. Woda spływająca z gór poruszała wielkimi kołami, które napędzały młoty i miechy, wypychały świeże powietrze w długie, mające wiele mil tunele, wprawiały w ruch cały ten wielki przemysł ukryty w sercu góry. Chadames dotarł do następnych schodów, wyciętych w podłodze wielkiej komnaty. Przy wejściu na schody stały miedziane kolumny, wokół których rozsiedli się półnaczy Uze.

Barbarzyńcy, podobnie jak Chadames, spływali potem w rozpalonym do granic wytrzymałości powietrzu, natychmiast jednak poderwali się ze swych miejsc, by sprawdzić, czy wódz nie ma przy sobie jakiejś ukrytej broni. Mieli ogolone do łysa głowy, a na ich ciałach pojawiły się nowe tatuaże wyrysowane czarnym i czerwonym atramentem. Ich twarze pocięte były długimi bliznami. Każdy z nich nosił także na ramieniu znak swego pana – czarnego węża o czerwonych oczach, zwiniętego w koło. Trzej spośród Szesnastu przeszli pośród nich nie niepokojeni. Ich spocone ciała zamknięte w żelaznych zbrojach żyły tylko dzięki woli swego pana i czyniły tylko to, czego on od nich żądał. Wreszcie, sprawdzwszy już wszystkie bagaże i ubranie Chadamesa, Uze rozstąpili się i pozwolili mu postawić stopę na czarnym onyksie schodów.

Chadames siedział w swoim biurze na czwartym poziomie nad główną bramą, kiedy przyszedli do niego trzej spośród Szesnastu. Biuro było pomieszczeniem niezwykle wąskim ze względu na wąski, sięgający dachu szyb, przez który do wnętrza wpadał snop światła oświetlający biurko wodza. Chadames siedział pochylony nad

zwojami papirusu i pergaminu, czując, jak olbrzymia odpowiedzialność wciska go powoli w blat biurka. Oprócz niego w pokoju pracowało trzech skrybów – dwóch hinduskich niewolników i Żyd. Pochłonięty sprawami związanymi z utrzymaniem wszystkich mieszkańców górskiej warowni i przyjmowaniem nieustającego strumienia nowych ludzi przepływających przez wielką bramę, nawet nie pamiętał, kiedy dorobił się owej trójki pomocników.

Nocą, kiedy leżał wyczerpany na pryczy w małym pokoiku za biurkiem – właściwie była to tylko wnęka z łóżkiem wykutym w skale – zastanawiał się, co się właściwie z nim stało. Niemal przez całe swe dorosłe życie służył Chosroesowi, Królowi Królów, a przez większą część tego czasu był dowódcą prawego skrzydła armii dowodzonych przez wielkiego Szahr-Baraza. Zawsze uważał się za wojownika, a nie za jednego z owych gryzipiórków, którzy jeździli z Królem Królów czy z Odyńcem od pałacu do pałacu. Teraz martwił się, że brakuje mu ludzi, którzy umieją posługiwać się liczydłem i prowadzić spisy tysięcy przedmiotów zalegających w setkach magazynów.

Każdego dnia błogosławił też tych pięciuset, którzy przeszli wraz z nim i czarownikiem z ruin Palmyry do tej zapomnianej, ukrytej przed światem doliny. To wśród nich znajdował kapitanów, sierzantów i instruktorów nowej armii. Bez nich rosnące każdego dnia hordy barbarzyńców, górali, uciekinierów, najemników i włóczęgów, którzy wypełniali koszary i sale sypialne Damawandu, byłyby tylko pozbawioną jakiegokolwiek kontroli masą. W tych pięciuset kryła się siła i doświadczenie, które mogły okiełznać tłum i uczynić zeń prawdziwą armię.

Przybywali także inni, pojedynczo i całymi rodzinami, pokonując długą i trudną drogę prowadzącą do bramy nad rzeką i Uze, którzy jej strzegli. Czarownik nigdy mu nie wyjaśnił, dlaczego ci wieśniacy i mieszczaństwo decydowali się na wędrówkę do tego miejsca, kiedy jednak przechodził obok nich, kłaniali się nisko i czynili pięścią jakiś dziwny znak. Wiele już razy Chadames chciał zapytać ich, jakież to zobowiązania czy przysięgi związały ich z księciem ciemności. Zawsze jednak brakowało mu na to czasu i determinacji. Początkowo nie miał pojęcia, jak mógłby wykorzystać tych ludzi, kiedy jednak pewnego dnia przechadzał się po prowizorycznej wiosce, która wyrosła przy drodze prowadzącej do Damawandu, poczuł zapach świeżo upieczonego chleba.

Wnętrze górskiej warowni kryło labirynt sal sypialnych i zbrojowni, wielkich holi, kuźni, zbiorników i magazynów, które mogły utrzymać całe miasto.

Chadames przywykł dowodzić armią w polu, prowadzić ją przeciwko wrogom potomków Sasana. Zarządzanie garnizonem nigdy nie było jego mocną stroną, nie pracował też jako cywilny zarządca. Nie przejmował się tym, że armie potrzebowały

piekarzy, szwaczek, cieśli, tkaczy i praczek. Przez długie lata służby pod wodzą Odyńca starał się unikać spraw związanych z tak przyziemnymi obowiązkami. Lecz tego zimnego poranka, kiedy wciągnął w nozdrza zapach świeżego chleba, zrozumiał, że cała twierdza, wraz z nieskończonym labiryntem tuneli i komnat, wkrótce wypełni się tłumem ludzi.

Po południu tego samego dnia wszyscy wieśniacy, rzemieślnicy i mieszcianie, którzy napływali do doliny, przenieśli się do wnętrza góry. Setki pustych komnat wreszcie znalazły jakieś zastosowanie. Jednocześnie Chadames zaczął się zastanawiać, gdzie znajdzie lepiej wykwalifikowanych mężczyzn i kobiety. Kiedy uświadomił sobie w pełni, czego jeszcze wymaga utrzymanie wciąż rosnącej armii, zrobiło mu się słabo. Tej nocy Chadames nie poszedł od razu spać, lecz wspiął się na dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć schodów prowadzących na szczyt góry, do Orlego Gniazda, gdzie na tronie z kamienia zasiadał czarownik patrzący z góry na świat.

– Witaj, wierny Chadamesie. – Przerażający głos księcia znów rozbrzmiewał pełną siłą. Ludzka słabość, którą można było w nim dostrzec, gdy był bliski śmierci, zniknęła bez śladu. – Jakież kłopoty?

– Nie, panie – odparł Chadames. – Dziwię się jednak cierpliwości, którą mi okazywałaś, gdy nie mogłem zrozumieć, w jakim celu sprowadzasz tu wszystkich tych ludzi. Właśnie kazałem im przenieść się do wnętrza góry.

Dahak uśmiechnął się, błyskając białymi zębami. Przez moment Chadames czuł w pełni oddziaływanie intelektu i siły, która kryła się za tymi dziwnymi żółtymi oczami, a ta świadomość przejęła go zimnym dreszczem. W tej samej chwili uświadomił sobie, jak bardzo jest samotny w tym miejscu na szczycie góry, pośród chmur. Niebo wydało mu się nagle kraterem jakiejś nieskończonej otchłani wypełnionej nicością. Zakręciło mu się w głowie, musiał zamknąć na moment oczy, by zapanować nad słabością.

– Masz jeszcze trochę czasu na naukę, wierny Chadamesie. Wierzyłem, że zrozumiesz i zaczniesz działać. Gdyby tak się nie stało... cóż, są inni, którzy pragną zająć twoje miejsce. Ale znam cię. Nie osiągnąłeś jeszcze kresu swoich możliwości. Idź, zajmij się moim ludem.

Jeden z trójki należących do Szesnastu przemówił, gdy Chadames podniósł nań wzrok znad biurka.

– Pan wzywa cię na dół – wyrecytował. – Chce, byś coś zobaczył. Chadames był pewien, że nie ma już ludzi, którzy wspięli się wtedy wraz z nim do wielkiej bramy i znaku ognia. Zostały pozory człowieczeństwa: ręce i nogi, ciało i ścięgna, lecz nic poza tym. Zniknęły ich głosy, zastąpione przez głuche echo. Zamiast oczu na świat

patrzyły ciemne otwory. Szesnastu nie znało strachu, głodu ani zmęczenia. Poruszali się wyłącznie kierowani wolą swojego pana. Uze schodzili im z drogi i przeklinali ich cicho za plecami.

Chadames wiedział, że wychodzą w świat za górami, przenosząc wiadomości, i wykonują tajne zadania zlecone im przez moc, która czekała na swój czas tutaj, wśród gór.

Rzadko się odzywali, lecz gdy już to czynili, ludzie pospiesznie wykonywali ich polecenia. Chadames wstał i odłożył ważne dokumenty do żelaznego pudła. Z przyzwyczajenia przypiął szablę do boku i włożył lekką wełnianą kurtę, którą dała mu jedna z kobiet. Kołnierzyk oraz mankiety bladoniebieskiego kaftana zdobity wyszywane czerwonymi, brązowymi i zielonymi nićmi sylwetki psów myśliwskich. Potem wyszedł z biura za trzema mężczyznami i rozpoczął wędrówkę w głąb góry. Mijając kolejne poziomy, Chadames stwierdził z satysfakcją, że podziemne miasto tętni życiem. Długie korytarze wypełniały prycze i sale do ćwiczeń, a tysiące mężczyzn pracowało w pocie czoła dla dobra przyszłej armii. Z kuchni wypływały kłęby pary i zapach owsianki i pieczonej baraniny. Złani potem robotnicy rozładowywali wozy i ustawiali beczki, skrzynie i pudła w magazynach, które przez tysiąc lat świeciły pustką.

Potem zeszli niżej, pod magazyny, do kuźni i zbrojowni. Dolina, nad którą wznosił się Damawand, dawno już została ogołocona z drzew; same tylko meble dla ukrytego miasta pochłonęły drewno z sadów owocowych i sosen porastających niżej położone zbocza. Teraz każdego dnia drogą przez dolinę ciągnęły sznury wozów wypełnionych drewnem, ziarnem, suknam i surówką do wytopu żelaza. Damawand miał ogromny apetyt; pochłaniał olbrzymie ilości towarów, ale też równie wiele produkował. Chadames widział ze swego biura setki tysięcy strzał, setki machin oblężniczych, tysiące mieczy, maczug, włócznie, tarcz, zbroi i kolczug. Wiedział, że sześć wielkich warsztatów wytwarza wyłącznie wozy i taczki.

Dwie garbarnie pracowały przez całą dobę, wyrzucając z siebie smród, który docierał aż na drugi poziom warowni, i zamieniły strumień płynący przez dolinę w ściek o bliżej nieokreślonym kolorze. Trzy kolejne były budowane i czekały tylko na wielkie kadzie, które trzeba było dowieźć z prowincjonalnego miasta Ar-Rajj. Brak drewna utrudniał wiele przedsięwzięć. W kuźniach ukrytych głęboko pod ziemią, gdzie Dahak przechadzał się nocami, budowano inne rzeczy z żelaza, stali i złota.

Pokonawszy trzy odcinki onyksowych schodów, Chadames poczuł, jak powietrze wokół niego się zmienia. W korytarzu lśniła lekka mgiełka znacząca miejsce, w którym gorące powietrze kuźni ustępowało prawdziwemu chładowi. Ta nagła

zmiana była równie szokująca jak skok do lodowatej wody. Chadames zadrżał, gdy pot na jego czole ostygł gwałtownie. Żelazne lampy, które oświetlały wyższe poziomy, zniknęły, musiał więc iść w całkowitych ciemnościach. Nie zatrzymywał się jednak ani nie zwalniał, gdyż jeden z Szesnastu szedł przed nim, a dwóch za nim.

Po jakimś czasie zeszli ze schodów i ruszyli w głąb szerokiego korytarza.

Korytarz prowadził do drzwi, które uchyliły się przed nim, wypuszczając chłodne powietrze. Drzwi były kamienne i niezwykle ciężkie, o czym świadczył zgrzyt kamienia trącego o kamień. Gdy otworzyły się szerzej, Chadames ujrzał strumień niebieskiego światła i mały przedsionek.

Za przedsionkiem otwierała się komnata, której sufit podpierały potężne kolumny. Pośrodku stał kamienny stół, nad którym pochylał się właśnie czarownik. Trzej spośród Szesnastu weszli do środka i odłożyli wreszcie bagaże, które nieśli ze sobą. Chadames wkroczył wraz z nimi, choć ogarniał go coraz większy, dławiący strach. Na długim kamiennym stole leżało ciało, które Chadames kiedyś już oglądał.

Mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci przybywali do doliny ukrytymi drogami. Chadames przepytывał ich w swoim biurze i dzięki temu dowiadywał się tego i owego o upadku Persji. Imperium synów Sasana, niewidoczne zza ośnieżonych szczytów otaczających dolinę, powoli umierało. Najpierw zranił je Rzym, rozbijając cesarską armię w wielkiej bitwie nad rzeką Kerenos, a potem wbił nóż w jego mózg, mordując Chosroesa, Króla Królów, w jego pałacu w Ktezyfonie. Po śmierci cesarza i jego dzieci szakale zaczęły rozszarpywać żywe jeszcze ciało imperium. Upadek Ktezyfonu zachwiał całym krajem; zniknął centralny ośrodek władzy, zniszczeniu uległa delikatna sieć opodatkowania i hierarchii władzy. Zarządcy poszczególnych prowincji, pozbawieni wsparcia i wskazówek z serca państwa, zajęli się rozwiązywaniem własnych problemów.

Zimowe deszcze zadały cesarstwu kolejny cios. Ogromna liczba młodych, zdolnych do pracy mężczyzn zginęła lub przepadła bez wieści podczas przegranej bitwy nad Kerenosem. Potem wyjątkowo ulewne deszcze, które spadły na wielką płaską dolinę międzyrzecza, zniszczyły groble, tamy i kanały, które utrzymywały w ryzach obie rzeki. Tygrys i Eufrat wylały, pochłoneły zbiory i odcięły od reszty świata ogromne połacie lądu. Rzymianie, którzy mienili się nowymi władcami Persji, a nawet wydali proklamację obwieszczającą, że księżę Cesarstwa Wschodniorzymskiego Teodor został nowym cesarzem Wschodu, nie zostali w podbitym kraju, by naprawić szkody wyrządzone podczas wojny.

Najgorsze jednak dopiero mogło nadejść. Chadames słyszał to w głosach ludzi, którzy przybywali do doliny. Wieści o śmierci cesarza obiegały w końcu całe imperium, od Amidy na zachodzie do Suzy na wschodzie. Teraz wszyscy już

wiedzieli, że tron władcy jest pusty, a to oznaczało tylko jedno – że wkrótce pojawią się całe zastępy pretendentów do tronu, a ostatnie pozostałości władzy centralnej znikną bez śladu. Wojna domowa mogła pochłonąć to, co ocalało jeszcze po najeździe Rzymian. Siedząc w swym biurze, przy stole zalanym blaskiem słońca, Chadames zastanawiał się, czy ambicje czarownika nie sięgają nazbyt wysoko.

Potem spojrzał na zewnątrz, na dolinę wypełnioną tysiącami mężczyzn, trenujących walkę wręcz, fechtunek i strzelanie z łuku, na długie szeregi wozów zmierzających ku głównej bramie, na zastępy niewolników drażących nowe tunele i jaskinie w masywie góry. Nad wszystkim tym unosiły się kłęby gęstego dymu, spowijające szczyty gór ciemnym woalem.

– Wejdz, wierny Chadamesie. Jest piękny, prawda?

Czarownik przywołał go gestem, a Chadames zmusił się do zrobienia kilku kroków w jego stronę. Ciało leżące na kamiennym blacie było pomarszczone i obrócone lekko na bok. Niegdyś przystojny mężczyzna miał teraz na czaszce ciasno naciągniętą skórę. Pomarszczone brzegi ran zdawały się szydzić z generała. Chadames odwrócił wzrok i przełknął ciężko.

– Och, później będzie wyglądał znacznie lepiej – przemówił czarownik. – Ludzie, którzy tak dobrze mi służą, ci Szanzdah... – blada ręka o ciemnych paznokciach wskazała leniwie na trzech spośród Szesnastu, którzy stali w cieniu – ...poradzą sobie jakoś z tym problemem. – Dłoń spoczęła na pomarszczonej twarzy mumii, potem przesunęła się w bok. – Teraz mamy jednak inne zadanie do wykonania. Spójrz na mnie, generale.

Chadames śmiało popatrzył w żółte oczy czarownika. Wiedział, że jego wolność skończyła się w chwili, gdy przeciął swe przedramię czarnym nożem; teraz mógł tylko czekać na dzień, w którym po przebudzeniu nie będzie już kierował się własną wolą. Czarownik przyglądał mu się przez chwilę, wreszcie powoli skinął głową i odwrócił się.

– Ty, jako jedyny spośród wszystkich, którzy mi służą, robisz to bez lęku, drogi Chadamesie. Wiem, że nie przykładasz wielkiej wagi do pochlebstw... – czarownik zerknął nań przez ramię, jakby ciekaw jego reakcji – ale chciałbym powiedzieć ci komplement. I naprawdę nie będą to czcze słowa. Nie miałeś lepszego pana i przewodnika niż Szahr-Baraz, królewski Odyniec. Doskonale pojąłeś jego nauki. Zachowaj w sercu jego przykład, bo on byłby z ciebie dumny.

Chadames uniósł lekko brwi. Miał ogromną ochotę podrapać się po głowie lub przyglądać wąsy. Nutki doskonałego humoru, które pobrzmiwały w głosie czarownika, wypełniały jego serce lodowatym strachem. Przeczynał, że z rąk tej istoty może spotkać go coś znacznie gorszego niż śmierć.

– Dziękuję, panie. To największy komplement, jaki mogłem usłyszeć z twych ust. Czarownik skinął głową, najwyraźniej zadowolony z jego reakcji.

– Chodź ze mną, drogi generale. Zamierzam podjąć się pewnego niebezpiecznego zadania, a ponieważ nie ma między nami Odyńca, ty jesteś jedyną osobą, którą chciałbym mieć w tym czasie u boku.

Za kamiennym stołem w podłodze otwierał się dół o pochyłych krawędziach, obwiedziony pasem niskich, rzeźbionych kamieni. Z jego wnętrza wypływało zimne powietrze, które zamieniało się w delikatną mgiełkę zawieszoną nad ziemią. Czarownik podszedł do krawędzi jamy i zajrzał do jej wnętrza, w nieprzeniknioną ciemność. Chadames także zbliżył się do krawędzi, uważnie stawiając stopy, gdyż podłoga pokryta była szronem.

– Niegdyś były to drzwi – przemówił czarownik, a Chadames aż skulił się w środku, usłyszawszy w jego głosie prawdziwy strach. – Znam słowa, które mogą je otworzyć. Muszę tego dokonać, choć zastanawiam się... Zastanawiam się, czy można je tylko trochę uchylić.

Chadames podniósł wzrok na czarownika, który także przyglądał mu się z troską. Przez chwilę wydawało się, że w jego okrutnych oczach znów pojawiło się coś ludzkiego.

– Dawno temu – szeptał czarownik – do doliny przybył chłopiec, dla którego nigdzie indziej nie było miejsca. Wtedy wciąż trzymali tu swą odwieczną straż kapłani ognia, którzy przyjęli go do siebie. Pewnego dnia zakradł się do wnętrza góry i zabłądził w labiryncie tuneli. Zamiast jednak kierować się do wyjścia, szedł nieświadomie w dół, w prawdziwą ciemność. Błądził tam długi czas, aż w pewnej chwili usłyszał czyjś głos, jakieś ciche wołanie. Nie wiedział, co robić, nie miał gdzie uciekać, poszedł więc za głosem. Wydawało mu się, że minęło wiele dni, nim stanął przed drzwiami, których nie mógł otworzyć, lecz głos był silniejszy, niemal zrozumiały. Ten głos dawał mu nadzieję w ciemności, obiecywał siłę, jedzenie i wyjście z tunelu. W zamian chciał tak niewiele, tylko jedną myśl lub gest. Chłopiec przystał na ten układ.

Chadames obserwował z rosnącym zdumieniem, jak w kąciku żółtego oka czarownika zbiera się kropla wilgoci. Łza, bo była to prawdziwa łza, zawisła na maleńkich łuskach otaczających oko Dahaka i zamarzła, zamieniając się w lśniący diament.

– Teraz muszę spłacić dług. – Czarownik spojrział w dół, w ciemność zalegającą u jego stóp. – Głos obiecuje wiele temu, kto otworzy drzwi, czuję jednak głód przyczajony po drugiej stronie. Ten głód jest ogromny, być może nic na tym świecie go nie zaspokoi. Rozumiesz, o czym mówię?

Chadames drgnął, odzyskując pełnię świadomości. Senny ton w głosie czarownika zniknął, ustępując żelaznym, bezwzględny nutom. Generał skinął głową, choć wydawało się, że i tak niczego innego nie może zrobić.

Dahak wyciągnął do niego rękę. Chadames ujął rękojeść krzemiennego noża, obwiązaną paskami wyslizganej skóry.

– Wypowiem słowo, a drzwi się otworzą. Mam nadzieję, że tylko się uchylą. Jeśli stanie się inaczej, jeśli otworzą się na całą szerokość, wbij nóż w moje serce.

Czarownik zsunął z ramion szatę, odsłaniając tors i ramiona poznaczone straszliwymi bliznami. Chłód panujący w pokoju, który coraz mocniej dokuczał Chadamesowi, jakby w ogóle nie doskwierał Dahakowi. Podniósł lewą rękę.

– Tutaj – powiedział. – Między żebra. Jeśli nadejdzie ten moment, nie możesz się zastanawiać, musisz działać błyskawicznie.

Chadames zważył nóż w dłoni. Wydawało mu się, że był cięższy i gładszy niż ostatnio, że przypominał raczej ostrze z idealnie gładkiego czarnego szkła niż prymitywne, krzemienne narzędzie, którym przecinał sobie żyły.

* * *

Ciężkie kamienne drzwi komnaty zaczęły się powoli zamykać. Głośny zgrzyt kamienia trącego o kamień niósł się echem po komnacie, choć w migotliwym niebieskim świetle Chadames nie widział ścian ani sufitu. Trzej spośród Szesnastu, którzy sprowadzili go w głąbiny góry, zniknęli, choć gdy się obrócił, widział ich blade palce na krawędzi drzwi. Wreszcie kamień zamknął się z głuchym hukiem, a w pokoju znów zapadła cisza. Chadames stanął na lekko rozstawionych nogach i podniósł nóż, gotowy do zadania ciosu.

Czarownik nie zwracał nań uwagi. Przez długi czas wpatrywał się w ciemność, nieruchomy, jakby wykuty z kamienia. Generał czuł, jak powoli cierpnie mu ręka, w której trzymał nóż, nie zmieniał jednak pozycji, by w każdej chwili móc wsunąć ostrze między żebra swego pana. Tymczasem ten nadal trwał w bezruchu, wpatrzony w podłogę.

Chadames zamrugał powiekami, które nagle zaczęły mu dziwnie ciążyć. Zniknęło migotliwe niebieskie światło. Przez chwilę w komnacie panowały całkowite ciemności. Potem gdzieś w głębi dołu pojawił się nikły blask, odległy i rozchybotany, niczym światło płonącego na brzegu ogniska widoczne z pokładu statku. Z wnętrza dołu wypłynęła fala zimna. Chadames poruszył stopami i usłyszał cichy trzask, kiedy warstwa lodu okrywająca jego buty zaczęła pękać i odpadać. Wydawało się, że czarna jama oddycha, wyrzucając z siebie kolejne fale zimna. Światło widoczne w jej głębi tańczyło w ciemnościach, przesuwało się coraz szybciej w górę.

Z gardła czarownika wydobył się głęboki pomruk, trudny do opisanie dźwięk, który odbijał się echem od podłogi i ścian. Chadamesowi znów zrobiło się słabo, musiał wyteńczyć całą siłę woli, by nie osunąć się na podłogę. Dźwięk wydawany przez czarownika przybierał na sile, wypełniał powietrze i cały świat.

Światło w dole zamigotało i zgasło.

Chadames zmrugał powieki. Wzrok płatał mu dziwne figle, ukazywał dziwne białe błyski i migotliwe iskry, potem ciemność rozpałił deszcz białych iskier. Powietrze jakby zgęstniało, ściany komnaty zaczęły nań napierać.

Głos czarownika zmienił się, nabrał piskliwych tonów. Po chwili dołączył do niego inny dźwięk, przypominający bardzo wysoki, ledwie słyszalny gwizd. Chadames wbrew własnej woli upadł na kolana i zajął do wnętrza czarnej jamy. Piski i gwizdy wypełniały komnatę, choć – jak uświadomił sobie sparaliżowany strachem generał – nie rozchodziły się one w powietrzu. Nóż stał się nagle bardzo ciężki i zaczął wysuwać się z jego dłoni.

Czarownik przemówił, a wypowiedziana przezeń sylaba rozbrzmiała w powietrzu niczym głos potężnego gongu.

Chadames czuł, jak podłoga unosi się nagle i zbliża do jego twarzy. Uderzył nosem w krawędź dołu, krople krwi rozprysnęły się na wszystkie strony, by natychmiast zamarznąć i zamienić się w czerwone kulki, które opadły ze stukotem na podłogę. Nad jego odsłoniętą skórą unosiły się wstęgi dymu. Chciał krzyknąć, lecz nagle wszystkie dźwięki ucichły, a jego oczom ukazał się przerażający obraz.

Ciemności rozstały się, odsłaniając czarną otchłań. Na hebanowym firmamencie płonęły tysiące świetlnych punktów. Chłód wchłonięty został przez lodowatą ciemność. Chadames trzymał się kurczowo krawędzi dołu, przerażony, że mógłby wpaść w tę straszliwą pustkę. Na tle upstrzonej punktami światła czerni kłębiły się i pęczniały obłoki ognia.

Chadames czuł, jak kamienie pod jego palcami falują i przesuwają się, gdy ukryte w dole drzwi otworzyły się na całą szerokość. Cały świat ruszył nagle w jego stronę, a potem góra i dół zamieniły się miejscami. Chadames przywarł do kamieni, choć te wiły się pod nim jak żywe stworzenie, a dół zawisł nad jego głową niczym niebo. Czarownik nadal stał na swoim miejscu, choć teraz nie patrzył w dół, lecz przed siebie, w otchłań.

Coś zbliżało się do nich, pędziło przez puste przestrzenie między martwymi słońcami.

Coś, co przesłaniało całe konstelacje cieniem swych monstrualnych trzyczęściowych skrzydeł.

Było coraz bliżej, szukało drzwi, które teraz stały przed nim otworem. Chadames

wyczuwał obecność tego stworzenia, choć wciąż dzieliła go od niego ogromna przestrzeń. Zawieszona w oceanie nocy szukało źródła nowego zapachu, zapachu żywych ludzi i zielonego świata pod żółtym słońcem, gdzie błękitne morza uderzały łagodnie o białe plaże. Planety zamieniały się w pył pod dotykiem jego skrzydeł, słońca czerwieniały i gasły, zamieniając się w wypalony żużel. Chadames zaczął szukać w ciemnościach noża, który wypadł mu z dłoni.

Czarownik zachwiał się, wyciągnął rękę, szukając oparcia. Zebrawszy wszystkie siły, generał podniósł się z podłogi, choć ogarnięta zwierzęcym strachem część jego umysłu krzyczała, że wpadną w czarną otchłań. Dahak pochwycił go za ramię, wbił swe ostre szpony w kaftan generała.

– Nóż – wydyszał czarownik, odwracając się od niewyobrażalnie wielkiego kształtu pędzącego w ich stronę. Żółte oczy zapłonęły nagle żywym ogniem, a Chadames poczuł w dłoni ostrze noża, które wbiło się w jego kciuk. Czarny kształt przesłonił całkiem niebo za czarownikiem.

Chadames obrócił nóż w dłoni, zaciskając palce na rękojeści.

Pchnął, wkładając w ten ruch wszystkie siły. Czuł na policzku ciepły oddech czarownika.

Czarne ostrze natrafiło na opór, potem coś rozstało się przed nim powoli, a świat znów wywrócił się na drugą stronę. Czarne niebo znalazło się pod spodem, żywy kamień trzeszczał i pękał w fali zimna. Niewidzialna pięść uderzyła Chadamesa w pierś, odrzuciła do tyłu. Przez komnatę przemknęła fala rozpedzonego powietrza i rozległ się przeraźliwy wrzask. Potem generał runął twarzą na podłogę.

Czarownik odsunął się chwiejnie od krawędzi dołu, okryty płaszczem zimnego jasnyniebieskiego ognia. Potem podniósł rękę, a ogień przesunął się przez jego tułów i rękę, by zebrać się niczym rtęć w otwartej dłoni. Dahak odwrócił się powoli, oświetlony upiornym blaskiem. Chadames wstał z podłogi, choć każdy mięsień i każda kość w jego ciele krzyczały z bólu. Z piersi czarownika wystawał czarny nóż, spod ostrza wypływała struga krwi.

Dahak uśmiechnął się, a jego postać urosła, wypełniła całą komnatę.

– Dzielnie się spisałeś – przemówił. – A teraz zaczynajmy.

W rozpalonych żółtych oczach nie została już nawet najmniejsza drobina człowieczeństwa, a tylko echo ogromnego kształtu, który przesłaniał gwiazdy. Lecz kamienne drzwi były zamknięte.

Nazajutrz ciało, które leżało na kamiennym stole w podziemnym pokoju, zostało przeniesione na szczyt Damawandu, a kapłani namaścili je olejkami i ziołami. Choć wykłuto im oczy, poruszali się bardzo sprawnie, wcierając perfumowaną wodę w skórę mumii i pokrywając ją farbą. Pracowali w wielkim pośpiechu, bo pragnienie

ich pana było jak bicz. Miejsce, w którym ułożono ciało, otaczały poszarpane szczyty gór, na niebie kłębiły się ciemne chmury. Ostatnio słońce bardzo rzadko świeciło na starą górę, a dolinę wypełniała brudna szara mgła i dym.

ZAM-ZAM, POŁUDNIOWA ARABIA FELIX

To świętokradztwo! Mahomet z ponurą miną przepychał się przez tłum, tuż za nim postępowali uzbrojeni po zęby Tanuchowie. Na placu tłoczyły się setki mężczyzn i kobiet odzianych w najlepsze, odświętne ubrania. Mahomet parł do przodu, choć w miarę jak zbliżał się do drzwi świątyni, tłum coraz bardziej gęstniał. Stojący wokół mężczyźni trzymali w dłoniach wysokie żerdzie, na których wisały ofiary i kolorowe kawałki materiału. Kobiety, ubrane w ciężkie ciemne suknie, trzymały nad głowami tace z ziarnem i solą. Nad tłumem unosił się nieustający pomruk, niczym szum ukrytego za skałami morza. Ciasno zbity klin Tanuchów w czarnych szatach, prowadzony przez Dżalalą, ani na krok nie odstępował swego dowódcy. Szable wojowników, choć wciąż schowane w pochwach, powstrzymywały tłum równie skutecznie jak żelazne ogrodzenie.

Pięć kroków przed świątynią tłum był już tak gęsty, że Mahomet musiał się zatrzymać i wyciągnąć mocno szyję, by dojrzeć ponad głowami innych, co dzieje się z przodu.

Nad tłumem wznosiły się wielkie dębowe wrota osadzone w fasadzie ceglanego budynku wzniesionego na planie kwadratu. Powierzchnia starannie wygładzonych cegieł pokryta była czarną farbą, na której wymalowano tysiące maleńkich białych, żółtych i niebieskich gwiazd. Nad drzwiami widniał obraz wielkiego żółto-białego dysku – wiecznego słońca – który symbolizował środek sklepienia niebieskiego. Z czasów młodości, kiedy to zmarnotrawił sporo czasu na terenie świątyni, Mahomet pamiętał, że po drugiej stronie świątyni znajduje się obraz księżyca. Po obu stronach drzwi wznosiły się wykute z kamienia posągi greckich bogów. Po lewej stał Apollo, trzymający w dłoni wielki dysk słońca, po prawej Hermes. Rzeźby były raczej prymitywne i niezbyt podobne do wspaniałych greckich oryginałów, choć z pewnością nie miało to większego znaczenia dla rzemieślników, którzy pracowali nad nimi przez długie lata.

Dżalal przecisnął się obok swego pana i ciężką głowicą szabli uderzył w głowę stojącego przed nim mężczyznę. Mężczyzna osunął się bezwładnie na ziemię, a Dżalal przeszedł nad jego nieruchomym ciałem. Pozostali Tanuchowie natychmiast wcisnęli się w wyrwę, odpychając na boki kobiety i mężczyzn. Mahomet już zamierzał wydać swym ludziom komendę, lecz w tej samej chwili otworzyła się przed nim droga do schodów prowadzących do świątyni. Zamknął usta i bez słowa ruszył do przodu.

Na szczycie schodów stali kapłani blokujący wejście do świątyni. Byli to posepni mężczyźni o długich, plecionych w warkoczyki brodach i ciężkich czapkach

z czarnego płótna zdobionego topazami i granatami. Ich długie lśniące szaty sięgały aż do obutych w sandały stóp. Mahomet postawił nogę na najniższym stopniu i zmrużył gniewnie oczy. Niektórzy z tych ludzi byli znajomymi jego ojca z czasów, gdy Abd Allah z plemienia Kurajszytów służył w świątyni Zam-Zam. Teraz zamykali drzwi świątyni przed jego synem i to w dniu święta.

– Bóg, który stworzył ten świat, nie ma żadnego kształtu – krzyczał na nich, wstępując na schody. – Nie możecie dawać mu ludzkiej twarzy! Bluźnicie, zamykając go w bryle gliny czy drewna!

Kapłani odpowiedzieli mu gniewnymi spojrzeniami, żaden jednak nie przemówił ani słowem. Mahomet zatrzymał się przed nimi i położył dłoń na rękojeści szabli.

– Kapłani, wysłuchajcie mnie! – Głos Mahometa odbił się od żelaznych wrót i poniósł nad tłum zgromadzony na podwórzu. – Morderca mojej córki ukrywa się w waszym domu z kamienia. Dopadnę go, czy tego chcecie, czy nie. Rozstąpcie się!

Kapłani nadal tkwili na swoich miejscach, niektórzy wzięli się nawet pod ręce. Mahomet słyszał, jak nad tłumem podnosi się pomruk tych, którzy przyszedli do świątyni złożyć ofiary. Słyszał też, jak Tanuchowie rozstawiają się na schodach za jego plecami. Podniósł ręce i odwrócił się powoli, ogarniając tłum gniewnym spojrzeniem.

– Czy to wasz bóg? – zawołał, wskazując palcem wielki posąg Apolla. – To bóg Greków, którzy żyją daleko stąd, nad brzegiem zielonego morza. Czy to ten bóg pilnuje waszych stad? Czy to ten bóg unosi się nad pustynią?

Na twarzach stojących przed nim ludzi malował się gniew lub niepewność. Z nieba lał się żar, którego nie rozpraszał najmniejszy nawet powiew wiatru. Mahomet zerknął na Dżalalę, a ten pokręcił lekko głową.

– Pokażę wam głos Boga, który stworzył świat!

Mahomet obrócił się na pięcie, wyciągając jednocześnie broń z pochwy, i uderzył stojącego najbliżej kapłana głowicą szabli. Mężczyzna jęknął głucho i osunął się na ziemię, pociągając za sobą kilku swych towarzyszy. Tanuchowie wydali z siebie głośny okrzyk i wyskoczyli na schody. Kapłani rozpięchli się przed błyskającymi w słońcu szablami. Niektórzy spadli ze schodów. Mahomet uśmiechnął się pogardliwie, podszedł do drzwi i napał ramieniem na wygrzaną w słońcu metalową powierzchnię.

Drzwi otworzyły się powoli, zgrzytając przeraźliwie starymi zawiasami. Z wnętrza wypłynął zapach kadzidła, dymu i potu. Mahomet wszedł do środka, trzymając szablę gotową do ciosu.

Wokół brukowanego placu wyrosło przez lata całe skupisko świątyń. Nad niszczącymi budynkami z cegły wznosiły się kopuły i minarety. Pomiędzy

świątyniami większych i mniejszych bogów wiły się wąskie uliczki, prowadzące do ukrytych pośród murów podwórzy i marniejących ogrodów. Mroczne korytarze wypełnione były śpiewem kapłanów i zapachem kadzidła. Całe Zam-Zam leżało w wielkiej misie, w której niegdyś było źródło wody o leczniczych właściwościach. Teraz kamień i cegła przykryły źródło, a woda uwięziona została pod ziemią. Dziesiątki studni niemal całkiem wyczerpały zasoby źródła, z którego płynęła obecnie tylko wąska strużka. Ze względu na brak wody zwiędły rośliny w licznych ogrodach. Na północnym krańcu świątynnego labiryntu znajdowała się wielka sklepiona brama zwrócona ku odległemu o kilka mil miastu, Mekce.

W cieniu bramy siedział mężczyzna. Po jego szczupłej, smagłej twarzy błakał się lekki uśmieszek. Przygładził brodę i rozciął na pół pomarańczę. W cieniu siedziało także kilku jego ludzi w biało-niebieskich turbanach. Niektórzy nie wyleczyli jeszcze ran, jakie odnieśli podczas walk w Mekce, byli jednak gotowi w każdej chwili stanąć do boju, czujni niczym dzikie koty. Choć bramy kompleksu świątynnego stały zwykle otworem, wojownicy od jakiegoś czasu nie pozwalali nikomu przez nie przechodzić.

Uri Ben Sarid podniósł wzrok, słysząc stukot kopyt, i ujrzał ludzi nadjeżdżających od strony miasta. Za jeźdźcami unosił się obłok białego pyłu, znaczący trasę ich przejazdu przez piaszczyste pustkowia. Ben Sarid wstał z kamiennej ławki, przeciągnął się, ziewnął i wbił zęby w połówkę pomarańczy. Potem otarł rękawem kroplę soku, która wyciekła z kącika jego ust. Jego ludzie także dostrzegli obłok pyłu, nie podnosili się jednak z ziemi. Ben Sarid skinął głową na jednego z nich, a wojownik wstał powoli i wszedł w wąski korytarz prowadzący do wnętrza miasta kapłanów.

Jeźdźcy byli coraz bliżej, pędzili galopem. Ben Sarid stanął przy bramie, w cieniu rzucanym przez wielki łuk. Zsunął z ramion biało-brązową szatę i położył dłoń na kościanej rękojeści szabli. Słyszał za sobą szelest ubrań i zgrzyt wyciąganej broni, gdy jego ludzie podnieśli się wreszcie z ziemi. Ci, którzy mieli tarcze, nasunęli je na ręce.

Mahomet odsunął kotarę z małych onyksowych paciorków przypominających skórę węża i wszedł do pokoju leżącego pośrodku wielkiego kwadratowego budynku. Pozbawione okien pomieszczenie, do którego prowadziły tylko jedne wąskie drzwi, wypełnione było niemal bez reszty tysiącami posążków, statuetek, obrazów wrytych w metalu i malowanych na drewnie. W powietrzu unosił się ciężki słodki zapach setek świec rozstawionych wzdłuż ścian pokoju. Wśród niezliczonych posągów i posążków wiły się wąskie ścieżki, po których w normalny dzień wędrowały tłumy pokutników i kapłanów.

Dziś jednak pokój był pusty i cichy. Mahomet wsunął się powoli do wnętrza sali, trzymając przed sobą gotową do ciosu szablę. Stawiał ostrożnie kroki, starając się poruszać jak najciszej. Przystanąwszy na moment, skręcił w ścieżkę prowadzącą na prawo, wokół skupiska posągów stojących pośrodku pokoju. Słyszał, jak paciorki kotary szeleszczą cicho, poruszane ledwie wyczuwalnym podmuchem.

W głębi pokoju było znacznie ciemniej, Mahomet zwolnił więc kroku, czekając, aż wzrok przywyknie mu do półmroku. Ściany położone naprzeciwko wejścia wznosiły się pod dziwnym kątem. Spośród cegieł wystawały stare kamienie, wciąż noszące ślady słońca i wiatru. Na podłodze przed ową pozostałością dawno minionych czasów płonęły lampy oliwne w kształcie butów. Mahomet uradował się w duchu, widząc, że najstarsze sanktuarium w tym rozpadającym się budynku nadal otoczone jest należytą czcią. Pochylił lekko głowę, wracając myślami do wspomnień o swym ojcu.

Na podłogę upadła świeczka przewrócona skrajem czyjejś szaty.

Mahomet odskoczył na bok, roztrącając małe lampki oliwne. Ostrze szabli przecięło powietrze z sykiem. Napastnik, w ciemnych szatach i turbanie, spod którego widać było tylko płonące nienawiścią oczy, wycofał się w mrok. Mahomet uśmiechnął się szeroko, błyskając w półmroku białymi zębami.

– Jakie miłe przywitanie, mój synu! – Mahomet natychmiast zapomniał o wspomnieniach z dzieciństwa, ogarnięty pragnieniem zemsty. – Czy ukryłeś się tutaj, by wraz z kapłanami oddawać się żałobie? Czy ich miękkie słowa zmywają z twych rąk niewinną krew?

Ogień ogarnął rozlany na podłodze olej, wypełniając wnętrze sali migotliwym blaskiem, który ukazał oczom Mahometa młodego Banu Haszim. Mahomet zaczął powoli krążyć w prawo, trzymając przed sobą obnażoną szablę. Szarif stanął naprzeciwko, ostrze jego szabli niemal dotykało czubka broni Kurajszyty. Posągi wypełniające salę zostawiały im niewiele miejsca na walkę, Mahomet wierzył jednak, że gorzki gniew wypełniający jego serce pokieruje właściwie jego ciałem.

– Czy uroniłeś choć jedną łzę, dowiedziawszy się, że zabiłeś własną żonę? Szarif zaatakował, tnąc błyskawicznie z góry. Mahomet parował kolejne ciosy, badając siłę i szybkość młodszego przeciwnika. Brzęk stali uderzającej o stal cichł między tysiącami bogów, którzy przyglądali się ich walce. Kałuża oleju wciąż płonęła, topiąc świece ustawione pod ścianą. W oczach posągów odbijał się blask tańczących bezgłośnie płomieni.

– Czy powiedziałeś swoim synom, że ich matka zginęła z twojej ręki? Mahomet skoczył do przodu, szabla zawirowała w jego dłoni, zasypując Haszymidę gradem uderzeń. Szarif cofnął się zaskoczony i wpadł na posąg Baala stojący za jego plecami. Młodość przydawała mu jednak siłę i szybkość, zdążył więc umknąć przed ostrzem

Mahometa, które uderzyło z brzękiem w kamień. Odpowiedział cięciem skierowanym na kolana Mahometa, ten jednak w porę odskoczył w bok, a potem ciął mocno z góry. Szabla Szarifa, zbita w dół, wbiła się w starą cegłę w podłodze. Utknęła tam na moment, a wtedy Kurajszyta uderzył ramieniem w pierś Haszymidy.

Młodzieniec jęknął z bólu, a Mahomet wymierzył mu kolejny cios, tym razem uderzając go łokciem w podbródek. Szarif runął plecami na podłogę, ale zdołał wyrwać z podłogi szablę. Mahomet obrócił się i ciął z obrotu, lecz Haszymida, wiedziony instynktem, zablokował cios ręką, a potem próbował poderwać się szybko z podłogi.

Ogień wspinał się na ściany, wypełniając powietrze kolorowym dymem i dziwnym zapachem. Na środku starożytnego muru, pośród starannie ociosanych bloków piaskowca, błyszczał sześcian czarnej skały. W jego matowej czarnej powierzchni nie odbijało się światło ani cienie.

Mahomet nastąpił z całą siłą na kolano Szarifa, który odtoczył się na bok; wypuścił z dłoni szablę. Ostrze Mahometa błysnęło w blasku płomieni i uderzyło w bok głowy przeciwnika. Trysnęła krew, a na podłogę opadło ucięte ucho Szarifa. Haszymida krzyknął przeraźliwie i zakrył dłonią otwartą ranę.

– Będiesz jej służył w piekle! – warknął Mahomet, przybijając szyję swego zięcia. Ostrze wbite w gardło nieszczęśnika natychmiast spłynęło krwią. Przez moment młody Haszymida patrzył nań ze zgrozą w oczach, czując, jak krew wypełnia jego gardło, potem Mahomet wyrwał szablę z ciała, rozbryzgując krople krwi na zgromadzonych wokół bogów. Szarif chwycił się oburącz za przecięte gardło, wydał z siebie przerażający charkot, zadygotał i po chwili znieruchomiał.

Mahomet cofnął się powoli kilka kroków. Gniew uleciał z niego niczym ostatnie tchnienie umierającego. Jego buty rozbryzgały płonący olej, który osiadł na drewnianym posądku Baala i innych bogów. Mahomet oparł się plecami o ścianę. Czuł, jak ogarnia go poczucie pustki.

Nad jego głową unosiły się kłęby czarnego dymu.

– Stać! Brama! – Koń pierwszego jeźdźca zatańczył w miejscu, brutalnie zatrzymany przez swego pana. Uri stał pośrodku przejazdu, na lekko rozstawionych nogach, z kciukami zatkniętymi za szeroki, zdobiony pas. Przyglądał się spod przymkniętych powiek pierwszemu jeźdźcowi i jego kompanii. Oddział liczył około stu jeźdźców i był najbardziej kolorową zbieraniną zbójców, najemników i włóczęgów, jaką Uri kiedykolwiek widział. Pokrywał ich pustynny kurz, który wciskał się we wszystkie zakątki ich ubrań i w spoczone, zmierzwione brody. Przywódca włóczęgów, który wciąż musiał zmagać się ze swoją kształtną, czarną

klaczą, był wysokim mężczyzną o oliwkowej twarzy i schludnie przyciętej czarnej brodzie. Uri uniósł lekko brwi; wódz tej bandy szubrawców był bardzo młody, mógł mieć co najwyżej dwadzieścia lat.

– Witaj – powiedział Ben Sarid, pokazując puste ręce. – Świątynie są dzisiaj zamknięte.

– Słyszałem – roześmiał się młodzieniec. – Szukam Mahometa z plemienia Kurajszytów. Słyszałem, że może tutaj być.

– Może – przyznał Uri. – Ale zdaje się, że załatwia właśnie jakieś rodzinne sprawy. Może gdybyś przyjechał kiedy indziej, zechciałby z tobą porozmawiać.

Młody jeździec zeskoczył z konia i rzucił wodze jednemu ze swych towarzyszy.

– Mogę poczekać – oświadczył, podchodząc do Uriego. – Przybyłem tu z bardzo daleka, by się z nim zobaczyć i przekazać mu wieści, które z pewnością bardzo chciałby usłyszeć. Nie spodziewałem się jednak, że zastanę miasto w tak...
niezwykłym stanie. Jestem Chalid Ibn al-Walid z plemienia Banu Machzum. Miło mi cię widzieć w dobrym zdrowiu, Uri.

Uri ponownie uniósł brwi i przechylił lekko głowę, przyglądając się przybyszowi. Uśmiechnięty, pewny siebie młodzieniec wydawał mu się znajomy – Uri był jednak pewien, że zna twarz wszystkich członków plemienia Machzumów w dolinie. A ten nicpoń z pewnością do nich nie należał!

– Cóż, mi też miło cię widzieć, synu Machzumów, choć cię nie znam, a Mahomet jest zajęty.

Młodzieniec wyszczerzył zęby w uśmiechu i wzruszył ostentacyjnie ramionami.

– Mogę czekać cały dzień, nawet tutaj, na tym słońcu, jeśli sobie tego życzysz, dziadku. Poczekasz ze mną?

Drewniany posąg Baala płonął radośnie, posykując i trzaskając od czasu do czasu, kiedy ogień docierał do gniazd zaschniętej żywicy. Smugi dymu wypływały ze szczelin w drewnie i z otwartych – ust. Płonęły także pozostałe, nawet te z kamienia i gliny, oblepiała je bowiem gruba warstwa kurzu i farby. Płomienie sięgały coraz wyżej, dotykały już drewnianych belek podtrzymujących sufit.

Dżalal szedł na czworakach, powstrzymując oddech, by nie nałykać się gęstego trującego dymu. Fale rozgrzanego powietrza zatykały mu usta i nozdrza, zmuszały do odwracania głowy. Jego towarzysze, którzy zatrzymali się przy drzwiach, krzyczeli w przerażeniu i błagali go, by wracał do wyjścia. Dżalal nie słuchał ich nawoływań.

Posąg Baala, odlany przed wielu laty w jakimś odległym mieście na północy, rozprysnął się nagle, rozrzucając dymiące, gorące fragmenty ceramiki po całej sali. Jeden z odłamków uderzył Dżalala w głowę, rozcinając skórę na jego czole. Mimo to

dowódca Tanuchów nadal posuwał się naprzód. Po chwili ujrzał wreszcie Mahometa leżącego pod najstarszym fragmentem ściany, z głową bezwładnie przekrzywioną na bok. Dżalal przykucnął obok swego kapitana i wsunął rękę pod jego ramiona.

Mahomet otworzył oczy, a Dżalal znieruchomiał na moment, dojrawszy w nich przeblyski świadomości. Usta Mahometa poruszyły się powoli, lecz huk płomieni zagłuszył jego słowa. Tanuch podniósł się i rzucił ciało swego dowódcy na ramiona. Mahomet próbował się mu sprzeciwić, sięgając do muru, lecz Dżalal zignorował go i ruszył biegiem przez płomienie. Dym był już tak gęsty, że przesłonił drogę do drzwi.

– Czy Mahomet cię zna? – spytał Uri, stając w słońcu, choć z nieba lał się południowy żar. Młodzieniec pokręcił głową.

Ach, wuju, ja znam jego! Któż może znać go lepiej niż człowiek, który obserwował go przez długie miesiące zmagania z potęgą Persji? Kto może być mu bliższy: kuzyn, czy człowiek, który skrzyżował z nim szable? Żadna żona nie zna swego męża lepiej, niż ja znam szlachetnego Mahometa Kurajszytę. Nikt nie szanuje go bardziej niż ja, który widziałem, jak stawiał czoło największemu generałowi świata. Czy ty, który pilnujesz bramy, możesz z pełnym przekonaniem powiedzieć, że znasz go lepiej ode mnie?

Uri warknął gniewnie i położył dłoń na rękojeści szabli. Młodzieniec pokręcił głową i podniósł puste ręce, pokazując je Ben Saridowi i jego towarzyszący stojącym przy bramie. Najemnicy, którzy zsiadli już z koni i zatrzymali się kilkanaście kroków dalej, znieruchomieli, gotowi w każdej chwili stanąć w obronie swego przywódcy. Uri zerknął na nich z ukosa, nie dostrzegł jednak obnażonych szabli ani napiętych łuków. Gdy spojrział ponownie na Chalida, młodzieniec uklonił mu się nisko, jak młody członek rodziny swemu starszemu krewnemu.

– Nie chciałem być nieuprzejmy, wuju, ale przebyłem długą drogę, by zaofiarować usługi – moje i moich ludzi – szlachetnemu Mahometowi z plemienia Kurajszytów. Wiedziałem, że będzie potrzebował ludzi doświadczonych w walce, zebrałem więc tylu, ilu mogłem, i pojechałem za nim. Babcia powiedziała mi, że polala się już krew – choć nie tyle, ile jeszcze musi się polać. Przywożę mu też wieści z północy, z miasta Jasrib, z którego właśnie przybywamy.

Uri skinął powoli głową i zdjął dłoń z rękojeści szabli. Gorący wiatr szarpał jego szatami.

– Byłeś więc pod Palmyrą? Służyłeś Persom? Co widziałeś? Chalid uklonił się ponownie, składając przed sobą ręce.

– Widziałem upadek wielkiego miasta, szlachetny Ben Saridzie. Widziałem, jak

szlachetny Mahomet zмага się z pięciokrotnie silniejszym przeciwnikiem i omal nie odnosi nad nim zwycięstwa. Persowie miesiącami szturmowali mury złotej Palmyry i każdego dnia drżeli przed ostrzem jego szabli. Czekał na nich za każdym rogiem, a sprytem, umiejętnościami i odwagą mógł się równać nie tylko z królewskim Odyńcem, ale także z istotą, która chodzi jak człowiek.

– Z czym? – Uri zmarszczył brwi. Wśród ludzi Mahometa krążyły różne opowieści dotyczące oblężenia Miasta Jedwabiu, Uri nie wierzył jednak w te najdziwniejsze, nawet jeśli pochodziły z ust starych i doświadczonych Tanuchów. Na północy działy się straszne rzeczy, ale wiele z nich musiało być tylko wytworem fantazji niektórych wojowników.

– Księżę ciemności. – Twarz Chalida sposepniała nagle, młodzieniec jakby w jednej chwili postarzał się o kilka lat. – Ten, którego Persowie nazywają Dahakiem. Władca Dziesięciu Węży. Niszczyciel miast.

Dżalal pędził przez płomienie, przeskakując nad powalonymi posągami bożków. Jego towarzysze, którzy czekali nań przedtem przy wyjściu, opuścili już salę. Tanuch obrócił się bokiem, by przeciągnąć Mahometa przez wąskie drzwi. Kurajszyta znów zaczynał się wyrwać z jego uchwytu, Dżalal musiał więc przycisnąć mocno ręce dowódcy do jego boków. Posapując ciężko ułożył go sobie na ramieniu.

Nawet w holu za płonącym pokojem powietrze ciężkie było od dymu. Dżalal zachwiał się pod nierówno ułożonym ciężarem, zdołał jednak odzyskać równowagę.

– Słyszę Cię!

Dżalal potknął się, przestraszony tym okrzykiem, i upuścił Mahometa na wykładaną płytkami podłogę holu. Panował tu półmrok rozpraszany blaskiem bijącym od płomieni, które ogarniały drewniany sufit. Dżalal wpatrywał się jak urzeczony w rozpalone oczy Mahometa.

– Słyszę Cię, Panie tego świata! – Mahomet podniósł się z podłogi, jakby wrócił nagle do pełni sił. – Stanę w Twojej obronie! Zrzucę te cielce i wyniosę Cię na należne Ci miejsce!

Dżalal rozejrzał się dokoła, zdumiony – w holu nie było nikogo prócz ich dwóch. Dym i trzask płomieni pochłoneły echo krzyków Mahometa. Dżalal pochylił się, by nie wciągać w płuca gryzących oparów, pochwycił za rękę chwiejącego się kapitana i krzyknął zaskoczony, gdy z ciała Kurajszyty przeskoczyła nań żółta iskra.

– Słyszę cię, o Panie tego świata! Powiem ludziom, co widziałem i... – Mahomet umilkł nagle i zaczął osuwać się na ziemię. Dżalal pochwycił go w ostatniej chwili i przyciągnął do siebie. Dym był coraz gęstszy, wypełniał cały hol. Dżalal ruszył powoli do przodu, choć nie był pewien, czy dobrze pamięta drogę. Oddychanie sprawiało mu coraz większą trudność. Mahomet mamrotał coś niezrozumiale, z jego

ust wydobywały się pojedyncze słowa lub pozbawione sensu zdania. Działal pchał go przed sobą, czuł jednak, że zaczyna mu brakować powietrza. Krew coraz głośniejsze huczała mu w uszach, przed oczami tańczyły złote iskry. Zaciął zęby i postawił kolejny krok.

Straszliwy żar uderzył w plecy, a uszy wypełnił trzask pękających kamieni.

– Przez dziesięć dni i dziesięć nocy Persowie niszczyli miasto. Nie zostawili kamienia na kamieniu. Świątynie legły w gruzach, pałace zamieniły się w rumowiska. Ludzie, którzy przeżyli oblężenie, zostali spędzeni na szeroką aleję łączącą Bramę Damasceńską z wielką świątynią Bela. Dziesiątki tysięcy ludzi stłoczonych na jednej ulicy. My czekaliśmy poza miastem, na wzgórzach, słyszeliśmy jednak ich głosy, błaganie o litość.

Chalid umilkł na moment i odkorkował bukłak wiszący u jego boku. Uri czekał cierpliwie, aż młody wojownik się napije. Zaspokoiwszy pragnienie, Chalid podał bukłak Uriemu, ten jednak pokręcił odmownie głową. Młodzieniec spojrzał na pustynię, na szare wzgórze wznoszące się nad Mekką.

– Persowie skuli ich łańcuchami, połączyli wszystkich ze sobą. Później widziałem te łańcuchy leżące na ulicy. Potem wyszli z miasta; wszyscy Persowie pomaszerowali do swego obozu wśród wzgórz. Został tylko on: Władca Dziesięciu Węży. W mieście zapadła cisza, wyjęliśmy słuch, ale nic nie słyszeliśmy. Żadnych szlochów, krzyków, błaganie o litość... Potem... to się po prostu czuło, jakby stukot suchych kości, i ten dziwny zapach w powietrzu, posmak miedzi i żółci. Moi ludzie uciekli za wzgórze do ciepłych ognisk i bukłaków wina w perskim obozie.

Chalid znów przerwał i zmrużył oczy. Uri wyczuwał, że w młodym wojowniku rośnie ogromny gniew.

– A ja? Ja czekałem i przyglądałem się, choć instynkt podpowiadał mi, że bym czym prędzej uciekał. Czekałem, aż on wyjdzie z miasta, opuści miejsce swej straszliwej uczty. Czekałem kilka godzin. Wreszcie, kiedy zbliżał się już świt, postanowiłem zejść do doliny, przejść przez pole zniszczonych grobowców i zajrzeć do miasta. Lecz wtedy on wyszedł, czarna postać ciemniejsza od samej nocy. Nie widziałem go, ale wyczuwałem jego obecność nawet po drugiej stronie doliny.

Chalid znów przerwał swą opowieść i rozpiął sakwę przymocowaną do pasa, by wyciągnąć z niej skrawek białej kości. Podniósł ją przed oczy Uriego, który przyglądał jej się ze zdumieniem: kość była niemal całkiem przezroczysta, promienie słońca przeświecały przez nią niczym przez pryzmat. Młodzieniec obracał ją przez chwilę w palcach.

– Czasami, kiedy pilnujesz stad za miastem, czujesz, jak zbliżają się nocni łowcy.

Znasz to uczucie? Tak, każdy z nas to kiedyś czuł; czasami z drzemki na warcie wyrywa nas prawie niesłyszalny odgłos wielkich, miękkich łap stąpających po piasku. Albo kiedy jesteś w mieście, a poluje na ciebie jakiś inny człowiek; czujesz na sobie jego wzrok. To było o wiele gorsze: czułem się jak mysz ukryta między kamieniami, obok których przechodzi smok. Przypadłem do ziemi, nim jeszcze to stworzenie wyszło z miasta, i krzyczałem ze strachu. Wydawał się olbrzymi, wysuwał się przez rozbitą bramę niczym gigantyczny pajak opity krwią. Chciałem przykryć się ziemią, zakopać – i zrobiłbym to, gdyby pod spodem nie było kamieni.

Młodzieniec podniósł ręce, a Uri zobaczył, że jego palce są paskudnie pokaleczone, a na niektórych brakuje nawet paznokci. Chalid uśmiechnął się lekko, ujrawszy niewyraźną minę swego rozmówcy.

– Wyjechałem stamtąd następnego dnia, gdy tylko byłem w stanie utrzymać się na koniu. Po drodze mijaliśmy tysiące uciekających Persów, przepelnionych tym samym strachem. Pojechaliśmy na południowy wschód, na pustynię, a ja ani razu nie obejrzałem się za siebie. Jeden z moich ludzi, który dogonił nas potem w oazie, przywiózł mi ten fragment kości.

Uri zakasłał niepewnie. Słyszał już wcześniej fragmenty tej historii, nie dawał jej jednak wiary. Wciąż nie wiedział, czy w nią wierzy.

– Dlaczego tu przyjechałeś? Czemu szukasz Mahometa?

Dżalal wyszedł chwiejnym krokiem ze świątyni i chwycił łączywie wolne od gryzącego dymu powietrze. Na plecach niósł Mahometa, który znów zaczął się wyrywać. Kapłani dawno już uciekli, pozostawiając Tanuchów sam na sam z kłębiącym się tłumem pokutników, którzy chcieli wejść do kompleksu świątynnego. Tymczasem z drzwi ceglanej świątyni wydobywały się kłęby czarnego dymu i rozgrzane, falujące powietrze.

– Pomóżcie mi – wydyszał Dżalal do swoich towarzyszy. Dwaj stojący najbliżej doskoczyli do niego i wzięli pod ręce Mahometa. Tanuch odetchnął z ulgą; mógł wreszcie pozbyć się dymu wypełniającego mu płuca. Opadł ciężko na kolana i zaczął głośno kasłać.

– O bezbożnicy! – Mahomet odtrącił od siebie dwóch Tanuchów, którzy próbowali pomóc mu zejść ze schodów. – W tym miejscu mieszka coś świętego, coś, co przybyło z nieba na ognistej błyskawicy, będącej znakiem i zapowiedzią. Mają nas prowadzić i wzmocnić naszą wiarę! A wy plujecie na to, wypełniając dom wzniesiony przez Ibrahima plugawymi posągami i obrazami!

Tanuchowie odsunęli się od Mahometa, który krzyczał na tłum. Ludzie przyglądali mu się z zainteresowaniem – przybyli tu z okazji święta religijnego, lecz polityczne rozruchy w mieście zamknęły przed nimi drzwi świątyni. Ten człowiek

przemawiał do nich, jak kapłani Baalszamina, Apolla czy któregośkolwiek z innych bogów, którego wizerunki można było znaleźć na terenie świątyni. Kilku kapłanów z mniejszych świątyń stojących przy placu krzychało coś w odpowiedzi na słowa Mahometa. Niektórzy ludzie stojący w tłumie patrzyli na płomień wydobywający się z wnętrza ceglanego budynku, zastanawiając się, czy to jakiś znak. Niektórzy uznali, że to część święta i zaintonowali jakąś religijną pieśń.

Dżalal podniósł się z klęczek i próbował złapać Mahometa za rękę.

– Nie możecie uwięzić słowa Bożego w kamieniu i drewnie! – Mahomet odtrącił dłoń Dżalala i odwrócił się, by patrzeć na ogień szalejący we wnętrzu świątyni. Fale rozpalonego powietrza i kłęby gęstego dymu wypływały na zewnątrz i wzbijały się ku niebu. Drzwi płonęły jasnym, oślepiającym płomieniem, miedziane okładziny na ich powierzchni zaczęły się topić i bulgotać.

– Budzący postrach król Nimrud wtrącił Ibrahima do pieca, lecz wiara go ocaliła. – Głos Mahometa rozchodził się po całym placu, wzmocniony przez kamienny łuk nad drzwiami świątyni, wznosił się ponad ryk płomieni i zgrzyt kamiennych bloków pękających w ogniu. – Ten ogień oczyści serce Zam-Zam, tego świętego miejsca.

Mahomet ruszył w stronę drzwi, trzymając przed sobą wyprostowane ręce. Gorący wiatr wypływający ze świątyni rozwiewał jego włosy i brodę.

– Słyszę cię, Panie tego świata! Słyszę Twoje wołanie! Idę do Ciebie, Panie! Idę...

Dżalal rzucił się na Mahometa od tyłu i powalił go na ziemię przed wejściem do świątyni. Płomień sięgał już niemal ich ciał. Dżalal zacisnął mocniej zęby, kiedy jego włosy i broda zaczęły dymić w żarze bijącym od drzwi. Mahomet odwrócił się i mówił coś do niego, Tanuch nie słyszał jednak nic prócz ryku płomieni. W oczach Kurajszyty pojawił się nagle dziwny błysk, oślepiająco biała iskra. Dżalal poczuł, jak powietrze wokół nich zmienia się, odsuwa żar i płomień. Mahomet odepchnął go i próbował wstać, lecz Dżalal – przepełniony nagle jakimś niewytłumaczalnym strachem – rzucił się do przodu i uderzył go pięścią w twarz. Mahomet runął na ziemię zaskoczony i zalał się krwią. Dżalal uderzył ponownie, a jego dowódca zgasł niczym zdmuchnięta świeca. Niesamowity błysk w jego oczach przygasł, a potem całkiem zniknął.

Z wnętrza świątyni dobiegł głośny trzask pękających belek stropu. Przez wypalone odrzwia wypłynęła kolejna fala płomieni i dymu. Dżalal odtoczył się do tyłu, ciągnąc za sobą nieprzytomnego Mahometa. Kilku Tanuchów wbiegło na schody, by odciągnąć ich na bezpieczną odległość. Tłum patrzył w zdumieniu na słup dymu i ognia. To święto miało na długo pozostać w ich pamięci!

Uri odwrócił się w stronę zabudowań świątynnych, usłyszawszy jakiś głuchy łoskot, i uniósł lekko brwi, zaskoczony widokiem czarnej chmury dymu wiszącej nad centrum kompleksu. Skinął głową na swoich ludzi, wskazując im odległy pożar, a czterech z nich natychmiast ruszyło w tamtą stronę, trzymając w dłoniach obnażone szable. Chalid odchrząknął niepewnie, lecz Uri pokręcił tylko głową.

– Szlachetny Mahomet ma do załatwienia pewną osobistą sprawę. Być może musiał podjąć radykalne środki, by wypłoszyć z ukrycia człowieka, którego poszukuje. Poczekamy tu chwilę i pozwolimy, by sam sobie z tym poradził.

Chalid westchnął i uspokoił gestem swych ludzi, którzy już sposobili się do walki.

– Czy ta sprawa ma coś wspólnego ze śmiercią jego córki, która zginęła z rąk Haszymidów? Jego krewnych, kuzynów, wujów i ciotek.

Twarz Uriego ściągnęła się w gniewnym grymasie.

– Ci ludzie pogwałcili zasady gościnności i honoru, mój młody przyjacielu. Wódz tego rodu chciał w domu swej synowej zaszytletować szlachetnego Mahometa, kiedy jedli razem kolację! Te psy nie mają ani krzty honoru i zapłacą krwią za swoje czyny!

Chalid skłonił się lekko i podniósł ręce w geście pokoju.

– Znam tę historię, szlachetny Ben Saridzie! Moja babcia wyjaśniła mi wszystko ze szczegółami. Zastanawiam się jednak, czy szlachetny Mahomet nie sprowadzi nieszczęścia na siebie i na swój dom, pałac świątynie wszystkich tych bogów, którzy obdarzają Mekkę i to miejsce swoją obecnością.

– Ha! – parsknął Uri pogardliwie. – Jest tylko jeden Bóg, który nie potrzebuje obrazów ni posągów.

Z wąskiej uliczki prowadzącej w głąb kompleksu wybiegł nagle jeden z ludzi Ben Sarida.

– Tłum pod świątynią się burzy! – krzyknął do ludzi stojących przy bramie. – Szlachetny Mahomet leży bez ducha!

Uri zaklął szpetnie, a potem krzyknął do swych ludzi:

– Połowa zostaje przy bramie, połowa idzie ze mną!

Ben Sarid zrzucił z ramion pustynny płaszcz, wziął do ręki miecz i wraz ze swymi ludźmi ruszył biegiem w głąb ulicy. Chalid nie ruszył się ze swego miejsca w bramie, gestem nakazał jednak swym towarzyszom, by zeszli z koni i przyłączyli się do niego. Po chwili wszyscy ludzie Ben Sarida pobiegli w stronę krzyków dochodzących z głębi kompleksu świątynnego.

– Cóż... – mruknął Chalid, zwracając się do swych ludzi z drapieżnym uśmiechem na twarzy. – Wygląda na to, że jednak uda nam się wejść do miasta i pokłonić szlachetnemu Mahometowi.

Mur runął na ziemię, zamieniając się w rzekę cegieł i strącając z podestów posągi bogów miast Meroe i Sany. Rzeźby z białego marmuru roztrzaskały się z hukiem o bruk, rozbite członki odleciały do tyłu i na boki. Tłum zgromadzony na placu, który urosł już do kilkuset osób, odsunął się do tyłu. Nad gruzami świątyni wznosiła się jej centralna część, spowita teraz ogniem i kłębamii dymu. Tanuchowie stanęli obok siebie w ciasnym szyku, tworząc krąg stali wokół Dżalala, który niósł nieprzytomnego Mahometa. Niektórzy mężczyźni z tłumu, zachęceni przez kapłanów, którzy uciekli wcześniej przed gniewem Mahometa, mruzcili teraz gniewnie i krążyli wokół najeżonego ostrzami szabli i włóczni kręgu Tanuchów. Dżalal rozglądał się dokoła uważnie. Sytuacja nie wyglądała najlepiej. Ludzie otrząsnęli się już z szoku, jakim był dla nich pożar świątyni, i zaczęło do nich docierać, że intruzi zbezczeszcili ich święte miejsce. Z tłumu wyleciał pierwszy kamień, który upadł na bruk obok Tanuchów.

– W tamtą uliczkę – wychrypiał Dżalal do swoich podwładnych.

Pod arkadą otwierał się korytarz wciśnięty między dwa budynki. Pod ścianami budynków leżały sterty śmieci, Dżalal miał jednak nadzieję, że właśnie tędy uda im się wydostać z placu. Obrócił się bokiem, by nie uderzyć głową nieprzytomnego Mahometa o mur. Tymczasem z tłumu leciało w ich stronę coraz więcej kamieni, podniosły się gniewne okrzyki i gwizdy. Pozostali Tanuchowie szybko weszli w korytarz za swoim dowódcą, osłaniając się tarczami przed gradem kamiennych pocisków i śmieci.

Chalid powoli wkroczył na plac. Jego ludzie postępowali tuż za nim. Wszyscy trzymali w dłoniach obnażone szable, starali się jednak, by broń nie rzucała się zbyt w oczy. Przed płonącymi gruzami starej świątyni tłoczył się rozwścieczony, falujący tłum kilku tysięcy pątników. Ofiary leżały rozrzucone na ziemi, rozdeptane setkami stóp. Nad głowami tłumu tańczył las włóczni, motyk i sierpów. Chalid podniósł rękę, zatrzymując swych ludzi na skraju placu. Rozejrzał się dokoła uważnie i przechylił głowę, nasłuchując, nie usłyszał jednak żadnych odgłosów walki. Nad tłumem unosił się gniewny pomruk, który odbijał się echem od otaczających plac budynków i arkady. Wielu kapłanów krzychało coś do stłoczonych wokół ludzi, żaden z nich jednak nie zdołał przyciągnąć ich uwagi. Chalid jeszcze raz rozejrzał się wokół, nigdzie jednak nie dostrzegł błękitno-białych szat ludzi Ben Sarida. Tymczasem jego wojownicy uformowali wąski klin, który zaczął wciskać się w tłum.

Ze sterty płonących gruzów znów wydobył się głośny huk, a na ziemię runęły resztki kolejnej ściany, rozsypując po placu pojedyncze cegły. Nad rumowiskiem stała już tylko jedna ściana spowita złotym płomieniem.

Dżalal wyrzwał ostrożnie zza rogu budynku, przyciskając policzek do chropowatej ściany. Zobaczył pustą ulicę, która wiała się między jedno – i dwupiętrowymi budynkami o małych, osadzonych głęboko w ścianie odrzwiach. Głosy tłumu wydawały się tu odległe i przytłumione.

– Chodźmy – rzucił zachrypniętym głosem. Czuł się tak, jakby jego gardło wyłożone było papierem ściernym i wypełnione kłębam dymu. – Musimy się dostać do północnej bramy.

Tanuchowie posłusznie ruszyli do przodu, trzymając w dłoniach obnażone szable i sztylety. Czterech niosło ciało Mahometa. Dowódca wciąż był nieprzytomny i bardzo błądy. Dżalal spojrział nań z troską. Zastanawiał się, czy nie uderzył go zbyt mocno. Jednak rzeczywiście przestraszył się wtedy nie na żarty, a dziwny błysk w oczach Mahometa zmusił go do użycia radykalnych środków. Oczekawszy, aż wszyscy jego ludzie znajdą się już na ulicy, sam także wyszedł zza rogu. Nie znał rozkładu świątynnego kompleksu i nie miał pojęcia, jak trafią z powrotem do tylnej bramy.

Ulica kończyła się ceglany murem, porośniętym winoroślą, na której czerwieniły się maleńkie kwiaty. Jego ludzie szarpali już za drzwi otwierające drogę ucieczki ze ślepej uliczki. Dżalal zaklął pod nosem, potem zamarł na moment w bezruchu i dał swym ludziom znak, by cofnęli się pod ściany. Z drugiej strony ulicy dobiegł go odgłos czyichś kroków. Przywarł plecami do ściany, przycisnął do piersi skórzaną pochwę i położył dłoń na rękojeści szabli. Jego ludzie rozstawili się wzdłuż ulicy, przyczajeni i gotowi do walki. Czterej wojownicy niosący Mahometa przeszli na koniec ulicy i ułożyli go łagodnie w rogu.

Zza rogu wybiegł jakiś zdyszany młodzieniec w długiej szacie i niebieskiej czapce. W ręce trzymał drewniany drąg. Tanuch przyczajony tuż za rogiem, wyrzwał na ulicę, z której przybiegł młodzieniec, i podniósł dwa palce. Dżalal zaklął cicho i wyszedł przed biegnącego chłopca. Ten zatrzymał się raptownie i otworzył usta do krzyku. Pięść Dżalala trafiła go w bok głowy, ogłuszając pechowca niczym wołu idącego na rzeź. Drąg upadł na ziemię i potoczył się pod ścianę. Tanuchowie naprężyli mięśnie, gotowi stanąć do walki z kilkunastu ludźmi, których kroki słyhać już było w ślepej ulicy.

Dżalal wyciągnął szablę z pochwy. Otaczające go kształty jakby nagle nabrały wyrazistości, powietrze zgęstniało.

Chalid stał na skraju falującego tłumu i spoglądał z cierpkim rozbawieniem na ruiny wielkiej świątyni. Jego ludzie otaczali go żywym murem swych ciał. W rumowisku wciąż płonął ogień, który pożerał posągi bogów i demonów wypełniających świątynię. Tłum wciąż wrzał z gniewu, który nie mógł jednak znaleźć

ujścia. Kapłani ze świątyń położonych na zewnątrz kompleksu szydzili z tych, którzy służyli w wielkiej świątyni, podczas gdy ci oskarżali ich o zdradę. Chalid obrócił się powoli, spoglądając na dachy innych budynków. Czuł, jak na placu rośnie napięcie, jak dokoła gromadzi się moc szukająca ujścia. Wiedział, że lada moment na ten stos padnie jakaś iskra i wtedy poleje się krew. Uśmiechnął się ponownie i skinął lekko głową na podwładnych, którzy spoglądali nań pytająco.

– To znak! – zawołał, bez trudu przekrzykując rozgadany tłum. – Zepsucie, które wypełniało świątynie, zostanie wypalone żywym ogniem! Czas obalić obcych bożków!

Ludzie wokół niego nieruchomieli, przerywali rozmowy i kłótnie. Chalid skinął na swoich ludzi, a ci podjęli jego krzyk, wchodząc głębiej w tłum.

– Zniszczyć bożków! Precz z obcymi! Oczyszczyć świątynie!

Chwilę później jeden z kapłanów Zeusa Pankratora pchnął miejscowego kupca, który także zaczął krzyżeć „precz z obcymi”. Mężczyzna nie pozostał mu dłużny, a jeden z ludzi Chalida, który kręcił się w pobliżu, rzucił butelką po winie. Butelka uderzyła w głowę jednego z akolitów świątyni Zeusa Pankratora. Jego towarzysze krzyknęły z oburzeniem i zaczęły ciskać w tłum kamieniami wyrwanymi z bruku. Rozsierdzeni mieszkańcy Mekki odpowiedzieli tym samym.

Na placu rozpełtało się piekło. Tłum wdeptał w bruk kapłanów, stłukł na miazgę młodziutkich akolitów. W powietrzu latały kamienie, śmieci i odchody rzucone przez zwolenników poszczególnych świątyń. Nikt już nie zwracał uwagi na płonące ruiny wielkiej świątyni. Chalid i jego ludzie zebrali się przy wejściu na plac, nadal jednak krzyczeli, by obalać bożków. Tłum dzielił się na grupy, ludzie wbiegali na schody świątyń i pod arkady.

Chalid roześmiał się radośnie i wydał swym ludziom rozkaz odwrotu. Biegli wąskim przejściem prowadzącym w głąb kompleksu, spoglądając od czasu do czasu na walczący tłum. Po chwili znaleźli się przed wejściem do imponującej świątyni Baalszaminy. W drzwiach tłoczyła się grupa kapłanów, zebrana pod wielkimi posągami skrzydlatych sług ich boga. Z wnętrza wypływał zapach kadzidła, mirry i kardamonu. Migotliwy blask lamp i pochodni odbijał się w wygolonych głowach kapłanów. Chalid przystanął, przyglądając się świątyni z zainteresowaniem. Jego ludzie zatrzymali się obok niego.

– Ciekaw jestem – Chalid zwrócił się do swych podwładnych – czy nie ma tutaj jakichś bożków, których trzeba by obalić?

Jego spojrzenie ślizgało się po bogatych szatach kapłanów i ciężkich ozdobach na ich rękach i szyjach. Ludzie Chalida roześmiali się ponuro i pokiwali głowami.

– Tak, dowódcu, ci bałwochwalczy dźwigają ciężkie brzemię grzechów, od

których ktoś musi ich uwolnić!

– Aj... szlachetny Uri, kiedyś spotka cię coś złego, jeśli będziesz tak wybiegał z za rogów!

Dżalal wsunął szablę do pochwy i głośno wypuścił powietrze z płuc. Ludzie Ben Sarida stali naprzeciwko ukrytych w cieniu Tanuchów. Wojownicy w biało-niebieskich szatach czekali na znak swego wodza, lecz Tanuchowie ostentacyjnie schowali broń do pochew. Chłopiec leżący na ulicy jęknął i złapał się za głowę, powoli odzyskując przytomność. Dżalal przywołał na twarz przyjazny uśmiech i podał mu dłoń. Chłopak, wciąż oszołomiony, przyjął pomoc i dosłownie wyleciał nad powierzchnię ulicy, poderwany mocarną ręką Dżalala.

– Bądź ostrożny, chłopcze, następnym razem możesz wpaść na jakiś ostry przedmiot. – Dżalal obrócił młodzieńca w miejscu i pchnął go delikatnie w stronę ludzi Ben Sarida.

Uri przyglądał się temu spod ściągniętych brwi, w końcu jednak on także schował szablę do pochwy. Potem skinął na swych ludzi i nakazał im gestem, by odłożyli broń. Dżalal złożył mu ukłon, a potem zrobił kilka kroków do przodu.

– Szlachetny Uri, mój kapitan zatruł się dymem. Czy jest tu gdzieś w pobliżu miejsce, gdzie mógłby odpocząć?

Uri zerknął za plecy Tanucha na bezwładne ciało Mahometa.

– Tak – mruknął, marszcząc brwi. – Jeden z moich kuzynów ma tutaj dom. Możemy go tam zabrać.

Dżalal skinął głową w geście podziękowania, a jego Tanuchowie ponownie zgromadzili się wokół niego, gotowi do drogi.

– Co to za dźwięk? – spytał Uri, zaglądnąwszy w głąb ulicy. – Zupełnie jakbym słyszał szum morza.

– To nie morze – odparł Dżalal z ponurym uśmiechem, słyszał już bowiem kiedyś podobny dźwięk. – To rozwścieczony tłum żądny zemsty i krwi swoich wrogów.

RUINY PALMYRY, CELESYRIA

Zoe szła przez pole czaszek. Jej buty legionisty rozgniatały białe kawałki leżące wszędzie na szerokiej ulicy. Spod jej stóp wypływały maleńkie obłoczki białego pyłu, który opadał potem powoli w gorącym, nieruchomym powietrzu. Jej ciało spowite było w biało-zielony płaszcz, galabiję Ghassanidów, z kapturem, który opadał na jej twarz niczym całun, przesłaniając brązowe oczy i zaciśnięte w ponurym grymasie usta. Słońce zniżało się nad nagimi wzgórzami okalającymi dolinę od zachodu. Zoe w jednej ręce trzymała pokrzywioną laskę, drugą chowała w fałdach płaszcza. Dziesięć kroków za nią szedł Odenatus, przygarbiony i załamany. Podczas gdy Zoe kroczyła z dumnie wyprostowaną głową i patrzyła prosto przed siebie, Odenatus rozglądał się na boki, próbując ogarnąć ogrom zniszczenia, które spadło na jego rodzinne miasto.

Smukłe kolumny leżały na ziemi, rozbite w drobne kawałki, szerokie płyty chodnikowe popękały pod uderzeniami młotów i machin oblężniczych. Pozbawione fasad domy zamieniły się w puste ceglane szkielety. Ogrody, które wisały niegdyś nad ulicami, pokrywając ściany soczystą zielenią liści i wielobarwnym kwieciami, zostały spalone na popiół. Wszędzie, na ulicach, w drzwiach domów, na klatkach schodowych, leżały czaszki i połamane kości. Wiatr zepchnął ludzkie szczątki w szczeliny i załomy popękanych kamieni. Przez wypalone odrzwia widać było wnętrza pustych pokoi o osmalonych ścianach. Tu także bieleły się ludzkie kości ułożone w małe piramidy.

Zoe kroczyła nieprzerwanie do przodu, przechodząc nad powalonymi posągami, które niegdyś zdobiły tetrapylon. Tutaj, na okrągłym placu znaczącym centrum miasta, gdzie zbiegały się aleje, kości zmarłych zostały starte na proch, a powietrze ani drgnęło, jakby unieruchomione ohydłą zbrodnią. Odenatus wspiął się na zwały w poprzek drogi posąg wielkiego boga Baala, opierając stopę na jego ramieniu i wkładając dłoń do pustego kamiennego oczodołu. Za placem otwierała się długa na ćwierć mili aleja prowadząca do wielkiego podwyższenia. Podobnie jak wszystkie inne budynki w mieście, wystawne domy bogaczy stojące niegdyś w tym miejscu zamienione zostały w ruinę. W połowie drogi na podwyższenie, Zoe zatrzymała się i odwróciła, by spojrzeć na szczątki swego miasta. Odenatus stanął u jej boku zrozpaczony.

– Wszyscy zginęli, kuzynko. Nie przeżył ani jeden człowiek w naszym mieście. Jesteśmy zgubieni, bezdomni.

Zoe zignorowała go, wpatrzona w dachy domów, na których szukała jakichś znaków życia. Widziała jednak tylko spaloną słońcem pustkę. Odwróciła się więc

i podjęła przerwany marsz w górę alei. Odtrącona jej stopą czaszka potoczyła się między stertę kości, rodziny ponurego cieśli, a potem stoczyła się w dół, by w końcu spaść na rozbitą płytę chodnikową i roztrzaskać się.

Na końcu alei wznosiły się mury królewskiego pałacu, wysokie na dwadzieścia stóp umocnienia z ciężkich bloków granitu i piaskowca. Zoe zatrzymała się przed bramą, a z jej ust wydobył się wreszcie jakiś dźwięk; ciężkie, bolesne westchnienie. Wielkie skrzydlate lwy z kamienia, które niegdyś strzegły wjazdu do pałacu, zniknęły bez śladu. Na granitowych blokach widniały głębokie wyżłobienia, jakby ślady po olbrzymich szponach, a potężna, gruba na łokieć brama cedru libańskiego została rozbita na drzazgi. Pośród gruzów leżały także ciała – niektóre wciąż odziane w srebrne zbroje. Spod olbrzymiego kamiennego odłamka wystawał przygnieciony hełm w scytyjskim stylu.

Wspinaczka na stertę gruzu znaczącą miejsce, w którym niegdyś znajdowała się brama, nie była łatwa. Luźne kamienie i piasek z rozbitego piaskowca osuwały się pod stopami Zoe i Odenatusa. W końcu dotarli na szczyt i ujrzeli centralną część królewskiego kompleksu pałacowego. Tutaj dorastali i pobierali nauki. Tutaj pracowały ich rodziny, zarządzając rozległym imperium handlowym, któremu Palmyra zawdzięczała ogromne bogactwa. Tutaj siedzieli u podnóża Jedwabnego Tronu, słuchając z podziwem mądrych wyroków królowej miasta Zenobii V, gdy ta prowadziła narady ze swymi ministrami. Tutaj widzieli narodziny swych braci i sióstr; tutaj kłócili się ze swymi rodzicami i walczyli między sobą.

Teraz nic z tego nie zostało.

Białe mury pałacu wysokie na dwa piętra, zdobione przez czerwone kolumny i długi piękny fryz przedstawiający zwycięstwo Aureliana nad trzema cesarzami – zniknęły. Fryz miał dwadzieścia stóp wysokości i ciągnął się wzdłuż całej fasady pałacu; od północnego krańca, na którym widniała scena ogłoszenia Aureliana cesarzem Rzymu przez legiony reńskie, aż do krańca południowego przedstawiającego zaślubiny cesarza z pierwszą Zenobią królową Palmyry, dzięki czemu na Wschodzie zapanował pokój, a na tron Rzymu rozdartego wojną domową i barbarzyńskimi inwazjami powróciła cesarska dynastia. W dniu, w którym Zoe i Odenatus, obładowani prezentami na drogę, opuścili miasto, by dołączyć do rzymskich legionów, fryz miał trzysta sześć stóp długości. Był jednym z największych dzieł sztuki w Cesarstwie Wschodnim.

Nie pozostało nic. Pałac został zrównany z ziemią. Marmurowe kratownice i porfiry leżały rozbite w proch. Wiszące ogrody, nawadniane za pomocą skomplikowanego systemu rur i zbiorników wodnych, zamieniły się w stertę miedzi, kamieni i spalonego drewna. Rumowisko okrywała gruba warstwa popiołu, który

zasypał także schody prowadzące niegdyś do chłodnych komnat i krypt pod pałacem.

Ogień strawił królewskie budynki. Marmurowe płyty straciły kolor i popękały od gorąca. Okładziny z piaskowca także były popękane i poplamione smugami sadzy. Tu i ówdzie w blasku popołudniowego słońca lśniły szklane bąble znaczące miejsca, gdzie żar zamienił pył i piasek umierającego pałacu w okrutne zwierciadła.

Zoe usiadła ciężko na kamiennej płycie, która niegdyś stanowiła część ściany Sali Oceanów. Drewniana laska wypadła z dłoni dziewczyny i stoczyła się ze sterty gruzu. Odenatus usiadł obok i odłożył ostrożnie ciężką torbę z zapasami, którą niósł na przełożonym przez ramię kiju, odkąd pozostawił wielbłądy za murami miasta. Drżącymi palcami wyjął korek z szyjki bukłaka. W środku zostało trochę wody, Odenatus zmoczył więc jedynie usta, a potem wcisnął bukłak w dłoń Zoe. Dziewczyna automatycznie zacisnęła palce, nie zwracając zupełnie uwagi na to, co się z nią dzieje. Odenatus podniósł się ze swego miejsca i przystawił szyjkę bukłaka do jej ust. Posłusznie wypila kilka łyków, nadal jednak jej myśli błądziły gdzieś z dala otaczającego ich zniszczonego świata.

– Sprawdź, czy w tym źródle przy teatrze jest woda – wychrypiał. –
Potrzebujemy wody. Musimy też znaleźć jakieś schronienie. Wkrótce zapadnie noc. Zmarzniemy.

Zoe nie odpowiedziała, wpatrzona zimnymi, suchymi oczyma w ruiny swego miasta.

Odenatus posuwał się powoli naprzód, wyszukując drogę między przewróconymi kolumnami i wielkimi płytami piaskowca, które niegdyś tworzyły fasadę teatru Heliosa. Ulica była bardzo niebezpieczna. Kiedyś mieściły się tu podziemne tunele i sale, w których przebywali aktorzy i zwierzęta występujące w teatrze oraz położonym dalej na północ amfiteatrze. Teraz spod zniszczonej powierzchni ulicy wyglądały puste jamy i spalone korytarze. W kamiennym bloku za teatrem mieściła się niegdyś studnia, która służyła północnej części miasta. Odenatus przypomniał sobie surowy głos nauczyciela, który tłumaczył mu, ile wysiłku kosztowało miasto wybudowanie akweduktu doprowadzającego tu wodę ze zbiorników wodnych położonych na zachodnich wzgórzach.

Odenatus przystanął na szczycie podłużnej sterty gruzów. W ulicy poniżej otwierał się wielki dół, który pochłoniął dwa domy i część teatru. Dno dołu niknęło w cieniu rzucanym przez samotny budynek stojący po jego południowej stronie. Odenatus potarł nos i kichnął. Miasto pokryte było drobnym brązowym pyłem, który wciskał się wszędzie, w każdą szczelinę i otwór. Był gorszy nawet od pyłu nawiewanego z pustyni. Odenatus zmrużył oczy i spojrzał na drugą stronę dołu, gdzie za gruzami budynków widniała krawędź podziemnego zbiornika zasilanego przez

źródło, którego szukał.

Pomrukując coś pod nosem, przerzucił torbę przez ramię i przewiązał długie włosy zieloną wstążką. O jego uda obijały się dwa puste bukłaki przypięte do pasa rzemykami, które wyciął własnoręcznie podczas długiej podróży z Antiochii. Tak przygotowany, ruszył powoli w dół zbocza, uważnie stawiając stopy wśród zdradliwego gruzu.

Zoe siedziała na ramieniu przewróconego olbrzyma – posągu boga Bela, który tak długo błogosławił miastu. Twarz boga, z powagą spoglądającego na poddanych Jedwabnej Królowej, została zniszczona, rozbita w pył. Pozostało jedynie białe marmurowe ramię. Spłonęły farby, które niegdyś nadawały jego kamiennej skórze pozory życia. Wiatr i słońce dokończyły dzieła zniszczenia. Z tego właśnie miejsca Zoe patrzyła na swe ukochane miasto, a właściwie na to, co z niego zostało. Zniszczone zostały niemal wszystkie budynki w obrębie murów; ba, same mury, wysokie na trzydzieści, czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt stóp, także zamieniły się w ruinę. Wrogowie wbili w kamień drewniane drągi i polali je wodą. Pęczniejące drewno rozsadziło kamienne okładziny, zamieniając mury w sterty popękanych kamieni. Dwie wielkie bramy – jedna prowadząca na zachód, do Damaszku, a druga na wschód, w stronę odległego Tygrysu – także zamieniły się w ruinę. Runęły potężne wieże strażnicze, pozostawiając po sobie tylko puste, ceglane skorupy.

Zoe siedziała nieruchomo w milczeniu. Gniew, który przygnał ją tutaj aż z Antiochii, wygasł. Teraz wypełniała ją dojmująca pustka. Czowała, że zaden z ważnych dla niej ludzi, którzy niegdyś żyli w obrębie tych murów, nie chodzi już po powierzchni ziemi. Widziała zbyt wiele nagich kości, by łudzić się fałszywą nadzieją. Nie przeżył nikt spośród tych, których Persowie zakuli w łańcuchy. Nie mogła liczyć na to, że ktokolwiek zgłosi się do niej po okup, nawet gdyby wykopała spod ruin wszystkie skarby królowych Palmyry.

Moc, która zniszczyła miasto, nie oszczędziła niczego. Wciąż czuła echo jej obecności odbite w popękanych kamieniach i przewróconych posągach. Moc gorejąca wściekłością, pragnąca zniszczyć ducha miasta i pamięć o nim. Nie zostawiła nic po tych, którzy niegdyś chodzili jego zacienionymi ulicami i śpiewali miłosne pieśni pod usianym gwiazdami niebem – zostali pochłonięci. Moc, która zamieniała kości w popiół i skradła życie dziesiątkom tysięcy ludzi, zabrała też wspomnienia. Siedząc samotnie na szczycie miasta, Zoe zrozumiała, co było celem owej niszczycielskiej mocy: pragnęła, by nikt nie pamiętał o tym mieście ani o szczęśliwych ludziach, którzy je niegdyś zamieszkiwali. Była przekonana w swej nienawistnej pysze, że nikt nie pozostał przy życiu, że nie było już nikogo, kto mógłby śpiewać pieśni o tym miejscu. Myślała, że zabiła Palmyrę i wyrwała jej serce.

Twarz Zoe pociemniała, a nad górą gruzów podniósł się wiatr, który poruszył jej szatami. Jej palce, spalone pustynnym słońcem na brąz, uczyniły w powietrzu lśniący znak, który zawisł tam na chwilę. Ja pamiętam, pomyślała. I przypominę całemu światu, że to miasto wciąż żyje.

Kątem oka dostrzegła nagle jakiś ruch w dole, w alei. Odwróciła głowę i przechyliła ją lekko, niczym drapieżny ptak spoglądający ze swego gniazda na ruiny w dole.

Aleją, między stertami kości, szedł jakiś człowiek, który prowadził za sobą trzy wielbłądy.

Ze sterty gruzu posypały się wąskie strużki pyłu, podświetlone z góry przez smugi słonecznego światła. Odenatus przedzierał się powoli przez stertę kamiennych płyt usypaną trzy piętra poniżej poziomu ulicy. Z zalegających poniżej ciemności dochodził go plusk wody wpadającej do jakiegoś zbiornika lub kałuży. Ten dźwięk, wzmocniony przez marmurowe ściany, wzmagał tylko dręczące go pragnienie. Przeszedł przez wyrwane z ziemi rury kanalizacyjne i znalazł się na schodach wystających spod gruzu. Podniesiony tym nieco na duchu, ruszył szybciej w dół.

Po chwili ujrzał kałużę zielonej wody, zakrywającej fragment wykładanej mozaiką podłogi. Na bladoniebieskich płytkach namalowano delfiny, syreny i okręty. Obok widniało imię i nazwisko bogatego palmyrskiego kupca ułożone z czarnych kamieni. Odenatus zatrzymał się na skraju kałuży, zastanawiając się, jak ma dojść do wystającej ze ściany rurki, z której ciekła strużka wody. Sterty kamieni po obu stronach wydawały mu się niebezpieczne. *Mewaine, nieraz już przemoczyłem buty!* Wszedł na mozaikę, nadal jednak uważnie stawiając kroki. Kamyk przeleciał obok jego ramienia i wpadł z pluskiem do wody. Odenatus spojrział w górę. Jakiś ciemny kształt przesłonił światło dochodzące z góry. Nim zdążył zareagować, runął na podłogę przygnieciony wielkim ciężarem.

– Rzymska świnia! – warknął ktoś w ciemności nad jego głową. – Złodziej wody!

Odenatus chciał podnieść się z podłogi, lecz napastnik wbił mu kolano w brzuch. Palmyrczyk stęknął i próbował przekreślić się na bok, dzięki czemu pięść zmierzająca ku jego głowie uderzyła w podłogę.

– Au! Psi synu! – wrzasnął ktoś z bólu. Odenatus odepchnął go od siebie mocno. Jego dłoń natrafiła na łokieć okryty luźną szatą, a palec zaczepił o jakiś rzemyk. Szarpnął nią mocno, rozrywając rzemyk i tkaninę, i jednocześnie zrzucając z siebie nieznanego napastnika. Zerwał się szybko na równe nogi, choć pokryta wodą podłoga była śliska, i ujrzał przed sobą mężczyznę w poszarpanym ubraniu. Nieznajomy odsunął się do tyłu, sięgając po zatknięty za pasem nóż.

Odenatus rzucił się szybko do przodu i pochwycił mężczyznę za koszulę. Stara,

zniszczona tkanina rozdarła się w jego dłoni. Mężczyzna odskoczył, wrzeszcząc:

– Zostaw mnie, ty rzymska świnio!

Odenatus uderzył go w twarz, a potem chwycił za włosy i kopnął kolanem w brzuch. Mężczyzna zachłysnął się z bólu i upadł na kolana. Odenatus wyrwał mu nóż i odrzucił do tyłu, w cień.

– Przyjacielu – przemówił łagodnym tonem – nie powinieneś atakować ludzi, którzy chcą napić się wody.

– Nie masz tu żadnych przyjaciół, legionisto.

Odenatus odwrócił się powoli, słysząc teraz oddechy dziesiątek ludzi ukrytych w ciemności. Czterech stało w padającym z góry blasku słońca, w rękach trzymali łuki z nałożonymi na cięciwy strzałami. Ze sterty gruzu schodziła powoli przysadzista kobieta, która podpierała się perską włócznią. Odenatus uniósł lekko brwi i przyjrzał się uważniej ludzkiej zbieraninie, która wypełzła z różnych zakamarków zbiornika. Rozpoznał ich od razu; pozostałości zniszczonego miasta, żywiące się tym, co zostawili zwycięzcy. Widział te same twarze, kiedy zwycięska armia cesarstwa wychodziła z zalanego przez powódź Ktezyfonu. Wtedy litował się nad nimi i rzucał im monety.

Nagle wezbrał w jego piersi gniew – to byli jego rodacy w jego mieście, nie musieli więc przemykać się ukradkiem i chować w cieniu niczym szczury.

Wyprostował się dumnie i rozejrzał dokoła, zaciskając usta.

– Nie jestem Rzymianinem – oświadczył butnie. – Jestem obywatelem wielkiego miasta Palmyra, Królowej Pustyni. A kim wy jesteście?

Kobieta, która dotarła już na skraj kałuży wody, roześmiała się gorzko.

– Wielkiego miasta? Nie ma już takiego miejsca. Zostało zniszczone, zmiecione z powierzchni ziemi. Jego lud nie ma imion ani twarzy. Kim jesteś, by zadawać nam pytania?

– Jestem Odenatus, syn Zabdy, kuzyn królowej miasta. – Przemawiając, Odenatus podniósł rękę zaciśniętą w pięść, a pomiędzy jego palców wypłynęły żółte języki ognia, który wypełnił wnętrze zbiornika światłem. Odziani w łachmany ludzie odsunęli się do tyłu przestraszeni, a na ścianach pojawiły się nagle ich wielkie cienie. Stara kobieta stała oparta na włóczni, odwrócona do niego niemal tyłem. Mimo to Odenatus widział, że jej prawe oko jest całkiem białe.

– Odenatus? – Jej głos odbił się echem od ścian zbiornika. – On nie żyje. Wszyscy z tego domu nie żyją, pokonani przez pychę i ciemność. Nie żyją albo uciekli na pustynię. Nie żyje już nikt ze szlachetnego Domu Nasara.

– To nieprawda – zaprotestował Odenatus, podchodząc bliżej kobiety. – Ja żyję i jestem tutaj. Królowa też tutaj jest, a dopóki ona żyje, żyje też miasto.

Jego słowa rozbrzmiały dziwną mocą w pustej przestrzeni zbiornika. Ogień, który

przywołał do swej pięści, strzelił wyżej i przybrał formę kręgu zawieszzonego nad jego głową. Rzucany przezeń blask wypełnił wodę krwistą czerwienią. Stara kobieta o oczach zasnutych mgłą odwróciła się w stronę Odenatusa.

Młodzieniec zatrzymał się zszokowany, a ognisty krąg zachwiał się i omal nie zgasł.

– Mama?

Zoe, siedząca obok posągu Bela, oczyściła niewielkie zagłębienie z popękanych płytek i nadpalonych belek. Teraz, gdy słońce zniknęło już za horyzontem, a nad pustynią zapadła noc, dziewczyna leżała owinięta wełnianym płaszczem, który wyjęła z bagaży przywiezionych na grzbietach wielbłądów. W kręgu kamienia płonęło maleńkie ognisko. Jego blask oświetlał sześciokątne niebiesko-białe płytki, które niegdyś zdobiły podłogę przy wejściu do Małego Pałacu. Wiatr znad pustyni przynosił zimne, przejmujące powietrze. Po drugiej stronie ogniska, owinięty w swoje koce, siedział starszy mężczyzna z krzaczastą siwą brodą i jadł kawałek chleba. Chleb, podobnie jak wino grzejące się przy ogniu, pochodził z zapasów, które zapobiegliwy Odenatus przywiózł z Antiochii.

– Ojciec – wyszeptała Zoe, starając się nie szczekać zębami. – Co widziałeś?

Starzec zignorował ją i wepchnął ostatni kawałek chleba do ust. Potem pogrzebał brudnymi, owiniętymi kawałkami płótna palcami w misce, którą dała mu Zoe, i odszukał ostatni kawałek jedzenia.

Zoe zmarszczyła brwi. Wyciągnęła rękę i przysunęła do siebie glinianą butelkę z winem. Starzec przyglądał jej się z uwagą.

– Powiedz mi, ojciec, co widziałeś? Mówiłeś, że to było coś ważnego?

– Wino? – wychrypiał starzec, przysuwając się bliżej do ognia i spoglądając poządlawie na butelkę.

Zoe prychnęła gniewnie, a butelka zniknęła w fałdach jej płaszcza.

– Nie ma wina – warknęła, zaciskając dłoń na rękojeści gladiusa, który leżał na ziemi obok niej. – Powiedz mi, co widziałeś, a dostaniesz wino.

Starzec wrócił na swoje miejsce, wtulając się w ciepły kokon koców i przepoconych ubrań, które zawsze nosił przy sobie. W ciemnościach widać było tylko blask płomieni odbijający się w jego oczach. Odchrząknął i wytarł nos.

– Widziałem... – zaczął, po czym raptownie umilkł i podniósł głowę. Zoe drgnęła, zaskoczona, ujrawszy w jego dłoni długi zakrzywiony nóż. – Ktoś tutaj idzie.

Zoe wstała i przesunęła ręką nad ogniskiem. Płomienie natychmiast zgasły, a jej kryjówka pograżyła się w ciemnościach. Księżyc nie wzeszedł, toteż jedynym źródłem światła były gwiazdy rozsiane po czarnym jak atrament niebie. Spomiędzy ruin dobiegł jakiś trzask i przytłumione przekleństwo. Zoe uspokoiła oddech,

wyciszyła myśli. Świat przed jej oczami zafalował, sterty gruzu i przewrócone posągi zniknęły jej na moment z oczu, by natychmiast powrócić w nieco odmienionej formie. Metody legionowych taumaturgów sprawdzały się nawet w blasku gwiazd. Na skraju podwyższenia, gdzie leżała zniszczona brama, przesuwały się jakieś sylwetki zmierzające w jej stronę. Zoe instynktownie otworzyła świadomość i zaczęła czerpać moc z powietrza, wiatru i nieba, tworząc wokół siebie tarczę Ateny, która przybrała postać wirującej niebieskiej kuli. Kątem oka widziała niewyraźny kształt starca, słaby i migotliwy blask jego ducha. Na drugim krańcu rumowiska co najmniej jedna z sylwetek płonęła własnym, potężnym światłem.

– Idą tu jacyś ludzie – wyszeptał starzec, trzymając nóż w pogotowiu. – Wielu ludzi.

– Widzę ich, ojcze. Znam jednego z nich. Nie musisz się niczego obawiać.

Tarcza zadrzała i zniknęła. Zoe usiadła na swoim miejscu, a ogień w kręgu kamieni ponownie wystrzelił w górę wysokim, mocnym płomieniem. Starzec wrócił pospiesznie do swego gniazda, nieco wystraszony tym pokazem. Zoe wyciągnęła butelkę z winem i pomachała nią zachęcająco. – Powiedz mi, co widziałeś.

Starzec uklonił się jej nisko, przykładając czoło do ziemi.

– Tak, pani – wymamrotał. – Byłem na wzgórzach, na północy, kiedy *dhole* rozbił bramy miasta. Szukałem drewna w wąwozach. Persowie dobrze płacili za drewno.

Twarz Zoe pociemniała z gniewu, a starzec umilkł przerażony i rozpląszczył się przed nią na kamieniach.

– Pani, proszę, jestem już stary i nie mam żadnej rodziny! Muszę coś jeść. Robiłem tylko to, co musiałem.

Dziewczyna odwróciła głowę, a gdy spojrzała ponownie na starca, była już spokojna. Gestem dała mu znak, by kontynuował.

– Moje muły uciekły, kiedy *dhole* stąd odszedł. To był straszny hałas! Jakby sami bogowie kłócili się w niebie. Mam nadzieję, że nigdy więcej czegoś takiego nie usłyszę... Dopiero po kilku dniach znalazłem swoje muły i przyprowadziłem je tutaj z powrotem. Potem poszedłem do miasta... ale miasto już nie istniało! – Mężczyzna nerwowo splatał i rozplatał palce. – Zniszczyli wszystko... nawet strumień wysechł. Nie mogłem znaleźć wody. Było strasznie gorąco, więc wszedłem do miasta. Och, to było straszne, wszystkie te ciała gnijące w słońcu... Wszedłem do jakiegoś domu, myślałem, że może znajdę tam coś do picia, ale nic z tego. Kiedy wychodziłem, usłyszałem jakiś hałas. Pomyślałem, że to znowu Persowie, więc się schowałem... ale to nie byli Persowie, o nie... – Starzec jakby zapomniał o Zoe i zaczął coś mamrotać do siebie.

Zoe zmarszczyła brwi i odchrząknęła głośno, przywołując go do porządku.

– Kto wszedł do miasta? Rzymianie?

– Och... – zreflektował się starzec i podniósł na nią wzrok. – Nie, to nie byli Rzymianie, tylko bandyci. Pustynni bandyci w długich szatach, z wielkimi brodami. Mieli szable! Widziałem ich przy bramie.

– Bandyci? Jakie plemię? Po co przyjechali do miasta?

– Och, przyjechali tu po... – Starzec znów zaczął mamrotać pod nosem.

– Po co? – Zoe powoli traciła cierpliwość. Słyszała też coraz wyraźniej kroki Odenatusa i ludzi, których prowadził ze sobą. Mogli do niej dotrzeć lada chwila. – Czego szukali?

– Och! – Tym razem starzec zareagował uśmiechem, jakby nagle coś sobie przypomniał. – Przyjechali po nią! A właściwie po jej ciało, bo wtedy było przybite nad bramą. Ale oni ją zdjęli, bardzo ostrożnie. Bardzo delikatnie, jak na bandytów...

– Ją? – Głos Zoe był zimny jak poranny szron. – Kto był przybity nad bramą?

– Ona... najjaśniejsza. – Głos starca znów przycichł, by potem nieoczekiwanie przybrać na sile. – Jeden z nich miał bliznę; mówił, że ją pochowają, zabezpieczą przed krukami i dzikimi psami. Nieśli ją na ramionach. I śpiewali pieśń żalobną, jak należy. Widziałem to wszystko i słyszałem. To prawda.

– Najjaśniejsza... – Zoe czuła, jak świat przed jej oczami zaczyna nagle wirować. – To mogła być tylko Zenobia.

– O właśnie! – ucieszył się starzec. – Tak ją właśnie nazywali ci bandyci.

DOM D'ORELIO, KWIRYNAŁ, RZYM

Maleńkie kropelki potu potoczyły się po twarzy i szyi Anastazji i zatrzymały na obojczyku. Pot błyszczał w świetle setek świec rozstawionych po całym pokoju. Twarz Anastazji wykrzywiła się z bólu, cienki wełniany szal okrywający jej ramiona spadł na podłogę. Jej starannie wypielegnowane paznokcie wbiły się w muskularne ramię służącej stojącej obok łóżka. Spod paznokci wyciekła wąska strużka krwi.

– Aaaa...! – Kolejny skurcz wydobył z ust księżnej przeciągły jęk. Dyszała ciężko. – O bogini... – wysapała – błogosławiona Medea miała rację... aaaa!

Uśmiechnięta akuszerka, pochylona między jej nogami, podniosła wzrok i uśmiechnęła się. Miała krótko przycięte ciemne włosy i sympatyczną, okrągłą twarz. Rękawy jej ciemnej szaty były podwiniete do łokci i przewiązane tasiemkami. *Obsterix* wydawała się całkiem spokojna, wręcz zrelaksowana. Anastazja, przejęta strasliwym bólem, wyobraziła sobie przez moment tę samą, uśmiechniętą akuszerkę rozrywaną przez dzikie psy w jakiejś leśnej głuszy. Za księżną stały jeszcze dwie służące – młode kobiety z jej domu, które urodziły zdrowych, silnych synów. Obie trzymały w dłoniach długie grube świece. Poza tymi czterema kobietami i samą księżną w sypialni nie było nikogo, żadnych lekarzy ani pomocników.

– Już niedługo, kochana – mówiła akuszerka, nacierając dłonie i przedramiona oliwą z oliwek. – Zapomnisz o tym bólu najdalej za dzień lub dwa, wspomnisz jeszcze moje słowa.

– Nigdy! – syknęła Anastazja, kiedy kolejny skurcz ściągnął jej podbrzusze. – Nigdy nie zapomniałam, jak to było wcześniej... o bogini... ach!

– Po prostu dawno już nie rodziłaś i trochę odwykłaś. Ale wkrótce wszystko sobie przypomnisz.

Akuszerka uśmiechnęła się ponownie i wsunęła dłoń w Anastazję. Księżna próbowała się skupić na tym, co robi położna, znów jednak przeniknęła ją fala bólu. Przez chwilę widziała jedynie rozmazaną białą plamę sufitu nad głową, potem usłyszała jakiś odległy krzyk. Najgorszy ból wreszcie minął, choć całe ciało księżnej było jeszcze obolałe i drżące. Opadła, wyczerpana, w ramiona stojącej za nią służącej. Akuszerka wstała, trzymając w rękach coś czerwonego i pomarszczonego. Uśmiechała się. Podniosła czerwoną istotę, a kobiety stojące za wezglowiem łóżka zakrzyknęły radośnie.

Anastazja odchyliła głowę do tyłu i wbiła spojrzenie w sufit. Ból powoli opuszczał jej ciało. Jedna ze służących pochylili się, delikatnie ujęła w dłonie jej głowę i ułożyła na wezglowiu łóżka. Potem przystawiła do ust Anastazji puchar z winem. Było gorące i bardzo słodkie. Gdy księżna opróżniła już kielich, służąca

odsunęła się od łóżka i wzięła od drugiej dziewczyny srebrną misę z wodą. Zazgrzytał nóż wyciągany z pochwy.

Chwilę później pokój wypełnił się płaczącym krzykiem. Kątem oka Anastazja dojrzała akuszerkę. Jej przedramiona pokryte były krwią. Stała tam też dziewczyna ze srebrną misą. Akuszerka obmyła w niej ręce i osuszyła je białym wełnianym ręcznikiem. Potem wzięła kawałek tkaniny i poląła go wodą z miski.

– Oto jest woda z rzeki życia – nuciła cicho. – Oto jest czystość pierwszego poranka świata.

Anastazja obróciła głowę, co sprawiło jej ogromny wysiłek. Akuszerka odłożyła czerwone, rozwrzeszczane maleństwo na stół i owinęła je grubym, lnianym płótnem. Ostrożnymi, lecz pewnymi ruchami wykąpała dziecko, cały czas śpiewając tym samym, przyciszonym głosem.

– O bogini, pobłogosław to dziecko i pozwól, by za pięć dni ujrzało radosny uśmiech swego ojca. Niech rośnie zdrowe i silne.

Anastazja omal nie załkała, przejęta nagłym poczuciem straty. Jej mąż powinien czekać za drzwiami, zdenerwowany i zatroskany, odziany w swe najlepsze szaty. Powinien teraz pukać do jej drzwi.

– O pani świtu i łowów, prostuj ścieżki tego dziecka i prowadź go swym światłem. Niech rośnie mądre.

Byłby taki dumny, jego mądrą starą twarz rozjaśniałby ten radosny, ujmujący uśmiech, dla którego zawsze traciła głowę, nawet jako młoda i niemądra dziewczyna. Powinien tutaj być, myślała ze smutkiem. Dlaczego go nie ma?

– O pani okrętu, który przecina wody, prowadź to dziecko od urodzin do śmierci, chroń jej swą tarczą. Niech zawsze żyje z honorem.

Anastazja zaczęła płakać bezgłośnie. Odwróciła głowę od dziecka, akuszerki i służących. Właśnie tym zawsze chciała obdarzyć swego ukochanego męża, który nie żył już od piętnastu lat. *Dlaczego tak bardzo za nim tęsknię? Czy ten ból kiedykolwiek minie?*

– Pani?

Anastazja odwróciła głowę, skrywając ból i rozpacz. Akuszerka podniosła dziecko, owinięte teraz w bawełnę i jedwab. Jej pomarszczoną twarz przecinał szeroki, radosny uśmiech.

– Oto twój syn, pani. Czy dziewczęta mają przybić oliwną koronę nad drzwiami?

Dziecko patrzyło na nią szeroko otwartymi niebieskimi oczami. Wyglądało jak maleńka czerwona małpka. Usta księżnej zadrżały, w porę jednak zdołała zapanować nad emocjami. Powoli, nie odrywając wzroku od okrągłej, pomarszczonej twarzy o guziczkowatym nosie, pokręciła przecząco głową.

– Siostrze, świat nie będzie wiedział o tym dziecku, dopóki nie dorośnie. Żadna korona nie będzie zdobić mych drzwi, a to dziecko nie będzie biegać ze mną po ogrodach, nie będzie wyciągać ku mnie maleńkich dłoni.

Anastazja westchnęła, widząc szczere współczucie w oczach akuszerki. Pomyślała, że ta kobieta należy do świątyni, i że w związku z tym należy jej się kilka słów wyjaśnienia. Próbowała usiąść prosto, ale była jeszcze za słaba.

– Siostrze, ojciec tego dziecka wyjechał, a jego rodzina nie może przyjąć go do siebie. Dopilnuję, by zostało otoczone należytą opieką, a kiedy dorośnie, otrzyma wszystkie zaszczyty, jakimi obdarzyłyby go ojciec. Nie obawiaj się, nie wyrzucę go do śmieci. Nie mogę jednak oficjalnie przyznawać się do niego, choć zawsze będzie pod ochroną mojego domu.

Akuszerka skinęła głową, ukłoniła się, a potem włożyła dziecko w ramiona księżnej.

– Ale poczekaś przynajmniej do dziesiątego dnia, pani? Musi otrzymać imię, nim powędruje w świat.

Anastazja spojrzała na maleństwo ułożone w jej ramionach. Wciąż była obolała i wyczerpana, lecz zdołała podnieść rękę i pogłaskać dziecko po główce.

– Otrzyma imię – powiedziała, uśmiechając się do swego synka. – Ale nie z mojej ręki. Nie możemy czekać aż do *dekate*.

Akuszerka pokręciła głową, nieco oburzona pogwałceniem przyjętych obyczajów, odwróciła się jednak bez słowa i zaczęła zbierać swoje rzeczy. Służące także były zajęte; zmywały krew z podłogi i zapalały pachnące świece, które miały przegnać *miazmaty* obecne przy porodzie. Anastazja odwróciła głowę. Służąca, która trzymała ją przy porodzie, przysunęła się bliżej. Była stara i przygarbiona, miała jednak silne ręce, którymi przez dziesiątki lat ugniatała chleb w kuchniach domu d'Orelia. Księżna westchnęła, patrząc na jej starą twarz i łagodne, spokojne oczy. *Pistrix* widziała już tak wiele!

– Maga, przyprowadź do mnie wyspiarza. Mamy kilka spraw do załatwienia.

Obsterix ukłoniła się i wyszła, bogatsza o tuzin złotych aureusów. Anastazja wpatrywała się przez chwilę w drzwi, które zamknęła za sobą akuszerka, i rozmyślała o tym, ile szkody może wyrządzić jej planom kilka nieopatrznie rzuconych słów czy komentarzy. Musiała dopilnować, by akuszerka przez jakiś czas pozostawała pod ścisłą obserwacją. Odeła usta i przesunęła dłonią po włosach. Jej bujne loki były splecione i wilgotne od potu oraz świętej wody, którą obficie polały ją służące. Kręciło jej się w głowie. Człowiek, który mógłby zostać *obsterix*, rozmyślała księżna. Ktoś, kto ma dość cierpliwości, by obserwować i słuchać przez dziesięć lub dwanaście lat...

Pokręciła głową i roześmiała się rozbawiona własnym zachowaniem. Nawet

teraz, ledwie żywa ze zmęczenia i bólu, planowała i kalkulowała.

Do komnaty wszedł Tros, schylając nisko głowę pod wysokim na sześć stóp nadprożem drzwi. Jak zwykle jego potężna sylwetka sprawiała, że pokój wydawał się mniejszy. Anastazja uśmiechnęła się, zadowolona, że jest u jej boku. Olbrzym omiół pokój czujnym spojrzeniem, sprawdzając, czy nikt nie kryje się za zasłonami lub za którymś z mebli. To uczyniwszy, uklonił się nisko i uklęknął przy łóżku. Anastazja westchnęła i wyciągnęła rękę, przesuwając dłonią po jego niesfornej czarnej grzywie. Tego wieczora założył opaskę ze spizowych oczek, lecz nawet ona nie mogła okiełznać jego włosów.

– Widzisz, zbirze, żyję, mój syn też. – Odwróciła się lekko, pokazując mu maleńkie zawiniątko, które trzymała na drugiej ręce. – Muszę odesłać to dziecko daleko, bardzo daleko, a tylko tobie mogę je powierzyć.

Tros podniósł na nią wzrok, zdumiony.

– Ja? – spytał, głębokim jak grzmot głosem. – Przeceniasz mnie, pani. To zadanie ponad moje możliwości.

Anastazja roześmiała się cicho.

– To ty siebie nie doceniasz, wyspiarzu. Będiesz doskonałą nianią, jestem o tym przekonana. Tak czy inaczej bardzo mało sypiasz. Idealnie nadajesz się na matkę.

Tros uśmiechnął się, choć wcale nie był przekonany, czy podoła zadaniu, jakie postawiła przed nim księżna.

– Dokąd mam go zabrać? – spytał z troską w głosie. – Poza Italię? Poza Galie? Gdzie będzie bezpieczny?

Księżna posmutniała, myśląc o długiej podróży i niebezpieczeństwach, które będą kłębić się i wirować wokół jej maleńkiego synka niczym prądy Charybdy. Tutaj bezpieczeństwo liczyło się nie w milach, lecz w setkach dni podróży. W dodatku musiał ją opuścić Tros, być może już na zawsze. Westchnęła ciężko.

– Dalej niż do Galii, drogi Trosie. Pamiętasz, gdzie się poznaliśmy? Tros otworzył szeroko oczy i po raz pierwszy chyba, odkąd go znała, zmarszczył brwi. Przez jego twarz przemknął gniewny grymas.

– Nie zapominam tych dni, pani. Niewiele brakowało, by wtedy, w *tlachtecatl*... Nie spodziewałem się, że dane mi będzie jeszcze ujrzeć zielone wzgórza Rzymu.

– Tak – odparła księżna. – To miejsce leży dość daleko stąd, i co ważne, nie sięga tam moc cesarstwa... Myślę, że właśnie tam, pośród naszych starych przyjaciół, dziecko będzie bezpieczne. Będziesz musiał pojechać z nim i zostać... – Głos uwiązał jej w gardle, zakryła usta dłonią. Z ogromnym trudem zapanowała nad emocjami. Nie przypuszczała, że będzie to aż tak bolesne. Perspektywa spędzenia reszty życia bez tej opoki, jaką stał się dla niej wyspiarz, wydała jej się nagle nieznośnie ponura. Opadła na podniesione wezgłowie łóżka, pozwalając, by włosy zakryły jej twarz. –

Będziesz musiał tam zostać, Trosie, dopóki chłopiec nie skończy czternastu lat. Musisz nauczyć go wszystkiego, co umiesz. Potem, kiedy będzie już gotów, by zostać mężczyzną, przywieziesz go z powrotem do mnie.

Twarz Trosa sposepniała, wiedział bowiem, na jakie niebezpieczeństwa narażona jest każdego dnia księżna. Jej śmierć oznaczałaby, że chłopiec zostanie bez żadnej rodziny.

– Kiedy mam jechać?

Anastazja mocniej przytuliła dziecko do piersi.

– Dzisiaj.

Tros odwrócił wzrok. Księżna znów płakała.

BRAMA CYLICYJSKA, NA DRODZE DO TIANY

Miarowy krok tysięcy obutych stóp odbijał się echem od niskich szarych urwisk. Dwyrin szedł z pochyloną głową, otulony szczelnie czerwonym płaszczem. Droga wspinała się powoli na zbocze góry, oddalona zaledwie o krok od krawędzi wąwozu o niemal pionowych ścianach. Poniżej, w mgłę okrywającej wąwóz, wody strumienia opływały z głośnym szumem poszarpane czarne skały. Niebo zakrywała warstwa ciężkich, szarych chmur nabrzmiałych deszczem. Z ich brzuchów wypływała zimna mżawka, która nie przesłaniała jednak górskich szczytów. Legiony maszerowały na zachód, w górę długiej, krętej drogi prowadzącej z równiny Tauris, przez starożytne bramy na przełęczy, a później na gorące równiny wokół Tiany. Dwyrin maszerował w jednostajnym tempie, widząc jedynie czubki własnych butów i nogi idących przed nim żołnierzy.

Odkąd armia opuściła Antiochię i wyruszyła w długą drogę do wschodniej stolicy, chłopiec przestał interesować się światem. Maszerował, kiedy kazano mu maszerować, wykonywał swoje codzienne obowiązki, a wolny czas spędzał samotnie w swoim namiocie, szukając pocieszenia w dzbanie z winem. Czasami, kiedy centurion miał wolną chwilę, uczył Dwyrina arkanów sztuki magicznej, nie zdarzało się to jednak zbyt często. Blanco miał własne sprawy i zmartwienia. Dwyrin, wyczerpany marszem, nie spoglądał już przed siebie ani na niebo.

Legiony wędrowały pod porośniętymi mchem urwiskami i wzdłuż wąskich wąwozów wypełnionych rwącą wodą. Tutejsze góry były poszarpane i strome, smagane wiatrem skalne szczyty zbieleły od słońca i wiatru. Przecinały je wąskie doliny skierowane ku morzu, porośnięte sosnami i cyprysami. Droga biegnąca wzdłuż zbocza była bardzo wąska, niewiele szersza od wozu, armia musiała się więc rozciągnąć i zamienić w długi stalowy wąż pełznący powoli do celu. Dlatego też właśnie w chwili, gdy legion Tertia Cyrenaicea podchodził dopiero pod pierwszą bramę, przednia straż armii cesarskiej wyszła już z lasu po zachodniej stronie gór. Dwyrina niewiele to obchodziło, myślał tylko o tym, by osłonić się przed deszczem i stawiać jedną ubłoconą stopę przed drugą, nim centurion każe mu się zatrzymać i rozbić obóz.

Chmury rozstały się odrobinę, przepuszczając ku ziemi nieco bladego światła. Urwiska pojaśniały, odsłaniając kępy złotych i czerwonych kwiatów wciśniętych w skalne załomy i szczeliny. Droga pięła się w górę, a potem zakręcała, kryjąc się na chwilę pod wysuniętym szczytem. Właśnie tutaj z ciemnej powierzchni skał wyrastała kwadratowa wieża – pierwsza brama. Pochyły dach strażnicy lśnił w słońcu, sztandary garnizonu trzepotały na wietrze. Parapety grubych murów obronnych

zwieszały się bezpośrednio nad drogą, która przechodziła przez szeroką bramę i niknęła w tunelu.

Z dachu strażnicy poderwały się kruki, przestraszone graniem trąb obwieszczających przybycie kolejnego oddziału. Dwyrin słyszał z dala ów jasny, czysty dźwięk, nie podniósł jednak głowy.

– Aaa! – Herakliusz upadł ciężko na wilgotny bruk. Piekący ból przeszył jego prawe kolano, które przyjęło na siebie niemal cały ciężar ciała. Zrobiło mu się słabo, na chwilę stracił czucie w nogach. Próbował się podnieść, lecz wilgotne kamienie były śliskie jak lód. Chmury, które na moment odsłoniły fragment nieba, znów zbiły się w jedną szarą masę, a ich ciężkie brzuchy dotknęły gór, oblepiając wieżę pierwszej bramy zimną, lepłą mgłą.

– Autokratorze! – Jeden z Waregów klęknął u boku władcy. Jego szeroka, jasna twarz naznaczona była troską. Wiking wsunął rękę pod ramiona cesarza i podniósł go ostrożnie. Herakliusz zaczerwienił się lekko, zakłopotany. Był wysokim, silnym mężczyzną, któremu zsiadanie z konia i wstawanie nie powinno sprawiać żadnego problemu. Pozostali członkowie gwardii cesarskiej otoczyli go ciasnym kołem, zwróceniu twarzami na zewnątrz, gotowi w każdej chwili wyciągnąć broń. Herakliusz wyprostował się i próbował stanąć o własnych siłach, lecz straszliwy ból przeszył obie stopy i łydki, zmuszając go ponownie do skorzystania z pomocy wikinga.

– Chodźmy do środka – powiedział, kryjąc grymas bólu. – Muszę ściągnąć buty.

Waregowie ruszyli powoli do przodu. Trzech pomogło cesarzowi dojść do obitych żelazem drzwi wieży. Wartownicy rozstąpili się przed nimi – początkowo powoli, później jednak szybko, gdy zza gwardzistów wyłoniła się odziana w złotą zbroję sylwetka cesarza. Herakliusz wszedł do środka i poczuł, jak silne ręce gwardzistów dźwigają go nad ziemię i wnoszą na szerokie schody. Na szczycie wieży znajdowała się komnata o kopulastym suficie. Tu przed cesarzem rozstąpili się wyżsi rangą żołnierze, czyniąc to z takim samym pośpiechem jak wartownicy na dole. Gwardziści przeszli przez kolejne drzwi, obracając się bokiem, by przenieść przez nie cesarza. Za drzwiami krył się mały pokój o wysoko sklepionym dachu i wpuszczonym w ścianę kominku. Pośrodku pokoju stało biurko i niskie krzesło. Krótco ostrzyżony, siwowłosy mężczyzna pracujący przy biurku podniósł wzrok na wchodzących i otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

Dwaj gwardziści pochwycili go za ręce i wyrzucili na korytarz. Mężczyzna próbował protestować, czerwony z gniewu i strachu, został jednak przegoniony przez innych gwardzistów, którzy potem zajęli pozycje przy drzwiach pokoju. Pióra, kałamarze i bloki pergaminu zalegające na biurku wylądowały na podłodze. Gwardziści powoli opuścili Herakliusza na blat.

Stopy i nogi mniej bolały cesarza, gdy nie musiał chodzić. Herakliusz ułożył się na plecach i odetchnął z ulgą. Nad sobą widział czarny od sadzy sufit komnaty.

– Co się stało? – spytał jakiś głos w korytarzu. Herakliusz przywołał na twarz lekceważący uśmiech. Jego brat dowiedział się zapewne, że cesarza spotkało jakieś nieszczęście, i przybiegł doń prędko, by przekonać się, czy sprawa rzeczywiście jest poważna. – Gdzie jest mój brat?

Herakliusz podniósł się na łokciu i przywołał do siebie jednego z gwardzistów.

– Zdejmij mi buty – syknął. – Trochę mnie uwierają.

Wiking skinął głową i zaczął rozwiązywać sznurowadła wysokich czerwonych butów.

– Bracie! – Teodor wpadł do pokoju jak burza, prowadząc za sobą swoich ciężkozbrojnych jeźdźców. Waregowie natychmiast zareagowali, otaczając żywym murem biurko, na którym leżał cesarz. Teodor zatrzymał się raptownie, ujrawszy przed sobą obnażone miecze i czterech potężnie zbudowanych mężczyzn w pełnych zbrojach. Książę odruchowo sięgnął do własnego *spatha*, lecz ostrzegawcze warknięcie jednego z wikingów ostudziło jego zapędy. Przez chwilę książę zmagał się spojrzeniem z dowódcą Waregów. Kapitan, który dobrze znał swoje miejsce i długą, krwawą historię gwardii cesarskiej, obdarzył Teodora lodowatym uśmiechem i zrobił krok w jego stronę. Książę ustąpił. Nawet brat cesarza nie mógł rozkazywać Waregom, szczególnie gdy nie cieszył się ich sympatią. Ich kapitan, przysadzisty, czarnowłosy mężczyzna o imponującej muskulaturze i twarzy poznaczonej bliznami po ospie, znany był z lojalności względem cesarza i z brutalnych metod działania. Teodor próbował się z nim kiedyś zaprzyjaźnić, spotkał się jednak z lodowatą reakcją.

– Bracie – zawołał Teodor. – Dobrze się czujesz? Co się stało?

– Spokojnie, Teo, jestem... yyy! – Herakliusz zawył z bólu, gdy jasnowłosy wiking wyciągnął sznurówkę z jego buta. Sznurówka uwięzła na moment w miedzianych otworach i ścisnęła nogę cesarza. Herakliusz niemal zgiął się wpół, potem opadł z powrotem na blat biurka. Ból obejmował jego nogi i sięgał aż do ramion.

– Przetnij... przetnij je – wycharczał z trudem cesarz.

Jasnowłosy wiking zmarszczył brwi i spojrzał pytająco na swego dowódcę. Ten skinął głową, zajęty głównie pilnowaniem księcia, który wciąż stał w drzwiach komnaty. Blondyn wyjął zakrzywiony nóż z drewnianej pochwy przypiętej do jego pasa i ostrożnie wsunął czubek ostrza pod sznurowadła. Jedwabne pasy natychmiast ustąpiły pod naporem żelaza, a cholewy butów rozchyliły się na boki. Herakliusz poczuł, jakby ktoś wyjął mu nogi z żelaznych obręczy. Odetchnął głęboko, niemal

swobodnie, czując ogromną ulgę.

– Ach... wreszcie mogę myśleć! Centurionie Rufio, przepuść mojego brata. Teodor pochylił się nad cesarzem zatroskany. Herakliusz przytrzymał się jego ramienia i usiadł prosto. Bez przyciasnych butów czuł się niemal normalnie. Nadal jednak miał świadomość, że utracił częściowo czucie w stopach. Spojrzał w dół i drgnął, zaskoczony widokiem opuchniętych palców i stóp.

– Co to jest? – Skrzywił się z odrazą. Jego stopy były szare i nabrzmiałe. Nic dziwnego, że omal nie zemdlał, próbując chodzić w butach. Zrobiło mu się słabo, gdy zobaczył, że skóra na jego kostkach jest naciągnięta i niemal przezroczysta.

– Nie wiem – odparł powoli Teodor, przyglądając się stopom swojego brata. – Natychmiast poślę po lekarza! Jeden z moich ludzi studiował w Egipcie, zna wiele sztuk medycznych. To człek godzien zaufania. Proszę, bracie, pozwól mi po niego posłać.

Nim Herakliusz mógł odpowiedzieć, kapitan Waregów pokręcił głową.

– Cesarz ma własnych lekarzy, księżę. Jeden z moich ludzi sprowadzi ich tutaj. – Głos Rufia był zachrypnięty, zniszczony wykrzykiwaniem rozkazów w bitewnym zgiełku. – Tylko oni mogą się zajmować cesarzem.

Teodor spojrzał nań gniewnie, lecz twarz Rufia była niczym skalna grań, niedostępna i nieugięta. Herakliusz leżał na plecach i wpatrywał się w sufit, ignorując pytające spojrzenia brata. W porównaniu z chorobliwą szarością jego nóg, czarne od sadzy cegły stanowiły naprawdę miły widok.

– Niech i tak będzie – powiedział wreszcie Teodor, nie kryjąc rozdrażnienia. – W takim razie ja zajmę się przeprowadzaniem armii przez bramę.

Księżę wyszedł, nie pożegnawszy się z bratem ani słowem, lecz Herakliusz nawet tego nie zauważył, był zbyt pochłonięty uspokajaniem oddechu. Serce biło mu coraz szybciej, gdy jego umysł zaczął wyliczać wszystkie dolegliwości i choroby, które mogły go dotknąć. Znow zrobiło mu się słabo, potem jednak zbeształ się w myślach za zbyt nie popuszczanie wodzów fantazji. Ktoś pochylił się nad jego stopami. Herakliusz podniósł głowę i spojrzał w tamtą stronę. Uspokoił się, ujrawszy Rufia i innych weteranów. Waregowie mamrotali coś do siebie.

– Autokratorze – przemówił wreszcie Rufio, odwracając się do cesarza. – Przyniesiemy tu krzesło na drągach, byśmy mogli cię przenieść do lepszego pokoju. To zajmie chwilę.

Herakliusz skinął głową i złożył ręce na piersiach, pogodziwszy się z myślą, że w tej sytuacji może jedynie cierpliwie czekać.

* * *

Ciemności rozpraszała tylko jedna świeczka. Herakliusz słyszał niewyraźny szmer wody, być może dochodzący zza okna. Leżał w miękkim łóżku, przykryty kocami i kołdrami. Gdzieś w pobliżu, za drzwiami lub kotarą, kłócili się jacyś ludzie. Wydawało mu się, że to jego brat i cesarz Galen, ale to przecież niemożliwe. Władca Cesarstwa Zachodniego opuścił ich już przed kilkoma tygodniami. Herakliusz nadal czuł dziwne odrętwienie w nogach, był jednak zbyt zmęczony, by o tym myśleć, i ponownie pogrążył się we śnie.

Galen stał u podnóża rampy załadowniczej. Dłonią osłaniał oczy przed blaskiem słońca odbijającym się od wód przystani Seleucia Piera. Przy nabrzeżu cumowały dziesiątki *naves onerariae*, które wypełniały się właśnie ludźmi, sprzętem, wozami i mułami; to legiony Cesarstwa Zachodniego przygotowywały się do drogi. Herakliusz siedział na koniu i przyglądał się ze źle skrywaną zazdrością doskonałej organizacji zachodnich wojsk, w których każdy znał swoje miejsce i zadania. Na ogromne ciemne statki wpływały w jednostajnym tempie strumienie ludzi, zwierząt i sprzętu. Armia Herakliusza tkwiła wciąż na drogach prowadzących do Antiochii. Upłyną jeszcze długie tygodnie, nim dotrze do miasta, i kilka kolejnych, nim spragnieni rozrywki żołnierze przepuszczą w mieście to, co padło ich łupem.

– Czy znaki są dobre? – spytał Teodor złośliwym tonem. – Żadnych złych snów ani czarnych kozłów? Mam nadzieję, że nie śniłeś, panie, o ciemnych chmurach lub rekinach?

Galen uśmiechnął się lekko z wyższością. Cesarz Zachodu wiedział, że książe go nienawidzi, ale niewiele go to obchodziło. Czyż nie był cesarzem? Poza tym tylko jakiś wyjątkowo pechowy zbieg okoliczności mógł sprawić, że Teodor kiedykolwiek przywdziałyby szaty cesarza. Herakliusz miał już dwóch prawie dorosłych synów, niedawno urodził mu się trzeci, ciągłość dynastii była więc zapewniona. Młodszy brat musiał pogodzić się z myślą, że nigdy nie ujrzy na swej skroni laurowej korony.

– Nie – odpowiedział głośno Galen. – Los uśmiecha się dzisiaj do mnie. Świeci słońce, wiatr wieje we właściwym kierunku, a ja wrócę wkrótce do Rzymu w glorii zwycięzcy i z licznymi łupami. Szkuje się uroczystość, jakiej Rzym nie widział od trzystu lat!

Herakliusz przysłuchiwał się słownej potyczce obu mężczyzn. Cesarz Zachodu był szczupły, energiczny i niezwykle błyskotliwy. Jego proste, ciemne włosy kleiły się do czaszki niczym mokra szmata, lecz ukryty pod nimi umysł był wręcz niesamowity. Przystojny i barczysty Teodor był przy nim jak wielki pies, którego kąsa bezustannie sprytny lis.

– Skąd ten pośpiech? – Teodor skrzywił się drwiąco. – Boisz się, panie, że twoi ludzie zatrącają się w ucieszach, które czekają na nich w Antiochii? A może sam nie

chcesz się gdzieś spóźnić? Spieszno ci do domu?

Galen roześmiał się i przeciągnął dłonią po włosach, drapiąc się w tył głowy, jak to miał w zwyczaju. Po kilku miesiącach spędzonych w towarzystwie tego człowieka Herakliusz wiedział już, co to oznacza: Galen zastanawiał się, czy tłumaczyć Teodorowi coś skomplikowanego. Zwykle nie przynosiło to żadnego rezultatu.

– Najlepiej będzie, jeśli zajmiemy się bieżącymi sprawami – wtrącił się do rozmowy Herakliusz, rzucając na Teodora surowe spojrzenie.

Cesarz Wschodu zeskoczył z konia i rozejrzał się dokoła, pocierając w zamyśleniu starannie przystrzyżoną brodę. Dwie kohorty legionistów podnosiły właśnie za pomocą okrętowego żurawia dwa ciężkie wozy używane przez zachodnią armię, by po chwili opuścić je bezpieczne do ładowni okrętu. Herakliusz westchnął cicho, porównując w myślach płynne, celowe ruchy zachodnich żołnierzy do bałaganu, jaki musiał panować w szeregach jego armii.

Przynajmniej moja flota bije ich na głowę, pomyślał. Armia Zachodu przyplęnęła na barkach służących do przewozu ziarna – prawie połowa egipskiej floty transportowej zmieniła na jakiś czas przeznaczenie i trasy, by przewieźć na wschód sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy Galena. Było to możliwe tylko dlatego, że flota Cesarstwa Wschodniego rządziła niepodzielnie na wodach Morza Śródziemnego. Choć Persowie podczas niedawnej wojny zajęli kilka miast portowych na wybrzeżu Bitynii i Lidii, nie próbowali stanąć z nim do walki na morzu. Dlatego ja żyję i triumfuję, myślał Herakliusz z zadowoleniem, a Chosroes, Król Królów, gnije w zbiorowej mogile.

– Zgadzasz się na moją propozycję, bracie? – Herakliusz rozejrzał się dokoła i zrozumiał, że Galen mówi do niego. – Cesarstwo Zachodnie zajmie się administrowaniem, nadzorowaniem i obroną nadmorskich prowincji: Judei, Syrii i Egiptu, tak by twoi zarządcy i ich ludzie mogli przesunąć się dalej na wschód?

Herakliusz skinął głową, ignorując nadaśaną minę Teodora.

– Tak – powiedział, wyciągając dłoń do Galena. – Szkody wyrządzone przez Persów i Awarów kosztowały mnie zbyt wielu wyszkolonych ludzi. Miną dziesięciolecie, nim korpus administracyjny na wschodzie powróci do dawnej formy, nawet jeśli wcielę w życie mój nowy plan organizacyjny. Te kohorty, skrybowie i urzędnicy przydadzą się bardziej w nowych prowincjach. Mój brat ma bardzo trudne zadanie do wykonania i będzie potrzebował jak najwięcej dobrze wyszkolonych, energicznych ludzi.

– Doskonale – mruknął Galen, spoglądając z ukosa na Teodora i uśmiechając się krzywo. – Gdybyście potrzebowali mojej pomocy, nie wahajcie się przywołać mnie za pomocą *telecastu*.

Herakliusz skinął głową. Zapomniał o tym dziwnym urządzeniu, które jego

czarownicy znaleźli w zrujnowanej bibliotece w Pergamonie. *Telecast*, który zwykle wyglądał jak kilka połączonych ze sobą spiżowych kęgów, ożywał w rękach doświadczonego taumaturga, ukazując odległe miejsca i ludzi. Cesarz Wschodu nie ufał temu urządzeniu, Galen jednak wierzył w jego możliwości. Herakliusz musiał przyznać, że czasami było przydatne.

– Tak zrobię – zapewnił głośno. – Kiedy możemy spodziewać się pierwszych okrętów z twoimi zarządcami i ich ludźmi?

– W ciągu trzech miesięcy – odparł krótko Galen. – Lucjusz Neretres pewnie już wypłynął z Nowej Kartaginy.

Galen doskonale znał plany podróży, miejsce pobytu i możliwości swoich gubernatorów. Była to kolejna rzecz, której zazdrościł mu Herakliusz. Podczas gdy klęski ostatnich dziesięcioleci niemal całkowicie zniszczyły system urzędowy Wschodu, na Zachodzie przetrwał on praktycznie bez szwanku. Podczas gdy Herakliusz musiał się codziennie zmagać ze zgryzą lokalnych książąt, wodzów i niesfornych kapłanów, Galen zarządzał rozległą siecią doskonale utrzymanych dróg, armią profesjonalnych urzędników i skutecznym systemem poboru podatków.

Herakliusz pokręcił głową, odganiając zawistne myśli. Dlatego właśnie chciał wrócić do Konstantynopola drogą lądową. W Anatolii, Bitynii i Cylicji były miasta, w których od dziesięcioleci nie gościł żaden wyższy rangą przedstawiciel cesarza. Należało w końcu przywrócić cesarski porządek. Miał nadzieję, że dokona tego w drodze powrotnej do domu.

Galen znów przemówił, tym razem zwracał się jednak do Teodora.

– Wykorzystaj dobrze moich inżynierów, książę. Przydadzą ci się zwłaszcza na równinach między Dwoma Rzekami. Widziałeś zapewne, ile szkód wyrządziły powodzie, kiedy wracaliśmy z Ktezyfonu. Moi ludzie mogą naprawić tamy i groble i dopilnować, by taka tragedia się nie powtórzyła. Zaskarbisz sobie wdzięczność ludu, jeśli uratujesz Persję przed klęską głodu.

– Niech głodują – warknął Teodor. – Zostanie więcej ziemi dla rzymskich osadników! Kraj wolny od Persów i Medów to spokojny kraj. Byłbym wdzięczniejszy, cesarze, gdybyś zostawił mi tę ciężką sarmacką konnicę. To byłby naprawdę królewski podarunek!

– Doprawdy? – odrzekł Galen lekkim tonem, choć w jego oczach pojawił się gniewny błysk. – Czyżbym nie okazał ci jeszcze należytej gościnności i braterskiej miłości?

Teodor zastygł na moment w bezruchu, a potem odruchowo sięgnął ręką do policzka. Krew umierającego Kawada Szirojego, dawno już została zmyta pachnącymi olejkami i perfumami, lecz rana zadana dumie Teodora wciąż była

świeża i bolesna. Galen użył wtedy noża ze śmiertelną precyzją i pewnością siebie, rozwiązując trudną polityczną kwestię i odsyłając w niebyt ostatniego człowieka spoza rodziny Herakliusza i Teodora, który mógł sobie rościć prawa do tronu Cesarstwa Wschodniego. W pewnym sensie Teodor wiele zawdzięczał Galenowi, lecz młody książę zwracał jedynie uwagę na protekcyjny uśmiech i uszczypliwe uwagi cesarza Zachodu. Herakliusz odkasznął, ściągając na siebie uwagę obu mężczyzn.

– Mamy jeszcze wiele spraw do załatwienia, bracie. Wiem, że pragniesz jak najszybciej wrócić do domu. Obyś dotarł tam zdrow i cały.

Galen uściskał dłoń cesarza Wschodu i podziękował mu skinieniem głowy. Wielkie okręty miały wkrótce wypłynąć z przystani, najpierw skierują się do Egiptu, a potem przez błękitne wody Morza Śródziemnego do Rzymu.

– Ja, centurionie, fidszałem to jusz kiedyś! Mein onkle często cierpieć na taka przypadłość, kiedy oni długo na moszu. Opuchlizna.

Herakliusz odzyskiwał powoli świadomość, przebudzony dziwnym głosem. Dotknął okrywających go kołder. Wydawały mu się bardzo ciężkie, ale jego ręka też poruszała się dziwnie powoli.

– Martyna? – Ktoś wołał jego żonę. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to musi być on. Otworzył oczy.

Wnętrze mrocznego pokoju rozświetlały smugi światła wpadające przez wąskie, wysokie okna. U podnóża łóżka stał metalowy kosz z rozżarzonymi węglami, które bezskutecznie usiłowały przegonić chłód z pokoju. W rogach pokoju płonęły łojowe świece, ogólnie jednak było ciemno i wilgotno. Jak każda frontowa kwatera, pomyślał cierpko Herakliusz. Zimne łóżka, zimne jedzenie, zimne kobiety. Rufio stał przy łóżku wraz z innym Waregiem, muskularnym młodzieńcem, który mógł mieć co najwyżej dwadzieścia lat. Długie blond włosy młodzieńca splecione były w warkocze, które opadały na jego piersi. Kapitan gwardii podniósł skraj kołdry, odsłaniając stopy cesarza.

Herakliusz szybko odwrócił wzrok. Nie mógł uwierzyć, że te lśniące rozdęte worki mięsa to jego stopy. Nawet ich nie czuł, nie czuł zresztą niczego poniżej kolan. Zamknął oczy, próbując odegnać od siebie ten obraz. Wyglądają jak ryby, pomyślał i wzdrygnął się. Jak zdechłe ryby.

– Wiesz, jak to uleczyć? – spytał Rufio.

– Ja, jeszli znajde dobra skladniki. Mein mama robicz goracy napój z jagody jałowiec i pietruszka; mein onkle picz cały gar! Oni wysdrowiecz i cesarz wysdrowiecz...

Herakliusz próbował usiąść prosto, lecz słabość, która ogarnęła jego nogi, najwyraźniej dotarła także do ramion. Z trudem unosił głowę. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie ma czucia w palcach. Zrobiło mu się słabo ze strachu.

– Jagody jałowca? – rozbrzmiał głos Teodora. Jego ciężkie buty zastukały mocno o podłogę, kiedy wdarł się do pokoju. – Używają tego kobiety, żeby się wzmocnić po porodzie!

– Książę – warknął ostrzegawczo Rufio. – Ten człowiek cieszy się wielkim szacunkiem wśród swojego ludu...

– A nasi lekarze? Cesarscy kapłani Asklepiosa? – Głos Teodora przybrał niemal siłę krzyku. – Chcesz powiedzieć, że oni nie mają odpowiednich umiejętności? To cywilizowani ludzie, którzy studiowali w Pergamonie i Aleksandrii! Czy kierujecie się ich radą? Nie! Sprowadzacie tego barbarzyńcę, żeby truł cesarza tym napojem dla kobiet!

– To nie jest napój dla kobieta! – odparł z gniewem jasnowłosy młodzieniec. – To wyleczyć *altjaar!*

Herakliusz wyteżył wszystkie siły i zdołał choć trochę wysunąć lewą rękę spod kołdry. Nawet ten niewielki wysiłek ogromnie go zmęczył. Czuł okropną suchość w ustach, chciał poprosić o wino, nie mógł jednak poruszyć językiem. Potem ujrzał swoje palce wystające spod kołdry. Były spuchnięte, szare i lśniące jak świeżo ugotowane kielbaski. Paznokcie niemal całkiem zniknęły pod nabrzmiałym ciałem.

Cesarz przełknął ciężko i odwrócił głowę, by nie patrzeć na swą rękę. Czuł, jak ogarnia go coraz większa panika. W końcu nie mógł się dłużej powstrzymać i jęknął ze strachu.

– Wynoście się! – rozległ się czyjś krzyk, a potem dało się słyszeć odgłosy szamotaniny i krzyki innych ludzi. – Niech wszyscy się stąd wynoszą! – krzyczał Teodor, który wreszcie przejął kontrolę nad komnatą chorego. – Sprowadźcie mojego lekarza!

To zły znak.

Teodor, książę Cesarstwa Wschodniego, dowódca lewego skrzydła armii autokratora Rzymian, przesunął ręką po włosach, zdenerwowany. Lekarze – jego ludzie, adepci świątyn Asklepiosa w Egipcie – już wyszli. Wcześniej włali w gardło cesarza puchar wina zaprawionego różnymi medykamentami, które pogrążyły go w głębokim śnie. Teodor przebierał nerwowo palcami po drewnianej poręczy łóżka. Jego brat, potężny, silny człowiek, bohater z czasów młodości, leżał teraz pod warstwą koców i kołder, siny, opuchnięty i bezradny.

Kapłani pracowali nad nim przez cały dzień, kierowali ukryte moce przeciwko

chorobie, która tak prędko i niespodziewanie złożyła cesarza. Nie udało im się. Teodor omal się nie roześmiał, przypomniawszy sobie ich zdumione miny. Rzadko która choroba była w stanie oprzeć się mocy prawdziwego kapłana Asklepiosa.

Cesarza dotknęło coś, co wykraczało poza ich zrozumienie i możliwości. W końcu wszyscy doszli jedynie do wniosku, że cesarz musi odpoczywać.

Jeśli on umrze... mógłbym rządzić cesarstwem...

Ta myśl go zmroziła. Nigdy dotąd nie rozważał poważnie takiej możliwości. Herakliusz był jak góra lub niebo – niezniszczalny i wszechmocny. Miał dwóch synów, żaden z nich jednak nie przekroczył jeszcze progu dorosłości. Musiało minąć jeszcze trochę czasu, by mogli przywdziać cesarskie szaty. W owym czasie cesarstwem musiałby rządzić Teodor.

Me... jest silny. Pokona tę chorobę i wstanie, mocny i krzepki, z cesarzową u boku...

Teodor skrzywił się na myśl o Martynie. Oddech Herakliusza był nierówny, od czasu do czasu z jego ust wydobywało się dziwne bulgotanie. Ten dźwięk oraz zapach wypełniający pokój zmobilizowały Teodora do otwarcia okna. Po krótkich zmaganiach z zardzewiałym haczykiem otworzył okno na całą szerokość, a do pokoju wpłynęła fala zimnego wilgotnego powietrza. Książę odetchnął z ulgą i oparł ręce na parapecie, czekając, aż świeże powietrze przegoni zapach choroby z wnętrza komnaty.

Grymas troski nie opuszczał jego twarzy. Dręczyła go myśl, że cesarstwem może rządzić Martyna. *Jest naszą bliską kuzynką!* Nigdy nie powinno było dojść do takiego związku, tymczasem przyklasnął mu lud i poparły go świątynie. Czoło Teodora przecięły głębokie bruzdy. Ta sprawa była przyczyną wielu kłótni między braćmi. Małżeństwo z kuzynką drugiego lub trzeciego stopnia – to można zaakceptować, ale związek z siostrzenicą własnej matki? To było jak wyzwanie rzucone bogom. Książę nigdy nie lubił przebiegłej Martyny. Irytowała go, czuł się w jej obecności jak półgłówek i prowincjusz.

Ma oczy jak ten zachodni wieprz, Galen. Pełne jakiejś tajemnej wiedzy i dumy.

Teodor odwrócił się od okna i otarł twarz dłonią. Czuł, jak rośnie w nim wielki gniew, stłumił go jednak, przygasił. Pomyślał o najbliższej przyszłości. Realizacja planów cesarza, który w drodze do Konstantynopola chciał odwiedzić wszystkie miasta Licji i Azji, była praktycznie niemożliwa. Musieli wysłać go do domu drogą morską, by jak najszybciej zajęli się nim mędrycy ze stolicy.

Książę wyszedł z pokoju, ponury jak chmura gradowa. Ujrawszy jego minę, gwardziści przezornie zeszli mu z drogi.

RUINY AL-KABY, OKOLICE MEKKI

Ładny pożar – powiedział Chalid do jednego ze swych poruczników, przedzierając się przez osmolone resztki wielkiej świątyni. – Nareszcie ktoś uprzątnął stąd wszystkie te śmieci.

Perski oficer roześmiał się głośno, lecz drugi z towarzyszących mu ludzi, Kasog z północy, nie zareagował w żaden sposób na żart. Chalid uśmiechnął się w duchu. Jego ludzie byli dość prości, by dobrze zrozumieć, czego od nich oczekiwał. Przesząpił nad zwęgloną cedrową belką, która niegdyś podtrzymywała dach świątyni. Nad jej czarnymi szczątkami wciąż unosiły się smużki dymu znaczące miejsca, gdzie tlił się jeszcze ogień.

Świątynia płonęła przez trzy dni. Mahomet leżał w tym czasie w domu Ben Sarida. Wreszcie, nim jeszcze ogień całkiem wygasł, Mahomet sam wstał z łóżka i wrócił do swego domu. Ben Sarid także opuścił kompleks świątynny, spiesząc do swych interesów w mieście. Na miejscu została część Tanuchów, którzy pilnowali porządku w świątyniach i na terenie przyległym do świętej studni. Zostali także Chalid i jego ludzie, choć młody przywódca był niemal pewien, że nikt prócz pochłoniętego własnymi sprawami Ben Sarida nawet nie zauważył ich przybycia. Jeden z jego ludzi nosił teraz zielony sztandar wojenny plemienia Kurajszytów, choć nikt właściwie nie dał Chalidowi prawa do posługiwania się tym znakiem.

– Zgońcie tu kapłanów – zwrócił się do Persa – dopilnujcie, żeby uporządkowali ten śmietnik. Jeśli znajdą jakieś ozdoby swoich starych bogów, mogą zabrać je ze sobą. Na razie nie chcę wszczynać z nimi kłótni.

Chalid zatrzymał się, choć żar bijący od pogorzeliska przeniknął przez podeszwy jego butów. Z całego budynku ocalał praktycznie tylko jeden element. Z osmolonych gruzów i popiołów wyrastała stara kamienna ściana. Miała nie więcej niż dwadzieścia stóp wysokości, choć w jej górnej części widać było wyraźnie wgłębienia, ślad po belkach podpierających górną część ściany lub kolumnę podtrzymującą sufit. Kamienne bloki, z których zbudowana była owa ściana, miały od pięciu do sześciu stóp wysokości i wyciosane były z jakiejś niezwykle twardej, drobnoziarnistej skały. Chalid przeciągnął palcem po jednym z bloków, wciąż jeszcze ciepłym po pożarze. Palec pokrył się grubą warstwą sadzy.

– To wszystko trzeba umyć – rzucił przez ramię. – I oczyścić z gruzów.

Na środku ściany znajdowała się wnęka, przestrzeń wyciosana w kamiennych blokach. Chalid przykucnął i przyjrzał się bliżej temu miejscu. Zmarszczył brwi, przez chwilę wydawało mu się bowiem, że wnęka jest pusta. Wyciągnął nóż o perłowej rękojeści i dźgnął nim grubą warstwę popiołu przykrywającą niszę. Spod czubka ostrza odpadło kilka zlepionych płatków pyłu przypominających skorupę

kurzego jaja. Chalid pchnął mocniej. Tym razem na ziemię opadła znacznie grubsza warstwa popiołu, a czubek ostrza natrafił na coś twardego.

– Aha – mruknął i zaczął odrywać zakrzepłą masę popiołu i śmieci. Pod spodem było coś czarnego i lśniącego. Twarz młodego wodza rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Kapitanie, co z tymi posągami?

Chalid podniósł wzrok. Kasog wskazywał na dwa posągi, które przetrwały piekło pożaru. Po obu stronach ściany stały dość prymitywne rzeźby przedstawiające kobiety. Chalid zmarszczył brwi, przyglądając się okrągłym brzuchom kobiet i opaskom oplatającym ich głowy. Posągi nie były wysokie – miały co najwyżej trzy stopy wysokości – i wyciosane zostały z jakiegoś ciemnozielonego kamienia, który skutecznie oparł się wysokiej temperaturze. Chalid wydał usta w zamyśleniu, a potem przypomniał sobie coś, czego uczył się jeszcze jako mały chłopiec.

– Te boginie nie mają już żadnych wiernych, chłopcy. Kiedyś stały po obu stronach wielkiego posągu Allaha, który ma tutaj swą świątynię. To były jego małżonki, zapomniałem ich imion... ale Allah już ich nie potrzebuje. A poza tym, czy szlachetny Mahomet nie powiedział, że boga nie da się zamknąć w drewnie i kamieniu? Sprowadźcie tu muły i zabierzcie je stąd. Może ktoś je kupi na ozdobę do ogrodu! Zajmijcie się tym już teraz.

Młodzieniec uśmiechnął się pod nosem i odwrócił z powrotem do małej wnęki. Spod warstwy brudu wyzierała czarna lśniąca powierzchnia, dokładnie taka, jaką zapamiętał przed laty. Czubkiem noża zeskrobał ostatnie grudki popiołu przyklejone do kamienia. Po chwili Kasog wzruszył ramionami i poszedł po swoich żołnierzy. Pers pozostał u boku Chalida, cierpliwie czekając.

– Jesteś, moja śliczna. Widzę, że te wielkie porządki wcale ci nie zaszkodziły...

Chalid sięgnął do wnęki i przetarł dłonią powierzchnię kamienia. Coś zabrzęczało pod jego palcami i spadło na ziemię.

– Au! – Chalid szybko cofnął rękę. Z wąskiego rozcięcia na palcu wskazującym ciekła strużka krwi. Młodzieniec włożył palec do ust i spojrzał w dół. Na ziemi leżały trzy cienkie płatki szklistego kamienia. Blask słońca odbijał się w ich krawędziach, jednak czarna matowa powierzchnia pozostała nieprzenikniona.

– Ostrożnie, chłopcze... – mruknął Chalid do siebie, pochylając się nad leżącymi w popiele kawałkami. Delikatnie podniósł jeden z nich dwoma palcami. Wydawał się kruchy, lecz jego krawędź była ostra jak brzytwa. Z rozciętego palca wciąż sączyła się krew.

– Tak... – mruknął do siebie. – To będzie piękny podarunek.

– Te odpadki? Na podarunek? – Perski *dihkan* wydawał się niemal oburzony.

Chalid uśmiechnął się i wyciągnął z pasa chustę z chińskiego jedwabiu. Owinął każdy z kawałków oddzielnie, a potem związał je razem w starannie złożoną

paczuszkę, którą następnie schował do skórzanej torebki zawieszanej na szyi.

– Dawno temu, Patiku, mój ojciec chciał, żebym uczył się u kapłanów służących w tej świątyni. Taki los spotykał wszystkich młodych mężczyzn z mojego plemienia. Przyjeżdżałem więc tutaj bardzo często. – Chalid wskazał na dymiące zgliszcza świątyni. – Siedziałem w dusznych pokojach, słuchałem starców opowiadających o historii świata i czynach naszych przapradziadów. Wiesz, jakie to było przeżycie, mój perski przyjacielu?

Patik pokręcił głową bez większego zainteresowania. Był flegmatyczny, powściągliwy i pewny siebie. Chalid przypuszczał, że nie ma ani krzty wyobraźni. Mimo to był mu wielce przydatny. Doskonale radził sobie z ludźmi, a jeździł konno i walczył jak demon. Chalid przyjął go do siebie, kiedy Pers wyszedł z ciemności pustyni i stanął w kręgu światła otaczającego ognisko Araba. Patik znał wiele języków wschodnich krain – a Chalid miał w swej bandzie wielu ludzi ze Wschodu. To były trudne czasy i dużo lwów chodziło dla bezpieczeństwa pomiędzy wilkami.

– To było okropne – odpowiedział sam sobie Chalid i spojrzał na błękitne niebo, wracając myślami do wspomnień. – Nudne, żmudne i niepotrzebne... Tylko jeden z tych starców próbował nauczyć nas czegoś naprawdę ciekawego. Wiesz, kim był ten starzec, Patiku?

Patik skrzywił się i pokręcił głową. To, o czym mówił jego dowódca, wcale go nie interesowało.

Chalid westchnął ciężko zrezygnowany.

– Nieważne. Spośród wszystkich tych starców, którzy próbowali ukształtować me życie, on jeden miał na nie jakikolwiek wpływ. Ale te drobiazgi zamienią się w coś znacznie większego, w coś tak wielkiego, jak to miejsce. Czy wiedziałeś, Patiku, że znajdujemy się właśnie na wyciągnięcie ręki od legendy?

– Co? Tutaj? – zdziwił się Patik, spoglądając na rumowisko i złanych potem ludzi, którzy próbowali je uprzątnąć. Tanuscy strażnicy stali w cieniu arkady i przy wejściach do innych świątyń. Wszystko wydawało się bardzo spokojne i zwyczajne.

Chalid znów się roześmiał.

– Nieważne, przyjacielu. Chodź, poszukamy kowala, to ci powinno poprawić humor.

EGIPSKI DOM, OKOLICE RZYMU

Nad wzgórzami na wschodzie przetoczył się grzmot, zygzaki żółtego światła rozpały ciemnoszare chmury, które gromadziły się tam od rana. Na zachodzie niebo było czyste i błękitne, choć opary unoszące się nad Rzymem zamieniły słońce w czerwoną kulę ognia. Krista pociągnęła nosem, wyczuwając dziwny zapach błyskawic, który niemal zawsze przenikał powietrze wokół willi. Była ubrana w ciepłą, długą suknię z ciemnoszarej wełny. Jej włosy, zwykle rozpuszczone, teraz zostały starannie spięte z tyłu głowy, a ramiona okrywał szeroki szal. Stała przy jednej z kolumn po zachodniej stronie domu i patrzyła na popołudniowy blask słońca przesuwający się powoli w dół ścian portyku. Wydawało się, że w tym magicznym świetle wyblakła farba na ścianach odzyskuje dawny blask, ukazując piękne obrazy tancerek, akrobatów, byków i Minotaurów, które niegdyś zdobiły zachodnią fasadę domu. Dawniej była to jej ulubiona pora dnia: słońce niemal już zachodziło, oblewając wszystko ciepłym, złotym blaskiem, świat jakby cichł, czekając na nadejście wieczora.

Teraz była to ważna część dnia, czas, w którym musiała być sama, choćby przez krótką chwilę. Wkrótce słońce miało się schować za horyzontem, co było dla księcia Maksjana znakiem, że może rozpocząć swe obrzędy w głębokich, zimnych piwnicach pod domem. Na myśl o zimnie, Krista otuliła się mocniej płaszczem. Na zewnątrz wciąż było ciepło, ale w głębokich piwnicach panował przeraźliwy chłód. Podczas ich poprzedniego pobytu w podziemnych pomieszczeniach panowała całkiem znośna, nawet przyjemna temperatura. Teraz eksperymenty księcia przegnały ciepło z wszystkich podziemnych sal i komnat, pokryły ich ściany szronem. Dlatego też nogi Kristy okrywały grube wełniane rajtuzy oraz solidne skórzane buty.

Krista uśmiechnęła się, dotykając ciepłego szala i myśląc o zręcznych palcach jej Wołochów. Doskonale radzili sobie z wszelkiego rodzaju igłami, nićmi i tkaninami. Dziewczyna opamiętała się nagle i zmarszczyła brwi. Nie mogła pozwolić sobie na przywiązanie, już teraz było to dla niej zbyt niebezpieczne. Odsunęła się od kolumny i odwróciła powoli, spoglądając najpierw na prawo, potem na lewo. Prócz niej przed domem nie było nikogo, słyszała jednak jakieś głosy dochodzące z kuchni. Upewniwszy się, że nikt jej nie obserwuje, podniosła małe srebrne lustro – prezent od księżnej z okazji jej czternastych urodzin – i obróciła je do słońca, by potem skierować odbite promienie na porośnięte lasem wzgórze.

Drugą dłonią przesłoniła lustro raz, potem drugi, przesyłając krótki sygnał:
Dzisiaj.

– Dochodzimy więc do sedna sprawy – rzekł Maksjan.

Książę wstał i obrócił leżący na stole arkusz brązowego pergaminu pokryty wykresami i symbolami. Na stole leżało jeszcze kilka zwojów papirusu oraz wypolerowane czerwono-czarne misy zawierające zjedzonego do połowy bażanta, obrane ze skórki owoce oraz orzechy. Książę przesunął palcem po kilku splecionych ze sobą symbolach.

– Nadal nie zdobyliśmy tekstu oryginalnej przysięgi, lecz dzięki nieustającym wysiłkom naszego drogiego Abdmachusa... – Maksjan skinął głową w stronę małego Persa, który siedział po drugiej stronie stołu, wpatrzony tępo w przestrzeń – mamy to. Struktura przysięgi, czy jak kto woli klątwy, zbudowana jest na siatce podobieństwa. Ba, powiedziałbym nawet, że zbudowana jest na zazębiającej się serii siatek.

Krista także siedziała przy stole, rozparta w wygodnym krześle o wyściełanych poręczach i siedzisku. Na kolanach trzymała miskę z winogronami oraz kawałkami gruszek, jabłek i mandarynek. Mały, czarny kot ułożył się na jej ręce i brzuchu i mruczał rozkosznie. Krista wbiła zęby w kawałek gruszki, jednym uchem słuchając księcia. Czarny kotek ziewnął, pokazując wszystkim różowe podniebienie i małe białe kły. Trącił nosem rękę Kristy, kiedy sięgnęła do miski po następny kawałek owocu. Domagał się swojej daniny.

– Zły kotek – wyszeptała dziewczyna. – Będziesz gruby jak prosiak, jeśli zjesz całego tego ptaka.

Kot spojrzał na nią, a potem przewrócił się na grzbiet. Krista uśmiechnęła się doń i wolną ręką pogłaskała go po brzuchu. Kot owinał się wokół dłoni i ugryzł ją lekko w palec. Krista znów się uśmiechnęła.

– Siatki podtrzymują obraz cesarstwa, z którego czerpie swą moc klątwa – kontynuował książę, nie zwracając uwagi na kota. – O ile nam wiadomo, każda siatka zawiera jedną lub więcej form jakiegoś aspektu cesarstwa. W jednej z tych siatek może na przykład istnieć substancja, z której piecze się chleb. Nawet różne rodzaje pieców, które są dozwolone, mogą być określane przez te wzory form. Oczywiście formy te nie istnieją w rzeczywistości, którą możemy poczuć lub której możemy dotknąć.

Książę postukał palcami w blat stołu, jakby chciał w ten sposób podkreślić znaczenie ostatnich słów. Gajusz i Aleksander, którzy rozsiedli się na dwóch sofach ustawionych obok stołu, obserwowali go uważnie. Z kolei Krista obserwowała ich, szczególnie odkąd zauważyła, jak dużo czasu spędzają razem. Stary Rzymianin rozparł się na sofie ze swobodą, jaką daje wieloletnia praktyka. Młody Macedończyk bez ustanku się wiercił. Przez chwilę leżał, potem przekładał się na drugie oparcie, potem nagle siadał prosto i opierał łokcie na stole. Krista uśmiechnęła się pod nosem, pomyślawszy, że grecki wódz wygląda jak mały chłopiec, który bardzo chce wyjść do

toalety.

– Ale te formy „idealnego” cesarstwa naprawdę istnieją – zauważył książę. – Muszą istnieć, inaczej bowiem klątwa nie wiązałaby z nimi pozostałych elementów cesarstwa.

– Chwileczkę, książę – przerwał mu raptownie Aleksander. – Skoro nie istnieją w formie materialnej, to jak mogą wpływać na świat materialny?

Maksjan uśmiechnął się ze znużeniem.

– Nie wszystkie rzeczy, które istnieją w naszym świecie, można zobaczyć czy poczuć – powiedział. – Są rzeczy, które wpływają na nas codziennie, a jednak nie są bytem materialnym.

– Na przykład co? – Aleksander znów usiadł prosto, jakby za moment chciał wstać. – Jak coś może na mnie wpływać, jeśli nie ma do tego środków? Coś nie może dotknąć mnie, jeśli ja nie mogę dotknąć tego.

Maksjan westchnął ciężko, z trudem kryjąc irytację. Potem wziął głęboki oddech i potarł nerwowo brodę.

– Światem rządzą idee – powiedział powoli. – Rządzą także tobą. Robisz to, co nakazuje ci honor, prawda?

Tak – odparł Macedończyk równie powoli, spoglądając na księcia spod przymrużonych powiek. Jego zachowanie przywiodło Kriście na myśl nieufnego konia, który podejrzewa, że zbliżający się doń człowiek z jabłkiem w dłoni może trzymać za plecami arkan. – Robię to, czego wymaga ode mnie honor i bogowie. Inaczej igrałbym z losem.

– Otóż to – zgodził się z nim Maksjan. – Ale nie możesz dotknąć honoru. Nie możesz go zobaczyć ani poczuć. Wpływa jednak na ciebie i na mnie, a przez to na wszystkich wokół nas. Podobnie działa klątwa, idea Cesarstwa Rzymskiego, ujęta we właściwe formy i symbole w czasach boskiego Augusta.

Gajusz parsknął i usiadł prosto, oburzony.

– Szczeniak!

Maksjan uśmiechnął się krzywo i gestem poprosił starego Rzymianina, by nie przerywał.

– Tradycje senatu także rozpowszechniają tę ideę, nadają jej formę pisaną i przekazują z ojca na syna, przez kolejne pokolenia. – Książę umilkł na chwilę i zamyślił się. – To jest właśnie źródło mocy przysięgi; w umysłach ludzi żyje konkretne wyobrażenie cesarstwa, pojawia się w ich wspomnieniach i wierze w to, jak powinno wyglądać. Tak właśnie podtrzymywane są owe siatki formy, ale to nie wszystko: przysięga potrafi wyszukiwać i niszczyć tych, którzy chcieliby zniszczyć tę tkaninę pamięci, oraz wspierać tych, którzy wzmacniają lub podtrzymują wiarę

w niezmiennie idee. Dlatego nasze armie od dwóch tysięcy lat walczą w ten sam sposób. Nasz język w ogóle się nie zmienia, jest zrozumiały nawet dla ludzi z czasów Aleksandra. Przysięga zatrzymuje cesarstwo w czasie, obezwładnia je, zamienia w muchę uwieczoną w krople żywicy, pszczołę, która bez ustanku buduje i wzmacnia własne więzienie.

Książę umilkł, na jego twarzy pojawił się grymas przygnębienia. Krista pochyliła się nieco do przodu, obserwując go uważnie. Po chwili Maksjan pokręcił głową i ponownie spojrzał na zebranych.

– Wszystkie te siatki, moi przyjaciele, nadają przysiędze kształt, cel i formę. Tworzą niezwykle skomplikowaną strukturę sięgającą po same krańce cesarstwa. Przenikają ludzkie ciała. Ich moc jest bezmyślna, ale subtelna. Nie umie być przezorna, ale ma wielki cel. Jak sami się już przekonaliśmy, jest naprawdę potężna.

– A ty, szlachetny książę, zniszczysz to wszystko? – Słowa Gajusza brzmiały jak drwina, lecz jego twarz i głos były bardzo poważne. – Podczas poprzednich dyskusji twierdziłeś, podobnie jak Pers, że musi istnieć jakiś klucz, który wiązałby to wszystko. Ja uważam, że wiem, czym jest ów klucz. Czy ty także już go znalazłeś?

W oczach Maksjana pojawił się gniewny błysk, jego twarz pozostała jednak niewzruszona.

– Tak, Gajuszu Juliuszu, znaleźliśmy ten klucz i kotwicę. Niestety, twoje podejrzenia się potwierdziły.

– To cesarz – dopowiedział głośno Aleksander, krzywiąc twarz w cierpkim uśmiechu. – Twój brat.

Zimne powietrze owiewało nogi Kristy, przenikało jej grube rajtuzy. Wzdrygnęła się, gdy w miarę jak schodziła z kolejnych stopni, lepkie powietrze sięgało coraz wyżej. Nawet tutaj, niemal na szczycie schodów, słyszała głosy dochodzące z ukrytych pod ziemią pomieszczeń, głosy, które przejmowały ją zimnym dreszczem. Wołosi – jej Wołosi – śpiewali basem stanowiącym tło dla wyższych, niemal piskliwych głosów nabatejskich i perskich służących, których zgromadził Abdmachus. Pieśń odbijała się echem od sklepienia długiego korytarza, nie sięgała jednak powyżej szczytu schodów. Wzdłuż ścian ciągnęły się szeregi bladozielonych, lśniących symboli, tworzących nieprzebytą barierę dla dziwnych dźwięków wydobywających się z piwnicy.

Krista wzdrygnęła się, kiedy lodowate powietrze owiało jej twarz, potem jednak przybrała obojętną minę i wyprostowała ramiona. W zardzewiałych zielonych kinkietach płonęły lampy wypełniające korytarz kręgami jasnoniebieskiego światła. We wnętrzu każdej szklanej kuli coś brzęczało i obijało się o szkło. Na końcu korytarza znajdowały się schody prowadzące do centralnej sali położonej u samej

podstawy domu. Tutaj, w drzwiach pokoju, hałas dochodzący z jego wnętrza był już bardzo głośny, przypominał ryk tłumu wypełniającego cyrk podczas igrzysk. Zapach starej zakrzepłej krwi wypełniającej podziemną komnatę także je przypominał.

Na środku podłogi znajdowało się szerokie na siedem stóp, wryte w kamieniu koło, oznaczone dodatkowo solą i zielonym proszkiem. Koło otaczało kolejnych siedem kręgów, wrytych w podłodze na głębokość co najmniej palca. Pomiedzy poszczególnymi kręgami znajdowały się znaki i symbole, sięgające samych ścian komnaty. Pod tymi nowymi znakami widać było ślady starszych; książę nie po raz pierwszy dokonywał takich zabiegów w mrocznych piwnicach egipskiego domu. Słudzy siedzieli wokół ostatniego, największego kręgu, każdy w dokładnie wyznaczonym miejscu. Każdy z nich obstawiony był czterema świeczkami symbolizującymi cztery strony świata.

Pośrodku, w sercu najmniejszego kręgu, stał marmurowy stół długości i szerokości człowieka. Linie trzech trójkątów, wyrysowanych złotymi i srebrnymi liniami pośrodku kręgu, przecinały się dokładnie pod stołem, tworząc regularny sześciokąt. Sufit nad stołem połyskiwał warstwą mgły o dziwnym zielonym odcieniu, która rzucała ziemisty, blady blask na twarze zgromadzonych w pokoju ludzi.

Książę Maksjan stał przy krawędzi największego kręgu. Ubrany był w długie pantaloney z ciemnoniebieskiego jedwabiu oraz pas z ołowianych ogniw. Na jego odsłoniętych piersiach widniały znaki wymalowane białą i fioletową farbą. Długie ciemne włosy księcia, opadały na plecy, splecione w ciasny warkocz. Gajusz Juliusz, Abdmachus i Aleksander klęczeli w trzech trójkątach, także obnażeni do pasa, choć pozbawieni magicznych napisów, które nosił na sobie książę. Jedynie na ich czołach widniały odwrócone trójkąty wyrysowane fioletową farbą.

Krista weszła cicho do pokoju i stanęła pośrodku pentagramu ułożonego z miniaturowych ołowianych stożków. Zawsze zajmowała to miejsce podczas obrzędu, stąd bowiem mogła obserwować zarówno drzwi, jak i pokój, a jednocześnie pozostawać poza zasięgiem sił, które chciał uwolnić książę.

Ledwie ustawiła się na swoim miejscu, jej włosy zaczęły falować i unosić się ponad ramiona, naładowane niewidzialnymi siłami, które gromadziły się w otaczającym ją powietrzu i kamieniach.

* * *

– Tak, cesarz jest centralnym punktem i kotwicą klątwy – mówił Maksjan twardym, zimnym głosem. – Przez niego, tak jak i przez państwo, przepływają wszystkie sprawy cesarstwa. Ostrzegam cię jednak, Gajuszu Juliuszu, że zamordowanie cesarza nie tylko nie zniszczy klątwy, ale doprowadzi nas wprost do

zagłady.

– Oczywiście – odparł spokojnie Gajusz. – Każda próba bezpośredniego ataku na cesarza ściągnęłaby na nas pełną moc klątwy. Jednak, z całym szacunkiem dla twojej braterskiej miłości, podtrzymuję to, co mówiłem już wcześniej; klątwy nie da się pokonać, dopóki cesarz, jej centralny punkt, nie zostanie usunięty ze swego stanowiska! Łukowaty most może utrzymać ogromny ciężar – sto wozów i więcej – jeśli jest nienaruszony. Wystarczy jednak wyjąć ze środka jeden kamień, a runie pod własnym ciężarem!

Maksjan milczał przez chwilę, patrząc prosto w oczy starego Rzymianina. Wreszcie Gajusz odwrócił wzrok i podniósł ręce w geście kapitulacji.

– Niech i tak będzie, książę. Zrobimy wszystko, co zechcesz, by obejść jakoś ten problem. Proszę, powiedz nam, jak wygląda twój plan.

– Chwileczkę – odezwała się nagle Krista, ściągając na siebie spojrzenia wszystkich obecnych w pokoju. Wiele już razy wysłuchiwała dyskusji tych mężczyzn, rzadko jednak sama zabierała głos. Dzięki temu teraz udało jej się ich zaintrygować. Czuła, jak narasta w niej irracjonalne zdenerwowanie.

– Mam pytanie.

– O co chodzi? – Wydawało się, że Maksjan był jej wdzięczny za przerwanie rodzącego się właśnie sporu, na jego twarzy widać było jednak również nieufność i irytację. *Dziwisz się, że ta dziewczyna ma też rozum? Może nawet jesteś trochę rozczarowany?*

– Skoro istnieje obraz tego, jak powinno wyglądać cesarstwo, a jest to obraz pochodzący z czasów pryncypatu, dlaczego dziś mamy dwa cesarstwa?

– Uśmiechnęła się chytrze do Gajusza Juliusza. – Boski August z pewnością nie byłby zadowolony z takiego podziału...

Gajusz zignorował jej zaczepkę i wbił wzrok w sufit. Aleksander zachichotał, widząc źle skrywaną irytację na twarzy Rzymianina. Maksjan zwrócił się ku Abdmachusowi i wskazał nań ręką.

– Pomyślałem o tym samym, kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy na ten temat z Abdmachusem. Abd?

Pers podniósł głowę i obrócił ją powoli, spoglądając najpierw na księcia, a potem na pozostałych. Krista miała ochotę ukryć się przed spojrzeniem jego zimnych, martwych oczu, zachowała jednak spokój, a nawet uśmiechnęła się uprzejmie do starego maga.

– W ciągu ostatnich czterech lat cesarstwo otrzymało kilka potężnych ciosów. Barbarzyńskie inwazje zagrażały całości granic. Intrygi i zawiść omal nie rozerwały go od wewnątrz. Gospodarka podupadła, zarówno z powodu nieudolnej polityki finansowej jak i niemożności rozwoju – przemawiał Pers jednostajnym,

beznamiętnym tonem. – Jednak cesarstwu udało się przetrwać wszystkie te zagrożenia dzięki mocy przysięgi. Legiony mogły się zbuntować, żądając wypłaty zaległego żołdu, ale walczyły dalej. Ludzie, którzy chcieli zamordować dobrych cesarzy, sami zginęli. Armia, mimo licznych klęsk, podnosiła się z upadku i walczyła aż do ostatecznego zwycięstwa. Ludzie, którzy mogli zabrać swoje *honesto misso* po sześciu latach służby, zostawali w legionach nawet przez dwadzieścia lat. Ich synowie i wnukowie z własnej woli szli w ich ślady.

Gajusz Juliusz i Aleksander ożywili się wyraźnie, usłyszawszy te słowa, choć Krista nie wiedziała dlaczego.

– W jedności tkwi siła; przysięga dowiodła tego lepiej niż jakiegokolwiek inne doświadczenia czy próby. Dlaczego więc istnieją obok siebie dwa cesarstwa? – Abdmachus zamilkł na moment, spoglądając na twarze zgromadzonych, jakby chciał rozbudzić ich ciekawość. – Istnieją dwa cesarstwa, ponieważ boski Dioklecjan musiał podjąć zdecydowane działania, kiedy był panem świata. W roku 1037 *ab urbe condita* człowiek, który niegdyś zwany był Dioklesem, został władcą cesarstwa zagrożonego ze wszystkich stron najazdami i chaosem. Przyjął wtedy imię Dioklecjan. Był mądry i wiedział, że jeden człowiek nie może dłużej zarządzać tak ogromnym obszarem. Wszyscy wiedzą, że mądry Dioklecjan podzielił cesarstwo na Wschodnie i Zachodnie.

Stary Pers znów umilkł, pograżając się w myślach. Maksjan odczekał chwilę, po czym przemówił:

– Pamiętajcie jednak, moi przyjaciele, że Dioklecjan był cesarzem całego imperium. Wyzaczył młodego cezara i augusta do współrządzenia, a lojalnemu Maksymianowi oddał we władanie wschodnią połowę państwa. Serce cesarstwa, w którym przysięga ma największą moc, pozostało pod bezpośrednimi rządami Dioklecjana. Przysięga była więc usatysfakcjonowana – przypominam wam, że nie kieruje się ona rozumem. Dopóki istnieje Rzym i Cesarstwo Rzymskie, jej ślepa moc przyzwalała na przyłączanie nowych prowincji i odłączanie starych. W owym czasie, kiedy to wierny Maksymian rządził Wschodem, podział cesarstwa był tylko symboliczny.

– A co stało się potem? – zainteresował się Gajusz Juliusz. – Teraz mamy przecież dwa oddzielne imperia, z których każde nazywa siebie Cesarstwem Rzymskim.

Nastał potężny buntownik Konstantyn – odparł Maksjan cierpko. – Po śmierci Dioklecjana cesarstwo nadal było podzielone ze względów administracyjnych. Dwaj oddzielni władcy mogli sprawniej zarządzać ogromnym państwem i radzić sobie z nękającymi go problemami. Przez jakiś czas taki układ funkcjonował całkiem

sprawnie, później jednak na Wschodzie miejsce lojalnego Maksymiana zajął generał Konstancjusz, i to był właśnie początek kłopotów. Podczas gdy Zachód pozostawał pod silnymi rządami Galeriusza, adoptowanego syna Dioklecjana, w prowincjach azjatyckich syn Konstancjusza spiskował przeciwko własnemu ojcu. – Książę zrobił krótką pauzę i pociągnął łyk wina z kielicha stojącego na stole. – Starszy Konstancjusz był augustem tylko przez rok. Jego syn, człowiek o niezwyklej energii, zdolnościach i talencie wojskowym, został ogłoszony cesarzem Wschodu przez legiony stacjonujące w Tracji i Macedonii. Galeriusz, cesarz Zachodu, sprzeciwił się temu mianowaniu, lecz Konstantyn już maszerował przeciwko niemu.

– Wybuchła wojna – przemówił nieoczekiwanie Abdmachus, uprzedzając Maksjana. – Po raz pierwszy od stuleci Rzymianin wystąpił otwarcie przeciwko Rzymianinowi. Dlaczego do tego doszło? Dlatego, że Cesarstwo Wschodnie wyszło już spod kontroli przysięgi. Istota obdarzona rozumem z pewnością sprzeciwiałaby się utracie połowy imperium – i to z pewnością znacznie bogatszej połowy! – lecz przysięga wiedziała tylko tyle, że Rzym nadal stoi, a cesarz zasiada na tronie i nadal kieruje się prawami i zwyczajami swych poprzedników.

– Galeriusz posłał swe armie przeciwko Konstantynowi – kontynuował Maksjan – i próbował obalić uzurpatora, lecz wschodnie legiony zadały zachodnim druzgocącą klęskę w wielkiej bitwie pod Salonikami. Rok później Galeriusz umarł na jakąś straszną chorobę. Patrząc na to z perspektywy wieków, podejrzewam, że to klątwa wyeliminowała go z gry. Być może Galeriusz rozważał zawarcie pokoju ze wschodnimi buntownikami. Przebiegły Konstantyn zaoferował mu pokój i mianował siebie „starszym” augustem. Tymczasem w Rzymie cesarzem został stary przyjaciel Galeriusza, Licyniusz, który wcale nie miał ochoty być podwładnym młodszego od siebie Konstantyna. Wojna toczyła się dalej, lecz tym razem to Konstantyn poczuł gorzkość porażki. Choć armia Licyniusza była trzykrotnie mniejsza od jego sił, inwazja cesarza Wschodu na Italię zakończyła się całkowitą klęską, a jego flota została zdziesiątkowana przez potężny sztorm. Nastąpiły więc czasy trudnego pokoju... Uwagę obu cesarzy pochłaniały inne problemy i w końcu dwa imperia nauczyły się pokojowego współistnienia.

– Ale Cesarstwo Wschodnie było już poza zasięgiem przysięgi, prawda? – spytał Aleksander.

– Częściowo – odparł Maksjan. – To i owo przetrwało. Obywatele Cesarstwa Wschodniego nadal nazywają siebie Rzymianami i starają się zachować dawne tradycje i obyczaje. Łatwo jednak zauważyć zmiany, jakie dokonały się w ciągu tysiącleci: ich językiem jest greka, nie zarządzają też swym państwem tak, jak czynił to Rzym.

– Czy w ten właśnie sposób usunęli się poza zasięg przysięgi? – dążył uparcie

Aleksander.

– Tak – odparł ze znużeniem Maksjan, nie zauważając porozumiewawczego spojrzenia, jakie wymienili między sobą Gajusz i Aleksander. – Lecz Zachód nadal jest jej niewolnikiem.

Maksjan stęknął głucho, przenosząc rzeźbioną, marmurową urnę z podłogi na stół. Urna, w której spoczywały teraz skradzione prochy, została znaleziona przez perskich niewolników. Wydawała się całkiem nowa, wrażenie to psuł tylko archaiczny kształt i skorodowane resztki miedzianych zdobień.

– To będzie nasz zwornik – powiedział Maksjan, obracając urnę. – Tutaj spoczywają doczesne szczątki pierwszego cesarza, Gajusza Oktawiusza, znanego lepiej jako August. To on pierwszy wprowadził do przysięgi żołnierskiej zmiany, które dały początek klątwie. Teraz to właśnie on pomoże nam ją zniszczyć. Gajusz Juliusz twierdzi stanowczo, że nie uda nam się złamać przysięgi bez pomocy obecnego cesarza, mojego brata.

Gajusz Juliusz rozparł się wygodnie na swojej sofie. Po jego ustach błędził drwiący uśmiezek.

Maksjan skinął nań głową i podniósł urnę.

– Nasz drogi Gajusz – kontynuował – uważa, że tylko śmierć mojego brata uwolni cesarstwo. Nasz Gajusz jest człowiekiem okrutnym i bezkompromisowym, nie jest jednak czarownikiem. Wierzę, że ja znalazłem inny sposób na usunięcie klucza z zamka, na zniszczenie klątwy bez uciekania się do morderstwa...

Krista odciągnęła do tyłu uszy małego kotka, zamieniając jego żółte oczy w wąskie szparki i odsłaniając białe kły. Kotek potrząsnął głową, uwalniając się z jej delikatnego uścisku. Potem ziewnął i spojrzał na swoją panią. Krista, choć bawiła się z kotem, uważnie słuchała słów Maksjana. Były w nich nadzieja i pewność, które sprawiały, że znów zaczynała mu wierzyć. Obowiązek zmagił się w jej sercu z resztkami uczucia – niegdyś naprawdę w niego wierzyła, może go nawet kochała, jeśli zwykła dziewczyna może kochać księcia. Wiedziała też, że jemu wydawało się, iż ją kocha, choć rzecz jasna nie budowała na tym żadnych planów. Wielu ludzi mówiło, że ją kocha – niektórzy twierdzili nawet, że chcą wykupić ją od księżnej i dać jej wolność. Kłamali.

Czy złożyliby taką ofertę, zastanawiała się, gdyby wiedzieli, że tak naprawdę wcale nie jestem niewolnicą?

Tylko ten człowiek, ten książę, chciał naprawdę dać jej wolność, choć działo się to na końcu świata, przed bitwą z perskimi magami w ich starym, martwym mieście. Uczynił ten gest w chwili, gdy bardzo potrzebował jej pomocy. Ale teraz Gajusz Juliusz i złoty młodzieniec wypełniali jego uszy swymi myślami, pragnieniami

i planami. Widywała go coraz rzadziej, jego myśli odwróciły się od niej i kierowały na coraz mroczniejsze ścieżki. Wydawało się, że prędzej czy później pogodzi się z koniecznością podjęcia jakichś działań przeciwko cesarzowi.

Teraz obowiązek walczy z sercem, i serce przegrywa.

– Obecnie kluczem, którego szukamy, jest mój brat – mówił dalej Maksjan. – Ale wcale nie musi tak być. Wszyscy czarownicy znają pewne stare prawo; rzecz, która zachowuje pozór innej rzeczy, może stać się tą rzeczą. Za pomocą włosa wyrwanego z głowy jakiegoś człowieka, można wpływać na owego człowieka właśnie na mocy owego prawa podobieństwa. August Galen jest punktem centralnym przysięgi, lecz dzięki temu... – Maksjan pogłaskał przykrywkę urny – możemy sprowadzić jego poprzednika, samego Augusta, i poprzez niego uderzyć w przysięgę, nie tykając mojego brata.

Aleksander zaśmiał się z niedowierzaniem. Maksjan odwrócił powoli głowę i przeszył młodzieńca gniewnym spojrzeniem, ten jednak pokręcił głową i podniósł ręce, pokazując otwarte dłonie.

– Skoro mówisz, że to zadziała, to być może tak się stanie, ale co zrobisz, jeśli ta zamiana nie wystarczy? Co zrobisz, jeśli w zamieszaniu bitewnym twój nóż znajdzie się obok gardła twojego brata?

Twarz Maksjana pociemniała. Krista natychmiast wzmogła czujność. Zaciśnęła prawą dłoń w pięść, pozwalając, by w jej dłoń wsunęła się gładka, zimna rurka wyrzutni sprężynowej. Lewą ręką trąciła kota, który zaprotestował głośnym miauknięciem. Gajusz Juliusz spojrzał w jej stronę. Krista pochwyciła jego spojrzenie i pokręciła lekko głową, kierując jednocześnie ukrytą pod stołem wyrzutnię sprężynową w jego brzuch. Stary Rzymianin uniósł lekko brwi i przybrał niewinną minę.

– Szlachetny Macedończyku – wycedził Maksjan – nie zamorduję własnego brata. Wiem, że w czasach twojej młodości była to popularna rozrywka, lecz tutaj, w Rzymie, nie będziemy odbierać życia tym, których kocham. Rozumiesz?

– Och tak, oczywiście. – Aleksander uśmiechnął się drwiąco, odsuwając się od stołu i spoglądając na księcia zimnymi, niebieskimi oczyma, w których kryła się twarda, ponura nauka z czasów jego dzieciństwa. – Poślesz dziesiątki tysięcy na śmierć, by uspokoić swoje sumienie, podczas gdy wystarczyłaby śmierć jednego człowieka. Dobrze, że nie jesteś cesarzem, bo brak ci do tego odwagi.

– Nigdy nie będę cesarzem. – Maksjan zazgrzytał zębami, z trudem powstrzymując wybuch wściekłości. – Mój brat i jego syn wystarczą. Robimy to wszystko dla senatu i ludu, a nie dla osobistych korzyści.

Aleksander pokręcił głową z niedowierzaniem. Krista bez trudu przejrzała jego

myśli: młody wódz uważał, że jedyną wartością, jedynym celem wartym zachodu jest niepodzielna władza nad światem. Macedończyk skłonił lekko głowę przed księciem i wyszedł bez słowa z pokoju. Księżę odprowadził go wzrokiem, a potem zwrócił się do Gajusza:

– Dopilnuj, by był gotowy do dzisiejszego obrzędu. Już nadszedł czas.

Burza powoli przesuwała się nad wzgórzami, pchając przed sobą wiatr i deszcz. Drzewa rosnące na zboczu powyżej starego, niszczonego domu kołysały się i wyginały na wietrze, skrzypiąc głośno. Lodowaty deszcz spływał pniami drzew i rozpryskiwał się na twardej gliniastej ziemi. Gęste chmury przesłoniły słońce i okryły ziemię ponurym półmrokiem.

Wśród korzeni jednego z drzew, pod osłoną gęstych gałęzi, kryło się dwóch mężczyzn. Nawet tutaj, gdzie nie docierały podmuchy lodowatego wiatru, zrobiło się chłodno i nieprzyjemnie. Grube wełniane płaszcze i kaptury na razie skutecznie chroniły ich przed zimnem, jeden z nich już jednak włożył rękawice.

– Niesamowita burza. Zupełnie jak na równinach na północ od Azow – mówił starszy mężczyzna, przekrzykując wycie wiatru. – Przychodzi znikąd i zostawia po sobie zamrażniętych ludzi i konie.

Drugi mężczyzna, nieco niższy, skinął głową i wyjrzał pomiędzy grubych pni drzew na stojącą poniżej willę. Miał ogorzałą, śniadą twarz z krótko przyciętą brodą, niewielką łysinę i krótki mięsisty nos. Był przysadzisty i mocno zbudowany niczym zapaśnik. Pod płaszczem nosił kolczugę z żelaznych ogniw, a pod nią grubą wełnianą koszulę. U jego pasa wisiał krótki miecz używany w legionach oraz skórzane sakwy. Wyższy mężczyzna miał długie, kręcone włosy związane z tyłu głowy, orli nos i brązowe oczy. W odróżnieniu od swego towarzysza był dobrze uzbrojony: miał długi kawaleryjski miecz – spathę Cesarstwa Wschodniego – a na jego plecach wisiał łuk schowany w pokrowcu ze sztywnej skóry oraz kołczan ze strzałami o czarnych lotkach. Konie obu mężczyzn stały ukryte za nimi, pomiędzy drzewami i krzewami porastającymi zbocze wzgórza.

– Widzisz coś? – Wyższy mężczyzna wciąż musiał krzyczeć, by jego głos przebił się przez szum drzew smaganych wiatrem. Deszcz przybierał na sile, aż wkrótce przesłonił willę gęstą, szarą kurtyną. – Nikos?

Niższy mężczyzna pokręcił głową i podniósł ręce, wykonując nimi jakieś skomplikowane ruchy. Jego towarzysz zmarszczył brwi, próbując odczytać serię nakreślonych w powietrzu znaków. Po chwili, gdy Nikos powtórzył znaki nieco wolniej, udało mu się je zrozumieć: *Zgasły światła. Jeśli reszta nie pojawi się tutaj wkrótce, wejdziemy sami.*

Wysoki mężczyzna odpowiedział skinieniem głowy. Czekali na wsparcie już od trzech godzin, lecz pozostali Chazarowie oraz manipuł legionistów wypożyczony przez księżną z obozu wojskowego na północ od stolicy wciąż się nie pojawiali. We wnętrzu zrujnowanego domu działy się jakieś dziwne rzeczy. Szpieg księżnej donosił, że jego mieszkańcy knują coś przeciwko cesarzowi i właśnie dzisiaj zamierzają zrealizować swoje plany.

Jusuf, książę Chazarów, usiadł pod drzewem, w bezpiecznym schronieniu gęstych gałęzi. Hir Nikos nadal czekał i obserwował. Wiatr wył przeciągle w koronach drzew, łamiąc cieńsze gałązki. Błyskawica rozpałała niebo nad lasem i uderzyła w dach domu ukrytego za zasłoną deszczu, niszcząc wiele dachówek. Burza przybierała na sile.

Książę stał przy marmurowym stole, pośród złotych i srebrnych linii na środku pokoju. W rękach trzymał jedwabną torbę zawiązaną fioletową wstążką. Podniósł ją, kierując w stronę północnego rogu pokoju. Gdy to zrobił, śpiew Nabatejczyków przycichł, zamienił się w niski, niemal niesłyszalny pomruk. Książę odwrócił się i skierował torbę w stronę wschodniego rogu, a wtedy ucichł także śpiew Persów. Kiedy odwrócił się na południe, umilkli Wołosi, a gdy stanął zwrócony twarzą na zachód, w pokoju zapadła całkowita cisza.

– Oto jest ciało naszego cesarza – oświadczył Maksjan. Nawet dziwna mgła pod sufitem znieruchomiła, zastygła niczym tafła zmrożonej wody. – Oto ciało państwa, senatu, ludu i miasta Rzymu. Chwalcie naszego cesarza, z którego wypływa wszelki porządek i prawo.

Maksjan pochylił się nad stołem i przełożył torbę do lewej ręki. Prawą rozwiązał wstążeczkę i przytrzymał ją zębami. Ostrożnie otworzył torbę i potrząsnął nią kilka razy, by rozbić grudki, które mogły utworzyć się w środku. Na stole widniała wyrysowana fioletową kredą sylwetka człowieka. Książę zmarszczył brwi, koncentrując się, i pochylił głowę, oburącz trzymając przed sobą otwartą torbę. Zamknął oczy.

Krista przyglądała się temu z niepokojem. Powietrze drżało poruszane jakimś niesłyszalnym dźwiękiem. Z kamieni pod jej stopami wydobywał się niski pomruk, drżące echo odległego gongu. Dźwięk przybierał na sile, pulsował, ogarniał ścianę i sufit. Rozległ się głos rogów i zawodzenie *bucina* – odległe i słabe, niczym wspomnienie jakiejś starożytnej bitwy – potem przytłumiony krzyk wydobywający się z tysięcy gardeł. Krista odwróciła głowę, przestraszona, a fala jasnoniebieskich wyładowań obmyła jej twarz.

Moc iskrzyła w powietrzu wokół księcia, niebieskie błyskawice raz po raz łączyły

go z którymś spośród trzech towarzyszy. Zerwał się wiatr, który rozwiewał włosy Kristy, wypływał szerokim strumieniem na zewnątrz pokoju. Nabatejczycy, Persowie i Wołosi pochylili się nisko, przykładając czoła do podłogi, i znów zaczęli nucić swą dziwną pieśń, zagłuszaną teraz przez trzaski wyładowań szalejących z coraz większą mocą pośrodku pokoju.

Książę rozłożył ręce oplecione siatką niebieskich i czerwonych iskier. Jego oczy wyglądały niczym dwie czarne studnie, w których nie odbijała się nawet smuga jasnego światła wypływająca z jego dłoni. Torba rozplynęła się w powietrzu, nie zniknął jednak zamknięty w niej popiół. Wiatr pochwycił szary pył, obrócił nim w powietrzu, zamknął w ciasnym wirze. Usta księcia poruszyły się powoli, wymawiając jedno słowo.

Komnatą zatrzęsł potężny huk. Krista upadła na kolana i podparła się jedną ręką, kalecząc palec o nierówną kamienną podłogę. Omal nie przywróciła przy tym jednego z ołowianych stożków, które chroniły ją przed działaniem magii. Zielona mgła wypłynęła na zewnątrz, odsłaniając sufit, który nagle jakby odsunął się na ogromną, trudną do ogarnięcia odległość.

Pył wirował w szerokim kole nad marmurową powierzchnią, nie wykraczając jednak poza granice wyznaczone liniami złota i srebra, które otaczały stół i księcia. Maksjan, wciąż ogromnie skoncentrowany, napał rękami na powietrze, rozgarniając prochy coraz szerzej i szerzej.

Krista klęcząca pośrodku chroniącego ją pentagramu słyszała jego głos, dochodzący z bardzo daleka, niczym głos boga przemawiającego ze szczytu góry, potężny i władczy.

– Wszyscy jesteśmy posłusznymi naszymu panu, cesarzowi Rzymu, władcy świata, wszyscy oddajemy mu cześć.

Popiół zawirował jeszcze szybciej, teraz jednak jego drobiny, błyszczące w migotliwym świetle, zaczęły wypływać z zawieszzonego nad stołem kręgu i opadać na marmurową powierzchnię. Jedno po drugim, kolejne ziarna układały się w obręb ludzkiej sylwetki wyrysowanej na blacie. Wydawało się, że jest ich coraz więcej, tworzyły coraz grubsza warstwę.

Krista przymrużyła powieki. Niewiele widziała w roziskrzonym, rozedrganym powietrzu, przecinanym raz po raz przez błyskawice tańczące między czwórka mężczyzn. Wydawało się, że Gajusz i Aleksander krzyczą, Krista słyszała jednak tylko głos księcia. Abdmachus przechylił się lekko na bok, wpatrzony tępo przed siebie.

Na stole z oszalałą prędkością tworzyło się ciało starszego mężczyzny średniego wzrostu. Jedna stopa mężczyzny była nieco wykrzywiona w wyniku starej

rany, której śladem była także szeroka blizna ciągnąca się niemal wzdłuż całej nogi. Książę podniósł wyżej ręce, a ostatnia drobina pyłu opadła na swoje miejsce. Ciało, odtworzone dzięki magii i uwięzionemu w nim światłu, było już kompletne.

– Czczymy cesarza i składamy mu ofiarę. Błogosławimy go i jego królewskie imię, Imperator Cezar Divi Filius Augustus.

* * *

Grzmot zatrzęsł drewnianymi okiennicami ciągnącymi się wzdłuż domu na wysokości pierwszego piętra. Nadal padał rześisty deszcz, który wypełniał martwy ogród rozrastającymi się powoli kałużami. Nad podłogą głównego holu, teraz ciemnego i pustego, pojawił się na moment czerwony blask. Znaki i symbole chroniące dom, które przed kilkoma miesiącami pozostawił tam Abdmachus, zapłonęły i zgasły. Przez drzwi ogrodowe zaczęła się sączyć fala czarnej mgły. Płytki na podłodze dotknięte czarną mgłą zamieniały się w popiół, kamienie, drewniane wsporniki sufitu oraz ściany pękały i kruszyły się, niszcząc w niesamowitym tempie.

Pośrodku domu, na opuszczonym dziedzińcu wewnętrznym, gdzie kiedyś kwitły tysiące kwiatów, by cieszyć swym widokiem młodą królową, stała samotna postać smagana wiatrem i deszczem. Ciemne chmury wirowały na niebie, rozświetlane blaskiem błyskawic. Do kropel deszczu dołączył grad. Ogród zaczął się powoli wypełniać wodą.

Samotna postać stała nieruchomo pośród nawałnicy, nieczuła na zimno i wilgoć. W szparach jej oczu błyszczało przytłumione żółte światło. Woda spływała strumieniami po łysej, poznaczonej długimi bliznami głowie. Homunkulus Chiron czekał cierpliwie, obserwując i nasłuchując. Grad smagał go po odsłoniętej głowie i ramionach, lecz Chiron nie czuł jego uderzeń.

Mgła wpłynęła do pomieszczeń na parterze, wypełniając je powoli ciemną trucizną.

– Oto nasz pan, cesarz wszystkich ludzi, chwalmy go!

Maksjan drżał w objęciach wyładowań elektrycznych, z trudem dobywał głos z gardła. Linie mocy – fioletowe i jasnozielone – które łączyły go ze starym Rzymianinem, Persem i młodym Macedończykiem, były niezwykle silne. Energia ukryta w młodzieńcu i jego legendzie, połączona z wciąż rosnącą siłą księcia oraz twardą jak skała mocą starego Rzymianina, tworzyły oszalamiający kaskadowy wzór. Ciało cesarza, teraz już całkowicie uformowane, zadrżało w rytm bicia serca

Maksjana. Kręgi zabezpieczające płonęły oślepiającym światłem, próbując powstrzymać nawalnicę rozpetaną przez księcia.

– Oto władca świata, Imperator Cezar Divi Filius Augustus! Cesarz Rzymu!

Maksjan rozłożył szeroko ręce, odsuwając je od stołu. Gdy to uczynił, jego wzrok sięgnął poza widzialne formy, poza podziemną komnatę i kręgi mocy. Zanurzył się w oceanie form i tam ujrzał całą moc swego przeciwnika.

Klątwa nacierała nań z pełną mocą, napływała czarną falą, ogarniała cały dom i ziemię wokół niego. Maksjan zadrżał, widząc, do czego zdolne jest owo potworne zaklęcie. Czuł, jak ściany domu niszczej w oparach czarnej mgły. Czuł śmierć wszystkich żywych istot, które stały na drodze niszczącej mocy klątwy. Błyskawice raz po raz uderzały w dom, czarne macki zepsucia napierały na tarcze chroniące komnatę i zgromadzonych w niej ludzi. Dzieło tworzone z takim mozołem przez Abdmachusa umierało, pękało pod naporem dziesiątek milionów ludzi związanych przysięgą imperium.

Maksjan zaczął szybko rysować w powietrzu skomplikowane wzory i symbole. Wir, który zamykał się coraz ciaśniej wokół pomieszczenia, mógł w każdej chwili przełamać bariery ochronne, książę musiał więc działać szybko. Ciało cesarza leżało przed nim na stole. Teraz musiał znaleźć zwornik i przywołać go, by przenieść punkt zaczepienia przysięgi ze swojego brata na wskrzeszonego cesarza. Jego myśl przebiła się przez burzę i chaos otaczające dom.

W wielkiej oddali wyczuwał kształt i obecność swego brata.

– Naprzód! – Nikos wskazał ręką na położony w dolinie dom. Grzmoty poszczególnych błyskawic zlewały się w jeden ogłuszający huk. Deszcz i grad rozszarpały listowie na drobne kawałki. Wszędzie dokoła widać było ludzi biegnących w dół zbocza, ich sylwetki przesuwały się niczym widma w półmroku zalegającym nad ziemią. Nikos podniósł tarczę nad głowę, osłaniając się przed gradem wielkości kurzych jaj. Temperatura wciąż spadała.

Hir pędził wielkimi susami, czując, jak grunt osuwa się pod jego stopami. Z nieba spadło już tyle wody, że ziemia zaczęła się zamieniać w płynną, galaretowatą masę. Słyszał za sobą kroki Jusufa oraz ponad dwudziestu pretorianów, którzy w końcu dotarli na wzgórze. Ich dowódca próbował wyjaśnić, dlaczego się spóźnili, nie mógł jednak przekrzyczeć nieustających grzmotów. Tak czy inaczej, pretorianie odziani w ciężkie zbroje i czerwone płaszcze, pędzili teraz z nimi w dół zbocza. Pierwsi dotarli właśnie na skraj ogrodu i wspinali się na mur. Ceglany mur rozsypał się pod ich butami niczym zbutwiały płot, dwaj żołnierze wylądowali w błocie, kompletnie zaskoczeni. Nikos zignorował ich i pędził dalej, musiał jednak niemal zgiąć się wpół, kiedy nagle uderzył weń potężny podmuch wiatru.

Myśl Maksjana sunęła nad szerokim oceanem, zostawiając za sobą wyspy i wybrzeże południowej Italii. Słońce zniknęło za krawędzią horyzontu, nad światem zapadła ciemna bezksiężycowa noc. Po chwili rozbłysły w niej maleńkie światełka lamp zawieszonych na pokładzie okrętów. Cesarska flota przemierzała ogromną połąć oceanu, pchana wschodnim wiatrem.

W kajucie okrętu flagowego leżał jego brat pogrążony w spokojnym, pozbawionym marzeń śnie. Myśl Maksjana przeniknęła ściany okrętu, przemknęła obok strażników, by wreszcie zatrzymać się przy łóżku Galena. Szczupła, wąska twarz cesarza, zwykle naznaczona troską o państwo, była teraz spokojna i pogodna. Jedna ręka spoczywała na jego piersiach, przytrzymując nieodpieczętowany list.

Maksjan zawisł nad ciałem brata, patrzył na jego twarz, w której widział odbicie swego milczącego, szorstkiego ojca i kochającej matki. Na moment wrócił myślami do wspomnień z czasów młodości i dzieciństwa: Galen śmieje się doń, trzymając w dłoniach maleńkie kotki, które ich kocica urodziła w szopie w Narbonie; Galen i Aurelian tarzają się po trawniku przed letnim domem w Kumę, ubłoceni i oblepieni wilgotnymi liśćmi i trawą. Maksjan sięgnął w dół swą niewidzialną, upiorną ręką i odsunął kosmyk włosów, który zawsze opadał na czoło Galena.

Ów dotyk przejął go dotkliwym bólem. Maksjan znieruchomiał, ujrawszy czarne macki klątwy wypełzające z desek okrętu, z lnianych prześcieradeł, a nawet z krwi i kości brata. Księżę czuł narastające wokół niego zagrożenie, zebrał jednak siły i nakreślił w powietrzu znak.

Symbol rozbłysnął jasnym płomieniem, widocznym w świetle form. Maksjan wypowiedział zaklęcie, którego wcześniej długo uczył się na pamięć, i czekał, aż przybierze ono widzialną formę, zamkniętą w jego ręce. Wbrew temu, co głosiły różne podania, słowa te nie kształtowały świata, lecz były środkiem mnemotechnicznym opisującym wzory sił, które uruchomił swą wolą. Pochylił się nad kształtem brata cesarza – kształt ów przypominał całun, okrywający Galena będącego w świetle form złotym płomieniem – i zanurzył w nim swe pragnienia, plany i myśli. Klątwa zawirowała wokół niego, czarna niczym otchłań, i wbiła weń kły granatowej nocy.

Maksjan zawył z bólu, lecz jego wola pozostała niezachwiana. Zerwał całun cesarstwa ze śpiącego Galena i uciekł, skupiając się tylko na tym, by jak najszybciej wrócić do egipskiego domu i na wpół żywego ciała Augusta.

Potęźnie zbudowany pretorianin uderzył ramieniem w drzwi domu. Te natychmiast ustąpiły, zamieniając się w chmurę trocin, a zdumiony żołnierz wyładował na podłodze. Nikos przeskoczył nad nim i ruszył biegiem w głąb długiego holu. Czarna mgła kłębiła się wokół jego nóg, nie czyniąc mu jednak żadnej krzywdy.

W holu zalegały ciemności, Nikos był jednak na to przygotowany; zatrzymał się na moment i odpiął od pasa lampę sztormową. Tymczasem do domu wbiegali kolejni pretorianie. Każdy z nich przystawał na chwilę, by sięgnąć po lampy zawieszane na plecach. Po chwili zapłonął pierwszy płomień, wypełniając hol żółtym blaskiem.

Po niebie przetoczył się kolejny grzmot, upiorny blask błyskawicy wypełnił na moment wnętrze domu. Nikos rozejrzał się dokoła, rozpoznając dowódców poszczególnych pododdziałów po pióropuszcach na ich hełmach.

– Podzielcie się na pięcioosobowe grupy – wychrypiał – w każdej dwie lampy. Sprawdźcie każdy pokój i korytarz, każdą szafkę. Więźniów w miarę możliwości brać żywcem. Jeden z nich to nasz człowiek, młoda ciemnowłosa kobieta. Wykonać!

Pretorianie rozbiegli się po domu, trzymając w dłoniach lampy i obnażone miecze. Nikos spojrzał na Jusufa, który trzymał w rękach łuk. Żałował ogromnie, że w tym dziwnym, mrocznym domu, pełnym wrogów spiskujących przeciwko cesarzowi, nie ma z nim jego dowódcy, Thyatis. Ona nigdy nie denerwowała się przed tego rodzaju operacjami. Wystarczy tego biadolenia, warknął na siebie w duchu. Ruszył w głąb domu, osłaniany przez Jusufa, który stapał za nim krok w krok.

Tutaj, w mrocznym wnętrzu, burza wydawała się słabsza i mniej przerażająca niż na zewnątrz, choć po ścianach domu ciekły coraz szersze strużki wody.

Maksjan spadał przez chmury wypełnione ogniem. Czarne płomienie oplatały jego ducha, przenikały umysł błyskawicami bólu. Pokonał ostatni fragment drogi, trzymając kurczowo płaszcz cesarza, i znalazł się z powrotem w podziemnej komnacie. Pierścień mocy wciąż wirował wokół trójkąta sformowanego przez trójkę mężczyzn. Maksjan usadowił się powoli w swoim ciele, skupiony na falującej tkaninie form, którą ukradł swemu bratu. Przeszedł do następnego etapu obrzędu, wkładając weń wszystkie siły, jakie jeszcze mógł zebrać.

Krista siedziała skulona pod ścianą i zakrywała rękami głowę, chroniąc ją przed fragmentami betonu odpadającego od sufitu. Cały dom dygotał jak umierające zwierzę, wstrząsany raz po raz uderzeniami błyskawic. Z sufitu sypały się drobiny kurzu i kawałki betonu. Pieśń Persów i Nabatejczyków zaczęła słabnąć, gdy na podłogę spadły pierwsze fragmenty gruzu. Po chwili do innych dźwięków dołączył złowieszczy, przybierający na sile jęk. Krista czuła, jak ściana za jej plecami coraz mocniej drży.

W niewidzialnym świetle płonął ogień zamknięty w kształtach przywołanych przez księcia i unoszących się nad ciałem pierwszego cesarza. Maksjan czuł coraz większy opór niewidzialnych form: każda kolejna chwila, każde kolejne zakłęcie,

naginające kształt cesarskiej władzy do nieruchomego ciała na stole, kosztowało go coraz więcej wysiłku. Coraz więcej energii wypływało także ze starego Rzymianina, Persa i Macedończyka. Mimo to Maksjan nie ustawał, jego myśli i wola przymocowywały lśniąca szatę do ciała Augusta. Wiedział, że wkrótce nadejdzie krytyczna chwila. Czuł wściekłość napierającej nań przysięgi, powstrzymywanej przez odległą zaledwie o kilka stóp barierę.

Krista zadrżała, poczuwszy wilgoć na policzku. Jeden z Persów krzyknął, gdy odłamek betonu uderzył go prosto w oko. Mężczyzna syknął z bólu i chwycił się za twarz, wysuwając rękę poza krąg wyrysowany na kamieniach podłogi. W tej samej chwili jego ręka pokryła się ogniem i dymem, a potem zamieniła w popiół i opadła na ziemię. Oszalały ze strachu i przerażenia Pers zerwał się na równe nogi i rzucił do drzwi. Najpierw zniknęły jego stopy, zamienione w mgnieniu oka w garść pyłu, potem zniszczenie objęło całe ciało.

Krista odwróciła głowę, jeszcze mocniej podciągając nogi pod siebie i przytulając się do ściany.

Maksjan ruszył do ostatniego ataku, wyteżając całą wolę, ściągając ostatnie szwy na cesarskiej tkaninie okrywającej teraz Augusta, i zmagając się z ostatnią nitką, która łączyła ją z odległym, uśpionym ciałem jego brata.

Nikos wpadł do jadalni, trzymając w jednej ręce uniesioną lampę, a w drugiej miecz gotowy do ciosu. Z ciemności dochodziły odgłosy walki, jakiś pretorianin zamierzył się do ciosu, chybił jednak, przecinając mieczem powietrze w miejscu, w którym jeszcze przed momentem stał jego przeciwnik. Szarozielona ręka wysunęła się z ciemności niczym atakujący wąż i zgmiotła gardło żołnierza. Krew trysnęła na palce, które wbiły się w ciało i wyrwały tchawicę ofiary. Dwaj inni pretorianie leżeli martwi na podłodze w dziwnych, nienaturalnych pozycjach.

W tej samej chwili Jusuf wypuścił z łuku strzałę, która wbiła się z chrzęstem w pierś napastnika.

Nikos wzdrygnął się, ujrzawszy po raz pierwszy, z czym przyjdzie mu walczyć.

Stojąca przed nim istota miała postać człowieka, lecz jej skóra była lśniąca i zimna niczym węża. Istota miała też głowę człowieka, lecz żółte oczy, które płonęły w wąskiej czaszce, nigdy nie nosiły w sobie śladu człowieczeństwa. Potwór był nagi, a jego śliskie wilgotne ciało pokrywały niezliczone tatuaże, blizny i długie, wąskie fałdy ciągnące się wzdłuż mięśni, ścięgien i kości. Nagle ruszył do ataku, szybszy od ludzkiej myśli i wzroku. Lampa odleciała na bok i rozbiła się o ścianę, rozrzucając dokoła kawałki szkła i krople płonącego oleju. Kolejny pretorianin runął martwy na ziemię, z hełmem wgniecionym w głowę w miejscu, gdzie uderzyła weń pięść

potwora.

Nikos otrząsnął się ze zdumienia i rzucił się do ataku. Od dwudziestu lat walczył z ludźmi i zwierzętami; nie wyobrażał sobie przeciwnika, który nie skonałby w zetknięciu z jego mieczem. Potwór ruszył mu na spotkanie, mierząc pięścią w jego głowę. Hir odchylił się lekko do tyłu i przyjął cios na tarczę. Dębowa deska, obita metalem i grubą skórą, roztrzaskała się niczym tania amfora. Nikos poczuł, że cios potwora złamał mu rękę w co najmniej dwóch miejscach, a także mocno naruszył żebra, ogarnęła go fala przeraźliwego bólu. Ręka potwora zniknęła w ciemności, a Nikos, wiedziony instynktem, podskoczył, podciągając nogi pod siebie. W tej samej chwili przesunęła się pod nim długa noga potwora, zakończona ostrymi jak szpony paznokciami. Czubek ostrza gladiusa przeciął powietrze na wysokości oczu przeciwnika, ten jednak bez trudu uchylił się przed ciosem, a potem odepchnął ostrze przedramieniem, wyrывая je z dłoni Nikosa. Hir opadł na podłogę i przykucnął, czując pęd powietrza w miejscu, gdzie przed momentem była jego głowa.

W piersiach potwora utkwiała kolejna strzała, potem jeszcze jedna. W pokoju tłoczyło się już kilku ludzi z łukami w dłoniach. Żółtookie monstrum spojrzało w dół, na gąszcz strzał sterczących z jego tułowia, a potem podniosło głowę i rozciągnęło swe martwe usta w przerażającym uśmiechu.

Nikos odtoczył się na bok, przytrzymując obolałe ramię. Wyciągnął z buta nóż i skierował jego ostrze na potwora, okrążając go powoli. Monstrum śledziło go wzrokiem. Nikos oddychał przez zęby, starając się nie myśleć o bólu przenikającym jego ramię. Do pokoju wbiegali kolejni pretorianie, zwabieni odgłosami walki.

Homunkulus wydał z siebie przeciągły upiorny śmiech, jakby ujrzał nie uzbrojonych po zęby wrogów, lecz smakowitą ucztę.

Cały świat zbiegł się w jednym punkcie, oślepiająco białym i niezwykle ciężkim. Maksjan wyteżał wszystkie siły, starając się utrzymać kontrolę nad mocą, którą sam przywołał. Stary Rzymianin upadł na podłogę, pozbawiony świadomości. Macedończyk chwiał się na nogach, wykrzywiając twarz z bólu, gdy książę sięgał po najniższe pokłady mocy ukryte w jego kościach. Szata cesarstwa napięła się i zaczęła zsuwać z ciała Augusta niczym warstwa rtęci. Pot spływał strumieniami po twarzy księcia i jego nagim torsie. Fioletowy trapez na jego czole płonął niczym pojedyncze oko, z trudem utrzymując napór przywołanej przezeń mocy.

Lecz srebrna nić nadal nie pękała. Maksjan jeszcze raz zebrał wszystkie siły i uderzył w lśniący splot. Tymczasem tuż za osaczającą go tarczą przysięga rozbijała ściany, zalewała górne poziomy wodą i błotem, rozrywała dach. Szata znów zsunęła się odrobinę, odsłaniając twarz starego cesarza. Maksjan skierował swą uwagę w tę

stronę, wsuwając całun na miejsce. Srebrna nić drżała niczym gong uderzony drewnianym młotem.

Maksjan podniósł wzrok. W dali, na drugim końcu nici, ujrzał przez moment twarz swego brata.

Oczy Galena były otwarte, patrzyły nań z bladej, woskowej twarzy.

Zabijasz mnie, mówiła myśl Galena, mknąca doń z odległości wielu mil.

Maksjan spojrział w dół i zobaczył, że srebrna nić wybiegająca z środka szaty była duszą jego brata. Zadrżał, tracąc na moment panowanie nad otaczającą go mocą.

Homunkulus zawył ohydnie, podnosząc ciało kolejnego pretorianina. Z brzucha mężczyzny, otwartego jednym potężnym uderzeniem, wypływały zakrwawione wnętrzności. Żołnierze nacierali na potwora ze wszystkich stron, dźgali go włóczniami, uderzali mieczami i toporami. Jego ciało poznaczone było dziesiątkami ran, z których wyzierały białe kości, niemal połowa jego twarzy została odcięta ostrzem miecza. Mimo to monstrum walczyło dalej, rozbijając głowy i ciała swych wrogów. Wypełniała je magiczna energia, która zasklepiała rany, spajała na powrót przecięte kości. Skóra potwora chłonęła krew, którą wypełnione było powietrze w komnacie.

Nikos odczołgał się do tyłu, widząc przed sobą wcieloną śmierć. Jusuf wyciągnął go na korytarz. Dom chwiał się w posadach, z góry spadały fragmenty belek.

Chiron zwrócił się przeciwko ostatniemu żołnierzowi, uzbrojonemu we włócznię o długim żelaznym ostrzu. Mężczyzna, oszalały ze strachu, rzucił się nań z krzykiem, wbijając włócznię prosto w nagą pierś homunkulusa. Żelazne ostrze przebiło kości i ciało, by wynurzyć się po drugiej stronie. Chiron roześmiał się i przeciągnął drzewce włóczni przez swe potworne ciało. Żołnierz nie zdążył nawet krzyknąć z bólu, gdy kciuk homunkulusa wbił się w jego oko. Chiron zadrżał z rozkoszy i przekreślił głowę pretorianina, odrywając ją jednym ruchem od reszty ciała, które opadło na podłogę, wstrząsane konwulsjami. Homunkulus wgryzł się w rozerwaną szyję żołnierza, drugą ręką odrywając sklepienie czaszki głowy.

Nikos i Jusuf wybiegli z komnaty jadalnej, ścigani przez odgłosy upiornej uczt. Podłoga kołysała się pod ich nogami, poruszana jakimś nieopisanym kataklizmem. Chazar wziął swego rannego przyjaciela na ręce i pomimo jego protestów, poderwał się do biegu. Wkrótce ujrzał przed sobą bramę ogrodu.

Matryce form wzniesionych przez Maksjana runęły, gdy księżę na krótką chwilę odwrócił od nich uwagę. Czarna fala przysięgi natychmiast wpłynęła w odsłoniętą przestrzeń, rozbijając zewnętrzne tarcze. Persowie i Nabatejczycy zawyli, ogarnięci straszliwym bólem, by po chwili zamienić się w czarny popiół. Maksjan podniósł

wzrok i zachwiał się, ujrawszy moc przysięgi napierającą na ostatnią, wewnętrzną warstwę tarcz.

Tarcze wytrzymały napór klątwy, która opływała je niczym gigantyczny wir, lecz Maksjan patrzył z przerażeniem na coś innego.

Bariera chroniąca Kristę rozpadła się, pękła niczym skorupka jaja pod stopą słońca. Dziewczyna krzyknęła z bólu, wgnieciona w ścianę za jej plecami. Ból przenikał całe jej ciało, trawił kości niczym ogień. Krista zamknęła oczy i osunęła się nieprzytomna na podłogę.

Książę zacisnął zęby i podniósł rękę, wypowiadając słowa, które same cisnęły się na jego usta. Tarcza Ateny, która chroniła go do samego końca, rozbłysła jaśniej i rozszerzyła się, odpychając szalejące wokół niej fale zniszczenia. Gdy objęła także nieprzytomną Kristę, książę pochylił się nad nią i wziął ją w ramiona. Aleksander czołgał się po podłodze, ciągnąc za sobą bezwładne ciało Rzymianina. Abdmachus nadal leżał na swoim miejscu, pozbawiony świadomości.

Maksjan spojrział na dziewczynę. Widział jej posiniaczoną twarz i wyczuwał złamane żebra, z których jedno wbiło się w płuco. Oddychała płytko, nierówno, bulgocząc krwią, która wpływała do jej gardła.

– Jestem głupcem – wyszeptał książę, patrząc, jak ukochana kobieta umiera w jego ramionach. Podniósł głowę.

Głowa Nikosa uderzyła w gruby konar. Hir nie zdążył nawet zakląć, gdy Jusuf przerzucił go nad pniem powalonego drzewa. Upadł na złamaną rękę, a świat przed jego oczami zamienił się nagle w morze bólu. Chazar także przetoczył się przez drzewo i wylądował na nogach Nikosa.

– Złaż ze mnie, do cholery! – zaklął cicho Nikos, Jusuf usłyszał go jednak i odsunął się na bok.

Hir widział przed sobą tylko zwalony pień, lecz nagle niebo zapłonęło błękitnobiałym światłem. Tuż potem potężny grzmot wgniół obu mężczyzn w ziemię, a świat wypełnił się czerwonym blaskiem płomieni. Dom zadrzał i runął na ziemię w obłoku pyłu, granitowe kolumny pękały niczym trzciny, dachówki wzbijały się w powietrze, niesione na językach płomieni, ściany zapadały się do wnętrza budowli, gdzie trawił je coraz potężniejszy ogień. Płonęły także drzewa w ogrodzie i na zboczach wzgórz.

Jusuf i Nikos przywarli do ziemi, próbując ukryć się przed szalejącym dokoła żywiołem.

Nagle z ognia wynurzył się długi, ciemny kształt z żelaznymi skrzydłami. Zakołysał się, chowając pod siebie ogromne nogi, a potem wydał z siebie przeraźliwy

krzyk i wzbił się pomiędzy czarne chmury. Niebo przecięła kolejna błyskawica, a płomień syczał gniewnie w zetknięciu z kroplami deszczu.

Jusuf podniósł głowę i otarł zalepione błotem oczy. Coś sunęło po nocnym niebie, było jednak zbyt daleko, by rozróżnić kształty. Wypluł błoto i złamany ząb. Potem przetoczył się na bok, krzycząc z bólu, gdy błoto dostało się do otwartej rany na jego plecach. Deszcz obmywał mu twarz i wypłukiwał błoto z oczu.

Nikos, wciąż lekko ogłuszony ostatnim grzmotem i półprzytomny z bólu, także próbował przekręcić się na bok. Był zbyt słaby. Położył się twarzą do ziemi i poczuł, że całe zbocze wzgórza drży coraz mocniej.

– Jusuf? – Jego głos był bardzo słaby, sam z trudem go rozpoznawał.

Chazar obrócił się do niego, mrużąc oczy smagane kroplami deszczu. Nikos wskazał na zbocze. Jusuf wyteżył wzrok, widział jednak tylko ogień, ciemne drzewa i hebanowe niebo. Potem jednak zauważył, że drzewa coraz mocniej się chwieją i przewracają na siebie. Nad ziemię wzbił się obłok dymu i pary.

Jedno z drzew zsunęło się nagle po zboczu i uderzyło w pień innego, rosnącego niżej. Ziemia zadrżała, słychać było zgrzyt trących o siebie kamieni. Całe zbocze, podmyte deszczem i osłabione przez klątwę, oddzieliło się od góry i zaczęło osuwać. Chazar spojrzął za siebie, na pędzącą w ich stronę wille i zaklął szpetnie w języku swego ludu.

TERA

To jest „Herakles” – oznajmiła Thyatis z uśmiechem. – Jest jedynym mężczyzną, któremu wolno przebywać na Terze, ponieważ służy Pani Wyspy i bogini.

Szirin uśmiechnęła się w odpowiedzi i przeciągnęła dłonią po burcie okrętu. Była to jednopokładowa, długa na czterdzieści stóp galera, o smukłym drapieźnym kadłubie. Burty wykonane były z grubych, starannie dopasowanych desek z miletyjskiego dębu. Warstwa czarnego lakieru pokrywała zarówno pokład, jak i niskie ławki wiosłarzy. Thyatis przeskoczyła nad burtą i opadła na pokład. Okręt zakołysał się lekko nawet pod jej niewielkim ciężarem. Szirin poszła w jej ślady, uderzając o pokład stopami obutymi w lekkie sandały z cielej skóry. Okręt wydawał jej się niezwykle piękny, emanował siłą i niósł w sobie obietnicę niepowstrzymanego pędu.

– Na wyspie nie ma żadnych innych mężczyzn? – Szirin zastanowiła się nad tym przez moment i uznała, że nawet jej to odpowiada.

– Nie. I nigdy nie było. – Thyatis przeszła na rufę i zatrzymała się przy ławce między dwoma wiosłami sterującymi. Usiadła na niej i podwinęła nogi. Ubrana była w ciemnozieloną tunikę, brązowe nagolennice i naramienniki jednej z *parthenos* zakonu. Na plecach Rzymianki leżał słomiany kapelusz podtrzymywany sznurkiem oplatającym jej szyję. Szirin przystanęła obok niej, nie usiadła jednak, lecz oparła się o burzę, spoglądając na lagunę rozciągającą się za rufą okrętu. Chazarska księżniczka miała na sobie tylko krótką bawełnianą tunikę ściągniętą brązowym skórzanym paskiem. Długie kruczoczarne włosy opadały na jej plecy, spięte w jeden gruby kucyk. Cały dzień spędziła na treningu, walcząc z innymi uczniami. Wkrótce miała przystąpić do pierwszych egzaminów.

„Herakles” cumował w morskiej jaskini wychodzącej na centralną lagunę wyspy. Kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, w zboczu wulkanu utworzyła się skalna torbiel. Przez tysiąclecia fale podmywały kamienną skorupę, aż wreszcie powstał w niej otwór, przez który woda wdarła się do laguny. Wyspę odkryły siostry, które uczyniły z niej swój dom. To właśnie one powiększyły i poprawiły otwór w ścianie wulkanu. Zbudowały nabrzeże z czarnego bazaltu, przy którym mogły cumować okręty wypływające na Morze Egejskie. O tej porze dnia słońce skryło się już za urwiskiem otaczającym lagunę i środek wyspy pogrążył się w półmroku.

Stojąc na rufie okrętu, Szirin widziała jednak niebo, przybierające fioletowogranatowy odcień, odbite w spokojnych wodach laguny. Nawet tutaj, w jaskini, czuła słodki zapach morza i kwiatnych ogrodów ukrytego miasta. Księżniczka syciła się spokojem, który opadł na nią niczym przedwieczorna mgła.

Zupełnie jak Tera, pomyślała. Wypełniona nieoczekiwanymi chwilami samotności.

Odwróciła się i spojrzała na swoją przyjaciółkę. Thyatis siedziała w milczeniu, krzyżując nogi w sposób, jakiego nauczyła ją Mikele, i przyglądała się Szirin z troską.

– Och, czemu tak na mnie patrzysz? Jesteś smutna? – Szirin usiadła obok Thyatis i wzięła ją za rękę.

– Będę za tobą tęsknić – odparła cicho Thyatis. – Ciekawe, czy jeszcze kiedykolwiek się zobaczymy.

Szirin uniosła lekko brwi.

– Lepiej już wracaj – powiedziała, ściskając dłoń Thyatis. – Nie zamierzam spędzić reszty życia na tej wyspie, choć to naprawdę piękne miejsce. Poza tym chciałabym jak najszybciej wrócić do swoich dzieci. Bardzo za nimi tęsknię.

Thyatis uśmiechnęła się gorzko i podniosła dłoń Szirin – szczupłą i śniadą – do ust.

– Wiem, że za nimi tęsknisz – odparła – ale wrócisz do nich, kiedy nic już nie będzie ci grozić. Gdy tylko dotrę do księżnej, dowiem się, czy cesarz Wschodu nadal na ciebie poluje. Jeśli dał już sobie z tym spokój, wszyscy razem udamy się do Rzymu.

Szirin przekrzywiła głowę i wskazała wyspę.

– Nie mogą przyjechać tutaj? Czy na wyspie nie byłoby bezpieczniej? W Rzymie pewnie aż gotuje się od intryg i spisków, nawet w czasie pokoju. Wiem, że darzysz księżną ogromnym zaufaniem, ale to są moje dzieci.

Thyatis roześmiała się i odgarnęła włosy, które wciskały się jej do oczu. Szirin zerwała się z miejsca, a w jej oczach zapłonęły gniewne błyski.

– *Pax, pax!* – rzuciła Thyatis. – Twoje córki mogłyby tu przyjechać, ale Awrahan i mały Sahul nie. Spotkamy się w Rzymie z Nikosem i Jusufem, a potem znajdziemy dla was jakąś bezpieczną kryjówkę.

– Być może – mruknęła Szirin, siadając z powrotem na swoim miejscu. – Zastanawiałaś się, co będziemy tam robić. Spędziłyśmy tu razem piękne chwile, uciekłyśmy na chwilę przed problemami, które osaczają nas jak stado wygłodniałych wilków, ale co potem?

Thyatis spojrzała na nią przeciągle, a potem skinęła powoli głową.

– Tak, najdroższa, myślałam o tym. – Thyatis wyjęła z bluzki małe cedrowe pudełko. Pomalowane na czerwono wieko zdobiły starannie wyrzeźbione obrazy kwiatów i drzew. Pudełko zamknięte było dużą miedzianą klamrą. Thyatis patrzyła na nie przez chwilę, a potem podała je Szirin. – Rozmawiałam kiedyś z twoim kuzynem Dahwosem o zwyczajach waszego ludu. Powiedział mi wówczas, że kiedy rozstajecie się na dłużej, dajecie ukochanej osobie podarunek, który ma przypominać drugiej

osobie o waszej miłości i o tym, że kiedyś znów się spotkacie.

Szirin wzięła pudełko i obróciła je w dłoni. Potem podniosła wzrok na Thyatis, która zadrżała pod jej spojrzeniem. W oczach księżniczki krył się uśmiech, który znaczył dla Thyatis bardzo wiele.

– Wśród mojego ludu – ciągnęła Rzymianka, zaciskając nerwowo dłonie – nie ma takiego zwyczaju, nie ma też żadnego innego sposobu na wyrażenie uczuć, które jedna kobieta żywi do drugiej. Lecz tutaj, na tej wyspie, siostry mogą zawierać związek, który pieczętuje się specjalnym podarunkiem, znakiem. To... to jest coś, co zabrałam dla ciebie z domu marzeń, z Ktezyfonu. Kiedy to zobaczyłam, od razu wiedziałam, że przeznaczone jest dla ciebie.

Szirin otworzyła pudełko, a jej oczy rozbłysnęły mocniej, kiedy ujrzała jego zawartość. Sięgnęła do środka i wyjęła delikatny złoty łańcuszek, na którego końcu wisiał osadzony w prostej oprawie z białego złota krwistoczerwony klejnot wielkości kciuka Thyatis.

– Oko Ormuzda – wyszeptała Szirin zachwycona. Podniosła klejnot wyżej, a jego wnętrze rozbłysło światłem pochodni płonących na końcu nabrzeża. Czerwone błyski tańczyły na twarzy Szirin, podkreślając delikatne łuki jej kości policzkowych i wdzięczną linię szyi. – Najrzadszy z klejnotów – ognisty opal Wschodu. Prezent ślubny Szapura Zwycięskiego dla jego ukochanej, królowej Jehany z Baktrii. Wyniesiona z podbitej Amidy przez króla wojownika po jego największym triumfie. Wart królestwo...

– Wart cesarzowej – przerwała jej Thyatis, przesuwając dłonią po policzku Szirin. – Wart ciebie, moja najdroższa. Oto moje ślubowanie: wrócę do ciebie i zabiorę cię do twoich dzieci. Będę stała u twego boku do końca naszych dni. Przyjmiesz to?

Szirin uśmiechnęła się tylko i bez słowa założyła złoty łańcuszek na szyję. Oko ułożyło się między jej piersiami, wciąż wypełnione blaskiem ognia. Było ciepłe w dotyku i gładkie jak jedwab.

– Przyjmuję twój dar i twoją obietnicę – przemówiła wreszcie Szirin, z trudem panując nad emocjami. – Będę czekała na twój powrót, ale... Ale jeśli wkrótce nie wrócisz, sama pojadę cię szukać. Nie myśl sobie, że takie świecidełko zatrzyma mnie dłużej w jednym miejscu!

Thyatis roześmiała się, choć w jej oczach widać było troskę.

– Nawet o tym nie marzyłam. Jeśli wiatry będą mi sprzyjać, dopłynę do Rzymu i wrócę tutaj w ciągu sześciu miesięcy. Poczekaś tak długo?

– Być może – odparła Szirin z wyniosłą miną. – Być może szybko się tu znudzę, jeśli będę się zajmowała wyłącznie treningami i medytacją... Być może nawet

oszaleję, jeśli nie wydarzy się nic ekscytującego.

– Proszę cię, najdroższa! – Thyatis podniosła rękę, jakby chciała odegnąć złe myśli. – Ciesz się spokojem, który daje ta cudowna wyspa; nie szukaj kłopotów ani emocji! Pani nie jest już młoda i jej serce może nie...

Szirin roześmiała się głośno i uszczypnęła Thyatis w nos.

– Jesteś niemądra i bardzo kochana. Jestem tutaj gościem i będę się zachowywać jak gościowi przystoi.

Thyatis uśmiechnęła się ciepło i pochyliła nad Szirin. Ich usta spotkały się w pocałunku.

Jakiś czas później siedziały w milczeniu, przytulone do siebie i wsłuchane w chłopot fal uderzających o skalny brzeg.

* * *

– Do wiosł! – Potężny głos sterniczki „Heraklesa” odbił się echem od ścian świątyni. Thyatis wypuściła dłoń Szirin i przystawiła palce do ust. Szirin, która stała nieruchomo na nabrzeżu, odwzajemniła przekazany na odległość pocałunek. Galera, pchana rękami czterdziestu najsilniejszych *parthenae* na wyspie, które raz po raz zanurzały w wodzie wąskie pióra wiosł, odsuwała się coraz szybciej od nadbrzeża. Za księżniczką stała Pani Wyspy oraz kilka jej towarzyszek. „Herakles” wypłynął w słoneczny blask dnia, na gładką powierzchnię laguny. Thyatis, oślepiona słońcem, wpatrywała się w ciemny otwór jaskini, lecz Szirin zniknęła jej z oczu.

„Herakles” obracał się wokół własnej osi, gdy jeden rząd wiosł zanurzał się w wodzie, drugi zaś wisiał nieruchomo nad jej powierzchnią. Thyatis usiadła wreszcie, zajmując miejsce w pierwszym szeregu wiosłarek. Galera zakończyła obrót, a oczom Thyatis, zwróconej twarzą do rufy, ukazały się lśniące mury miasta pełnego kwiatów, posągów i świątyń. Z każdym pociągnięciem wiosł od niej oddalało się miasto i ukryta pod nim jaskinia. Nie przypuszczała, że rozstanie będzie aż tak bolesne.

„Herakles” sunął szybko po wodach laguny, pozostawiając za sobą spieniony ślad na krystalicznie czystej wodzie. W dali słyhać już było huk fal uderzających o skalne ściany przesmyku. Starsza kobieta stojąca na rufie podniosła rękę, a na jej znak wiosłarki podniosły wiosła i wsunęły je do połowy do wnętrza okrętu. Statek, niesiony siłą rozpędu, zbliżał się do przesmyku. Oczom Thyatis ukazały się w końcu wysokie, skalne ściany, które przesłaniały coraz większą część nieba. Podniósł się wiatr wypychany z wielkiej, rozgrzanej misy laguny. Wiosłarki napały na wiosła, kierując okręt do przesmyku. Ściany skalnego korytarza od burt statku dzieliło zaledwie dziesięć kroków.

Thyatis nie zważała na to wszystko, wpatrzona w odległą czarną plamę znaczącą wejście do morskiej jaskini. Nim jeszcze zniknęła jej z oczu, zakryta ścianą przesmyku, Thyatis dojrzała w niej czerwony błysk, oko mrugające do niej z ciemności.

Huk fal wypełniających skalny korytarz przybierał na sile, zagłuszał najgłośniejszy nawet krzyk. Coraz mocniejszy prąd próbował wciągnąć okręt w któryś z ukrytych wirów. Tylko dwa razy w ciągu dnia, kiedy wody oceanu podnosiły się podczas przyływu, przesmyk był żeglowny. W tych porach, wyliczonych z wielką precyzją przez astrologów świątynnych, okręt mógł opuścić wyspę. Każdy, kto byłby dość głupi, by odważyć się na taki wyczyn w innym czasie, roztrzaskałby się o ostre wulkaniczne skały wyrastające z dna morza. Teraz okręt płynął z prądem, kołysząc się na falach, które uderzały z hukiem o ściany.

Nagle „Herakles” zanurzył się w ciemnościach – wpłynął w sam środek skalnego przesmyku – by potem znów wypłynąć w jasność dnia. Statek znalazł się w Tyglu, gdzie korytarz zakręcał lekko, tworząc misę wypełnioną o każdej innej porze śmiertelnie groźnymi wirami. Okręt przemknął obok tytanów wykutych w skałę. Ich widok jak zawsze przejmował Thyatis dreszczem; ponure twarze olbrzymów patrzyły na nią z wysokości ponad stu stóp. Potem olbrzymie posągi zniknęły jej z oczu, a wiosłarki napały mocniej na wiosła, by po chwili, na znak dany przez sterniczkę, podnieść je i poczekać na kolejny sygnał.

„Herakles” wypłynął ze ściany Tery niczym drewniany pocisk wystrzelony z ciężkiw przesmyku. Przez moment sunął na grzbiecie ogromnej fali, która mogła rzucić go o skały i rozbić na kawałki. Starsza kobieta opuściła rękę, a wiosłarki uderzyły wiosłami w wodę i pochylły się nisko nad ich drzewcami.

Okręt zadrżał na całej długości, gdy pióra wiosła zanurzyły się w wodzie, i wspiął się wyżej na grzbiet fali, choć ta wyniosła go już co najmniej dwadzieścia stóp nad poziom morza. Dziób wynurzył się nagle z wody, celując prosto w niebo, a krzyk sterniczki ostrzegł Thyatis, że powinna jak najszybciej wciągnąć wiosło do środka. Gdy wiosła „Heraklesa” się schowały, okręt przechylił się do przodu i runął w dół zbocza fali niczym włócznia. Przechylony statek zanurzył na moment dziób w zagłębieniu między falą a powierzchnią morza, by potem wynurzyć się z niej gwałtownie, odrzucając do tyłu fontannę wody.

Thyatis roześmiała się głośno, szczęśliwa, że żyje, i podobnie jak trzydzieści dziewięć pozostałych *parthenos* wysunęła wiosła na zewnątrz. Wiosła zaczęły się poruszać w zgodnym rytmie, jakby wiedzione jedną siłą, a okręt wypłynął wreszcie na otwarte morze. Sterniczka zaczęła śpiewać mocnym, czystym głosem, który wzbijał się ponad skrzypienie wiosła i pomruk morza.

Za rufą wznosiły się szare, ponure skały Tery, wyrastającej z gładkiej powierzchni oceanu niczym kaprys bogów.

Wielka, czerwona kula słońca chowała się za horyzontem, oblewając grzbiety fal czerwonym blaskiem, który nadawał im pozór płynnego ognia. Bezchmurne niebo pokryło się feerią barw, które powoli zamieniały się w coraz ciemniejszy granat, a potem czerń. Nad wschodnim horyzontem migotały już pierwsze gwiazdy. Szirin spacerowała samotnie wzdłuż północnego wybrzeża wyspy, zostawiając w piasku ślady drobnych stóp. Do gwiazd dołączył księżyc – wielki i żółty. Wkrótce morze miało pograżyć się w ciemności, którą będą rozpraszać tylko gwiazdy i księżyc. Księżniczka przyglądała się temu spektaklowi już od dłuższego czasu, zwolniona przez Mikele z zajęć.

„Twój umysł i ciało oddaliły się od siebie – powiedziała mistrzyni do zatroskanej Szirin. – Idź i odszukaj je”.

Szirin przystanęła, pozwalając, by ciepłe fale obmywały jej stopy. Spojrzała na ocean. Gdzieś daleko na północnym zachodzie płynęła jej przyjaciółka, pchana siłą wiatru i wiosł w stronę Rzymu. Rzymu, gdzie przebywały dzieci Szirin i jej wuj. Rodzina była daleko stąd, a ona została całkiem sama.

– Czy tego właśnie chcę? – spytała głośno, choć nikt nie mógł jej usłyszeć. Pochyliła głowę, sięgając myślami do lat i dziesięcioleci, które miały dopiero nadejść. Niektóre rzeczy przywoływały na jej twarz uśmiech, inne marszczyły brwi. Wciąż zamyślona, ruszyła ponownie na długi nocny spacer po pustej plaży.

FORUM, ROMA MATER

Słońce stało wysoko na niebie, obmywając złotym blaskiem mury wielkiego Rzymu, ualen Atreusz, cesarz i august, otarł pot z czoła, pokonawszy ostatnie stopnie schodów prowadzących z forum do strażnicy świątyni Jowisza Najlepszego, Największego. W dole kłębił się tłum sześćdziesięciu tysięcy Rzymian, który wznosili zwycięskie okrzyki. Patrząc na nich z wysokości Kapitolu, Galen widział błyszczące morze wielobarwnych szat i zwróconych ku niemu twarzy. Ich głosy brzmiały niczym huk morza. Cesarz podniósł rękę, pozdrawiając swych poddanych, ogłaszając im oficjalnie wielkie zwycięstwo. Krzyk tłumu przybrał na sile, brzmiał teraz jak grzmot nadciągającej z dala burzy.

– *Ave! Ave, Imperator!*

Galen dostrzegł kątem oka, że jego brat także podnosi rękę, a potem czynią to szeregi legionistów zgromadzonych na placu poniżej i ustawionych wzdłuż schodów. Każdy z nich pozdrawiał miasto i lud oraz stojący po drugiej stronie placu, na stopniach Curia Julia, Senat Rzymu. Senatorowie także podnieśli ręce, a na ten znak rozbrzmiały wielkie rogi, z których wydobył się pojedynczy przeciągły dźwięk. Liktorzy i słudzy Galena, którzy poprzedzali go w drodze do świątyni, obrócili się i weszli na podwyższenie, na którym stała świątynia Jowisza.

– Czy nasz brat już wrócił? – wyszeptał Galen, kiedy jego cesarska świta wkroczyła do świątyni. Przy wejściu stanęły szeregi pretorianów w jasnych, lśniących zbrojach. Pozdrawiali przechodzącego cesarza, uderzając metalowymi rękawicami w zbroje.

– Nie – odparł również szeptem Aurelian. – Przyszedł do mnie chyba miesiąc po twoim wyjeździe i mówił o jakiejś sekretnej sprawie, którą musiał się zająć. Potem zniknął.

Galen skłonił głowę, a potem uklęknął przed posągiem Króla Bogów. Aurelian, zajmujący miejsce po jego lewej ręce, oraz siwowłosy Grzegorz Auricus, stojący po prawej, zrobili to samo. Na zewnątrz, w jasnym blasku słońca, tłum śpiewał radosną pieśń.

Dopiero przy tej okazji Galen poczuł wreszcie, że Rzym jest miastem pełnym ludzi. Przez siedem lat wydawał mu się na wpół opustoszałym grobowcem, zamieszkanym tylko przez cienie jego dawnych obywateli i echo ich wspomnień. Dziś, kiedy jechał w rydwanie przez szerokie aleje i patrzył na tłum ludzi wiwatujących na jego cześć, ujrzał wreszcie miasto, które dało początek cesarstwu. Wreszcie, po długich latach zmagania, miasto żyło.

– Ktoś go widział ostatnio? – drażył temat Galen, szczerze zatroskany losem swego najmłodszego brata.

– Nie, ale pojawiły się pewne plotki. Księżna powiadomiła mnie tydzień temu, że prosiak wrócił podobno do Italii i ukrył się gdzieś w górach za miastem. Wysłałem kilku ludzi, żeby się tym zajęli, ale nie wiem jeszcze, co z tego wynikło. Mam spotkać się z księżną za kilka dni.

Kapłani skończyli odmawiać modlitwy, a przed szereg klęczących dostojników wyszedł *pontifex maximus*, trzymający nad głową insygnia swej władzy. Otaczały go smugi dymu z kadzidła, które unosiły się ku kopulastemu sklepieniu nad głową wielkiego posagu boga. Tysiące akolitów i kapłanów otaczających świątynię pochyliły nisko głowy. Widząc to, Galen przybrał poważną minę i także skłonił głowę.

– Znaki są pomyślne! – oznajmił głośno *pontifex*. – Bogowie są zadowoleni. Cesarz może wejść do miasta.

Galen wstał, rozcierając ukradkiem obolałe kolana. Obrócił się i uściskał mocno dłoń swego brata.

– Witaj, bracie. – Aurelian uśmiechnął się. – To podwójnie szczęśliwy dzień!

– Chodźmy – rzekł Galen, zwracając się do grupy kapłanów i dowódców legionów. – Czas ogłosić rozpoczęcie uroczystości.

– Będą pić, śpiewać, bawić się i tańczyć do białego rana – powiedział Aurelian, wciąż uśmiechnięty, kiedy stali na balkonie Pałacu Sewera, przy południowym krańcu Palatynu. Sto stóp niżej, w długim prostokącie Circus Maximus, płonęły wielkie ogniska. Rozgwieżdżone, czyste niebo tchnęło odwiecznym spokojem, lecz poniżej, wśród dymu ognisk, nad którymi piekły się setki wołów i świń, upojona winem ludność Rzymu świętowała zwycięski powrót cesarza i legionów.

Galen odpowiedział skinieniem głowy i oparł się o marmurową balustradę balkonu. Tutaj, w sercu własnego cesarstwa, gdzie czuł się swobodnie i bezpiecznie, rozluźnił wreszcie swym ludziom więzy dyscypliny, w których trzymał ich przez całą długą kampanię. Wreszcie mogli należycie uczcić swe wielkie zwycięstwo, wydać część łupów, pić wino i opowiadać o dzielnych czynach żonom, barmankom i przygodnie poznanym dziewczynom. Tej nocy cesarz karmił wszystkich obywateli miasta, niewolników i gości chlebem, winem i gorącym mięsiwem z wszelkiego rodzaju stworzeń. Tutaj, w otwartym dla wszystkich cyrku, bawili się legionieści wraz ze swymi rodzinami, przyjaciółmi i nowymi znajomymi. Przez ten jeden dzień i jedną noc miasto upajało się triumfem.

– Maksjan przyszedł do mnie w Albanii – powiedział Galen, spoglądając w zamyśleniu na swego brata. – Pojawił się znieczeka, niczym duch odziany w czerń i szarość, kiedy pracowałem do późna w nocy w swoim namiocie. Był okropnie

chudy i wyglądał na krańcowo wyczerpanego! Widziałeś go kiedyś w takim stanie?

Aurelian pokręcił przecząco głową, zaniepokojony bólem słyszonym w głosie brata.

– Opowiedział mi pewną historię – kontynuował Galen. – Jakąś nieprawdopodobną bajkę. Prosił mnie o pomoc. Nie mogłem mu uwierzyć... to wydawało się takie nierzeczywiste! – Głos cesarza przycichł, zamienił się w szept.

– Co się stało? – Aurelian patrzył nań z nieskrywaną troską. Choć bracia często się kłócili – a czasami, po kilku kielichach wina, nawet dochodziło do rękoczynów – żaden z nich nigdy nie odmawiał drugiemu pomocy. Do tej pory więzy rodzinne były mocniejsze od jakichkolwiek innych spraw. Co pomyśleliby *pater et mater*, gdyby po latach bracia przestali sobie ufać? – Co mu powiedziałaś?

– Padło kilka ostrych słów – odrzekł cicho Galen, nie patrząc bratu w oczy. – Moi gwardziści odprowadzili go do namiotu... był taki zmęczony! Przypuszczałem, że to właśnie zmęczenie obudziło w nas tę złość i doprowadziło do kłótni. Ale rano już go nie było. Zniknął bez śladu. Aurelianie, on był duchem...

Aurelian pokręcił głową, a potem wziął swego brata za ramiona i potrząsnął nim lekko.

– Prosiak wróci – powiedział cicho. – Zawsze wraca, zarośnięty, śmierzący winem. Zapomnij o tym na chwilę; dziś jest twoje święto, dzień twój triumfu. Posłuchaj nocy, posłuchaj głosów ludzi, którzy poprowadzili cię do zwycięstwa na obcej ziemi. Posłuchaj, jak cieszy się miasto.

Galen westchnął ciężko i przesunął dłonią po twarzy.

– Cóż, miło było tak jechać przez miasto i słuchać wiwatujących tłumów. To był dobry dzień.

– Ależ bracie... żadnych wyścigów? Żadnych pojedynków gladiatorów ani starannie wyreżyserowanych bitew w Koloseum? Żadnych *munera* dla bogów? – Aurelian uśmiechał się, lecz na jego sympatycznej, szczerzej twarzy malowało się prawdziwe zdumienie.

Galen pokręcił głową i uśmiechnął się lekko.

– Moim podarunkiem dla miasta jest bezpieczny powrót tych ludzi. Poza tym każdy senator, któremu tylko przyjdzie na to ochota, może wystawić w cyrku Flawiusza swoje przedstawienie, niech to będzie nawet olbrzymia ośmiornica i rozbitkowie z numidyjskiego statku. To i tak nie może równać się z radością matki, która po długiej rozłące widzi swego syna, całego i zdrowego.

Cesarz odwrócił się i oparł plecami o balustradę. Przed sobą widział budynki Kapitolu wypełnione światłem niezliczonych lamp i pochodni. Światło wypełniało całe miasto, ciągnące się przed jego oczami niemal po sam horyzont. Był pewien, że

bijącą od miasta łunę widać było tego wieczora z odległości stu mil. Cesarz westchnął i przywołał do siebie jedną z niewolnic czekających w pobliżu na jego sygnał.

– Vidio, przynieś nam gorące wino.

Dziewczyna skłoniła się i oddaliła pospiesznie, by wypełnić jego polecenie.

– Nie należę do ludzi, którzy lubią sobie dogadzać, wiesz o tym, bracie.

– To prawda – zgodził się Aurelian, kiwając głową. – Ale wszyscy dziwią się, że nie obsypujesz miasta podarunkami i nie organizujesz wystawnych igrzysk, jak robili to twoi poprzednicy. – Aurelian wołał nie wspominać, że słyszał też takie określenia jak „skąpiec”, „chciwiec” czy „liczykrupa”.

– Niech się dziwią – warknął Galen, połknąwszy wreszcie przynętę zarzuconą przez brata. – Inny cesarz może spuściłby ze smyczy wszystkich żołnierzy, pozwoliliby im przepuścić na hulanki i rozpustę wszystkie łupy, które ze sobą przywieźli. Połowa armii przez miesiąc do niczego by się nie nadawała, a ich sakiewki stałyby się lżejsze o złoto i srebro zdobyte na Persach. Ceny napędzane takim napływem pieniędzy poszłyby w górę, a to oznaczałoby jeszcze gorszą sytuację biedoty żyjącej na ulicach.

Aurelian zmarszczył brwi i podrapał się po nosie.

– Taka jest tradycja – powiedział, biorąc kielich z tacy przyniesionej przez Vidię.

– Dlaczego mielibyśmy ją zmieniać? Ludziom się to podoba, oberżystom też!

– Owszem – przytaknął Galen, sięgając po drugi kielich i pijąc łapczywie ciepłe, parujące w chłodnym powietrzu wieczora wino. Miał za sobą ciężki dzień, od rana objeżdżał rydwanem całe miasto, by wszyscy jego mieszkańcy mogli ujrzeć w jego osobie zwycięski Rzym. – Ale mnie by się to nie podobało, tobie także, gdybyś tylko sięgnął myślą poza kolejny wyścig czy butelkę wina. Zatrzymałem w skarbcu część łupów z Ktezyfonu należną wszystkim legionistom. Trzecią część tej sumy każdy z nich otrzyma po zakończeniu służby w legionach, jako dodatek do *honesto misso*. Dla niektórych będzie to nawet większa suma niż sama odprawa. Druga część wypłacana będzie w czasie służby jako dodatek do żołdu. Ostatnią część dostali dzisiaj, mogą ją więc wydać w domach rozpusty, tawernach i łaźniach.

Aurelian pokręcił głową. Nadal nie rozumiał intencji brata.

– Przez dziewięć miesięcy rządziłeś miastem w moim imieniu – mówił Galen lekko już zirytowanym tonem. – Zauważyłeś chyba, ile pieniędzy wydaje codziennie skarbiec na utrzymanie całego aparatu państwowego? Tak? Ib dobrze. Więc posłuchaj: łupy, które przywiozła nasza armia, wystarczą na utrzymanie państwa przez sto szesnaście dni. To naprawdę ogromna suma, a mówię tylko o części należącej do cesarstwa! Pieniądze należne żołnierzom utrzymałyby państwo przez następne sto dni. Pomyśl teraz o cenie chleba i wina na rynku. Jeśli pozwolimy, żeby wszystkie te pieniądze popłynęły jedną ogromną falą do sklepów, burdeli i karczm,

ceny zaczną rosnać w trudnym do przewidzenia tempie. To, mój drogi bracie, oznacza także podwyższenie kosztów codziennego utrzymania państwa. Sto szesnaście dni zamieni się w osiemdziesiąt albo sześćdziesiąt.

– No tak... – mruknął Aurelian, pojmując wreszcie, co miał na myśli jego brat.

– Więc nie wydamy wszystkich tych pieniędzy od razu – oświadczył Galen, opróżniając kielich. – Zatrzymamy je w skarbcu i będziemy wydawać po trochu. Wypłacanie jednej trzeciej sumy należnej legionistom wraz z żołdem potrwa dwa lata. To dość czasu, by osłabić wpływ większej ilości pieniędzy na cenę chleba. Mam też różne plany związane z częścią należną cesarstwu. Z pewnością nie wydam tych środków na jakieś ekstrawagancje.

– Oczywiście. – Aurelian westchnął. – Żadnych ekstrawagancji... Nie wybudujesz za to łuku triumfalnego, tylko naprawisz kilka mil drogi albo most.

– Właśnie o tym myślałem. – Galen zachichotał, odstawiając pusty kielich. – Choć zastanawiam się też nad remontem starej przystani w porcie albo odtworzeniem drogi przez Alpy z Mediolanu do Lacus Brigantinus.

Aurelian zrobił kwaśną minę i odwrócił głowę, udając, że się dąsa. Galen poklepał go po ramieniu, wielce z siebie zadowolony, i odwrócił się, by jeszcze raz popatrzeć na świętujące hucznie miasto.

Zbliżał się już świt, kiedy Galen wrócił wreszcie do swoich pokoi. Był okropnie zmęczony, kręciło mu się w głowie od nadmiaru wina, w brzuchu zaciążyły ogromne ilości krewetek w galarecie, które zjadł tego wieczora. Gwardziści w czerwonych płaszczach i stalowych zbrojach otwierali przed nim drzwi do jego komnat i podnieśli ręce w geście pozdrowienia. Ciemności zalegające w komnatach rozpraszał tylko płomyk jednej lampki płonącej na gzymsie kominka. Przez uchylone okno wpadało świeże nocne powietrze. Delikatna bryza poruszała zwiewnymi zasłonami wiszącymi wokół jego łoża. Był to ogromny stary mebel, wsparty na grubych nogach z aromatycznego cedru mauretańskiego. Niegdyś łoże stało w sypialni jego ojca, w ich domu rodzinnym w Narbonie. Drzwi do tych komnat, zbudowanych przez cesarza Aleksandra Sewera, zostały specjalnie poszerzone, by można je było wnieść do środka.

Galen, zmęczony niczym sklepikarz po wyjątkowo pracowitym dniu w środku letniego sezonu, zrzucił buty i ściągnął tunikę przez głowę. Bolało go całe ciało, czuł też okropny ból głowy wzbierający za skroniami. Usiadł ciężko na łóżku i oparł głowę na dłoniach, zastanawiając się, czy ma wzywać służącą, która pomasowałaby go przed snem.

– Mężu? – doleciał go nagle głos wydobywający się spod góry kołder i poduszek.

– Helena? – Galen odwrócił się, zaskoczony. Już od kilku tygodni nie dostawał

listów od cesarzowej, a ostatni pochodził z jej willi w Katanii. Nikt nie powiedział mu, że jest w mieście. A jednak leżała tutaj, obok niego, i wpatrywała się weń zaspanymi oczyma. – Co ty tu robisz?

– Czekam na ciebie... Chociaż chyba w końcu zasnęłam.

Galen wsunął się pod kołdrę, rozkoszując się rozkosznym dotykiem świeżej pościeli. Drgnął zaskoczony, gdy Helena przytuliła się do jego boku, wciąż miał bowiem w pamięci dzień ich rozstania, zakończony wielką kłótnią. Długie ciemne włosy żony łaskotały go w nos. Galen odchrząknął niepewnie i wsunął dłoń pod jej ciało, przytulając ją mocniej do siebie. Helena westchnęła z ukontentowaniem, a jej ciepły, czuły dotyk, nieoczekiwanie ogromnie go wzruszył. Zesztywniał jednak nagle, przeniknięty pewnym straszliwym przeczuciem.

– Heleno, dobrze się czujesz?

Cesarzowa zawsze miała kłopoty ze zdrowiem, w młodości cierpiała na dokuczliwy, chroniczny kaszel, łatwo się też przeziębiała. Umysł Galena, wciąż pobudzony po długim i pracowitym dniu, zaczął analizować setki różnych możliwości, każda jednak wydawała mu się gorsza od poprzedniej.

– Znów zachorowałaś?

– Nie, mężu. – W jej głosie pobrzmiwał dziwny, tajemniczy ton. Mając do czynienia z inną, mniej odpowiedzialną kobietą, pomyślałby, że stroi sobie z niego zarty. Helena jednak nigdy z niego nie drwiła. – Tęskniłeś za mną?

Galen zrobił smutną minę, choć cesarzowa i tak nie widziała tego w ciemnościach.

– Tak, tęskniłem. Żałuję słów, które wypowiedziałem przy naszym rozstaniu.

Helena wtuliła się weń jeszcze mocniej i pogłaskała go po piersiach. Galen ujął jej dłoń i podniósł ją do ust.

– Dostałeś moje listy? – spytała sennym głosem.

– Tak... ale bałem się, że znów mnie będziesz łajać, więc ich nie czytałem.

Chciałem zobaczyć się z tobą osobiście, przeprosić.

– Chcesz powiedzieć, że nie uważasz mnie już za „nieudaną, beznadziejną klaczkę zarodową dynastii”? – Helena podniosła głowę, trzeźwiejąc nagle.

Galen wzdrygnął się, słysząc w jej głosie echo straszliwego gniewu.

– Tak naprawdę nigdy tak nie myślałem – powiedział, całując ją w czubek głowy.

– To dobrze – mruknęła, kładąc głowę z powrotem na jego piersiach. – Bo to nieprawda. Teraz jestem klaczką zarodową przy nadziei.

Wydawało się, że nagle pokój wypełnił jasny jak słońce blask, który oślepił Galena i sprawił, że jego błyskotliwy umysł przez chwilę nie mógł pojąć znaczenia ostatnich słów cesarzowej.

– Co? – wykrztusił, wciąż nie mogąc zebrać myśli.

– Zaszłam w ciążę, kiedy byliśmy ze sobą ostatni raz przed twoim wyjazdem. – Helena podniosła głowę, spojrzała na swego męża i oświadczyła z powagą: – Trzy tygodnie temu urodziłam ci syna, zdrowego syna.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Jest tutaj ze mną, w pałacu. Opiekuje się nim *domina* Anna z twojego domu w Kurne.

– Mam syna? – Galen był skonsternowany; dlaczego wciąż nie mógł wydobyć z siebie nic więcej niż dwa proste słowa?

– Aha. Bystry jak zawsze. Kładź się spać.

Galen leżał w ciemności, zastanawiając się, czy w całej historii świata zdarzył się komuś piękniejszy dzień. W końcu powoli i spokojnie pogrążył się we śnie.

WZGÓRZA NAD PALMYRĄ

Wreszcie! – wydyszała Zoe, podciągając się na skalną półkę i pokonując tym samym ostatni etap długiej i męczącej wspinaczki w górę wodospadu. Po obu jej stronach wznosiły się dwa potężne głazy, wyrastające z brzegów suchego kanionu niczym kolumny olbrzymiej świątyni. Zoe usiadła ciężko w cieniu rzucanym przez głazy, nie zważając na ból obtartych przez skały rąk i nóg oraz dokuczliwą suchość w ustach. Uspokoiwszy oddech, rozwiązała sznurek, który podtrzymywał na jej głowie słomkowy kapelusz o szerokim rondzie. W dole ciągnął się kanion wypełniony palącym białkiem słońca. Po obu jego stronach rozciągała się ogromna połać pustyni upstrzona kamieniami i kurhanami. Sam kanion, w którym z rzadka tylko pojawiała się woda, wił się między nagimi wzgórzami otaczającymi miasto, jego dno porastały cierniste krzewy i karłowate drzewka, które bardzo utrudniały wędrowkę wzdłuż koryta wyschłego strumienia. Zoe dokonała jednak tej sztuki, kierując się śladami wielu ludzi, którzy wcześniej pokonali tę drogę.

Trop zaprowadził ją tutaj, na zbocze góry. Sto stóp niżej znalazła klamrę, wciąż stosunkowo nową, która wskazała jej dalszy kierunek wędrowki. Na gałęziach szarozielonych drzew, przytulonych do skał kanionu, znalazła ślady lin i noży. Jej poprzednicy musieli przeciągać tędy coś bardzo ciężkiego, oplecionego grubymi linami.

Wysunęła głowę za krawędź skały, usłyszawszy czyjeś kroki na dole. Starzec dotarł wreszcie do podnóża niewielkiego urwiska.

– Poczekaj – zawołała, odpłatując linę, którą była owinięta wokół talii. – Zrobię pętlę.

– Dobrze! – Starzec usiadł na kamieniu u podnóża wodospadu i otarł pot z czoła brudną, starą szmatą. Jego szaty także ucierpiały podczas żmudnej wędrowki. Ubierał się w sposób typowy dla pustynnych plemion, w turban, długie, sięgające stóp szaty i buty z wielbłądziej skóry. Zoe włożyła lekką bawełnianą spódnicę i tunikę oraz buty legionisty, a broń i sprzęt potrzebny do wspinaczki przymocowała do dwóch pasów, z których jeden oplatał ją w talii, a drugi przerzucony był przez jej ramię. Starzec uważał, że nie wypada iść w góry w takim stroju, Zoe postawiła jednak na swoim.

Teraz on dyszał ze zmęczenia i gorąca, a Zoe czuła się jak ciastko przypalane na gorącej blasze.

– Co widzisz? – zawołał starzec.

– Dwa kamienie – odkrzyknęła. – I kryjówkę między nimi.

Odkorkowała jeden z bukłaków i zaspokoiła pragnienie. Woda była przyjemnie zimna, kiedy napełniała bukłaki w zbiorniku pod miastem, teraz jednak stała się

niemal gorąca i śmierdziała lekko owczą skórą. Odenatus namawiał ją, żeby wzięła manierkę, Zoe wybrała jednak lżejsze i poręczniejsze pojemniki. Kuzyn nawet nie zauważył jej odejścia, pochłonięty jedną z niekończących się dyskusji – które toczył ze swoją matką – o sposobach odbudowy miasta.

Zoe nie zastanawiała się nad tym. Dla niej miasto było martwe. Mogli oczyścić zbiorniki z gruzu i otworzyć ponownie ulice, mogli nawet odbudować świątynię Czterech Bogów lub posąg Bela, lecz to nie wskrzesiłoby pięknego, cudownego miasta z jej dzieciństwa. Ten czarownik, Władca Dziesięciu Węży, zniszczył je, wykorzystując zdradę Rzymu.

Młoda kobieta nieświadomie zacisnęła pięści, a jej ładna twarz wykrzywiła się w grymasie czystej, niepohamowanej nienawiści. Rzym za to zapłaci, przyrzekała sobie po raz tysięczny, zapłaci za każde morderstwo, którego się dopuścił. Zapłaci za każdą z czaszek, które leżą na ulicach miasta. Potem odnajdę tego czarownika i on także zapłaci za swoje zbrodnie...

Od tygodni już zajmowali się uprzątnięciem ludzkich szczątków walających się na ulicach miasta, nadal jednak mieli przed sobą ogrom pracy. Zoe uważała, że nie ma to większego sensu i że wkrótce pustynia pochłonie zarówno kości zmarłych, jak i całe miasto.

Wstała i otrzepała nogi z piasku i pyłu. Pochyliła się, by podnieść bukłak, który przymocowała do skórzanej uprząży. Dzięki temu dostrzegła jakiś regularny kształt ukryty w cieniu między dwoma głazami. Ruszyła w jego stronę.

– Wszyscy naraz! Ciągnąć! – Odenatus, rozebrany do pasa i spływający potem, naparł ramieniem na grubą linę. Kiludziesięciu innych mężczyzn obok niego zrobiło to samo. Kilku innych stało po bokach obelisku, trzymając w dłoniach liny, którymi sterowali ciężkim kamieniem. Obelisk stał niegdyś na skraju placu za teatrem, obok źródła. Teraz, zwalony z podestu przez Persów, leżał na schodach prowadzących do zbiornika.

– Ciągnąć!

Liny znów się napięły, a Odenatus i jego ludzie wyteżyli wszystkie siły. Powoli obelisk zaczął się obracać, a stojący obok niego ludzie szybko przekładali pod kamieniem wałki wyciosane z nielicznych kawałków drewna pozostałych w mieście. Ogromny walec przesunął się i zakołysał, jakby miał zaraz odtoczyć się do tyłu, lecz pilnujący go ludzie w porę go zablokowali.

– Ciągnąć!

Walec znów obrócił się odrobinę, wielki i ociężały, potem jednak wtoczył się na wałki i gwałtownie podskoczył do przodu. Ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, a Odenatus poczuł, że lina w jego dłoniach nagle zwiotczała. Odwrócił się i otworzył szeroko oczy, ujrawszy pędzący w jego stronę obelisk, ogromny kamienny blok

o trudnej do oszacowania masie. Rozrzucone cegły i kamienne fragmenty rozpadały się pod nim w drobny pył. Odenatus instynktownie odskoczył na bok, w boczną uliczkę. Obelisk przetoczył się obok niego i uderzył w wypalony budynek sklepu. Fasada budynku runęła z hukiem na ziemię, wzbijając chmurę kurzu i rozsiewając dokoła fragmenty cegieł i kamieni.

Odenatus przetoczył się na plecy, pokaszując w gęstym obłoku pyłu, i rozejrzył się dokoła.

– Ktoś jest ranny?

Odpowiedziały mu zachrypnięte głosy pozostałych. Wyglądało na to, że nikomu nie stała się krzywda.

– Cóż – przemówił ktoś za plecami Odenatusa – zdaje się, że uprzątnąłeś schody.

Odenatus uśmiechnął się krzywo i wstał z ziemi, otrzepując pantalony z brudu. Na jego piersiach, poznaczonych już licznymi bliznami, pojawiło się nowe nacięcie i kilka zadrapań.

– Owszem, *mater*. Jak idzie w kuchni?

– Kiepsko – odparła jego matka, biorąc go pod rękę. Odprowadziła go na bok, gdzie nie słyszeli jej robotnicy przyglądający się zniszczeniom, jakie wyrządził spadający obelisk. Jej stara twarz, okolona siwymi włosami, była surowa i poważna. Odenatus odwrócił wzrok od jej pozbawionych wyrazu oczu, nie mogąc znieść tego widoku.

– Kończy nam się jedzenie, synu, także to, które znaleźliśmy w magazynach przy zbiorniku. Starczy go może jeszcze na kilka tygodni. Persowie zniszczyli ogrody za miastem, a w najbliższym czasie nie pojawi się tutaj żadna karawana. Wszyscy kupcy wiedzą już, że miasto zostało zniszczone.

Odenatus zamyślił się, rozważając różne sposoby rozwiązania tego problemu. Żaden nie wydawał mu się dobry. Pragnął z całego serca zacząć tu wszystko od nowa, wznieść całkiem nowe miasto z popiołów starego, lecz zbyt wiele rzeczy stało mu na przeszkodzie. Kwestia wody była już niemal rozwiązana.

Podczas oblężenia Persowie zniszczyli akwedukty łączące Palmyrę ze źródłami w górach, lecz te urządzenia konieczne były do zaopatrywania w wodę miasta liczącego pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Teraz mieszkało w nim około sześciuset ludzi. Każdego tygodnia dołączali do nich kolejni – podróżnicy, którzy podczas oblężenia przebywali poza miastem, ekspatrianci, którzy po raz ostatni chcieli ujrzeć rodzinne strony. Wiedział, że pierwotnie miasto założyła jeszcze mniejsza grupa ludzi – jakieś zapomniane pustynne plemię, które ułożyło tu pierwsze kamienie – oni mieli jednak stada owiec i wielbłądów oraz doświadczenie, które pozwalało im żyć w takich warunkach.

Rozejrzał się dokoła, spoglądając na poznaczone bliznami twarze mężczyzn pod jego komendą i na wychudzone buzie grupki dzieci, które przyglądały się ich pracy z bezpiecznej kryjówki na ramieniu zwałonego posągu. Ci ludzie urodzili się i wychowali w rzymskim mieście, z bieżącą wodą, targowiskami i warsztatami różnych specjalistów, dzięki którym mogli zakupić wszystkie potrzebne im do życia przedmioty, a nie wyrabiać je własnoręcznie. Wszystko to zniknęło. Jeśli chcieli pozostać w mieście, musieli powrócić do życia nomadów, choćby po to, by zgromadzić jedzenie, którego wkrótce mogło im zabraknąć.

– Mamy jakieś pieniądze?

Ara roześmiała się, zakrywając usta pomarszczoną dłonią.

– Och, mój synu, mamy całe mnóstwo dobrego czerwonego złota. Persowie opuszczali miasto w pośpiechu i zostawili wiele nienaruszonych skarbców. Nasz majątek, gromadzony latami przez twego ojca, pozostał nietknięty. Gdybyśmy tylko mieli od kogo kupować, moglibyśmy sobie na wiele pozwolić. Ale nikt już tu nie przyjeżdża.

– Moglibyśmy wysłać kogoś do Damaszku – nie poddawał się Odenatus. – Tam kupilibyśmy jedzenie, narzędzia, kilka stad zwierząt, wszystko, czego nam tutaj potrzeba. To będzie trudne, ale możemy tu zostać. Miasto się odrodzi powoli, kawałek po kawałku, ale jednak.

Ara ujęła twarz syna w dłonie, przesunęła starczymi palcami po jego arystokratycznym nosie i wysokich kościach policzkowych, dotknęła krótko obciętych włosów i mocnej szczęki.

– Zupełnie jakbym słyszała twój ojca – westchnęła wreszcie smutno. – Jeśli tego zechcesz, ci ludzie tutaj zostaną, ale będzie to dla nich bardzo trudne. Jeszcze ciężiej będzie dzieciom; nie mogą spać, boją się, że wróci ten potwór ciemności. To miejsce jest martwe, synu, ale może tobie uda się przywrócić je do życia.

Odenatus ujął dłonie matki i przytulił je do swej piersi.

– *Mater*, to miasto jest naszym życiem, naszym domem, powodem, dla którego tutaj jesteśmy. Jeśli odejdziemy, jeśli zabierzemy ukryte tu złoto i klejnoty i odejdziemy do innego miasta, zawsze będziemy obcymi. Cudzoziemcami, którzy nigdy nie czują się jak u siebie w domu. Jeśli mamy przetrwać jako jeden lud, jeśli ma przetrwać nasze plemię, musimy tutaj zostać.

– Być może – odparła Ara, wysuwając dłonie z uścisku syna. – Ale co myślisz o tym królowa?

Zoe przesunęła dłonią po gładkiej powierzchni granitu wyrwanego z gór Syrii i przeniesionego na odległość kilkudziesięciu mil do tej górskiej kryjówki. Kamienna płyta pokryta była napisami w starożytnym języku Palmyry. Między dwoma głazami

znajdowały się ukryte drzwi. Z powierzchni skały wyrastały posągi strzegące wejścia, figury pierwszych królów miasta. Ich niewidzące oczy patrzyły na pustynię, na ciągnące się po horyzont pustkowie. Zoe wydawała się przy nich maleńka i krucha. Przykucnęła przy drzwiach i przesunęła palcami po zniszczonych liniach napisów, próbując odczytać poszczególne słowa.

Nad skałami krążyły wrony, kracząc z oburzeniem na intruza, który zakłócił ich spokój.

Zoe wstała; na dole kamiennych drzwi widniał wyryty niedawno trzydziesty piąty napis. Jego treść wyrażona została jednak nie w starożytnym języku miasta, lecz w zwykłej łacinie. Napis głosił: ZENOBIA V SEPTIMA, KRÓLOWA PALMYRY. Zoe pobladła, zachwiała się, jakby ktoś zadał jej potężny cios. Aż do tej chwili nie wierzyła do końca, że ognista, ciemnowłosa kobieta z jej wspomnień nie żyje. Lecz nawet tutaj, w miejscu gdzie odebrano jej ostatnią nadzieję, Zoe nie zapłakała. Ani jedna łza nie zwilżyła jej oczu.

Z ponurą, zaciętą twarzą odepchnęła się od kamiennej płyty i wyprostowała. Złożyła ręce na piersiach, zamknęła oczy i rozpoczęła medytację uspokajającą. Rzemieślnicy, którzy zakładali kamienne drzwi grobowca, zrobili to bardzo umiejętnie. Płyta osadzona była w zagłębieniu wykutym w żywej skale – szczelinie głębokości co najmniej stopy, która podtrzymywała ich ciężar i skutecznie zamykała dostęp do grobowca. Na jej krawędzi widać było rysy i odpryski, ślady po nieudanych próbach włamań.

Drzwi ważyły co najmniej tyle, ile kilka wielbłądów. Żaden człowiek, bez względu na siłę kłębiących się w nim emocji, nie mógłby sam ich poruszyć. Dwudziestu ludzi, pracujących pod okiem przywódcy na wpeł oszalałego z rozpacz, potrzebowało na to aż pięciu dni. Dwóch zginęło podczas wykonywania tego zadania, lecz wódz uznał to za szczęśliwy zbieg okoliczności, dzięki któremu królowa mogła liczyć na pomoc dwóch sług w swej wędrówce w zaświaty. Ich ciała, owinięte w szaty żałobne, spoczęły obok niej we wnętrzu grobowca.

Rzemieślnicy i architekci budujący grobowiec zabezpieczyli go także odpowiednimi zaklęciami, które miały odstraszyć nieroztropnych i zapewnić lokatorom grobu długi, spokojny sen. Czarownicy, którzy wykonali to zadanie, spisali się dobrze, nie włożyli w nie jednak całego serca.

Zoe podniosła lewą rękę, a pod krystalicznie czystym niebem zahuczał nagle grzmot. Podniosła prawą rękę, a z jej oczu wypłynął ogień, który zawirował wokół jej stóp. Kamienna płyta zazgrzytała i zaczęła się przesuwac w starannie wyszlifowanej, skalnej rynnie. Pot spływał strumieniami po czole Zoe, kiedy uniosła obie ręce, ujmując w nie obraz drzwi grobowca. Ogromny skalny blok zaczął powoli wysuwać się ze szczeliny, aż wreszcie, niesiony siłą generowaną przez gniew Zoe, wystrzelił

w górę niczym korek z butelki.

Starzec, który siedział na kamieniu u podnóża skalnego urwiska, zerwał się na równe nogi, słysząc wściekły krzyk dziewczyny, a potem patrzył w zdumieniu, jak granitowe drzwi przelatują nad wąwozem i rozbijają się o jego drugi brzeg. W powietrze wystrzeliła fontanna pyłu, a tuż potem skalnymi ścianami zatrząśł potężny grzmot. Z obłoku kurzu wyleciały rozbite na trzy fragmenty drzwi, które opadły na dno jaru, odbiły się od twardego podłoża, a potem rozleciały na miliony maleńkich odłamków. Fragment urwiska uderzony ogromnym pociskiem oderwał się od podłoża i z ogłuszającym hukiem zsunął się do koryta wyschniętego strumienia. Nad wąwozem podniósł się kolejny obłok kurzu, a deszcz maleńkich odłamków skalnych uderzył w ścianę urwiska, z którego spływał niegdyś wodospad. Stojący obok starzec skulił się i przypadł do skały, zakrywając głowę grubymi szatami.

Zoe spojrzała z satysfakcją na swe dzieło, wzięła głęboki oddech i weszła do grobowca przodków.

Odenatus siedział nieruchomo przed bramą miasta, odziany w metalową zbroję, którą jego ludzie znaleźli w ruinach. Na kolanach trzymał długą włócznię o żelaznym ostrzu. Za jego plecami leżały szczątki bliźniaczych wież strzegących niegdyś wejścia do miasta. Ostał się tylko wysoko sklepiony łuk bramy, ale nikt nie wiedział, gdzie podziały się wrota. Dwaj mężczyźni, którzy pomagali mu wcześniej w porządkowaniu zbiornika, stali w pobliżu. Pełnili przedwieczorną straż, przyglądając się słońcu, które powoli znikало za zachodnimi wzgórzami, oblewając niebo złotym blaskiem. Wszyscy trzej byli ogromnie zmęczeni całodzienną pracą, przeciąganiem ogromnych skalnych odłamków i porządkowaniem schodów. Wiedzieli też, że będą zajmować się tym samym jeszcze co najmniej przez dwa dni. Sama naprawa zbiorników i rur prowadzących do podziemnych łaźni w pobliżu starych zbiorników mogła potrwać kilka tygodni.

Młody mężczyzna siedział odwrócony tyłem do ruin starych murów obronnych miasta. Czuł, jak powoli nadciąga przedwieczorny chłód, choć stygnące kamienie wciąż jeszcze oddawały żar, który pochłoneły w ciągu dnia. Kiedy wrócił z Zoe do miasta, nad bramą tkwiła tablica z czarnego kamienia, przybita do resztek muru żelaznymi kołkami. Tablica zapisana była starożytnym pismem, starszym nawet od tego, którym posługiwali się założyciele miasta. Odenatus nie znał tego języka – tylko bardzo nieliczni zachowali o nim pamięć – lecz lodowate zło emanujące z powierzchni tablicy powiedziało mu wszystko, co musiał wiedzieć.

Zerwał ją z muru i rzucił na ziemię, rozbijając czarny kamień na kawałki.

Teraz siedział na głazie przed bramą, patrząc spod przymrużonych powiek na zachodzące słońce i rozmyślając o przyszłości miasta.

Coś poruszyło się na zachodniej równinie; dwie maleńkie postacie szły powoli drogą od Damaszku, mijaly właśnie dwie spośród starożytnych wież grobowych, którymi zabudowana była skalna dolina. Jedna z nich ugięła się pod jakimś wielkim ciężarem. Odenatus wstał i wbił drzewce włóczni w ziemię.

– Nadchodzi królowa – powiedział cicho, rozpoznawszy z dala jasną aurę Zoe. – Wróćcie do miasta i powiedzcie o tym mojej matce. Przyprowadzę królową do jej domu, gdy tylko tu przyjdzie.

Dwaj mężczyźni, kamieniarz i cieśla z zawodu, wstali, ziewając, i przeszli przez bramę, niosąc włócznie na ramionach. Odenatus usiadł ponownie na swoim miejscu, zbyt zmęczony, by stać.

Postacie zbliżyły się powoli do bramy, a nad światem zapadał zmrok.

– Synu? Kto tam? – Ara próbowała wstać z krzesła, które ustawiono dla niej w namiocie. Niegdyś mieścił się w tym miejscu ogród położony na tyłach jej okazałego domu; miejsce wystawnych przyjęć i długich, popołudniowych rozmów z bliskimi przyjaciółmi. Teraz, kiedy dom leżał w ruinie, najeżony ostrymi kawałkami popękanych murów i kolumn, tylko tutaj można było bezpiecznie rozbić namiot *bedu*. Kobieta sięgnęła za poręcz krzesła, gdzie zwykle leżała włócznia służąca jej za laskę.

– Jestem tutaj – odpowiedział Odenatus głuchym głosem, schylając się pod klapą namiotu. – Jest ze mną Zoe.

Młoda kobieta, która teraz była królową miasta, weszła za nim i postępując cicho, złożyła na ziemi swe brzemię. Ara opadła z powrotem na krzesło i odwróciła lekko głowę, nasłuchując. Odenatus zajął miejsce na krześle obok niej i oparł głowę na rękach.

– Pani – przemówiła wreszcie Ara, przerywając ciszę zalegającą w namiocie. – Cóż przyniosłaś tutaj ze sobą? Musi to być coś ciężkiego, skoro tak się zadyszałaś.

– Ciociu – powiedziała Zoe z powagą, kłaniając się starszej kobiecie. – Sprowadziłam królową do miasta.

– Królową? – zdziwiła się Ara, zaciskając mocniej dłoń na drzewcu włóczni. – Ty jesteś królową, moja droga.

– Nie – odrzekła Zoe. – Sprowadziłam prawdziwą królową. Przyniosłam ją na plecach z miejsca, w którym spoczywała. Teraz, kiedy już wróciła do domu, możemy wyruszyć przeciwko naszym wrogom. Ona nas poprowadzi.

– Kto tu jest? – Ara wstała ponownie. Na jej twarzy malował się strach i niepewność. – Co ty zrobiłaś?

– Zenobia jest tutaj, ciociu. – Głos Zoe był bardzo spokojny. Pochyliła się i postępując lekko, usadziła ciało królowej na krześle. – Twoja kuzynka siedzi teraz

przed tobą. Posłuchaj, możesz ją usłyszeć, jeśli wyciszysz myśli i oczyścisz umysł. Słyszysz ją? Bo ja tak.

Ciało Zenobii, straszliwie okaleczone, z głową przyszytą grubym ścięciem do tułowia, leżało przekrzywione na krześle. Spod zniszczonego całunu wyzierały fragmenty jej spękanej skóry, która pomimo upływu czasu nie uległa zepsuciu. Długie włosy królowej, chluba jej miasta, były teraz rzadkie i poszarpane. Piękna niegdyś twarz, poznaczona teraz straszliwymi ranami, pomarszczyła się jak wyschnięte jabłko. Puste oczodoły ziały grobową czernią.

Zoe stanęła nad ciałem, dziwnie pogodna i podekscytowana, jakby wypełniona jakimś wewnętrznym światłem. Jej głos był pewny i czysty.

– Królowa mówi, a słyszę ją bardzo wyraźnie, że musimy wyruszyć przeciwko zdradzieckiemu Rzymowi. Trzeba rozszarpać stare imperium na kawałki, zamienić w ruinę, którą stało się nasze miasto. Królowa prosi o swego konia. Gdzie jest Bucefał. Odenatusie?

Odenatus podniósł na nią wzrok. Jego twarz była mokra od łez. Zoe spojrzała nań wzrokiem twardym i zimnym jak stal.

– Odenatusie, gdzie jest koń królowej? Rankiem musi wyjechać z miasta. Wyruszamy do Damaszku, gdy tylko słońce wyjdzie zza wzgórz.

CHALKEDON, AZJATYCKI BRZEG PROPONTYDY

Słony wiatr od morza mierzwił włosy Dwyrina i szarpał jego ubraniem. Chłopiec przystanął na skraju drogi, ustępując miejsca ciężkim wozom i maszerującym za nimi oddziałom wojska. Zacisnął mocniej dłoń na lasce, którą wyrzeźbił z dębowej gałęzi. Zrobił to jeszcze w Galacji, kiedy armia przechodziła przez ogromną równinę położoną w sercu cesarstwa. Teraz powierzchnię drewna pokrywały płaskorzeźby psów z wywieszonymi językami. Praca nad laską nie zajęła mu wiele czasu, zaledwie kilka chwil każdego wieczora, tuż przedtem, nim kładł się spać zmęczony całodziennym marszem.

Nie zauważył tego, ale teraz nie męczyły go już nawet długie, wypełnione trzydziestomilowym marszem dni. Podobnie jak weterani z dwudziestoletnim stażem przywykł do rytmu armii. Wstawali, zwijali obóz, wykopywali palisadę, którą postawili poprzedniego wieczora, zasypywali latryny i ogniska. Potem ładowali wozy i podrywali ze snu niezdyscyplinowane oddziały pomocnicze i najemników, by wreszcie, już w pełnym blasku dnia, rozpocząć marsz. Na szczęście od bram Cylicji aż po samą Propontydę maszerowali po twardej, dobrze utrzymanej drodze. Mijali miasta, góry i jeziora, szerokie połacie pastwisk o niskiej, wygryzionej przez owce trawie oraz ogromne, ciągnące się przez wiele mil sady.

Droga powrotna minęła Dwyrinowi znacznie szybciej, niż się tego spodziewał, a przygnębienie, które opadło go w Antiochii, zostało wypalone przez anatolijskie słońce i przegnane przez codzienną rutynę. Nawet lodowata rezerwa, z jaką odnosili się do niego starsi taumaturgowie, nie mogła mu teraz popsuć humoru. Pogoda także dopisywała, a deszcze napływające z północy i wschodu nie zamieniły ziemi w błoto. Dwyrin tęsknił za szarą mgłą i deszczem ze swoich rodzinnych stron, ale nie tęsknił za błotem! Nie po tylu miesiącach brodzenia w lepkim błocku!

Trzeźwość spojrzenia przywróciły mu także widoki, jakie oglądał, przechodząc przez serce cesarstwa, ślady wojny i grabieży dokonywanych przez perską armię. Raz po raz natykali się na wypalone świątynie, zrujnowane fortece, puste domy i porzucone wille. Nieraz też przednia straż legionów przepłoszyła bandy zbiegłych niewolników i zbójców, ukrywających się w okolicznych lasach i wzgórzach.

Dwyrin słyszał, że cesarz chciał uczynić z tego przemarszu wielką procesję, potem jednak wśród żołnierzy zaczęły krążyć dziwne plotki o chorobie Herakliusza. Dwyrin nie wiedział, czy ma im wierzyć, choć dawno już nie widział cesarza kłusującego na jednym ze swych siwych ogierów. Z drugiej jednak strony na czele armii nadal jechał specjalny wóz z zatkniętym na szczycie złoto-czerwonym sztandarem Domu Cesarskiego.

Teraz, po trzech tygodniach marszu wzdłuż rzeki, przez żyzne ziemie uprawne ciągnące się u podnóży wzgórz porośniętych sosnami i świerkami, dotarli wreszcie do morza. Dwyrin odszedł od drogi i wspiął się na zbocze wzgórza, z którego schodziła droga. Stąd widział płaską, rozległą równinę Chalkedonu sięgającą aż po błękitną wstęgę morza i odległe, błyszczące bielą miasto.

– Oto i ono, serce świata – przemówił nagle zachrypły głos Blanca. Dwyrin drgnął, zaskoczony, gdy ciężka dłoń centuriona spoczęła na jego ramieniu. – Oprócz Złotego Rogu najpotężniejsze i najbogatsze miasto świata.

Dwyrin skinął głową. Nawet z tej odległości dostrzegał pozłacane kopuły i marmurowe kolumny wielkich świątyń. Odwrócił się, wsparty na swoim kijku.

– Co ze mną będzie? – spytał. – Zostanę z tą kohortą czy przydzielą mnie do jakiejś nowej, z innymi rekrutami?

Blanco wzruszył ramionami. Choć jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, Dwyrin wiedział, że centurion jest niezadowolony.

– Wszyscy mówią, że cesarz chce zreorganizować armię. Dopóki te plany nie zostaną objawione nam, zwykłym śmiertelnikom, nikt nie chce się wychylać. Trafisz do „puli dostępnych rekrutów”, którą zajmuje się *magister militum*. Oznacza to tyle, mój chłopcze, że całymi tygodniami będziesz siedział beczynnie w koszarach starego pałacu, czekając, aż jakiś urzędniczyna ruszy palcem i przydzieli cię do nowej jednostki. – Na twarzy Blanca pojawił się długo ukrywany grymas irytacji. Dwyrin zmarszczył brwi. – Całkiem możliwe, że wrócisz do tej kohorty – mówił dalej Blanco, spoglądając na morze. – Ale bardziej prawdopodobne wydaje się, że trafisz zupełnie gdzie indziej. Będziesz musiał sam kontynuować szkolenie, co nie będzie łatwe.

Dwyrin przesłonił oczy, spoglądając na nieco wyższego od siebie legionistę.

– Czy to bezpieczne? Blanco pokręcił głową.

– Nie, ale na razie i tak nie masz innego wyjścia. Dziś rano otrzymałem nowe rozkazy. Wysyłają mnie do Antiochii, mam tam objąć dowodzenie nad nowo sformowanym oddziałem taumaturgów. – Twarz centuriona wykrzywił na moment smutny uśmiech.

Dwyrin wpatrywał się weń z niedowierzaniem.

– Przecież właśnie stamtąd przyszliśmy! Teraz musisz tam wracać? Centurion skinął głową i włożył kciuki za swój szeroki skórzany pas.

– Dobrze chociaż, że morzem – powiedział, wydymając usta. – Na jakiś czas mam już dość marszu.

Dwyrin pokręcił głową. *Zrozumienie wyroków armii przekracza możliwości ludzkiego rozumu!*

NA SZCZYTACH DAMAWANDU

Chadames stał obok wysokiej, ciemnej kolumny. Był to jeden z poszarpanych zębów otaczających płaski, okrągły wierzchołek góry. Zimny wiatr przemykał ze świstem między kamiennymi monolitami; północny wiatr, który niósł w dół lodowaty zapach gór otaczających dolinę. Widziany z dołu Damawand wydawał się wyniosły i potężny, lecz jego bracia na północy i wschodzie byli znacznie więksi. Generał owinał się mocniej grubym wełnianym płaszczem, który chronił go przed mrozem. Słońce już wstało, rzadko jednak ukazywało blade oblicze między chmurami okrywającymi szczyt góry, a jego promienie nie dawały ciepła. Chadames potarł ostrożnie prawe oko. Długie godziny siedzenia za biurkiem i niekończąca się praca nad utrzymaniem w ryzach mieszkańców góry, armii i rzemieślników powoli zaczęły odciskać na nim swe piętno. Kiedy zamykał prawe oko, widział świat wyraźnie, lecz gdy je otwierał, połowa świata ginęła w niewyraźnej mgle.

Odwrócił głowę, usłyszawszy czyjeś kroki na kamieniach. Zza kamieni ukazały się hełmy czterech spośród Szesnastu wchodzących na schody. Na ramionach nieśli ciało człowieka – jeńca, którego księżę ciemności zabrał ze zrujnowanej Palmyry. Generał skrzywił się, kryjąc twarz za grubym szalem. Ten człowiek walczył z honorem, próbując uratować swoje miasto. Nikt nie powinien bezcześcić jego ciała ani szkalować jego pamięci. Odyniec by tak nie postąpił, pomyślał Chadames ze znużeniem.

Cztery ciemne postacie wstąpiły na wierzchołek i ostrożnie ułożyły ciało pośrodku niewielkiego, płaskiego kręgu. To uczyniwszy, odwróciły się i ruszyły w drogę powrotną. Wąskie schody wykute w litej skale dudniły echem ich kroków. Po chwili ów dźwięk ucichł, a ciszę zakłócał jedynie szum wiatru. Chadames potarł dłonie, mocno już zziębnięte pomimo trzech par rękawic, które nałożył. Wydawało się, że choć według kalendarza mieli już prawie lato, zima nadal nie wypuściła doliny ze swych lodowatych objęć.

Zwłoki leżały nagie, wystawione na wiatr i mróz. Nie czuły zimna.

Wiatr ucichł, a na skraju kręgu stanął Dahak. Chadames znieruchomiał, starając się ukryć w najdalszych zakątkach umysłu myśli, które mogły go narazić na gniew księcia ciemności. Dahak pochylił się nad ciałem i zajrzał w jego pomarszczoną twarz.

– Trzech ludzi zadało mi ból, wierny Chadamesie. Jeden jest już martwy, a jego ciało gnije w zbiorowej mogile. Drugi jest poza moim zasięgiem, a trzeci leży tutaj. Był silny, wtedy, na Równinie Wież. Zostawił blizny na mojej twarzy.

Dahak podniósł wzrok, spoglądając w oczy Chadamesa. Wydawało się, że po jego twarzy błądzi cień uśmiechu. Czarownik ściągnął do tyłu swe ciemne włosy,

szarpane podmuchami wiatru.

– Powinieneś wiedzieć, wierny Chadamesie, że twoim najlepszym sprzymierzeńcem jest silny wróg.

Czarownik wyciągnął spomiędzy szat małą paczkę owiniętą żółtym pergaminem. Rozpakował ją, odsłaniając metalowy gwóźdź, małą kopertę i małą krysztalową fiolkę wypełnioną jakimś płynem. Potem podniósł ostrożnie gwóźdź, trzymając go między kciukiem i palcem wskazującym. Lekko zardzewiały i wykrzywiony gwóźdź był niewiele dłuższy od palca i miał szeroki płaski łeppek. Dahak odłożył go na bok.

– *O kalaturu i kurgarru*, wysłuchaj mnie, jak niegdyś wysłuchałeś Ereszkigal.

Wiatr ucichł, kiedy czarownik zaczął przemawiać. Mówił cichym, łagodnym głosem, pochylony nad głową trupa. Wcześniej rozchylił wyschnięte i popękane wargi srebrnymi szczypcami. Chadames uświadomił sobie, że wiatr na zewnątrz kamiennego kręgu musiał przybrać na sile, i że pewnie był teraz jak potępieńcy w krainie Arymana, lecz tutaj, pomiędzy skalnymi zębami, powietrze było spokojne i nieruchome. Generał rozejrzał się dokoła przekonany, że z kamieni wypełzną języki ognia lub skała okryje się nieprzeniknioną ciemnością. Nic takiego się nie stało.

– O Anunnaku, który zatrzymujesz zmarłych pod ziemią, wysłuchaj mnie, jak niegdyś wysłuchałeś Ereszkigal.

Nad górą podniósł się nagle dziwny, drżący dźwięk o trudnej do opisanego barwie. Po chwili dołączyło do niego jęklive, nieludzkie wycie. Hałas odbił się echem od kamiennych zębów. Chadames skulił się odruchowo, słysząc, jak nagle każdy z nich zaczyna wydawać z siebie głos.

– Ofiarowuję ci wodę z rzeki – powiedział Dahak, podnosząc fiolkę. Zamknięta w niej ciecz błyszczała niczym żywy klejnot. Śpiew kamieni przybrał na sile, a jednocześnie stawał się coraz bardziej piskliwy. Czarownik przechylił fiolkę, a ciecz wypłynęła z niej idealnie okrągłymi kroplami, które wpadły do ust martwego ciała.

Su nummagidde.

Chadames wzdrygnął się, usłyszawszy głosy wydobywające się z czarnych kamieni.

– Ofiarowuję ci ziarno z pól – powiedział Dahak, podnosząc małą kopertę. Otworzył ją zręcznie jedną ręką i wsypał w usta ciała garść małych drobin. Jednocześnie pieśń kamieni zmieniła nagle barwę i ton, przechodząc w głębokie basy, od których zadrżała skała pod stopami Chadamesa. Generał patrzył szeroko otwartymi oczami na drobne kamienie podskakujące na skalnej powierzchni.

Su nummagidde.

Kamienie zamruczały jeszcze ton niżej, a Chadames poczuł bijącą od nich

nienawiść do żywych stworzeń równie wyraźnie, jak czuł żar bijący od pieców w podziemnych kuźniach. Generał zachwiał się, porażony tym doświadczeniem, zdołał jednak zapanować nad strachem i zdumieniem. Dahak tymczasem zamknął oczy, zbierając siły.

Drzenie przenikające skały nagle ustało. Coś weszło w krąg kamiennych zębów – Chadames czuł obecność tego stworzenia, dotyk jego mackowatych kończyn porośniętych tysiącami piór. Skała na szczycie góry zatrzeszczała pod jego ogromnym ciężarem.

Gagta la summeb innannes.

Głos niewidzialnego stworzenia przypominał odległy grzmot, powtarzający się bez końca w obrębie jednego słowa. Chadames przygotował się na najgorsze, bo w głosie tym kryła się obietnica szaleństwa i niewyobrażalnej grozy czającej się w ciemności za gwiazdami. Dahak podniósł głowę i spojrział śmiało przed siebie.

– Martwa istoto, oto twój król. *Nig lugalme ea summeb innannes.*

Niewidzialne stworzenie zmieniło pozycję, jego zimne pióra dotknęły piersi Chadamesa. Gruby wełniany płaszcz generała zamarzł w jednej chwili i popękał, by spaść na ziemię w postaci deszczu srebrnych odłamków. Dahak podniósł gwoźdź, wciąż trzymając go między kciukiem i palcem wskazującym, choć teraz metal wolny był od rdzy, czysty i lśniący, jakby świeżo wykuty.

– Daję ci ciało zawieszzone na gwoździu.

Dahak wbił gwoźdź w czoło trupa jednym płynnym ruchem. Metal zazgrzytał o kość czaszki, a potem przebił ją z trzaskiem i zanurzył się w głowie. Nad spękaną skórą mumii wzbil się na moment obłok kurzu, który jednak szybko opadł na swoje miejsce. Dahak odsunął się o krok, wznosząc ręce w geście mocy. Między jego dłońmi zapłonęły nagle zielone roziskrzony znaki i symbole.

Niewidzialne stworzenie znów zmieniło pozycję i wsunęło się w przestrzeń między kamieniami. Powietrze wypełniło się dziwnym dźwiękiem, jakby miliony chrząszczy próbowało wcisnąć się do kadzi wypełnionej gęstą, lepką krwią. Powietrze nad ciałem zaczęło się przemieszczać i deformować. Chadames obserwował ze zdumieniem, jak przestrzeń dzieląca go od czarownika wykrzywia się niczym źle odlane lustro, pokazując wielokrotne odbicia nieba, kamieni, czarownika, a nawet ciała leżącego na skale.

I'am'u nam-til-la i'-am'a.

Z nieba zaczął spadać biały proszek, który osiadał na twarzy martwego mężczyzny. Chadames zamrugał powiekami, zastanawiając się, czy nie zawodzi go wzrok, lecz biały pył zniknął mu już sprzed oczu. Mimo to czuł się nieswojo – był niemal pewien, że nie tylko widział przed chwilą białe drobiny, ale że te układały się

najpierw w jakiś skomplikowany wzór, a potem wsiąkły w pomarszczoną skórę ciała.

Nam-til-la ugu-a bi-in-sub-bu-us.

Coś wysunęło się z powietrza nad ciałem, wąski strumień napastliwej ciekłej czerni, lśniącej odcieniami fioleto i perłowej zieleni. Pojedyncza kropla opadła powoli na czoło mężczyzny, uderzając prosto w łepkę gwoździa. Pod jej dotykiem ciało zadrgało spazmatycznie, wyrzucając w górę drobiny pyłu. Czarna ciecz zniknęła, wchłonięta przez spragnione ciało.

– Oto wstaje – powiedział Dahak tym samym, przyciszonym tonem. Chadames zamknął oczy i odwrócił głowę. Stopy martwego mężczyzny poruszyły się lekko, a potem nagle zaczęły uderzać z całej siły o kamienne podłoże, wydając przy tym trudny do zniesienia dźwięk. Chadames zakrył uszy, czuł jednak, jak powietrze wokół niego drży, a potem przesuwa się wraz z odejściem niewidzialnego monstrum.

Nad wierzchołek góry wzbął się krzyk, przeraźliwe zawrodoenie pełne grozy i bólu.

Inana ba'gub.

Na krawędzi murów nad Żelazną Bramą Chadames stał obok żeliwnego kosza z rozżarzonymi węglami. Spoglądał na wąską drogę dochodzącą pod bramę, gdzie w ukryciu czekało pięćdziesięciu jego najlepszych łuczników gotowych do oddania strzału. U boku generała stało trzech jego kapitanów, okrytych od stóp do głów w ciężkie metalowe zbroje *clibanari* – ciężkozbrojnych perskich *dihkan*. On sam ubrany był tylko w grube czarne szaty i wyszywaną czerwoną kamizelkę. Za jego plecami powiewał osadzony na szczycie wieży czarny sztandar czarownika.

Chadames wykrzywił usta w pogardliwym grymasie. Widząc poselstwo stojące przed bramą, odruchowo sięgnął do szabli. Gdyby miał dość odwagi, by przeciwstawić się czarownikowi, zabiłby ich wszystkich oraz im podobnych. Zbyt wielu jego przyjaciół zginęło od lanc i strzał tych ludzi.

Na drodze stał zbity w ciasną grupę oddział Heftalitów – Hunów zwanych T'u-chueh przez chińskich kupców, którzy czasami pojawiali się na dworze Króla Królów. Na czele oddziału stał ich wódz odziany w lśniąca zbroję okrytą futrem z gronostajów. Dosiadał pięknego deresowatego ogiera o dzikich oczach. Nawet Chadames, który nienawidził Hunów z całego serca, zwrócił uwagę na szlachetne piękno tego konia. Sam jeździec był smagłym mężczyzną o mocno zarysowanych rysach twarzy, skośnych oczach i lekko ziemistej cerze typowej dla wschodnich Turków. Miał długie, natarte tłuszczem wąsy, a jego kruczoczarne włosy splecione były w wąskie warkoczyki opadające luźno na ramiona. W każdym z warkoczyków pobłyskiwała biel wplecionych we włosy kości jego martwych przeciwników.

Pozostali wojownicy wyglądali równie groźnie, lecz Chadames przyglądał im się z pogardliwym uśmiezkiem na ustach.

Hunowie nigdy nie przyjechaliby z poselstwem pod Żelazną Bramę, ozdobioną sztandarem władcy Damawandu, gdyby nie przyszli błagać go o litość.

– Kto przybywa pod Żelazną Bramę? – zawołał władcym głosem. Wysoki mężczyzna na ogierze poruszył się, a jego rumak podniósł łeb, spoglądając w górę swymi dzikimi ślepiami.

– Jestem C’hu-lo, *yabghu* Białych Hunów. Pozwól mi wejść do swego domu z kamienia. Chcę rozmawiać z twoim panem, D’aj’haj’akiem.

Chadames uśmiechnął się, słysząc, jak barbarzyńca przekręca imię czarownika.

– Jesteś grzecznym barbarzyńcą – odrzekł, przekrzykując szum strumienia, wypływającego spod drzwi śluzy – który uprzejmie puka do drzwi. Jakże nisko upadłeś C’hu-lo. Czyż nie powinieneś tu prowadzić nieprzebranych armii? Czyż lance twoich wojowników nie powinny przyćmić słońca swym blaskiem? Czy tych kilku ludzi, tych chłopców, to wszystko, co ci zostało?

Twarz wodza Hunów stężała, przez chwilę wydawało się, że nie powstrzyma wzbierającego w nim gniewu, pohamował się jednak i nie sięgnął po łuk. Zgrzytając zębami, odpowiedział:

– Przybył do mnie posłaniec z tym znakiem. – Podniósł czarny nóż, jeden z tych, które nosił przy sobie każdy z Szesnastu. Na ostrzu widniał wyryty w stali wizerunek pełznącego węża. Nawet z tej odległości, w cieniu rzucanym przez górę, widać było jego lśniące czerwone łuski. – Chciałbym usłyszeć, co ma mi do powiedzenia ten twój pan. Pozwól, bym wszedł tutaj jako gość, a nie jako wróg.

Chadames skinął głową na jednego ze swoich kapitanów i wychylił się za krawędź muru.

– Możesz wejść, Chu-lo, ale pamiętaj, że tylko ci, którzy zadowolą wielkiego Dahaka, mogą wyjść stąd żywi – oświadczył dobitnie generał, kładąc szczególny nacisk na prawidłową wymowę imienia czarownika.

Mur zdrzął lekko, gdy brama twierdzy zaczęła się otwierać. Grube łańcuchy podciągające wielkie wrota nawijały się na koła obracane przez stu mężczyzn ukrytych za murami. Hunowie weszli powoli na dziedziniec, rozglądając się uważnie dokoła. Chadames odwrócił się i zszedł po szerokich schodach ukrytych na tyłach strażnicy. Wiedział, że Hunowie oceniali grubość murów i wytrzymałość bramy. Niech sobie patrzą, ile tylko chcą, pomyślał z uśmiechem. Zwykli ludzie nigdy nie zdobędą tej fortecy.

Chadames wskoczył na swego konia, myśląc z zazdrością o pięknym ogierze, którego dosiadał wódz Hunów. Wskazując głową na dolinę, przemówił:

– Chodź, mój biedny Chu-lo. Zobaczysz Damawand, porozmawiasz z mym panem i dowiesz się zapewne znacznie więcej, niż byś pragnął.

Usłyszał śpiew – delikatne głosy złączone w jednej melodii. Przebudził się, wyrwany ze snu głębokim bólem przenikającym jego kości. Przez chwilę leżał w bezruchu, dotykając czubkami palców gładkiej, chłodnej tkaniny. Powietrze wypełniał zapach perfum przywodzących na myśl drzewa cytrynowe i strumień o krystalicznie czystej wodzie. Powoli unióś powieki i ujrzał nad sobą dach z szafranowego lnu i jedwabiu. Uniósł lekko rękę i poruszył palcami, stwierdzając ze zdumieniem, że poddają się jego woli. Wydawało mu się – nie, był pewien – że były połamane, okaleczone, niezdolne do ruchu. Podniósł rękę przed oczy i jeszcze raz, wciąż nie dowierzając swym zmysłom, poruszył długimi, szczupłymi palcami.

– Panie? – przemówił jakiś zmysłowy głos. Coś – nie, ktoś ciepły poruszył się u jego boku. – Obudziłeś się?

Mężczyzna obrócił głowę i ujrzał obok siebie młodą kobietę. Miała jasną, delikatną skórę i długie kruczoczarne włosy, które opadały na jej ramiona niczym rzeka lśniąca blaskiem kryształowych latarni. Miała też blad różowe, pełne i kuszące usta. Przysunęła się bliżej, a wtedy poczuł zapach cynamonu bijący od jej włosów. Obdarzyła go długim, powolnym pocałunkiem, a potem wsunęła się na niego. Jej pełne, jędrne piersi oparły się o jego tułów. Mężczyzna zatracił się w rozkoszy na długi czas.

Później, gdy leżał już przyjemnie zmęczony, zaburczało mu w żołądku. Dziewczyna roześmiała się i wstała, owijając swe ciało jedwabnym prześcieradłem.

– Przyniesiemy ci jedzenie, panie – rzekła i wyszła.

– Mężczyzna leżał na poduszkach, po raz pierwszy w pełni rozbudzony. Usiadł prosto i rozejrzał się dokoła. Leżał pośrodku jedwabnego namiotu oświetlonego małymi kryształowymi lampkami. Powietrze przesycone było jakimś słodkim zapachem, a z zewnątrz dobiegł delikatny szmer strumyka. Wstał, przekonując się, że jego nogi są całe i silne. Potarł twarz – pamiętał, że kiedyś nosił brodę, lecz teraz jego policzki były gładko wygolone. Zasłony przy wejściu do namiotu rozchyliły się, a do środka weszły dwie młode dziewczyny o kasztanowych włosach przewiązanych złotymi wstążkami. Niosły srebrne tace ze świeżymi owocami oraz plastrami mięsa i sera. Za nimi szła czarnowłosa dziewczyna, którą poznał już wcześniej, obarczona wielkim dzbanem wina.

– Panie – powiedziała czarnowłosa, składając mu niski ukłon. – Usiądź, proszę, i posil się.

Mężczyzna usiadł, przyglądając się z podziwem kuszącym kształtom

usługujących mu dziewcząt.

– Zdradźcie mi, proszę, drogie panie – przemówił, gdy postawiły przed nim tace.

– Jak się nazywacie?

Dwie miedzianowłose dziewczyny zachichotały i ukryły twarze, potem jednak usiadły po obu jego stronach, dotykając udami jego ud. Czarnowłosa piękność uklękła przed nim i naląła wino do złotego kielicha.

– Panie – powiedziała, czerwieniąc się lekko. – Mamy takie imiona, jakie zechcesz nam nadać. Każde twoje pragnienie jest dla nas rozkazem.

– Och... – zająknął się mężczyzna, umilkł jednak, gdy jedna z dziewczyn zręcznie wsunęła mu w usta plaster mięsa. Wbił zęby w pieczeń i uniósł lekko brwi, zaskoczony jej bogatym smakiem. Dziewczęta uśmiechnęły się do niego i przysunęły jeszcze bliżej.

Jakiś czas później, spożywszy smakowity posiłek, mężczyzna wstał i odgarnął do tyłu swe długie włosy. Ujął ich końcówki w dłoń – były czarne jak skrzydło kruka i lśniły. Dwie rudowłose dziewczyny wymknęły się z namiotu, zabierając ze sobą brudne naczynia. W zakamarkach jego umysłu pojawiło się jakieś wspomnienie, umknęło jednak, gdy próbował je pochwycić.

– Jak się nazywam? – spytał, spoglądając z konsternacją na czarnowłosa dziewczynę. Wspomnienia wróciły, tym razem mocniejsze. Jej włosy nie powinny być proste, lecz kręcone, powinny tworzyć piękną grzywę perłście czarnych loków. Dziewczyna pokłoniła się ponownie, przykładając usta do jego stopy.

– Nazywasz się Arad, panie, a przynajmniej tak mi powiedziano.

– Kto ci to powiedział? – Arad sięgnął w dół i dotknął ramienia dziewczyny. Wyprostowała się, smukła jak trzcina, i przytuliła do jego muskularnego ciała. – Kto jest władcą tego miejsca?

Dziewczyna podniosła nań pełne podziwu oczy. Jej oddech łaskotał go w piersi.

– Pan całego świata, panie. To jest jego *an-na-ki*, niebo na ziemi. Ty jesteś najszczęśliwszym z jego sług, mieszkasz wśród nas w ogrodzie.

Arad rozejrzał się dokoła, widział jednak tylko ściany namiotu.

– Co jest na zewnątrz? – spytał drżącym głosem. Nagle ogarnął go dziwny strach, że za szafirowymi ścianami może kryć się coś nieznanego. – Muszę zobaczyć.

– Nie, panie... czy nie lepiej leżeć tutaj ze mną? Mogę spełnić każde twoje życzenie...

Arad odwrócił się i ruszył do wyjścia, choć delikatne palce czarnowłosej dziewczyny próbowały go delikatnie przytrzymać. Wyszedłszy przed namiot, ujrzał, że stoi na szczycie wzgórza porośniętego soczyście zieloną trawą. Zbocze wzgórza zbiegało wprost do błękitnego jak niebo jeziora. Dokoła rozciągały się sady pełne

drzew uginających się pod ciężarem dojrzałych owoców. Poniżej w wodzie bawiły się młode dziewczęta o pięknych, opalonych na brąz ciałach. Nad wszystkim królowało błękitne niebo, upstrzone białymi barankami chmur, i ciepłe, łagodne słońce.

Arad sycił przez chwilę oczy tym widokiem, a potem odwrócił się do tyłu, spoglądając za siebie. W oddali wznosiły się dwie bliźniacze góry o wierzchołkach okrytych śniegiem. Wokół jednego z nich wirowały burzowe chmurze, druga pławiła się w słońcu. Delikatna bryza owiała twarz Arada. Zmarszczył brwi, gdyż z czeluści jego pamięci wynurzyło się nagle wyraźne wspomnienie.

– To nie jest mój świat – powiedział głośno, sięgając dłonią do twarzy. – To nie są obiecane pola! Gdzie są przewodnicy i sędziowie?

Słońce zamigotało i przygasło. Dziewczęta bawiące się w wodzie podniosły głowy i uciekły, krzycząc ze strachu. Arad rozejrzał się dokoła, wiedząc już, z czym ma do czynienia. Pełne owoców sady i pola pszenicy wyblakły i zniknęły. Świat okryła ciemność, a w miejscu, gdzie płonęło słońce, pojawił się migotliwy czerwony płomyk.

– Tu nie ma żadnych sędziów – rozległ się potężny głos, w którym pobrzmiwała nutka rozbawienia. – Jestem tylko ja, władca świata.

Arad odwrócił się, przejęty nagle lodowatą grozą. Z ciemności wyszedł wysoki, szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy i grzywie kruczoczarnych włosów. Jego ramiona okrywał czarny jak noc płaszcz, na piersiach zaś błyszczała niczym zbroja koszula z czerwonego jedwabiu. W bladym świetle tliły się dziwne żółte oczy.

– Znam cię – przemówił Arad, z trudem wydobywając głos z gardła ściśniętego wspomnieniem straszliwego, niekończącego się bólu. – Walczyliśmy na Równinie Wież; przegnałem twój potwór, *dhole*, którego przyzwałeś z otchłani ciemności.

– Owszem – odparł Dahak, przekrzywiając lekko głowę i rozchylając usta w wilczym uśmiechu. – Ale przegrałeś, a twoje miasto legło w gruzach.

Arad zachwiał się, przypomniał sobie tamte straszliwe chwile, zawroźnienie dziesiątek tysięcy.

– Zniszczyłem pamięć o mieście – szeptał czarnowłosy mężczyzna – ale nie zapomniałem o tobie. – Przywiozłem cię tutaj, choć twoje ciało było zimne i zniszczone.

Arad przypomniał sobie i zadrżał. Spojrzał w dół, na gładką skórę i mięśnie widniejące tam, gdzie jeszcze niedawno były tylko robaki i gorzki smak soli balsamujących.

– Teraz jesteś znów silny, twoje ciało przywrócił do życia oddech strażnika umarłych. Twój umysł jest niemal cały; wkrótce ozdrowiejesz całkowicie i przypomnisz sobie wszystko, co wiedziałeś wcześniej, zrozumiesz wszystko, co się

z tobą stało. Odzyskasz swoje zdolności.

– I to cię cieszy? – Głos Arada przesycony był pogardą. – Znów stanę przeciwko tobie. Pokonam cię i przegonię ze świata ludzi.

– Doprawdy? – Dahak roześmiał się i wyszedł z cienia. Arad poczuł zimny powiew na skórze i uświadomił sobie, że piękny ogród całkiem zniknął, a pozostała po nim tylko trzciniowa mata i kilka wełnianych koców. – Bądź mi posłuszny, wskrzeszony człowieku. Okaż mi szacunek, szacunek należny twemu władcy... Nie. Twemu królowi.

Arad otworzył usta, gotów wygłosić wściekłą ripostę, lecz nagle upadł na kolana przed ciemną postacią. Bez dalszej zachęty, choć jego umysł buntował się przeciwko temu, przyłożył czoło do podłogi, oddając czarownikowi pokłon. Jego usta same wypowiedziały słowa, które nigdy nie wyszły z jego umysłu:

– Tak, panie. Uczynię, co każesz.

– Dobrze. – Dahak roześmiał się zimnym, okrutnym śmiechem. – Wstań, szlachetny Aradzie... – Czarownik roześmiał się jeszcze głośniejszym, jakby ubawionym śmiechem. – Wstań i chodź ze mną. Czekamy na wiele pracy.

Arad próbował zapanować nad swymi rękami i nogami, lecz te podążyły obojętnie za czarownikiem.

C’hu-lo oparł się o kamienną ścianę i wyjrzał przez wysokie, wąskie okno. Okno miało co najmniej pięć stóp wysokości i osadzone było w ścianie wieży niemal na samym szczycie góry. Roztaczał się stąd widok na umocnienia z czarnego kamienia i mury z obsydianu. Tuż za oknem otwierała się głęboka na trzysta stóp przepaść. Daleko w dole widać było kłęby dymu unoszące się nad dnem doliny. Widok owej doliny mocno go zaniepokoił; miał okazję przyjrzeć się jej dokładnie, gdy wraz z innymi jechał w górę długiego kamiennego duktu prowadzącego do twierdzy. Na jej dnie wznosił się gąszcz zabudowań – były tam magazyny, stajnie, odlewnie, garbarnie, warsztaty i inne budynki typowe dla dużego miasta. W dolinie roiło się także od ludzi; robotników z łopatami i kilofami, oddziałów żołnierzy, kobiet z ciężkimi tobołami.

C’hu-lo zatknął kciuki za pas, sprawdzając, czy nadal spoczywa tam jego ukryty nóż. Wraz ze swymi ludźmi musiał poddać się upokarzającej procedurze i oddać przed wjazdem do miasta łuk i szablę. Ale żaden T’u-chueh nie udawał się nigdzie bez broni, nawet jako gość. Wódz uśmiechnął się lekko, pomyślawszy o drugim nożu, ukrytym w jego bucie, a potem powrócił do oględzin warowni. To miejsce ogromnie go intrygowało. Wyczuwał w nim moc, potężną moc. Przyglądał się długim wąsom i odwrócił się od okna. W wielkim palenisku płonął ogień, a na stole stała taca ze świeżym mięsem i puchar wina. Chu-lo nie tknął ich nawet, zajął się natomiast

ogłędzinami ścian i mebli.

Czas, który spędził na dworze Niebiańskiego Cesarza, nie był czasem straconym. Wiele się nauczył pod okiem niczego niepodważających ministrów Nefrytowego Dworu. Jego palce natrafiły na pęknięcie w ścianie położonej na lewo od drzwi. Rysa ciągnęła się od samej podłogi.

Ukryte drzwi, pomyślał. W tej samej chwili z rysy odpadła drobina kurzu. Turek odwrócił się szybko, wycierając palce w krawędź stołu.

Drzwi otworzyły się na całą szerokość, a do komnaty wszedł nagi mężczyzna. C’hu-lo uniósł lekko brwi i uśmiechnął się na ten widok. W komnacie nie było ciepło. Mężczyzna miał śniadą skórę, długie czarne włosy i szlachetny profil. Odwrócił się i stanął pod ścianą. Tuż za nim do komnaty wszedł drugi człowiek. Chu-lo skrzywił się odruchowo, ujrawszy istotę z legend chodzącą po ziemi. Odmówił szybko starą modlitwę do boga burz, przygotowując duszę do rychłej śmierci.

– Ach... – powiedziała istota o zimnych oczach węża. – Szlachetny Chu-lo, niegdyś *yabghu* zachodnich T’u-chueh... tych, których perscy skrybowie z dworu Króla Królów nazywają Heftalitami. Witaj.

Chu-lo skłonił głowę, oddając cześć należną królowi innej nacji. Ten wskazał ręką krzesło stojące przy palenisku.

– Usiądź, proszę, porozmawiamy. Jestem Dahak, władca tej doliny. Ciekawość zmagala się w sercu Chu-lo z wielkim strachem, wydawało się jednak, że ta istota – nie miał bowiem wątpliwości, że nie jest to człowiek, choć przybrał ludzki kształt – jest uprzejma i zna zasady gościnności. Wódz podszedł powoli do paleniska i usiadł na krześle po jego lewej stronie, by móc widzieć oboje drzwi. Dahak usiadł naprzeciwko, podwijając ze swobodą obie nogi pod siebie. Nagi mężczyzna nadal stał nieruchomo przy drzwiach.

– Nadal jestem *yabghu* Ludu zza Murów Nieba – oświadczył Chu-lo. – Uzurpator, pionek i zabawka w ręku Chin, ten który nosi imię Szy-huei, jest fałszywym kaganem. Ludzie idą za nim, bo są jak owce; gorzej niż dzieci, które nie odróżniają owcy od wilka.

Dahak skinął głową ze zrozumieniem.

– A jednak – przemówił – on ma pod swą komendą trzydzieści *umen* silnych wojowników, a ty tylko jeden. Jego ręce ociekają chińskim złotem, a ty musisz napadać na biedne wioski, by zdobyć coś do jedzenia. Czyż nie jest tak?

Chu-lo zawsze uważał się za rozsądnego człowieka, a ponieważ człowiek rozsądny nie atakuje wroga, który może zniszczyć go w każdej chwili, zachował gniewny komentarz dla siebie. Podsycony przez czarownika ogień nienawiści skierował ku tym, którzy winni byli jego niedawnej klęski.

– Owszem... tak właśnie jest. – C’hu-lo uważał się za silnego człowieka, wygłosiwszy jednak te słowa przed obliczem stworzenia o zimnych oczach węża, poczuł się mały i słaby. – Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak wielką mocą dysponował wróg. Przystąpił do ataku z wielką wprawą, muszę to przyznać.

– Padłeś ofiarą podstępu – oświadczył Dahak swobodnym tonem. – Agenci człowieka zwanego P’ei Kiu przekupili twoich wodzów i szeptali słodkie słówka do uszu starszyny. Chińskie złoto płynęło rzeką do tych, którzy gotowi byli uznać chłopca o imieniu Szy-huei za kagana ludu. Wszystkim wydawało się to całkiem rozsądne – wszystkim, prócz ciebie i tych, którzy zostali ci wierni do końca.

Serce Chu-lo zapłonęło wstydem, gdy usłyszał historię swego upadku opowiedzianą tak lekkim tonem. Wiele już lat błąkał się po świecie ze swymi ludźmi – każdy z nich wiedział jednak, że nie powinien nigdy wspominać o katastrofie, która rzuciła go ze szczytów władzy i uczyniła z niego wygnańca. Wspomnienia wróciły doń z ogromną siłą – tak wielką, że nie zauważył nawet, jak czarownik zaczął mówić w języku jego własnego ludu.

– Lecz ludzie, którzy żyją po tej stronie muru, byli już zmęczeni wojną – kontynuował Dahak w zamyśleniu, jakby wracał myślą do dawno minionych czynów i spraw. – Nieważne, że jeszcze za czasów ich dziadów oblegali chińską stolicę. Nieważne, że kiedy się jednoczyli, byli niezwyciężeni. Nawet Persja składała im pokłon i płaciła daninę; nawet potężni Rzymianie ślali do nich poselstwa, błagając o pomoc. Wszystkie te rzeczy odeszły w zapomnienie, prawda?

Chu-lo podniósł wzrok i zamarł, ujrzawszy płonące oczy czarownika. Ostra riposta uwięzła mu w gardle.

– Czy sprawiało ci przyjemność, szlachetny Chu-lo, jedzenie z ręki P’ei Kiu, człowieka, który był przyczyną twego upadku i hańby? Czy smakowało ci słodkie wino, którym wznosiłeś toast na cześć chińskiego cesarza i to na jego dworze?

Twarz Huna pobraźla, stała się biała jak ściana. Próbował wstać, lecz nie mógł. Hańba służby na chińskim dworze, głębia upadku, do którego sam doprowadził, paliły go żywym ogniem, skręcały wnętrzości. Krew dudniła mu w uszach, z trudem łapał powietrze.

– Spokojnie, mój przyjacielu – rzekł czarownik leniwie. – To wszystko należy już do przeszłości. Twa długa wędrówka po bezdrożach, wszystkie te lata służby w obcych armiach, przenoszenia się z dworu na dwór w poszukiwaniu resztek utraconego honoru – wszystko to dobiegło już końca.

Chu-lo poczuł zimny dotyk na ręce i spojrzał w dół. Dahak położył na jego przegubie zakrzywiony srebrny sztylet. Na jego starannie wykutym ostrzu widniały znaki kowali z Issyk-kul, rękojeść zaś wykonana była z ciemnoczerwonego kamienia. Chu-lo znał tę broń. Sam położył ją – jako pamiątkę przyjaźni z dzieciństwa

i dozgonnej wierności – w grobowcu ostatniego prawdziwego kagana jego ludu, Tardu, szlachetnego dziadka tego wypierdka Szy-huei. Chu-lo nie mógł powstrzymać łez, które napłynęły mu nagle do oczu i pociekły po policzkach.

– Ale jak... – C’hu-lo podniósł nóż i ujął go w obie dłonie. – Grobowiec jest zamknięty... Sam zamykałem wejście kamieniem...

Dahak uśmiechnął się i wstał.

– Zdaje się, że młody Szy-huei ma wiele potrzeb. Otrzymałem ten sztylet od rzymskiego kupca, który z kolei kupił go od Ormianina. Grobowiec został ograbiony dawno temu, kiedy przebywałeś na wygnaniu w Chinach, a jego zawartość sprzedana lub wymieniona na niewolników.

C’hu-lo zamarł w bezruchu. Ogrom tej zbrodni przekraczał ludzkie pojęcie.

– Musisz zebrać siły, przyjacielu. – Dahak podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, zadowolony ze swego dzieła. Odwrócił się lekko, spoglądając na Huna przez ramię. – Ofiarowuję ci przyjaźń, ludzi, złoto i broń. Mnie także zabrano moje dziedzictwo. Zamierzam je odzyskać, a ty jesteś wielkim wojownikiem. Możesz pomóc mi odebrać to, co do mnie należy. Obaj na tym skorzystamy.

C’hu-lo podniósł głowę, odrywając wzrok od sztyletu, który trzymał w dłoni. Wściekłość, którą tłumił w sobie tak długo, bliska była uwolnienia, trudnego do opanowania wybuchu. Zdołał ją jednak powstrzymać, zagonić z powrotem do ciemnych zakątków swego umysłu.

– Co utraciłeś, istotno w ciele człowieka? Co możesz wiedzieć o hańbie?

– Znam ją dobrze – odparł Dahak, wracając do stołu. – Jestem człowiekiem, choć zawarłem straszliwy układ. Skradziono należny mi tron, podobnie jak tobie. Mój brat został zabity, rodzina rozpędzona. Zabrano wszystko, co mi się należy z racji urodzenia. Lecz nie wycofam się w ciemność, będę walczył i wygram. Tak jak ty. Obaj wygramy i będziemy śmiać się z naszych wrogów, gdy staną przed nami w łańcuchach.

– Jaki tron... – Chu-lo zamilkł na moment i odchrząknął. – Jakież to tron należał do ciebie?

– Moje prawdziwe imię to Rustam Parwiz – oświadczył Dahak, a jego twarz zmieniła się lekko, oczy stały się brązowe, skóra nieco pobraźniała, zniknęły także zgrubienia na czaszce. – Moim ojcem był Król Królów, Hormuzd IV. Jestem młodszym bratem, a teraz dziedzicem, wielkiego króla Chosroesa, nazywanego Drugim. Teraz, kiedy on i jego syn już nie żyją, ja jestem ostatnim z rodu. W końcu wstąpię na Pawi Tron i będę rządził Persją jak moi ojcowie. Tak jak ty będziesz rządził T’u-chueh.

Chu-lo drgnął, zszokowany, i nagle nabrał całkowitej, niezachwianej pewności,

że to prawda. Ten pożeracz trupów, ten *lich* o oczach węża naprawdę był królem. Hun wstał, wciąż roztrzęsiony widokiem podarunku, który sam niegdyś złożył w grobie starego przyjaciela, i skłonił głowę przed czarownikiem.

– Stanę u twojego boku, perski królu, jeśli ty staniesz u mojego. Wrócimy na tron, a nasze królestwa odzyskają swą świetność.

– Tak – odparł Dahak z powagą i spokojem. – A naszych wrogów spotka zagłada.

Arad wciąż stał pod ścianą, milczący i nieruchomy. Jego oczy wypełnione były jednak ogromnym, nieopisanym bólem.

JASRIB, ARABIA FELIX

Kurad, kapitan wschodniej bramy, przysłonił oczy, spoglądając na równinę. Z szeregów mekkańskich wojsk oblegających miasto podniosły się krzyki i głosy rogów. Zaalarmowani włócznicy wybiegali z namiotów i chwytali za broń, rozglądając się jednocześnie za wrogiem. Kurad zmrużył oczy i pomyślał z żalem o latach młodości, kiedy chlubił się doskonałym wzrokiem. Spomiędzy ciemnobrązowych wzgórz położonych za linią *wadi* wyjechała galopem grupa kilkudziesięciu jeźdźców. W obozie mekkańczyków zapanowało wielkie zamieszanie. Niektórzy biegli do swych koni, inni chwytali za broń i pędzili w stronę bramy, by powstrzymać pędzących jeźdźców.

– Kapitanie, co to?

Kurad zerknął na bok i ujrzał obok siebie przywódcę plemienia Al-Dżajana.

– Nie wiem, panie. Grupa jeźdźców próbuje przebić się przez mekkańskie linie.

Al-Dżajan także przysłonił oczy i spojrzał na pokrytą kamieniami i piaskiem przestrzeń dzielącą szarozielone mury miasta od palm najbliższej *wadi*.

– Kto to może być? Wszyscy nasi ludzie są w mieście.

Kurad wyduł usta, przebiegając myślą listę wszystkich wygnańców Banu Haszim i ich kuzynów, którzy rządzą tym miastem – drugim co do wielkości miastem Arabii Felix. Nie przychodził mu do głowy nikt, kto mógłby jeszcze do nich dołączyć.

– Nie wiem, panie... – Urwał, gdy Al-Dżajan wyskoczył nagle na szaniec i zaczął wymachiwać rękami, krzycząc:

– Al-Aus! Al-Aus! Tutaj!

Kurad zaklął, wymawiając imię Hubala nadaremnie i sam wychylił się poza osłonę murów. Grupa rozpedzonych jeźdźców przebiła się właśnie przez rozproszone linie mekkańczyków. Byli coraz bliżej i teraz wreszcie kapitan dostrzegł to, co młodsze oczy Al-Dżajana zobaczyły już wcześniej: jeździec przewodzący całej grupie, człowiek młody i silny, sądząc po swobodzie, z jaką prowadził galopującego konia przez pole usiane ostrymi kamieniami, trzymał przy boku sztandar plemienia Ausytów. Kurad zmrużył oczy, przyglądając się czerwono-zielonym kufiom, potem zaklął ponownie i ruszył biegiem w dół schodów prowadzących do strażnicy, przeskakując po dwa trzy stopnie naraz.

Przybycie Al-Ausa było dlań całkowitym zaskoczeniem; Kurad nieraz krzyżował szablę z młodym bandytą podczas plemiennych potyczek, które od jakiegoś czasu stały się prawdziwą plagą Jasribu. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej Chazrodźcy przegnali z miasta Ausytów i ich popleczników, korzystając przy tym z pomocy Haszymidów z południa. Ausyta jednak nie cierpiał mekkańczyków, a serce tego młodego wodza wciąż należało do jego rodzinnego miasta. Kurad wpadł do

zacienionego wnętrza strażnicy.

– Do roboty, chłopcy! Zbliża się tutaj oddział konnicy, to nasi sprzymierzeńcy, trzeba ich wpuścić!

Strażnicy wysypali się z wartowni niczym pszczoły z ula i ruszyli do wielkich drewnianych wrót wschodniej bramy. Kurad wrzeszczał na nich co sił w płucach, zaprowadzał porządek pięścią i butem. Wrota zamykała potężna dębowa sztaba przywieziona przed laty z Fenicji. Piętnastu ludzi próbowało ją teraz podnieść z żelaznych zaczepów.

Tymczasem stojący na murach Al-Dżajan nadal przywoływał jeźdźców, którzy teraz musieli być już bardzo blisko.

Piętnastu strażników zdjęło sztabę i odsunęło się na bok, stękając głucho pod jej ciężarem. Inni, uzbrojeni w miecze i włócznie, ciągnęli ciężkie skrzydła bramy, które przesuwaly się ze zgrzytem po wysypanej żwirze powierzchni drogi. Kurad, trzymając w dłoni obnażony miecz, przepchnął się przez szeregi strażników i wbił spojrzenie w poszerzającą się powoli szparę między skrzydłami bramy.

Za galopującymi Ausytami wznosiła się chmura kurzu. Jeźdźcy pochylali się nisko nad końskimi karkami, wpatrzeni w bramę, za którą czekało na nich bezpieczne schronienie. Mekkańscy łucznicy zdążyli już ochłonać po pierwszych chwilach zaskoczenia i zasypywali uciekinierów strzałami. Raz za razem któryś z galopujących Ausytów padał na ziemię. Ścigali ich także włócznie, wnosząc dzikie okrzyki wojenne. Z południowej części mekkańskiego obozu wyjechał oddział konnicy, był jednak zbyt daleko, by dogonić bezczelnego młodego wodza i jego ludzi.

Brama otworzyła się szerzej. Kurad także napał na ciężkie skrzydło, by poszerzyć przejazd, a jednocześnie wykrzykiwał komendy do swoich ludzi.

– Kiedy przejadą, strzelajcie! – wołał. – I od razu zamknijcie bramę. Mekkańczycy są tuż za nimi.

Podniósł wzrok na zbliżających się jeźdźców. Pędzili jak wiatr, pochylając nisko głowy nad karkami swych wierzchowców, które ociekały potem. Wydawało się, że ściga ich cała armia mekkańczyków biegnących przez jałowe pole. Ich odległy krzyk wojenny przybierał z każdą chwilą na sile, odbijał się echem od potężnych murów miasta.

A-la-la-la-la-la! Ausyci nie zwalniali tempa, kopyta ich koni krzesaly iskry o żwir i kamienie pokrywające drogę przed bramą.

Kurad odskoczył na bok, uśmiechając się szeroko, gdy pierwszy z Ausytów – odważny młody wódz, który nadal trzymał w ręku sztandar swego plemienia – wpadł za bramę i natychmiast zjechał na bok, by zrobić miejsce swoim towarzyszom. Boki konia pokryły się pianą.

W bramę wjeżdżali kolejni Ausyci, rzeka ludzi w czerwono-zielonych szatach, z obnażonymi szablami w dłoniach. Kurad doskoczył do tańczącego w miejscu wierchowca młodego wodza i pochwycił go za uzdę, wołając przyjaznym tonem:

– Witaj, szlachetny wodzu Ausytów! Co za niezwykle spotkanie!

Wódz Ausytów spojrział nań z góry i nie odsłaniając twarzy zakrytej skrajem pustynnej szaty, odrzekł:

– Owszem, to naprawdę niezwykle spotkanie.

Kurad znieruchomiał. Człowiek patrzący nań z siodła miał ciemne oczy koloru mocnej herbaty i bliznę nad prawym okiem. Oczy wodza Ausytów były jasne, niemal tak jasne, jak kamienie pustyni... Kurad zdrzął spazmatycznie, gdy ostrze szabli nieznanego przebiło jego tchawicę. Krew wypełniła mu usta, próbował krzyżeć, wołać na alarm, z jego ust wydobyło się jednak tylko głuche bulgotanie. Runął twarzą na ziemię, pociągając za sobą głowę konia, którego wciąż trzymał za uzdę.

Chalid al-Walid odciął w nadgarstku rękę, która zacisnęła się na uździe jego konia. Dokoła podniosły się krzyki umierających, wściekłe wrzaski walczących i brzęk stali. Jego ludzie przejęli już bramę i spychali obrońców w głąb uliczek prowadzących do miasta.

– Zablokować bramę! – krzyknął do ociekającego krwią wrogów Patika, który wynurzył się właśnie ze strażnicy. Powściągliwy Pers, okryty teraz ciężką, żelazną zbroją, walczył w takich warunkach jak demon. W jednej ręce trzymał okrwawioną maczugę, w drugiej krótki miecz. Żołnierz skinął głową na znak, że zrozumiał rozkaz. Chalid odwrócił się, spoglądając na mury miasta. Uzbrojeni jasribczycy biegli już w stronę bramy i wartowni.

– Za mną – zawołał do swoich ludzi. – Musimy zabezpieczyć mury.

Młody wódz zeskoczył z konia i wbiegł na schody prowadzące na mur, trzymając przed sobą okrwawioną szablę. Dotarłszy na szczyt schodów, uchylił się przed włócznią pierwszego z żołnierzy i ciał go szablą. Spod ostrza trysnęła fontanna krwi, a nieszczęsny jasribczyk krzyknął przeraźliwie. Chalid wyrwał szablę z jego ciała i pchnął go na następnego włócznika. Ten odsunął się na bok i próbował pchnąć włócznią młodego szejka. Chalid zdążył uchylić się przed ciosem, pośliznął się jednak na kamieniach obryzanych krwią pierwszego przeciwnika. Runął ciężko na plecy, a potem otrzymał cios pięścią od umierającego żołnierza.

Chalid próbował odtoczyć się na bok, widząc, jak włócznik oburącz podnosi broń, by zatopić ją w jego trzewiach. Umierający uderzył go ponownie, zaskakująco silnie jak na człowieka bliskiego śmierci. Chalid obrócił się i pochwycił go za ramię, w ostatniej chwili wciągając na siebie jego ciało. Włócznia opadła i wbiła się z paskudnym zgrzytem w ramię umierającego. Chalid poczuł, jak coś zimnego dotyka

jego piersi, a potem zobaczył swoich ludzi wbiegających na mury. Włóczykiew poderwał się do ucieczki, jednak niemal w tej samej chwili runął z krzykiem na ulicę pod murem, przeбитy dwiema strzałami.

Chalid zepchnął z siebie ciało martwego już obrońcy. Czubek włóczyki wbił się w sam środek okrągłego ogniwa, z których spleciona została jego kolczuga. Młody wódz głośno wypuścił z płuc powietrze i wstał, chowając do pochwy szablę. Na murach nadal toczyła się walka, bitewne odgłosy dobiegały już także z samego miasta. Pierwsza kolumna mekkańskiej piechoty przebiegła właśnie przez bramę. Chalid uśmiechnął się do siebie, ogarnięty nagle ogromną euforią. Nie mogąc się dłużej powstrzymać, zaczął skakać w miejscu i krzyczeć z radości.

– Co tu się dzieje? – zagrział Mahomet, zatrzymując się na skraju placu i zeskakując z konia. Towarzyszący mu Dżalal i Szadin pozostali w siodłach i przyglądali się uważnie ludziom zgromadzonym na placu. Obaj Tanuchowie trzymali w rękach łuki gotowe do strzału. Podczas gdy ich wódz przedzierał się przez tłum zgromadzony przed wejściem do świątyni Hubala, oni obserwowali dachy okolicznych domów. Wielu zwycięskich generałów znalazło swój koniec w podbitych miastach. Kolumna uzbrojonych po zęby Tanuchów postępowała także tuż za Mahometem, strzegąc go przed zabójcą ukrytym w tłumie.

Dotarłszy do świątyni, Mahomet wspiął się na schody i zatrzymał nagle, ogarnięty ogromnym gniewem. Dwaj wodzowie sprzymierzonych z nim rodów – Kurajscy z Mekki, sądząc po szatach i zbrojach – krzyčeli na grupę klęczących więźniów. W dłoniach trzymali długie noże, z których jeden ociekał już krwią. Między mekkańczykami a ich niedoszłymi jeszcze ofiarami stał młody Al-Walid z szablą w dłoni. Blask licznych pochodni oświetlających wnętrze budynku odbijał się krwawą łuną w jej ostrzu.

– Co się tu dzieje? – powtórzył Mahomet, podchodząc bliżej. Głowy trzech mężczyzn jak na komendę obróciły się w jego kierunku. – Kto kazał zabić tych więźniów?

Mekkańczyk z zakrwawionym nożem w ręku – Mahomet dopiero teraz rozpoznał w nim jednego ze swych kuzynów – uczynił krok w jego stronę i spojrzał nań oczami gorejącymi nienawiścią. Mahomet słyszał, jak Tanuchowie za jego plecami tworzą szereg.

– Ja, szlachetny Mahomecie. To zabójcy moich krewnych, uciekinierzy z Mekki. Ukrywali się w piwnicach pod świątynią. Są nam i tobie, panie, dłużni całe morze krwi. Ten człowiek... – mekkańczyk kopnął ciało leżące na podłodze – spalił dom mego ojca i zabił tuzin moich sług. Teraz spłacam tylko długi krwi!

Mahomet popatrzył na zbitych w ciasną gromadę jeńców, na ich zakrwawione

i posiniaczone twarze, ich strach, rany, które zadały im już ręce oprawców. Młody wódz, Al-Walid, pochwycił jego spojrzenie i ostentacyjnie schował szablę do pochwy, choć wcześniej wytarł z jej krawędzi zaschniętą krew. Mahomet skinął nań lekko głową, a potem zwrócił się ponownie do swoich ziomków.

– W oczach Allaha, wielkiego i miłosiernego, wszyscy jesteśmy dziećmi i braćmi. Rozkazałem wyraźnie, by oszczędzać jeńców. Ogłosimy amnestię i wielu z nich odzyska wolność, jeśli zgodzą się przyjmując moje warunki i przestrzegać moich praw.

Mahomet zrobił krok do przodu, zatrzymując się tuż przed nieco niższym mekkańczykiem. Przez chwilę obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

– Ci ludzie powinni zapłacić krwią za swoje zbrodnie – warknął mekkańczyk, który wciąż trzymał w dłoni zakrwawiony nóż.

Mahomet skinął powoli głową, nie odrywając jednak wzroku od swojego oponenta.

– Mordercy zostaną ukarani, ale osądzi ich prawo i wielki dobry Bóg. Uważasz się za pana świata, który może brać sprawiedliwość w swoje ręce?

Do świątyni wchodzili kolejni Tanuchowie i mekkańscy żołnierze. Ci ostatni zaczęli gniewnie szemrać między sobą, gdy ujrzeli schwytych zbrodniarzy z ich miasta. Tymczasem kuzyn Mahometa, ujrzawszy w jego oczach coś, co obudziło w nim nagle paniczny strach, wycofał się szybko i skłonił głowę.

– Ci, którzy przestrzegają prawa – mówił Mahomet, odwracając się tak, by jego głos wypełnił całą świątynię – nagrodzeni zostaną Bożym i ludzkim błogosławieństwem. Nie wolno zabijać nikogo, kto nie zostanie najpierw osądzony. Taki jest szarjat – prawo – i wszyscy będziemy go przestrzegać.

Mahomet odwrócił się do jeńców, którzy nadal klęczeli na podłodze, choć kilku Tanuchów zaczęło już zdejmować krępujące ich łańcuchy.

– Bez prawa, które przekazane zostało ludziom przez aniołów Pana świata, jesteśmy zwierzętami. Słyszałem głos Boga przemawiający nad górą i wiem, że jeśli nie będziemy przestrzegać Jego prawa, spotka nas wieczna kara i cierpienie. Nie ośmielam się ustanawiać prawa w Jego imieniu, ale żaden człowiek, który nie miał szansy zdać się na miłosierdzie Boga mieszkającego na pustyni, nie umrze z mojej ręki. Wyprowadźcie tych ludzi z domu fałszywych bożków i próżnych ofiar i pozwólcie, by zostali osądzeni zgodnie z prawami naszego miasta.

Mahomet skinął głową na Tanuchów, którzy otaczali więźniów.

– Zabierzcie ich.

Tanuchowie i Kurajscy stojący w tłumie utworzyli szeroki korytarz, przez który wyszli na zewnątrz uwolnieni więźniowie. Mahomet westchnął i przeciągnął palcami przez brodę. Pasma siwizny, które pojawiły się w niej podczas oblężenia Palmyry,

były coraz liczniejsze i szersze, wiły się w czarnym gąszczu niczym węże w trawie. Wkrótce będą wyglądał jak patriarcha, pomyślał ze smutkiem. A przecież mam dopiero czterdzieści trzy lata... Westchnął, czując, jak po długiej, ciężkiej walce opada nań zmęczenie. Przywołał do siebie młodego Al-Walida.

– Skąd się tu wzięłeś, chłopcze? – spytał. – Myślałem, że jesteś jeszcze w mieście. Wszyscy się już poddali?

– Nie, szlachetny Mahomecie – odparł Chalid, stając obok niego. – Niektóre domy pozostają jeszcze w rękach jasribczyków, ale miasto jest nasze. Prawdę mówiąc, przyszedłem tu, bo myślałem, że urządzisz tutaj... – Chalid ogarnął gestem wnętrze świątyni – swój punkt dowodzenia. Było całkiem puste, jeśli nie liczyć więźniów, których wyciągnięto właśnie z piwnicy.

Mahomet spojrzał na młodego wodza spod przymrużonych powiek.

– Dlaczego nie pozwoliłeś im umrzeć? – spytał, uważnie obserwując jego reakcję.

– Jeńcom? – Chalid wcale nie wydawał się skonsternowany tym pytaniem. – Słyszałem, jak mówiłeś kiedyś o miłosierdziu twojego Boga bez twarzy, więc założyłem, że przynajmniej chciałbyś ich najpierw przesłuchać. Myliłem się?

– Nie – odrzekł Mahomet, usatysfakcjonowany odpowiedzią młodzieńca. – Doskonale się dzisiaj spisaleś. Dzięki tej maskaradzie przy wschodniej bramie zdobyliśmy miasto.

Wczesnym rankiem, kiedy Mahomet zebrał na naradzie swych kapitanów i wodzów, propozycja młodego najemnika, by zdobyć miasto podstępem, wywołała spore zamieszanie. Mekkańscy przywódcy rodów, których ludzie stanowili trzon armii stworzonej przez Mahometa do zdobycia kryjówki morderców jego córki, uważali to za czyste szaleństwo. Mahomet jednak spędził już zbyt dużo czasu na murach i umocnieniach – wciąż nie mógł opędzić się od wspomnień długiej, wyczerpującej bitwy o Miasto Jedwabiu. Nie chciał też narażać swej armii, złożonej z tak wielu rywalizujących ze sobą frakcji i odłamów, na czasochłonną i żmudną operację pod murami Jasribu. Poza tym, pomyślał z uśmiechem, sam wpadłbym na podobny plan, gdybym tylko miał odrobinę czasu na myślenie.

– To prawda, każdy musi to przyznać – odrzekł Chalid, wielce z siebie zadowolony. – Choć przez chwilę, kiedy pędziliśmy do tej bramy, wątpiłem, czy się uda. Bałem się, że się zorientują... a wtedy nie byłoby mi do śmiechu! A co teraz, szlachetny Mahomecie? Skoro miasto jest już nasze... wracamy do Mekki?

Mahomet rozejrzał się dokoła, patrzył na obszerny hol i górujący nad nim wielki, rzeźbiony posąg Hubala, na kosztowne zasłony i drewniane płyty zdobiące ściany świątyni. Zrobiło mu się niedobrze, kiedy pomyślał, ile czasu i wysiłku włożyli w to jasribczycy, łudząc się złudną nadzieją, że zapewni im to po śmierci miejsce w raju.

– Wszystko to... – szeptał do siebie – to pułapka... Szatan mówi ludziom w snach o bogactwie i chwale. Ich wiara odwraca się od prawdziwego Boga, ich miłość i honor giną w pustce... – Przez moment zmagął się ze łzami napływającymi mu do oczu, w końcu jednak uspokoił się i wyciszył.

– Panie? – Chalid wciąż czekał na jego odpowiedź.

– Zburzcie to – powiedział Mahomet, podnosząc głowę. – Nie zostawcie kamienia na kamieniu.

TRZYNASTA DZIELNICA, AWENTYN, ROMA MATER

Spomiędzy brzegów rany sączyła się obficie krew. Maksjan, blady jak ściana, trzymał dłoń nad głębokim rozcięciem. Przełknął z trudem ślinę, starając się ze wszystkich sił zachować świadomość. Jego dłoń otaczały bladozielone wyładowania i iskry. Z rany wypłynęła żółta surowica, w którą natychmiast uderzył zielony płomień. Maksjan wziął głęboki oddech i zacisnął pięść. Spomiędzy brzegów rany wychynał długi na pięć palców odłamek skalny, otoczony aureolą zielonego ognia. Gdy tylko wysunął się z żołądka Kristy, odleciał w bok, uderzając z trzaskiem o ścianę. Maksjan oparł się ciałem dziewczyny, resztką sił nakłaniając wolę do zszycia brzegów rozszarpanej rany.

Skóra na brzuchu Kristy nasunęła się na swoje miejsce, zakrywając okrwawione rozcięcie. Krew wsiąknęła w ciało, nadając mu znowu gładkość i jędrność właściwą młodości. Książę osunął się na podłogę, kompletnie wyczerpany.

Gajusz Juliusz wstał ze zjedzonej przez mole sofy, z której przyglądał się poczynaniom Maksjana. Teraz podniósł go delikatnie z podłogi i wziął na ręce. Obrócił się bokiem, by przejść obok stołu, na którym leżała Krista, i przeniósł księcia do sąsiedniego pokoju. Stało tu coś, co przypominało łóżko, choć poprzedni właściciel spędzał w nim chyba bardzo mało czasu. Samo mieszkanie położone było na piątym piętrze rozpadającej się insuli na Awentynie. Jediną jego zaletą był widok z balkonu, jeśli ktoś odważył się wejść na zjedzone przez robactwo deski, połączone przegniłymi linami. Było też dość daleko od smrodu wydobywającego się z pralni na parterze, dzięki czemu dało się w nim normalnie oddychać.

Gajusz ułożył swego pana na łóżku, okrył kołdrą i przyłożył dłoń do jego czoła. Książę miał wysoką gorączkę, niemal parzył. Stary Rzymianin zmarszczył brwi – gdyby Maksjan był przytomny, z pewnością potrafiłby się sam uleczyć. Jak jednak miał zrobić to teraz, kiedy leżał w malignie? Sytuacja była trudna i wymagała delikatnego działania.

– Będzie żył? – spytał Aleksander od drzwi. W dłoni trzymał dzban z winem, a na jego ramieniu wisiał sznur kiełbas. Młodzieniec uśmiechał się promiennie, co ogromnie zirytowało Gajusza. Dla niego wspinaczka po tych długich schodach była męcząca, nawet jeśli ciało nie odczuwało bólu tak wyraźnie jak za życia.

– Mam nadzieję, bo od tego zależy nasz los. Żadnego sera? Oliwek? Orzechów ani fig? Ani nawet słodkiej cebuli?

Aleksander uśmiechnął się ponownie i pokręcił głową. Postawił dzban z winem na podłodze i zawiesił kiełbasę na gwoździu wbitym w belkę podtrzymującą dach.

– Nie chodziłem daleko. Na rogu jest rzeźnik, a w najbliższej okolicy nie

widziałem żadnych sklepów ani straganów z jedzeniem.

Macedończyk rozejrzał się dokoła i uśmiechnął kwaśno.

– To jest twoja kryjówka? – spytał, wskazując na dziury w dachu i ptasie odchody pod okapem.

– Wynajmuję to za bardzo małe pieniądze – warknął Gajusz Juliusz. – Właściciel jest cesarskim urzędnikiem, więc nie będzie się nikomu chwalił, że tu jesteśmy. – Rzymianin wyciągnął nóż i odkroił kawałek kielbasy. – Zresztą i tak nie będziemy tu długo siedzieć. Dziewczyna wkrótce dojdzie do siebie; zdaje się, że teraz śpi. Gdy tylko nasz pan się obudzi, pójdziemy stąd.

Aleksander usiadł, rozparł się wygodnie i przyglądał przez chwilę posilającemu się Rzymianinowi. Po jakimś czasie potarł brodę i spytał:

– Dlaczego to robisz?

– Niby co? – Gajusz popił winem ostatni kawałek kielbasy. Nie był to dobry trunek; jeśli sądzić po smaku, nie pochodził z winnic Lacjum. Może z Sycylii. Czuć było w nim nieprzyjemny, toporny posmak.

– Jesz. Pijesz. Śpisz. Wszystkie te rzeczy, na które tracisz czas.

Gajusz Juliusz spojrział na młodzieńca spod zmarszczonych brwi. Czasami myśli rodzące się za tymi niebieskimi oczami wprawiały go w wielkie zdumienie.

– Bo to konieczne – odburknął. – Musisz jeść, pić, a czasami nawet spać.

Aleksander uśmiechnął się, odsłaniając śnieżnobiałe zęby.

– Niekoniecznie – odrzekł spokojnym tonem. – Już kilka miesięcy temu przekonałem się, że w naszym obecnym stanie nie potrzebujemy snu. Kielbasa, którą przed chwilą zjadłeś, potrzebna jest tylko do tego, żebyś mógł ją później wydalić.

Gajusz skrzywił się, mówiąc:

– Nie wierzę ci. Szok, jaki przeżyliśmy ostatnio, całkiem pomieszał ci w głowie, choć prawdę mówiąc i wcześniej nie miałeś w niej dobrze poukładane.

Aleksander pochylił się do przodu, opierając dłonie na kolanach.

– Spróbuj. Dziś wieczorem, kiedy Wołosi i ta dziewczyna pójdą spać, nie poddaj się Morfeuszowi. Po prostu nie zasypiaj – to takie proste! Przekonasz się, tak jak i ja się przekonałem, że nie będziesz już nigdy musiał spać. Dokucza ci tylko wspomnienie głodu, pragnienia czy zmęczenia. Te stany nie są już rzeczywiste. Nie dla nas.

Krista jęknęła cicho. Gajusz Juliusz wstał i stanął u jej boku. Dziewczyna uniosła powoli powieki i spojrzała nań z konsternacją.

– Był jakiś pożar... – powiedziała cicho. – Coś mnie uderzyło.

– Tak – odrzekł stary Rzymianin, łagodnie podtrzymując jej głowę. – Stary dom został zniszczony. Uciekliśmy w ostatniej chwili. Los uśmiechnął się do nas, moja

droga.

– Gdzie jesteście? – Krista rozejrzała się dokoła, pocierając oczy. Potem skrzywiła się z odrazą, gdy w jej nozdrza uderzył zapach wypełniający pokój. – W kolejnej świetnej kryjówce, jak widzę.

Gajusz Juliusz wzruszył ramionami i rzucił jej starą pomarańczową tunikę, którą znalazł w sypialni.

Krista uniosła brwi zaskoczona, włożyła jednak ubranie.

– Dziękuję – powiedziała, spuszczając ze stołu opalone nogi. – Jesteśmy w mieście?

– Tak – odparł Aleksander ze źle skrywaną irytacją. – Nasz drogi rzymski przyjaciel uznał, że powinniśmy wrócić do jaskini wroga, zamiast odpocząć trochę w jakimś odległym miejscu, na przykład w Nowej Kartaginie na wybrzeżu Hiszpanii czy też w Tyrze w Fenecji.

Krista odwróciła głowę, krzywiąc się z bólu, który towarzyszył temu ruchowi.

– Dlaczego?

Gajusz Juliusz przewrócił oczami. Chyba nikt prócz niego nie dostrzegł w tym logiki.

– W czasie, gdy odprawialiśmy obrzędy, dom zaatakowali pretorianie – burknął. – Widziałem ich ciała. Dzięki łaskawości bogów, Chiron zdołał ich powstrzymać. Ale to oznacza, że ludzie cesarza nas szukają i nasze podobizny zostały rozesłane po całym kraju. – Przerwał na moment i spojrzał znacząco na Kristę. – Przyczyniła się do tego szczególnie twoja była pani, księżna Parmy. Jeśli więc mamy kontynuować ten idiotyczny plan księcia, możemy to robić tylko w jednym miejscu. Tutaj, w środku miasta, ukryci pomiędzy milionem ludzi. Ta kryjówka daje nam więcej możliwości, niż kiedykolwiek mielibyśmy na prowincji.

Krista skinęła głową. Miała nudności i okropnie bolał ją żołądek; kiedy go jednak dotknęła, nie poczuła większego bólu. Pokręciła głową, później jednak uświadomiła sobie, że zna to uczucie. Efekty działania jego mocy, pomyślała. Musiałam być bliska śmierci.

– Gdzie jest książę? – spytała głośno, spoglądając na Aleksandra, a potem na starego Rzymianina.

– Tutaj! – odparł szybko Gajusz, odciągając zasłonę kryjącą wejście do sypialni. – Ma wysoką gorączkę. Śpi.

Krista zsunęła się ze stołu i omal nie runęła na podłogę, gdy ugięły się pod nią miękkie jak galareta nogi. Stała przez chwilę, dysząc ciężko, a potem zdołała powoli dojść do drzwi. Sposepniała, ujrawszy bladą, rozgorączkowaną twarz księcia.

– Potrzebujemy pomocy – powiedziała, rozglądając się po pokoju

w poszukiwaniu jakichś sandałów. – Pójdę do świątyni Asklepiosa i sprowadzę kapłana. Wy przynieście jedzenie i picie lepsze niż te pomyje, którymi się żywicie. Idźcie na targ przy cyrku i kupcie mięso, pomarańcze lub cytryny i świeży czosnek.

Gajusz Juliusz i Aleksander wymienili zaskoczone spojrzenia, potem jednak wzruszyli ramionami. Mieli własne plany i wyjście do miasta było im na rękę.

– Cóż – powiedziała Anastazja de'Orelia, wchodząc do pokoju. – Przynajmniej żyjecie.

Jusuf wstał i uklonił się nisko, zapraszając księżną gestem do zajęcia miejsca. Uśmiechnęła się, spoglądając mu na moment w oczy, a potem usiadła, poprawiając ciemnozielone suknie, tak by nie pomięły się zbyt. Jej mały jasnowłosy cień ustawił się dyskretnie za rzeźbionym oparciem krzesła. Jusuf oparł się o ścianę w miejscu, gdzie dwie części fresku rozdzielał drewniany słupek. Nauczył się już, że stare malowidła łatwo się ścierają pod zbyt mocnym naciskiem.

Nikos, uwięziony w łóżku pod dwiema warstwami kołder i grubych koców, próbował skinać głową w geście powitania. Połowa jego głowy owinięta była bandażami, zakrywającymi rany, które odniósł w lawinie błotnej. W odsłoniętym oku Hira błyskał gniew. Nienawidził wylegiwać się w łóżku. Gdy był dzieckiem, babcia nauczyła go, że ludzie umierają w łóżku na różne choroby, unikał go więc jak ognia – oczywiście z wyjątkiem tych sytuacji, kiedy łóżko nie służyło mu do spania czy odpoczynku.

– Żyję – warknął – i to dzięki temu barbarzyńcy. Gdyby nie on, usmażyłbym się jak skwarek!

Anastazja odwróciła się i uśmiechnęła ponownie do Jusufa. Tego dnia nosiła włosy ułożone wysoko na głowie i spięte cienkim sznurem pereł oraz szpilkami o diamentowych główkach. Dzięki owej fryzurze i doskonale skrojonemu gorsetowi okrywającemu jej ciało wyglądała naprawdę olśniewająco. Obszerny dekolt i długa smukła szyja nie uszły uwagi chazarskiego księcia, który odpowiedział na jej uśmiech promiennym uśmiechem, rzadko goszczącym na jego pociągłej, ponurej twarzy. Nikos jęknął w duchu. Od sześciu lat pracował w różnych „zespołach specjalnych” księżnej de'Orelia. Zaczynał jako zwykły żołnierz, jeden z szeregowych członków zespołu. Nim został podwładnym Thyatis i wprowadził ją we wszelkie tajniki służb, sam był przez jakiś czas dowódcą zespołu. On także uważał, że księżna jest piękna, ale pamiętał zawsze o słowach swego ojca, który lubił mawiać, że dla własnego dobra chłopci nie powinni nigdy ugniatać winogron z arystokratami. Jego ojciec, niech go Mitra ma w swej opiece, był bardzo mądrym człowiekiem.

– Pani? – Nikos odchrząknął uprzejmie.

Księżna odwróciła się, wydymając wargi w kapryśnym grymasie, który tylko on mógł zobaczyć, potem jednak spowaźniała. Nikos odetchnął z ulgą, zdecydowanie bowiem wolał to surowe i rzeczowe wcielenie księżnej.

– Mam tu listę strat – oświadczyła, mierząc Hira stalowym spojrzeniem.

– Zginęło szesnastu ludzi, samych weteranów, a dom został zniszczony przez...

– Księżna odwróciła pergamin do światła i uniosła lekko brwi – przez coś, co potraficie opisać tylko jako *ignis dracorus*.

– Tak, pani – odrzekł Nikos, który po długich zmaganiach zdołał wreszcie wypłatać się z koców i prześcieradeł. Odetchnawszy z ulgą, podniósł się na łokciach i oparł plecami o ścianę. Starał się nie myśleć o dokuczliwym bólu przenikającym lewą połowę ciała. – Skrzydlate stworzenie długości niemal stu stóp, z ogonem i płaską trójkątną głową. Wynurzyło się z płonącego domu i odleciało. Widzieli je nasi ludzie, którzy zostali z końmi na wzgórzu. Miało skrzydła jak ogromny nietoperz; pani, nie śmieję się ze mnie, naprawdę tak było.

Księżna zakryła usta wypięlegnowaną dłonią. Na jej palcach błyszcząły lazuryty, rubiny i szmaragdy osadzone w białym złocie i srebrze. Paznokcie pokrywał zielony lakier dopasowany do koloru sukni. Widząc poważną minę Nikosa, opanowała się i skryła uśmiech.

– Widziałem to, pani. To nie było przywidzenie. W tym domu krył się ktoś potężny, jakiś czarownik o ogromnej mocy, który uciekł przed nami na smoku. Przybyliśmy tam odrobinę za późno...

– Nie – przerwał mu Jusuf, ignorując księżną, która otwierała właśnie usta, by coś powiedzieć. Przez moment na jej twarzy pojawił się gniewny grymas, potem jednak zniknął, zastąpiony uprzejmym uśmiechem. – Przybyliśmy na czas – mówił Chazar posepnym tonem – ale nie mogliśmy pokonać ich strażnika. Dzięki niemu mieli dość czasu, by uciec przed nami.

– No tak... – Księżna pokiwała głową, także posepniejąc. – Potwór.

– Więcej niż potwór – dodał Nikos. – Maszyna do zabijania; może coś z afrykańskich lasów albo z Dalekiego Wschodu. Stworzenie, które uwielbia polować i zabijać. Czekало na nas – na kogokolwiek – i urządziło rzeź, która sprawiała mu wielką przyjemność.

Księżna skinęła głową. Utrata pretorianów była dotkliwym ciosem. Miała do swej dyspozycji tylko kilkudziesięciu ludzi, których większość zginęła podczas tej nieszczęsnej operacji za miastem. Zaciśnęła palce na nasadzie nosa, zastanawiając się.

– Gdyby... gdybyście spotkali jeszcze to stworzenie, świadomi jego możliwości, moglibyście je pokonać?

Nikos spojrział na Jusufa, który pokręcił ze smutkiem głową. Twarz Hira sposepniała.

– Pani, to stworzenie pokonało dwudziestu doświadczonych żołnierzy. Było szybsze niż jakikolwiek człowiek... jakakolwiek istota, z którą kiedykolwiek walczyłem. Nawet gdyby była tam Thyatis... nie mielibyśmy szans.

Anastazja znów uniosła lekko brwi.

– Myślisz, że Thyatis nie dałaby mu rady? – Księżna przekrzywiła lekko głowę, przyglądając się Nikosowi niczym żuraw smakowitej żabie. – Ona, która jest najlepsza z nas wszystkich?

Nikos poczerwieniał i otarł pot z czoła, a potem skinął powoli głową.

– Na pewno nie w pojedynku jeden na jednego. Może gdybyśmy zastawili jakąś pułapkę, przygotowali plan... złapali to coś podczas snu...

– Zastanowimy się nad tym później – przerwała mu księżna, obracając się na sofie tak, by mogła widzieć obu mężczyzn. – Nie dostrzeżliście nikogo innego? Żadnych innych ludzi w domu? Ani śladu naszego informatora?

Jusuf pokręcił głową.

– Nie – odrzekł. – Tylko burzę, ogień i zwłoki. Wszyscy, którzy jeszcze żyli, uciekli jak lis z kurnika.

– Przepraszam – wyszeptał Maksjan, ściskając dłoń Kristy, która przysiadła na skraju jego łóżka. – Znow omal cię nie zabiłem.

Krista uśmiechnęła się i pokręciła głową. Poprawiła włosy księcia, a potem przyłożyła dłoń do jego czoła. Nie był jeszcze całkiem zdrowy, ale nie miał już wysokiej temperatury.

– Cóż, myślę, że mogę ci wybaczyć, panie, skoro znow byłeś u mojego boku, by w porę mnie uratować.

Uśmiechnęła się ponownie i położyła dłoń na policzku Maksjana, poprawiając drugą ręką kołdrę na jego ramionach. To łóżko było przynajmniej znacznie lepsze niż ta nora na Awentynie, do której zabrał ich Gajusz. Za jej namową jeden z kapłanów Asklepiosa przyszedł obejrzyć nieprzytomnego Maksjana. Człowiek ów – przysadzisty mężczyzna z krótką gęstą brodą – wcale nie wydawał się zaskoczony faktem, że chory patrycjusz leży w pomieszczeniu przypominającym raczej chlew niż normalne mieszkanie. Bez słowa przyjął też złote aureusa, którego Krista wcisnęła mu w dłoń. Księżna powtarzała jej zawsze, że ciężkie, czerwone złoto czyni cuda, nawet wśród tych najuczciwszych i najpobożniejszych. Książę odzyskał przytomność, a potem sam już dokończył dzieła uzdrowienia.

– Czy coś się wydarzyło, kiedy leżałem w gorączce? – spytał cicho. – Czy Gajusz i Aleksander czują się dobrze?

Krista zmarszczyła brwi zaskoczona.

– Co masz na myśli? – spytała. – Wyglądali na całych i zdrowych, byli tylko trochę zmęczeni. Początkowo z trudem mogli utrzymać się na nogach, ale to minęło.

Książę skinął głową i próbował usiąść. Widząc, że nie podoła temu zadaniu, Krista przyłożyła dłoń do jego piersi i delikatnie pchnęła go z powrotem na łóżko.

Znaleźli schronienie w jednym z licznych domów należących do księżnej. Krista była przekonana, że z tego nikt nie korzystał co najmniej od roku. Dom stał przy wąskiej, brukowanej ulicy na zboczu Janikulum, za murami miasta na zachód od Tybru, w „dobrej” dzielnicy.

Dobrej na burdele, podejrzane świątynie i domy Lotofagów, pomyślała Krista, uśmiechając się do siebie. Na tyłach domu mieścił się ogród ze wspaniałym widokiem na miasto rozłożone na wzgórzach po drugiej stronie rzeki. Przy dobrej pogodzie widać stąd było nawet świątynie na Kapitolu i Forum Romanum. Dom był dość obszerny, by pomieścić także jej Wołochów, którzy do tej pory kryli się na wysypisku śmieci na południe od miasta. No i jest tu spora łazienka, pomyślała, wdychając do siebie. Z cudownie gorącą wodą...

– Bałem się – przemówił książę, uspokoiwszy oddech – że coś im się stało, kiedy nie mogłem utrzymać tarczy wokół nas. Co z pozostałymi?

Krista pokręciła głową, z jednej strony uradowana, że udało im się uciec ze zrujnowanego domu, z drugiej zaś niezadowolona, że pod płonącymi ruinami nie zginęły pewne istoty budzące jej odrazę.

– Abdmachus nie zdążył uciec – powiedziała cicho. – Musiał zginąć, kiedy zawalił się sufit piwnicy. Zginęli też wszyscy słudzy, których tam zgromadził; perscy śpiewacy i ci dziwni nabatejscy mnisi. Uciekła tylko nasza czwórka i Wołosi, którzy schronili się przed burzą we wnętrzu Machiny.

– A homunkulus? – wyszeptał książę, odwracając wzrok. – Czy Chiron też uciekł?

Krista wzruszyła ramionami.

– Ja też byłam nieprzytomna, książę. Nie wiem, czy dotarł na czas do Machiny czy też nie. Ale jest teraz tutaj, w piwnicy tego domu. Śpi albo tylko leży z zamkniętymi oczami.

– Gdzie jest Machina? – Na twarzy księcia malowała się głęboka troska.

– Nic jej się nie stało?

– Nie – odparła Krista, z trudem kryjąc irytację. Czy mężczyźni potrafią myśleć tylko o swoich zabawkach? Czy w ogóle nie liczyło się to, że stary Pers – jego przyjaciel – nie żyje? – Ze słów Gajusza wynika, że Machina zaniósła nas w bezpieczne miejsce, daleko na morze, gdzie nikt nie mógł nas widzieć. Musieliśmy

mieć jednak dostęp do jedzenia i wiadomości, więc Gajusz kazał jej wrócić na wybrzeże. Teraz leży w ukryciu gdzieś na bagnach Ostii, z dala od drogi.

– Dobrze. – Książę skinął głową. Jego umysł zaczął się wreszcie budzić, a myśli wróciły do czekającej go rozprawy. – Przyrowadź do mnie Gajusza i Macedończyka. Musimy podjąć odpowiednie kroki, byśmy mogli pracować oddzielnie, z dala od siebie.

Krista westchnęła, widząc, że nawet tak dramatyczne przeżycia nie odwiodły księcia od niemożliwego zadania. Gniew zmagął się w niej z ponurą rezygnacją, stłumiła jednak te uczucia. Słuchała w milczeniu i zgodnie z poleceniem księcia zapisywała wszystkie jego uwagi na woskowych tablicach, teraz jednak wydawał jej się jeszcze bardziej odległy niż ostatnio, niemal całkiem obcy.

Potem zeszła na dół, by odszukać dwóch truposzy. W jej sercu dojrzało mocne postanowienie – gdy w końcu nabrało ostatecznego kształtu, zrobiło jej się lekko na duszy, jakby zniknęły wszystkie jej troski.

Galen, cesarz Zachodu, skrzywił się, niczym mały chłopiec, przed którym postawiono talerz szpinaku.

– To jest obrzydliwe – powiedział, odpychając od siebie srebrną tacę. – Co zrobiłeś z kucharzami, bracie? Zabiłeś ich wszystkich i zamieniłeś na tresowane małpy? – W talerzu pełnym gęstego pomarańczowego sosu pływały cienkie płaty ryby.

Aurelian podniósł wzrok znad swego talerza, na którym jeszcze przed chwilą leżały podobne filety. Jego broda poplamiona była pomarańczowym sosem. Brat cesarza otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Nie smakuje ci? – spytał, przeżuując ostatni kęs. – Jest doskonale przyprawione!

– Otóż to – odparł Galen lodowatym tonem. – Ta ryba była kiedyś smaczna, ale jej smak został zabity przez taką ilość pieprzu, tymianku i bazylii, że nie czuję tu nic... prócz pieprzu, tymianku i bazylii. Proszę, bracie, powiedz mi, że tylko zmieniłeś instrukcje dla kucharzy, a nie samych kucharzy.

Aurelian pokręcił głową i przywołał jednego ze służących, którzy kryli się w drzwiach komnaty. Czarny jak smoła Nubijczyk w białej szacie podszedł szybko do stołu i zebrał puste talerze. Cesarz i jego brat siedzieli w półkolistej sali, która została dobudowana do oryginalnego pałacu Sewera przez któregoś z późniejszych cesarzy – Decjusza czy Filipa Araba. Okna komnaty wychodziły na wschodni kraniec Forum i szereg świątyń prowadzących w górę wąskiej doliny do wielkiego gmachu Koloseum. Galen postanowił zjeść tutaj kolację ze względu na dogodne położenie sali

– nie docierały tu zapachy kuchenne ani nieustanna krzątanina wypełniająca niżej położone części pałacu.

– Będiesz to jadł? – Aurelian spoglądał łakomie na jego talerz z rybą. Cesarz wzdrygnął się lekko, oddając swą kolację, a potem przyglądał się z fascynacją, jak jego brat pochłania dodatkową porcję. Widząc, że ten wcale nie ma jeszcze dość, pchnął w jego stronę misę z miodowymi rogalikami. Czuł się nieco dziwnie, powróciwszy do tego miejsca, do pałacu, który traktował raczej jak przedłużenie biura niż prawdziwy dom. Domem była stara willa w Narbonie albo nawet letnia rezydencja w Kume. Kiedy opuszczał pałac, wyjeżdżając na kampanię przeciwko Persom, nie myślał o panujących w nim porządkach ani o zwyczajach mieszkańców. Teraz przekonał się, że jego brat zmienił wszystko, dopasował do swoich potrzeb. Służący, przyzwyczajeni do zmiennych upodobań kolejnych cesarzy, podporządkowali mu się bez słowa sprzeciwu, Galen musiał więc przywrócić wszystko do poprzedniego stanu.

Gniewne spojrzenia, które rzucał swojemu bratu, nie robiły na nim żadnego wrażenia, Aurelian był bowiem bez reszty pochłonięty opychaniem się miodowymi rogalikami.

Jeden z gwardzistów siedzących tuż za rogiem, przy drzwiach komnaty, wstał i gwizdnął cicho. Galen podniósł wzrok, spoglądając na piasek przesypany się w klepsydrze. Tak jak się spodziewał, księżna przybyła dokładnie o czasie. *Ani o jedno ziarno za wcześnie, ani o jedno za późno*. Galen próbował zapomnieć o nieufności, z jaką odnosił się do tej kobiety, było to jednak trudne. Bardzo trudne.

Otworzyły się drzwi i do komnaty weszła Anastazja. Na spotkanie z cesarzem i jego bratem ubrała się w prostą białą suknię – tradycyjny helleński chiton z matowego jedwabiu, barwionego sproszkowaną skorupą uchowca. Na stopach miała małe złote sandały z wąskimi paskami, które opasywały jej nogę w kostce. Zatrzymała się kilka kroków przed stołem cesarza i uklękła, zginając głowę w niskim ukłonie.

– Auguście Galenie. Cezarze Aurelianie. To dla mnie zaszczyt.

Jej włosy, starannie ufryzowane i ułożone na ramionach w pozornym nieładzie, coś Galenowi przypominały. Księżna wstała i uśmiechając się, przeszła kocim krokiem do krzesła ustawionego na krańcu stołu. Usiadła, podwinąwszy pod siebie nogi, i wyjęła dwa pergaminowe bloki.

Książę zmrużył oczy, ujrzawszy błękitne ozdoby na jej szyi i rękach.

– Ach... – powiedział, uśmiechając się. Przypomniał już sobie, gdzie uprzednio widział taki układ włosów i klejnotów. – *Aphrodite Anadyomene* Apellesa. Bardzo pomysłowe i doskonale zrobione.

Księżna odpowiedziała mu olśniewającym uśmiechem. Ich spojrzenia spotkały

się na moment, potem księżna spuściła skromnie oczy. Złożywszy razem dłonie, niczym uczennica przejęta komplementem nauczyciela, odpowiedziała:

– Masz bystre oko, panie. Pochwała z twoich ust jest dla mnie największym zaszczytem.

Galen zerknął na Aureliana i uśmiechnął się w duchu, widząc, że jego brat nie rozumie aluzji i stara się tego nie okazywać. Przez moment miał ochotę podokuczać nieukowi, odłożył jednak tę przyjemność na później. Mieli jeszcze dużo pracy, a robiło się już późno.

– Jakież to zmartwienia przynosisz nam dzisiaj, pani? Nadeszły może jakieś wieści ze Wschodu?

Anastazja ułożyła sobie pergaminy na kolanach i usadowiła się wygodniej.

– Auguście, mam zacząć od danych o zbiorach kukurydzy czy od intryg na wschodnim dworze?

Galen westchnął ciężko. Czekał ich długi i męczący wykład.

– I wreszcie – mówiła Anastazja zmęczonym głosem – kwestia księżniczki Szirin, wdowy po królu Chosroesie, wnuczki zmarłego niedawno kagana Chazarów Ziębiła, która przebywa w ukryciu wraz ze swymi dziećmi. Nie otrzymałam żadnych informacji, które wskazywałyby na to, że wróciła do swoich rodzinnych stron nad Morze Kaspijskie ani że padła ofiarą agentów Wschodniego Biura Barbarzyńców.

Księżna odłożyła pergaminy na stół. Spojrzała śmiało w oczy cesarza, oboje byli już bowiem bardzo zmęczeni i myśleli raczej o swoich łóżkach niż o zawilosciach dworskiego protokołu.

Galen przetaił oczy i gestem nakazał jednemu ze sług, by dołożył dREW do kominka. Robiło się chłodno. Nubijczyk wykonał jego polecenie, a potem zamknął wysokie okna i zaciągnął zasłony. Gdy już to zrobił, Galen dźgnął drzemiącego Aureliana widelcem do mięsa, który został na stole po obiedzie.

– Obudź się, koniu, jeszcze nie skończyliśmy. Pozostaje jeszcze pewna sprawa, która bardzo mnie martwi, pani. Chodzi o mojego brata...

Pretorianin strzegący zewnętrznych drzwi zerwał się na równe nogi i sięgnął po *gladins*. Zaalarmowany tym nagłym ruchem Galen wstał i zrzucił z ramion płaszcz, uwalniając prawą rękę. Aurelian błyskawicznie stoczył się z sofy i wyciągnął z pochwy swój kawaleryjski *spatha*. Miecz leżał ukryty pod sofą przez cały wieczór. Galen, rzecz jasna, wiedział o tym, w takich sprawach jednak całkowicie ufał swemu bratu. Anastazja zamknęła usta i siedziała nieruchomo.

Ktoś zapukał do drzwi, mocno, natarczywie.

Pretorianin obrócił się, wciąż trzymając w dłoni obnażony miecz, by zobaczyć, czego życzy sobie cesarz.

Galen odsunął się od stołu i skinął głową. Większość zabójców, pomyślał, nie trzusi się pukaniem.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł szczupły, zmęczony mężczyzna ubrany w płaszcz z kapturem i zniszczone skórzane buty. Mężczyzna odrzucił kaptur na plecy, przeciągając ręką przez długie brązowe włosy, i zatrzymał się raptownie, zaskoczony obrazem, który ujrzał.

– Przepraszam – powiedział Maksjan, rozglądając się ze zdumieniem dokoła. – Nie wiedziałem, że macie tu zebranie.

Galen głośno wypuścił powietrze z płuc, a Aurelian schował *spatha* do pochwy.

– Prosiaku – przemówił średni brat z niezadowolaniem. – Znowu przegapiłeś kolację!

Galen, który miał już na języku ostre słowa, zatrzymał się raptownie i spojrział na swego brata z niesmakiem.

– Niczego nie przegapił – warknął. – Teraz może przynajmniej zjeść deser – bez pieprzu!

Maksjan przyglądał się swym braciom, czując, jak znika żelazna obręcz ściskająca jego serce, choć do tej pory nawet nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia. Roześmiał się głośno, ogarnięty ogromną ulgą. Aurelian, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, wyszedł zza stołu i zamknął Maksjana w niedźwiedzim uścisku, podnosząc go nad ziemię.

– Au! – krzyknął książę, czując, jak brat zgniata mu kości. – Uważaj! Jestem tylko człowiekiem, a nie jednym z twoich wielkich koni!

– Za to, że zawsze spóźniasz się na kolację – odrzekł Aurelian, odwracając się i sadzając brata na krańcu sofy, obok krzesła księżnej.

Maksjan podniósł wzrok, uśmiechając się do rudowłosego olbrzyma, a potem odwrócił głowę, składając lekki ukłon księżnej. Anastazja przywołała na twarz uśmiech i odpowiedziała ukłonem na ukłon, choć na widok młodego księcia serce zaczęło jej bić jak szalone. Maksjan odwrócił się i skłonił swemu najstarszemu bratu, jednak ten w odpowiedzi tylko zmierzwił mu włosy.

– Jesteś okropnym dzieckiem! – przemówił szorstkim tonem, szalenie podobnym do tonu ich ojca. – Martwiliśmy się o ciebie – dodał. – Żałowałem słów, które powiedzieliśmy sobie w Albanii, w obozie legionów.

Maksjan spojrział mu w oczy i skinął głową.

– Ja też żałuję tego, co powiedziałem. Byłem bardzo zmęczony i zbyt przejęty własnymi planami.

– Nieważne – odrzekł Galen, zbywając tę kwestię machnięciem ręki. Cesarz usiadł i skinął na służących ukrytych za zasłonami. Natychmiast pobiegli do kuchni,

by donieść jedzenie. – Dobrze się czujesz?

Maksjan znów przygasł, wracając po krótkiej chwili wytchnienia do trudnej rzeczywistości. Spojrzał na Aureliana i księżną – miał nadzieję, że zastanie swego starszego brata samego – i odpowiedział krótko:

– Żyję. – W jego głowie kłębiła się cała masa niespokojnych myśli. Zamierzał poinformować Galena, co już zrobił i jakie są jego plany. Nie mógł jednak zrobić tego w obecności Aureliana i Anastazji, tym samym bowiem wydałby na nich wyrok.

– Ta sprawa, o której ci wspominałem. Mówiłeś o tym komuś? – Maksjan wskazał ledwie dostrzegalnym ruchem głowy księżną i Aureliana.

Galen odpowiedział równie nieznacznym pokręceniem głowy i zmrużył oczy, intensywnie się nad czymś zastanawiając.

Maksjan przygryzł wargę, zbierając w myślach słowa, które musiał za chwilę wygłosić.

– Więc proszę cię, bracie, byś nadal tego nie robił. – Najmłodszy książę odwrócił się do Anastazji i Aureliana, spoglądając na nich z troską. – Wybaczenie, drodzy przyjaciele, nie chciałbym was zranić ani obrazić. To bardzo delikatna kwestia. Gdy tylko będę wam mógł o tym powiedzieć, nie narażając was na niebezpieczeństwo, z pewnością to zrobię. Niestety, na razie może o tym wiedzieć tylko Galen.

Księżna, uprzejma jak zawsze, skłoniła głowę w geście zrozumienia, łudząc się jednocześnie nadzieją, że paniczny strach wypełniający jej serce nie jest widoczny dla nikogo z zewnątrz. Enigmatyczne komunikaty Kristy przesyłane z willi skłoniły ją najpierw do najazdu na dom za miastem, a potem – po klęsce tego projektu – do odkopania zasypanych piwnic. Ciała, które wydobyli stamtąd jej ludzie, nawet zniszczone przez spadające gązdy i ogień, zdradzały gorzką prawdę o obrzędach i czynach związanych bez wątpienia z czarną magią. Ten młody człowiek, z którym wiązała tyle nadziei, zadawał się teraz nie tylko z odwiecznymi wrogami państwa, ale i z ciemnymi mocami. On sam, jeśli wierzyć raportom, dysponował ogromną siłą.

– Tajemnica to rzecz bardzo delikatna – rzekła swobodnym tonem, choć ręce pociły jej się ze zdenerwowania. – Często zależy od nich ludzkie życie. Auguście Galenie, pozwolisz, że was opuszczę. Jest już późno, a ja mam jeszcze dużo pracy. Cezarze Aurelianie, odprowadzisz mnie do lektyki?

Aurelian skrzywił się lekko, wstał jednak i skłonił przed księżną.

– Oczywiście, szlachetna pani.

Anastazja wstała ze swego miejsca, złożyła ponownie ukłon obu braciom i wyszła dystyngowanym krokiem z komnaty. Aurelian człapał za nią, wsadziwszy kciuki za pas. Kiedy już zniknęli za drzwiami, Maksjan opadł ciężko na sofę, wyczerpany.

– Znalazłeś broń, której szukałeś? – Galen pochylił się do przodu, pozwalając, by

długie włosy opadły mu na twarz. – Co stało się po tym, jak uciekłeś z obozu?

Maksjan zachichotał, rozbawiony typową dla swego brata szczerością, która graniczyła z arogancją. Potem potarł skronie i westchnął ciężko.

– Myślałem, że znalazłem... Wróciłem z nią tutaj. Chciałem ją wypróbować, ale... nie udało się. Widziałeś mnie w swoich snach, kiedy zmagalem się z przysięgą?

Galen podniósł głowę, zastanawiając się nad tym pytaniem. Na statku, pomyślał, przypominając sobie jakiś odległy obraz... tak, jego twarz na końcu długiego szarego tunelu.

– Chyba tak – odpowiedział w końcu. – Ale to nieważne, skoro, jak rozumiem, sytuacja nie uległa zmianie.

– Niestety, nie – odparł Maksjan z posepną miną. – Narażałem siebie i innych na próżno. To jest wyjątkowo potężne!

Galen podniósł rękę, wrócili bowiem służący. Kiedy odeszli ponownie, stół pomiędzy dwoma braćmi dosłownie uginał się pod ciężarem jedzenia i picia. Cesarz, który postanowił wrócić do zasady stoickiego umiaru, przysunął sobie tylko miskę ze świeżymi wiśniami w śmietanie i miodzie. Maksjan, który przez chwilę sycił się samym widokiem jedzenia, przystąpił bez oporów do dzieła zniszczenia. Galen przyglądał mu się z uśmiechem. W końcu, niemal po godzinie, młody książę opadł na sofę, pojękując z przejedzenia.

– Omal zapomniałem, jak smakuje dobry posiłek – powiedział, wpatrując się w sufit. – Nie wiem, co robić, bracie.

Galen odstawił pustą miskę.

– Nie możesz tego zostawić? Odejść i pozwolić, by toczyło się własnym rytmem? Maksjan pokręcił głową i usiadł prosto.

– Nie – odrzekł. – Teraz jesteśmy wrogami. Jeśli chcę żyć na terenie cesarstwa, muszę zwyciężyć. – Uderzył pięścią w kolano. – Zwycięstwo dałoby nam tak wiele!

Galen otarł usta serwetą i pochylił się do przodu.

– Jesteś jeszcze młody, masz przed sobą mnóstwo czasu. Czy możesz się bronić dość skutecznie, by mieć czas na zastanowienie, na planowanie? Może wystarczy ci kilka miesięcy. Teraz jesteś wyczerpany i ranny. Zbierz siły i spróbuj podejść do tego od innej strony.

Maksjan skinął głową, uśmiechając się cierpko.

– To prawda – westchnął, pochylając głowę. – Jestem bardzo zmęczony. Musi być jakiś inny sposób...

Galen wstał, ukradkiem rozpinając klamrę na pochwie sztyletu. Przeszedł obok stołu i jeszcze raz zmierzwił bratu włosy. Maksjan wstał i uściskał brata, kładąc na moment głowę na jego ramieniu. Potem odsunął się od niego, gotowy do wyjścia.

– Jedź do Domu Letniego – powiedział Galen w zamyśleniu. – Do Kurne. Teraz nikogo tam nie ma. Leży na uboczu, nikt nie będzie cię niepokoił. Jedź tam i trochę odpocznij. Tylko zabierz ze sobą dobrego kucharza! Potem wróc do mnie, porozmawiamy, może razem obmyślimy jakiś plan.

Maksjan uśmiechnął się i skinął głową.

– Dziękuję, bracie, tak zrobię. Odpoczynek i czas są dla mnie jak złoto... to królewski dar.

Galen odpowiedział uśmiechem, choć gdy Maksjan odwrócił się do drzwi, oczy cesarza były zimne jak stal. On widział przerażenie na twarzy księżnej. Jego brat był niebezpieczny. Bardzo niebezpieczny. Choć ta myśl przepełniała go bólem, wiedział, że czasami cesarz nie może dźwigać brzemienia, jakie stanowi zbłąkany brat. Odprowadził Maksjana do wyjścia i pożegnał go na oświetlonym podwórzu.

Młody książę zniknął w ciemności nocy, odprowadzany zatroskanym spojrzeniem cesarza.

– Kusimy los i bogów – szeptał Aleksander do ledwie widocznego w ciemnościach Gajusza Juliusza. Tym razem obaj mieli na sobie czarne ubrania: tuniki i długie płaszcze z kapturami. Gajusz Juliusz wysmarował ich twarze i dłonie sadzą, nie oszczędzając nawet złotych loków Aleksandra. – Sprowadzimy na siebie nieszczęście, niepokojąc duchy biblioteki.

Gajusz Juliusz uśmiechnął się, błyskając w ciemnościach zębami.

– To bardzo radosna chwila, mój młody przyjacielu. Zgodnie z tradycją zawartość tego miejsca należy do ciebie, pociesz się więc myślą, że odbierasz tylko skradzioną własność. Rzym cię ograbił, zabierając twoje dziedzictwo, teraz ty odbierasz je z powrotem!

W ciemności otaczającej drzwi poruszał się jeszcze jeden cień. Homunkulus obmacywał zamki, szukając zimnymi palcami miejsca, od którego najłatwiej byłoby zacząć dzieło zniszczenia. Po chwili obrócił głowę, a Aleksander poczuł dreszcz atawistycznego strachu, ujrzawszy żółty blask gadzich oczu potwora.

– Mam – oświadczył Chiron ponurym głosem. Gajusz Juliusz przemknął do korytarza, wyglądając na ciemną, opustoszałą ulicę. Dokoła wznosiły się budynki Forum, oblane bladym blaskiem księżyca. Z drugiej strony korytarza wyrastał ogromny mur, oddzielający kolumnady i świątynie Forum od ciasno zabudowanych slumsów Subury na północy. Mur przeciwpożarowy, zbudowany z cegły i obłożony tanim kamieniem od strony Forum, miał sto stóp wysokości i niemal milę długości. Gajusz i jego towarzysze stali właśnie pod tylnymi drzwiami niewielkiego, kwadratowego budynku położonego u podnóża muru, na tyłach potężnego gmachu

Świątyni Pokoju.

– Cicho, cicho – wyszeptał Gajusz Juliusz, gdy ciszę przerwało trzaskanie krzemienia. Po chwili w ciemności pojawił się maleńki punkt światła, przytłumiony blask lampki zamkniętej w osłonie. Rzymianin przysunął ją do zamków i masywnej płyty drzwi. Dłoń Chirona, o cętkowanej, szarej i niemal przezroczystej skórze, pod którą wyraźnie rysowały się poszczególne mięśnie i ścięgna, zawisła naprzeciwko większego zamka. – Czasu mamy sporo, ale nie możemy hałasować. Edylowie czasami patrolują tę okolicę.

Aleksander drgnął, zaniepokojony, później jednak uśmiechnął się w duchu. Ich przeciwnikiem były zwykle drzwi, a nie wojownik uzbrojony w ostry miecz i tarczę. Mimo to jego dłoń sięgnęła do rękojeści krótkiego, prostego miecza, który kupił na jednym ze straganów ustawionych wzdłuż rzeki. Stary Rzymianin o wyblakłych oczach śmiał się z tej broni. Ostrze jest za długie, drwił. Aleksander nie zwracał nań uwagi; wciąż miał w pamięci zaciętą bitwę w strumieniach deszczu, podczas której omal nie stracił życia od ostrza takiego miecza, próbując podnieść się z gęstego czerwonego błota. Westchnął i pokręcił głową, odsuwając od siebie te wspomnienia. To było w bardzo odległej przeszłości.

– Teraz – syknął Juliusz, przekonany, że ulica jest pusta.

Chiron napiął mięśnie, a obłożony żelazem czubek jego palca wbił się w czarne drewno nad zamkiem. Dębowa deska odgięła się na bok, lecz Chiron pochwycił mechanizm zamka drugą ręką. Rozległ się przeraźliwy pisk, a Gajusz zatkał sobie uszy przerażony i wykrzywił twarz w paskudnym grymasie. Homunkulus zignorował go i przy akompaniamencie zgrzytów i trzasków wyrwał zamek z drewna.

– Proszę – powiedział grobowym tonem, wręczając Gajuszowi szczątki zamka. – Drzwi są otwarte.

Chiron wsunął rękę w otwór powstały po zamku, nie zważając na wystające z niego drzazgi i gwoździe, sięgnął do środka i otworzył zasuwę.

– To było właśnie to, co nazywam dyskretnym działaniem – mruknął z kwaśną miną Gajusz, podnosząc lampę i otwierając drzwi. Ciemny pokój ukryty za drzwiami był pełen kurzu i zapachu starości. Aleksander zmarszczył nos i rozejrzał się dokoła. W bladym świetle lampki widział zarysy wielu półek podzielonych na małe przegródki. W każdej z przegródek leżały zakurzone zwoje i księgi.

Aaach... – westchnął Gajusz, wchodząc do pokoju. – Prawdziwy skarb, a to przecież dodatki. Chodźcie szybko, musimy przejść do głównej sali i wejść na piętro. Chironie, za mną. Aleksandrze, podjedź tu wozem.

Aleksander skrzywił się z niesmakiem. Przez chwilę nie mógł zdecydować, co jest dlań ważniejsze: urażona duma czy ulga, że nie musi bezcześcić świątych

zbiorów biblioteki. Przestań, przykazał sobie w duchu. Gajusz wie, gdzie są księgi, a Chiron może dźwigać wielkie ciężary. Choć nadal boleśnie odczuwał zniewagę, jakiej jego zdaniem doznał ze strony starego Rzymianina, postanowił cierpliwie czekać, przynajmniej przez jakiś czas. Minęło już bardzo dużo czasu, odkąd po raz ostatni stał na warcie. Uśmiechnął się do siebie w ciemności, pomyślawszy, że dzięki rzymskiemu księciu udało mu się oszukać bogów.

Zamieniłem starość na sławę, rozmyślał. A jednak jestem tutaj, młody i, być może, nieśmiertelny. Omal nie roześmiał się głośno, w porę jednak przypomniał sobie o swoim zadaniu i zachował milczenie, wpatrzony i wsłuchany w ciemność nocy.

Anastazja przetarła znużone z niewyspania oczy. Wzdychając ciężko, odłożyła na bok raporty swego wywiadowcy z Akwilei. Powrót cesarza do stolicy wcale nie zmniejszył brzemienia ciężących na niej obowiązków, teraz musiała bowiem jak najszybciej poinformować go o wszystkich istotnych wydarzeniach, jakie zaszły w Cesarstwie Zachodnim podczas jego nieobecności. Księżna spojrzała na okno, za którym widać już było pierwsze promienie słońca wstającego zza gór. Miasto pogrążone było we śnie, ona jednak jeszcze nie miała okazji zażyć odpoczynku tej nocy. Betia spała smacznie na sofie, zwinięta w kłębek i okryta kocem. Anastazja uśmiechnęła się i wstała z krzesła, przemarznięta od nocnego chłodu. Podniosła grubą wełnianą szal zawieszony na oparciu krzesła i okryła nim ramiona. W domu panowała cisza, nawet z kuchni wypełnionej zazwyczaj brzękiem naczyń i paplaniną kucharek nie docierał żaden dźwięk.

Wkrótce, pomyślała księżna, wszyscy wstaną, a dom ożyje muzyką i głosami moich służących. Zamknęła drzwi gabinetu, starając się nie budzić Betii. Podłoga korytarza była zimna, lecz Anastazja nie miała siły, by włożyć sandały. Zeszła na dół, wędrując przez ciemność niczym błądy duch, mijając pokoje, w których spał Jusuf i inni Chazarowie – ich głośne chrapanie przywołało na jej twarz uśmiech. Zatrzymała się na moment przy wejściu do pokoju dzieci, uchyliła lekko drzwi i zajrzała do środka. Wszystkie leżały na jednym łóżku, tworząc płataninę rąk, nóg i zmierzwionych włosów.

Śliczne maleństwa, pomyślała, uśmiechając się czule. Ich matka musi być naprawdę piękna.

W kuchni było niemal całkiem ciemno, tylko w głównym piecu tlił się jeszcze przytłumiony żar. Księżna pochyliła się nad paleniskiem, dołożyła garść chrustu i rozdmuchała żar, pozwalając, by niewielki płomyk ogarnął suche gałęzie.

Zapaliła jedną z lampek stojących na stole i ziewnęła. Nieprzespane noce coraz bardziej ją męczyły, musiała jednak przyznać, że nieco zaniedbała swe obowiązki

w czasie, gdy cesarstwem rządził Aurelian. Nie wymagał od niej tyle, co Galen; przyjmował wszystko, co mu dawała, bez dyskusji i komentarzy. To było dla niego za duże brzemię, pomyślała, nalewając sobie wina do miedzianego kubka. Nie był jeszcze na to gotowy. W zasadzie jednak średni brat radził sobie całkiem nieźle, choć gdyby miał objąć władzę na stałe, księżną czekałby naprawdę ogrom pracy.

Pogrzebała w wiklinowych koszach zawieszonych nad stołami i wyciągnęła z nich kilka gruszek i kawałek chleba. *Ha! Co powiedziałyby moje kucharki, gdyby zobaczyły, jak bałaganę w ich kuchni o tej porze?* W schłodzonym ceramicznym naczyniu przy tylnych drzwiach było jeszcze trochę masła, które księżna zawinęła wraz z innymi produktami w serwetę. Tak zaopatrzona, ruszyła z powrotem na schody. Wydawały jej się teraz znacznie bardziej strome niż poprzedniego wieczora, kiedy wróciła do domu; wciąż ogarniał ją strach na wspomnienie chwili, gdy w komnacie cesarza pojawił się Maksjan.

– I pomyśleć tylko – powiedziała głośno – że jeszcze w zeszłym roku miałam go za takiego miłego młodzieńca...

Zatrzymała się na szczycie schodów, usłyszawszy pukanie dochodzące z korytarza. Stała przez chwilę nieruchomo, nasłuchując. Słyszała, jak jej gwardziści podnoszą się z miejsc i odkrywają wizjer w drzwiach.

Po chwili dobiegły ją przytłumione głosy i zgrzyt otwieranych drzwi. Odwróciła się i zeszła ze schodów. Gdy dotarła do drzwi, zobaczyła trzech zaspanych strażników rozmawiających z jakimś zdenerwowanym, młodym mężczyzną. Zmarszczyła gniewnie brwi, uspokoiła się jednak, ujrawszy obnażone miecze w rękach dwóch strażników. Trzeci zamykał właśnie drzwi za niespodziewanym gościem.

– Kim jesteś, chłopcze? Co sprowadza cię do mojego domu o tej porze?

Barbarzyńca podniósł na nią wzrok, który przejął ją dziwnym dreszczem. Jego oczy wydawały się ogromne i błyszczące; kiedy zamrugał powiekami, dziwne uczucie minęło. Miał długie, zmierzwione włosy, czarne jak atrament i lśniące jak powierzchnia wody, w której odbijało się światło lamp zawieszonych przy drzwiach. Ubrany był w wyszywaną kamizelkę nałożoną na grubą koszulę z białej bawełny i pantalon z grubej wełny typowe dla Gotów i Germanów. Był bosy, wydawało się jednak, że przedporanny chłód wcale mu nie dokucza.

– Jestem Anatol – powiedział z silnym cudzoziemskim akcentem. – Przynoszę wiadomość od mojej pani, szlachetnej Kristy. Kazała mi się spieszyć; proszę, muszę szybko wracać, nim ktoś zauważy moją nieobecność.

Usłyszawszy jego głos, Anastazja zrozumiała, że jest bardzo młody; miał zapewne nie więcej niż trzynaście lat. Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią, zaintrygowana zwłaszcza wspomnieniem „szlachetnej pani Kristy”, postanowiła jednak zająć się tą sprawą później.

– Nie będziemy cię zatrzymywać – powiedziała, dotykając ręki chłopca. – Jak brzmi twoja wiadomość?

Anatol skłonił się nerwowo i wyjął kawałek pergaminu z kieszeni kamizelki. Wcisnął list w dłoń księżnej, dotykając jej nadgarstka długimi, ostrymi paznokciami. Znów spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się, skłaniając lekko głowę.

– Powiesz szlachetnej pani Kriście, że często o niej myślę i że brakuje mi jej towarzystwa. – Skinęła głową na strażnika. – Otwórz drzwi i wypuść chłopca. Musi się spieszyć.

– Dziękuję, szlachetna pani – odrzekł chłopiec i zniknął w półmroku. Księżna jeszcze przez chwilę słyszała jego kroki oddalające się w głąb ulicy. Odwróciła się od drzwi i rozwinęła list, choć przez chwilę miała ochotę tego nie robić, ogarnięta złymi przeczuciami.

„Pani – pisała Krista swym mocnym, kanciastym charakterem. – Jestem z księciem, wróciliśmy do miasta. Wkrótce wyjeżdżamy na południe. Mówi, że do Kurne, ale ja w to nie wierzę. Jest niebezpieczny, ma też potężne sługi, musisz więc pani bardzo na niego uważać. Nie zaniecha swych planów”.

Anastazja syknęła, czując, jak znów spada na nią wielkie brzemię. Schody prowadzące do jej gabinetu wydawały się teraz strome jak nigdy dotąd, czuła się też bardzo samotna. Krista, Tros, Thyatis – wszyscy wciąż jej służyli, nie mogła jednak liczyć na słowa otuchy z ich ust.

KONSTANTYNOPOL

Nikolas przepychał się przez tłum, poprawiając od czasu do czasu kwietny wianek na głowie. Ogromna ludzka masa wypełniająca Forum Konstantyna huczała jak wzburzone morze. Nikolas nigdy dotąd nie widział tylu ludzi zgromadzonych w jednym miejscu. Energia tłumu – pijanego radością i poczuciem ulgi – była zaraźliwa, uderzała do głowy niczym najlepsze wino. Tuż za nim szedł uśmiechnięty od ucha do ucha Władimir, który niósł na ramionach pulchną blondynkę. Dziewczyna zanosila się śmiechem, wino ciekło jej po brodzie i plamiło ubranie. Nicholas też miał dziewczynę, ta jednak przytulała się mocno do jego pleców. Tłum opływał ich niczym ogromna fala, odpychał od szeregu kolumn okalających forum.

Nikolas obejrzał się przez ramię na Władimira. Ręce wojownika z północy zaciskały się na gładkich udach dziewczyny. Nikolas podniósł głowę, krzycząc coś do swego towarzysza, ten zaś uśmiechnął się szeroko i odparł bezgłośnie: *Nie słyszę cię!* Zgiełk bawiącego się tłumu skutecznie zagłuszał wszystkie inne odgłosy. Gdzieś po drugiej stronie ogromnego kręgu forum maszerowali zwycięscy żołnierze. Ich wypolerowane zbroje lśniły jasno w słońcu, nad głowami unosił się gąszcz włóczni i lanc.

Bogowie także błogosławili ten dzień, obdarzając mieszkańców miasta piękną pogodą. Południowy wiatr przegnał chmury i dym bijący z ognisk Awarów. Słońce stało wysoko na niebie, oblewając złotym blaskiem rozradowane miasto, wabiąc ludzi do udziału w największej hulance, jaką tu kiedykolwiek widziano. Tego dnia do Konstantynopola miał wkroczyć cesarz, okryty majestatem chwały i zwycięstwa, by pobłogosławić wiwatujący na jego cześć lud. Armia już od trzech dni rozładowywała pełne łupów okręty, lecz cywilne władze miasta błagały cesarza, by poczekał ze swym przybyciem, aż odpowiednio się do tego przygotują.

Teraz wreszcie to czynił, a mieszkańcy miasta przyjmowali go z otwartymi ramionami.

Nikolas przecisnął się obok wozu wypełnionego dzbanami z winem. Kupiec ustawiony z tyłu drewnianej platformy nie mógł nadażyć z podawaniem dzbanów ciskającym się wokół niego ludziom. W powietrzu migotały monety rzucane przez spragnionych obywateli. Kupiec śmiał się bez ustanku, czerwony i zlany potem, podczas gdy jego pomocnicy – dwaj chudzi chłopcy – starali się wyłapywać i zbierać denary. Nikolas dotarł do ściany ozdobionej szyldem warsztatu krawieckiego i odwrócił się, biorąc rudowłosą dziewczynę w ramiona. Uśmiechnęła się do niego i powiedziała coś. Nikolas odpowiedział uśmiechem i wzruszył ramionami. Zgiełk setek tysięcy ludzi, krzyczących, śpiewających, dających upust długo hamowanej radości, zagłuszał wszystko, co mówiła do niego dziewczyna. Nie tracąc więc dłużej

czasu, przyciągnął ją do siebie i pocałował. Dziewczyna odpowiedziała żarliwym pocałunkiem, wsunęła palce w jego włosy i przywarła doń mocno.

Władimir przysunął się do niego i krzyknął mu prosto do ucha:

– Ona mówi, że mieszka niedaleko stąd!

Nikolas skinął głową, choć wcale nie miał ochoty wyjmować rąk spod tuniki rudowłosej dziewczyny.

Władimir odwrócił się i ruszył w dół ulicy, prowadzony przez dziewczynę, która wymachiwała bukłakiem z winem niczym sztandarem.

Nikolas z ociąganiem ruszył ich śladem, pchając rudowłosą piękność przed sobą i trzymając dłonie na jej brzuchu. Ciasno przytuleni, przepychali się przez tłum.

Z balkonów spadał deszcz kwiatów i kolorowych kawałków papieru, któremu towarzyszył głos gongów, trąb i *bucinae*. Konstantynopol nie zamierzał kłaść się spać tej nocy.

– Proszę, panie, musisz wyjść i pozdrowić tłum. Musisz złożyć w ofierze byka.

Herakliusz wzdrygnął się, ujrawszy nad sobą okrągłą twarz kapłana Bonusa.

Przesunął się powoli na drugą stronę lektyki, choć nawet ten prosty ruch sprawiał mu ogromny ból. Zza wiklinowych ścian lektyki dochodziły go krzyki tłumu. Choć został wniesiony do miasta w zamkniętej lektyce, wiedział, że na forum zebrał się ogromny tłum. Na samą myśl o tym, że musiałby wyjść z lektyki, poczuł straszliwy ból w nogach, promieniujący na całe ciało, robiło mu się słabo. Cesarz Wschodu wbił zęby w dłoń, próbując stłumić krzyk bezsilnej złości na własną bezradność. Jego ręce były już całe w bliznach.

– Autokratorze. – Zamiast twarzy kapłana u wejścia do lektyki pojawiło się poznaczone bliznami oblicze Rufia. – Będziemy wszyscy u twojego boku, panie. Nie pozwolimy ci upaść.

Cesarz skrzywił się, widząc gniew i determinację w czarnych oczach gwardzisty. Omal nie zapłakał, pomyślawszy o bólu, którego miał za chwilę doświadczyć. To miał być najwspanialszy dzień w jego życiu, odkupienie za długie lata zmagania i klęski, których doświadczał od czasu zrzucenia z tronu szaleńca Fokasa.

Tymczasem krył się w ciemnościach lektyki, jakby blask słońca budził w nim strach i odrazę. W rzeczywistości, choć nie przyznawał się do tego przed sobą samym, nie chciał pokazywać się Bonusowi ani komukolwiek innemu. Dolne partie jego ciała były zniekształcone, rozsadzone złośliwą opuchlizną. Z trudem chodził i nie mógł znieść dotyku żadnych ubrań prócz najdelikatniejszych, cienkich tkanin. Jego nogi w niczym nie przypominały tych sprzed kilku miesięcy. Szare i rozdęte, wyglądały jak zbyt mocno wypchane kiełbasy.

Ale to ma być największy dzień mojego życia, łątał się w myślach. Dzień

triumfu, jakiego nie doświadczył żaden inny cesarz Rzymu! Po stuleciach walki Persja została wreszcie rzucona na kolana! To jest mój dzień, mój błogosławiony dzień!

Rufio, mrużąc coś pod nosem, wsunął do lektyki muskularne ramię. Herakliusz krzyknął z bólu, gdy centurion z kamienną twarzą wziął go na ręce i wyniósł z lektyki. Słońce chyliło się już powoli ku zachodowi, a jego promienie oblewały złotym blaskiem otwartą przestrzeń atrium świątyni, w której stanął cesarz. Dokoła wznosiły się potężne marmurowe kolumny obłożone złotem. Stali na stopniach świątyni bóstwa Sol Invictus, tej samej, która przed wiekami sławiła Zeusa Pankratora. Przed nimi ciągnęły się marmurowe kolumnady długości kilkuset stóp. W prostokątnej apsydzie świątyni lśnił jaskrawy dysk bóstwa, podświetlany blaskiem południowego słońca. Tysiące arystokratów, ich żony, kapłani, ambasady plemion spoza cesarstwa – wszyscy czekali stłoczeni za szeregami uzbrojonych gwardzistów. Wszyscy milczeli.

Herakliusz postawił stopy na ziemi, kryjąc grymas bólu. Od marmurowego ołtarza ustawionego pod lśniącym dyskiem słońca dzieliło go jeszcze sto dwadzieścia stóp. Chodnik prowadzący do ołtarza wyłożony był grubym fioletowym dywanem zdobionym złotą nicią. Cesarz zrobił pierwszy krok, podtrzymywany dyskretnie przez Rufia. Oparł się na nim mocniej, próbując jak najbardziej odciążyć nogi. Mimo to ból był nieznośny. Gdy uczynił kolejny krok, łzy napłynęły mu do oczu i pociekły strużką po policzkach. To jest mój dzień! – krzyczał w myślach Herakliusz, próbując zapanować nad bólem. Mój dzień.

Zrobił następny krok.

Kobieta z twarzą zakrytą ciemnym jedwabnym woalem stanęła na szczycie małej świątyni Hekate Zwycięskiej i spojrzała na tłum kłębiący się w dole. Promienie słońca tańczyły na lśniącej powierzchni jej bogatych, grubych szat. Kobieta uśmiechała się cierpko. Dzieci *a'ha-tri'tsu* wypełniały szczelnie okolice starego Akropolu i tereny okalające świątynie młodych bogów, jednak żadne z nich jej nie zauważyło. Dach świątyni Hekate ozdobiły liczne posągi bogini, zapewniające kobiecie doskonałą kryjówkę.

Krzyki tłumów, które wyległy na ulice miasta, wyrwały ją ze snu i ściągnęły do tego miejsca. Spojrzała w dół, na cierpiącego tego dnia króla, który powoli podchodził do ołtarza. Uśmiechnęła się, wyczuwając truciznę i trawiącą go chorobę. Zastanawiała się, przysłaniając oczy przed blaskiem zachodzącego słońca, który z jego sług zwrócił się przeciwko niemu. Kto wlał złote krople do jego wina albo włożył lśniące białe kryształki do jego mięsa? Nawet z tej odległości czuła odór jego strachu.

Człowiek bez przyszłości, pomyślała, czerpiąc przyjemność z jego bólu. Kolejny, który wkrótce opuści ten przystanek na Wielkim Kole.

Odziana w czerń kobieta odwróciła się i znikła w cieniu rzucanym przez jeden z posągów świątyni. Uśmiechnęła się do siebie, myśląc o tłumach wypełniających ulice miasta i o uczcie, jaka w związku z tym czekała ją po zapadnięciu zmroku. Rozchyliła wargi, odsłaniając różowy język i ostre białe kły. Ból przenikał jej ciało, wiedziała jednak, że wkrótce go uśmierzy, rozkoszując się strachem umierających śmiertelników. Niczym duch przemknęła między posągami i ruszyła w dół schodów prowadzących do głównej nawy świątyni Hekate i niżej, do piwnic pod budynkiem.

Nikolas szedł chwiejnym krokiem przez korytarz, przytrzymując się jedną ręką ściany. W pokoju za jego plecami spała rudowłosa dziewczyna, zaplątana w koce i prześcieradła swego wygodnego łóżka. Pochrapywała lekko, wyczerpana. Przez chwilę Nikolas stał bezradnie w ciemności, szukając po omacku drzwi, które, jak pamiętał, powinny znajdować się w tym właśnie miejscu. Wreszcie udało mu się je odszukać i wyszedł na klatkę schodową. Teraz przypomniał sobie, że jest w dwupiętrowym domu z taniej cegły i nieheblowanego drewna, położonym przy zachodnim krańcu hipodromu. Nie była to elegancka dzielnica, lecz gdzie indziej mogłyby bez problemu zamieszkać dwie atrakcyjne młode szwaczki?

Zstępując ze schodów, Nikolas czuł przyjemne zmęczenie, wracał myślą do gorącej, wilgotnej skóry rudowłosej kobiety, do jej kuszących ust i ciała. Po chwili dotarł do wspólnej łazienki na parterze i omal nie rozbił sobie głowy o niskie nadproże. Odsunął ciężką zasłonę i wszedł do korytarza oddzielającego umywalnię po lewej stronie od toalet położonych na prawo.

Usłyszał jakiś dźwięk, dziwne jęczenie, i odwrócił się, sięgając odruchowo po miecz.

Nie miał miecza; Brunhilda została na górze, zawieszona na poręczy wielkiego drewnianego krzesła. Niedobrze, zdążył pomyśleć Nikolas, a potem znieruchomiał i otworzył szeroko oczy.

W łazience był Władimir, ubrany jedynie w przepaskę biodrową, pochylony nad nieruchomym ciałem jasnowłosej dziewczyny. W bladym świetle lampki wiszącej w korytarzu jej skóra wydawała się trupio blada. Nikolas syknął zaskoczony i cofnął się o krok. Władimir odwrócił się do niego. Jego wielkie ciemne oczy błyszczały w świetle lampy niczym dwa księżyce. Twarz, piersi i dłonie miał poplamione krwią. Bezwładne ciało dziewczyny, z którą spędził noc, leżało do połowy zanurzone w dużej kamiennej wannie. Jej rozszarpane gardło pokryte było na wpół zakrzepłą krwią.

Władimir zamrugał powiekami, w jego oczach pojawił się błysk świadomości,

a z ust zniknął wściekły grymas. Nikolas przyglądał się zafascynowany, jak jego towarzysz ociera krew z ust i lśniący białych zębów. W przytłumionym świetle wydawało się, że jego ciało i głowę porasta krótka sierść. Nawet dłonie mężczyzny były dziwnie powykęcane.

– *Władimir?* – *Nikolas sięgnął ręką do tyłu, odszukując krawędź drzwi, wciąż oszołomiony winem i zmęczeniem. – Co się stało?*

Władimir pokręcił głową, a potem rozejrzał się dokoła, odzyskując świadomość. Zmarszczył brwi i położył dłoń na futrynie drzwi łazienki.

– Gdzie ja jestem? – spytał nieco bełkotliwym głosem. – Pamiętam kobietę z włosami jak blade złoto...

Nikolas zaklął szpetnie, używając słów, które niegdyś wypowiedział przy nim pewien rzymski kapitan, ujrawszy łodzie wikingów zbliżające się do jego kupieckiego statku. Podszedł do przodu i pochwycił przyjaciela za ramię.

– Chodź – warknął – musimy się stąd wynosić.

Władimir skinął głową, wciąż oszołomiony, ruszył jednak jego śladem, przeskakując podobnie jak Nikolas po dwa, trzy stopnie naraz. Umysł najemnika pracował gorączkowo, szukając najlepszego wyjścia z tej sytuacji. Jedyne, co możemy zrobić, uświadomił sobie, zatrzymując się przed wejściem do pokoju rudowłosej dziewczyny, to uciec stąd jak najszybciej, i liczyć na to, że ta była zbyt pijana, by zapamiętać nasze twarze.

Pochwycił spodnie Władimira leżące na drugim łóżku i wcisnął mu je w ręce.

– Ubieraj się, mamy mało czasu.

Władimir skinął tylko głową i zaczął je wkładać. Na szczęście rudowłosa wciąż pogrążona była w głębokim śnie. Krew pokrywająca pierś Władimira kapiała na podłogę, znacząc ją małymi czerwonymi kropkami.

– Wynocha! – wrzasnął powtórnie Herakliusz, rzucając porfirową wazą w kapłana. Świątobliwy mąż uciekł, a waza roztrzaskała się o ścianę. Cesarz rozejrzał się dokoła, szukając następnego pocisku. Pozostali kapłani, którzy chcieli wejść do jego komnaty, uciekli, nie czekając nawet na dalszy rozwój wypadków. W komnatach zajmowanych przez Herakliusza panowały ciemności, rozpraszone tylko przez jedną, przygasającą świeczkę. Cesarz zgasił wszystkie pozostałe światła, by nie widzieć swoich spuchniętych nóg i rozdętego podbrzusza. Leżąc w ciemnościach, wciąż mógł wierzyć, że jest normalnym mężczyzną. Płacząc bezgłośnie i ciągnąc za sobą beużyteczne nogi, wrócił do łóżka. Nawet w takich chwilach, kiedy uczucia podrywały go do działania, nie mógł zapomnieć o straszliwym bólu przeszywającym dolne partie ciała. Dysząc chrapliwie, zdołał wsunąć się na łóżko i obrócić na plecy.

Leżał przez chwilę nieruchomo, wpatrzony w ciemny kształt baldachimu zawieszonoego nad łóżkiem. Wiedział, że gdyby było jasno, baldachim z błękitnego aksamitu wyglądałby jak pogodne niebo, teraz jednak przypominał tylko ciemną plamę. Z korytarza dochodziły gniewne głosy. To jego doradcy spierali się między sobą. Cesarz próbował się podnieść, słyszał bowiem nieufne i buntownicze nuty w ich głosach. Przedtem w ryzach trzymała ich tylko jego wola. Teraz więzy utrzymujące kraj w całości zaczęły słabnąć.

Fala straszliwego bólu, który znów objął nogi, pozbawiła go na moment oddechu. Cesarz zadrżał i opadł z powrotem na poduszki, by pozostać tam w bezruchu przez dłuższy czas.

Po chwili głosy za drzwiami ucichły. Cesarz zasnął, uciekając przed rzeczywistością w marzenia senne.

– Panie?

Herakliusz podniósł głowę. Wołał go Rufio, prócz Teodora jedyny człowiek, który się go nie bał. W bladym świetle lampy, którą trzymał w ręku centurion, jego poznaczona bliznami twarz wyglądała groźnie i złowieszczo.

– Panie? Cesarzowa Martyna czeka na zewnątrz. Chce cię widzieć. Mam ją wprowadzić?

– Nie! – odparł Herakliusz bez namysłu, ogarnięty strachem i wstydem. – Nie, wierny Rufio, odeślij ją. Powiedz jej, że przyjdę do niej, kiedy minie ta... dolegliwość. Pozwól mi pospać jeszcze przez chwilę. Zobaczę się z nią rano, na pewno.

Twarcz Rufia była nieporuszona, Herakliuszowi wydawało się jednak, że dostrzegł w jego oczach odrazę. Wiedział, że jego głos brzmi niemal jak skamlenie i jeszcze bardziej za to się nienawidził. Centurion odwrócił się jednak bez słowa i wyszedł, zabierając ze sobą lampę. Powróciła ciemność, chłodna i kojąca, a Herakliusz znów zanurzył się w świecie snów.

Nikolas siedział na skraju łóżka. Na jego kolanach, okrytych ręcznikiem, spoczywała obnażona Brunhilda. W jednej ręce trzymał osełkę, w drugiej zaś olej. Pochylony nad ostrzem, słuchał jednym uchem, co mówił do niego Władimir.

– To dopada nas wszystkich, ludzi z mojego plemienia, kiedy głód staje się zbyt wielki. Trudno wytrzymać taki ból, naprawdę – mówił przejęty wstydem wojownik z północy. Siedział naprzeciwko Nikolasa na własnej prycy. Nikolas zapalił wszystkie świece, jakie udało mu się znaleźć, i ustawił je obok siebie na stole. Ich dym, przesycony słodkim zapachem miodu, kłębił się pod sufitem. W każdą inną noc otworzyłby szeroko okiennice, lecz teraz, gdy wciąż miał przed oczami obraz martwej dziewczyny w wannie, wołał je szczelnie zamknąć i zabezpieczyć

zatraskiem.

– Nie sądziłem, że to się wydarzy tutaj... ale wypilem za dużo wina. Wybacz mi, przyjacielu.

Nikolas podniósł nań wzrok, zimny i pełen rezerwy. Nim wrócili do swojej kwatery, Władimir umył się w fontannie, zmywając karmazynowe plamy z twarzy i piersi. Tłumy tańczące na placu niczego nie zauważyły, podobnie jak nie zauważały innych ludzi, którzy wypili za dużo wina i szukali ratunku w zimnej wodzie bijącej z fontanny.

– Czy kiedy nadchodzi ten głód – przemówił, cedząc powoli słowa – możesz wybrać ofiarę? Czy możesz zaspokoić to pragnienie, nim stracisz nad sobą kontrolę? Czy możesz wypić tylko trochę?

Władimir spuścił głowę, kryjąc twarz w dłoniach.

– Tak – odparł cicho. – Mogłem... powinienem był, ale próbowałem nad tym zapanować, pokonać głód siłą woli. Niektórzy z *raszkaszutra* potrafią to zrobić. To nasi mędrcy, nasi wodzowie. Oni mogą nad tym panować. Myślałem, że mnie też się uda... że... – Władimir umilkł, szukając właściwych słów. Nagle Nikolas wyczuł ruch powietrza w pokoju i obrócił głowę.

– Tu nie wolno polować bez mego pozwolenia – wyszeptał głos kojarzący się ze zwiędłymi kwiatami i świeżo rozkopaną ziemią.

Nikolas zamarł, usłyszawszy zgrzyt zamykanych drzwi. Wyczuwał za sobą obecność jakiejś dziwnej istoty, bardzo starej, zimnej i rozgniewanej. Brunhilda zadrżała w jego dłoni, wydając jękliwy, ledwie słyszalny dźwięk. Wyteżywszy całą siłę woli, zapanował nad strachem, który budził w nim głos nieznanej istoty, ujął rękojeść miecza i wstał, odwracając się do drzwi.

W progu stała kobieta o twarzy przywodzącej na myśl odbicie księżyca w czystej wodzie. Spojrzał w jej oczy – tak intensywnie błękitne, że niemal białe – i zadrzał, wyczuwszy bijącą od niej moc. Cofnął się o krok, stając pomiędzy kobietą i Władimirem. Brunhilda drżała lekko w jego dłoni, w jej ostrzu migotał blask świec. Kobieta zrobiła krok do przodu, wsparta na kościanej lasce wyższej od niej samej. Zabrzęczały delikatnie bransoletki na jej przedramionach. Nikolas stał w bezruchu, choć wyczuwał zwierzęcy strach bijący od ukrytego za jego plecami Władimira.

– Co za widok – mruknęła. – Dziecko *a'ha-tri'tsu* broni mordercy, tego, który zabrał chodzącą za dnia bez mojej zgody. Odsuń się, człowieku, i pozwól, by sprawiedliwości stało się zadość.

– Nie – odrzekł Nikolas przez zaciśnięte zęby. Kobieta o białych oczach budziła w nim ogromne przerażenie. Gdyby nie dotyk drżącej Brunhildy, którą ścisnął w dłoni, pewnie posłuchałby głosu rozsądku i rzucił się do ucieczki. – Jest moim

przyjacielem, zawdzięczam mu życie. Nie dostaniesz go.

– Nie? – Kobieta przeszła na prawo. Długie rude włosy opadające na jej ramiona wyglądały jak rzeka zakrzepłej krwi. Suknia, która zrazu wydawała mu się czarna, pobłyskiwała głęboką zielenią przy każdym jej ruchu. Włosy kobiety spięte były cienkimi srebrnymi drutami, a na jej szyi pobłyskiwały rubiny. – Powinieneś się cieszyć, że nie chcę zabić ciebie. *K'szapacara* rzadko okazują litość dzieciom dnia.

– Nie polował do tej pory w twoim królestwie – powiedział Nikolas, rozpaczliwie szukając w myślach jakiegoś wyjścia z tej sytuacji. – To był wyjątek, krytyczna sytuacja.

Czy on nie może mówić sam za siebie? – Kobieta podeszła bliżej, a Nikolas poczuł namacalny niemal strach obmywający jego kostki niczym morską falą. – Dlaczego ukrywa się za tobą, śmiertelniku?

– Mogę mówić za siebie – rozległ się drżący głos Władimira. – Proszę, okaż mi łaskawość *bidalak'szawirazh'oi*, dręczył mnie straszliwy ból! Naprawdę, nie chciałem cię obrazić.

Kobieta przystanęła i uśmiechnęła się, błyskając białymi zębami w blasku świateł. Potem roześmiała się głośno, śmiechem słodkim jak dźwięk srebrnych dzwoneczków. Ów dźwięk obudził ból w sercu Nikolasa, poruszył jakieś odległe wspomnienia. Ogarnęła go dziwna tęsknota, odsunął ją jednak od siebie.

– Jesteś bardzo uprzejmy – powiedziała w końcu kobieta. – Dawno już nie rozmawiałam z żadnym *duszkula*. Ale znasz prawo. Nie możesz zabijać nawet *a'hatri'tsu* bez mego pozwolenia. Karą za naruszenie prawa jest śmierć.

– Nie – powiedział cicho Nikolas, zaciskając zęby. – Najpierw musiałabyś zabić mnie. Ten człowiek nie chciał złamać twego prawa, przywiódł go do tego ogromny głód. Jest moim przyjacielem i nie pozwolę ci go zabrać.

Kobieta odsunęła się o krok, nagle jakby urosła, wypełniając swą obecnością cały pokój.

– Za bardzo ufasz temu kawałkowi srebrzystego żelaza, chodzący za dnia. Nie wiesz, że mam dość siły, by cię pokonać? Nie wiesz, że mogę przywołać tu moje stado i kazać mu rozszarpać cię na strzępy?

– Nie będzie takiej potrzeby, pani. Daj mu jeszcze jedną szansę, a ja poręczę za niego własnym życiem. Pozwól, że zabiorę go z tego miejsca, z twojego miasta. Nie będzie sprawiał ci więcej kłopotów.

Kobieta nie odpowiedziała od razu, lecz spojrzała mu w oczy. Świat zawirował nagle wokół niego, pokój wydawał się dziwnie odległy i niewyraźny. Widział przed sobą dwa białe jeziora, czuł dotyk mocy na swojej duszy. Brunhilda śpiewała w jego dłoni, lecz jej ostrzeżenia wydawały się bardzo odległe.

– Ach... – westchnęła wreszcie kobieta, zaskoczona. – Dobrze, dam mu jeszcze

jedną szansę, dziecko chodzących za dnia. Ale nie zmarnujcie jej, bo moja cierpliwość ma swoje granice.

Potem kobieta zniknęła równie niespodziewanie, jak się pojawiła. O jej bytności świadczyły tylko lekko uchylone drzwi.

Nikolas zadrżał, czując, jak opuszcza go strach i zdenerwowanie. Podeszedł do drzwi i zamknął je starannie, wsuwając zasuwę na swoje miejsce. Kiedy się odwrócił, Władimir leżał zwinięty w kłębek na swojej pryczy.

– Nic ci nie jest? – spytał, choć własny głos wydawał mu się dziwnie odległy.

Władimir jęknął cicho, potem powoli podniósł głowę i rozejrzał się dokoła bojaźliwie.

– Królowa Surapa sobie poszła? – spytał drżącym głosem.

– Tak – odrzekł Nikolas, siadając ciężko na łóżku. – Na razie.

OKOLICE MIASTA GANZAK, PÓLNOCNA PERSJA

Sztandary T'u-chueh trzepotały głośno na wietrze, zawieszane na wysokich drzewcach wbitych w szarą ziemię. Arad stał na zboczu wzgórza, wpatrzony w góry po drugiej stronie doliny. Była noc, księżyc wisiał nisko na niebie, tuż nad szczytami gór. Arad miał na sobie ubrania, które podarował mu jego pan: tunikę z czarnej wełny i krótki płaszcz z kapturem. Był bosy, choć od ziemi bił lodowaty chłód. Ogrzewała go moc wypełniająca jego ciało.

W ciemności nocy słychać było przytłumione ludzkie głosy i brzęk uprzęży. Dahak przybył tu, by obejrzeć warownię swoich wrogów, robił to jednak ostrożnie. Czarownik stał kilka kroków za Aradem, na szczycie wzgórza, pogrążony w rozmowie z wodzem barbarzyńców, Chu-lo i perskimi oficerami. Arad nie zwracał na nich uwagi, sycąc się krótką chwilą spokoju i samotności, rozkoszując chłodnym dotykem wiatru na odsłoniętej skórze.

W dolinie, u podnóża góry, spali ludzie, zmęczeni całodzienną ciężką pracą. Po przeciwnej stronie doliny, na zboczu osłoniętym przez potężne granitowe urwiska, wznosiły się ruiny potężnego budynku. Niegdyś okrywały je wysokie dwuspadowe dachy wsparte na setkach marmurowych kolumn. Kiedy Arad po raz pierwszy wszedł na zbocze wzgórza, w słabnącym blasku dnia można było dojrzeć pozostałości szerokich, masywnych schodów. Teraz wszystko okrywał płaszcz nocy. Jednak dzięki swym niezwykłym zdolnościom Arad widział wszystko wyraźnie nawet w całkowitych ciemnościach, mógł więc docenić rozmiary i minioną potęgę wypalonego, zniszczonego budynku. Ludzie pracujący za dnia pod sztandarem podwójnego pawia – *semuru* – próbowali odgruzować część budynku i uczynić go zdatnym do użycia.

Arad pozwolił, by jego nadwidzenie przeszło w drugie otwarcie, ukazując skomplikowane wzory światła wypełniające dolinę – przytłumiony czerwony blask śpiących ludzi, przyjazne miedziane światło koni i mułów drzemiących w zagrodzie, migotliwe żółte płomyki ludzi pełniących straż w obozie, a nawet pełgający fioletowy ogień czarowników i kapłanów w wielkich namiotach. W zakamarkach jego umysłu pojawiły się symbole oznaczające dokładną liczbę świetlnych punktów migocących w dolinie – było tam ponad cztery tysiące robotników oraz około trzech tysięcy żołnierzy, kapłanów i inżynierów. Arad zamrugał powiekami, wracając do normalnego widzenia.

Otoczyły go nieprzeniknione ciemności, gdyż nawet księżyc schował się już za poszarpaną linię górskich grzbietów.

– Sługo umiłowany – przemówił nagle okrutny głos. – Chodź za mną.

Posłuszny całkowicie woli swego pana, Arad odwrócił się i ruszył w stronę

szczytu, wspinając się na kamieniste, porośnięte kolcolistem zbocze. Wyczuwał w ciemności obecność swego pana wspartego o granitowy głaz, lodowatą pustkę zamkniętą w nieprzeniknionej czerni. Perscy kapitanowie i barbarzyńcy wydawali się tylko bladymi cieniami ludzkich istot, przytłumieni przez potężnego ducha Dahaka.

– Dobry Aradzie – przemówił Dahak, błyskając w ciemności żółtymi oczami. – Obejrzałeś dolinę, widziałeś ludzi, którzy pracują dla moich wrogów, i wielki dom, który chcą odbudować?

– Tak, panie – przemówił Arad nieco bełkotliwie. Wciąż pamiętał trudny język ludzi Wschodu. – Jest ich wielu. Wielu żołnierzy, wielu silnych kapłanów.

– Tak – zgodził się z nim Dahak, kiwając w ciemności głową. – Pomimo wszystkich swoich wad pawie, które umościły się na tronie mego ojca, doceniają znaczenie tego miejsca. Musimy więc podjąć odpowiednie kroki i dopilnować, by znów nie narzuciły nam swej woli.

– Co to za miejsce? – spytał Arad cichym, beznamiętnym głosem. Choć gniew, nienawiść i wstyd trawiły jego duszę niczym kwas, żadne z tych uczuć nie znajdowało wyrazu w jego zachowaniu. – Co się tu stało?

– Dobrzy przyjaciele zniszczyli ten święty budynek – roześmiał się Dahak. – Zgasili ogień, który niegdyś płonął w tym miejscu i oświetlał cały świat. Nie wiedzą nawet, jak ogromną przysługę wyświadczyli mi w ten sposób. Nigdy im tego nie zapomnę. Lecz teraz muszę zrobić porządek z pawiami, które stroją tu swe kolorowe pióra i ośmielają się sprzeciwiać mej woli.

Dahak przerwał na moment i roześmiał się cicho. Arad wyczuwał fale ponurej satysfakcji bijące od księcia ciemności. Jego pan był czymś ogromnie uradowany i miał ochotę podzielić się z kimś tą radością. Dyscyplina wzięła jednak górę, a myśli czarownika skierowały się ponownie ku bieżącym sprawom.

– Wierny Chadamesie, przyprowadziłem tutaj ciebie i twych dowódców, byście obejrzeni to miejsce. Jednak to nie wy rozprawicie się z *nindingir* stacjonującymi w dolinie. To zadanie dla naszych przyjaciół ze Wschodu. Szlachetny Chu-lo, obejrzałeś dobrze okolice? Widziałeś pozycje swych wrogów?

T'u-chueh poruszył się w ciemności. W odróżnieniu od Persów, którzy kręcili się bez ustanku i rozmawiali przyciszonymi głosami, przekonani, że płaszcz nocy zapewnia im niewidzialność, barbarzyńca siedział w bezruchu na granitowym głazie, kryjąc się nawet teraz, po zapadnięciu zmroku, w cieniu rzucanym przez grzbiet góry. Wstał powoli i oparł się o ścianę urwiska.

– Widziałem je, szlachetny panie. Nie są zbyt dobrze zabezpieczone. Wróg jest przekonany, że nie ma tu żadnych przeciwników, że nic mu nie grozi. Co mamy robić?

Dahak odwrócił się w stronę obozu i po krótkiej chwili milczenia odrzekł:

– Musimy napaść na tych *mobehedan* i ich sługi. Musimy przegonić robotników, zniszczyć narzędzia, wymordować kapłanów we śnie, zabić żołnierzy. Do rana powinny tu zostać tylko wrony i kruki objedzone padliną naszych wrogów.

Wśród ukrytych w ciemności Persów zapanowało poruszenie, słychać było zdumione szepty i brzęk metalu. Dahak zwrócił się w drugą stronę, przemawiając cicho:

– Nie sprowadziłem tu dzisiaj twoich żołnierzy, wierny Chadamesie, bo nie są jeszcze gotowi do tego, co musi wydarzyć się dzisiejszej nocy. T'u-chueh to twarde żołnierze, przyzwyczajeni do zapachu krwi niewinnych. Zabrałem jednak twych dowódców, by wiedzieli, czego będę wymagał od waszej armii w przyszłości. To miejsce... – Arad wyczuł, że jego pan wskazuje ręką na dolinę – to ostatnia pozostałość martwej wiary. Pusta skorupa, którą Rzym wreszcie rozbił, ukazując jej puste wnętrze. Rzym zgasił ogień płonący w tym miejscu, lecz ogień ów i tak już dogasał, trawił resztki podtrzymującego go opału. Dziś dokończymy to, co zaczęli Rzymianie. Dziś narodzi się nowa wiara, która znów uczyni Persję potężną. Zobaczycie to i uwierzycie.

Na szczycie wzgórza zapadła niezręczna cisza, przzerwana po chwili przez Chu-lo.

– W ciemności trudno będzie wszystkich wyłapać. Niektórzy mogą ująć z życiem.

– To nieistotne – odrzekł Dahak, podnosząc długi żelazny drąg. – Wieśniacy mogą uciec. Zależy mi głównie na kapłanach i na strażnikach strzegących świątyni. Chodźmy, świt już blisko. Zabierz swych ludzi, Chu-lo, i poprowadź ich w górę strumienia, pod wiatr. Będę w pobliżu. Nie musicie martwić się o ich kapłanów, ja się tym zajmę.

Żelazny drąg zabrzączał cicho o skały, gdy Dahak ruszył w dół zbocza. Arad szedł za nim, prowadzony wolą i myślą swego pana. Chu-lo zniknął za skałami po drugiej stronie wzgórza.

Perscy *dihkans*, którzy pozostali na szczycie, zbili się w ciasną gromadę, chroniąc się w ten sposób przed chłodem nocy.

– Stój – szepnął Dakah, kładąc dłoń na ramieniu Arada, który zszedł za nim w gęstwinę jeżyn i bżów. Dotarli właśnie do głazów ułożonych na brzegu strumienia wijącego się u podnóża gór. Ogniska wrogiego obozu były już bardzo blisko, po drugiej stronie wody.

– Jesteś silny – syknął Dahak, wspinając się na szerokie ramiona Arada. Ten zachwiał się lekko, potem jednak rozstawił szerzej nogi i odzyskał równowagę. Ciało czarownika, dotykające jego ramion i karku, było zimne jak lód. – Idź, umiłowany

sługo. – W głosie Dahaka znów pojawiła się nuta okrutnego rozbawienia. Arad wszedł w wodę, stawiając ostrożnie stopy na śliskich kamieniach i głazach pokrywających dno strumienia. Musiał bardzo uważać, gdyż jeden nieostrożny krok groził upadkiem w lodowaty, rwący nurt strumienia. W końcu dotarł na drugi brzeg, choć mięśnie jego nóg drżały z wysiłku.

Gdy tylko Arad stanął na suchej ziemi, Dahak zsunął się z jego ramion. Wykręcił skraj swej długiej czarnej szaty, która podczas przeprawy zanurzyła się w wodzie, a potem uniósł głowę, wciągając powietrze w nozdrza. Arad czuł zapach płonących drzew sosnowych i aromat pieczenia jagnięcej.

– Słuchaj mnie uważnie – przemówił czarownik cicho. – Wkrótce Hunowie zaatakują od południa. Kiedy się to stanie, *mobehedan*, którzy śpią niedaleko stąd, wstaną przepelnieni gniewem. Wtedy, mój umiłowany Aradzie, wejdiesz między nich, by razić ich gromem. Będę czuwał nad tobą, bo jesteś mi droższy niż wszystko, co posiadam.

Arad nie ruszał się z miejsca, czekając, aż poderwie go do czynu wola jego pana. Dahak także czekał; cień okryty cieniem. Dokoła zalegała absolutna cisza przerywana tylko pohukiwaniem sowy.

* * *

Arad odmierzał mijające godziny uderzeniami własnego serca.

Gdy w środku obozu zapłonął wielki ogień, poderwał się do biegu. Trawa i drobne kamienie przesuwają się pod jego stopami w jednostajnym tempie. Granicę obozu wyznaczało prowizoryczne ogrodzenie – zwykłe drewniane kołki wbite w ziemię i oplecione kłaczami jeżyn. Arad bez namysłu odbił się od ziemi i przesadził ogrodzenie jednym skokiem. Przez cały czas czuł za sobą zimną obecność Dahaka. W obozie rozległy się krzyki żołnierzy i zdezorientowanych perskich robotników, którzy wypełzali zaspami, ze swych namiotów. Ogień strzelał coraz wyżej, oblewając obóz pomarańczowym blaskiem.

Arad czuł, jak rozluźniają się więzy krępujące jego umysł. Przystanął w cieniu wielkiego namiotu i uspokoił oddech. Sięgnął nadwidzeniem w pierwszy i drugi krąg, ujrzał nieskończone przestrzenie kryjące się między zdeptanymi źdźbłami trawy pośrodku obozu. Dokoła biegali zaalarmowani strażnicy, lecz w zamieszaniu nikt nie zwracał na niego uwagi. Wyglądało jednak na to, że Hunowie jeszcze nie zaatakowali obozu. Żołnierze z pochodniami i mieczami w dłoniach zaganiali do namiotów wystraszonych wieśniaków, którzy przyglądali się całemu zamieszaniu szeroko otwartymi oczyma.

Bum! Potężny huk rozdarł ciszę nocy. Arad podniósł głowę, spoglądając na zachód. Wśród namiotów tańczyły błękitno-białe płomienie. Po chwili w zgiełk przestraszonych głosów wdarł się kolejny dźwięk, przypominający trzask rozrywanej tkaniny. Arad poczuł, jak owiewa go gorąca fala uwolnionej mocy. Dokoła pojawiało się coraz więcej żołnierzy biegnących w stronę ognia. Arad, wciąż przez nikogo niezauważony, także poderwał się do biegu.

Pośrodku obozu znajdował się duży plac, na którym tłoczyły się teraz setki robotników. Żołnierze próbowali ich uspokoić i przywrócić porządek w obozie. Rozpalili dwa wielkie ogniska, które obrzucały plac i kłębiący się na nim tłum pomarańczowym blaskiem. Arad przystanął na skraju placu, a potem wszedł między rzędy namiotów okalających plac. Wyczuwał w powietrzu coś dziwnego, trudne do określenia napięcie. Przymykając się z cienia w cień, zrozumiał, że obecność Dahaka nadal mu towarzyszy, zamknięta w jego głowie; czarownik widział wszystko, co widziały jego oczy, słyszał to, co słyszały jego uszy.

Nagle w lesie na południe od obozu rozległ się głos rogów, a potem przeraźliwy krzyk. Arad przykucnął przy wozie, obok którego właśnie przechodził, przywierając plecami do szorstkiego koła. Usłyszał cichy świst, a potem ujrzał strzałę, która wbiła się w ziemię niedaleko od jego dłoni.

Umen C’hu-lo – prawie siedem tysięcy łuczników, jeźdźców i piechurów – ruszył wreszcie do ataku.

Z nieba posypał się na obóz grad strzał. Czarne drzewce wbijały się pod ostrym kątem w ciała ludzi skłębionych na placu. Wśród zwykłych pocisków leciały także strzały o specjalnie ukształtowanych grotach, które rozcinały powietrze z przerażającym, przenikliwym świstem. Arad czuł, jak w sercach i umysłach ludzi wypełniających obóz wzbiera ogromny, niepohamowany strach. Strzały owinięte płonącymi szmatami wzniewały pożary wśród namiotów. Ludzie padali martwi na ziemię, przeszyci strzałami spadającymi na nich z ciemnego nieba. Żołnierze stracili kontrolę nad tłumem, który poderwał się do biegu i uciekał na północ przed niewidzialną śmiercią.

Arad wpełzł pod wóz i ułożył się pod osi. Jednak nawet tutaj, pod grubymi deskami, nie mógł czuć się bezpiecznie. Strzała zdolna przebić gruby, żelazny pancerz, przeszła ze świstem drewnianą platformę i zatrzymała się zaledwie stopę nad ziemią. Obok wozu biegali w popłochu przerażeni robotnicy. Jeden z nich zachwiał się i krzycząc przeraźliwie, runął na ziemię obok wozu.

Strzała przeszła obojczyk mężczyzny i rozerwała dolną część kręgosłupa. Martwe ciało Persa jeszcze przez chwilę drgało spazmatycznie na ziemi, by w końcu znieruchomieć w ciemnej kałuży. Nozdrza Arada zadrżały, podrażnione zapachem

świeżej krwi.

Niebo na zachodzie przeszła oślepiająca błyskawica, siostra płomieni, które tańczyły na dachach namiotów. Znow rozległy się ludzkie krzyki, do których dołączył brzęk stali uderzającej o stal, ledwie słyszalny wśród zawodzenia tłumu i jęków umierających ludzi. Obok wozu przemknął potężny podmuch wiatru, który przewracał ludzi i namioty. Strzały spadające z nieba odleciały na bok, odepchnięte siłą miniaturowego cyklonu. Wóz zakołysał się gwałtownie i omal nie przewrócił do góry kołami. Arad przywarł do ziemi, wczepiając się w nią palcami.

Obok kroczyła moc, otoczona pasem błyskawic i wyjącego wiatru.

Do dzieła, mój drogi, wyszeptał głos czarownika.

Arad podniósł się z ziemi, odrzucając do tyłu niepotrzebny już wóz. Kapłan, od którego dzieliło go już zaledwie kilka kroków, podnosił rękę w geście mocy, kierując ją na południe. Otaczała go półkula roziskrzonego, biało-niebieskiego ognia, palącego wszystko, co stało na jego drodze. Szeroki pas spopielonej trawy znaczył miejsca, przez które przeszedł kapłan. Arad czuł strumień mocy spływający z nieba i ziemi, wzmacniający tarczę kapłana.

Trzecie otwarcie już czekało, za nim zaś kryła się moc zdolna zatrząść ziemią.

Arad podniósł rękę i nakreślił w powietrzu skomplikowany znak. Zaciśnął dłonie w pięści i przyciągnął je do siebie, skierował do swego wnętrza. Moc wpłynęła weń szeroką rzeką, rozrywając na strzepy wóz i paląc trawę. Wystawił przed siebie prawą dłoń, rozcapierzając szeroko palce.

Przez moment widział tylko oślepiający fioletowy błysk i płonący łuk ciemności łączący jego dłoń z odwróconą dłoń bokiem postacią kapłana. Wydawało się, że cały świat dokoła zamarł w bezruchu, nawet wiatr i deszcz strzał spadających z nieba.

Potem wraz z ogłuszającym hukiem, który rozerwał na strzepy resztki namiotów, czas ponownie ruszył z miejsca. Pocisk ciemności rozerwał wirującą tarczę światła, a kapłan padł na ziemię i, odepchnięty do tyłu, uderzył w podstawę wieży strażniczej. Wieża, która stała już w ogniu wzniesionym strzałami Hunów, runęła z hukiem na ziemię, rozrzucając dokoła płonące belki i deski. Arad czuł, jak ziemia zadrżała pod jego stopami, gdy uderzył w nią ogromny ciężar wieży.

Nie czekał jednak, by przekonać się, czy kapłan wstanie spośród płonących belek. Jego dłonie nakreśliły w powietrzu kilka znaków, które połączyły się ze sobą i zawirowały wokół jego głowy. Tuż potem z ciała Arada wystrzeliła błyskawica, skierowana w ogarnięte ogniem ruiny wieży. Potężny grzmot zatrząsł ziemią, a ze sterty rozżarzonych ruin wystrzeliła fontanna iskier. W tej samej chwili obok Arada przemknęła płachta białego ognia wysłana przez zakrwawionego kapłana, który próbował się wydostać z pogorzeliska. Arad obrócił się w miejscu i skierował rękę w dół. W ziemi otworzyła się szeroka szczelina oddzielająca go od kapłana, który

odtoczył się na bok i próbował wznieść tarczę obronną. Kolejne uderzenie Arada bez trudu rozbiło niedokończoną tarczę. Krzywiąc twarz w ponurym uśmiechu, sługa Dahaka przeskakiwał nad płonącymi belkami, by w końcu zatrzymać się przy ciele swego przeciwnika.

Kapłan był już bliski śmierci – pięść Gęba zgmiotła na miazgę pół jego twarzy. Arad przyglądał mu się przez moment beznamiętnym wzrokiem, a potem ujął jego głowę w dłonie i bez polecenia Dahaka skręcił mu kark. Przytłumione światło opuściło ostatecznie brązowe oczy kapłana.

Arad zadrżał spazmatycznie, gdy Dahak wpłynął w skorupę jego ciała. Oczy sługi zapłonęły żółtym blaskiem. Szczupłe dłonie dotknęły twarzy kapłana, a umysł Arada uwolniony wreszcie od siły, która kierowała jego myślami, nadaremnie miotał klątwy pod adresem swego oprawcy, władcy jego ciała.

Wciąż krzyczał, zamknięty w więzieniu własnej czaszki, kiedy Dahak pożarł umierającego ducha kapłana. Przez krótką chwilę Arad czuł *ka* tego nieszczęśnika, przejęte straszliwym bólem, nim ostatecznie pochłonęła je zimna pustka demona.

Chodź, umiłowany sługo. Myśli Dahaka dyszały żądzą zabijania. *Ruszamy na polowanie.*

Noc wypełniła się bitewnym zgiełkiem. Hunowie wdarli się do obozu.

C’hu-lo siedział na przewróconej kolumnie. W dłoni trzymał kawałek sarniny zabranej ze spalonego obozu w dolinie. Odcinał zakrzywionym nożem małe plasterki mięsa i powoli podnosił je do ust. Dolina rozciągająca się u jego stóp wypełniona była stukotem młotów wbijających w ziemię drewniane pale. C’hu-lo przyglądał się swym ludziom nadzorującym pracę kilkuset wieśniaków, którzy przeżyli nocną bitwę. Hunowie z ogromną przyjemnością chłostali wszystkich, którzy nawinęli im się pod rękę, i podrzynali gardła tym, którzy padali ze zmęczenia na ziemię.

Żerdzie otaczały gęstym lasem podstawę zrujnowanej świątyni. Kamienne mury budowli łączyły się łagodnie ze zboczem góry. Niegdyś zbocze to pokrywała gęsta trawa i ogród pełen ozdobnych drzew. Niegdyś płynął tędy krystalicznie czysty strumień, zamknięty między niskimi murkami ze starannie dopasowanych kamieni. Teraz drzewa zamieniły się w pale lub brewiona trawione przez ogień, a suche koryto strumienia zasypane zostało kamieniami. Nad doliną wisiała szara zasłona dymu z ognisk płonących w dolinie. Powietrze przesycone było słodkim, lepkiem zapachem ludzkich ciał smażących się w ogniu.

C’hu-lo włożył do ust kolejny plaster mięsa. Zabrał też dzban wina z namiotu kapłanów. Święci mężowie przyjechali w to miejsce doskonale wyekwipowani: mieli miękkie poduszki, egzotyczne ubrania, żelazne kosze do podtrzymywania ognia

w zimne noce, grube księgi wypełnione ich dziwnym pismem. Te ostatnie C’hu-lo wrzucił do ognia. Spłonęły w mgnieniu oka, podobnie jak sztandary z podwójnym pawiem. Cierpkie wino z Szirazu na południu było jednak zbyt dobre, by marnować je bez potrzeby.

Stukot młotków odbijał się głuchym echem od ścian doliny. Każde głuche uderzenie oznaczało, że któryś z naostrzonych drągów wsunął się głębiej w ziemię. Perscy niewolnicy skomleli ze strachu, stawiając kolejne pale, gdyż te, które umocowali już wcześniej, przystrojone były teraz ciałami ich towarzyszy.

C’hu-lo pomyślał, że wystawianie ciał najsilniejszych wrogów na pokaz jest dobrym pomysłem. Każdy spośród dwunastu kapłanów, którzy walczyli i zginęli podczas nocnej bitwy, miał swój własny pał. Szczątki niektórych z nich w niczym już nie przypominały ludzkich ciał.

Książę T’u-chueh pociągnął kolejny łyk wina. To była męcząca praca.

– Widzisz? Ogień zgasł. Nawet popioły są zimne.

Arad nic nie czuł, zaglądając do dołu wypełnionego śmieciami. Jakaś część jego świadomości próbowała nakłonić go, by uderzył w stojącego obok węża. Jego ciało było jednak głuche na głos woli i w końcu gniew przygasł, zamienił się w przytłumioną iskierkę ukrytą w odległych zakamarkach umysłu. Straszliwe wydarzenia ostatniej nocy – niemy krzyk umierających dusz, które przepływały przez jego ciało, smak krwi i pękających kości, nawet odrażająca radość bijąca od zimnego umysłu czarownika w chwili, gdy jego palce zanurzały się w ludzkich oczodołach – były teraz przytłumione, nieostre. Słońce przeświecające przez kłęby dymu wydawało się zimne i odległe.

To miejsce – połąć rozbitych murów, żwiru i popękanych odłamków marmuru rozciągająca się na zboczu góry – ziało pustką. Czarownik przechadzał się wśród ruin i dźgał żelaznym drągiem wszelkie ciemne zagłębienia i otwory. Dahak tryskał wręcz radością, bez ustanku mówił do siebie, grzebiąc w rozbitych skorupach.

– Myśleli, że ten ogień będzie płonął przez wieczność – mówił z uśmiechem. – Widzisz? Mylili się. Ten ogień nie zapłonie już nigdy więcej.

Arad spojrział na niebo. Było bladoniebieskie. Na zachodzie wznosiły się góry, wysokie i ciemne, zwieńczone skromnymi czapami śniegu. Nie zwracał uwagi na czarownika, który grzebał w ruinach, ani na chwilę nie przestając mówić. W głębinach pamięci Arada poruszyło się jakieś wspomnienie, obraz czegoś jasnego i ciepłego, gdzieś na zachodzie. Czy to było za tymi górami? – zastanawiał się. Coś spoza tego zimnego świata?

– Ich światło zgasło! – krzyczał Dahak, zwrócony twarzą ku niebu. Jego głos

ucichł szybko, wchłonięty przez puste powietrze.

AI-KABA, OKOLICE MEKKI, ARABIA FELIX

Stary dom stał samotnie pośrodku pustego placu. Po pożarze, który strawił świątynię, robotnicy usunęli wszystko prócz oryginalnego, pozbawionego dachu budynku. Setki ludzi pracowały przez kilka tygodni pod okiem Ben Sarida, wynosząc popękane kamienie i cegły. Popiół został zmieciony w jedno miejsce i zużyty do użyźnienia pól ciągnących się wzdłuż *wadi*. Szczątki starych posągów wykorzystano do naprawy murów miasta. Ocalała tylko najstarsza świątynia, gdyż Ibrahim wznosił ją w czasie, kiedy powstawało sanktuarium. Była mała i ciemna, jej ściany poczerniały od dymu obrzędowych ognisk, które palono tu przez stulecia. W rogu kwadratowego budynku wznosił się fragment idealnie gładkiej ściany. W bardzo odległej, nieopisanej nawet przeszłości jacyś ludzie wycięli blok drobnoziarnistego piaskowca i przenieśli go aż w to miejsce, za mury Zam-Zam.

W tym gładkim bloku, w zagłębieniu wygładzonym dłońmi niezliczonych pielgrzymów, lśnił kamień. Był czarny jak najciemniejsza noc, gładki, niepozorny.

Mahomet stał przed kamieniem i wsłuchiwał się w jego śpiew.

Choć zdawał sobie sprawę, że żaden z ludzi wypełniających tłumnie plac i jego okolice nie słyszał tego dźwięku, wiedział, że jest to głos Boga, wielkiego i współczującego, tego, który stworzył świat.

– I człowieka – wyszeptał do siebie.

Wysoki młody mężczyzna odziany w biało-brązowe szaty przeciskał się przez tłum wypełniający plac Al-Kaby. Jego twarz skrzywiona była w ponurym grymasie. Utykał lekko, niedawno bowiem spadł z konia. Mimo to nosił ciężką zbroję z żelaznych płyt połączonych drutem z ukrytą pod spodem skórzaną tuniką. Wnoszenie broni na teren Zam-Zam uważane było za świętokradztwo, ale młodzieńca w zbroi nic to nie obchodziło.

Przed upadkiem Jasribu był akolitą w świątyni Hubala – małomównym, spokojnym i zamkniętym w sobie. Podobnie jak jego ojciec nosił imię Maslama. Myśli o rodzinie odnawiały bolesne wspomnienia. Wszyscy jego krewni zostali zamordowani lub zginęli w pożarach, które szalały w mieście po wkroczeniu mekkańczyków.

Ukryta pod szatami dłoń młodzieńca zaciskała się na rękojeści miecza. Znalazł go – podobnie jak całą zbroję – na martwym mekkańskim żołnierzu za murami miasta. Musiał poświęcić dużo czasu, sił i cierpliwości, by przeczołgać się przez otwartą przestrzeń pustyni i pod osłoną nocy ukraść ciało. Warto jednak było. Odwieczna tradycja nakazywała mu pomścić śmierć rodziny. Nieprzeciętny wzrost pozwalał mu spoglądać na plac ponad głowami zgromadzonych wokół ludzi. Przed sobą widział

gmach starej świątyni. Przywódcy mekkańczyków musieli być gdzieś w pobliżu.

* * *

Dochodziło południe. Słońce stało w zenicie, oblewając świat rozpalonym do białości żarem. Powietrze stało nieruchomo.

Nad dziesiątkami tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci tłoczących się na placu zalegała cisza. Zakłócał ją tylko szelest ubrań, kasłanie dzieci, chrapliwe oddechy starców. Mahomet uklonił się i odsunął od kamienia. Czuł, jak ogarnia go wielki spokój, podobny do tego, który spłynął nań na szczycie góry, gdy usłyszał głos Boga.

Towarzyszący mu Tanuchowie odsunęli się do tyłu, odpychając napierającą ze wszystkich stron ludzką cizbę. Al-Kabę wypełniał tłum tych, którzy walczyli z Mahometem w Jasribie. Za nimi stali ludzie z Mekki i okolic. Wieści o wojnie wśród mekkańczyków i upadku Jasribu, który ostatecznie położył jej kres, obiegly szybko okoliczne miasta i oazy. Mężczyźni i kobiety przybywali do Mekki na koniach, wielbłądach i na piechotę, by ujrzeć na własne oczy człowieka, który zakończył ciągnący się przez pokolenia konflikt.

Mahomet słuchał śpiewu kamienia i przechadzał się wzdłuż murów starego budynku. Tanuchowie przemieszczali się wraz z nim, trzymając dłonie na włóczniach i łukach. Za Tanuchami szli także weterani walk przeciwko Haszymidom i ich sprzymierzeńcom. Mahomet okrążył budynek, wciąż wsłuchując się w pieśń kamienia, pozwalając, by jego serce wypełniło się słowami Pana, który przemawiał doń z powietrza.

To miejsce zostało wzniesione przez pierwszych ludzi, pomyślał, spoglądając na starannie ułożone kamienne fundamenty. Wiedział, że pierwszy człowiek podniósł czarny kamień i włożył go w ścianę. Wiedział, że sześćset lat później synowie tego pierwszego człowieka ostrożnie wyjęli kamień osadzony w prymitywnej zaprawie i umieścili go w bloku z piaskowca. Wiedział, że ci ludzie, którzy wciąż słyszeli głos Pana przemawiającego o świcie i o zmroku, nie składali ukłonu i nie oddawali czci czarnemu kamieniowi.

Jak mogliby to robić? Kamień nie był miłosiernym i współczującym Bogiem.

Mahomet zatoczył pełne koło wokół budynku. Podniósł wzrok i zobaczył tłum stojący w spiekocie południa. Był zaskoczony liczbą zgromadzonych ludzi.

– Dżalal?

Tanuch posłusznie zbliżył się do niego, ani na chwilę jednak nie odrywał wzroku od tłumy, a jego dłoń przez cały czas spoczywała na rękojeści szabli. Mahomet zmarszczył brwi, później jednak ujrzał, że niemal wszyscy jego ludzie – towarzysze broni, którzy wspierali go w walce z Haszymidami – są równie czujni.

– Są tu jacyś wrogowie? – spytał Kurajszyta, zaskoczony.

Dżalal omal nie roześmiał się z ulgą, słysząc, że jego wódz wreszcie wyrwał się z dziwnego otępienia. Już od wielu tygodni trudno było nawiązać z nim normalny kontakt. Tanuch uśmiechnął się szeroko i podrapał po brodzie.

– Sprawiedliwi zawsze mają wrogów, panie.

Mahomet odpowiedział mu uśmiechem. Czuł się dziwnie rozbudzony. Wyczuwał też w powietrzu specyficzne napięcie, gorzki smak podobny do tego, jaki odczuwa wojownik wjeżdżając do *wadi*, w której może czekać go zasadzka.

– Ludzie, którzy kroczą prostą ścieżką – odparł, sięgając po szablę – nie muszą obawiać się niesprawiedliwych. Pan otoczy ich swoją opieką i uchroni od złego.

Dżalal skinął głową.

– Mój ojciec zawsze mówił, że człowiek sprawiedliwy nie powinien bać się troszczyć o własne interesy. Dał mi mój pierwszy łuk i kołczan ze strzałami. Panie, przybyło tu wielu ludzi i całkiem możliwe, że są wśród nich tacy, którzy chcą cię skrzywdzić. Powinniśmy iść, jeśli skończyłeś już swoje modlitwy.

Mahomet zmarszczył brwi skonsternowany.

– Moje modlitwy?

Dżalal wskazał głową na stary budynek i kamień.

– Wyglądało to tak, jakbyś modlił się przed kamieniem. Myślałem, że składasz mu hołd.

Gniew rozpałił na moment ciemne oczy Mahometa, potem jednak wódz Kurajszytów przypomniał sobie, że Dżalal nie słyszał głosu wydobywającego się z kamienia. Jak ci ludzie mogą mnie zrozumieć? – zastanawiał się, skoro nie słyszą...

– Dżalal, poślij po mojego konia.

Maslama przeciskał się bokiem przez tłum. Dokoła panowała niepokojąca, niesamowita cisza. Zacisnął mocniej dłoń na rękojeści szabli, czując, jak oplatający ją drut wbija się w jego skórę. Nie mógł uwierzyć, że tak ogromny tłum potrafi zachować całkowite milczenie, a jednak tak właśnie było. Wydawało się, że nawet powietrze znieruchomiało, jakby w oczekiwaniu na jakieś niezwykle wydarzenie. Młodzieniec dotarł do szeregu Tanuchów i zatrzymał się. Starannie unikał wzroku najemników z północy. Z bliska wyglądali naprawdę przerażająco. Liczne blizny na ich twarzach były najlepszym świadectwem odwagi i bitewnego doświadczenia.

Młodzieniec podniósł wolną rękę, jakby chciał dotknąć twarzy. Na jego czole także widniała świeża blizna, pamiątka po pożarze świątyni Hubala, kiedy to jedna ze spadających belek omal nie pozbawiła go życia. Zastanawiał się, czy i on ma taką posepną minę jak stojący przed nim Tanuchowie. Przez chwilę przyglądał się ich

grubym zbrojom i szablom, znużony ciężarem własnego pancerza.

Wstydząc się własnej słabości, powrócił myślami do martwego ciała swego ojca leżącego w apsydzie świątyni.

Mahomet rozejrzał się dokoła, spoglądając na budynki i świątynie otaczające plac, na młodych ludzi i dzieci siedzących na dachach. W oknach domów stały starsze kobiety, ich twarze wyglądały w cieniu jak blade, niewyraźne plamy. Dopiero teraz, patrząc na to morze ludzkich głów, Mahomet zrozumiał, że wszyscy oczekują od niego jakiegoś znaku, że przyszedł tu tylko i wyłącznie dla niego. Na placu stali niemal wszyscy mieszkańcy miasta, zjednoczeni w oczekiwaniu.

Dżalal wrócił do niego, choć kilku jego Tanuchów nadal poszukiwało klaczy Mahometa. Kurajszyta wskazał głową na tłum wypełniający plac.

– Czy oni czekają na mnie?

Dżalal skinął głową, przesłaniając dłonią oczy.

– Przychodzą tu od wielu dni. Wielu słyszało, że rozmawiasz z Bogiem. Wielu słyszało, że burzysz świątynie i przeganiasz kapłanów. Są ciekawi.

Mahomet zmarszczył brwi i znów zaczął się przechadzać wzdłuż tłumu, patrząc w oczy mężczyzn i kobiet stojących na placu. Widział bogatych i biednych. Rzemieślników, pasterzy, garncarzy, kupców, kapłanów, uczonych... i kobiety z dziećmi. Przyglądając się owej zbitej ludzkiej masie, znów obszedł dokoła całą świątynię. Gdy wrócił do punktu wyjścia, zobaczył, że czeka na niego klacz. Wskoczył na siodło z lekkością, jaką daje wieloletnia wprawa.

Usłyszał w sercu znajomy głos i otworzył usta, by powtarzać jego słowa.

– Powiedziano mi, że banda dzinnów słuchała głosu Boga przemawiającego z powietrza – przemówił z mocą. Dokoła panowała tak głęboka cisza, że jego głos niósł się bez przeszkód aż po same krańce placu. – Wysłuchali go, a potem powiedzieli: Pokazano nam ścieżkę, którą powinniśmy kroczyć. Uwierzeliśmy i odtąd służymy tylko Panu miłosiernemu. Moc, która nie ma małżonki, nie rodzi żadnych dzieci. Szukaliśmy Boga w niebiosach, lecz potężni strażnicy i ogniste komety zastąpiły nam drogę. Siedzieliśmy w ukryciu, podsłuchując, lecz kto podsłuchuje, doczeka marnego końca. Nie wiemy, czy to wróży dobrze tym, którzy żyją na ziemi, czy też Pan miłosierny zamierza nas prowadzić.

Mahomet umilkł na moment, przekonany, że musi dać wytchnienie zmęczonemu gardłu. Nie odczuwał jednak żadnego zmęczenia.

– I powiedziały też dzinny: Niektórzy z nas są prawi, inni nie, każdy idzie inną drogą. Wiemy, że nie możemy uciec przed Panem niebios na ziemi, nie unikniemy Jego gniewu w powietrzu. Usłyszawszy Jego słowa, uwierzeliśmy w Niego i pojęliśmy to: kto wierzy w Boga miłosiernego, nie dozna nieuczciwości ani

niesprawiedliwości.

Przemawiając do tłumu, Mahomet okrążał powoli stary dom i czarny kamień. Jego klacz człapała powoli środkiem szerokiego pasa oddzielającego mury świątyni od szeregu Tanuchów, zadowolona, że nie musi bardziej się wysilać. Nad tłumem nadal zalegała cisza tak głęboka, że Mahomet słyszał echo własnego głosu, odbijającego się od marmurowych fasad świątyń okalających plac.

– Niektórzy z tych, którzy tu stoją, są prawi, inni nie. Ci, którzy poddają się woli Pana, krocą drogą prawości. Ci, którzy czynią zło, szczeną w piekle.

Mahomet zadrżał, przypomniawszy sobie nagle straszliwy los Palmyry. Zebrał siły, by mówić dalej:

– Tych, którzy krocą jego ścieżkami, Pan obdarzy obfitością deszczu i udowodni im, że wybrali właściwie. Ci, którzy pozostaną głusi na słowa Miłosiernego, zostaną srodze ukarani.

Mahomet zatrzymał konia. Znów stał przed czarnym kamieniem. Obrócił się lekko w siodle, patrząc na stary dom o poczerniałych od dymu kamieniach.

– Świątynie! – zawołał pełnym głosem, by mieć pewność, że wszyscy go usłyszą. – Świątynie wznosi się po to, by chwalić w nich Boga. Nie ma w nich miejsca dla innych bożków ni demonów. Kiedy słudzy boży wstają, by modlić się do Niego, gromadzą wokół siebie tłum wiernych. Nikt nie może was ochronić przed Bogiem i w Bogu tylko znajdziecie ocalenie.

Mahomet obrócił klacz w miejscu i podjechał do skraju tłumu. Pochylił się w siodle, zaglądając w twarze stojących najbliżej ludzi. Niektórzy z nich płakali. Znów pomyślał o martwym mieście i stworzeniu, które ucztowało za jego murami.

– Nadchodzi dopust boży. Nie wiem, czy Bóg miłosierny ześle go wkrótce, czy w odległej przyszłości. On jeden zna to, co ukryte: nie objawia swych sekretów nikomu prócz proroków, których sam wybrał. Posyła strażników, którzy krocą przed nimi i za nimi, by mógł mieć pewność, że naprawdę przekazali słowo Pana pustkowie.

Mahomet zrobił krótką pauzę, lecz gdy znów chciał przemówić, jakaś niewidzialna siła zamknęła mu usta. Próbował odkaszlnąć, lecz nie dawał rady. Jego uszy wypełnił głośny szum, potem poczuł dziwne swędzenie, jakby dotyk tysięcy owadów okrywających jego skórę niewidzialną skorupą. Klacz zarżała przeraźliwie i stanęła dęba, a Mahomet runął ciężko na ziemię. Buczenie wypełniające mu uszy przybrało na sile, zagłuszyło wołanie jego ludzi i krzyki tłumu. Niebo pociemniało, a przez plac przeleciał nagle potężny podmuch wiatru, który pchał przed sobą ścianę pyłu. Drobiny piasku i ziemi uderzyły Mahometa w twarz.

Dżalał krzyczał, próbował dotrzeć do swego wodza. Wiatr odrzucił go do tyłu.

Mahomet podniósł się powoli. Stał pośrodku trąby powietrznej, widział, jak tłum stojący po drugiej stronie wirującej ściany powietrza faluje do przodu i do tyłu. Ludzie, którzy zdołali utrzymać się na nogach, tratowali tych, którzy mieli mniej szczęścia i padli na ziemię. Kurajszyta czuł, że robi mu się słabo, ryk wypełniający jego uszy przenikał go bólem ostrym niczym igła. Przerażony i wzburzony tym, co działo się z ludźmi na placu, sięgnął po miecz zawieszony u jego boku. Powiew wiatru oderwał mu broń od pasa i rzucił ją na ziemię.

Pochylił się, by ją podnieść, dotykając ramieniem fali rozpędzonego powietrza.

Potężny cios w plecy rzucił go na ziemię. Coś przesunęło się nad jego ciałem, wypełniając nozdrza zapachem starego kurzu i ugotowanych roślin. Przetoczył się na plecy, czując dotyk potężnej, muskularnej istoty. Skóra niewidzialnego stworzenia pokryta była zimną łuską, niczym ciało wielkiego węża. Mahomet wykrzywił twarz w grymasie wściekłości i próbował odepchnąć grube zwoje oplatające jego ciało. Łuski przesunęły się po jego twarzy, przylgnęły do czaszki. Mahomet wbił w nie palce.

Gorący oddech obmył jego twarz, smród płynący prosto z piekielnych otchłani zatkał mu nozdrza. Mahomet krzyknął przeraźliwie, gdy zwoje oplatające jego pierś pozbawiły go oddechu. Niebo nad głową zawirowało w szalonym tańcu, potem zniknęło wraz z całym światem na końcu długiego, szarego tunelu. Mahomet czuł, jak jego kości zaczynają trzeszczeć pod ogromnym naciskiem.

– O Panie świata – zapłakał, pewien, że śmierć jest już blisko. – Wybaw swego sługę...

Usłyszał szyderczy śmiech, a potem siła uciskająca jego serce stała się zbyt wielka.

Przerażony tłum odrzucił Maslamę do tyłu. Ludzie biegli na oślep, próbując uciec przed podmuchami wiatru wypływającego z trąby powietrznej. Piach i drobne kamienie smagały ich po plecach, skłaniały do panicznej ucieczki. Maslama znalazł się nagle pod nogami spanikowanego tłumu. Ktoś kopnął go w głowę, a potem przewrócił się na niego. Coraz głośniejszy ryk wiatru zagłuszał histeryczne krzyki ludzi ogarniętych strachem. Młodzieniec zacisnął zęby i starając się nie myśleć o bólu przesywającym jego głowę, podniósł się z ziemi.

Kolejna fala uciekających ludzi omal nie przewróciła go z powrotem. Upadł na jedno kolano, a potem wystawił przed siebie okryte zbroją ramię, odrzucając tych, którzy biegli prosto na niego.

Nagle wszyscy zniknęli. Wiatr uderzył weń ze zdwojoną siłą, zmuszając go do pochylecia głowy. Szaty i zbroja chroniły skutecznie jego ciało, lecz odsłonięte ręce

ogarnął nagle przeraźliwy chłód.

Maslama podniósł powoli głowę, opierając się jedną ręką o ziemię. Ujrzał biało-niebieskie płomienie pełgające po ścianach starej świątyni. Niebo zakryła ciemność, a na środku placu wiło się jakieś ogromne obrzydliwe stworzenie. Tanuchowie rozproszyli się, pozostawiając za sobą sterty nieruchomych ciał. Tłum napierał na świątynie i mury, próbując za wszelką cenę wydostać się z placu. Pod ogromnymi, muskularnymi mackami stworzenia szamotała się jakaś postać w brudnej białej szacie i powyginanej zbroi.

Maslama opadł na obie ręce i zaczął pełznąć do przodu, choć serce waliło mu w piersi jak młot.

Nagle na ogromnym cielsku potwora wyrosła czerwona plama, która rozbryznięła się po całym placu. Wypłynął z niej straszliwy odór przypominający smród rozkładającego się ciała. Maslama zachłysnął się i zwymiotował. Coś pełzło po kamieniach w jego stronę. Maslama opanował słabość i sięgnął po szablę.

Potem napłynęły słowa – Maslama wiedział, że już je kiedyś słyszał, lecz choć rozpoznawał ich kształt i barwę, choć wiedział, co znaczą, gdy rozbrzmiały w powietrzu czystym, doskonałym dźwiękiem, nie potrafił ich nazwać. Wraz z nimi nadeszło światło, rozkwitło niczym słońce, które nagle przebija się przez deszczowe chmury. Świat okrył się krystalicznie czystym, białym blaskiem, który wypływał z postaci w brudnych szatach.

Monstrum – wężowy demon z otchłani piekielnych – zadrżało, zwinęło się w kłębek i obróciło w nicość. Maslama patrzył na to wszystko szeroko otwartymi oczami, jego umysł miotał się w panice, nie mogąc uwierzyć w to, co przekazywały mu zmysły – lecz potem światło dotknęło jego twarzy, delikatne i ciepłe niczym pocałunek matki, a cały strach, ból i cierpienie zniknęły bezpowrotnie. Szabla wysunęła się z jego dłoni i opadła z brzękiem na ziemię.

Ludzie rozrzućeni po całym placu, niemal nieprzytomni ze strachu, jaki obudziła w nich istota spoza tego świata, znieruchomieli nagle. Potem wszyscy odwrócili się niczym kwiaty podążające za słońcem, wystawiając twarze ku światłu. Niektórzy krzyczeli z radości, inni padali na kolana, jeszcze inni tracili świadomość.

Tylko dwóch ludzi wyglądało na nieporuszonych siłą, która objawiła się na moment przed starą świątynią. Jeden z nich natychmiast się obrócił i zniknął w jednej z uliczek miasta. Drugi podniósł się z ziemi i otrzepał brudną szatę, zdeptany przez grupę uciekających w panice bednarzy.

Światło przygasło, wpłynęło z powrotem w postać leżącego na ziemi człowieka.

Chalid al-Walid spojrział na tłum porażony tym, co rozegrało się przed chwilą na jego oczach, i potarł gładko ogoloną brodę.

– Cóż – mruknął, ruszając w stronę świątyni i ułożonej na wznak postaci wodza Mahometa. – Oto jest prawda Pana. Kto chce, może w nią uwierzyć, kto nie chce, może się jej wyprzeć.

Wysoko, na czystym jak łza niebie, znów świeciło słońce.

DOM D'ORELIO, RZYM

Drobna jasnowłosa służąca Betia przechadzała się powoli po pokoju, zapalając lampki oliwne osadzone w pomalowanych na biało mosiężnych stojakach przypominających kształtem morskie muszle. W miarę jak kolejne lampy rozpały się ciepłym, pomarańczowym blaskiem, pokój pozbywał się całunu nocy. Po drugiej stronie pokoju znajdowały się podwójne drzwi prowadzące na balkon. Pod balkonem leżał uśpiony ogród zamknięty pośrodku domu. Zazwyczaj między drzewami ogrodu paliły się ozdobne papierowe latarnie, jednak tej nocy wszystko okrywała ciemność. Betia wróciła do długiego porfirowego stołu ustawionego pośrodku pokoju i odstawiła do starego greckiego świecznika świeczkę.

Nikos przyglądał się służącej spod przymrużonych powiek. Siedział przy oknie na krześle z malowanej wikliny. Choć w pokoju nie brakowało innych krzeseł i sof, Chazarowie siedzieli na podłodze, zajęci grą w kości i rozmową. Początkowo Betia budziła dziwny niepokój Hira, powoli jednak zaczynał rozumieć jej cel i miejsce. Dziewczyna, która nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat, bez ustanku towarzyszyła księżnej. Mimo to jej obecność była niemal niezauważalna. Nie wynikało to tylko ze zwykłej obojętności obywatela względem niewolnika; Nikos nigdy nie wyrobił w sobie takiego nawyku. W jego zawodzie nie można zapominać o czujności ani lekceważyć tych, którzy nie rzucali się w oczy.

Nikos pomyślał z uśmiechem, że dziewczyna jest naprawdę bardzo dobra w tym, co robi. Poruszała się cicho i z wdziękiem. Nie upuszczała niczego ani nie uderzała o meble. Prawie przez cały czas chodziła boso, nie wydając przy tym żadnego dźwięku.

Ten, kto nie przyciąga uwagi, jest niewidzialny, rozbrzmiał w jego pamięci głos Thyatis.

Betia postawiła na stole misy z orzechami i pociętymi na plastry owocami i wyszła. Nikos przyglądał jej się z zaciekawieniem. Miał ochotę ruszyć za nią i przekonać się, dokąd odeszła. Teraz jednak nie miał na to czasu, postanowił więc odłożyć tę rozrywkę na później.

Na pewno jest z wyspy, pomyślał.

Pocierając odruchowo tył głowy, poznaczony guzami i bliznami, których dorobił się, służąc cesarstwu i księżnej, zastanawiał się, czy starczy mu kiedykolwiek odwagi, by otwarcie spytać o to swą pracodawczynię. Nikt nigdy nie poruszał tego tematu w jej obecności, Thyatis wspomniała jednak kiedyś, że była na wyspie. Obserwując księżną, służące i zamaskowane kobiety, które pojawiały się czasem w jej domu, Nikos nabrał przekonania, że wyspa to centrum jakiegoś tajemniczego kultu. Nieraz już się zastanawiał, czy nie przyjrzeć się bliżej tej kwestii, nie spróbować zdobyć

jakichś informacji. Nie zrobił tego, uznawszy, że niektórych spraw lepiej nie ruszać.

Tajemnice kobiet i ich obrzędów należały do takich właśnie spraw. Tak mawiał jego ojciec. Nikos przywiązywał wielką wagę do mądrości swego ojca i obiecywał sobie, że gdy tylko będzie miał czas, zacznie się do nich stosować.

Od drzwi dobiegły czyjeś przytłumione głosy. Nikos wstał i przeszedł na swoje miejsce u szczytu stołu. Do pokoju weszła księżna, ubrana tym razem w ciemnoniebieską suknię i złotą chustę, która okrywała jej nagie ramiona. Księżna trzymała pod rękę chazarskiego księcia Jusufa. Nikos skrzywił się ukradkiem na ten widok, trudno bowiem było nie zauważyć zadowolenia malującego się na twarzy jego przyjaciela. Anastazja śmiała się perliście z czegoś, co mówił do niej jej wysoki, szczupły towarzysz.

Księżna poprawiła suknię i usiadła w szerokim, wygodnym krześle, które podsunęła jej Betia. Nikos otworzył szerzej oczy zaskoczony i musiał ugryźć się w język, by nie powiedzieć czegoś niemądrego. Nawet nie zauważył, kiedy dziewczyna wróciła do pokoju, choć musiała tam wejść w towarzystwie księżnej.

Hir przyglądał się jej przez chwilę spod ściągniętych brwi. W końcu Betia także spojrzała na niego, a Nikos po raz pierwszy zobaczył jej oczy.

Były niebieskie niczym światło na północnym morzu pod zimnym letnim niebem. Przez chwilę siedział jak urzeczony, widząc w nich nieodgadnione błękitne głębie. Potem dziewczyna uśmiechnęła się lekko i puściła do niego oko. Nikos uderzył kolanem w stół i skrzywił się z bólu.

– Chodźcie tu, moi przyjaciele – powiedziała księżna, nie zwracając uwagi na dziwne zachowanie Nikosa. – Mamy sporo spraw do omówienia. – Chazarowie podnieśli się z podłogi, zbierając monety i chowając kości do specjalnego aksamitnego woreczka. Niemowa Anagatios usiadł po drugiej stronie stołu, skąd mógł widzieć usta i twarze wszystkich uczestników narady. Nikos przechwycił spojrzenie syryjskiego aktora i uśmiechnął się do niego, ten zaś odpowiedział mu wytwornym ukłonem.

– Nie chciałabym, byście zrozumieli mnie źle, ale obawiam się, że znaleźliśmy się w dość trudnej sytuacji. – Powaga, z jaką księżna wypowiedziała te słowa, natychmiast przywróciła Nikosowi trzeźwość myśli. Nawet w bladym świetle lamp widział, że księżna jest zmęczona i przybita. Jej piękne fioletowe oczy, zazwyczaj rozpalone wewnętrznym światłem, były teraz przygaszone i odległe. Hir usiadł prosto na swoim krześle. Anastazja rozejrzała się dokoła, spoglądając na swych ludzi, uśmiechając się do niektórych, innych witając skinieniem głowy. – Pojawił się poważny problem dotyczący rodziny cesarskiej.

Anastazja umilkła, pograżając się w myślach. Mężczyźni zgromadzeni przy stole milczeli. Każda sprawa dotycząca cesarza mogła być tylko niebezpieczna i trudna. Po

chwili księżna ponownie zebrała siły i powróciła do przerwanej tematu:

– Najmłodszy książę, Maksjan, wrócił ze Wschodu. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że wrócił stamtąd w towarzystwie Persów i innych podejrzanych osobników. Niektórzy z was wiedzą, że dwa tygodnie temu Nikos i Jusuf napadli na porzucony dom za miastem. Towarzyszyło im dwudziestu pretorianów.

Chazarowie podnieśli głowy, wyraźnie zainteresowani tym tematem. Nieudany najazd był tematem wielu przedziwnych plotek. Ludzie, którzy przybyli wraz z Nikosem i Jusufem z Egiptu i Wschodu, początkowo czuli się urażeni faktem, że wyłączono ich z tak ważnej akcji. Teraz jednak gratulowali sobie w duchu, że udało im się uniknąć katastrofy. Nikos wiedział, że księżna, która siłą rzeczy nie służyła z Chazarami i Ormianami podczas kampanii w Persji, nie ufała do końca tym ludziom. Ufała Nikosowi, Thyatis, Jusufowi, który znalazł drogę do jej serca, nie umiała jednak zaufać pozostałym.

– Doniesiono mi, że książę zamierza przeprowadzić jakiś obrzęd w tym domu. Podobno ten akt, ten obrzęd, skierowany był przeciwko jego bratu, cesarzowi Galenowi. Nie mogliśmy pozwolić na coś podobnego. Jednak cała operacja, choć kosztowała nas życie wielu ludzi, zakończyła się klęską.

Książę uciekł, a wraz z nim bliżej nieokreślona liczba jego sług i sprzymierzeńców. Dom został zniszczony, a pretorianie zabici.

Wokół stołu przebiegł przytłumiony chichot, który jednak szybko ucichł pod groźnym spojrzeniem księżnej.

– Nikos, powiedz nam wszystkim, co się tam wydarzyło.

Hir wstał, uklonił się i wsadził kciuki za pas, a potem zwrócił się z ponurą miną do zgromadzonych wokół ludzi. To, co miał do powiedzenia, nie było miłe.

Carnica przejechała z turkotem przez bramę miasta, kołysząc się na bruku ulicy. Dzień dobiegł końca, dzięki czemu wozy czekające pod murami mogły wreszcie wjechać do stolicy cesarstwa. Na wozach, które przyjechały tego dnia z portu w Ostii, piętrzyły się bele materiału przeznaczone dla warsztatu położonego po północnej stronie Awentynu.

Na szczycie jednej z takich stert, okrytej skórzaną płachtą, spała młoda kobieta o złotych włosach i opalonych na brąz nogach. Jej płaszcz, niegdyś zielony, miał teraz bliżej nieokreślony, ziemisty kolor. Kobieta leżała na plecach, do piersi zaś przyciskała torbę podróżną i miecz ukryty w znoszonej skórzanym pochwie. Pomimo głośnego turkotu drewnianych kół wozu o bruk ulicy Thyatis pochrapywała smacznie, wyczerpana długą podróżą.

Księżna odchrząknęła, zakrywając usta szczupłą, wypięęgnowaną dłonią. Nikos zakończył opowieść o tym, co widzieli i robili w domu za miastem. Chazarowie słuchali go z ogromnym zainteresowaniem – żaden z nich nigdy wcześniej nie walczył z demonem. Na twarzy Anagatiosa malowała się głęboka troska. Nie lubił bitew. Jego niezwykle umiejętności nie miały większego zastosowania podczas walki.

– Moi słudzy – przemówiła Anastazja spokojnym, opanowanym głosem – odkopali dom i wyciągnęli z piwnic wiele ciał, które potem zostały starannie zbadane. Z oględzin tych wynika jasno, że księżę, niegdyś traktowany w tym domu jako przyjaciel i mile widziany gość, zadaje się obecnie z perskimi magami i innymi podejrzanymi duchami. Wiadomo też, że na jego usługach pozostaje jakieś monstrum o nieludzkiej sile i umiejętnościach. Wiele spośród ciał wydobytych z ruin domu nosi ślady tortur i *necrothii*.

Księżna umilkła, widząc, że siedzący przy stole mężczyźni nie znają tego terminu.

– *Necrothia*, jak się niedawno dowiedziałam, to fachowa nazwa znaków widocznych na ciałach, które zostały wskrzeszone po śmierci przy użyciu specjalnych zaklęć i obrzędów.

Spojrzała na otaczające ją twarze. Na większości malował się źle skrywany strach lub odraza.

– Tak, księżę lub ktoś z jego otoczenia para się nekromancją. Ma na swych usługach żywe trupy.

Nikos wzdrygnął się odruchowo. Nawet wśród jego ziomków, ludzi wyjątkowo spokojnych i mocno stąpających po ziemi, żywe trupy budziły grozę.

– Nie wiemy, czy księżę sam ma dość siły, by podejmować takie działania, czy też pomagają mu w tym inni, silniejsi. Wiemy z dwóch godnych zaufania źródeł, że był niedawno na równinie doliny Eufratu, podobnie jak wy, i że przeprowadzał tam prace wykopaliskowe w pewnym martwym mieście. Nie wiemy, co tam odkrył, ale być może stworzenie, z którym Nikos i Jusuf skrzyżowali miecze w zrujnowanym domu, jest owocem tych prac. Wiemy też, że posiada stworzenie rodem z legend, coś, co może przenosić go na wielkie odległości z ogromną prędkością. Nikos, który, jak wiemy, nie jest skłonny do przesady, nazywa to stworzenie *ignis dracorus* lub ognistym smokiem.

Jusuf zwrócił się do księżnej, składając jej lekki ukłon:

– Cóż więc zrobimy, szlachetna pani?

Nikos omal nie parsknął śmiechem. Księżna w aż nazbyt oczywisty sposób wyreżyserowała częściowo to spotkanie.

– Musimy uczynić wszystko – mówiła powoli księżna – by księcia ponownie otoczyć opieką cesarstwa. Musimy zniszczyć to stworzenie, które go ochrania, i zabić lub aresztować jego sługi. Trzeba to zrobić dyskretnie, by nie wzbudzić niczych podejrzeń.

– Nawet cesarza? – spytał Nikos i zaczerwienił się, bo przemówił, nie przemyślawszy wcześniej własnych słów.

Księżna odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Powoli skinęła w milczeniu głową. Nikos zrozumiał. Cesarz miał się dowiedzieć o wszystkim dopiero po zakończeniu akcji. Gdyby udało się przywrócić niesfornego księcia na łono rodziny, sprawa byłaby zamknięta. Gdyby jednak książę uciekł albo zginął, byłby to tylko nieszczęśliwy wypadek. Ręce cesarza nie splamiłyby się krwią brata.

– Poinformowano mnie – przemówiła ponownie księżna – że książę przebywa w mieście. Zamierza jednak przenieść się na południe, być może do Kurne nad Zatokę Neapolitańską. Zastanawiałam się, czy nie zatrzymać księcia w stolicy, odrzuciłam jednak ten plan. Moc, którą dysponuje, mogłaby wyrządzić tutaj zbyt wiele szkód. Poczekamy, aż znajdzie się za murami miasta. Wtedy uderzymy.

Nikos podniósł rękę. Jego umysł wypełniały pytania dotyczące taktyki i planu działania.

Thyatis odgryzła kawałek chleba. Była bardzo zmęczona i brudna po długiej, wyczerpującej podróży, wędrowka w górę ulicy wijącej się po zboczu Kwirynału sprawiała jej ból. Niosła dwie torby przerzucone przez ramię – jedna zawierała rzeczy osobiste, druga prezenty, które wyszukała na targowiskach Aten i Syrakuz. Dzieci Szirin nie byłyby zadowolone, gdyby przybyła do nich bez odpowiednich darów!

Podjęła przerwany na moment marsz, choć końcowy fragment drogi wydawał jej się znacznie bardziej stromy niż ostatnio. Dokoła rozłożyło się wielkie miasto, iskrzące milionem świateł, niczym odbicie rozgwieżdżonego nieba. Znajomy smród unoszący się w powietrzu był dla niej niczym aromat kadzidła. Zwykle dom kojarzył jej się z Terą, lecz tego wieczora czuła się tak, jakby wracała z długiej podróży do domu.

– Co zrobimy z czarownikiem? – spytał Karmi, starszy z dwóch chazarskich braci, którzy uciekli wraz z nimi z płonącego Ktezyfonu. Gęsta, kędzierzawa broda nie mogła ukryć wyrazu troski, który malował się na jego twarzy. Siedzący obok Efraim skinął głową, wspierając swego brata. – Jeśli ten książę może przyzywać moce powietrza i ciemności, nie mamy większych szans. Żaden z nas... – Karmi objął gestem mężczyzn siedzących przy stole – nie ma takich umiejętności. Potrzebujemy pomocy; naszych własnych czarownic i czarowników, którzy przeciwstawiliby się

mocy księcia.

Nikos odwrócił się do księżnej, unosząc lekko brwi. On także chciał zadać jej to pytanie.

– Szukałam takiego wsparcia – odparła księżna zmęczonym głosem. – Nie możemy skorzystać z pomocy taumaturgów z cesarskich legionów czy Akademii Cesarskiej bez pozwolenia samego cesarza, a tego byśmy nie chcieli. Próbowałam kontaktować się z niezależnymi czarownikami mieszkającymi w naszym mieście. Żaden nie wyraził zainteresowania. Obawiam się, że będziemy musieli poradzić sobie z tym sami.

– Co? – Nikos podniósł się ze swego miejsca poruszony. – Pani, to beznadziejne zadanie! Jesteśmy silnymi ludźmi, znamy się dobrze na rzemiośle wojennym. Lecz nawet wszyscy razem, nawet z gotowym planem ataku czy zasadzki, nie pokonamy tego potwora, który strzeże księcia. Jeśli w starciu z księciem i jego mocami będziemy zdani tylko na własne siły... cóż, to będzie nasz koniec.

– To nie będzie wasz koniec. – W oczach Anastazji pojawiły się w końcu iskry gniewu. – Jesteście myślącymi ludźmi. Doświadczonymi, przebiegłymi łowcami. Możecie dopaść chłopca i to jego stworzenie i zabić ich lub pojmać. Są żywymi ludźmi, więc krwawią i można ich zabić. Zdaje się, że sam mi to kiedyś powiedziałeś, Nikosie.

Nikos skrzywił się, słysząc zjadliwy ton w jej głosie.

– Owszem – odparł posepnie – ale mówiłem to, nim skrzyżowaliśmy miecze z tym potworem. Jusufie, byłeś tam, widziałeś, jak on się rusza! Był niesamowicie szybki... co więcej, on nie krwawi, pani.

Anastazja odwróciła się do Jusufa i spojrzała nań pytająco. Chazar spojrzał na nią posepnie i skinął powoli głową – To prawda – rzekł cicho. – Petroniusz przebił go włócznią na wylot, a on się tylko śmiał. On chciał, żeby Petroniusz to zrobił, chciał pokazać, że nasza broń nie może go zabić. Potem zgniótł jego czaszkę w palcach. Jeśli, jak powiadasz, pani, ciała wydobyte z ruin domu to wskrzeszeni zmarli, mogę się założyć, że to także żywy trup.

Anastazja jakby skuliła się w sobie, przygaśla. Nikos odchrząknął cicho i poprawił się na krześle. Nie widział żadnego rozsądnego sposobu na osiągnięcie celu, który wyznaczyła sobie księżna, i zastanawiał się, czy z niego nie zrezygnuje. To jednak nie było do niej podobne.

– Pani – przemówił wreszcie, kiedy księżna nadal milczała. – Jeśli będziemy ostrożni, być może uda nam się aresztować księcia teraz, kiedy jeszcze przebywa w mieście. Jeśli tłą się w nim jeszcze resztki sumienia, nie będzie wykorzystywał w pełni swojej mocy w miejscu, gdzie mógłby zabić wielu niewinnych ludzi. Jeśli zaś pozwolimy mu uciec na wieś, będziemy zdani na jego łaskę i niełaskę! Na bogów, ten

ognisty smok potrafi latać! Nie będziemy mogli nic zrobić, jeśli zdecyduje się uciec. Jesteśmy na przegranej pozycji i nie poradzimy sobie bez pomocy z zewnątrz – cesarskiej pomocy.

– Nie – księżna wyrwała się wreszcie z otępienia i usiadła prosto. Jusuf próbował dotknąć jej ręki, powstrzymała go jednak lodowatym spojrzeniem. Rozejrzała się powoli wokół stołu, a wszyscy zgromadzeni przy nim mężczyźni zeszywnieli pod jej wzrokiem. – Oto zadanie, które wam powierzam – oświadczyła lodowatym tonem. – Znajdźcie sposób na pokonanie potwora, schwytanie chłopca i przywiezienie go tutaj, do mnie. Radzę wam pozbawić go przytomności na czas tej akcji. Jesteście moimi najlepszymi ludźmi i musicie sobie z tym poradzić. Oczywiście, zrobicie to tak, by nie ściągnąć na siebie uwagi cesarza ani jego ludzi. Zrozumiano?

Zjadliwa nuta w jej głosie była niczym uderzenie w twarz. Nikos skinął głową w milczeniu.

– Doskonale. – Anastazja uśmiechnęła się chłodno. – Powiedzcie mi teraz, jak poradzicie sobie z potworem.

Betia przygryzła nerwowo paznokcie. Wiedziała, że nie powinna, ale okropnie się wstydziła swojego zachowania. Zdenerwowana, wyjrzała ukradkiem zza wielkiego krzesła, na którym siedziała księżna. Nie mogła zobaczyć całej muskularnej sylwetki człowieka, który przyglądał jej się przedtem z takim zainteresowaniem, widziała jednak jego dłonie ułożone na blacie stołu. Były duże i silne. Spojrzała na własne dłonie, blade i drobne. Słyszała, że w młodości Hir był zapaśnikiem. Wydawało się to całkiem prawdopodobne, zwłaszcza że jego nadgarstki wyglądały jak korzenie drzew i były niemal tak grube jak jej ramiona. Jego ramiona z kolei, pokryte splotami twardych jak stal mięśni, były grubsze niż jej uda.

Jestem za mała, lamentowała w myślach. Za mała, za słaba i nieuważna.

Co gorsza, jego ciało pokrywały białe blizny i zgrubienia znaczące miejsca licznych ran. Miał ciemne, brązowe oczy i wygoloną do łysa czaszkę. Wyglądał naprawdę groźnie. Nie powinnam była patrzeć mu prosto w oczy, łajała się w myślach. Popełniła w ten sposób kolejny błąd po tym, jak pozwoliła mu zauważyć, że nie zwraca na siebie niczyjej uwagi. Ukryta za zasłoną krzesła, zwiesiła głowę i omal się nie rozplakała. Adept Sztuki powinien pozostawać niezauważony, stając się częścią tła, naturalnym elementem otoczenia. Pozostawanie niewidzialnym przez cały czas było wbrew regułom.

Betia wzięła głęboki oddech i ścisnęła palcami nasadę nosa. Płkanie także było zabronione. Wiedziała, gdzie popełniła błąd, choć musiała przyznać, że bycie niewidzialnym sprawiało jej wielką przyjemność. Świadomość, że może dostać się w każde miejsce, nie pytając nikogo o pozwolenie, dawała jej poczucie niesamowitej

wolności.

Byłam zbyt pewna siebie, pouczała się w myślach. Pan Nikos jest zawodowcem, a nie uczniakiem. Oczywiście, że musiał mnie zauważyć! Mam nadzieję, że nie dostanę straszego lania... Posmutniała na tę myśl. Jej pani była bardzo surowa w tej kwestii. Złamanie ustalonych reguł, ściągnięcie na siebie uwagi, szczególnie w tak dziwny sposób, musiało wzbudzić jej gniew. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie zdać się na łaskę księżnej, przypomniała sobie jednak, że jej pani nie miała ostatnio najlepszego humoru.

Wyjrzała ponownie zza krzesła. Pan Nikos stał i spierał się z panem Jusufem o szczegóły jakiegoś planu czy mechanizmu. Betia zauważyła, że pan Nikos ma bardzo muskularne ciało, wyraźnie zarysowane pod obcisłą tuniką.

– A co z jego sługami? To ludzie czy potwory? – Nikos pochylił się nad stołem, na którym leżały mapy pokazujące ziemie między stolicą i wielką zatoką położoną o kilkaset mil dalej na południe. Omówiono już i odrzucono kilka różnych pomysłów i planów. Słudzy wnieśli do pokoju wino, gotowane mięsiwa i jeszcze więcej mis z orzechami. Hir spojrział pytająco na księżną, unosząc lekko brwi.

Anastazja westchnęła i odstawiła puchar z winem rozcieńczonym wodą. Była zmęczona, choć tego rodzaju narady niegdyś rozpałały w niej krew. Teraz była to tylko jedna z wielu podobnych do siebie nocy spędzonych na jałowych dyskusjach i sporach.

– Nie jestem pewna – odparła. – Ale całkiem prawdopodobne, że niektórzy słudzy księcia nie są ludźmi. Chodzą jak ludzie, noszą ludzkie ubrania, ale... – Umilkła na moment, szukając właściwych słów.

Jusuf podniósł wzrok znad notatek sporządzonych przez szefa ekipy badającej ruiny domu. Odwrócił jeden z zapisanych drobnym maczkiem arkuszy pergaminu i pchnął go w stronę Nikosa.

– Niektóre z ciał znalezionych w ruinach – mówił Chazar – należały prawdopodobnie do tych ludzi. Ale spójrz tylko na ten rysunek; widzisz tę stopę?

Nikos obrócił arkusz i przyjrzał mu się uważniej. Światło było coraz słabsze, bo świece zaczęły już przygasać. Nagle jednak w pokoju pojaśniało, a Nikos dostrzegł kątem oka, że mała blondynka stanęła za jego plecami i wymienia zużyte świece. Zmarszczył lekko brwi, udawał jednak, że jej nie widzi.

Precyzyjny rysunek stopy umieszczony na pergaminie został wykonany przez człowieka, którego księżna zatrudniała nie tylko do malowania fresków na ścianach, ale i obrazów różnych budynków, ludzi, maszyn i innych obiektów budzących jej zainteresowanie. Obiektów takich, jak martwe ciała wyciągnięte spod ruin spalonego

domu.

Rysunek przedstawiał stopę o rozciętej i odciągniętej na boki skórze. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak zwykła ludzka stopa, jednak po uważniejszych oględzinach Nikos zauważył na niej dodatkowe mięśnie i ścięgna. Nad każdym palcem znajdowało się także dziwne zgrubienie, rodzaj jakiejś osłonki. Hir przysunął kartkę do oczu, próbując odgadnąć, czemu mają służyć owe zgrubienia.

– To pazury – pomógł mu Jusuf. – Niektórzy ze sług księcia to zwierzęta w ludzkiej skórze. W naszych stronach nazywamy ich *ursakurt*, wy mówicie o nich wilkołaki. Starzy ludzie opowiadają o nich czasem, ale podobno wszystkie dawno już opuściły nasze ziemie, zanim jeszcze ze wschodu nadeszli Turcy. Nikos zaklął szpetnie i podrapał się po swej łysej głowie. Sprawy wyglądały coraz gorzej.

Betiaomal nie roześmiała się głośno, ujrawszy minę pana Nikosa. Po godzinie spędzonej na przysłuchiwaniu się kłótniom mężczyzn zgromadzonych w pokoju, uświadomiła sobie, że jego łysa opalona głowa przypomina jej kurze jajo. Rozbawiona tą myślą, przestała się na chwilę zamartwiać i podkraśla nawet trochę jedzenia z tac, które wniesiono do pokoju. Księżna, na szczęście, jakby całkiem zapomniała o jej obecności.

Betia nauczyła się już jednak, że to tylko pozór, i że księżna w każdej chwili może wezwać ją do siebie.

Nagle poczuła na szyi delikatny podmuch powietrza i zerwała się na równe nogi, stając między drzwiami a krzesłem swej pani.

W wejściu do komnaty stanęła jakaś postać w brudnym, ciemnym płaszczu, otoczona dziwnym zapachem błota, kurzu i targowiska. Jedna dłoń intruza spoczywała na drzwiach, a druga zatykała usta Betii. Była to silna, szczupła dłoń o krótko przyciętych paznokciach i odciskach typowych dla ludzi często posługujących się mieczem.

– Witajcie, przyjaciele – przemówił znajomy głos. Nikos odwrócił się, zdumiony, księżna otworzyła szeroko oczy. – Czemu macie takie ponure miny?

Serce zabiło żywiej w piersi Nikosa, a postać w drzwiach odrzuciła kaptur do tyłu, uwalniając kaskadę złotych loków. W pokoju zapanowało nagle wielkie poruszenie, wszyscy nabrali powietrza w płuca, by coś powiedzieć.

– Nikos! – Thyatis dopadła Hira jednym skokiem i zamknęła go w niedźwiedzim uścisku, uśmiechnięta od ucha do ucha. – Nie zgubiłeś się w drodze do domu!

Nikos roześmiał się głośno, czując, jak z jego ramion spada nagle ogromny ciężar. Uściskał Thyatis serdecznie, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

Thyatis odwróciła się i skłoniła przed księżną, wciąż uśmiechnięta. Księżna odpowiedziała jej równie radosnym uśmiechem i podała jej rękę.

– Pani – rzekła Thyatis, przykładając czoło do dłoni Anastazji. – Jak widzisz, wróciłam w końcu do domu. Trochę spóźniona, ale jednak jestem.

– Witaj – przemówiła Anastazja, a jej ściągnięta troską twarz wygładziła się nagle, odzyskując dawną urodę. Wydawało się, że szczerzy uśmiech przywrócił jej młodość i przegnał zmęczenie. – Zjawiasz się w najlepszym momencie.

– Też mi się tak wydaje – mruknęła Thyatis i wciąż trzymając księżną za rękę, objęła wzrokiem zgromadzonych w pokoju mężczyzn. Chazarowie tłoczyli się wokół niej, klepali ją po plecach i komentowali jej znoszony strój. Jusuf uśmiechał się do niej z drugiego krańca stołu, nie wstał jednak, by ją uściskać. Thyatis uniosła lekko brwi, zauważywszy, że Chazar trzyma dłoń na oparciu krzesła księżnej.

Widzę, że znów szykujecie jakieś wygłupy – powiedziała Thyatis, wskazując na mapy i dokumenty rozłożone na stole. – W powietrzu czuć polowanie. Słyszałam to w waszych głosach, kiedy tu szłam. Opowiedzcie mi o wszystkim.

Nad wielką cedrową wanną unosiły się kłęby wonnej pary. Postępując z rozkoszy, Thyatis zanurzyła się w gorącej, czystej wodzie, spiąwszy uprzednio włosy w kok na czubku głowy. Wydawało się, że nagle obudziły się wszystkie mięśnie w jej ciele, a każdy z nich domagał się odpoczynku i pielęgnacji. Po długich tygodniach spędzonych na barkach i kabotażowcach, Thyatis nie mogła się nacieszyć tą chwilą rozkosznego lenistwa.

– Dzieci są całe i zdrowe. – Anastazja siedziała na marmurowej ławce obok wanny. Księżna także była zmęczona, lecz wyraz przygnębienia na jej twarzy zniknął i zastąpiła go chłodna pewność siebie. – Narobiły w domu strasznego zamieszania, biegały wszędzie jak dzikie małpki i doprowadzały wszystkich do szaleństwa.

– Tak? – Thyatis zanurzyła się głębiej, woda sięgała jej teraz po brodę. – Zniszczyły coś?

– O tak – odparła Anastazja, uśmiechając się lekko. – Trudno było nad nimi zapanować.

– Przywiozłam im prezenty – powiedziała Thyatis, ciesząc się z gorącego dotyku wody. – Są tutaj?

– Nie. – Księżna sięgnęła nad wannę i ściągnęła zawieszoną na ścianie szczotkę. Podała ją Thyatis, ta jednak pozwoliła, by szczotka unosiła się leniwie na powierzchni wody. – Posłałam je kiedyś z Betią do cyrku na pokaz dzikich zwierząt. Koniecznie chciały zobaczyć ośmiornicę, węża morskiego i inne dzikie stworzenia, wysłałam je więc na kilka tygodni do mojego domu na plaży w Bajach, żeby trochę odpoczęły na słońcu. Pojedziemy do nich wkrótce.

– Dużo urosły? – Thyatis pomyślała ze smutkiem o Szirin, która tkwiła uwięziona

na Terze, podczas gdy jej dzieci baraszkowały w słońcu. Księżniczka z pewnością nie byłaby zachwycona, wiedząc, ile swobody mają dzieci podczas jej nieobecności. – Pewnie są już całkiem rozpuszczone?

– Obawiam się, że tak – odparła księżna z uśmiechem. – Są naprawdę kochane. Przypuszczam, że ich matka jest bardzo piękna.

Thyatis uniosła głowę nad wodę i przełożyła rękę przez krawędź wanny, spoglądając na księżną.

– Kto tak powiedział? Z pewnością nie Jusuf, on czerwieni się jak burak, kiedy ktoś mówi przy nim o jej dzieciach. To pewnie ten łajdak Nikos.

– Owszem, ale widziałam to też w ich twarzach – odrzekła Anastazja, śmiejąc się głośno. Potem jednak spowaźniała i złożywszy dłonie na kolanach, spojrzała na Thyatis. – Opowiadał mi o wszystkim. Podjęłaś kilka naprawdę śmiałych decyzji.

Na twarzy Thyatis pojawił się wyraz niepewności, spojrzała jednak śmiało w oczy księżnej.

– Uważasz, że postąpiłam niewłaściwie?

Anastazja zastanawiała się nad tym przez chwilę, spoglądając w szczerze oczy swej podwładnej. Zauważyła też, że jej twarz spowaźniała, a na ramionach i rękach pojawiły się grube sploty mięśni. Księżna skinęła powoli głową; wysłała w daleką podróż młodą dziewczynę, nie do końca jeszcze uformowaną, a otrzymała z powrotem – dzięki bogom! – dojrzałą kobietę.

– Thyatis... – przemówiła w końcu, umilkła jednak raptownie, nie wiedząc, co powiedzieć. Weź się w garść! – zrugła się w myślach. – Moja droga, rozmawialiśmy kiedyś o dniu, w którym kupiłam cię na targu i włączyłam do mojej rodziny. Powiedziałam ci wtedy, że kupiłam cię, bo zobaczyłam w twych oczach ducha walki, nieugiętą wolę. To prawda, lecz gdy wyjechałaś na Wschód, zrozumiałam, że za tobą tęsknię. Wtedy uświadomiłam sobie, że kupiłam cię, bo przypominałaś mi... mnie samą.

Thyatis obróciła się w wannie, kładąc obie ręce na jej brzegu i opierając głowę na splecionych palcach.

– Jak to? Byłam brudną, bosą, obdartą dziewczyną ze wsi, bez żadnych perspektyw na przyszłość.

– To prawda – odrzekła księżna za smutkiem. – Podobnie jak ja wiele lat wcześniej. Byłam sierotą, moi rodzice zostali zamordowani przez piratów w pobliżu Sycylii. Zdaje się, że to byli Wandalowie, którzy w owym czasie zajmowali jeszcze kilka warowni na wybrzeżu Afryki. Miałam szczęście, że udało mi się wyrwać z ich rąk; ci barbarzyńcy wierzą, że ludzie o dziwnym kolorze oczu przynoszą nieszczęście. Sprzedali mnie na wielkim targu w Delos. – Księżna umilkła na

moment, wracając myślami do wspomnień. Potem uśmiechnęła się, jakby poruszona jakimś weselszym obrazem. – Agentki Pani Wyspy kupiły mnie razem z sześcioma innymi dziewczętami. Znowu przez te moje oczy. Sprzedano mnie ze swego rodzaju... rabatem – parsknęła. – Ale wcale tego nie żałuję.

– Zabrały cię na wyspę? Anastazja pokręciła głową.

– Nie, w kraju panowało wtedy zbyt duże zamieszanie. Nikogo nie wpuszczano na wyspę, ani z niej nie wypuszczano do czasu, aż cesarz na powrót zaprowadził porządek w tej okolicy. Nie wiem, czy to miejsce nadal istnieje, ale w owym czasie siostry miały jeszcze jedną kryjówkę, w górach Epiru. Zabrano nas tam i szkolono w ukryciu. Och, to było naprawdę długie sześć lat!

– Sześć? – Thyatis dotknęła stopy Anastazji i delikatnie ścisnęła jej duży palec. – Pewnie śmiejesz się z narzekań tych, które musiały cierpieć tylko przez pięć...

Anastazja pochyliła się i ucałowała młodszą kobietę w czubek głowy.

– Owszem, ale wtedy nie mogliśmy cieszyć się dobrodziejstwami troskliwej opieki Mikele...

– Phi! – skrzywiła się Thyatis, wstając. – To miałyście po prostu słodkie życie!

Anastazja roześmiała się i podała młodszej kobiecie szatę z delikatnej bawełny. Thyatis skłoniła się lekko i naciągnęła okrycie na szerokie ramiona.

– Być może postąpiłaś niewłaściwie – powiedziała księżna, wracając do pytania Thyatis. – Ale ja nie mogłabym... nie chcę kwestionować twoich wyborów. Zbyt wiele dla mnie znaczysz.

Thyatis uśmiechnęła się i uściskała mocno swą przybraną matkę. Teraz wiedziała, że naprawdę jest w domu.

DAMASZEK

Wirujące koło ognia toczyło się po kamiennym moście zawieszonym nad rzeką Baradas. Most miał niemal sześćdziesiąt stóp wysokości i był dość szeroki, by mogła po nim maszerować rozciągnięta w szereg kohorta. Koło wirowało coraz szybciej, by w końcu uderzyć w barykadę z przewróconych wozów wzniesioną po północnej stronie mostu. Rozległ się głośny syk, jakby ktoś włożył do wody rozpalone żelazo, a wozy eksplodowały chmurą dymu i ognia. Jeden z nich wyleciał w powietrze i rozpadł się na drobne kawałki. Syryjscy obrońcy ukryci za barykadą rzucili się do bezładnej ucieczki, biegali co sił w nogach w stronę murów. Pozostałe wozy płonęły niczym wiechcie słomy, posyłając w niebo grube słupy dymu czarnego jak smoła.

Odenatus i jego kawaleria wjechali galopem na most. Niektórzy z Palmyrczyków, uzbrojeni w łuki, strzelali do uciekających Syryjczyków. Odenatus zatrzymał konia przed płonąca barykadą. Skupił się i sięgnął w głąb ziemi, dotykając nurtu rzeki. Moc wpłynęła do jego ręki, a pozostałe wozy, wciąż okryte płomieniami, odsunęły się na boki, umożliwiając przejazd ludziom Odenatusa.

Sto kroków dalej, po drugiej stronie pola, które służyło zwykle za targowisko przyjeżdżającym do miasta rolnikom, inna grupa palmyrskich jeźdźców ostrzeliwała mury miasta. Po obu stronach bramy Dżerasz wznosiły się dwie potężne wieże połączone osłoniętym pomostem, na którym tłoczyli się teraz obrońcy miasta. Jakaś zabłąkana strzała przemknęła obok głowy Odenatusa i uderzyła w bruk. Młodzieniec obrócił konia i pognał go w górę drogi. Za nim jechała reszta małej armii Zoe.

Brama miasta, osadzona w szerokim, łukowatym tunelu, była już zamknięta. Z poprzednich wizyt w Damaszku Odenatus wiedział, że w długim tunelu znajdują się jeszcze trzy ciężkie bramy z drewna i żelaza. Teraz wszystkie trzy z pewnością były zamknięte, choć młody Palmyrczyk śmiał się w duchu na myśl, że wielkie miasto drży ze strachu przed ich żalosną bandą. W pobliżu przeleciało kilka kolejnych strzał, Odenatus podniósł więc rękę i nakreślił w powietrzu płonący znak. Strzały zmierzające w jego stronę zatrzymały się nagle w powietrzu, a potem opadły na ziemię.

– Jak mocna jest ta brama? – spytała Zoe, zatrzymując swego konia obok kuzyna. Jej długie włosy splecione były w warkocz ułożony ciasno na głowie. Podobnie jak Odenatus nosiła hełm legionisty i kolczugę ukrytą pod brązową szatą. Po jednej stronie siodła kołysał się łuk umocowany w specjalnym uchwycie, po drugiej zaś kołczan ze strzałami. Jej twarz była zaczerwieniona, a oczy płonęły gniewem.

Odenatus westchnął i wskazał ręką na potężne wieże.

– Spójrz tylko – powiedział, zerkając na trzystu palmyrskich jeźdźców, którzy przegrupowywali się teraz przy wjeździe na most. – Oto owoc tysiąca lat

doświadczenia i dziesiątek lat ciężkiej pracy.

Zoe obrzuciła go gniewnym spojrzeniem. Rozmawiali na ten temat wielokrotnie, siedząc na wzgórzach za miastem i obserwując jego obywateli. Dziewczyna podniosła dumnie głowę, obróciła konia i podjechała do bramy. Przez chwilę tkwiła przy niej nieruchomo, z pochyloną głową, jakby nasłuchując.

– Tiris! Gadama! – krzyknęła donośnym głosem. – Weźcie po dziesięciu ludzi i objeźdźcie całe miasto. Mogą wyjechać inną bramą. Jeśli to zrobią, niech ktoś natychmiast tu wróci z wieścią!

Damaszek był miastem o wielu bramach, mniejszych i większych. Odenatus wiedział, że ich wysiłki są bezowocne, nie sprzeciwiał się jednak Zoe. Tymczasem ta krzyknęła gniewnie i skierowała rękę na bramę, przed którą właśnie stali.

Powietrze między młodą Palmyrką a bramą zafalowało gwałtownie. Odenatus skulił się w siodle, czując kotłującą się dokoła wściekłość i nienawiść. Kamienie pod kopytami konia Zoe popękały i rozpadły się w pył, niebo pociemniało. Zerwał się wiatr, który niósł ze sobą ostre drobiny piasku i pyłu.

Główna brama, szeroka na trzydzieści stóp zaporą z drewna i żelaza, zadrzała i wydała głębokie dudnienie niczym wielki bęben. Przez moment Odenatus widział, jak brama i wieże po obu jej stronach okrywają się drobną siatką ciemnoczerwonego światła. Starożytne zaklęcia wplecione przed wiekami w kamienie, żelazo i drewno bramy zamigotały i przygasły. Odenatus przywołał nadwidzenie i ujrzał, jak słabnące echo uderzenia Zoe znika w setkach pułapek i kanałów, spływa po powierzchni bramy niczym woda po kamieniu.

– Ta tarcza jest za silna, królowo – przemówił cicho, by tylko Zoe mogła go usłyszeć.

Zoe odwróciła się do niego. Jej twarz wykrzywił grymas wściekłości, a w oczach widać było płomienie z trudem powstrzymywanej mocy.

– Złamiemy to miasto. – Ona także mówiła cicho, lecz Odenatus słyszał narastający w jej głosie krzyk.

– Nie złamiemy. – Podjechał bliżej, zatrzymując konia tuż obok niej. Pochylił się i spojrzał jej prosto w oczy. – W tym mieście mieszka prawie pięćset tysięcy ludzi. My mamy zaledwie trzystu wojowników, a tylko nas dwoje potrafi używać mocy. Posłuchaj tylko, ci ludzie z nas szydzą.

Zoe spojrzała na mury i przekonała się, że Odenatus ma rację. Tysiące Syryjczyków, mężczyzn i kobiet, krzyczało coś do nich. Z murów leciał grad kamieni i odpadków, choć żaden z nich nie mógł dosięgnąć Palmyrczyków. Zoe zadrzała i oparła się o łęk siodła.

– Rzym zdradził także i ich – przemówiła głosem drżącym od nadmiaru emocji. – Dlaczego nie staną wraz z nami przeciwko cesarstwu, które nas wykorzystuje,

a potem porzuca?

Odenatus położył dłoń na jej ramieniu i delikatnie obrócił kuzynkę do siebie.

– Królowo, to nie ich miasto Rzym złożył w ofierze, by chronić własne interesy. Nie obchodzi ich, co stanie się z nami. Chodźmy stąd.

Zoe pokręciła głową, nie mogąc już dłużej powstrzymać łez, które pociekły strumieniem po policzkach.

– Nie odejdę stąd jak wychłostany pies – warknęła. – Ona na nas patrzy. Ona wiedziałaby, jak zniszczyć te bramy i rzucić miasto na kolana.

Odenatus zacisnął zęby, starając się nie patrzeć na drugą stronę mostu. Tam, na przeciwnym brzegu rzeki, stała grupa jeźdźców strzegąca wozu. Na wozie umieszczono tron ze złota i kości słoniowej, wydobyty z ruin pałacu w Palmyrze, na nim zaś spoczywało ciało Zenobii, królowej Palmyry. Zmumifikowane zwłoki królowej były okropnie okaleczone i oszpecone, okrywała je jednak suknia ze złota, aksamitu i jedwabiu. Od powrotu z wyprawy na wzgórze za miastem Zoe twierdziła z uporem, że martwa królowa nadal rządzi Palmyrą. Ukryte miedziane pręty i druty utrzymywały ciało w całości i nie pozwalały mu zsunąć się z tronu. Ten makabryczny widok zawsze przyprawiał Odenatusa o zimny dreszcz.

– Ona – przemówił młody Palmyrczyk, gorączkowo szukając w myślach jakiegoś argumentu – przyjechałaby tu z wielką armią i gotowym planem ataku, miałyby też w mieście przyjaciół, którzy wsparliby ją w potrzebie.

Zoe spojrzała nań ze złością. Otwierała już usta, by udzielić mu jakiejś ostrej odpowiedzi, lecz nagle z zachodu dobiegł ich czyjś krzyk. Odenatus odwrócił się i wyprostował w siodle. Tiris i ludzie, których wysłał w tę stronę, wracali w wielkim pośpiechu. Niektórzy odwracali się i strzelali do czegoś, co kryło się jeszcze za załomem murów miasta. Odenatus zawrócił konia i krzyknął:

– Wracać za most! Licjusz, pošlij kogoś po Gadamę i jego ludzi! Szybko! Nie zwracając uwagi na ponure spojrzenia Zoe, poderwał konia do galopu i przejechał na drugą stronę mostu. Grupa palmyrskich jeźdźców podążyła jego śladem, podobnie jak Tiris i jego zwiadowcy. Na końcu jechała Zoe, która raz po raz obracała się w siodle, by obrzucić miasto wściekłym spojrzeniem. Zaledwie wszyscy stanęli na drugim brzegu rzeki, zza załomu murów wychynął duży oddział kawalerii w czerwonych, cesarskich płaszczach. Zoe uderzyła pięścią w siodło, zirytowana. Naliczyła co najmniej kohortę cesarskich żołnierzy w lśniących zbrojach. W mieście musiał więc stacjonować co najmniej jeden rzymski legion.

Pierwszy szereg *clibanari* zatrzymał się po drugiej stronie mostu i nałożył strzały na cięciwy łuków. Zoe zawróciła konia, opuściła szybko rękę, jakby cięła kogoś mieczem, i ruszyła pędem na wschód.

Cesarscy żołnierze odsunęli się od krawędzi mostu, który zadrżał nagle na całej

długości, wyrzucając na boki kłęby kurzu, a potem wydał z siebie głuchy jęk. Dotarłszy na szczyt zbocza zbiegającego ku rzece, Zoe zatrzymała konia i obserwowała rozwój wydarzeń pełnymi gniewu oczyma. Most zadrżał raz jeszcze, po czym osiadł na swoim miejscu, zrzucając do rzeki garść kamieni i skalnych odłamków. Krzywiąc twarz w grymasie bezsilnej złości, Zoe ponownie opuściła rękę, posyłając falę mocy w kamienną konstrukcję. Most zadygotał, a fragment okładziny jednego z filarów oderwał się i runął do rzeki.

Lecz most nadal stał na swoim miejscu. Od strony miasta nadjeżdżało coraz więcej żołnierzy. Niektórzy podnosili łuki, a w powietrzu pojawiła się pierwsza fala czarnych strzał. Cesarscy taumaturgowie musieli być już bardzo blisko.

Zoe ponownie obróciła konia i poderwała go do galopu, zostawiając za sobą rzekę i ukryte za murami miasto.

– Nie pozwolę na to.

Zoe i Odenatus kłęczeli przy tylnej części wozu, na którym spoczywał tron ze złota i kości słoniowej. Ich twarze kryły się w cieniu. Zachód słońca był już blisko. Wóz leżał przekrzywiony nienaturalnie na bok – tylna oś pękła, gdy próbowali przejechać rów, jedno z wielu wyschniętych koryt przecinających syryjską wyżynę na południe od Damaszku. Była to surowa skalista kraina, w którą nikt nie zapuszczał się bez wyraźnej potrzeby.

Początkowo wydawało się, że legion nie będzie ich ścigał, Odenatus wolał jednak nie ryzykować. Jechali niemal nieprzerwanie przez dwa dni, nie widząc żadnych oznak pościgu, ale potem omal nie wpadli prosto w pułapkę. Tylko dzięki umiejętnościom Odenatusa i Zoe, którzy wykorzystali w pełni dostępną im moc, Palmyrczycy uniknęli pogromu.

Odenatus wstał i otrzepał nogawice z piasku. Musieli porzucić wóz, to nie ulegało wątpliwości.

– Nie możemy naprawić osi. Ta lekka jazda jest coraz bliżej, a my tracimy czas na kłótnie. Królowo, będziemy musieli to zostawić.

– Ją też? – Zoe także podniosła się z kłęczek. Drżała na całym ciele z gniewu i rozpacz. – Mamy porzucić królową w rowie jak zdechłego psa, a sami uciec w ciemność nocy?

Odenatus starał się zapanować nad sobą, nucił w myślach uspokajającą medytację. Od wielu już dni kłócił się z kuzynką. Odciąganie nielicznych mieszkańców miasta od pracy i najeżdżanie cesarskich prowincji było, jego zdaniem, czystym szaleństwem. Uważał, że powinni raczej odbudować miasto i pozwolić rozproszonym dzieciom Palmyry wrócić do domu. Wiedział, że miasto ma jeszcze

wiele okrętów, magazynów i kontaktów handlowych na całym świecie. Gdyby udało im się odbudować chociaż samo centrum, by osieroceni Palmyrczycy mieli gdzie zamieszkać, z czasem zdołaliby zapewne podźwignąć z ruin całe miasto. Zoe nie chciała nawet o tym słyszeć.

– W takim razie będziemy musieli owinąć ją w koce i przywiązać do końskiego siodła – oświadczył.

Zoe była pewna, że jeśli zaatakują Damaszek, mieszkańcy miasta powstaną przeciwko Rzymianom. Odenatus nie wierzył w to od samego początku, lecz szaleństwo Zoe zaraziło innych; niemal wszyscy ci, którzy zamieszkiwali ruiny miasta, postanowili za nią pójść. Mieliby niewielkie szanse bez wsparcia Odenatusa i jego mocy. Teraz, stojąc w przedwieczornym półmroku i patrząc na zrozpaczoną twarz kuzynki, zastanawiał się, czy nie wpływała na innych za pomocą swej mocy i woli. To też było czystym szaleństwem.

– Ja ją poniosę – powiedziała Zoe, wchodząc na wóz. – Jest moim brzemieniem.

Odenatus odwrócił wzrok, gdy jego kuzynka pochyliła się nad ciałem królowej i zaczęła przecinać druty mocujące je do tronu. Dosiadł swego konia. Niebo na zachodzie przecinały szerokie pasy czerwieni, żółci i fioletu. Nadchodziła noc, a droga, którą uciekali przed cesarskim pościgiem, prowadziła w górę długiego skalnego grzbietu. Za granią rozciągała się rozległa wyżyna Hauran, ponure, jałowe pustkowia, pokryte czarnymi skałami o ostrych jak brzytwa krawędziach. Hauran – szeroki na sto mil klin zniszczenia wbity w serce Syrii niczym włócznia wyrzucona z pustkowi Arabii – była związana z ponurymi, krwawymi tajemnicami z przeszłości. Podróż przez tę krainę była trudna i niebezpieczna; wędrowcy nie mogli liczyć na dodatkowe źródła wody, za dnia panował tu straszliwy upał, w nocy zaś przenikliwy chłód.

– Ale... – mruknął do siebie Odenatus, nakazując gestem, by pozostali jeźdźcy ruszyli jego śladem – ...od wieku znajdowali tu schronienie bandyci i ludzie pozbawieni przyjaciół.

Spojrzał w dół zbocza, na kuzynkę, próbującą właśnie założyć na plecy prowizoryczną uprzęż, w której tkwiło martwe ciało królowej, wpatrujące się pustymi oczodołami w ciemniejące niebo. Wreszcie Zoe zdołała wciągnąć je na plecy i z pomocą dwóch gwardzistów wsiadła na konia.

– A my nie mamy przyjaciół – dokończył Odenatus, ściskając kolanami boki klaczy. Zwierzę zastrzygło uszami i powoli ruszyło do przodu. Odenatus potarł zarośniętą brodę. Od wielu już dni nie miał okazji się ogolić; cesarski pościg był zbyt blisko, by mogli sobie pozwolić na rozbitcie normalnego obozu. Zwolnił, puszczając przodem swych ludzi, zmęczonych i zrezygnowanych. Wkrótce minęła go także Zoe,

która starannie unikała jego wzroku. Martwa królowa kołysała się rytmicznie na jej plecach, obwiązana drutem, który podtrzymywał jej pomarszczone nogi i ręce przy tułowi.

Kiedy wszyscy już wjechali na górski trakt, Odenatus zajął ostatnie miejsce w kolumnie i mruknął coś pod nosem. Maleńka iskra światła, nie większa od świetlika, oderwała się od jego dłoni i pomknęła wzdłuż rzędu ludzi i koni. Gdy znalazła się przed kolumną, pojaśniała raptownie, oświetlając kamienistą drogę przed jeźdźcami.

Prowadzona magicznym światłem grupa jechała prosto w gęstniejącą ciemność, ku dzikim pustkowiom Hauran, za którymi czekały poszarpane szczyty Trachontis.

OTTAVIANO, NA ZBOCZACH WEZUWIUSZA

– Stać! – Maksjan podniósł się ze swego miejsca na przedzie *carruci* i pomachał do jadących za nim wozów, nakazując im, by się zatrzymały. Krista,

która siedziała obok niego na miejscu woźnicy, pochyliła się do przodu i wyjrzała za krawędź płóciennego daszku. Mała karawana – trzy wozy wypełnione skrzyniami z drewnianych desek, pościelą, jedzeniem w wiklinowych koszach, torbami owoców i dzbanami z winem – która przez całe popołudnie wspinała się mozolnie na zbocze góry, zatrzymała się na rozstaju dróg. Krista przesłoniła dłonią oczy, spoglądając na plintę z szarego, startego już nieco kamienia. Na jego powierzchni widniały wyryte przed laty strzałki i liczby, opisujące odległości dzielące to miejsce od najbliższych miast, Rzymu i Neapolu.

Książę usiadł z powrotem i szarpnął lejcami. Cztery muły zaprzężone do wozu zastrzygły z irytacją uszami, potem jednak posłusznie ruszyły, sprowadzając *carruce* na pobocze drogi. Krista wachlowała się leniwie rozkładanym wachlarzem zdobionym rysunkami mężczyzn i kobiet zbierających winogrona. Kupiła go za miedziaka w ostatnim mieście, które mijali po drodze.

– Gdzie teraz? – spytała sennym głosem, choć obserwowała księcia uważnie już od trzech dni, odkąd wyjechali z Rzymu. Przez cały ten czas sumienie zmagало się w niej z głosem serca. Wiedziała, że wkrótce będzie musiała zdecydować o losie tego człowieka. – Może utniemy sobie krótką drzemkę w cieniu drzew?

Maksjan uśmiechnął się i pokręcił głową. Sięgnął pod siedzenie i wyciągnął flaszkę wina. Pociągnął spory łyk, a potem podał ją Kriście. Ta pokręciła lekko głową; czuła coraz mocniejszy ból głowy i nie chciała go jeszcze pogłębiać.

– Wydaje mi się, że ta droga prowadzi do starego majątku, który należał do rodziny mojej matki. – Maksjan wskazał na drzewa rosnące wzdłuż drogi, która ciągnęła się w górę zbocza. Za drzewami rozłożyły się winnice i sady, sięgające aż po białe chmury, które okrywały szczyt góry. Dzień był gorący i parny. Dokoła brzęczały muchy i pszczoły, a nad ziemią unosił się ciężki zapach kwiatów i trawy. Krista zmarszczyła nos; zdecydowanie bardziej odpowiadał jej świeży zapach morskiej bryzy. – Ostatnio nie mieszkał tam nikt prócz kilku dozorców. Powinniśmy mieć dużo miejsca i spokoju.

Na stopniu wozu stanął Gajusz Juliusz, promieniejący wręcz radością, jaką odczuwa patrycjusz doglądający swych włości w piękny letni dzień. Ubrany był w tunikę z krótkimi rękawami i słomiany kapelusz o nieprawdopodobnie szerokim rondzie. Obrazu dopełniały znoszone sandały legionisty opasujące jego owłosione stopy wąskimi rzemykami. Krista odwróciła głowę, tłumiąc śmiech. Stary Rzymianin

żywił szczerą i nieprzemijającą miłość do wizerunku patrycjusza odpoczywającego na wsi.

– Ach, mój chłopcze, co za piękny dzień! Powinniśmy już wcześniej wybrać się na wakacje; piłeś kiedyś wino z tych stron? Ma bardzo nietypowy, metaliczny posmak...

Krista przewróciła oczami, starając się nie zwracać uwagi na starego Rzymianina, który potrafił godzinami rozwódzić się nad różnymi gatunkami i rocznikami wina, nad jego aromatem i właściwościami, sprawiając nieodmiennie, że jego słuchaczy ogarniała przemożna senność.

– Panie – przerwała mu Krista ostrym tonem. – Zatrzymujemy się na obiad, odpoczywamy czy jedziemy dalej?

Maksjan drgnął, wyrwany z półdrzemki, i skinął głową. Tymczasem Gajusz Juliusz opowiadał ze swadą o właściwościach wody dostępnej w tym regionie i jej niewątpliwym wpływie na smak lokalnego wina.

– Tak – rzekł książę. – Pojedziemy tą drogą. Dom jest milę stąd.

– Świetnie – odparła Krista, zerkając z ukosa na Gajusza Juliusza. – Jedźmy więc.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, gdy stary Rzymianin zeskoczył z ich wozu; od jakiegoś czasu używał cytrynowej pomady, której zapach przyprawiał ją o mdłości. Książę szarpnął lejcami, a muły ponownie ruszyły w drogę.

Wzdłuż obu stron drogi prowadzącej do bramy posiadłości ciągnęła się gęstwina ciemnobrązowych winorośli i kolczastych krzewów. Szeroki, ciężki wóz ledwie mieścił się w tym zielonym tunelu. Krista odchyliła się do tyłu i patrzyła na liście przesuwające się powoli nad jej głową. Jakby od niechcienia dotykała amuletu zdobiącego jej szyję, symboli wyrytych na jego powierzchni i ogniw brązowego łańcuszka. Maksjan nie zwracał na nią uwagi, wpatrzony w wyłaniający się powoli masyw góry.

To właśnie książę podarował jej ten medalion – mosiężny krążek z niewielkim otworem pośrodku. Nacięcia na krawędzi otworu tworzyły jakiś skomplikowany wzór, podobnie jak otaczające go litery i znaki. Początkowo Krista ogromnie się cieszyła z tego prezentu, który bez wątpienia był dziełem rąk samego księcia. Nigdy wcześniej nie dostała prezentu przygotowanego specjalnie dla niej. Goście odwiedzający dom księżnej często dawali jej kwiaty i błyskotki, których nie chciała przyjąć księżna, jednak takie podarunki wcale Kristy nie cieszyły.

Później, oczywiście, książę wyjaśnił jej, czemu ma służyć ów medalion, i odebrał jej całą radość z jego posiadania.

„W tym amulecie – tłumaczył rzeczowym tonem – zamknięty jest fragment mojej mocy. Przypomina on tarczę Ateny, którą nieustannie utrzymuję wokół nas. Dopóki

żyję, to urządzenie będzie odtwarzało moją moc i moją tarczę, tyle że wokół ciebie, a nie mnie. Nie jest aż tak silna, ale powinna cię skutecznie chronić, kiedy jesteś z dala ode mnie. Oczywiście zrobiłem też podobne dla Gajusza i Aleksandra”.

Krista zamknęła oczy, udając, że śpi, lecz myślami była daleko od księcia i jego towarzyszy. Myślała o swoim domu, o gorącej kąpieli, a nawet o władczym głosie księżnej.

Tymczasem wóz powożony przez księcia przejechał pod wysokim kamiennym łukiem. Znaleźli się na terenie jego rodzinnej posiadłości. Na niebie zbierały się chmury, blask słońca wyraźnie przygasł. Krista usiadła prosto, wyrwana z drzemki przez chłodny powiew wiatru. Nie było tu zimno, ale zdecydowanie chłodniej niż w dole, na równinie. Otaczały ich gęste, dawno niepielęgnowane sady. Między drzewami rosła wysoka, gęsta trawa. Zarośnięty żywopłot znaczący dotąd krawędź drogi zamienił się w niski kamienny murek.

– Jeszcze chwilę. – Maksjan obdarzył ją szerokim, szczerym uśmiechem. Krista także się uśmiechnęła, choć w jej oczach krył się cień nieufności. – Nie martw się, kochanie. Będziemy tu bezpieczni.

Chmury rozstały się ponownie, kiedy wyjechali spośród rozłożystych jabłoni i zobaczyli wreszcie dom. Krista uśmiechnęła się mimowolnie, ujrawszy proste, czyste linie ceglanych ścian i lekko pochylone dachy budynku. Była to dobrze jej znana, klasyczna rzymska willa, złożona z kwadratowych budynków, krytych dachówką dachów, prostych kolumnad i otwartych atriów. Dom otoczony był ceglany murem porośniętym różami i żółtą winoroślą. Brama frontowa, pokryta zardzewiałą kratownicą, stała otworem.

– Hm... – mruknął książę, speszony. – Jest mniejszy, niż mi się wydawało. Krista roześmiała się i położyła mu dłoń na ramieniu. Maksjan szarpnął cugłami, ponagłając muły do szybszego biegu. Wóz przetoczył się pod kamiennym łukiem, omal nie uderzając weń płóciennym daszkiem. Między domem a rozproszonymi dokoła budynkami rozciągało się podwórze. Pod ścianami budynków piętrzyły się sterty suchych liści i patyków. Krista zeskoczyła z wozu i rozejrzała się dokoła. Posiadłość była opuszczona, o czym świadczyły zamknięte drzwi i okiennice, dziewczyna nie czuła się tu jednak jak intruz. Odnosiło się wrażenie, że gospodyni tego miejsca wyszła tylko na chwilę i wróci lada moment. Na ścianach i dachach budynków nie było żadnych śladów zniszczenia, nikt nie naruszył drzwi ani okiennic. Na podwórze wjechały pozostałe wozy i zatrzymały się obok pierwszego. Nad budynkami gospodarczymi unosił się słaby zapach obornika.

Przez podwórze przebiegli Wołosi, szczęśliwi, że wreszcie mogą opuścić ciasne

wozy. Mijając Kristę, skłonili lekko głowy, a potem zniknęli między budynkami, rozbrykani niczym młode żrebaki. Krista wyjęła ze skrzyni słomiany kapelusz – znacznie mniejszy i skromniejszy od tego, z którym obnosił się Gajusz Juliusz – i włożyła go na głowę. Uporawszy się z zamkiem, książę i Aleksander otwierali właśnie drzwi głównego domu. Gajusz Juliusz już gdzieś zniknął; bez wątpienia udał się na poszukiwanie piwnic i pras do winogron.

Krista uśmiechnęła się do siebie, usłyszawszy żalosne miauczenie dochodzące z wnętrza wozu. Z wnętrza wiklinowego kosza ustawionego za siedzeniem patrzyła na nią para małych żółtych ślepi. Dziewczyna sięgnęła po koszyk i podniosła zwierzę na wysokość twarzy. Mały czarny kotek siedział na posłaniu ze starych liści i spoglądał szeroko otwartymi oczami na podwórze i niebo. Miauknął ponownie, domagając się, by natychmiast wypuszczono go na zewnątrz.

– Nie ma mowy, mała marudo. – Krista wyciągnęła torbę ze swoimi rzeczami i ruszyła w stronę szeroko otwartych drzwi domu. – Najpierw musimy się rozpakować. Na razie możesz tylko dostać trochę śmietanki.

Stare drewniane okiennice otworzyły się z głośnym skrzypieniem. Krista zakasłała, gdy powietrze w kuchni wypełniło się kurzem. W odróżnieniu od ciemnych, ponurych kuchni w rzymskim domu księżnej, tutejsza kuchnia była obszernym pomieszczeniem z żelaznym piecem i stołami o marmurowych blatach. Obok pieca znajdowało się otwarte palenisko przesłonięte żelazną kratą. Był tu też duży kamienny zlew z bieżącą wodą doprowadzaną w ceramicznymi rurkami, umieszczony pod rzędem okien wychodzących na północną stronę domu. Dzięki tak dużej liczbie okien we wnętrzu kuchni było jasno i miło, a pracujący w niej ludzie mogli radować oczy widokiem zbocza górującego nad willą. W lecie musiał tu panować przyjemny chłód, a to dzięki wysoko sklepionemu sufitowi i licznym kominom odprowadzającym dym i parę.

Krista klasnęła w dłonie, próbując otrzepać je z kurzu. Cały dom wymagał solidnego sprzątnia. Dziewczyna skrzywiła się, pomyślawszy, że tylko ona będzie chciała się tym zająć. Wszyscy perscy i nabatejscy służący zgromadzeni przez Abdmachusa zginęli pod gruzami domu, a to oznaczało, że może skorzystać jedynie z pomocy swych Wołochów. Z drugiej jednak strony wiedziała, że nie powinna zbyt liczyć na tę pomoc; jej podwładni przy takich okazjach zwykle kryli się po kątach i spali lub wszczynali bójki między sobą. Gdy w grę wchodziło polowanie lub jakieś nocne eskapady, zawsze mogła na nich liczyć. Ale zamiatanie albo ścieranie kurzów? Nigdy.

Krista odwróciła się, słysząc stukot czyichś sandałów o płytki kuchennej podłogi.
– Wybierzesz się ze mną na spacer?

Maksjan przebrał się w skórzane sandały i tunikę w greckim stylu, odsłaniając jedno ramię. Krista otworzyła szerzej oczy: nigdy jeszcze nie widziała go w takim stroju. Stłumiła śmiech, wyobrażając go sobie w wieńcu laurowym na głowie i z dzbanem piwa pod pachą. Wydawał się rozluźniony, jego czoło, zwykle zmarszczone i zatroskane, było teraz gładkie i pogodne.

– Co cię tak śmieszy? – spytał, opierając się o blat i spoglądając na nią z zaciekawieniem.

– Och, mój Bachusie – westchnęła, odwracając się i spoglądając nań zalotnie przez ramię. – Przyszedłeś się trochę pobawić?

Maksjan zmarszczył brwi, skonsternowany, potem jednak spojrzał na swoje ubranie.

– Smarkula! Jesteśmy na wakacjach na wsi! – Pochwycił ją w pasie, ona jednak wywinęła się z jego uścisku ze śmiechem. – Chodź tutaj!

– Nie! – odrzyknęła i wybiegła na zewnątrz, do ogrodu. Na tyłach domu, pod oknami kuchni, znajdował się duży ogród warzywny. Teraz był całkiem zarośnięty, podobnie jak sady i zagrody dla bydła, przecinała go jednak ułożona z kamieni ścieżka łącząca drzwi kuchenne z bramką w drewnianym płocie. Krista biegła przez ogród, śmiejąc się w głos i wołając do ścigającego ją księcia:

– Jesteś zbyt wolny, panie!

Gajusz Juliusz wychylił się przez okno jednej z sypialni na piętrze. Na jego starej twarzy gościł spokojny, pogodny uśmiech. Podobnie jak kuchnia na parterze, sypialnie wyposażone były w duże, wysokie okna i ażurowe okiennice z sosnowych listewek. Gajusz wybrał sobie pokój, który najbardziej przypadł mu do gustu, i otworzył na oścież okiennice, pozwalając, by do wnętrza wpłynął blask popołudniowego słońca. Nawet kurz niespecjalnie mu przeszkadzał. Oparł ręce na parapecie, patrząc z uśmiechem na księcia, który zniknął właśnie za szeregiem drzewek oliwnych.

– Piękny widok, prawda?

Gajusz obejrzał się przez ramię i ujrzał Aleksandra stojącego w drzwiach pokoju. Młodzieniec ściągnął koszulę, pozwalając, by promienie słoneczne pieściły jego imponujące mięśnie i gładką, młodą skórę. Nawet dwie szerokie blizny, jedna na boku, a druga tuż pod ramieniem, nie psuły tego idealnego obrazu. Ściągnięte do tyłu włosy opadały gęstą złotą grzywą na jego plecy. Gajusz uśmiechnął się cierpko, myśląc o tym, ile naprawdę lat ma ów „młodzieniec”.

– Miałbyś ochotę sprawdzić swoją siłę?

Stary Rzymianin uniósł lekko brwi i odwrócił się. Macedończyk spojrzał mu prosto w oczy, a Gajusz zadrżał, po raz kolejny zaszokowany siłą osobowości

wielkiego wodza.

– Och, chłopcze, wiesz, jak staro się czuję...

– Iluzja – przerwał mu Aleksander, uśmiechając się promiennie i biorąc go za rękę. – Zaraz się o tym przekonasz.

Maksjan i Krista szli ścieżką między cyprysami, wystawiając twarze do słońca i wiatru. Ścieżka zakręcała ostro w prawo, przystanęli więc, by obejrzeć się za siebie. Daleko w dole widzieli czerwone dachówki willi i ciemne kształty wozów stojących na podwórzcu. Wiatr przegnał chmury na północny zachód, nad Zatokę Neapolitańską. Z tej wysokości widzieli zakrzywioną linię wybrzeża i szeroką połąć lądu, na której leżało Puteoli i wielka przystań wojskowa w Misenum. Gdzieś pod białoniebieską mgłą, za roziskrzoną zatoką, leżało Kurne i letnie wille bogaczy.

– Ten dom należał do mojej matki – mówił książę, gdy podjęli przerwany marsz wzdłuż zbocza góry. – Dostała go od swego ojca – była jego jedyną spadkobierczynią – i urządziła, jak miała ochotę. Ojciec zbudował jej całkiem nowy dom w Kurne, kiedy został gubernatorem i trybunem, ale to miejsce zawsze było najdroższe jej sercu.

– Co stało się z twoją mamą? – spytała Krista zdyszonym głosem, wdrapując się na skały za księciem. Coraz wyraźniej czuła w nogach długą wspinaczkę: dawno już nie miała okazji porządnie się zmęczyć. Chłodne górskie powietrze było czyste i rześkie, znacznie lepsze niż wilgotne opary na niżej położonych terenach. Zauważyła, że książę trochę się opalił na nogach. Wydawał się też bardziej wysportowany, choć może była to tylko zasługa skąpego stroju. Krista uśmiechnęła się ponownie. To było dziesięć tysięcy razy lepsze niż spędzanie całego dnia w jakiejś wstrętnej piwnicy i przyglądanie się księciu pochylonemu nad jakąś starożytną księgą.

Matka umarła podczas pierwszej zarazy; miała taki paskudny kaszel, po którym pluło się krwią. Była wtedy z ojcem w Narbonie, w drugim domu. Dowiedziałem się o wszystkim dopiero później, bo gościłem w owym czasie u mojego kuzyna Antoniusza w Leptis Magna w Afryce. Wróciłem do domu jak najszybciej, ale mama już nie żyła. Ojciec jeszcze przez jakiś czas zatrudniał tu służbę, lecz potem wybuchła wojna domowa i wszyscy uciekli.

Krista przyspieszyła kroku i zrównała się z księciem. Na jego twarzy malował się smutek, wspomnienie dojmującego bólu sprzed lat. Krista wzięła go za rękę i uścisnęła ją mocno. Uśmiechnął się do niej, odzyskując dobry humor.

– Jakie jest twoje najmiłsze wspomnienie związane z tym miejscem?

Maksjan podniósł jej rękę do ust. Szli teraz przez teren porośnięty cyprysami

i sosnami, w powietrzu unosił się delikatny, ożywczy zapach żywicy. Zmienił się także grunt, ścieżka coraz częściej wiodła wśród skał i głazów.

– To miłe, że próbujesz zmienić temat, ale nie ma takiej potrzeby – powiedział, całując jej dłoń. – Taka jest kolej rzeczy, a moja matka nie mogła narzekać na los. Miała długie, udane życie, widziała, jak jej synowie dorastają i stają się mężczyznami. Jej śmierć najmocniej dotknęła Galena, jestem o tym przekonany. Pamiętam, że kiedy po ostatecznym zwycięstwie wjechaliśmy do Rzymu i gdy senat ogłosił go cesarzem i bogiem, Galen podczas pierwszej przemowy do ludu oglądał się ciągle przez ramię, żeby sprawdzić, czy ona tam jest, czy go obserwuje.

Krista ponownie ścisnęła jego dłoń i objęła go w pasie. Szli pod baldachimem gałęzi, rozmawiając, aż dotarli do wielkiego osypiska skalnego porośniętego gęstymi krzewami. Dokoła wznosiły się potężne, poszarpane kamienie; Krista dopiero po chwili zrozumiała, że stoją na krawędzi wielkiego krateru, na samym szczycie góry. Krater miał ponad milę szerokości i wypełniony był wielkimi głazami, które porastała gęstwina krzewów. Nad szczytem krążyły niesione wiatrem jastrzębie.

– Aha... – Książę podrapał się po brodzie. – To jest miłe wspomnienie. Widzisz tamten gąszcz? To bardzo znane miejsce; dawno temu wśród niewolników wybuchło powstanie. Walczyli dzielnie przeciwko republice, lecz w końcu zostali pokonani. To była ich twierdza, tutaj, wysoko na zboczu góry. Trzy legiony oblegały ich przez dwa lata, nim zostali ostatecznie pokonani. Kiedy byłem mały, przychodziliśmy się tu bawić, wdrapywaliśmy się na kamienie, włączaliśmy do różnych dziur, udawaliśmy żołnierzy...

Krista rozejrzała się dokoła, przejęta zimnym dreszczem. Znała to miejsce z opowieści szeptanych późną nocą w kwaterach niewolników. Nawet w domu księżnej pewne tematy były zakazane. Należała do nich właśnie ta historia gladiatorów i rebelii. Męstwo Traka i chciwość Krassusa, okrucieństwo legionów i straszliwa cena krótkotrwałej wolności. Zrobiło jej się zimno. Blask słońca jakby nieco przygasł, miała wrażenie, że w cieniach pod głazami widzi duchy zabitych niewolników.

– Chodźmy – przemówił Maksjan radosnym tonem. – Na środku krateru jest cudowne miejsce, ukryta grota pełna miękkiej trawy i pachnących kwiatów. Na pewno ją znajdę! – Ignorując wyraz przerażenia na twarzy Kristy, książę ujął ją za rękę i pociągnął za sobą między głazy.

Anatol wyjrzał zza rogu wielkiego domu, nie odrywając pleców i dłoni od ściany. Trzej pozostali Wołosi stali za nim, chichocząc cicho i szarpiąc go za koszulę. Podwórze przed domem było puste, stały na nim jedynie wozy, którymi przyjechali z Rzymu. Martwy człowiek stał obok nich, nieruchomy jak kamień. Anatol potarł

nerwowo nos, wciąż nie mogąc zdobyć się na odwagę. Na wszelki wypadek rozejrzał się jeszcze raz dokoła. Był pewien, że młody pan i jego kobieta nie wrócą przez najbliższych kilka godzin; Anatol, jak wszyscy, czuł ciężki zapach wypełniający powietrze. Na zboczach góry panowała pełnia wiosny; kwiaty rozchylały swe płatki, wypełniając powietrze słodkim aromatem i smakiem pyłku. Lisy szczekały w żywopłotach, ptaki wdzięczyły się do siebie w podniebnych tańcach. Nawet dwaj truposze poszli na górę, by zмагаć się w zapaśniczym pojedynku. Była wiosna.

– Idź wreszcie – szepnął Witalij. – On tam tylko stoi.

Anatol przyglądał niesforne czarne loki i wyprostował ramiona, a potem omal się nie przewrócił, gdy zniecierpliwieni bracia wypchnęli go w końcu za róg budynku. Obdarzywszy ich wściekłym spojrzeniem, wyszedł na środek podwórza i zatrzymał się jakieś dziesięć kroków przed żywym trupem. Ten nadal trwał w bezruchu, wpatrzony w niebo.

– Chironie?

Potwór obrócił powoli głowę, a Anatol poczuł, jak ogarnia go nagle lodowaty, paraliżujący strach. Oczy żywego trupa były czarne i bezdenne, wypełnione bólem i szaleństwem. Cętkowana, żółtoszara skóra truposza prawie się nie zmarszczyła, gdy pochylił głowę, by na niego spojrzeć. Anatol przełknął ciężko i cofnął się o krok. Wszyscy wołoscy chłopcy widzieli, jak szybko porusza się ten potwór; był szybszy niż *surapa*, szybszy niż wiatr. Był też bardzo silny, dość silny, by giąć w rękach żelazne sztaby, kruszyć kamienie na proch. Młody pan kazał mu nosić długą szarą tunikę z kapturem, teraz jednak potwór odrzucił kaptur do tyłu i patrzył na ptaki kołujące na niebie.

– Chironie – przemówił Anatol, nabierając odwagi. – Książę Maksjan kazał ci rozładować wszystkie wozy i przenieść skrzynie do atrium.

Truposz stał w bezruchu i wpatrywał się w twarz Anatola. Chłopiec przełknął z trudem ślinę i zaczął się powoli wycofywać w stronę budynku i ukrytych za nim braci. Mięśnie i ścięgna pod skórą potwora zaczęły się przesuwając niczym robaki pod warstwą półprzezroczystego wosku. Anatol przestąpił z nogi na nogę, gotów w każdej chwili poderwać się do ucieczki.

Chiron uśmiechnął się, wykrzywając twarz w upiornym grymasie i odsłaniając żółte, ostre jak igły zęby. Potem odwrócił się powoli w stronę domu.

– Przenieś skrzynie do atrium. – Głos potwora brzmiał niczym echo odbite w pustej studni. – Rozładuję wozy.

Anatol i pozostali chłopcy dawno już zniknęli, pozostawiając po sobie tylko niewielki obłoczek kurzu. Twarz Chirona ponownie stała się pozbawiona wyrazu. Potwór odwrócił się do wozu i odczepił tylną burtę. W środku leżały cztery wielkie skrzynie wielkości człowieka, wypełnione księgami i zwojami.

Chiron pochwycił pierwszą z brzegu, wbijając palce w sosnowe deski, ułożył ją sobie na ramieniu i ruszył do wnętrza domu.

Mały czarny kotek, który stał na balkonie jednej z sypialni, przyglądał się temu spomiędzy prętów balustrady. Gdy tylko truposz wszedł do wnętrza domu, kot obrócił się i wbiegł, z wysoko uniesionym ogonem, do mrocznego korytarza na pierwszym piętrze.

– Czujesz to? – Maksjan leżał na brzuchu, z twarzą przyciśniętą do ziemi i z zamkniętymi oczami. Krista stała nad nim z rękami skrzyżowanymi na piersiach i zatroskaną twarzą. Czuła, jak jej ciało opływa zimny, nieprzyjemny wir powietrza. – Słyszysz, jak oddycha?

Znajdowali się w grocie, o której mówił wcześniej książę. Dno groty porośnięte było mchem i gęstą, miękką trawą, w której rosły maleńkie białe kwiaty. Gdzieś w pobliżu sączyła się woda, choć Krista nie mogła się nigdzie dopatrzeć żadnego strumienia. Pod rozłożystymi gałęziami drzew i pod skalnymi ścianami zalegał zielony półmrok. Droga do groty prowadziła przez ukryte przejścia w gęstwinie krzewów, nad gładkimi skałami i wzdłuż urwisk o ostrych krawędziach. Sama grotka leżała pośrodku krateru na szczycie góry, w samym sercu skalnej dzicy. W powietrzu unosił się pyłek kwiatowy, podświetlany promieniami popołudniowego słońca. Błękitne niebo nad krawędzią skalnego krateru wydawało się jeszcze bardziej odległe niż zwykle.

Odkąd weszli do groty, książę zachowywał się jak szalowiec lub człowiek pijany ze szczęścia. Wbiegł na środek zielonej murawy, rozłożył szeroko ręce i kręcił się wkoło. Krista przykucnęła przy wejściu zdenerwowana. Jej ręce pokryte były gęsią skórką. Czuła się nieswojo w tym miejscu. Maksjan śmiał się i mówił do siebie przez cały czas niczym mały chłopiec, co budziło w niej jeszcze większy niepokój.

– Posłuchaj! – Maksjan podniósł głowę, uśmiechnięty od ucha do ucha. – Przyłóż rękę do ziemi.

Krista przełknęła nerwowo, ukłękła na zielonej trawie i przyłożyła dłonie do ziemi. Na jej czole pojawiły się krople potu. Zamknęła oczy.

Najpierw nie czuła nic prócz chłodu bijącego od ziemi. Potem pojawił się jakiś pomruk, delikatne drżenie. Wreszcie poczuła to, o czym mówił książę, ukryte głęboko w ziemi, przytłumione niewyobrażalną odległością. Powolne, ciężkie pulsowanie, bicie ogromnego bębna. Krista syknęła przez zęby i cofnęła szybko rękę, jak oparzona.

Góra żyła własnym życiem, które pulsowało w niej powoli i regularnie, niczym serce uspiętego dziecka. Podniosła wzrok. Książę stał obok niej rozradowany.

Wyglądał tak, jakby nagle opadły zeń wszystkie troski.

– Nie czujesz tego? Mocy ukrytej w ziemi? Płonie jak słońce.

Krista pokręciła głową. Nie czuła nic prócz narastającego strachu i zimnego dreszczu na plecach.

– Nie czujesz powietrza? – Maksjan szczyrzył zęby w radosnym uśmiechu. – To miejsce jest wolne od klątwy, dzięki górze zachowana jest tutaj równowaga mocy. Mogę tu odpoczywać. Mogę tu pracować. – Zatarł radośnie ręce. – Właśnie tego mi brakowało: azylu!

Krista przywołała na twarz uśmiech i poddała się uściskowi księcia, choć nawet w jego ciepłych ramionach było jej zimno. Gdy potem pochylił się nagle i wziął ją na rękę, starała się nie patrzeć mu w oczy.

Z jadalni niosła się pieśń, która odbijała się echem od podświetlonych blaskiem ognia ścian i okrągłych kolumn w ogrodzie. Śpiewał Aleksander, który stał przy kominku, opierając się o sofę przykrytą niebiesko-czerwoną narzutą. Miał silny, czysty głos. Gajusz i Maksjan wylegiwali się na sofach ustawionych pod dachem okalającym wewnętrzny ogród domu. Dokoła leżały resztki kolacji, pod stołem spali wołoscy chłopcy, który najedli się pieczoną wieprzowiną z rodzynkami i orzechami zawijanymi w liście winogron. Nad dachem domu wisiał wielki, okrągły i żółty jak cytryna księżyc.

Białolica Hera z uśmiechem wzięła puchar.

Głos Aleksandra niósł się przez puste korytarze i pokoje domu.

A z misy zaczerpnąwszy, rozlała wkoło słodki nektar.

Krista kręciła się cicho po pokoju, który wybrał dla nich książę. Jej szczupłe białe ręce zbierały rozrzucone wokół ubrania.

Roześmiał się szczęśliwych bogów krag.

Wrzuciła wszystko do torby podróźnej i zacisnęła mocno sznur.

Biesiadowali cały dzień, nikomu nie zbrakło jedzenia ni picia.

Zarzuciła na plecy słomiany kapelusz, podtrzymywany rzemykiem oplatającym jej szyję. Odwróciła się do wyjścia, trzymając pod pachą wiklinowy kosz.

Piękny Apollo uderzył w struny liry, by głos swój złączyć z głosem Muz, co zbiegły się do niego.

Głos Aleksandra przycichł nieco, gdy Krista wyszła na korytarz, zaglądając do wnętrza każdego pokoju i nawołując cicho. Ogarniał ją coraz większy strach, bała się, że lada moment książę lub któryś z jego ludzi wyjdzie na piętro.

I zniknął złoty słońca krag, a wszyscy nieśmiertelni odeszli do swych domów, tych pięknych jasnych komnat wzniesionych wprawną ręką Hefajstosa.

W pobliżu rozległ się jakiś brzęk. Krista zamarła na moment, a potem przypadła

do najbliższej ściany, mokra ze strachu. Jej dłoń zaciskała się na rękojeści małego żelaznego miecza. Coś przemknęło obok jej stóp, coś małego i czarnego jak noc.

Odszedł więc potężny Zeus, bóg gromowładny, do swego łoża, gdzie czekał nań słodki sen.

Krista dopadła kilkoma susami rozbrykanego kociaka i błyskawicznie poderwała go z podłogi. Kot miauknął z oburzeniem, gdy Krista bezceremonialnie wepchnęła go do wiklinowego koszyka. Wstrzymując oddech, zatrzymała się na szczycie schodów prowadzących do ogrodu. Widziała Aleksandra, który wciąż śpiewał, unosząc twarz ku niebu. Maksjan opróżnił kolejny kielich dobrego czerwonego wina. Odwróciła się, już spokojniejsza i opanowana.

Tam ułożył się do snu, a obok niego spoczywała królowa Hera, bogini na złotym tronie.

W ogrodzie rozległy się oklaski i przytłumione głosy, gdy Krista wymknęła się na boczne podwórze. Spojrzała na księżyc, a potem naciągnęła kaptur na głowę. Jedną ręką trzymała przerzuconą przez ramię torbę, drugą zaś wiklinowy kosz. Oblane złotym blaskiem księżyca podwórze było puste i niestrzeżone. Krista przemknęła się bezszelestnie w cień najbliższego budynku.

Brzęk naczyń w kuchni wyrwał Maksjana ze snu. Pojękując cicho, księżę zacisnął powieki. Jasne smugi światła, wpadające do pokoju przez otwarte okna, uderzały w jego twarz niczym młoty. Przewrócił się na bok i naciągnął koc na głowę. W głowie bębniły mu dziesiątki bębnow i werbli, krew szumiała w uszach niczym wodospad. Na poduszce leżał kwiat jaśminu.

Lekarzu, ulecz się sam, pomyślał, przerażony, że lada moment znów usłyszy szczęk garnków.

– Panie? – Ktoś zapukał lekko w futrynę drzwi. Maksjan skrzywił się boleśnie, potem jednak odrzucił koc. W drzwiach stał uśmiechnięty Gajusz Juliusz. – Dobrze spałeś?

Maksjan burknął coś pod nosem i zsunął nogi z łożka. Był ubrany w pomiętą białą tunikę poplamioną winem. Przeciągnął dłonią po zmierzwionych włosach i podrapał się za uchem, z trudem otwierając ciężkie, opuchnięte powieki.

– Tak, Gajuszu, o co chodzi?

– Rozpakowaliśmy książki i ułożyliśmy je w jednym z pokoi na parterze, ale nie wiemy, gdzie wnieść przyrządy taumatyczne. Chciałem też spytać, czy przywołasz do nas dzisiaj Machineę? Będziemy potrzebować kilku rzeczy, które zostały w jej ładowni.

Maksjan ujął głowę w dłonie i skoncentrował się. Spomiędzy jego palców wypłynął błękitny ogień, który obmył mu twarz. Gdy księżę wstał, zniknął zarówno

zarost z jego twarzy, jak i paskudny kac. Uśmiechnął się promiennie do starego Rzymianina, odzyskawszy doskonały humor z poprzedniego dnia. Czekало go mnóstwo pracy, do której chciał się jak najszybciej zabrać.

– Mam doskonale miejsce na Machinę, mój przyjacielu.

Pogrążony w rozmowie z Gajuszem, książę wyszedł z pokoju i zszedł do ogrodu. Kawalek zapisanego pergaminu ułożony na poduszce obok jego głowy zniknął pod warstwą splecionych kocy.

* * *

Carruca o pomalowanych na biało burtach i daszku z wyblakłej niebieskiej tkaniny toczyła się powoli na północ cesarską drogą wiodącą wzdłuż wybrzeża. Wóz ciągnęły cztery woły, powożone przez łysiejącego niewolnika z siwą brodą. Głowę woźnicy chronił słomiany kapelusz z szerokim rondem, jednak jego odsłonięte ramiona były już czerwone od słońca. Obok niego drzemała młoda dziewczyna z wiklinowym koszem, wyczerpana długą wędrówką z zachodniego zbocza góry. Woły szły równym, lecz niespiesznym krokiem, co oznaczało, że dotrą do nadmorskiego miasta Herkulanum nie wcześniej niż w porze obiadu. Niewolnikowi nigdzie się nie spieszyło. Niewielkie opóźnienie nie mogło zaszkodzić winu, które wiozł na swojej *carruce*, a zbyt gwałtowne podskoki na nierównej drodze mogły je nawet popsuć. Patrycjusze, którzy tłoczyli się latem w portowych uliczkach, lubili dobre wino, wolał więc nie zniszczyć ładunku i nie pozbawić swego pana godziwego zysku.

Krista przycisnęła wiklinowy kosz do piersi i otworzyła lekko oczy, oślepiąca blaskiem słońca odbitym od powierzchni oceanu. Straszliwy ból głowy, który omal nie pozbawił ją świadomości podczas nocnej wędrówki, ustępował powoli niczym ocean podczas odpływu. Amulet palił ją w skórę jak rozżarzone żelazo, nie odważyła się jednak jeszcze go zdjąć. Zabiję księcia i jego sługi, powtarzała w bezpiecznym zaciszu swego umysłu. Udaremnię jego plany.

Im częściej powtarzała te słowa, tym szybciej ustępował ból głowy i migotliwy, czarny cień, który zasnuwał jej oczy. Wzdrygnęła się, gdy dojmujący chłód przeniknął jej ciało i kości. Nawet gorące promienie słońca nie mogły go przegnać. Mogła to zmienić tylko jedna rzecz.

Zabiję księcia. Nie uda mu się. Zniszczę go.

Wóz toczył się powoli na północ, a woźnica kiwał się, raz po raz zapadając w drzemkę.

Zabiję go.

PORT LEUKE KOMEŃ NA WYBRZEŻU AL-HIDŻAZ

Nad miastem unosił się słup gęstego czarnego dymu. Mahomet szedł wąską ulicą, wysypaną piaskiem i żwirem, który chrząścił pod jego stopami. Słońce stało już wysoko na niebie, a Mahomet zaczynał coraz wyraźniej odczuwać znużenie. Szedł w stronę portu i płonących budynków, z których wypływały kłęby smolistego dymu. Wódz Kurajszytów zakręcił, gdy uliczka doprowadziła go do brudnego placu, otoczonego parterowymi i piętrowymi budynkami o otynkowanych ścianach. W pobliżu nie było żywej duszy, choć o tej porze na ulicach powinien panować spory ruch. Za Mahometem maszerował oddział wojowników Sahabów, weteranów spod Jasribu. Podobnie jak wszyscy żołnierze w jego armii, Sahabowie zrezygnowali z barw swego plemienia na rzecz biało-zielonych barw Tanuchów. Połowa z nich niosła okrągłe, drewniane tarcze z żelaznymi ćwiekami, pomalowane tanią rudobrunatną farbą. Pozostali nieśli łuki i przewieszane przez plecy skórzane kołczany ze strzałami o czarnych lotkach.

Z drugiej strony placu odchodziła ulica opadająca stromo w kierunku portu. Mahomet maszerował na sztywnych nogach – w ciągu ostatniego tygodnia spędził zbyt wiele czasu na końskim grzbiecie, na domiar złego wkrótce zaczęły boleć go uda i kolana, nieprzywykłe do tego typu wysiłku. Z wysokości niewielkiego wzgórza widział okręty przycumowane do kamiennych nabrzeży i magazyny rozstawione wzdłuż nabrzeża. Leuke Korne leżało na nagiej skale, z dala od jakichkolwiek oaz i większych zbiorników słodkiej wody. Miasto istniało tylko dlatego, że należał do niego ów wąski pas skalnego wybrzeża. Mimo to w porcie stało co najmniej kilkanaście okrętów; sto osiemdziesiąt mil dalej na północ, w wąskiej dolinie, leżała stolica Nabatejczyków, Petra, tędy też wiodła droga do wielkich miast położnych wzdłuż Strata Triana.

W Leuke Korne od ponad ośmiuset lat przeładowywano jedwab, bawełnę, perfumy, przyprawy, stal i klejnoty. Jediną przyczyną jego bogactwa, jego istnienia, była bezpieczna przystań i dwupiętrowe kamienne magazyny ustawione wzdłuż drogi przy nabrzeżu. Większość czarnego dymu wypływała właśnie z okien jednego z takich magazynów.

Twarz Mahometa ciemna była od gniewu. Delikatny wiatr od morza niósł zapach dymu w głąb łądu. Dziesięć lat spędzonych na podróżach handlowych, obejmujących całą Arabię, a nawet Indie i Wspaniałe, zepsute miasta cesarstwa, nie poszło na marne. Mahomet węchem rozpoznawał wiele przypraw, tkanin i gatunków drewna.

Kurajszyta i jego ludzie skręcili w drogę biegnącą wzdłuż nabrzeża. Zbierali się tu także pozostali Sahabowie, którzy skończyli przeczesywać miasto. Kilka godzin

wcześniej, o wschodzie słońca, miasto było jeszcze w rękach cesarskich żołnierzy. Teraz należało do Mahometa, który obserwował z wściekłością, jak ponad ćwierć majątku zgromadzonego w magazynach ulatuje z dymem ku niebu. Jeden z Sahabów zakasłał, wciągnąwszy w płuca dymu. Mahomet zakrył usta i nos. Płonący pieprz wydzieliał naprawdę ostre opary.

Mahomet zamierzał opuścić Mekkę ukradkiem, w towarzystwie kilku najbliższych towarzyszy. Wiedział, że Tanuchowie poprzysięgli służyć mu do samego końca, czyli do śmierci jego lub ich. Nie oczekiwał jednak żadnej pomocy ze strony obywateli miasta. Nawet po zdobyciu Jasribu i wyrznięciu Haszymidów oraz ich sprzymierzeńców, wódz Kurajszytów nie uważał się za przywódcę ludu.

Mekkańskie rody walczyły ze sobą od wieków, a Mahomet nie podejrzewał, by udało mu się to zmienić. Chciał tylko ukarać zbrodniarzy, którzy zamordowali jego dziecko. Miał też nadzieję, że uda mu się zdławić opór jego przybranej rodziny i zabezpieczyć dziedzictwo swoim dzieciom. Jednym ze środków prowadzących do tego celu było też ustanowienie wspólnego prawa dla obu miast. Przymierze z Ben Saridem i wiernopoddane posłuszeństwo Kurajszytów były dlań wielką i bardzo miłą niespodzianką. Nie powiedział Dżalalowi ani Szadinowi o jego wizjach ani o tym, co powiedział mu głos na górze, lecz mimo to wszyscy się do niego przyłączyli.

Wyruszyli przed świtem, w całkowitej ciemności, prowadzeni tylko blaskiem cienkiego jak sierp księżyca. Mahomet jak zwykle jechał pogrążony w myślach, wsłuchany w głosy wypełniające nocne powietrze. Nie zauważył nawet, że w miarę jak posuwają się na północ, szeregi Tanuchów coraz bardziej się rozrastają. Obecność Uriego Ben Sarida i jego ludzi wydawała się naturalna, wszyscy bowiem walczyli u jego boku pod Jasribem.

Tuż przed świtem Mahomet się zatrzymał. Wiedział, że Pan Siedmiu Niebios powierzył mu bardzo trudne zadanie. Ta myśl napełniała jego serce poczuciem celu, którego zawsze mu brakowało. Pustka wypełniająca jego duszę, pragnienie znalezienia czegoś, czemu mógłby się w pełni oddać, co warte było jego całkowitego poświęcenia, wyгнаły go z domu i przegnały przez pół świata. Teraz znalazł wreszcie to coś i wiedział, że powinien być za to wdzięczny.

Kiedy więc słońce zbliżyło się do widnokregu, by za chwilę wychynąć zza poszarpanej krawędzi gór na wschód od Mekki, Mahomet zatrzymał konia i zeskoczył na ziemię. Nie rozglądając się na boki, odpiął koc od siodła swej klaczy i rozłożył go na ziemi. Choć ów biały ogień, który wypełnił go tamtego dnia przed Al-Kabą, zniknął, ani na moment nie przestawał słyszeć odległego głosu kamienia. Ukląkł na kocu i pokłonił się nisko, zwrócony na południowy wschód, ku świętemu

miejscu.

Niech miejsce modłów wolne będzie od ozdób i błyskotek – powiedział doń wtedy głos z powietrza. – Jak możesz poznać wolę i zamiary miłosiernego Boga, jeśli oczy twe widzą próżne obrazy, a uszy słyszą czcze słowa kapłanów?

Mahomet nie klęczał przed czarnym kamieniem ani starą świątynią; klęczał przed Panem pustkowiec obecnym we wszystkim, co widział i czego dotykał. Kapłani świątyń, które zniszczyli jego ludzie, nie pojmowali tej prostej prawdy. Być może mieli ją dopiero zrozumieć.

Jakiś czas później Mahomet wstał z klęczek, otrzepał koc i zwinął go starannie. Jakby na ten znak, dokoła rozległ się dziwny szum, szelest ubrań i brzęczenie uprzęży. Mahomet rozejrzał się dokoła i znieruchomiał zdumiony, z na wpół zwinionym kocem w dłoni.

Dokoła z ziemi podnosiło się dziesięć tysięcy ludzi. Droga za oddziałem Tanuchów zapchana była wielbłędami, końmi i mułami. Dziesiątki rodowych chorągwi trzepotało na wietrze. Ludzie ze wszystkich klanów w mieście i wielu innych, których nigdy nawet nie widział, zwijali koce lub wsiadali na swe wierzchowce. Mahomet uniósł brwi i odwrócił się do Dżalala, który stał u jego boku, wsparty o swój zakrzywiony łuk. Szadin i Chalid siedzieli już na koniach.

– Kim oni są? – spytał Mahomet, wskazując na długie kolumny ludzi i gąszcz lanc lśniących w blasku wschodzącego słońca.

– To ludzie, którzy pójda wszędzie, gdzie raczysz ich poprowadzić, panie – odparł Dżalal z uśmiechem.

Wyjechali więc z Mekki całą armią i ruszyli na północ, do pustynnej krainy Al-Hidżaz.

Drewniane belki pożerane ogniem szalejącym we wnętrzu budynku pękły z głośnym trzaskiem. Część dachu zapadła się do środka, wyrzucając na wszystkie strony obłoki dymu i ognia. Mahomet cofnął się kilka kroków, odepchnięty falą rozżarzonego powietrza, i przystanął na skraju nabrzeża, obok kamiennego pachółka. Wnętrze magazynu wypełniał czerwony jak krew ogień podsycany dziesiątkami beczek pieprzu i majeranku. Ten widok był niczym cios zadany prosto w serce Mahometa – zawartość magazynu była tysiąc razy więcej warta niż czyste złoto zdobiące stoły możnych w Konstantynopolu, Rzymie czy Saqurimum. Przyprawy należały do towarów, które można było bez większego problemu magazynować i przewozić na duże odległości. Cały świat znał zamięłowanie Rzymian do ostrych przypraw. Ta słabość zapewniła bogactwo Palmyrze i Petrze. Ta słabość dała także bogactwo Chadidży i domowi Chuwajlidów.

– Jak to się stało? – spytał Mahomet, z trudem dobywając głos ze ściśniętego

gniewem gardła. Zawartość tego magazynu znaczyła dla niego więcej, niż mogła znaczyć dla jego zmarłej żony czy dla Palmyrczyków. Każda uncja przypraw, która ulatywała wraz z dymem ku niebu, oznaczała mniej kołczanów pełnych strzał, mniej zbroi, mieczy, lanc i włócznie dla jego armii.

Dżalal wyprostował ramiona i wystąpił przed szereg wojowników Sahaba otaczających płonący budynek. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, dowódca Tanuchów wiedział jednak dobrze, co dla maszerującej armii oznaczają stracone zapasy – wiedział, że być może za miesiąc lub dwa zapłaci za to własnym życiem.

– Spóźniliśmy się, panie. Próbowałem zastrzelić tego kupca, ale zdążył wrzucić do środka zapaloną lampę oliwną.

Mahomet spojrzał prosto w oczy swego podwładnego. Potem skinął powoli głową i spytał:

– Gdzie jest ten człowiek?

– Tam, panie. – Dżalal wskazał głową na okrwawione zwłoki leżące na skraju nabrzeża.

– Są jeszcze jacyś żywi?

Dżalal przytaknął i dał znak dwóm spośród swoich ludzi. Włócnicy Sahaba zniknęli we wnętrzu jednego z piętrowych budynków stojących na nabrzeżu. Balkon domu otaczała ozdobna drewniana ażurowa balustrada. Mahomet widział już podobny styl w rzymskich miastach nad Morzem Wewnętrznym. Kiedy przebywał wśród Rzymian przez dłuższy czas, nie widział w tym nic zdrożnego. Teraz wydawało mu się, że używanie drewna przewożonego z gór Syrii do tworzenia przedmiotów, które równie dobrze można by zbudować z cegły lub kamienia, to czyste marnotrawstwo. Strażnicy wrócili, prowadząc ze sobą szczupłego mężczyznę o krótko przyciętych włosach i gładko wygolonej twarzy.

– Jak się nazywasz i czym się zajmujesz? – spytał Mahomet, z trudem wracając do nieco już zapomnianej łaciny. Minęło już sporo czasu, odkąd jej potrzebował. Palmyrczyki i jego przyjaciel, Ahmet, mówili po aramejsku, podobnie jak on. Rzymianin jednak wyraźnie się ucieszył, słysząc język ojczysty, i odtrącił ręce przytrzymujących go wojowników.

– Jestem Marek Licyniusz. Handluję niewolnikami, drewnem, kością słoniową i solą.

Mahomet skinął lekko głową, oceniając prawdziwość słów Rzymianina po wyglądzie jego tuniki, znoszonego pasa i zdartych butów. Mężczyzna miał dłonie stwardniałe od użdy wielbłąda lub przeciągania lin na okręcie. To był ciężko pracujący kupiec, a nie zgnuśniały wałkoń, który dorobił się na pracy innych. Głęboka opalenizna Rzymianina także przemawiała na jego korzyść: musiał

przebywać w Arabii już od dłuższego czasu.

– Jestem Mahomet – oświadczył krótko Kurajszyta. – Magazyny są pełne, a w przystani stoją puste okręty. Dlaczego?

Marek Licyniusz zmrużył oczy, przyglądając się białej szacie, którą Mahomet okrywał kolczugę i szablę przypiętą do jego boku. Rzymianin zerknął także na stojących obok Sahabów, najwyraźniej zadziwiony brakiem oznak rodowych. Zielony sztandar Sahaba z zakrzywioną szablą i żółtym półksiężycem także nie był mu znany.

– Szlachetny Mahomecie – przemówił Rzymianin, starannie wymawiając poszczególne aramejskie słowa. – Czy między naszymi ludami jest wojna?

Mahomet podniósł rękę, nakazując Rzymianinowi milczenie, i pokręcił głową.

– Nie, szlachetny Licyniuszu, między naszymi ludami nie ma wojny. Mam jednak pewne zatargi z cesarzem Wschodu, niejakim Herakliuszem. Uczynił wiele zła i musi za nie odpowiedzieć przed wielkim i miłosiernym Bogiem. Widzę pytanie w twoich oczach. Wziąłem to miasto w swoje ręce, bo taka jest wola Miłosiernego. Nikt nie zostanie zabity ani wzięty do niewoli, dopóki ja tu dowodzę.

Twarz Rzymianina nie wyrażała żadnych uczuć, Mahomet jednak zbyt często miał do czynienia z takimi ludźmi. Wiedział, że jego rozmówca waży teraz każde jego słowo i próbuje złożyć w całość fragmenty znanej mu układanki.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, szlachetny Licyniuszu. Czy handel z północą ustał?

Rzymianin skinął głową, najwyraźniej doszedłszy do jakichś konkretnych wniosków.

– Tak, szlachetny Mahomecie. Nie mamy żadnych wieści o ostatnich dwóch karawanach, które powinny przybyć tu z Petry, podczas gdy okręty z południa ciągle przyplływają. Tydzień temu miasto wysłało na północ grupę zwiadowców, którzy mieli dowiedzieć się czegoś o losie karawan. Może ty wiesz coś na ten temat?

Mahomet pokręcił w milczeniu głową i zamyślił się głęboko. Sahabowie wzięli Rzymianina pod rękę i odprowadzili go do ceglanego budynku. Działal stał nieruchomo, czekając na rozkazy, obok niego pojawił się także przysadzisty Szadin i szczuplejszy, bardziej elegancki Ben Sarid. Mahomet przywołał ich do siebie, wciąż zastanawiając się nad znaczeniem i konsekwencjami tego, co usłyszał od rzymskiego kupca.

– Działal, wyślij zwiadowców na północ i na wschód – rozkazał. – Dowiedz się, czy droga do Petry i Aelany jest wolna. Musimy to wiedzieć i to szybko, jeśli mamy przejść przez Wadi Ram, nim nadejdzie lato. Spróbujcie odnaleźć zaginione karawany. Szadin, przeszukaj miasto i przyprowadź mi wszystkich kupców, jakich uda ci się znaleźć. Chcę porozmawiać z każdym z nich z osobna. Zbierzcie też

wszystkie konie, muły, osły i wielbłądy, jakie są w mieście. To ostatnie miejsce, w jakim możemy wyposażyć naszych ludzi, nim wejdziemy na teren cesarstwa. Nie możemy zmarnować tej szansy. Pan pustkowi pomaga tym, którzy są dobrze przygotowani.

Dwaj Tanuchowie skinęli głowami i odeszli wykonać rozkazy Mahometa, zbierając po drodze swoich poruczników i podoficerów.

Wsparty o włócznię Ben Sarid uniósł brwi w niemym pytaniu. Mahomet uśmiechnął się doń i poklepał go po plecach.

– Ciebie zaś, przyjacielu, poproszę, byś znalazł mi przewodników, zarówno ludzi, którzy znają drogę stąd do Nabatei, jak i takich, którzy byli już kiedyś w cesarstwie. Musimy działać szybko. Rozdziel tych ludzi między *katiba*, by każdy szwadron miał swojego przewodnika. Poszukaj też rzemieślników i ludzi zajmujących się drewnem i stalą. Będziemy potrzebowali inżynierów. I marynarzy.

Uri skinął z uznaniem głową. Teraz był już pewien, że kiedy armia Sahaba dotrze do granicy cesarstwa, nie będzie to już bezładna zbieranina pustynnych bandytów.

Piątego dnia po wyjeździe z Mekki, po wieczornych modlitwach, Mahomet przechadzał się wśród ognisk, gdy nagle usłyszał podniesione głosy i brzęk stali. Nawet jego tanuscy gwardziści byli zadziwieni chyżością, z jaką ich dowódca pokonał odległość dzielącą go od zwaśnionych mężczyzn.

– To nie jest droga sprawiedliwych – krzyknął Mahomet, uderzając jednego z walczących wojowników głowicą szabli w głowę. Mężczyzna padł na ziemię bez uczucia. – Jesteśmy braćmi, a brat nie podnosi ręki na brata!

Drugi mężczyzna, krzycząc wściekle próbował odepchnąć Mahometa na bok. Był to członek plemienia At-Taif, jego twarz przecinały rytualne blizny i wyklute igłami z tuszem rysunki. Mahomet uderzył go pięścią w twarz. Wojownik Taifów zachwiał się i odwrócił głowę, spoglądając po raz pierwszy na wodza Kurajszytów. Chciał coś powiedzieć, otworzył jednak tylko szeroko oczy, ujrawszy prostą białą szatę i czarną brodę. W tej samej chwili w tłum wbiegli Tanuchowie, rozdzielając zwaśnionych mężczyzn.

– Wszyscy, którzy jadą pod moimi sztandarami, są braćmi – przemówił Mahomet donośnie, by usłyszeli go wszyscy ludzie zgromadzeni wokół ogniska i okolicznych namiotów. Odgłosy bójki ściągnęły w to miejsce wielu ciekawskich. – Dlaczego ci ludzie walczyli ze sobą?

Odpowiedziała mu cisza, Mahomet jednak zauważył stojące naprzeciwko siebie grupy Taifów i ludzi Ben Sarida. Więc to tak, pomyślał. Waśń rodowa. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wyładować na nich gniewu, który gorzał w jego sercu, powstrzymał się jednak. Miał lepszy pomysł.

– At-Taif doznał obrazy ze strony Ben Sarida? – Gestem nakazał Tanuchom, by oczyścili przestrzeń wokół ogniska. – Dzieli ich jakaś stara krew? Sprawa wujka kuzyna, zabitego podczas napadu kilkadziesiąt lat temu? – Stał przed Taifem, którego uderzył w twarz. Z rozbitego nosa mężczyzny płynęła strużka krwi. – Widziałeś kiedykolwiek wcześniej tego Sarida?

Mężczyzna unikał jego wzroku. Mahomet skinął głową, zirytowany.

– Jesteście wybranymi spośród narodów świata, jesteście Sahabami, moimi towarzyszami. Przyłączając się do mnie, zostawiliście za sobą ród czy plemię, z którego pochodzicie. Każdego dnia padacie na twarz przed wielkim i miłosiernym Bogiem, poddając się jego woli, tak jak powinniście to czynić. W oczach Pana niebios wszyscy jesteście sobie równi. Wśród braci nie może być uraz i zemsty. Nasz wróg jest straszny i potężny, silny nienawiścią, grzechem i strachem. Jeśli mamy go pokonać, musimy być jak jedno ciało, jedna ręka zadająca wściekły cios.

Mahomet odwrócił się, pozostawiając za sobą milczący tłum, i zniknął w ciemnościach nocy.

Następnego dnia każdy wojownik w jego armii został przydzielony do szwadronu lub *katiby*. Podziału dokonano za pomocą losowania, bez względu na przynależność rodową lub narodowość. Od tej pory każdy z nich miał jeść, pić, jechać i spać tylko ze swymi braćmi z *katiby*. Kurajscy i Saridzi zostali – z konieczności – przydzieleni do różnych oddziałów jako ich oficerowie i dowódcy. Dżalal objął dowodzenie nad lewym skrzydłem armii, które Mahomet nazwał *maisarah*, a Szadin nad prawym, czyli *maimanah*. Gdyby był z nimi ów odważny młodzieniec, Chalid, Mahomet oddałby pod jego komendę zwiadowców, ostatecznie jednak dowódcą *mukaddama* został Ben Sarid. On sam zachował dowodzenie ciężką kawalerią, *kalb*. Tak podzielona armia maszerowała dalej na północ.

Dom zarządcy portu był zwykłym piętrowym budynkiem oddalonym o jakieś sto stóp od nabrzeża. Mahomet stał na dachu domu ułożonym z drewnianych bali pokrytych tynkiem i błotem. Nad dachem wznosiła się osłona przeciwsłoneczna w postaci prążkowanej tkaniny zawieszanej na kołkach, zapewne na polecenie żony zarządcy. Mahomet dziękował jej za to w myślach, bo dzień był wyjątkowo upalny. Rozpalone do białości słońce prażyło niemiłosiernie, nawet fale oceanu wydawały się przytłumione i słabe. Posłańcy Sahaba siedzieli w cieniu, czekając na rozkazy wodza. Jego gwardziści kryli się w chłodnym wnętrzu domu.

Mahomet przysłonił ręką oczy i spojrział na morze. Na horyzoncie widać było czerwone, zielone i niebieskie trójkąty. Z południa napływała flota, pchana leniwym wiatrem. Mahomet przypuszczał, że okręty jeszcze tego dnia zawiną do portu,

przywożąc ze sobą różnego rodzaju towary oraz wieści z Jemenu lub Indii. Pierwsi dostrzegli je zwiadowcy Ben Sarida i natychmiast pospieszyli do niego z tą wieścią. Mahomet nie wiedział, czy ma to uważać za dobry czy też za zły znak. Łupy zagrabione z portu były już w większości załadowane na muły i wielbłądy, i nie zostało już zbyt wiele miejsca na następne – chyba że znaleźliby na pokładzie kogoś z okrętów ładunek indyjskiej broni.

Mahomet nie liczył jednak na tyle szczęścia. Najprawdopodobniej okręty wiozły pieprz, bawełnę i jedwab. Podrapał się po brodzie, zastanawiając się, czy może coś z tym jeszcze zrobić.

Cóż, ludzie Szadina są na miejscu. Znają plan. Co ma być, to będzie.

Nowy sztandar, trójkątny proporzec przedstawiający białą szablę i półksiężyc na zielonym tle, falował lekko na słabym wietrze. Mahomet spojrzał nań, schodząc do wnętrza domu, i pokręcił z rozbawieniem głową. Działal był bardzo dumny z nowego sztandaru, kiedy delegacja wojowników zaprezentowała go Mahometowi na dzień przed zaatakowaniem portu.

– Półksiężyc? – Mahometowi nieszczerólnie podobał się ten symbol.

Przypominał mu wypełnione posągami świątynie, od których aż roіło się w miastach północnej Syrii. – Co to oznacza?

Działal wyszczerzył zęby w uśmiechu i pogładził się po brodzie.

– To księżyc, który nam się przyglądał, kiedy wychodziliśmy z Mekki, panie. Mówisz, że Miłosierny zawsze na nas patrzy; tamtej nocy patrzył na nas z księżycą.

Długi na sześćdziesiąt stóp kabotażowiec z łańskimi żaglami i wysoką rufą podpłynął powoli do kamiennego nabrzeża. Okręt pomalowany był jaskrawoniebieską farbą, a jego dziób zdobiły wielkie, żółto-czarne oczy. Nad relingiem pochylali się marynarze w turbanach i przepaskach biodrowych. Tymczasem do zatoki wpływało kolejnych dwanaście okrętów kupieckich. Na brzegu przystani czekało dwóch ludzi Szadina, którzy sięgali właśnie po liny zrzucone z pierwszego okrętu.

Mahomet stał w zacienionym wejściu do magazynu położonego na końcu nabrzeża. W budynku opróżnionym z towarów tłoczyli się teraz jego ludzie. Niewielki garnizon cesarski stacjonujący w mieście został błyskawicznie pokonany – wielu żołnierzy leżało jeszcze w łózkach, odsypiając wieczorne pijaństwo – kiedy Sahabowie przeszli przez mury i południową bramę miasta. Teraz legionści żyli o chlebie i wodzie w podziemiach domu gubernatora, a ich *lorica segmentata* służyły ludziom Mahometa, wśród których niewielu jeszcze miało pełne zbroje. Wódz Kurajczytów nie sądził, by dziś potrzebni mu byli ludzie okryci od stóp do głów w ciężką zbroję, wołał jednak nie lekceważyć przeciwnika, nawet jeśli owym

przeciwnikiem byli niczego niepodejrzewający marynarze ucieszeni końcem długiej podróży z portów Adenu i Abisynii. Załogi okrętów wpływających do portu myślały już zapewne tylko o jedzeniu, piciu i kobietach, a nie o walce.

Kabotażowiec uderzył dziobem o nabrzeże i znieruchomiał. Ludzie Szadina przywiązali liny cumownicze do wielkich kamieni służących za pacholki. Zza burty okrętu wysunął się szeroki trap, który po chwili opadł z trzaskiem na nabrzeże. Na trapie pojawił się mężczyzna przybrany w przedziwny pomarańczowy kapelusz przypominający odwróconą ośmiornicę. Stanąwszy na brzegu, padł na kolana i ucałował ziemię. Za nim szedł cały tłum marynarzy. Niektórzy trzymali w dłoniach włócznie.

Mahomet syknął cicho, a zgromadzeni w magazynie wojownicy wyciągnęli szable z pochew lub nałożyli strzały na cięgiwy łuków. Szadin, który stał u boku Mahometa, szeptem wydał rozkazy swoim gońcom. Dwaj chłopcy wśliznęli się do mrocznego wnętrza magazynu.

– Łucznicy do przodu. – W zamkniętej przestrzeni budynku głos Szadina wydawał się bardzo donośny, Mahomet wiedział jednak, że nikt z zewnątrz nie mógł go usłyszeć. – Przygotować się.

Tymczasem na brzeg wychodzili uzbrojeni marynarze z kolejnego kabotażowca, który przybił do nabrzeża. Mieli miecze, włócznie i łuki. Mahomet przygryzł nerwowo wargę. Z okrętów wychodziła cała armia, a on miał do dyspozycji tylko *maimanah* Szadina. Działal, ciężka kawaleria i zwiadowcy byli na wzgórzach za miastem, gdzie uczyli się walki w szyku. Kurajszyta poklepał Szadina po ramieniu i przesunął się bliżej wyjścia. Uzbrojeni ludzie na wybrzeżu posuwali się ostrożnie naprzód, trzymając przed sobą włócznie w pogotowiu. Prowadził ich człowiek w pomarańczowym kapeluszu. W mieście panowała senna cisza, przerywana tylko szumem fal i krzykiem ptaków.

Mahomet zmrużył oczy, oślepione jasnym blaskiem. Wydawało mu się, że mężczyzna w kapeluszu patrzy na niego.

– Halo? Jest tu kto? – Głos wydawał się Mahometowi znajomy, choć nie pasował zupełnie do tego miejsca.

Mahomet uniósł brwi w zdumieniu, gdy kapitan zdjął na moment kapelusz i otarł spocone czoło. Kurajszyta wyszedł z cienia, ostentacyjnie chowając szablę do pochwy. Kapitan i jego ludzie drgnęli zaskoczeni, ujrawszy odzianą w biel postać zmierzającą w ich stronę.

– Zabłądziliście? – Głos Mahometa odbił się echem od ścian budynków i kamiennego nabrzeża. – To nie jest Jemen ani Sana! Będziecie musieli zawrócić i popłynąć w drugą stronę. – Podniósł rękę, wskazując na południe.

Kapitan roześmiał się głośno, błyskając białymi zębami ukrytymi w gęstwinie brody. Zdjął kapelusz teatralnym gestem i uklonił się nisko, przyklękając na jedno kolano. Niektórzy spośród jego ludzi także uklękli, wielu jednak rozglądało się dokoła podejrzliwie. Mahomet ruszył do przodu, a z budynku za jego plecami wypłynął nagle strumień uzbrojonych ludzi. Marynarze stojący na nabrzeżu cofnęli się w pośpiechu, zaskoczeni widokiem groźnie wyglądających wojowników.

– Nie zabłądziliśmy – oświadczył głośno Chalid al-Walid, wrzucając kapelusz do wody. – Wracamy z południa, z Sany i Jemenu, tyle że trochę wcześniej, niż planowaliśmy!

Mahomet zmierzył młodzieńca spojrzeniem, z trudem kryjąc uśmiech, który cisnął mu się na usta. Kiedy jego armia opuściła Mekkę, wódz Kurajszytów wysłał młodego Chalida i jego bandę najemników na południe, ku przybrzeżnym wyżynom Jemenu. Choć w krainie tej prawie od trzydziestu lat o wszystkim decydowali Sasanidzi, w mieście Sana podobno wciąż stacjonował perski garnizon. Mahomet chciał wiedzieć, czy tak jest istotnie, i dopilnować, by podczas jego bytności na północy Persowie nie mieszały się w sprawy Arabów. Zamierzał zająć się nimi później, po zbadaniu sytuacji na granicy cesarstwa.

– Persowie cię przepędzili, tak? Gdzie ukradłeś te statki? Nie należą do mnie, prawda? – W oczach Mahometa pojawił się niebezpieczny błysk. Wcale by się nie dziwił, gdyby okazało się, że młody wódz porwał kilka okrętów Haszymidów lub Kurajszytów, by dogonić dzięki nim armię.

– Ależ skąd! – obruszył się Chalid, wyraźnie urażony tym przypuszczeniem. – To łupy, zdobyte w uczciwej walce. Znaleźliśmy je w porcie w Muzie.

Czekały tam beczynnienie, a wszyscy tak bardzo chcieli cię poznać... Pomyślałem, że potrzebujesz floty. Oto i ona!

Młodzieniec obrócił się i objął szerokim gestem okręty cumujące w zatoce. Wszystkie już znalazły sobie miejsce przy nabrzeżu, a z ich pokładów wciąż schodzili ludzie. Wydawało się, że okręty wyladowane są po same relingi ludźmi, wielbładami i zamkniętymi w skrzyniach i beczkach towarami.

– Posłałem cię na południe z dwoma tysiącami ludzi, żebyś wyszedł pozycje wroga. Wydaje mi się, że przywiozłeś ich znacznie więcej...

Chalid poklepał Mahometa po ramieniu, wciąż uśmiechając się szeroko.

– Zejdźmy z tego słońca, a opowiem ci o wszystkim ze szczegółami. Mahomet pokręcił głową – był pewien, że wynikną z tego jakieś nowe kłopoty. Przywołał do siebie Szadina.

– Natychmiast wciel tych ludzi do armii – polecił najemnikowi. – Rozdziel ich równo, po dwóch lub trzech do każdej *katiby*. Wszystkich prócz ludzi Chalida; tych

przyłącz do zwiadowców.

Szadin skinął energicznie głową. Robili to już wcześniej, gdy zmierzali na północ.

– ...i powiedziałem im, że przepowiedziałeś wielką wojnę, która przepędzi z ziemi demony i obali Rzym i Persję. Opowiedziałem im o twoich wizjach i o Świetle, które dotknęło nas wszystkich w Al-Kabie. Szlachetny Mahomecie, to było jak iskra rzucona na stertę suchego chrustu; zanim się obejrzałem, już cztery tysiące ludzi chciało kroczyć za tobą drogą sprawiedliwych.

Chalid rozsiadł się wygodniej na sofie, podrapał po brodzie i uśmiechnął na to wspomnienie. On, Mahomet, Szadin, Dżalal i Uri siedzieli w pokoju na piętrze domu zarządcy. Na niskim stoliku przed nimi leżały tace z ziarnami pszenicy w sosie paprykowym, pieczoną jagnięcina i humusem. U szczytu stołu siedział Mahomet, zwrócony twarzą do drzwi i plecami do okna. Nad miastem i portem zapadła już noc, zakłócana jedynie blaskiem ognisk płonących na murach i głosami ludzi spacerujących po ulicach. Mahomet rozejrzał się dokoła, próbując ocenić nastroje panujące wśród jego podwładnych.

Dżalal i Szadin jak zawsze wydawali się niewzruszeni, na ich twarzach malował się spokój. Bracia widzieli już wiele armii, walczyli na wielu wojnach niemal na całym świecie. Mahomet przypuszczał, że urodzili się w jakimś małym przygranicznym miasteczku – na granicy Rzymu? Persji? Nieważne... Poprzysięgli mu wierność w ruinach Palmyry i od tej pory nie opuścili jego boku. Dżalal odpowiedział mu szczerym spojrzeniem i ledwie dostrzegalnym uśmiechem. Ten łucznik nigdy dotąd nie był generałem, a teraz przekonał się, że ta rola całkiem mu odpowiada. Szadin także skinął głową. Gotów był zrobić wszystko, czego wymagała od niego sytuacja.

Z Urim sprawy miały się inaczej. Ben Sarid zawsze uważał Mekkę za wrogie mu miejsce, od którego różniła go wiara, tradycja i prawa. Dumny wódz musiał czuć się upokorzony, widząc swych ludzi wcielonych do armii Towarzyszy. Ten szczupły, śniady mężczyzna nosił się jak księżę. Czy Mahomet był więc jego królem? Kurajszyta popatrzył pytająco w oczy swego przyjaciela z dzieciństwa. Uri wzruszył ramionami, a potem skinął głową. Mahomet postanowił porozmawiać z nim później, na osobności, by przekonać się, co go dręczy.

Następnie zwrócił się do Chalida i sam skinął lekko głową. Pięć tysięcy ludzi bardzo wzmocniło jego armię, nawet jeśli większość stanowili marynarze. Pozostawała sprawa koni lub wielbłądów dla tych nowo wcielonych żołnierzy – sami przywieźli ze sobą zaledwie kilkaset sztuk. Reszta musiała na razie iść na piechotę.

Pan pustkowi obdarzył ich jednak w inny sposób; w zdobytej przez Chalida perskiej zbrojowni w Sanie znaleźli sto pełnych zbroi płytkowych, ulubionych przez sasanidzkich rycerzy. W armii Sahabów było więc teraz prawie ośmiuset w pełni opancerzonych jeźdźców.

– Doskonale się spisaleś, młody Al-Walidzie. Czekaliśmy tu, by schwytać w pułapkę następny konwój kupiecki, ale skoro już tu jesteście, wyruszmy wkrótce na północ.

Mahomet rozwinął wyrysowaną na zwoju pergaminu mapę, znalezioną w domu zarządcy. Cienkie, przypominające pajęczynę linie i oznaczone łacińskimi napisami pokazywały ziemie między Leuke Korne na południu aż po wyżyny Nabatei oraz Decapolis na wschodzie i Judeę na zachodzie. Mahomet przesunął palcem wzdłuż wąskiego pasa morza sięgającego do Aelany.

– Najpierw musimy pomaszerować do rzymskiego portu Aelana, tutaj, na południowym krańcu Wadi al-Araba. Zamierzam wjechać głęboko w Nabateję, aż za ich stolicę Petrę, i przekonać się, jakie siły wróciły na te tereny.

Podniósł wzrok i spojrzął z powagą na swoich towarzyszy. Głos, który usłyszał na górze, kazał mu się spieszyć, wiedział jednak, że musi zachować ostrożność. Nie miał do dyspozycji armii dzinnów.

– Wszystkie legiony cesarskie zostały w zeszłym roku wycofane z wybrzeża Judei i wysłane na północ na wojnę z Persami. Armie Nabatei, Palmyry i miast Decapolis zostały rozbite nad Emesą, a potem kompletnie zniszczone podczas oblężenia Palmyry. Jeśli dopisze nam szczęście, nie napotkamy tam większych przeszkód.

Dżalal uniósł brwi, spoglądając na mapę.

– A co jest naszym celem, szlachetny Mahomecie? Z taką armią możemy atakować dowolny cel, ale zmiany, które wprowadziłeś, i to nowe szkolenie... Wydaje mi się, że chodzi tu o coś więcej niż zwykłą napaść na sąsiedni kraj.

Mahomet uśmiechnął się posepnie. Gdyby śpiewny głos w jego głowie nie dawał mu pewności wygranej, natychmiast zawróciłby z tej drogi, która mogła wieść ku śmierci i stertom wyblakłych kości przy pustynnej drodze.

– Nasz pierwszy cel znajduje się tutaj. – Jego palec przesunął się od Petry na wschód i północ, ku czerwonemu kwadracikowi umieszczonemu pośrodku Decapolis. – Wielki obóz legionów w Lejjun. Jeśli mnie pamięć nie myli, jest tam wielka zbrojownia i, co ważniejsze, magazyn ciężkiego sprzętu oblężniczego: tarany, wieże oblężnicze, balisty i tym podobne. Wystarczy tego dla dwóch pełnych legionów.

Arabscy generałowie podnieśli głowy. Wszyscy wiedzieli, jak korzystać z takiego sprzętu, lecz plemiona nigdy nie zajmowały się obleganiem twierdz i warowni. To

była specjalność Rzymu i jego wielkich armii. Ludzie pustyni uderzali i znikali jak wiatr, zabierając to, co wpadło im w ręce. Oblężenie? To nie leżało w ich naturze.

– Jakie miasto? – Chalid pochylił się do przodu, podekscytowany.

– Zobaczycie – mruknął Mahomet, patrząc na mapę. Od obozu legionów dzieliła ich jeszcze długa droga, podczas której wiele się mogło wydarzyć. – Mamy jednak mało czasu...

– Panie, skoro tak, to pozwól mi zabrać moją flotę i trochę pewnych ludzi. – Oczy Chalida płonęły z podniecenia. Jego szczupły, wypielęgnowany palec postukał w mapę. – Kiedy wy będziecie maszerowali wzdłuż wybrzeża, ja wyląduję w Aelanie. Nim Sahabowie dotrą do portu, miasto będzie już w naszych rękach.

Mahomet skrzywił się i otworzył usta, by stanowczo odrzucić ten plan, dostrzegł jednak drapieżny błysk w oczach Dżalala, który także pochylił się nad mapą.

– Panie – przemówił barczysty Tanuch. – Możemy wysłać piechotę morzem, wraz z całym ciężkim sprzętem. Wtedy nie będziemy musieli go ciągnąć przez setki mil bezdroży. To samo można by zrobić z wozami, jeśli tylko starczy miejsca na statkach...

Na usta Mahometa wypłynął powoli szeroki uśmiech.

WYSPA TERA

Pojękując z bólu i zmęczenia, Szirin opadła na pryczę, która służyła jej za I łóżko. Posłanie stanowił cienki bawełniany koc i kłujący siennik, który raczej utrudniał, niż uprzyjemniał jej nocny wypoczynek. Sypialnia dla wychowanek świątyni Łowczyni nie była ani ładna, ani wygodna. Jedna ze starszych sióstr powiedziała jej kiedyś, że sala ta mieści się w jednej z pierwszych jaskiń wykutych w skale wyspy przez siostry. Zdaniem Szirin nic się w niej nie zmieniło od tamtego czasu. Wiedziała, że komnaty położone wyżej, w urwisku nad laguną, były przytulne i dobrze wyposażone – całkiem inaczej niż sypialnie uczennic. Ułożyła się na wznak, starając się nie myśleć o źdźbłach słomy kłujących ją w plecy, i wbiła spojrzenie w szary, nierówny sufit.

Kończył się kolejny dzień katorżniczych ćwiczeń, które stanowiły część jej szkolenia. Niestety, szkolenie to w niczym nie przypominało rozrywek, którymi mogła się delectować w perskim pałacu: nie było tu gorących kąpiel, masaży, lekkich sparingów drewnianymi mieczami, nikt nie recytował jej wierszy ani nie przedstawiał swych najnowszych dramatów. Była to ciężka praca, cięższa od jesiennych polowań lub ćwiczeń, którym Thyatis poddawała ją podczas długiej morskiej podróży wokół Arabii. Szirin leżała nieruchomo, nie podejmowała nawet najmniejszego wysiłku, żeby nie pojawił się skurcz któregoś z przemęczonych mięśni. I pomyśleć tylko, że gdy przybywała na tę wyspę, wydawało jej się, że jest w doskonałej formie.

Obudziła się, gdy ktoś dotknął jej stopy. Nie zauważyła nawet, kiedy zasnęła. Zniknął przyćmiony blask wpadający do komnaty przez okrągłe okna w suficie, teraz ciemności rozpraszała tylko jedna pochodnia umocowana przy drzwiach. Ktoś siedział obok niej na łóżku.

Szirin wciągnęła powietrze w nozdrza i wiedziała już, że to gocka dziewczyna, Klaudia. Nawet tutaj, w zamkniętej sypialni, smukła blondynka potrafiła znaleźć jakieś pachnidło, którym skrapiała swe włosy. Mógł być to jaśmin albo żywica jałowca. Klaudia znów jej dotknęła, tym razem w ramię.

– Szi? Nie śpisz?

– Nie – syknęła Szirin, z trudem poruszając obolałymi rękami. Całodzienny trening, polegający na obijaniu drewnianego mężczyzny jak zwykle na jakiś czas zamienił jej mięśnie w rozbitą, galaretowatą masę. – Która godzina?

– Już po kolacji – odparła Klaudia z uśmiechem. – Przyniosłam ci trochę. Kucharka kręciła nosem, ale powiedziałam, że uczysz się w bibliotece, więc się zlitowała.

Szirin podniosła się na łokcie i oparła plecami o gładką, kamienną ścianę jaskini. Klaudia włożyła w jej ręce drewnianą miskę – jedzenie było jeszcze ciepłe i pachniało rybą. Szirin zmarszczyła nos. Głównym składnikiem niemal wszystkich dań na wyspie były ryby. W błękitnym morzu wokół Tery pływały ryby przeróżnych rozmiarów, kolorów i kształtów, ale wszystkie smakowały podobnie – jak ryby. Szirin nigdy nie przepadała za rybami. Zdjęła z miski pokrywkę i odłożyła na bok. Cierpki zapach gulaszu z ryby wypełnił jej nozdrza. Westchnęła i wzięła do ręki łyżkę. Mogła przynajmniej zjeść zalewę.

Gdy skończyła, Klaudia wzięła od niej miskę i łyżkę. Blondynka siedziała przez cały czas w milczeniu na skraju łóżka, co Szirin wydawało się nieco dziwne, najwyraźniej jednak wcale nie przeszkadzało samej Klaudii. Szirin zgięła i rozprostowała palce, wciąż lekko drżące po treningu. To był kiepski dzień, pomyślała gorzko, litując się nad swym udreńczonym ciałem.

– Szi? Czy to prawda, co o tobie mówią?

Szirin podwinęła nogi pod siebie, podobnie jak robiła to Mikele. Było to wygodniejsze niż siedzenie w kucki.

– Czy co jest prawdą? I kto o tym mówi? – Szirin skrzywiła się w duchu z niesmakiem. W Pałacu Ptaków w Ktezyfonie plotka rozchodziła się lotem błyskawicy; dlaczego tu miałyby być inaczej?

– Starsze dziewczyny, te które mają niedługo stąd wyjść, mówią, że jesteś księżniczką, że byłaś żoną cesarza. Czy to prawda? – W głosie dziewczyny pobrzmiwały nuty podziwu i odrobiny zazdrości.

Szirin przewróciła oczami.

Dobrzy bogowie, pomyślała, niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają...

– Odpowiem na twoje pytanie – odrzekła szorstko – jeśli ty odpowiesz na moje.

– Och, oczywiście! – zachwycona Klaudia klasnęła w dłonie. Szirin zgrzytnęła zębami.

– Tak, to prawda – powiedziała, wzdychając ciężko. – Byłam księżniczką, byłam żoną cesarza i mieszkałam w wielkim pałacu w wielkim i pięknym mieście daleko stąd. To było jak sen, ale w końcu się z niego przebudziłam.

– Och, nie... wydarzyło się coś złego?

Szirin skinęła głową, choć nie była pewna, czy dziewczyna dostrzegła ten gest w półmroku.

– Teraz kolej na moje pytanie. Jesteś tu dłużej ode mnie... Kiedy będę mogła opuścić to miejsce?

Szirin zrobiła dwa kroki, zawróciła, znów zrobiła dwa kroki i znów zawróciła.

Cela była bardzo mała, mieściła tylko trzciniową matę ułożoną na podłodze, łóżko nie większe od pryczy i zwijaną roletę z białego papieru, ozdobioną delikatnymi obrazami ptaków i gór spowitych mgłą. Jedynym źródłem światła była lampka oliwna wykonana z ceramicznej miski.

– To szaleństwo. Nie zostanę tutaj, na tej śmierdzącej rybami wyspie przez następne cztery lata. – Głos chazarskiej księżniczki był coraz bardziej piskliwy i zbliżał się niebezpiecznie do histerycznego krzyku.

– Takie prawo obowiązuje każdą uczennicę, która przysięgła służyć bogini – odpowiedziała Mikele łagodnym, zrównoważonym tonem. – Ty także złożyłaś taką przysięgę, i to przed samą Panią Wyspy.

Szirin obróciła się gwałtownie na pięcie. Miała ogromną ochotę uderzyć pięścią prosto w tę spokojną, okrągłą twarz, powstrzymywał ją jednak czysty zwierzęcy instynkt. Trenowała intensywnie i z dobrymi rezultatami, ale nie mogła w żaden sposób mierzyć się ze swoją nauczycielką, szczególnie mając umysł zamroczony złością. Skutki byłyby naprawdę oplakane.

– Nie zostawię moich dzieci – wycodziła przez zaciśnięte zęby. – Nie wrócę do nich po czterech latach spędzonych na tej wyspie, nie pozwolę, by patrzyły na mnie jak na zupełnie obcego człowieka.

– Mikele skinęła lekko głową, pozwalając, by długie rozpuszczone włosy opadły na ramiona. Zajmowała się właśnie czesaniem, kiedy Szirin wpadła do jej pokoju. Chinka siedziała na łóżku, na skrzyżowanych nogach, z grzebieniem z masy perłowej w dłoni. Miała bardzo długie, sięgające za pas włosy. W ciągu dnia, podczas ćwiczeń, mocowała je na głowie za pomocą długich szpilek. Jeśli teraz odejdziesz – mówiła Mikele irytująco spokojnym głosem – narazisz siebie i swoje dzieci na wielkie niebezpieczeństwo. Dlatego właśnie Thyatis przywiozła cię tutaj.

– Przywiozła mnie tutaj dla mojego bezpieczeństwa, tak? – Szirin zacisnęła mocno dłonie w pięści, aż pobieleły jej kostki. – Jestem tu uwięziona dla własnego bezpieczeństwa? Dla bezpieczeństwa moich dzieci? Wszystko dzieje się tylko ze względu na moje bezpieczeństwo! – Szirin wbiła zęby w dłoń, by nie wybuchnąć bezsilnym płaczem. – Zamieniłam jedno więzienie na drugie, tyle że z gorszym jedzeniem i twardszymi łózkami...

Mikele wstała, wyprostowując nogi jednym płynnym ruchem.

– Nie jesteś tu ze względów bezpieczeństwa – powiedziała, ściągając włosy za głowę. – To miejsce ci go nie zapewni, tak jak żadne inne. Pamiętaj o tym, Szirin. Thyatis przywiozła cię tutaj, byś się wyszkoliła, byś mogła chodzić po świecie z otwartymi oczyma.

– Nie to mi mówiła – mruknęła Szirin z irytacją. – Powiedziała, że tutaj będę bezpieczna.

Mikele ponownie skinęła głową. Jej ręce zajęte były splataniem i układaniem włosów.

– Thyatis cię kocha i chce uchronić przed niebezpieczeństwem. To słodka dziewczyna, ale wciąż nieco naiwna. Ukrywając cię tutaj, tylko opóźni to, co nieuniknione; prędzej czy później ci królowie zaczną się tobą interesować. Te cztery lata to dla ciebie czas – który i tak pewnie okaże się za krótki – na ustalenie hierarchii wartości, rzeczy, którymi powinnaś kierować się w życiu.

Szirin zwiesiła głowę. Nie pomyślała o tym, że agenci wschodniego cesarza z pewnością wciąż wędzają w miastach i portach, szukając wieści o niej i o jej dzieciach. Jej ciało i krew były dla cesarza bardzo cenne, a gdyby ją znalazł, musiałaby pożegnać się z dziećmi na zawsze.

– Dopóki ty i twoje dzieci przebywacie z dala od siebie – mówiła Mikele, jakby czytając w jej myślach – pozostajecie anonimowi. Jeśli jednak znajdą was razem, będziecie w wielkim niebezpieczeństwie. Jeśli zostaniesz tutaj, nauczysz się radzić sobie z tym niebezpieczeństwem.

Chazarska księżniczka podniosła wzrok i spojrzała prosto w oczy Chinki.

– Nie jestem niczyją własnością – oświadczyła, tłumiąc wściekłość. – Nie chcę być świecidełkiem przekazywanym z rąk do rąk. Znajdę moje dzieci i wywożę je poza cesarstwo, tam gdzie nie docierają agenci Teodora.

– A Thyatis? – Mikele przekrzywiła lekko głowę, przyglądając się Szirin swymi brązowymi oczyma. – Co z nią?

Szirin pokręciła głowę, zaciskając mocno usta.

– Thyatis poradzi sobie sama. Jeśli zechce pojechać ze mną, będziemy razem. Jeśli nie, znajdę kogoś innego – kogoś, kto będzie mnie traktował jak równego sobie, a nie jak śliczny naszyjnik, który można odłożyć do pudełka i wyjąć dopiero w dzień święta.

Mikele podwinęła rękawy długiej, obszernej koszuli, którą miała na sobie. Jej nadgarstki były szczupłe i zgrabne, choć siłą przewyższała większość mężczyzn. Wewnętrzna strona jej rąk poprzecinana była drobną siatką białych blizn.

– Jeśli odejdziesz bez pozwolenia Pani Wyspy – powiedziała cicho – siostry odwrócą się od ciebie. Nie będziesz mogła liczyć na ich pomoc. Jeśli odejdziesz teraz, przed zakończeniem szkolenia, nie będziesz w pełni obudzona ani świadoma. Nadal będziesz poruszać się w świecie cieni.

Szirin pokręciła głowę. Poczucie samotności i tęsknota za dziećmi, za ich śmiechem, za czułym uściskiem drobnych ramion, były znacznie silniejsze niż ostrzeżenia nauczycielki.

– Moje dzieci są dla mnie ważniejsze niż to szkolenie. Są ważniejsze niż wasze zgromadzenie.

Mikele uniosła lekko brwi w reakcji na zjadliwy ton, nie powiedziała jednak nic, gdy Szirin wyszła z pokoju. Gdy tylko została sama, pochyliła się nad lampą i zgasiła palcami jej knot. Usiadła w ciemności, zamknęła oczy i uspokoiła oddech, czekając cierpliwie na świt.

Fala uderzyła z hukiem o urwisko, wyrzucając w górę fontannę piany, która spadła roziskrzoną mgiełką na czarne głazy i skały. Szirin stała oparta plecami o skałę, czując, jak przy uderzeniu każdej fali przenika ją lekkie drżenie. Przemoczona tunika oblepiała jej ciało niczym druga skóra, a zimny wiatr przyprawiał ją o dreszcze. Sto stóp wyżej zwieszał się brzeg urwiska utrzymywany w całości przez korzenie krzewów i karłowatych drzew. Poniżej fale uderzały rytmicznie o skalne ściany Tery. Szirin syknęła ze złością, czując, jak jej stopa osuwa się po wilgotnym kamieniu.

Sięgnęła w górę i zacisnęła palce na wystającym fragmencie skały. Urwiska wokół wyspy zbudowane były z zastygłej lawy, wyrzuconej przed wiekami z rozżarzonego wnętrza góry. W ich powierzchni znajdowało się mnóstwo małych zagłębień i otworów. Niektóre były dość duże, by zmieścić się w nich dorosły człowiek. Szirin pochwyciła mocniej ostrą krawędź i zawisała na niej przez mgnienie oka, a następnie przerzuciła ciało wzdłuż krawędzi klifu.

Fale uderzały o urwisko z ogromną siłą, jednak nieco dalej znajdowała się maleńka zatoczka, skalne zagłębienie, w którym chlupotała łagodnie woda. Przed zatoczką stały dwie kamienne kolumny, o które rozbijały się nacierające z pełnego morza fale. Łódź mogła w tym miejscu podpłynąć do brzegu i nie rozbić się na drobne kawałki. Szirin była tego pewna; widziała to już kiedyś na własne oczy.

Po nocnej rozmowie z Mikele Szirin zaczęła się baczniej przyglądać innym uczennicom i nauczycielkom. Po dwóch tygodniach obserwacji wiedziała już, że na wyspie mieszka czterysta trzydzieści siedem kobiet. Kuchnie codziennie wydawały gulasz rybny, z rzadka tylko przerywając tę monotonię potrawami z jagnięciny lub sarniny. Mimo to Szirin nie zauważyła żadnej łodzi rybackiej w jaskiniach wokół laguny. Stały tu zwykle dwie lub trzy lekkie galery i duży okręt kupiecki ze składanym masztem, ale żaden z nich nie nadawał się do połowu ryb.

Ktoś musiał łowić wszystkie te ryby. Szirin zaczęła szukać rybaczek i ich przystani.

Szirin dotarła do długiej, wąskiej szczeliny w skale. Szczelina rozszerzała się ku dołowi, gdzie uderzały w nią morskie fale, strzelając w górę wąską strugą piany. Stękając z wysiłku, sięgnęła do przeciwległej krawędzi rozpadliny, by ocenić jej

wielkość; była wystarczająco wąska. Cofnęła nieco rękę i chwyciła się mocno bliższej krawędzi, potem zaś wsunęła za tę krawędź nogę, szukając oparcia. Znalazła je stopę niżej. Modląc się w duchu, by niewielki występ skalny ją utrzymał, przeniosła ciężar ciała.

Oparcie wytrzymało, a Szirin zapała się mocno plecami o krawędź szczeliny i przez chwilę ciężko dyszała. Wyczerpana wędrówką w dół klifu, mogła wreszcie chwilę odetchnąć. Odzyskawszy siły, ułożyła sobie na kolanach torbę z liną i narzędziami, którą niosła przez cały czas na ramieniu. Sięgnęła do wnętrza i wyjęła młotek oraz żelazny kołek o płaskim łbie. Czarną powierzchnię skały przecinała siateczka drobnych pęknięć; Szirin musiała jedynie znaleźć odpowiednie, żeby mogła bez obawy umocować haki, które utrzymałyby jej ciężar.

Wzdłuż szczytu urwiska okalającego wyspę ciągnęła się wąska ścieżka. Była kręta i kamienista, lecz uczennice czasami biegały po niej w ciągu dnia – Mikele lubiła zmuszać je do tego rodzaju żmudnych ćwiczeń fizycznych. Szlak długości około trzech mil prowadził wzdłuż korony wyspy, wznosząc się na same szczyty i opadając w wąskie wąwozy. Kiedy Szirin zaczęła biegać tą trasą o zmierzchu i o świcie, nauczycielka wydawała się bardzo zadowolona.

Szirin nie wiedziała zbyt wiele o życiu rybaczek, słyszała jednak, że wypływają o świcie i wracają przed zmierzchem, dlatego też postanowiła biegać o takich właśnie porach. Żmudne ćwiczenie pozwalało jej także choć na chwilę zapomnieć o bólu przepełniającym jej serce. Codziennie budziła się dręczona strachem, że zapomni, jak wyglądają twarze jej dzieci.

Dopiero po dwóch tygodniach dostrzegła statek rybacki zbliżający się do wyspy. Zatrzymała się i podpełzła na skraj urwiska, spoglądając w dół. Statek miał trójkątną stępkę i spiczasty dziób. Pomalowane na turkusowo burty i niebieski pokład sprawiały, że na tle Morza Egejskiego okręt był praktycznie niewidzialny. Tego dnia Szirin dostrzegła go dzięki refleksom słonecznego światła odbitym od lśniących przedmiotów na pokładzie; kecz był wyładowany wielkimi rybami o łuskach przypominających wypolerowaną metalową zbroję. Dwie siostry sterowały okrętem za pomocą wiosł o wąskich piórach, zręcznie omijając czarne skały wystające z powierzchni wody.

Po chwili statek zniknął pod urwiskiem; Szirin wiedziała, że musi się tam znajdować jaskinia. Przyłożywszy ucho do ziemi, usłyszała głuchoe dudnienie dochodzące gdzieś z głębi skały.

Szirin przesuwiała się powoli w dół szczeliny skalnej, oparta plecami o jedną jej ścianę, a nogami o przeciwległą. W miarę jak pokonywała drogę, rozwijała się lina,

którą obwiązała się pod pachami. Drugi koniec umocowany był do żelaznych haków wbitych w skałę prawie pięćdziesiąt stóp wyżej. Ryk morza wypełniał jej uszy. Choć fale nie były tego dnia wyjątkowo silne, szczelina skalna potęgowała ich szum. Szirin przystanąła, bo szczelina stała się szersza, co uniemożliwiało zapieranie się jednocześnie plecami i stopami. Szirin wychyliła głowę za krawędź rozpadliny, by przekonać się, jaka odległość dzieli ją jeszcze od jaskini.

Czarny otwór groty otwierał się zaledwie kilkanaście stóp niżej. Powierzchnia skały dzielącej ją od tego miejsca pokryta była grubą warstwą pąkli i soli. Szirin wyciągnęła rękę, sięgając do najbliższego punktu podparcia. Biały kamień skruszył się pod dotykiem. Woda cierpliwie, bez wytchnienia podmywała skalne brzegi. Szirin zakłęła pod nosem, gdy fala uderzyła o brzeg zaledwie kilka stóp poniżej miejsca, w którym się zatrzymała. Oblizwała nerwowo wargi. Sytuacja nie wyglądała najlepiej. Była niemal pewna, że powierzchnia morza podniosła się podczas jej długiej mozolnej wędrówki w dół urwiska. Może nadchodził przypływ?

A niech to, wściekała się w duchu. Przecież ja nic nie wiem o pływach! Ogarnął ją zimny strach, niebezpiecznie bliski paraliżującej paniki. Oczami wyobraźni ujrzała twarze swych dzieci, a na jej twarzy pojawił się w ponury grymas. One mnie potrzebują, warknęła na siebie w myślach. Zaparłszy się mocno nogami o ścianę szczeliny, wychyliła się za jej krawędź, trzymając w dłoni młotek. Hak wbił się w ścianę już przy pierwszym uderzeniu. Po kilku kolejnych Szirin miała już przygotowane solidne podparcie dla stopy.

Chwilę później wysunęła się ze szczeliny. Miała jeszcze kilka wolnych haków, które także z łatwością zagłębiły się w zwietrzałej skałe. Po chwili stała już przy krawędzi jaskini. Licząc na to, że w środku nie ma żadnych strażników, wsunęła się tam, zaciskając mocno zęby, gdy lodowata woda obmyła jej stopy. Oczekała chwilę, aż jej wzrok przywykł do ciemności panujących we wnętrzu groty, a potem rozejrzała się dokoła.

Stała tuż przy półkolistym wejściu do jaskini. Kilka kroków dalej z wody wynurzała się pochylnia, ciągnąca się aż do tylnej ściany ułożonej z ciasno dopasowanych kamieni. W grocie nie było żadnych łodzi, lecz w powierzchni pochylni wyżłobione były dwa długie rowki, spływające wodą przy każdym uderzeniu fali. Szirin przełknęła nerwowo ślinę i odwiązała linę opasującą ją pod pachami, która opadła na powierzchnię wody i wypłynęła z jaskini, niknąc jej z oczu.

Szirin ruszyła powoli wzdłuż ściany, by po chwili dotrzeć do krawędzi pochylni. Choć była okropnie zmęczona i miała wielką ochotę usiąść na wilgotnych kamieniach, wspięła się na pochylnię i przeszła za załom ściany, za którym kryła się druga część jaskini. Z dała już wyczuwała ostry zapach ryb.

Po chwili jej oczom ukazały się dwie ciężkie łodzie rybackie. Obok nich kołysała się lekka łódź ze składanym masztem i żaglem z zielonej tkaniny. Szirin omal nie zatarła rąk z radości i podbiegła szybko do burty łodzi.

Łódź nosiła wypisane greckimi literami imię „Hektor”, a jej dziób zdobiły starannie wymalowane czerwono-złote oczy. Szirin wrzuciła do niej torbę z jedzeniem i ubraniami, a potem odcumowała.

Morze czekało już na nią przy wyjściu z jaskini. Gdy Szirin wskoczyła na pokład, łódź zakołysała się niczym narowisty koń. Księżniczka uśmiechnęła się pod nosem – szkolenie obejmowało także kierowanie łodzią w lagunie wyspy. Wsunęła do wody wypolerowane wiosło o piórze w kształcie liścia. „Hektor” ruszył do przodu, a chłodna bryza owiała twarz Szirin i podniosła jej czarne włosy.

Niebo lśniło niczym lustro, gdy mała łódź wyruszyła w długą podróż przez ocean.

PAŁAC JUSTYNIANA, KONSTANTYNOPOL

Głośnie, natarczywe pukanie w futrynę wyrwało Dwyrina ze snu. Otwierał oczy powoli, ociężale, ogarnięty znużeniem, które sięgało nawet jego powiek. Hibernijczyk spuścił nogi z łóżka i usiadł prosto. Długie, zmierzwiłone włosy opadły mu na ramiona. W drzwiach pokoju stał mężczyzna średniego wzrostu, wąski w talii i szeroki w ramionach. Dwyrin przetarł oczy i ujrzał wyraźniej ciemnoniebieską tunikę, skórzane kawaleryjskie nogawice, dwa ciemne pasy na talii mężczyzny i skórzaną pochwę długiego miecza przewieszoną przez jego plecy.

– Ty jesteś Dwyrin MacDonald z Ars Magica Tertia Cyrenaicea?

Dwyrin zamrugał powiekami zaskoczony. W głosie mężczyzny słychać było wyraźnie akcent mórz północnych – zdołał nawet poprawnie wymówić jego nazwisko. Młodzieniec wyprostował się i przeciągnął dłonią po włosach.

– Tak, panie. – Podniósł się z pryczy i omal nie opadł na nią z powrotem, gdy gwałtowny ruch przypomniał mu o bólu rozsadzającym głowę.

Mężczyzna wszedł do maleńkiego pokoju i stanął przy ścianie. Dwyrin dopiero teraz mógł przyjrzeć się uważniej nieznanemu. Miał szczupłą twarz o wąskim nosie, ciemnobrązowe włosy i natarte woskiem wąsy o spiczastych końcach. W półmroku trudno było dojrzeć jego oczy, Dwyrinowi wydawało się jednak, że mają dziwny, fioletowy kolor.

– Nikolas z Roskilde, centurion – powiedział mężczyzna, podając mu rękę. Dwyrin uściśnął jego nadgarstek w geście powitania. Mężczyzna musiał być silny – jego przedramiona były grube i umięśnione jak ręce zapaśnika – nie próbował jednak zgnieść ręki Dwyrina w niedźwiedzim uścisku. – Zostałeś przydzielony do mojej kohorty.

– Naprawdę? – zdumiał się Dwyrin. Kiedy ostatnio odwiedzał kompleks budynków rządowych, w których mieściły się biura legionów, nie było dlań żadnego przydziału. Oczywiście, kiedy próbował przypomnieć sobie, co robił dzień przed tą wizytą lub dzień później, wszystko ginęło w różowawej mgłę o sosnowym aromacie. Ci Grecy robili wyjątkowo mocne wino. Dwyrin potarł twarz i skrzywił się, gdy jego dłoń natrafiła na kilkuniedniowy zarost. Dopiero niedawno zaczęła mu rosnać broda i wciąż nie mógł się przyzwyczaić do jej szorstkiego dotyku. – Dokąd idziemy?

Mężczyzna nie odpowiedział mu od razu, lecz rozejrzał się po skromnym pokoju. Był to jeden z całej masy maleńkich boksów wypełniających podziemia „starego” pałacu. Mieszkali tutaj żołnierze zakwaterowani czasowo w stolicy. Pokój był niemal w całości zastawiony przez cztery prycze zbite z nieheblowanych sosnowych desek.

– Chodźmy – przemówił wreszcie centurion. – Pozbieraj swoje rzeczy i idź za mną. Musimy zdążyć na łódź.

Dwyrin jeszcze raz zamrugał powiekami i sięgnął pod swoją prycz, wyciągając stamtąd dwa skórzane worki, w których mieścił się cały jego dobytek – menażka, krótki hiszpański miecz, trochę pszennych placków, solony boczek i inne drobiazgi. Centurion szedł już korytarzem, pochylając głowę, by nie uderzyć nią w niskie łuki.

Dwyrin pospieszył za nim. Cóż, pomyślał, przynajmniej coś robię!

* * *

– Panie?

Teodor odwrócił się, ocierając zroszone potem czoło. Przed momentem wrócił z porannej przejażdżki i stał jeszcze w cesarskich stajniach, budynku o wysoko sklepionym, wspartym na łukach suficie i małych kwadratowych oknach. Potarł twarą od potu i kurzu brodę i pomyślał przelotnie, że wkrótce będzie musiał się wykapać. Dokoła kręcili się jego gwardziści, sprawdzali stan końskich kopyt i zdejmowali siodła i uprząże.

– Co ci dolega, Colosie? Wyglądasz, jakbyś zjadł surową pigwę.

Niski łysiejący mężczyzna o szczupłych ramionach i długim wąskim nosie pokręcił głową. Teodor spotykał go już wiele razy; Colos był urzędnikiem odpowiedzialnym za utrzymanie miasta. Herakliusz zawsze darzył go wielkim szacunkiem i z uwagą słuchał jego niekończących się wywodów o bieżących naprawach murów, czyszczeniu kanałów ściekowych, rozbudowie akweduktów i tym podobnych. Teodor wyprostował się i przywołał na twarz uprzejmy uśmiech. Colos rozejrzał się dokoła, spoglądając z niechęcią na kręcących się w pobliżu stajennych i gwardzistów.

– Panie, czy możemy porozmawiać w jakimś zacisznym miejscu?

– Oczywiście. – Teodor dał stajennym znak, by zabrali jego konia. Na zewnątrz panowała miła, słoneczna pogoda. Gdy księżę wyjeżdżał przed świtem z miasta, było bardzo chłodno, teraz jednak poranek zapowiadał wyjątkowo pogodny dzień.

Gdy wyszli ze stajni, Colos skręcił w lewo i przeszedł korytarzem o łukowatym sklepieniu do małego ogrodu porośniętego karłowatymi drzewami o białych kwiatach.

– O co chodzi? – spytał Teodor, opierając się plecami o ścianę.

Colos nerwowo skubał brzegi rękawów. Teraz, kiedy byli sami, wydawał się jeszcze mniej skłonny do rozmowy. Księżę przechylił głowę i przyjrzał mu się uważnie. Ciekawe, o co mu chodzi? – pomyślał z zainteresowaniem.

– Ach... jest pewna delikatna sprawa, panie... to... hm... dotyczy twojej najbliższej rodziny...

Teodor zmarszczył brwi. W jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk.

– Których członków mojej rodziny?

Colos wzdrygnął się, ale mówił dalej, jakby pokonał najtrudniejszą przeszkodę, którą było wypowiedzenie pierwszych kilku słów.

– Panie, pojawiły się pewne kwestie dotyczące osoby cesarza, którymi powinien być zająć się on sam. Oczywiście, ponieważ jest chory, nie ma zbyt dużo czasu na sprawy państwa! Są jednak rzeczy, które wymagają jego osobistego zaangażowania... Wziąłem sprawy we własne ręce i poszedłem spotkać się z sekretarzem cesarza.

Teodor skinął głową. Herakliusz z rzadka tylko był w pełni świadomy tego, co się wokół niego dzieje, zwykle nie trwało to więcej niż godzinę lub dwie dniennie. Bardzo utrudniało to zarządzanie cesarstwem, choć Teodor do tej pory nie zastanawiał się szczególnie nad tą kwestią.

– Po raz kolejny powiedziano mi, że cesarz zobaczy się ze mną później – mówił dalej Colos. – Błagałem urzędników, by pozwolili mi przynajmniej zostawić edykty, petycje i projekty nowych rozporządzeń, by cesarz mógł zająć się nimi później, kiedy poczuje się lepiej. Początkowo odmawiali, ale potem pojawiła się ona.

Teodor przestał wydłubywać brud spod paznokci i podniósł wzrok zaintrygowany.

– Ona?

– Tak. – Colos skinął głową, krzywiąc się lekko. – Z sąsiedniej komnaty wyszła cesarzowa i jej służące. Spytała, czego chcę, więc jej powiedziałem. Wtedy ona... wzięła ode mnie te dokumenty, mówiąc, że przekaże je później cesarzowi. Nie wiedziałem, co robić, więc się zgodziłem.

Książę odepchnął się od ściany i wbił spojrzenie w twarz Colosa.

– Co stało się później? – spytał cicho. Uświadomił sobie właśnie, że przyjemne chwile, które spędzał z przyjaciółmi na polowaniach w górach Tracji i lasach Bitnii, mogą go bardzo drogo kosztować. – Czy ktoś się zajął tymi sprawami?

– Tak, panie – odrzekł Colos z kwaśną miną. – Dokumenty zostały opatrzone pieczęcią cesarza i jego podpisem, podatki zostały nałożone, rozkazy dla wojska wydane, edykty przyjęte. Wszystko zostało załatwione jak należy.

Teodor jeszcze raz przyjrzał się swemu rozmówcy, ujrzawszy go nagle w nowym świetle. Takie słowa nie wyszłyby z ust Colosa, gdyby nie był całkiem pewny swej pozycji. Z pewnością popierali go inni ministrowie i urzędnicy z cesarskiego pałacu. Książę domyślał się już, do czego zmierza łysawy urzędniczyna.

– Lecz... mimo to uważasz, że edykty i inne dokumenty nie zostały właściwie rozpatrzone? Uważasz, podejrzewasz, że być może cesarz nie poświęcił im zbyt dużo uwagi? Że, być może, jakaś inna osoba, znająca dobrze te procedury, działa

w imieniu cesarza?

Colos nie przestraszył się groźnego tonu księcia i skinął głową.

– Panie – odpowiedział – najlepiej zarządzany dom to taki, w którym szanuje się wolę ojca. Jeśli ojca zabraknie, to najstarszy syn powinien wziąć na barki brzemię rządzenia i nadawać wszystkim sprawom właściwy bieg.

Teodor pokiwał powoli głową, choć było mu trochę żal przejażdżek i polowań, z którymi musiał chwilowo się pożegnać.

– Rozumiem – odparł. – Dopilnuję, by w czasie choroby cesarza wszystkie sprawy były załatwiane jak należy.

Na twarz księcia wypłynął drapieźny uśmiech. *To może być lepsze od polowania!*

Do Konstantynopola zawitało wreszcie lato, przeganiając zimowy chłód i szarzyznę. Dwyrin maszerował rażno u boku Nikolasa, spoglądając z radością na błękitne niebo nad miastem. Poranna mgła, oblepiająca doki i niskie ceglane budynki, zniknęła bez śladu, przegnana ciepłymi promieniami słońca. Zniknął nawet gryzący dym z obozowisk Awarów oblegających miasto. Miesiąc wcześniej, kiedy żołnierze ochłonęli już po kilkudniowym pijaństwie, którym uczcili swój triumfalny powrót do miasta, wielki książę Teodor wyprowadził cesarską armię za mury i przegnał natrętnych barbarzyńców. Nie musiał nawet bardzo się do tego przykładać, gdyż morale wielkiego chana zostało już wcześniej mocno nadszarpnięte wieściami o klęsce Persów. Nikolas słyszał niedawno, że Awarowie opuścili już Trację i wycofywali się za góry Mezji. Przypuszczał, że za rok nie będzie ich już także w Macedonii ani Mezji.

Nikolas pogwizdywał wesoło, pokonując marszowym krokiem dystans dzielący stary pałac od przystani wojskowej. Cieszył się, że opuści wąskie, kręte uliczki miasta i wypełniający je tłum. Młody żołnierz idący u jego boku musiał mocno wyciągać nogi, by za nim nadążyć. Nikolas przyglądał się ukradkiem twarzy pokrytej miękkim, rudawym zarostem i nieprzepisowo długim włosom opadającym na plecy. Był dość zaskoczony, kiedy spojrzał na listę swych podwładnych i ujrzał wśród nich taumaturga odkomenderowanego z jednostki frontowej. Wiedział z doświadczenia, że biura armii nie mają w zwyczaju rozdawać takich prezentów.

Teraz jednak, patrząc na zamglone oczy chłopca i nierówny krok, świadectwo potężnego kaca, zastanawiał się, czy jego radość nie była przedwczesna. Wiedział, oczywiście, że tubylcy uwielbiają bardzo mocne wino doprawione żywicznym aromatem.

– Gdzie służyłeś chłopcze? Jakie masz doświadczenie?

Dwyrin podniósł zamglony wzrok i otworzył usta, potem jednak zamknął je z powrotem. Musieli przejść jeszcze spory kawałek, nim Hibernijczyk zdołał

pozbierać myśli i ułożyć je w słowa. W jego obecnym stanie samo utrzymanie równowagi było trudnym i wymagającym zadaniem.

– Byłem z armią w Persji, centurionie, w Tauris, Kerenos i Ktezyfonie. Nikolas gwizdnął z uznaniem. Chłopak zasmakował więc już prawdziwej wojny. Może jednak nie trafił najgorzej. Choć tak naprawdę pomoc taumaturga nie była mu niezbędna.

– Od kiedy jesteś taumaturgiem, MacDonald? Który krąg osiągnąłeś? Dwyrin uśmiechnął się cierpko. Ostatnio często zadawano mu to pytanie, szczególnie odkąd Zoe i Odenatus porzucili go w Antiochii.

– Dopiero od roku, panie. Wciąż jestem w pierwszym kręgu.

Nikolas uniósł lekko brwi i wzruszył ramionami. Więc jednak nie trafił najlepiej. Z drugiej jednak strony niedoświadczony czarownik to znacznie więcej niż nieczarownik.

– Panie?

Nikolas skinął głową, pozwalając mu mówić dalej.

– Dokąd idziemy?

– Za chwilę się przekonasz, chłopcze. Kiedy już będziemy na łodzi i poznasz pozostałych członków naszej małej załogi, opowiem ci o wszystkim.

Nad ich głowami przeleciało kilka kruków, kracząc radośnie w ciepłym letnim powietrzu. Grupa kapłanów nadchodzących z drugiej strony ulicy nuciła pieśń pochwalną na cześć wiecznego słońca. Ich szaty ozdobione były wizerunkami złotego dysku, a na przedzie małej procesji kroczył człowiek ze słonecznym godłem w rękach. Nikolas odsunął się na bok, by ich przepuścić, mimo że musiał w związku z tym wdepnąć w odpadki leżące na środku ulicy. Dwyrin szedł za nim jak cień. Nieco dalej ulica opadała stromo w dół wzgórza, na którym mieścił się hipodrom. Krzyżujący się z nią bulwar prowadził do przystani na południowo-zachodnim krańcu miasta.

Dwyrin był już porządnie zdyszany, nim przeszli przez dzielnicę wyścigów i dotarli do wielkiej bramy wychodzącej na morze. Szeroka droga prowadziła w środek kontrolowanego chaosu przystani wojskowej. Dwyrin miał wrażenie, że jego bagaże stały się znacznie cięższe, odkąd przybył do miasta. Wciąż okropnie bolała go głowa. Nie będę więcej pił wina, obiecywał sobie, przywołując w myślach obraz świątyni Macha z jego wioski. Szczególnie tego żywicznego świństwa, które tu podają. Darmowe wino, mięso i chleb cesarskiego triumfu wyraźnie wpłynęły na jego wygląd. Wspaniała muskulatura, której dorobił się pod okiem Blanca i Zoe, niknęła powoli pod świeżą warstwą tłuszczu.

Wyszli z cienia wysokich ceglanych murów i weszli na drewniane molo, szersze niż główna ulica w rodzinnej wiosce Dwyrina. Dokoła wznosił się las masztów,

powietrze wypełniały krzyki kwatermistrzów, marynarzy i setek mew. Nikolas liczył poprzeczne pomosty, by wreszcie skrócić w szósty. Drewniane nabrzeże zastawione było stertami drewnianych skrzyń i beczek. Dwyrin trzymał się blisko swego nowego centuriona, kiedy ten przeciskał się przez gęstwinę różnego rodzaju pojemników i bagaży. Na brzegu pomostu siedzieli lub kucali żołnierze, a u stóp każdego z nich leżało zawiniątko z dobytkiem. Większość miała krótko przycięte włosy i typowe dla Rzymian patrycjuszowskie nosy. Legioniści przyglądali się w milczeniu przechodzącym obok barbarzyńcom.

Kilka chwil później dotarli wreszcie do końca nabrzeża, gdzie czekał na nich niewielki okręt o niskich burtach i obskurnej kajucie, pokryty łuszczącą się farbą. Nikolas przesadził trap jednym wielkim susem, lądując od razu na pokładzie statku.

– Hej tam, na łodzi! – zawołał, budząc żeglarza, który drzemał pod płócienną zasłonką rozciągniętą na rufie. Śniady mężczyzna o gęstej, kręconej brodzie otworzył jedno oko i pomachał do nich leniwie.

Dwyrin przeszedł przez trap bardziej statecznym krokiem i wydając z siebie głośne westchnienie ulgi, odłożył ciężkie torby. Zapach morza, zmieszany ze smrodem gnijących ryb i odpadków wyrzucanych ze statków do morza, powoli zaczynał rozpraszać mgłę zalegającą w jego głowie.

Nikolas także pomachał do marynarza, a potem przeszedł dalej i zapukał do drzwi przedniej kajuty. Nie doczekał się odpowiedzi, otworzył więc drzwi potężnym kopniakiem, okropnie przy tym hałasując. Spojrzał przez ramię na pokład. Młody czarownik znów podnosił swe torby.

– Możemy wypłynąć, kiedy tylko zechcesz, mistrzu Tirusie!

Nikolas przesłał żeglarzowi szeroki uśmiech. Nawet tutaj, na pokładzie okrętu zacumowanego jeszcze w porcie, czuł się już jak u siebie w domu. To było sto razy lepsze niż brudne, zatłoczone ulice miasta!

– Chodź, chłopcze, mamy sporo spraw do omówienia.

Dwyrin westchnął ciężko i ponownie zarzucił tobolek na ramię. Doskonały humor centuriona i jego nerwowa energia przyprawiły go o nowy ból głowy.

Kajuta była niewiele większa od pokoju, w którym spał Dwyrin, miała cztery łóżka i po dwa okna z obu stron. Ze ściany wysuwał się rozkładany stolik. Dwyrin schylił głowę pod niskim nadprożem i zmrużył oczy, czekając, aż przywykną do półmroku. Nikolas zdjął miecz z pleców i rzucił go na stertę sprzętu piętzącą się na jednej z prycz. Na sąsiedniej pryczy spał jakiś mężczyzna ukryty pod kocem naciągniętym na głowę.

– Władimir, czas wstawać, jesteśmy w komplecie. – Nikolas trącił śpiącego mężczyznę czubkiem buta. Odpowiedział mu niewyraźny pomruk. Dwyrin rzucił

swoje rzeczy na niższą pryczę po drugiej stronie kajuty. Ukryty przed ostrymi promieniami słońca czuł się znacznie lepiej. Bolesne pulsowanie, które odczuwał z tyłu głowy, jakby nieco osłabło.

Śpiący mężczyzna ziewnął, odrzucił koc i usiadł. Dwyrin otworzył szeroko oczy – nagie piersi i plecy mężczyzny oraz część jego ramion okrywał gęsty ciemny zarost. Na plecy mężczyzny opadała grzywa lśniących czarnogranatowych włosów. Kiedy podniósł wzrok, Dwyrin zeszywniał, ujrawszy jego oczy i kształt czaszki.

Nikolas odwrócił się, wykrzywiając usta w uśmiechu.

– Dwyrinie, to jest... hej, co się z tobą dzieje?

Dwyrin stał na trzęsących się nogach i kreślił w powietrzu jakiś skomplikowany znak. W powietrzu zawisł lśniący zielony symbol. Twarz chłopca ściągnięta była strachem, a jego usta poruszały się powoli, choć nie wypływał z nich żaden dźwięk. Nikolas poczuł w głowie dziwne buczenie, jęk przechodzący w histeryczny pisk. Leżąca na łóżku Brunhilda wibrowała coraz gwałtowniej, przeniknięta jakimś wewnętrznym drżeniem. Władimir zeszywniał i powoli wstał z łóżka. Zielony symbol zaczął coraz szybciej wirować wokół własnej osi.

– Centurionie, schowaj się za mną – wychrypiał Dwyrin. – Szybko!

Nikolas podniósł ręce i stanął pomiędzy chłopcem i Władimirem. Serce biło mu w szalonym tempie, napędzane mocą przenikającą kajutę. Miał nadzieję, że głos wydobywający się z jego gardła brzmi łagodnie i kojąco:

– Chłopcze, wszystko w porządku... Władimir jest ze mną; należy do kohorty... Nic nam nie zrobi.

Dwyrin oderwał na moment wzrok od Władimira, który przykucnął obok łóżka, wsparty dłońmi o podłogę. Nikolas spojrzał mu głęboko w oczy i skinał powoli głową.

– Centurionie... to stworzenie nie jest człowiekiem. Karmi się krwią ludzi takich jak ty i ja. Jesteś pewien, że chcesz nazywać je przyjacielem?

Nikolas ponownie skinał głową i opuścił ręce.

– Tak, chłopcze. Zawdzięczam Władimirowi życie. Wiążą nas wzajemne zobowiązania. Schowaj to... cokolwiek to jest... zanim zrobi komuś krzywdę.

Dwyrin wzdrygnął się, przypomniawszy sobie cierpienia, jakich doznał z rąk takiej właśnie istoty, widząc jednak niemą prośbę w oczach centuriona, przerwał zakłęcie. Lśniący symbol zafalował, posyłając na podłogę deszcz zielonych iskier, a potem zniknął. Buczenie i przenikliwy pisk wypełniające kajutę ucichły. Dopiero teraz Dwyrin uświadomił sobie, że w pomieszczeniu znajdują się nie trzy, lecz raczej cztery żywe istoty. Gdy zielony symbol rozpląnął się w powietrzu, człowiek-zwierzę zwany Władimirem odetchnął z ulgą i wstał.

– Dziękuję – zwrócił się Wołoch do Dwyrina, skłaniając głowę. – Mnie też nie jest łatwo żyć wśród dzieci dnia. Zapewniam cię jednak, że nie chcę skrzywdzić ani ciebie, ani Nikolasa.

Dwyrin zmrużył oczy ogarnięty żądzą zabijania, zdołał jednak zapanować nad gniewem, który mógł wypełnić ciało Władimira żywym ogniem. Otarł zroszone potem czoło. Przywołanie tarczy kosztowało go teraz sporo wysiłku – przyzwyczał się do wsparcia Zoe i Odenatusa, czekał, aż wsuną się w macierz, wspierając go swą mocą.

– Siadajcie – powiedział Nikolas, ściągając brudne talerze z małego składanego stolika. – Wkrótce ruszamy w drogę, a ja muszę wam powiedzieć jeszcze o kilku rzeczach.

– ...i to by już chyba było wszystko – zakończył długą przemowę Nikolas, drapiąc się za uchem. Nad morzem zapadły już ciemności, a bezimienny statek, który stał się nowym domem Dwyrina, przecinał gładko fale napływające z południa. Władimir zapalił niewielką latarnię zamkniętą w mosiężnej obudowie z wąskimi okienkami z miki. Grubo ciosany kamień przepuszczał tylko przytłumione, blade światło, ale z pewnością było to bezpieczniejsze niż utrzymywanie otwartego płomienia w kajucie. Przez otwarte okna wpadała świeża morska bryza. Dwyrin siedział na skraju swej pryczy, ani na chwilę nie odrywając spojrzenia od przygarbionej sylwetki Władimira, który ubrał się w luźną koszulę z białej bawełny i ciemne nogawice.

Na kolację zjedli gęsty gulasz rybny okraszony ogromną ilością czosnku. Dwyrin omal nie zwymiotował, włożywszy do ust pierwszą łyżkę tego specjału, lecz Nikolas i Wołoch zabrali się do jedzenia z takim apetytem, że chcąc nie chcąc, musiał się do nich przyłączyć. Choć posiłek zniknął już w jego żołądku, nadal paliło go gardło, wiedział też, że jeszcze przez długi czas będzie czuł w ustach smak czosnku. Prócz gulaszu mógł też zjeść kilka kawałków chleba kupionego rankiem w mieście i popić to wszystko rozcieńczonym winem. Teraz Hibernijczyk pogryzał jeszcze kawałek skórki, rozmyślając o tym, że był to jeden z lepszych posiłków – nie licząc oczywiście czosnku – jakie jadł w ciągu ostatniego roku.

– Byliście tam kiedyś? W tym Aelia Capitolina? – mówił Władimir z pełnymi ustami. Sposób, w jaki jego ostre białe zęby rozszarpały kawałek chleba, przyprawiał Dwyrina o zimny dreszcz, chłopiec zdążył się już jednak przekonać, że nie jest to jeden z żywych trupów. Jego oczy przypominały mu wciąż Bygara Dracula, i choć tamten człowiek dawno już nie żył, wspomnienie o nim było niczym rana na duszy Hibernijczyka.

– Nie – odparł Nikolas, dłubiąc w zębach drewnianą drzazgą. – A ty chłopcze?

Byłeś tam kiedyś?

Dwyrin pokręcił głową. Aelia Capitolina było jednym z miast położonych wśród wzgórz Judei, na skraju jałowej krainy Synaj, z którą graniczył także Egipt. Słyszał trochę o tym miejscu, lecz nigdy nie postawił tam stopy.

– Przykro mi, centurionie, byłem w Egipcie, a potem w Armenii, cały środek pomiąłem...

Nikolas westchnął i wyrzucił drzazgę przez okno.

– Nieważne. W Cezarei mamy się spotkać z resztą centurii. Z listy wynika, że to sami weterani, z pewnością znają tamte tereny. W sumie będzie nas ponad setka, wystarczająco dużo, żeby poradzić sobie z tymi bandytami. Hmm... mam nadzieję, że wszyscy jeżdżą konno, inaczej trzeba ich będzie poduczyć.

Dwyrin skinął głową, choć myślami był daleko od maleńkiej kajuty i swego nowego centuriona. Aelia Capitolina leżała dość blisko Palmyry; być może udałoby mu się odnaleźć przyjaciół i jeszcze raz z nimi porozmawiać – oczywiście, jeśli oni chcieliby rozmawiać z nim. Znów przeniknął go znajomy ból, sięgnął więc po kubek z winem. Słodki napój pomagał mu zapomnieć o wykrzywionej straszliwym gniewem twarzy Zoe.

Nikolas podniósł wzrok i uśmiechnął się do Władimira. Rudowłosy chłopak usnął na swojej pryczy, opierając głowę na worku podróżnym. Wołoch wzruszył ramionami, widać było jednak, że trochę się uspokoił.

– Jesteś zbyt nerwowy, mój przyjacielu. To dobry żołnierz, będzie wykonywał moje rozkazy. Nie przypali ci ogona...

Władimir skrzywił się kwaśno i oparł głowę na dłoniach. Nikolas przyglądał mu się uważnie. Nerwowa energia, która wypełniała Wołocha w dniu, kiedy spotkali na placu dwie dziewczyny, zniknęła, coś jednak nadal go dręczyło. Nikolas dotknął rękojeści Brunhildy. Chłodny dotyk metalu przywrócił mu spokój, cichy głos miecza ukoił nerwy. Wbrew temu, co mówił chłopcu, przez cały czas uważnie obserwował Wołocha. Nie mogli sobie pozwolić na kolejny incydent, na pewno nie podczas misji.

– Wład, widzę, że coś cię dręczy. O co chodzi?

Wołoch podniósł nań oczy wypełnione zwierzęcym strachem.

– Wyplłynęliśmy w ostatniej chwili... – wyszeptał. – Wczoraj w nocy ciemna królowa przyszła do mnie we śnie. Gdybyśmy dzisiaj nie wypłynęli, dopadłaby mnie jeszcze tej nocy. Nie obchodzi mnie, dokąd trafimy, bylebyśmy tylko trzymali się z dala od tego przeklętego miasta.

Nikolas pokiwał ze zrozumieniem głową i dotknął ukrytej za pasem sakiewki. On także chciał jak najszybciej opuścić Konstantynopol – nim pewien lichwiarz zorientuje się, że gocki kupiec, któremu pożyczył sporo pieniędzy, wcale nie jest

kupcem. Władimir wstał i przeszedł do swojej pryczy. Nikolas usiadł prosto i zaczął jeszcze raz przeglądać mapy i listy, które otrzymał z biura. Nie do końca rozumiał, dlaczego został przydzielony do tej misji. Pazerność pustynnych bandytów była niepokojąca, on jednak zazwyczaj nie zajmował się takimi sprawami. Rzymscy mocodawcy zwykle zlecali mu eliminację pojedynczych ludzi, tymczasem tutaj miał do czynienia z akcją zakrojoną na dużą skalę.

Pogrzebał w torbie i wyjął z niej oryginalny raport, przysłany z tego górskiego miasta w Judei, Aelia Capitolina.

Magister militum Cesarstwo Wschodnie Konstantynopol Szlachetny Panie!

Chciałbym zwrócić pańską uwagę na coraz śmielsze grabieże, jakich dopuszczają się bandyci grasujący w okolicach naszego miasta. Jak wiesz, miejsce od dawna już jest siedliskiem buntowników, religijnych fanatyków, nekromantów i złodziei. Z bólem przyznaję, że miejscowy garnizon, choć oddany cesarzowi, nie radzi sobie z tym problemem. By odpowiednio nakreślić sprawę, muszę sięgnąć do historii tego starego miasta, zwanego za czasów boskiego Trojana Jerozolimą, a w języku barbarzyńców, Jeruzalem...

Nikolas czytał dalej, z trudem nadażając za złożonym opisem wojen, zatargów i zamachów. W końcu znużony odłożył list i ułożył się na swojej pryczy. Łagodny chłopot fal natychmiast ukołysał go do snu. Miał nadzieję, że wkrótce dotrą do wybrzeży Judei i rozwiążą wszystkie tamtejsze problemy.

DŻABAL AL-DŻILF, OKOLICE PETRY, STOLICY RZYMSKIEJ NABATEI

Mahomet przykucnął i podniósł nad głowę latarnię – brązową skrzynkę z żelazną pętlą i drewnianym uchwytem. Świeczka płonąca we wnętrzu skrzynki odlana była z najlepszego wosku pszczelego, jaki mogli znaleźć jego zwiadowcy, dzięki czemu prawie w ogóle nie dymiła. Mahomet przesunął dłonią po gładkiej powierzchni ściany tunelu i wyczuł poprzeczną nierówność. W przeszłości okolice tę nawiedziło trzęsienie ziemi, a podziemne przejście zostało zniszczone. Część góry kryjącej tunel przesunęła się niemal o stopę w dół. Rzemieślnicy, których umiejętności nie dorównywały kunsztowi pierwszych budowniczych podziemnego przejścia, naprawili je, zakrywając szczelinę cegłami i tynkiem. Mahomet odsunął latarnię od siebie, zaglądając w głąb tunelu.

Podziemny korytarz ciągnął się dalej, choć przejście przez wąski uskok mogło nastęrczyć nieco trudności. Kurajszyta odwrócił się i skinął głową na idących za nim ludzi. Potem pochylił się niżej i przeczołgał przez wąskie gardło tunelu, pomagając sobie w tym wolną ręką. Podobnie jak długie schody, które pokonał wraz ze swą armią w drodze do tego miejsca, tunel wykuty był w litym piaskowcu stanowiącym rdzeń góry.

Stu wojowników Sahaba ruszyło w milczeniu jego śladem. Ich miecze schowane były w pochwach, a groty włóczni owinięte wełną. Mimo to wydawało się, że robią okropny hałas, gdyż każdy dźwięk odbijał się wielokrotnie w zamkniętej przestrzeni tunelu. Przeszli przez skalny płaskowyż tuż po zmroku, spędziwszy całe popołudnie na wędrówce przez wzgórza kryjące zbiorniki wodne, do których prowadziło to przejście. Główne wejście do miasta, As-Sik, leżało zaledwie dwieście kroków dalej na północ. Przejście miało postać wąskiej drogi wiodącej dnem ciasnego i krętego kanionu. Nawet w środku dnia trudno było stąd dostrzec słońce. W miejscu, gdzie droga wynurzała się z kanionu, kilkunastu ludzi mogłoby bronić jej skutecznie przed całą armią. Znajdował się tutaj wielki, bogato zdobiony grobowiec i garnizon wojskowy. Mahomet nie miał najmniejszego zamiaru prowadzić swych ludzi w tę pułapkę.

Jego armia przeszła skrajem skalnego pustkowiec otaczającego ukryte miasto. Korzystała przy tym ze ścieżek wydeptanych przez kozice i farmerów, którzy uprawiali pszenicę i kabaczki na maleńkich spłachetkach ziemi pokrywającej dno niektórych kanionów.

Strome urwiska i skalne szczyty otaczały Petrę niczym ogromna barykada. Każdy, kto ujrzałby potężne masywy Al-Hubta i Al-Madras oraz wielkie wrota i tamę

zamykające wejście do As-Siku, byłby zapewne przekonany, że miasto jest praktycznie nie do zdobycia. Podczas swych kupieckich wojaży Mahomet wielokrotnie przybywał do Czerwonego Miasta i wiedział, że można do niego dotrzeć także innymi drogami. Tę pokazał mu pewien pasterz, który gustował w zagranicznych winach.

Mahomet uśmiechnął się posepnie, pomyślawszy, że każde arabskie plemię postawiłoby strażę przy tamach i źródłach zaopatrujących miasto w wodę. Czasy były jednak niespokojne i być może żołnierze stacjonujący w Petrze uznali to za drugorzędną sprawę. Kurajszyta śmiał się z tego w duchu. Dla jego ludu woda zawsze była sprawą najważniejszą; woda oraz tajne przejścia, dzięki którym przeciwnik mógł ich zaskoczyć we śnie.

Tunel wychodził prosto na skalne pustkowie usiane wielkim głazami i wbitymi w ziemię płytami piaskowca. Na niebie pojawił się księżyc, jego blask okrywał skały zimną srebrną poświatą. Mahomet podniósł latarnię i dostrzegł po swej lewej ręce schody prowadzące w dół, ku kamienistej równinie. Odchodząca od nich ścieżka wiała się między ogromnymi głazami i przecinała wąskie koryto strumienia wyżłobione w zboczu skały.

Wkroczenie armii Sahabów do Aelany było dla Mahometa dużym zaskoczeniem. Wiedział, że okręty jego małej floty dotrą na miejsce szybciej niż kawaleria, która musiała przedzierać się przez góry i pustynie dzielące Leuke Komę od północnego portu. Nie spodziewał się jednak, że ujrzy biało-zieloną flagę Sahaba powiewającą nad bramą miasta i Chalida wylegującego się w cieniu tejże bramy.

– Nie było żadnego wojska? – pytał Mahomet, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Nie – odparł Chalid, gdy wchodzili na schody starego budynku, w którym mieścił się urząd celny. – Wszyscy zostali wycofani na północ miesiąc temu, a przynajmniej tak twierdzi Fejd. – Młody wódz wskazał głową przygarbionego mężczyznę, który przyłączył się do nich, gdy Mahomet wraz ze swym sztabem dotarł do centrum miasta. Mężczyzna, choć z całą pewnością tubylec, miał na tunice biało-zieloną naszywkę. – Gubernator ściąga podobno wszystkie okoliczne wojska do Judei, ma tam jakieś kłopoty.

Mahomet zatrzymał się i obrzucił spojrzeniem wielki pokój o łukowato sklepionym suficie. Niegdyś w pomieszczeniu tym pracowali celnicy, teraz mieli się tu wprowadzić członkowie jego sztabu i posłańcy. Okna wychodzące na południową stronę budynku ukazywały błękitną zatokę i szeroką, złotą plażę. Aelana nie była dużym miastem, miała jednak długie kamienne nabrzeże, przy którym mogły kotwiczyć liczne statki.

– Jakie kłopoty? – Mahomet pochylił się ku młodzieńcowi, trzymając dłoń na jego ramieniu.

Chalid uśmiechnął się szeroko. Uwielbiał przekazywać wiadomości, których nikt jeszcze nie słyszał. Trzy tygodnie spędzone w porcie pozwoliły mu zebrać wszelkie dostępne informacje i plotki.

– W miastach Decapolis panuje wielkie poruszenie – odparł. – Ludzie dowiedzieli się, że cesarstwo zostawiło Zenobię i petrańczyków własnemu losowi podczas inwazji. Widocznie do miast przybyły nowe wojska cesarskie, a ludzie zorientowali się, że ich mężowie i synowie już nigdy nie wrócą.

Mahomet sposepniał i skinał powoli głową. Zjednoczone siły Decapolis, Palmyry i Petry, prowadzone przez Zenobię z Palmyry i Obodasa z Petry, zostały rozbite najpierw podczas bitwy nad Emesą, a potem w czasie oblężenia Palmyry. Kilka tysięcy żołnierzy uciekło przed perskimi rzeźnikami z pól Emesy i udało się na południe, większość jednak wycofała się wraz z Zenobią do Palmyry.

– Potem ktoś rozpuścił plotkę – kontynuował Chalid – że wkrótce odbędzie się powszechny spis ludności.

Walczyli jeszcze przez długie tygodnie, próbując utrzymać miasto do czasu przybycia cesarskich legionów, płacąc krwią za każdy dzień walki i dając Herakliuszowi cenny czas, którego potrzebował do pokonania armii perskiej na północy. Mahomet odwrócił się i oparł dłonie o parapet okna, przejęty gorzkimi wspomnieniami. Okazało się, że była to pułapka, ale nie dla Persów. Herakliusz nigdy nie zamierzał zwrócić się na południe, by przybyć z pomocą lojalnym miastom Decapolis i Judei. Uderzył na wschód, zdobył perską stolicę, Ktezyfon, i wygrał swoją wojnę.

– A to, oczywiście, oznacza wyższe podatki. – Chalid uśmiechnął się posepnie. – Nic dziwnego, że ludzie zaczęli się buntować.

Zginęli wszyscy, którzy wraz z Zenobią dali się zamknąć w złotej klatce Palmyry; wszyscy prócz Mahometa i jego Tanuchów. Zawdzięczali to Dżalalowi, który wyciągnął ciało Mahometa z ruin Bramy Damasceńskiej i uciekł, nim Persowie doszli do siebie po wyniszczającej bitwie magów. Tanuchowie znali sekretne przejścia prowadzące za miasto, których używali do prowadzenia wypadów na perskie siły podczas długiego oblężenia Palmyry. Tym razem posłużyły im do ucieczki. Mieli na to czas dzięki Zenobii, która walczyła do końca, broniąc swego pałacu i ściągając na siebie całą uwagę ciemnych sił Persji.

– Co z zaopatrzeniem? Znalazłeś tu jakieś zapasy?

Mahomet odwrócił się od okna i spojrzał na młodzieńca, który trzymał już w rękach gotową tabliczkę. Uśmiechnął się pod nosem, widząc jego zapał i zaangażowanie.

Kiedyś będzie lepszym generałem niż ja, pomyślał, pochylając się nad stołem, by

zobaczyć, ile wody, strzał, mięsa i ryb ma do dyspozycji jego armia.

Księżyc wspinał się coraz wyżej na nieboskłon, gdy Arabowie przechodzili przez *wadi*. Po drugiej stronie koryta rzeki rozciągał się skalny płaskowyż, przecięty ścieżką oznaczoną kopcami kamieni. Mahomet wiedział, że zbliżają się do As-Siku, wąskiego kanionu prowadzącego do doliny, w której leżała Petra. Obejrzał się za siebie, spoglądając na swych ludzi wspinających się w górę zbocza. Blask księżyca oświetlał im drogę, mogli więc się szybko poruszać.

Jakiś czas później, gdy przeszli już przez odsłonięty płaskowyż, mijając po drodze szeregi otwartych grobowców wykutych w litej skale, znaleźli się u wejścia do kolejnego wąskiego kanionu. Wysoki kopiec kamieni oznaczał miejsce, w którym ścieżka zagłębiała się w mrocznym wąwozie. Mahomet wyczuwał zapach wody i zieleni. Przykucnął przy wejściu i zamknął oczy, nasłuchując w skupieniu.

Nie słyszał żadnego dźwięku prócz chłopotu wody na kamieniach. Jeśli dobrze pamiętał, kanion prowadził wzdłuż dwóch lub trzech sztucznych zbiorników wodnych do doliny, w której kończył się As-Sik, a zaczynało miasto. Tam z pewnością nie brakowało strażników.

Zgasił swoją latarnię i nakazał zgromadzonym za nim ludziom, by zrobili to samo. Miał nadzieję, że tą drogą uda im się zejść od tyłu strażników strzegących bramy i całkowicie ich zaskoczyć, musieli jednak postępować bardzo powoli i ostrożnie, by żaden podejrzany dźwięk nie obudził czujności mieszkańców Petry.

Wstał i przywołał do siebie Szadina. Dżalal i Chalid wraz z całą armią czekali ukryci w korycie Wadi Musa, by na znak grupy wypadowej ruszyć stamtąd do przejętej podstępem bramy miasta.

Ciemna sylwetka wysunęła się z cienia zalegającego pod jednym z głazów i ruszyła w jego stronę.

Posłuchaj! Słyszysz to? Słyszysz ludzką śmierć?

Mahomet drgnął zaskoczony, jednak głos ucichł. Wyteżył słuch i po chwili usłyszał: odległe ludzkie głosy niesione wiatrem. Podniósł wzrok i ujrzał ogień płonący na szczycie góry na południe od miasta oraz sylwetki setek ludzi stojących na Wysokim Miejsku. Mieszkańcy miasta oddawali cześć jakiemuś bogu mieszkającemu za niebem. Podczas wizyt w Czerwonym Mieście Mahomet odczuwał zawsze dziwny niepokój, wywołany skrytą naturą jego mieszkańców, ich dziwnymi zwyczajami i gorzkim posmakiem wody. Teraz ich odległe głosy, wzniesione we wspólnej pieśni, obudziły w nim zimny gniew.

– Panie?

Kurajszyta odwrócił się, zaciskając drżące dłonie w pięści. U jego boku stał

Szadin w zbroi owiniętej czarną tkaniną, która tłumila brzęk stali. W oczach mężczyzny odbijał się blask świateł miasta i ogniska płonącego na szczycie góry. Obok przechodzili kolejni Sahabowie, znikając w ciemnym wnętrzu kanionu.

– Tam, na Wysokim Miejscu, odbywa się jakiś obrzęd – powiedział Mahomet, wskazując szczyt góry. – Muszę go przerwać. Wezmę połowę ludzi i pójdę w górę Długich Schodów. Ty poprowadzisz resztę i przejmiesz bramę. Działal już na ciebie czeka. Potem postępujcie zgodnie z planem.

Szadin skinął głową i odwrócił się, zatrzymując jednego ze swoich poruczników. Mahomet ruszył w dół stopni prowadzących na dno koryta rzeki. Wspomnienie głosu przemawiającego w jego umyśle ponaglało go do coraz szybszego biegu, kazało przeskakiwać po dwa, trzy stopnie naraz. Kątem oka widział zdumione twarze mijanych wojowników. Gdyby Szadinowi udało się otworzyć bramę As-Siku, armia weszłaby do miasta bez przeszkód, a następnym dogodnym miejscem do obrony byłyby dopiero stopnie pałacu. Zabierając ze sobą połowę ludzi wyznaczonych do tego zadania, Mahomet nie ułatwiał życia swym podwładnym, był jednak pewien, że musi jak najszybciej dostać się na szczyt Wysokiego Miejsca.

Biegnij, człowieku, biegnij! – ponaglał go głos rozbrzmiewający w jego umyśle.

Tradycja głosiła, że schody łączące koryto rzeki płynącej u podnóża góry z bliźniaczymi obeliskami stojącymi na szczycie Wysokiego Miejsca mają dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć stopni. Mahomet nie trudził się tej nocy liczeniem schodów, lecz jego uda i plecy mówiły mu wyraźnie, że jest ich naprawdę bardzo dużo. Pięćdziesięciu Sahabów biegnących jego śladem także było już mocno zdyszanych, choć każdy starał się oddychać jak najciszej.

Za wielkimi, mającymi co najmniej dwadzieścia stóp wysokości obeliskami wznosił się grzbiet sięgający samego szczytu góry. Po lewej stronie widać było kilka popękanych płyt znaczących miejsce, w którym rozpoczynały się schody prowadzące na drugą stronę góry. Po prawej, gdzie wznosiło się Wysokie Miejsce, zawieszona nad główną doliną Petry, stała kamienna reduta broniąca dostępu do świętego terenu.

U podnóża reduty znajdowała się brama, otwarta teraz na oścież i oświetlona dwiema pochodniami migoczącymi w nocnym wietrze. W ich świetle widać było schody prowadzące do świątyni. Śpiew dochodzący z tamtego miejsca był coraz wyraźniejszy, nad krawędzią murów widać też było blask ognisk i pochodni. Rozświetlone powietrze przecinały raz po raz nietoperze i lelki, pożerające chmary owadów zwabione przez ogień.

Wysokie Miejsce było wieżą z litej skały, wznoszącą się nad południowo – wschodnim krańcem doliny Petry. Z tego miejsca, położonego niemal na samym

szczycie góry, Mahomet widział ogromną połąć pustyni, góry i dolinę rozciągające się u jego stóp. Zimny wiatr szarpał jego ubraniem i rozwiewał włosy. Mahomet chłonał przez moment niesamowity, obłany księżycowym blaskiem widok, szybko jednak powrócił do tego, co sprowadziło go w to miejsce.

Wydawało się, że bramy nikt nie strzeże, być może jednak wartownicy stali w głębi tunelu, ukryci w cieniu. Mahomet ruszył naprzód, trzymając przed sobą obnażoną broń. Tuż za nim szło pięciu łuczników ze strzałami nałożonymi na cięciwy. Wiatr zagłuszał śpiew dochodzący ze świątyni, lecz Mahomet czuł go już w drzeniu kamienia pod stopami.

Czubek jego szabli przesunął się przez bramę, lecz nagle dziwne drżenie przeniknęło jej ostrze, jakby napotkała jakąś niewidzialną przeszkodę w zimnym nocnym powietrzu. Mahomet zatrzymał się i dał swym ludziom znak, by zrobili to samo. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach, gdy odniósł dziwne wrażenie, że to ona stoi obok niego i dotyka jego drżącej dłoni. Przypomniał sobie tamtą chwilę, kiedy stała w półmroku swoich pałacowych komnat i dotykała jego nadgarstka. Szedł wtedy do swego ostatniego, jak sądził, boju, gotów umrzeć na murach miasta. Jej miasta. Przypomniał sobie także, że to ona dała mu tę szablę, gdy jego własna nie nadawała się już do użytku.

Mahomet potrząsnął głową, odganiając smutne wspomnienia, i spojrzał przed siebie. Schody były puste. Skinawszy na swoich ludzi, ruszył biegiem. W odróżnieniu od zwykłych, wyciosanych w kamieniu stopni w dolnej części zbocza te obłożone były marmurem i wzmocnione ceglami. Mahomet sadził do przodu wielkimi susami, przeskakując po dwa, trzy stopnie naraz.

Na szczycie znajdowała się następna brama osadzona w ceglany murze i ozdobiona dwiema smukłymi kolumnami z marmuru. Plac na szczycie Wysokiego Miejsca miał kształt trapezoidu obwiedzionego z trzech stron urwiskami. Na zachodnim krańcu, zwróconym w stronę zachodzącego słońca i zawieszonym niemal nad samym centrum miasta, znajdowało się prostokątne podium, a przed nim głęboka sadzawka wykuta w litej stali. Na samym środku podium wznosił się kamienny ołtarz. Kiedy Mahomet stanął na szczycie schodów, ujrzał zakrwawione ciało dziewczyny wijące się w przedśmiertnych drgawkach na ołtarzu.

Wokół ołtarza tłoczyli się kapłani w długich czerwonych szatach, kilku z nich przytrzymało dziewczynę, jeden zaś trzymał w dłoni zakrwawiony nóż. Ofiara próbowała jeszcze krzyżeć, lecz z jej ust wydobyła się tylko gęsta czerwona piana. Postać stojąca u szczytu ołtarza wznosiła ręce ku niebu, otoczona szafranowo-czerwonymi błyskawicami. Pomiedzy bramą a sadzawką klęczały setki wiernych. Ich głosy łączyły się ze sobą w jednostajnej ponurej pieśni, którą wiatr zaniósł wcześniej do uszu Mahometa. Wszyscy nosili czerwone kaptury nałożone na zwykłe ubrania,

które były bogate i pięknie zdobione.

Nie będziesz składał ofiary z krwi na moim ołtarzu, rozbrzmiał nagle głos w głowie Mahometa. Będziesz szedł drogą sprawiedliwych i wiódł sprawiedliwe życie!

Mahomet zacisnął mocniej zęby i zmrużył oczy, przyglądając się uważnie całej scenie. Nie widział tu żadnych posągów, złotych cielców stłoczonych niczym drzewa w lesie, wiedział jednak z całą pewnością, że z tego miejsca sączyła się w świat ciemność, przywołana krwią i żelazem. Zacisnął mocniej dłoń na rękojeści szabli, wyczuwając rosnący wokół niego opór powietrza.

O miłosierny i współczujący Panie, daj mi siły, bym sprostał tej próbie!

Oślepiający biały błysk przeszył ciemności nocy, wydobywając z mroku kolumny i zdobienia świątyni zawieszonych na urwisku nad miastem. Szadin spojrział w górę i odruchowo podniósł szablę, by bronić się przed tym, co wywołało ów błysk. W tej samej chwili rozległ się towarzyszący błyskawicy grzmot. Ludzie stojący w małej owalnej dolinie krzyknęli i zatkali dłońmi uszy. Szadin miał jeszcze przez chwilę przed oczami obraz setek Sahabów wybiegających z wąskiego jaru As-Sik do szerszego łożyska strumienia przed wielkim grobowcem. Znów rozległ się ogłuszający grzmot, a szczyt Wysokiego Miejsca zapłonął białym blaskiem.

– Za późno! – ryknął Szadin, przekrzykując echo grzmotu. Teraz nie mogli już liczyć na to, że uda im się zaskoczyć miasto we śnie. – Naprzód!

Dżalal biegł co sił w nogach, rozchlapując płytką wodę strumienia. Trzymał w dłoni gotowy do strzału łuk, głowę osłaniał mu otwarty hełm, zapięty rzemieniem pod brodą. Obok biegli ludzie z tarczami i szablami w dłoniach, ponaglani przez swych dowódców. Przy wewnętrznej bramie leżały okrwawione ciała strażników; atak od strony ukrytego przejścia kompletnie ich zaskoczył.

– Co się dzieje? – krzyczał Dżalal, wskazując na szczyt góry.

– Mahomet – odparł Szadin, ruszając za swymi ludźmi do miasta – zostawił nas na przełęczy. Załatwia jakieś własne sprawy.

Wąska brama rozpadła się na drobne kawałki, kiedy Mahomet wbił palmyrskie ostrze w niewidzialną błonę. Eksplozja odrzuciła go do tyłu, na stojących za nim wojowników. Tłum mężczyzn i kobiet zgromadzonych na szczycie góry zaczął krzyżeć z przerażenia. Niektórzy padli na ziemię, zabici lub zranieni odłamkami kamieni. Kurajszyta, wciąż nieco ogłuszony, wygrzebał się z płataniny ciał. Za zniszczoną bramą migotał niebieski blask, oświetlający plac przed ołtarzem.

Naprzód! Czas ucieka!

Głos, który przemawiał w pustych miejscach, znów wypełnił jego uszy. Mahomet rzucił się do biegu, choć jego Sahabowie jeszcze nie zdążyli podnieść się z ziemi i ochłonać. Gdy tylko przekroczył bramę, otoczyła go niebieska poświata. Odskokczył na bok, unikając zderzenia z jakąś zakrwawioną postacią zmierzającą w jego stronę, a potem podniósł szablę, osłaniając się nią przed zimnym niebieskim światłem.

Sadzawka wypełniona wodą zniknęła, zastąpiona przez przerażający blask. Z wnętrza góry wypływała jakaś wirująca bezkształtna istota otoczona siecią błyskawic. Błękitne płomienie wysyłane przez ową istotę opadały na okoliczne skały i budynki. Wszyscy ludzie stojący na szczycie góry umarli lub umierali w milczeniu. Został tylko jeden: kapłan wznoszący ku niebu okrwawiony kamienny nóż. Stał za ołtarzem, zwrócony ku pulsującej błękitnej chmurze unoszącej się nad sadzawką.

Mahomet ruszył naprzód nisko pochylony nad ziemią. Nad jego głową przeleciało kilka strzał: to pierwsi Sahabowie dotarli właśnie do bramy i zareagowali na widok, który rozciągał się przed ich oczami. Twarz Mahometa była ponura i zacięta – widział już podobne rzeczy, choćby w postaci monstrum, które stało naprzeciwko niego przed bramą Damaszku. Wiatr wył upiornie nad szczytem góry rozświetlanej raz po raz uderzeniami błyskawic. Skały pod stopami Mahometa drżały bezustannie, wstrząsane kolejnymi grzmotami.

Kapłan stojący za ołtarzem opuścił gwałtownie rękę, w której trzymał kamienny nóż. Wirujący błękitny obłok ruszył w stronę Mahometa. Strzały wypuszczone przez łuczników stojących przed bramą wleciały w niebieską mgłę, znieruchomiały na mgnienie oka, a potem zniknęły w rozbłysku błękitnych płomieni. Tymczasem Kurajszyta wyprostował się i ruszył biegiem w stronę krawędzi urwiska. Migotliwy blask podążył za nim, wyciągając szponiaste palce. Mahomet zatrzymał się raptownie na skraju skalnego występu, posyłając w otchłań garść kamieni, które strącił.

Włócznicy Sahaba poderwali się do biegu, okrążając błękitnego demona od tyłu. Pędzili w stronę kapłana, trzymając przed sobą gotowe do ciosu włócznie. Kurajszyta podskoczył, tnąc błyszczącą mackę, która wyrosła nagle ze środka błękitnej istoty.

Oczami wyobraźni Mahomet widział białe ramię królowej i jej lśniąca zbroję. Ostrze jej szabli błyszczało w jasnym słońcu, gdy zadawała cios błękitnemu demonowi.

Tymczasem po drugiej stronie placu kapłan w czerwonych szatach obrócił głowę i otworzył szeroko oczy, zrozumiał, że popełnił błąd, za który zapłaci życiem. Trzy żelazne włócznie Sahabów przeszły jego tułów. Krew wypełniła usta kapłana, a jego ciało zadrżało konwulsyjnie, gdy żelazne ostrze przerwało kręgosłup. Dwie pozostałe włócznie przekłuły płuco i serce. Żelazny nóż wysunął się ze zmartwiałej dłoni kapłana i upadł na skałę, pękając na pół.

Szabla Mahometa płonęła niczym oczy aniołów, które zawisły nad błękitnym demonem, by zniszczyć szalejący w jego wnętrzu błękitny ogień. Nagle świat wypełnił się ogromnym, bezbarwnym światłem, a Mahomet poczuł, jak jego kufia i chusta stają w płomieniach. Wojownicy stojący na szczycie góry krzyknęli przeraźliwie, gdy potężna eksplozja rzuciła ich na ziemię lub oślepiła.

Trzecia błyskawica rozdarła nocne niebo, zalewając dolinę oślepiającym blaskiem. Działal odwrócił się od góry, zamykając oczy i osłaniając głowę tarczą. Tym razem jednak po błyskawicy nie nastąpił straszliwy grzmot, od którego pękały kamienne mury i kolumny świątyń. Nad światem zapadła całkowita cisza. Wojownicy Sahaba leżeli tam, gdzie przypadli do ziemi w oczekiwaniu na kolejny wybuch. Nikt nie spoglądał w górę w obawie przed tym, co mógłby zobaczyć.

Działal przykucnął, wsparty jedną ręką o ziemię. Z jego oczu ciekły strugi łez. Powoli odzyskiwał słuch, a pierwszym dźwiękiem, który dotarł do jego uszu, był trzask płonącego drewna. Wstał powoli, mrugając powiekami, i zobaczył, że pobliski stragan przy ulicy prowadzącej w głąb miasta stoi w płomieniach. Olbrzymi rozbłysk światła podpalił suche płótno i drewno. Działal przetarł oczy, ściągając z twarzy spalone rzęsy i brwi. Podniósł rękę i zamrugał powiekami, widząc podwójnie, a nawet potrójnie.

Klnąc głośno, dotknął ręką twarzy i przekonał się, że jego skóra jest dziwnie miękka i podrażniona. Spopielona broda odpadła pod dotykiem. Łzy żłobiły wąskie rowki w białym pyłe, który okrywał jego twarz i wszystko, co znajdowało się w dolinie.

Nad miastem znów zapadła ciemność rozpraszana tylko blaskiem księżyca.

Dokoła podnosiły się krzyki wojowników wstających z ziemi. Działal zerwał z głowy spaloną kufie.

– Do mnie – wychrypiał przez wyschnięte gardło. – Do mnie, Sahabowie!

Królowie Nabatei wzniesli w centrum swej stolicy piękną świątynię. Długie szeregi smukłych kolumn i dwuspadowe dachy przywodziły na myśl klasyczne greckie budowle. W odróżnieniu od innych budynków stłoczonych na dnie doliny poszczególne warstwy kamiennych bloków, z których wzniesiono świątynię, oddzielone były drewnianymi belkami. Podczas gdy trzęsienia ziemi zniszczyły na przestrzeni kilku stuleci wszystkie inne budowle w mieście, nawet Świątynię Gryfów, ta świątynia stała nienaruszona. Leżała w centrum miasta, w miejscu, gdzie łączyły się ze sobą trzy strumienie. Za świątynią wznosiło się wzgórze pokryte willami i domami o płaskich dachach. Otaczające świątynię gmachy zbudowane były

z czerwonego piaskowca, który znajdował się w dolinie, wzdłuż ścian ciągnęły się jednak płyty zdobione malowanymi płaskorzeźbami. Z rzeźb patrzyli na świat królowie i herosi zastygli w triumfalnych pozach. Miasto szczyciło się także wielkim rzymskim amfiteatrem, nie mógł on jednak równać się z eleganckim pięknem tego masywnego gmachu.

Mahomet wybrał go na swoją rezydencję na czas pobytu w Petrze. Posągi zostały zakryte grubym workowym płótnem, a ognie ofiarne zgaszone. Żelazne krzesło z wyściełanym oparciem służyło mu za tron, choć w żaden sposób nie myślał o sobie jako o królu. Wszyscy arystokraci, którzy przeżyli masakrę w Wysokim Miejscu, klęczeli przed nim na marmurowej podłodze świątyni.

Kurajszyta podrapał się po gładkiej brodzie. Czasami okropnie go swędziała i choć powinien już do tego przywyknąć, zawsze czuł się ogromnie zaskoczony, gdy podnosząc rękę do twarzy, natrafiał na gładką skórę. Oczywiście zamierzał zapuścić nową brodę, uznał jednak – choć zapewne spotkałoby się to z dezaprobatą mekkańskiej starszyny – że lepiej zgolić nędzne, niedopalone resztki i zacząć od początku, niż chodzić z nierównym, odstręczającym zarostem. Rozejrzał się dokoła i uśmiechnął pod nosem, widząc niepewne miny wojowników, których spotkał ten sam los.

Czterdziestu wojowników, którzy wybiegli wraz z nim na Wysokie Miejsce, także zostało pozbawionych bród. Pozostali Sahabowie pokpiwali sobie z nich i nazywali ich „dziećmi”. Mahomet wiedział jednak, że ci, którzy przeżyli próbę na szczycie góry, zdobyli sobie zaszczytne miejsce zarówno w sercach towarzyszy, jak i w oczach miłosiernego Boga. Każdy, kto przeciwstawiał się ciemnym mocom kalającym doskonale dzieło Pana, zasługiwał na miejsce w raju.

– Takie jest prawo – powiedział Mahomet, zwracając się do ojców miasta klęczących na podłodze przed jego krzesłem. – Miłosierny Bóg nie pragnie ofiar z dóbr tego świata, złota czy dzieci. Daje wam wybór – albo poddacie się jego woli, wybierzeście ścieżkę Prawdy, a gdy wasze dni się wyczerpią, znajdziecie radość w raju, albo będziecie błądzić w grzechu, by po śmierci cierpieć męczarnie w ogniu piekielnym. Każdy z was, każdy człowiek na tym świecie, musi dokonać tego wyboru. Otoczyłem to miasto i wszystkie wasze posiadłości swoją opieką, i dopóki Bóg miłosierny tego nie zmieni, będziecie stosować się do prawa. Prawo poprowadzi was ścieżką Prawdy, ale wy sami musicie zdecydować w sercach, czy poddacie się woli Boga, czy też nie. – Mahomet przerwał na moment i szerokim gestem ukazał otaczające go posągi. – To miejsce, podobnie jak wszystkie inne świątynie, będzie służyć kontemplowaniu wielkiego i miłosiernego Boga albo zostanie oddane państwu. Te dzieła sztuki zostaną stąd wyniesione. Nie ma tu miejsca dla nich ani dla żadnego

innego wizerunku bogów. Nie będziecie już składać żadnych ofiar. Pięć razy dziennie pokłonicie się Miłosiernemu i odmówicie modlitwę, oddając się Jego woli. Poza tym będziecie żyć i pracować, jak czyniliście to do tej pory.

Ojcowie miasta nadal klęczeli z pochylonymi głowami, wpatrzeni w podłogę. Mahomet wiedział, że mają zamęt w głowie. Łatwo przychodziło im się buntować przeciwko cesarstwu przy pełnych kielichach, teraz jednak, gdy słowa przerodziły się w czyny, ogarnął ich paraliżujący strach. *Znany pan zawsze jest lepszy od nieznanego?* Nieważne; nie zamierzał zatrzymywać się tu na dłużej.

– Usiądźcie ze mną, dobrzy ludzie. – Mahomet nakazał strażnikom, by przynieśli krzesła z bocznej nawy. – Mamy sporo spraw do omówienia, bo nie będę przebywał tu długo. Najpierw zajmijmy się może kwestią opodatkowania towarów przewożonych przez tę krainę...

Każda godzina kładła się cieniem na jego duszy, gdyż głos przemawiający z powietrza ponaglał go do czynu.

EKBATANA, ŚRODKOWA PERSJA

Zielony liść dębu opadał powoli ku ziemi. Na jego lśniącej gładkiej powierzchni odbijało się blade przedwieczne światło. Mężczyzna zwany Aradem obserwował jego powolny lot. Chciał złapać liść, próbował zmusić swą rękę do ruchu, nie dawał jednak rady. Jego ciało zastygło w pół kroku, z ręką uniesioną przed twarz. Stał pod koronami starych drzew, wpatrzony w górski grzbiet. Rozciągające się przed nim zbocze usiane było drobnymi głazami. Ziemia była niemal całkiem naga; kozy i owce z pobliskiej wioski wyjadły wszelką roślinność, jaka wyrosła na tym jałowym podłożu. Czyste, pozbawione choćby najmniejszej chmurki niebo zapowiadało pogodną, lecz zimną noc.

Za plecami Arada rozległy się głosy mężczyzn, słyszał chrzęst kamieni pod ich stopami, gdy wspinali się w górę zbocza. Szli z obozu otaczającego wioskę szerokim pierścieniem bezładnie rozstawionych wozów i namiotów. Dahak opuścił wreszcie górską warownię i ruszył na wyżyny starej Medii, prowadząc ze sobą prawie dwudziestotysięczną armię. Tym razem składały się na nią niemal wyłącznie perskie oddziały. C’hu-lo wraz ze swymi Hunami został odesłany na północny zachód, gdzie miał do wykonania jakieś inne zadanie. Gdyby czarownik spytał Arada o zdanie, ten odradziłby mu takie posunięcie. Armia T’u-chueh pozostawiona sama sobie mogła przynieść więcej szkód niż pożytku. Jego opinia nie miała jednak żadnego znaczenia; Arad stał w bezruchu, bo tak życzył sobie jego pan.

W polu jego widzenia pojawili się dwaj Persowie w filcowych czapkach i długich czarnych szatach. Obaj uzbrojeni byli w długie miecze schowane w bogato zdobionych pochwach przypiętych do pasa oraz małe okrągłe tarcze przewieszane przez ramię. Obaj mieli krótko przycięte brody w stylu, który stał się modny za panowania króla Chosroesa.

– Chodź – powiedział jeden z nich. Arad czuł, jak wraz z tymi słowami wpływa w jego ciało zdolność ruchu. Wola jego pana wycofała się na moment, pozostawiając za sobą niewidzialną smugę czarnej mocy. Strażnicy nakazali mu gestem, by ruszył w dół zbocza. Arad wypełnił ich polecenie, szedł jednak powoli, uważnie stawiając stopy na drobnych kamieniach i czerwonym żwirze. W bladym, rozproszonym świetle, które zacierało kontury i poczucie odległości, każdy fałszywy krok mógł zakończyć się zwichnięciem lub złamaniem nogi. Strażnicy szli tuż za nim, obserwując czujnie każdy jego ruch. U podnóża góry kończył się las, a zaczynało ściernisko. Przechodząc przez puste pole, Arad spróbował nieśmiało uczynić coś, co byłoby aktem jego własnej woli.

Powoli wszedł w pierwsze otwarcie, oglądając świat w nadwidzeniu. Teraz mógł patrzeć na każde źdźbło pszenicy z osobna, widział maleńkie grudki ziemi, szereg

odległych namiotów, twarze ludzi stojących na straży. Przez kilka ostatnich dni, kiedy od rana do wieczora maszerował przy wozie swego pana, zaczął się zastanawiać nad pewnymi niepokojącymi aspektami swojej egzystencji.

Pomimo szoku i radości, których doświadczył przy ponownych narodzinach, zaczynał sobie powoli uświadamiać, że przekazywane mu wrażenia zmysłowe są ledwie słabym odbiciem tego, czego doznają żywi ludzie. Miał też wrażenie, że przez cały czas, czy to na jawie, czy we śnie, jego umysł oddzielony jest od świata brudną, szarą zasłoną. Wiedział, bo wciąż mógł sięgać myślami do wspomnień, że odcień różu na marmurowej ścianie ozdobionej płaskorzeźbą jeźdźca, powinien być jaśniejszy. Smak świeżej wody z górskiego strumienia powinien być ostrzejszy. Dotyk ukochanej dłoni powinien budzić w nim dreszcz emocji. Ze wszystkich ograniczeń, jakie nałożył na niego czarownik, to wydawało się najokrutniejsze. Odczuwał je szczególnie boleśnie, gdy wracał myślami do obrazów i wspomnień ze swego poprzedniego życia. Starał się zachowywać jak najwyraźniej najlepsze z tych wspomnień, traktując je jak zaporę przed otaczającą go grozą, kosztowało to jednak dużo sił.

Dreńczył go obraz niebieskich oczu lśniących w jasnej owalnej twarzy.

Armia Dahaka rozbiła obóz w wiosce położonej w dolinie u podnóża góry Alwand. Na zachód od tego miejsca wznosiły się ośnieżone górskie szczyty, na wschodzie zaś rozciągała się równina, na której leżała Ekbatana. Byli dość blisko miasta, by dojść tam w ciągu jednego dnia, i jednocześnie dość daleko, by nie ściągać na siebie uwagi. Wioska składała się ze schludnych ceglanych budynków o spadzistych dachach. Zwiadowcy donieśli, że na zachód od wioski znajdują się ruiny jakiegoś pałacu porośnięte jeżynami i młodymi wierzbami.

Arad wszedł do obozu. Żołnierze siedzieli przed namiotami, jedząc i rozmawiając lub czyszcząc broń i broń. Podnosili nań wzrok, kiedy przechodził. Niemal wszyscy ubrani byli w jednolite czarne szaty, jakie wybrał dla swojej armii Dahak: była to prosta peleryna z farbowanej wełny z rozcięciami z boków i otworem na głowę. Z przodu peleryna była jednolicie czarna, na plecach jednak widniał symbol czerwonego węża, haftowany pracowicie przez kobiety w górskiej warowni. Stroju dopełniał szeroki skórzany pas o żelaznej sprzączce w kształcie węża, który zjada swój własny ogon. W obozie panował nastrój niepewności, jako że Dahak zarządził wymarsz, nie podając żadnych powodów. Mimo to wszyscy maszerowali na południe bez słowa skargi.

Przed namiotem czarownika stał wysoki maszt, na którym trzepotała długa czarna flaga z symbolem czerwonego koła. Namiot otaczała także palisada z ostrych żelaznych kołków. Na wprost wejścia w ogrodzeniu otwierała się szeroka brama,

choć i tak kołki rozstawione były tak rzadko, że mógł między nimi bez trudu przejść dorosły mężczyzna. Arad wiedział jednak, że nikt nie ośmieliłby się tego zrobić. Na powierzchni żelaznych pali widniały tysiące maleńkich znaków i liter opisujących magiczne formuły. Przechodząc przez bramę, Arad wyczuł wyraźne drżenie powietrza, nie zwolnił jednak kroku.

– Ach... przybył nasz ukochany sługa.

Arad zatrzymał się i założył ręce za plecy. Taka była wola postaci siedzącej na kościanym tronie pośrodku namiotu. Od czasu wymarszu z fortecy Damawand czarownik nosił królewski kostium – długie pantalone z czarnego jedwabiu wpuszczone w cholewy wysokich butów z czerwonej skóry. Zwykle wkładał też kolczugę splecioną z maleńkich żelaznych rombów, Arad wiedział jednak, że żadne ostrze ze stali nie mogło zabić tej istoty ukrytej w ludzkiej skórze. Każde ogniwo kolczugi pokryte było ciemnoniebieską emalią, dzięki czemu lśniła ona w blasku latarni niczym skóra węża. Na to wszystko czarownik narzucał obszerny płaszcz ze spiczastym kapturem. Tkanina płaszcza była gruba i ciężka, szeleściła nieprzyjemnie przy każdym ruchu Dahaka. Ona także była ciemna jak nocne niebo. Głowę czarownika zdobiła cienka opaska ze złota. Jego gładko wygolona, blada twarz lśniła niczym świeca na tle ciemnego ubrania.

– Widzisz, Chadamesie, zawsze z ochotą przybywa na nasze wezwanie. To nasz najwierniejszy i najbardziej oddany sługa.

Arad milczał, gdyż żadne z tych słów nie było skierowane do niego. Kątem oka widział, że perski generał wysłuchuje docinków czarownika z kamienną twarzą. Stał na lekko rozstawionych nogach, wpatrzony obojętnym wzrokiem w dal. Pod pachą trzymał stożkowaty hełm z malowanej stali. Arad wyczuwał niepokój generała, emanujący z niego niczym żar z rozpalonych węgli. W brodzie Chadamesa pojawiało się coraz więcej pasm siwizny.

– Aradzie, najdroższy, usiądź tu przy mnie. – Dahak wskazał na puste krzesło u swego boku. Było to zwykle drewniane krzesło, pozbawione poduszek i zdobień. Arad bez słowa podszedł do czarownika i usiadł, składając dłonie na kolanach.

Dahak ponownie odwrócił się do generała, ogromnie z siebie zadowolony.

– Widzisz? To najbardziej posłuszny z moich sług.

Czarownik wstał ze swego miejsca, pozwalając, by brzeg jego długiej szaty opadł na ziemię. Gestem przywołał do siebie mężczyznę, który do tej pory stał w cieniu przy wejściu do namiotu. Dahak miał niewiele sług, lecz ci, których sobie wybrał, musieli umieć pozostawać niewidzialnymi do czasu, aż ich wezwie. Mężczyzna, który wyszedł właśnie z ukrycia, był niski i łysy, jego jedno ramię znajdowało się wyżej niż drugie. Jego twarz i ręce pokrywały liczne wąskie blizny, tworzące dziwne lśniące

zgrubienia na skórze. Mężczyzna trzymał w dłoniach lśniąca ceramiczną misę przykrytą gazą, nad którą unosiły się kłęby pary. Przez ramię miał przerzuconą skórzaną torbę. Dahak obrócił swój kościany tron, tak by mógł patrzeć na Arada.

– Zaczynaj! – Czarownik pochylił się do przodu, wpatrzony w niskiego mężczyznę.

Ten postawił misę na podłodze, otworzył skórzaną torbę i zaczął z niej wyjmować lśniące, dobrze wyostrzone noże i półokrągłe kawałki metalu. Potem wyciągnął także szklane butelki wypełnione płynami o dziwnych kolorach, dwie szmatki i drewniane pudełko długości dłoni, pociemniałe już od częstego używania. Arad siedział w bezruchu na swoim krześle, patrząc prosto przed siebie. Wola jego pana więziła go mocniej niż jakiegokolwiek łańcuchy. Tymczasem drobny mężczyzna odkorkował jedną ze szklanych butelek i zwilżył szmatkę zawartym w niej płynem. Potem natarł szmatką głowę Arada, pokrywając ją obficie przezroczystą, galaretowatą substancją. Sięgnawszy oczu Arada, nadal otwartych, podniósł drugą rękę i delikatnie zamknął jego powieki.

Pograżony w ciemności Arad czekał na dalsze poczynania mężczyzny. Po chwili usłyszał zgrzyt metalu, a potem mężczyzna zaczął golić jego twarz, głowę i szyję. Arad zawsze chodził gładko wygolony, teraz wydawało się jednak, że mężczyzna pragnie usunąć każdy, najmniejszy choćby włoszek z jego głowy. Zakrzywiona brzytwa prowadzona wprawną ręką mężczyzny przesuwiała się po skórze Arada. Dokończywszy dzieła, sękaty mężczyzna odsunął się na moment, by powrócić z wilgotną ciepłą szmatką. Szybkimi, pewnymi ruchami usunął resztki żelu z twarzy, głowy i szyi Arada. Na chwilę zapadła cisza przerywana tylko delikatnym pobrzękiwaniem noży i brzytw układanych starannie w drewnianym pudełku i skórzanej torbie, a potem pluskiem jakiejś cieczy.

Mężczyzna pochylił się ponownie nad Aradem, a powietrze wypełniła ostra woń. Kolejna szmatka przesuwiała się powoli po świeżo ogolonej twarzy i głowie Arada. Tym razem mężczyzna pokrywał warstwą oleju każde zagłębienie w jego skórze, każdą płaszczyznę i nierówność. Olej oblepiał jego skórę niczym ciężka, obcisła maska. Mężczyzna natarł także jego szyję i tylną część głowy. Na koniec naoliwił także nozdrza Arada, wsuwając do nich maleńki, owinięty płótnem kolek. Mężczyzna był całkowicie pochłonięty swoją pracą, zaczął nawet nucić cicho jakąś melodię.

Arad siedział w całkowitym bezruchu, choć w jego umyśle rodził się coraz większy niepokój.

Zabrzęczała ceramiczna misa, podniesiona w końcu z ziemi. Mężczyzna ułożył na kolanach Arada jakąś tkaninę, a potem postawił na niej misę. Ręce Arada drgnęły, sięgając odruchowo do naczynia. Mężczyzna znieruchomiał, jakby spoglądając

pytając na czarownika, a potem podjął przerwana pracę. Arad czuł na twarzy ciepły dotyk pary bijącej z wnętrza misy. Mężczyzna przeszedł za jego plecy, a potem okrył głowę i twarz Arada kawałkiem jedwabiu. Tkanina sięgała tuż za usta Arada, łaskotała go delikatnie w brodę. Tymczasem mężczyzna znów sięgnął do skórzanej torby, tym razem wyjmując z niej jakiś duży przedmiot. Na ramionach Arada spoczął jakiś ciężki drewniany przedmiot, przypominający jarzmo. Górna krawędź owego przedmiotu sięgała niemal jego uszu. Zabrzęczały metalowe klamry zamykające jarzmo z obu stron.

Arad słyszał, jak generał Chadames wciąga głośno powietrze do płuc.

Misa poruszyła się lekko, gdy mężczyzna sięgnął do jej wnętrza. Arad poczuł nagle zimny dreszcz, gdy w głębi jego umysłu obudziło się pewne stare wspomnienie. Przed wielu, wielu laty, gdy był jeszcze małym chłopcem i mieszkał wraz ze swym wujem w ogromnym mieście o nazwie Aleksandria, widział taki drewniany kołnierz. Coś gorącego i lepkiego dotknęło tyłu jego głowy. Sękate dłonie mężczyzny nacierały skórę jego głowy i szyi gęstą woskową substancją. Mężczyzna sięgnął do miski po kolejną porcję owej substancji, nakładając ją na kark i czaszkę Arada. Gęsta ciecz była gorąca, parzyła go w skórę. Kilka kropel pociekło w dół jego szyi, na drewniane jarzmo, gdzie powoli ostygło i stężało. Nozdrza Arada drżały mimowolnie, a jego umysł rozpoznał zapach pszczelego wosku. Mężczyzna skończył nacierać tylną część jego głowy i okrył ją jedwabną szmatką, którą podsunął wcześniej ku górze. Potem stanął przed Aradem i odkrył jego twarz.

Ciało Arada drgnęło odruchowo, gdy gorący wosk dotknął szyi. Uwięziony w celi swego umysłu, przypomniał sobie, co widział tamtego dnia, przed wielu laty i omal nie zakwilił ze strachu. Tymczasem mężczyzna nacierał już jego brodę, usta i nozdrza.

Powieki Arada uniosły się same, wbrew woli jego pana. Mężczyzna pochylał się nad nim nisko, skupiony na swej pracy. Wosk oblepił nozdrza Arada, także ich wewnętrzną część, a potem policzki. Wydawało się, że zamiast stygnąć, staje się coraz gorętszy, że zaczyna go parzyć. Już niemal cała jego głowa i twarz okryte były palącą, sztywną maską.

Arad starał się zignorować duszącą mgłę, która zasnuwała jego umysł. Płuca próbowały oddychać, nozdrza wciągać powietrze, czuł jednak tylko coraz większy strach. Zbierał wszystkie siły, jakie mógł odnaleźć w celi oddzielającej jego umysł od ciała. Ujrzał pojedynczy czerwony punkt, gorejący niczym czubek pogrzebacza wyjętego właśnie z ognia. Uspokoił rozdygotany umysł, starał się skupić, znaleźć jakiś fundament, na którym mógłby budować swą siłę.

„Nie ma takiego muru, którego nie dałoby się obalić”, mawiał jego ojciec. Jedno

uderzenie woli skierowane w słaby punkt przeciwnika mogłoby rozerwać więzy krępujące mu umysł, pozwoliłoby mu pozbyć się woskowej maski i zaczerpnąć powietrza.

Tymczasem przygarbiony mężczyzna pokrył woskiem jego czoło, zostawiając tylko otwory na oczy. Ciało Arada przestało nagle oddychać, odkrywając, że nie może wciągać powietrza. Ręce ogarnięte gwałtownym drżeniem omal nie straciły misy z kolan. Myśli zwolniły bieg, gdy krew nagle zamarła w jego żyłach, a serce przestało bić. Zamarł nurt życia, podtrzymywany przez okaleczoną pamięć i wszystkie układy autonomiczne ciała. Myśli uwięzione w celi umysłu miały się jeszcze słabo, przerażone perspektywą rychłej śmierci. Iskra wolnej woli rozbłysła jeszcze raz i zgasła.

Przygarbiony mężczyzna pochylił się niżej, zaglądając w oczy Aradowi. Jego sprawne palce wyjęły z misy odrobinę wosku i ugniotły z niej dwa wałki dopasowane wielkością do otworów na oczy, które wcześniej wydrążył w masce. Zajrzał jeszcze raz do ich wnętrza, napotykając przerażone spojrzenie Arada. Jego oczy wciąż funkcjonowały, choć zasnuwała je coraz gęstsza mgła.

Mężczyzna zapchał otwory woskowymi wałkami, pozbawiając go nawet tego widoku. Gorący wosk palił Arada w powieki. Z jego ust wydobył się niemy krzyk rozpacz, później jednak wszystko pochłonęła ciemność...

Z północnego zbocza góry Alwand schodziła szeroka twarda droga zaopatrzona w rów, który odprowadzał wodę spływającą z wyżej położonych obszarów. Nad doliną położoną u podnóża góry zawisała popołudniowa mgła, późnowiosenny żar tłumiał nawet śpiew ptaków. Arad szedł rześkim krokiem w dół drogi, podpierając się kijem podróznym z jasnego drewna. Filcowy kapelusz chronił przed słońcem jego głowę i twarz; okrywająca je skóra wciąż była różowa i podrażniona, po tym jak przygarbiony mężczyzna i jego pomocnicy oderwali od niej przeciętą na pół maskę. Wyglądali na bardzo zadowolonych z odlewu. Stopy Arada były bosc, przywykł już bowiem do tego, że w swym obecnym stanie nie odczuwał żadnego bólu. Choć nie czułby także bólu oparzeń słonecznych, jego mistrz uznał, że lepiej, by skóra na jego ciele nie łuszczyła się zbyt, przyciągałoby to bowiem stada much. Na jego ramieniu wisiała torba z miską i kilkoma drobiazgami.

Arad ubrany był w pozbawioną rękawów tunikę i szaty podróznego kapłana. Znajomy strój działał nań uspokajająco, choć szyderczy śmiech czarownika rozbrzmiewający w jego umyśle, przypominał mu, że to tylko pozór. Wszedł pod gęsty dach dębowych gałęzi, znaczących granicę między sosnowym lasem porastającym zbocze góry i liściastą gęstwiną rozciągającą się u jej podnóża. Wysoko w górze wznosiły się szczyty masywu Alwandu, przez cały rok okryte białym śniegiem. Nad koronami drzew przelatywały drozdy, a cały świat jakby zastygł w tym

sielankowym, ciepłym obrazie. Kierowany dotykami myśli rządzącej jego wolą, Arad zaczął wesoło pogwizdywać.

Ukryty w jego umyśle Dahak śmiał się niczym zima nadchodząca w środku lata, okrutna i nieubłagana.

Z pękniętej skały wydobywał się z sykiem żółty płomień. Arad przystanął, spoglądając z zainteresowaniem na rozbite łupki spiętrzone poniżej drogi. Skalny grzebień ciągnął się wzdłuż zbocza Alwandu i krzyżował z Wysoką Droga zmierną na wschód, prosto do bramy miasta. Ta sama droga biegła prosto niczym strzała ku zachodzącemu słońcu, wspinając się na masyw Zagros, a potem spływając przez kolejne przełęcz na wielką równinę Tygrysu i Eufratu. Stanowiła najprostsze i najwygodniejsze połączenie między wschodnią i zachodnią częścią Persji. Wędrowały tędy całe armie, królowie, niekończąca się rzeka kapłanów, kupców i pielgrzymów. W miejscu, gdzie droga wspinała się na skalny grzbiet, osunęła się część urwiska, otwierając szczelinę w powierzchni ziemi.

Z rozpadliny wyływały gęste, lepkie opary, a powietrze wypełniał dziwny zapach. Wśród kamieni migotały płomienie, kilka z nich płonęło jednostajnym, niesłabnącym ogniem. W wieczornym mroku ich blask okrywał okoliczne kamienie niesamowitą, czerwioną poświatą. Arad podjął przerwany marsz, stukając kijem podróżnym o żwir pokrywający drogę. O tej porze, kiedy wszyscy rozsądni obywatele przebywali już pod osłoną murów miasta i własnego domu, Wysokiej Drogi nikt nie przemierzał. Bramy miasta były już jednak naprawdę niedaleko.

Jest, wyszeptał Dahak, przesuując się w głąb umysłu Arada. Obraz przed oczami kapłana rozdzielił się na moment, gdy myśl czarownika sięgnęła do jego zmysłów.

Miasto okrągłych murów, tak mówili o nim Grecy. Siedem kregów, jeden w drugim, a na środku, w najmniejszym, pałac króla Medii. Pierwszy krag złoty, jak tron króla, potem srebrny dla arystokratów, pomarańczowy dla kapłanów, niebieski dla tych, co handlują różnymi dobrami, czerwony dla żołnierzy, którzy wzniesli tak potężne mury, potem czarny. Czarny dla tych, co orzą pole i zwożą do miasta zboże i zwierzęta. A na końcu mur biały, co oplata wszystkie inne, i mieszkanie dla cudzoziemców, którzy przychodzą, by złożyć hołd niewidzialnemu królowi.

Arad pokręcił głową, próbując odegnać natrętny głos czarownika. Choć nie do końca świadomy, zdawał sobie sprawę, że Dahak przemawiał doń językiem, którego nie używało żadne ze znanych mu ludzkich plemion.

Z mroku nocy wynurzyła się zachodnia brama Ekbatany, wyniosła i dumna. Przed bramą płonęły dwa ogniska, na murach zaś migotały setki pochodni. Portalu

strzegły dwa skrzydlate lwy wykute z piaskowca, każdy z nich miał co najmniej dwadzieścia stóp od czubka dumnego nosa do końca podwiniętego ogona. Dumne oblicza kamiennych olbrzymów patrzyły na zachód, na ukrytą w mroku Wysoką Drogę. Nieubłagany czas zatarł nieco ich rysy, jednego pozbawił ucha, drugiego – końcówki skrzydła, nie umniejszało to jednak w niczym ich majestatu.

Za lwami wznosiły się kwadratowe wieże z cegły. Miały co najmniej sześćdziesiąt stóp wysokości, liczne otwory strzelnicze i drewniane pomosty, osłonięte płytami z drewna i skóry. Skrzydła potężnej cedrowej bramy były otwarte na oścież. W bramie stało około stu żołnierzy, którzy rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami. Arad szedł środkiem drogi, prosto na nich. Żołnierze mieli na sobie sięgające kolan kolczugi z żelaznych pierścieni i długie, żółto-czerwone płaszcze. Na głowach nosili stożkowate hełmy zwieńczone kolorowymi pióropuszcami z pawich piór.

Aroganckie dzieciaki! Myśl Dahaka wypełniona była palącym gniewem. Arad omal się nie zachwiał, porażony siłą emocji wypełniających jego umysł. *Zbyt długo pozostają bez opieki starszych, którzy nauczyliby ich dobrych manier i pokory! Czy oni myślą, że są w Ogrodzie Królów, bezpieczni i pozbawieni wszelkich trosk tego świata?*

– Witajcie, dzieli strażnicy. – Arad z trudem mówił, starając się jednocześnie zachować kontrolę nad ręką trzymającą kij. – Czy pielgrzym może wejść do Miasta Królów?

Wysoki mężczyzna z długą czarną brodą wyszedł przed grupę żołnierzy stojących w bramie. Miał szlachetne oblicze i ciemne, przesywające oczy. Złocenia na jego kolczudze i klejnot w główicy szabli świadczyły o tym, że jest arystokratą, *dihkan*.

– Pielgrzym może wejść do miasta – odparł mężczyzna silnym, władcym głosem. – Późno do nas przybywasz, święty ojcie. Potrzebujesz posiłku i łóżka na noc?

Arad skinął głową, opierając się na kiju. Długa wędrówka w dół zbocza byłaby wyczerpująca dla zwykłego człowieka, wolał więc nie mówić, że nie odczuwa żadnego zmęczenia.

– Tak – odparł, przyglądając się strażnikom i ich uzbrojeniu. – Dach nad głową i kęs strawy byłyby prawdziwym błogosławieństwem. Widzę panie, że ubieracie się jak na wojnę, a brama stoi otworem po zapadnięciu zmroku... Jak mam to rozumieć?

Arystokrata uśmiechnął się, błyskając w ciemności równymi, białymi zębami.

– W kraju wciąż panuje niepokój, święty ojcie. Jednak gościnność cesarzowych nie zna żadnych ograniczeń. Czekamy tu na spóźnionych wędrowców, takich jak ty. Wejdz i zasiądź do wieczerzy. Jeśli przejdziesz przez miasto, przekonasz się, że

uczeni mężowie są mile widziani na dworze królowych Persji. Arad udał zdumienie.

– Rajskie Ptaki znalazły tu schronienie? Nie wiedziałem... Z pewnością więc wszystkie łóżka i kwatery w mieście są zajęte.

Arystokrata roześmiał się ponownie i przyglądał wąsy.

– Tak, cesarzowe Azarmiducht i Purandocht, niech je Ahura Mazda błogosławi, zaszczyliły tę starą warownię swą obecnością. Starożytne mury tego miasta wypełniają się nowym życiem, kiedy *spabahadan* z całej Persji przybywają tu, by złożyć im hołd.

Dihkan – akcent mężczyzny i jego arogancja jeszcze mocniej niż strój dowodziły, że należy do właścicieli ziemskich tworzących kręgosłup perskiego państwa i społeczeństwa – odwrócił się i wskazał na aleję odchodzącą od bramy.

– Idź główną ulicą – powiedział. – Przejdiesz przez most kolumnowy i po lewej zobaczysz Wzgórze Siedmiu Bram. Idź prosto do pałacu; z pewnością znajdziesz tam kąt do spania i ciepłą strawę, gdyż cesarzowe ponad wszystko kochają świętych mężów.

Doskonałe, roześmiał się Dahak w ciszy umysłu kapłana. *Masz w tym przecież spore doświadczenie!*

Arad zeszywniał, gdyż drwina czarownika obudziła w nim wspomnienia tak bolesne, że omal nie zemdłał. Opanował się jednak, uklonił grzecznie arystokracie i wszedł w mroczny tunel bramy, by po chwili znaleźć się w środku miasta. Wzdłuż głównej drogi ciągnął się szereg eleganckich piętrowych budynków, ulice wypełnione były światłem i rozbawionymi ludźmi.

Agamatanu zmieniło się ostatnio, rozmyślał w jego umyśle czarownik. *Ale to wciąż to samo miasto, które znam z młodości. Idź, piękny Aradzie, spiesz do tego pałacu o siedmiu bramach.*

Pałac, do którego skierował go perski arystokrata, zrobił na Aradzie spore wrażenie. Pchany wołą czarownika, maszerował przez miasto, przechodząc nad silnym nurtem Alusjerd i przez dzielnice leżące u stóp pałacowego wzgórza. Jak powiedział wcześniej Dahak, na wzgórzu leżącym w północno-zachodniej części miasta wznosiło się siedem kręgów murów, każdy wyższy od poprzedniego. Szeroka brukowana droga łączyła siedem bram osadzonych w każdym z kręgów. Poszczególne bramy nie leżały jednak w jednej osi, więc droga wspinała się pod górę zygzakiem, zamknięta między murami; Arad przyglądał się z podziwem tej wielkiej fortecy.

Czarownik ukryty za jego oczami nie był zachwycony. W porównaniu z potężnymi fortyfikacjami Damawandu ten pałac wydawał się śmiesznie mały. Przy każdej bramie i przy każdym zakręcie drogi stali wartownicy w lśniących zbrojach

i hełmach zdobionych pawimi piórami. Przy każdej bramie Arad kłaniał się nisko i prosił, by go przepuszczono dalej, i przy każdej bramie takie pozwolenie otrzymywał. Strażnicy byli czujni, uważali jednak, że samotny kapłan uzbrojony jedynie w drewniany kij nie stanowi żadnego zagrożenia. Wreszcie Arad dotarł na szczyt i stanął na placu przed pałacem. Wokół placu wznosiły się świątynie, oświetlone blaskiem różnego rodzaju latarni, pochodni, lamp i ognisk, które płonęły na szczycie pałacowego wzgórza.

Ależ pobożni, drwił Dahak. Arad zauważył, że niektóre z mijanych przez niego światła dziwnie drżą lub całkiem gasną. Czują dotyk nocy na brzegu swych szat i drżą ze strachu.

Po placu kręcił się tłum ludzi. Arad szedł między nimi i przyglądał się z ciekawością różnym ludzkim typom wypełniającym to miejsce. Kupcy z różnych krain, z Indii, Egiptu i Chin targowali się między sobą. Przedstawiciele pustynnych plemion w kolorowych szatach siedzieli, zbici w ciasne grupki, lub spacerowali po placu. Wielu ludzi w zbrojach stało przy ogniskach, gawędząc przyjaźnie. Niewolnicy w niebieskich tunikach roznosili wino, miód i mięsiwa. Adan zrozumiał, że są to słudzy lub zwolennicy *spahadan*, którzy przyszli złożyć przysięgę wierności cesarzowym. Byli wśród nich także ambasadorowie z sąsiednich krain i ludzie, którzy szukali łask nowej władzy, dopiero wyrastającej na zgliszczach starej.

Nie przyszli tu na darmo! – roześmiał się ponownie Dahak. Arad wszedł na schody prowadzące do wnętrza pałacu. Tu także drzwi stały otworem, choć drogę blokowała grupa potężnie zbudowanych mężczyzn w czerwonych płaszczach z złotym herbem. Gwardziści, najemnicy i ludzie pustyni wydawali się mali jak dzieci przy tych olbrzymach. Ci żołnierze byli także znacznie bardziej podejrzliwi niż strażnicy przy poprzednich bramach. Kapitan, który stanął przed Aradem, wcale go nie lekceważył: wiedział, że zdrada i oszustwo mogą przybierać wszystkie formy i kształty.

– Czego tu szukasz, kapłanie? – Głos mężczyzny brzmiał jak warkot wilka. Złote pierścienie zdobiły jego palce i brodę. Na odsłoniętych fragmentach przedramion, między rękawicami a zbroją z zachodzących na siebie metalowych płytek, widniały liczne blizny. Pozostali strażnicy nadal czujnie obserwowali ludzi kręcących się w pobliżu pałacu, choć dwóch z nich spoglądało również na Arada. Wszyscy nosili długie maski ze splecionych gęsto metalowych ogniw, które nadawały im groźny, złowieszczy wygląd.

Pusztigban, mruknął Dahak, a Arad poczuł, że czarownik wycofuje się, wysuwa z jego świadomości. *Cesarscy gwardziści*. Arad skłonił się nisko przed kapitanem i rzekł:

– Kapitan straży przy Bramie Lwów powiedział, że znajdę schronienie

w gościnnym domu cesarzowych Azarmiducht i Purandocht. Jeśli zbłądziłem w swej pysze, natychmiast stąd odejdę.

Kapitan gwardzistów mruknął coś wymijająco i zmierzył kapłana taksującym spojrzeniem, niczym kupiec oglądający barana na targu. Arad wyczuwał doskonałą równowagę mężczyzny i natychmiastową gotowość do ataku.

– Ktoś może za ciebie poręczyć? – spytał kapitan. Arad nie mógł się nadziwić, że tak głęboki dźwięk może wydobywać się z ludzkiego ciała, nawet ciała o tak szerokiej piersi. – Oprócz tego pajaca przy zachodniej bramie.

– Nie, szlachetny panie. Dopiero wszedłem do miasta, nie znam tu nikogo.

Kapitan skinął głową i podrapał się po nosie. Chciał coś powiedzieć, lecz nagle z wnętrza pałacu dobiegł czyjś krzyk.

Arad odskoczył do tyłu i upadł na ziemię, w ostatniej chwili umykając przed ostrzem miecza, który wyciągnął kapitan gwardzistów. Jego ludzie obrócili się na pięcie, gotowi do walki.

Na schodach wylądował jakiś mężczyzna, wyrzucony z wnętrza budynku przez kolejnych dwóch gwardzistów. W odróżnieniu od tych, którzy strzegli wejścia na zewnątrz, nie nosił masek.

– Łaskawa i miłosierna cesarzowa Purandocht życzy ci miłej nocy, szlachetny Faridunie. Podziękuj jej za łaskawość i nie pokazuj się tu więcej; nikogo tu nie interesują rojenia szaleńca.

Arad wstał i otrzepał tunikę, przysłuchując się uważnie sarkastycznym słowom żołnierzy. Mężczyzna wyrzucony z pałacu podniósł się powoli z ziemi i odgarnął z twarzy długie zmierzwione włosy. Miał już dobrze ponad pięćdziesiąt lat, a jego twarz znaczyły głębokie zmarszczki, które wryły głód i życie pod gołym niebem. Jego ubrania były niegdyś bogate i eleganckie, lecz długie lata spędzone w drodze zamieniły je w połatane szmaty. Mimo to w oczach owego człowieka płonął żywy ogień, świadectwo nieprzeciętnej osobowości. Jego broda była zmierzwiona i przetkana gęsto siwizną, lecz w jego manierach i postawie widać było arystokratyczne pochodzenie.

– Będziecie krzyczeć w środku nocy! – zagrział głosem jeszcze niższym niż głos kapitała gwardzistów. – Istoty kroczące nocą nie boją się krzyków dzieci. Żywią się raczej strachem, rozrastają w ciemności. Byłem przed kilkoma dniami w wielkiej świątyni Ganzak: nie zostało z niej nic prócz garści popiołu. Słuchajcie mnie! Czy wiecie, co to oznacza dla ludzkiego plemienia?

Jeden z gwardzistów zszedł ze schodów i uderzył Fariduna w twarz. Mężczyzna zachwiał się i upadł na kolana. Krew pociekła strużką z rozcięcia na jego czole. Gwardzista stanął nad nim i przyglądał mu się groźnie, podnosząc rękę do następnego

ciosu.

– Ogień, który rozpałił świt świata, zniknął. – Faridun podniósł się na jedno kolano i spojrzał w twarz gwardzisty. – Bez niego wszystkie inne światła są blade i puste. Bij mnie, jeśli chcesz, ale posłuchaj mych słów. Zostało nam mało czasu.

Gwardzista wzruszył ramionami, odwrócił się i wszedł na schody. Kapitan obserwował w milczeniu, jak jego człowiek znika we wnętrzu pałacu. Podniósł lekko brwi i skrzyżował ręce na piersiach. Mężczyzna zwany Faridunem wstał powoli, krzywiąc się z bólu. Spojrzawszy po raz ostatni na potężne mury pałacu i kryształowe lampy przy wejściu do jego wnętrza, obrócił się i ruszył ku przeciwległej stronie placu.

Pójdziemy zanim... Dahak znów wsunął się w jego świadomość. Ale ostrożnie...

Arad posłusznie odwrócił się od pałacowych drzwi. Szedł wszędzie, gdzie kazał mu pan.

Czyżby to ten, który tak mnie prześladował? Arad czuł, jak czarownik przejmuje kontrolę nad jego członkami, zmusza go do biegu. Przeszli za Faridunem do niżej położonej dzielnicy miasta, przez alejki i ciemne przejścia między rozpadającymi się ceglanyymi budynkami. Teraz zatrzymali się w cieniu, obserwując, jak ich ofiara odpoczywa pod ścianą noclegowni. Na ulicy wałały się gnijące odpadki i pomyje, lecz przed wejściem do noclegowni płonąła cienka świeczka, zapraszająca gości do środka. Jeśli to rzeczywiście on, to naprawdę nisko upadł.

Pomimo wyraźnej satysfakcji, z jaką wypowiedział te słowa, czarownik wcale nie miał ochoty zbliżyć się do zmęczonego starego człowieka. Arad czekał cierpliwie w ciemności. Wreszcie Faridun odsunął się od ściany, pod którą odpoczywał, i sięgnął do sakwy u pasa. Nawet w bladym świetle świeczki Arad widział, że zostały mu jedynie dwa miedziaki.

– Mistrzu Faridunie?

Arad wszedł w krąg światła. Mężczyzna drgnął przestraszony i podniósł rękę, by ochronić twarz przed ciosem, opuścił ją jednak, ujrawszy biedne szaty i sandały kapłana.

– Nie obawiaj się! Jestem wędrowcem, jak ty, widziałem, jak potraktowano cię w pałacu. Jestem Arad.

Faridun uniósł nieznacznie brwi, słysząc to imię, uklonił się jednak.

– Witaj, mistrzu Aradzie. Pamiętam cię, stałeś przy strażnikach. Dlaczego postanowiłeś iść za mną w tę ciemną noc?

Arad oparł się na kiju podróżnym i wskazał głową na noclegownię.

– Przypuszczam, że moja sakwa jest równie pusta jak twoja. Pomyślałem, że wiesz, gdzie można tu tanio przenocować.

Faridun roześmiał się i rozluźnił nieco. Arad zbliżył się do niego i wyciągnął cztery miedziaki.

– Widzisz, to całe moje bogactwo. Wystarczy? Faridun skinął głową, całkiem już uspokojony.

– Na dziś z pewnością, przyjacielu. Chodź, zjemy tę wodnistą papkę, którą oni nazywają zupą.

– Mistrzu Faridunie? Twoje imię jest mi znane z ksiąg, które czytałem w naszej świątyni. Czy jesteś potomkiem tego wielkiego bohatera, czy też to tylko przypadek?

Faridun zatrzymał się na schodach, z ręką na zasuwie. W jego oczach pojawił się głęboki smutek.

– Jestem pięćset piętnastym właścicielem tego chwalebego nazwiska – powiedział. – Ale nie potrafię skakać z jednego szczytu góry na drugi, ani skręcać smokowi karku gołymi rękami. Czas rozrzedził krew w moich żyłach. Teraz jestem tylko naczyniem dziwnych snów i wizji, nie mam dość siły, by podnieść włócznię ognia przeciwko ciemności. – Faridun westchnął ciężko i opuścił głowę, jakby zawstydzony.

Dobrze, mruknął Dahak, wypełniając członki Arada swą siłą. Uczynił krok do przodu i położył dłoń na ramieniu Fariduna.

– Musisz odpocząć – powiedział, przemawiając głosem swego pana. – Zaśnij i zapomnij o złych snach.

Faridun zmarszczył brwi, zaniepokojony dziwnym tonem kapłana. Podniósł wzrok, lecz było już za późno. Dłonie Arada, wypełnione nienawiścią czarownika, zacisnęły się na gardle mężczyzny i zgniotły jego krtań. Faridun próbował się jeszcze bronić, wił się w uścisku kapłana, drapał jego twarz. Arad nie czuł niczego; ból był tylko odległym wspomnieniem. Podniósł swoją ofiarę nad ziemię. Rozległ się głuchy trzask i szlachetny Faridun, ostatni ze starego i szlachetnego rodu, znieruchomiał.

Cóż za cudowna niespodzianka! – rozbrzmiewał w umyśle Arada radosny głos czarownika. *Nigdy nie przypuszczałem, że to będzie takie łatwe!*

Arad przeniósł ciało Fariduna w boczną uliczkę i ułożył je łagodnie na ziemi. Odmówiwszy krótką modlitwę, złożył jego ręce na piersiach i zamknął mu powieki. Potem odszedł, starając się nie zwracać uwagi na głos czarownika paplający coś w jego głowie. Arad uspokoił umysł, starając się usunąć natłok pytań i domysłów ze świadomości. Nie zauważył, że świeczka przed drzwiami noclegowni zgasła.

Arad wrócił do drzwi pałacu, choć tym razem czarownik nie opuścił jego zmysłów, i przyjrzał się uważniej groźnym postaciom gwardzistów. Wartę pełnił ten sam poznaczony bliznami kapitan, choć na placu było już znacznie mniej ludzi.

Pogasła też większość ognisk, tylko dwa płonęły nadal dość jasno, by rozpraszać panujące na placu ciemności. Wcześniej Arad kupił w mieście arkusz pergaminu i kierując się wskazówkami czarownika, naniósł nań jakieś znaki. Choć znał dobrze sześć języków, nie miał pojęcia, co oznaczają owe kanciaste litery.

Kapitan uniósł brwi na jego widok, ze spokojem jednak przyjął arkusz pergaminu.

– Kiedy byłem tu poprzednio, panie, chciałeś, by ktoś za mnie poręczył. Mam nadzieję, że to wystarczy.

Kapitan przyjrzał się uważnie pismu, ujrzał tam jednak to, co spodziewał się ujrzeć.

– Wejdz, kapłanie, cesarzowe chętnie udzielą ci gościny.

Arad skinął głową i wszedł pod wielki kopulasty dach pierwszej komnaty.

Szlachetny Piruz siedział przed zachodnią bramą miasta na stołku o trzech nogach. Straż pełnili jego osobiści gwardziści, prawie stu dwudziestu ludzi w płytkowych zbrojach i paradnych hełmach, uzbrojonych w długie miecze i łuki. Piruz uważał swą służbę za zaszczytną – czyż nie była to brama miasta prowadząca do głównej arterii imperium? – i łatwą. Odkąd słońce zniknęło za masywem gór Zagros, przez bramę przeszedł tylko jeden obdarty kapłan. Obok stołka stał składany stół o miedzianych nogach i porfirowym blacie, na którym spoczywał srebrny czajniczek ozdobiony sceną polowania oraz małe porcelanowe filiżanki na herbatę. Piruz przyglądał węż, zastanawiając się, w co ma się ubrać następnego dnia, kiedy to miał stanąć przed cesarzowymi i złożyć im przysięgę wierności.

Przybył na dwór doskonale zaopatrzony, nie tylko z własnym oddziałem zaprawionych w bojach żołnierzy, ale też z jedwabiem, klejnotami i bogatymi strojami. Żadna z tych rzeczy nie nadawała się na prezent dla cesarzowych – mogły mieć wszystko, czego zapragnęły – ale on ich potrzebował, nikt bowiem nie mógł zaistnieć na dworze Rajskich Ptaków bez odpowiedniej garderoby. Piruz pozwolił sobie na uśmiech samozadowolenia, wiedział bowiem, że jest przystojny, mógł się też poszczycić naprawdę sporym majątkiem. Co prawda Balch leżał na wschodnich krańcach imperium – dworzanie z Ktezyfonu uważali, że to dzika kraina zaludniona jedynie przez Hunów – lecz Piruz wcale nie czuł się przez to gorszy. Teraz, gdy stolica legła w gruzach, a kraina między dwiema rzekami nawiedzona została przez powódzie, zarazem i głód, daleki Balch stał się nagle nie tylko największym miastem w imperium, ale i najbogatszym.

Uśmiechnął się ponownie i dotknął jedwabnego kaftana, który nosił pod zbroją. Tkanina miała czysty złoty kolor, niespotykany w zachodniej części imperium.

Chińscy kupcy, nazywali ją „rosą Zachodu”. Musiał wydać trzydzieści talentów srebra na skrawek materiału wystarczający do uszycia tuniki, ale tutaj, na zachodzie, albo jeszcze dalej, w miastach Rzymian, sprzedałby ją za sto, a może i więcej... Takie właśnie bogactwa przechodziły przez jego ręce.

– Panie! – Jeden z jego ludzi wskazywał na ciemną równinę leżącą na zachód od miasta. – Ktoś tu idzie.

Piruz wstał i położył dłoń na rękojeści szabli. Nikt nie mógł powiedzieć, że książe Balch jest nieuzbrojony lub nieprzygotowany do bitwy. Kraina leżąca nad Amudarią, choć bogata, nie należała do bezpiecznych. Upadek chanatu Gok Turk, który kontrolował ziemie od Fergany na wschodzie po lasy na zachodzie, tylko zdestabilizował sytuację w tym rejonie. Mieszkańcy Balch znali bitewny zgiełk, najazdy i nocne alarmy od dziecka. Ludzie księcia stanęli w szeregu przed bramą, dwa oddziały weszły do wnętrza, by w razie potrzeby natychmiast zatrzaskać ciężkie wrota. Książe zmrużył powieki, próbując przebić wzrokiem ciemności.

Na równinie migotało światło, zmierzające powoli w ich stronę.

Jeździec, pomyślał Piruz.

Po chwili w ciemności rozbłysło kolejne światło, zmierzające ku bramie wzdłuż drogi, potem jeszcze jedno. Chwilę później Piruz gwizdał na alarm, gdy równina ożyła nagle całą masą migocących świateł. Jedna wielka kolumna posuwała się drogą, dwie inne po obu jej stronach.

– Zamknąć bramę – zawołał Piruz, odsyłając swych poruczników za mury. Sam podszedł o krok i stanął na bruku między wieżami. Za jego plecami stanęli gwardziści ustawieni w ciasnym półkolu. Skrzydła bramy zatrzaskały się z hukiem, potem zagrzechotał łańcuch, na którym opuszczano żelazną sztabę blokującą drzwi. Piruz wyciągnął szablę z pochwy, oparł ją czubkiem o ziemię i położył dłonie na głównej. Nikt nie mógł powiedzieć, że książe Balch uciekł przed nieoczekiwanym gościem. Spodziewano się tutaj wielu wielkich *spabahadan*; nie chciał, by powitała ich tylko zatrzasknięta brama i grad strzał.

Z ciemności wynurzyły się pierwsze szeregi maszerującej w równych kolumnach piechoty, a migotliwe światła zamieniły się w oddział kawalerii. Na czele oddziału jechały dwie postaci dosiadające czarnych jak noc ogierów. Piruz zmrużył powieki, próbując dostrzec herb na ich sztandarach, było jednak zbyt ciemno. Jeźdźcy odziani byli od stóp do głów w lśniące zbroje w stylu *clibanari*, ich twarze zakrywały stożkowate hełmy z wąskimi szczelinami na oczy. Przy siodłach wisiały lance, łuki i ciężkie maczugi. Tymczasem dwie kolumny piechoty zatrzymały się około stu kroków od bramy i wyrównały szeregi.

Piruz przyglądał się przez moment ich uzbrojeniu: długim włóczniom i kwadratowym tarczom z drewna obciągniętego skórą i nabijanego ćwiekami.

Wszyscy ubrani byli w czarne szaty, ledwie widoczne w ciemnościach nocy, ksiązę widział jednak, że jest ich bardzo wielu.

Dwaj jeźdźcy prowadzący oddział kawalerii podjechali do krawędzi światła padającego z wież strażniczych. Zatrzymali konie i spojrzeli z góry na Piruza. Ksiązę był pod wrażeniem: ich konie prezentowały się nie gorzej niż najlepsze wierzchowce w jego księstwie, lśniące i czarne jak skrzydło kruka, wysokie i pięknie zbudowane. Podobnie jak szaty wojowników stojących na równinie, uprząż wierzchowców była czarna, niemal niewidoczna na tle ich ciemnej skóry.

– Witajcie, szlachetni panowie – przemówił Piruz spokojnym, a nawet wesołym tonem, choć być może stał w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

– Witaj, kapitanie bramy – odparł jeden z jeźdźców głosem emanującym siłą i pewnością siebie. Był to bez wątpienia dowódca tej armii – wysoki, szczupły, o gładko ogolonej bladej twarzy i ciemnych oczach. Jego koń, jakby świadom siły swego pana, stał w absolutnym bezruchu. Ciało jeźdźca okrywała lśniaca zbroja, wydawało się jednak, że nie ma przy sobie żadnego miecza ani łuku. – Przybyłem tu, by oddać hołd cesarzowym Azarmiducht i Purandocht. Powiedz mi, szlachetny kapitanie, czy mogę wjechać do miasta?

Piruz zmrzążył lekko powieki, dosłyszawszy w głosie nieznajomego nutę drwiny. Ale jeździec był uprzejmy i miał przewagę.

– Jest już późno, panie. Być może cesarzowe udały się już na spoczynek. Widzę też, że w mieście może zabraknąć miejsca dla twych ludzi. Poślaniec zanieś na dwór wiadomość o twoim przybyciu... Jak się nazywasz, panie?

Mężczyzna uśmiechnął się lekko i skłonił głowę, jakby uznając swój błąd.

– Wybacz, nie przedstawiałem się – rzekł. – Powiedz im, że przybył ich wuj, by złożyć im pokłon. Powiedz, że Rustam Parwiz chce im służyć pomocą w tych trudnych chwilach.

Piruz mimowolnie syknął ze zdumienia. Nie wiedział, że zmarły Chosroes Parwiz, Król Królów, miał brata. Była to naprawdę niezwykła wiadomość. Ukłonił się mężczyźnie siedzącemu na koniu i odwrócił do bramy. Wrota uchylły się lekko, a Piruz wsunął się szybko do środka.

– Natychmiast wyślij posłańca do pałacu – powiedział przyciszonym głosem. – Człowiek, który podaje się za wuja cesarzowych, podszedł z całą armią pod Bramę Lwów.

Gwardzista Piruza skinął głową, przyjmując rozkaz. Ksiązę odwrócił się ponownie do ludzi na koniach.

– Wybaczcie tę krótką zwłokę, szlachetni panowie. Zechcecie może usiąść i napić się ze mną herbaty?

Dahak uśmiechnął się uprzejmie i zeskoczył z konia. Jego wzrok wydawał się dziwnie odległy, jakby skupiony na jakichś odległych obrazach. Chadames stanął obok niego, potarł nos i rozejrzał się dokoła zaciekawiony. Minęło już sporo czasu od jego ostatniej wizyty w Ekbatanie. Niewiele się zmieniło od tamtej pory. Generał uśmiechnął się szeroko do strażników na murach miasta, ich twarze pozostały jednak nieruchome jak kamień. Chadames nie przypuszczał, by zabawili długo pod bramą; być może nawet nie musieli czekać na powrót posłańca.

Arad wszedł na szerokie schody. Po obu stronach schodów ciągnęły się szeregi brzuchatych kolumn podpierających kopulasty sufit z sześciokątnymi płytami z drewna cyprysowego. Pod ścianami płonęły liczne latarnie, choć pałac wydawał się już uśpiony. W obszernym holu na parterze widać było jeszcze ślady niedawnej uczt i hucznej zabawy; niewolnicy sprząтали naczynia, a na sofach i pod ścianami spali zmęczeni goście. Z pokojów oddzielonych od głównej sali zasłonami dochodziły głosy tych, którzy nie mieli jeszcze dość zabawy. Czujne oczy cesarskich gwardzistów były wszędzie. Kilkunastu potężnie zbudowanych mężczyzn trzymało straż przy schodach. Arad ponownie okazał pergamin i został przepuszczony.

Korytarz o ścianach ozdobionych kinkietami i płaskorzeźbami, przedstawiającymi sceny polowania i bitwy, zaprowadził go do innego holu. Tutaj podłoga wyłożona była ceglami pokrytymi na przemian srebrem i złotem. Arad rozejrzał się dokoła, zatrzymując na moment wzrok na jedwabnych zasłonach i marmurowych płytach. Ostentacyjny przepych i bogactwo tej sali miało być wyrazem potęgi imperium perskiego. Arad mimowolnie wrócił myślami do wspomnień, choć obiecywał sobie, że nie będzie tego więcej robił; przed oczami stanął mu obraz cichego ogrodu i smukłych alabastrowych kolumn. Dekoracja tamtego miejsca była równie kosztowna, emanowała jednak wyrafinowanym pięknem, wdziękiem i spokojem. To pomieszczenie wypełnione było nerwową energią i pychą.

Ale to miejsce wciąż trwa, wyszeptał głos czarownika, a tamto spokojne miasto leży w ruinach, wypełnione kośćmi zmarłych.

Arad pokręcił głową, próbując odegnać od siebie szydercze słowa czarownika i kryjącą się za nimi straszliwą rzeczywistość. Bez powodzenia. Przystanął, ujrawszy, że główne drzwi na końcu holu są zamknięte. Choć dobiegały zza nich jakieś głosy, wejścia nie strzegł żaden gwardzista. Arad poszedł bliżej i podniósł kij, by zastukać w cedrowe drzwi.

– Stój!

Arad odwrócił się powoli, słysząc ów głos i stukot sandałów o kamienną podłogę. Spieszył ku niemu niski, otyły mężczyzna w biało-karmazynowych szatach.

Pomarańczowa szarfa na ramieniu mężczyzny oraz bogato zdobiona laska w jego dłoni świadczyły o tym, że jest to jeden z kapłanów Ahura Mazdy, Władcy Wiecznego Ognia. Jego okrągła, czerwona z wysiłku twarz o krótkiej, przyciętej w szpic brodzie, wykrzywiona była gniewnym grymasem.

– Czego chcesz od Królowych Nieba o tak późnej porze?

– Wybacz, święty ojciec. Przybywam do cesarzowych z wiadomością od ich bliskiego krewnego. Choć spieszyłem tu ile sił w nogach, udało mi się dotrzeć dopiero teraz. Czy ktoś zechciałby zaprowadzić mnie przed oblicze cesarzowych?

Kapłan wyprostował się dumnie i postukał laską o podłogę.

– Nikt, nawet inny kapłan, nie może stanąć przed obliczem ich wysokości bez mego pozwolenia. Czasy są niebezpieczne i musimy zachowywać wszelkie środki ostrożności. Jeśli ja wyrażę na to zgodę, będziesz mógł – być może – ujrzeć blask ich cesarskich mości.

Arad uśmiechnął się lekko. Czarownik cofnął się w głąb jego umysłu, lecz Arad słyszał wyraźnie jego szyderczy śmiech.

– Oczywiście – odrzekł, przyglądając się pulchnemu kapłanowi z zainteresowaniem. – Rób, co do ciebie należy.

Kapłan wciągnął głośno powietrze i zmarszczył brwi, koncentrując się. Arad czuł, jak wzory siły w holu drżą i przesuwają się. Sługa Ahura Mazdy przywoływał moc. Jeszcze raz zaczerpnął głośno powietrza, a potem obu mężczyzn otoczyła lśniąca kula światła. Przez moment Arad czuł, jak smuga myśli łącząca go z czarownikiem słabnie i wygina się, naciskana przez tarczę. Iskra nadziei w jego sercu zgasła jednak natychmiast, gdy czarownik przesunął smugę myśli poza fazę tarczy, którą przywołał mały kapłan.

– Dysponuję mocą... – wydyszał sługa światła, nakreślając w powietrzu jakiś znak. – Wyczuwam zagrożenie, nienawiść i fałsz.

Znak zawieszony w powietrzu buczał cicho. Arad przyglądał mu się z rosnącym zainteresowaniem: była to podstawa zaklęcia podobieństwa wyrażona w języku, którym przemawiał czarownik w jego umyśle i którego używał, zadając innym cierpienie i śmierć. Po chwili mały kapłan odsapnął i wypuścił głośno powietrze z płuc. Znak zaklęcia zniknął, a po nim także lśniąca powierzchnia tarczy. Arad uniósł lekko brwi, widząc krople potu na czole mężczyzny.

– Widzę, że kosztuje cię to sporo wysiłku – rzekł. Kapłan Ahura Mazdy był silny, lecz jego umiejętności i doświadczenie mizerne. Wysiłek, jaki włożył w to zaklęcie, powinien był zabić wszystkich złoczyńców w pałacu i otaczających go budynkach. On jednak nie znalazł niczego, a przywołana przezeń siła spłynęła po tarczy Dahaka niczym woda po kamieniu. – Dobrze się czujesz?

Kapłan wyjął z kieszeni kolorową chusteczkę i otarł nią czoło.

– Wszyscy, którzy służą ich wysokościami, muszą poświęcić im się bez reszty. Widzę, że nie chcesz wyrządzić im krzywdy, więc poinformuję czcigodne cesarzowe o twoim przybyciu. Masz jakiś list polecający lub poręczenie?

– Tak, święty ojcie. – Arad podał kapłanowi arkusz pergaminu. – Nazywam się Arad.

Mężczyzna skinął głową i wziął dokument, nawet na niego nie spoglądając. Nie zamierzał się też przedstawiać. Otworzył drzwi, a z wnętrza ukrytej za nimi komnaty wypłynęły dźwięki fletów i lir oraz ludzkie głosy i śmiech. Potem kapłan zniknął, a drzwi zatrzasnęły się za nim z trzaskiem.

Krzywdą? Dahak wsunął się z powrotem w umysł Arada, ogromnie z siebie zadowolony. Przez moment kapłan widział przepływające obok budynki i słyszał stukot końskich kopyt. Darzę me bratanice wielką miłością, więc dlaczego miałbym wyrządzać im krzywdę? Żałuję, drogi Aradzie, że nie mogłem właściwie potraktować tego robaka... Później przekonam się, jak smakuje jego szpik.

Drzwi otworzyły się ponownie znacznie szybciej, niż spodziewał się tego Arad. Mały kapłan wysunął głowę na korytarz i przywołał go do siebie. Arad wszedł, stukając kijem o podłogę z turkusowego marmuru. Uniósł lekko brwi, zaskoczony otaczającym go przepychem.

Ściany pięciokątnej komnaty miały około ośmiu łokci wysokości i pokrywały je ułożone na przemian płyty z jasnego i ciemnego drewna. Lampy z kolorowego szkła rzucały ulotny wielobarwny blask na mężczyzn i kobiety zgromadzonych w komnacie. Pośrodku sali, na niewielkim podwyższeniu, stały dwa trony ze złota. W ciągu dnia lśniły blaskiem słońca, wpadającym do wnętrza przez wysokie trójkątne okna. Arad podszedł do dywanu z gronostajów leżącego przed tronami i zasiadającymi na nich kobietami. Uklęknął i pokłonił się nisko, dotykając czołem podłogi.

Jesteś urodzonym dworzaninem, drogi Aradzie, drwił czarownik, choć myślami był gdzie indziej, na koniu wspinającym się drogą na pałacowe wzgórze. Kapitan przy Bramie Lwów nie był w stanie opierać się długo sile przekonywania Dahaka.

– Wstań – rozbrzmiał ospały głos, a Arad posłusznie podniósł się z klęczek, spoglądając na dwie młode kobiety, które rządziły tą rozległą i dziwną krainą. Po lewej siedziała księżniczka Azarmiducht, odziana w lśniący purpurowy jedwab. Jej dłonie i szyję zdobiły liczne klejnoty, a paznokcie pobłyskiwały czerwonym lakierem. Podobnie jak jej matka, cesarzowa Maria, miała pociągłą twarz o wyrazistych rysach i kształtnym greckim nosie. Nie była klasyczną piękną, lecz ogień płonący w jej oczach i wydatny biust przyozdobiony ametystami, rubinami i topazami

rekompensowały inne niedostatki urody. Włosy księżniczki kryły się pod lśniącą koroną z białego złota i maleńkich pereł. Niemal całą jej twarz, oczy i usta pokrywały starannie dobrane i nałożone farby. Arad pokłonił się przed nią nisko.

– Chwała niech będzie twemu imieniu, Jasności Świata.

Po prawej siedziała Purandocht, jej siostra bliźniaczka, choć Arad zauważył, że oczy tej księżnej były zielone. Purandocht także przystrojona była ogromną liczbą różnobarwnych klejnotów. Obie księżniczki siedziały w swobodnych pozach, Arad wyczuwał jednak strach bijący od dworzan i arystokratów zasiadających w komnacie. Pokłonił się nisko przed drugą księżniczką i wstał, mówiąc:

– Chwała niech będzie twemu imieniu, Płomieniu Wschodu.

Sługa klęczący na stopniu przed tronem Azarmiducht trzymał w dłoniach pergamin Arada. Księżniczka niemal niedostrzegalnie skinęła dłonią.

– Przynosisz nam wieści o naszym wuju, kapłanie? – Miała mocny głos, choć trudno byłoby nazwać go melodyjnym. – Przyznam, że jesteśmy zaskoczone, bo od wielu lat nie miałyśmy odeń żadnych wieści. Byłyśmy przekonane, że nie żyje albo też przepadł gdzieś na krańcu świata.

– Tak – dodała Purandocht, niemal wpadając siostrze w słowo. – Cóż go sprowadza na nasz królewski dwór? – Uśmiechnęła się, choć trudno było dostrzec zarys jej ust obwiedzionych henną.

– O Korony Niebieskiego Firmamentu, wasz szlachetny wuj słyszał, że jakiś intruz rości sobie prawa do tronu waszego ojca. Przybywa tu, by wspomóc was swym silnym ramieniem i odzyskać należne wam patrymonium.

Arad uklonił się ponownie, omal nie dotykając czołem podłogi, wiedział bowiem, że tego wymaga odeń dworska etykieta. Słyszał, jak dokoła podnoszą się podniecone szepty i szelesty. Dworzanie budzili tych, którzy zasnęli podczas uczty. Przechodząc od drzwi do tronu, Arad nie miał okazji rozejrzeć się dokładniej po sali, wiedział jednak, że nie ma na niej żadnego z wielkich *spahadan*. Najsilniejsi włodarze tej krainy czekali, by przekonać się, czy cesarzowe zgromadzą jakąkolwiek armię.

Azarmiducht zmrużyła oczy i pochyliła się do przodu, pobrzękując lekko biżuterią.

– Jak silne jest to ramię? Czy dowodzi czymś więcej niż garstką najemników? Jeśli mnie pamięć nie myli, nikt nie widział go prawie od dwudziestu lat.

Arad uśmiechnął się gorzko, słysząc te zuchwałe słowa. Wkrótce siostry miały przekonać się, jak wielką siłą dysponuje Dahak.

– O Światło Wschodzącego Słońca, wasz wuj nadciąga z armią dwudziestu tysięcy ludzi, gotowych oddać za was życie.

W całej komnacie podniósł się szum, słychać było głosy pełne niedowierzania

i strachu. Klęska nad rzeką Kerenos i nieudane kampanie króla Chosroesa pozbawiły Persję ludzi i środków do prowadzenia wojny. Niegdyś każdy spośród wielkich książąt Persji mógł zebrać armię liczącą dwadzieścia tysięcy ludzi, teraz jednak była to naprawdę znaczna siła. Purandocht otworzyła usta, po czym rozmyśliła się i spojrzała pytająco na swoją siostrę.

Azarmiducht przyjęła słowa Arada lekkim uniesieniem brwi, potem zaś spytała:

– I kiedyż to, kapłanie, możemy oczekiwać przybycia naszego wuja? Arad wstał, zostawiając swój kij na podłodze, a potem spojrzał w oczy obu królowych.

– Za kilka chwil, Błogosławiony Płomieniu, Który Nie Umiera. Przyniosłem wam tę wieść wcześniej, by jego przybycie nie wywołało niepotrzebnego zamieszania, strachu lub nieprzemyślanych słów. Wasz wuj prosił mnie także, bym przekazał wam te znaki miłości, jaką was darzy.

Arad wyjął z szat paczkę owiniętą złotogłowie i wszedł na stopnie podwyższenia. Gwardziści stojący za tronami królowych sięgnęli do swych mieczy. Purandocht zerknęła na ich kapitana i pokręciła lekko głową. Arad uklęknął u ich stóp, z trudem powstrzymując się od kichania. Księżniczki otaczała gęsta chmura mirry i różanego pyłu. Powoli rozwinął paczkę, rozwiązując najpierw jedwabną wstążkę, a potem podnosząc przed oczy cesarzowych dwie cienkie bransoletki ułożone na srebrnej siatce.

Purandocht drgnęła, zaskoczona, i zakryła dłonią usta. Jej siostra zacisnęła mocno palce na oparciu tronu, a z jej ust wydobył się gniewny syk.

– Skąd...? – spytała tylko Azarmiducht, nie mogąc wydobyć głosu ze ściśniętego gardła.

Arad rozdzielił bransolety, układając jedną na złotogłowie, drugą zaś na srebrnej siatce. Potem odwrócił się do Azarmiducht i podniósł jedną bransoletę.

– W ostatnich dniach swego życia wasza matka oddała to pod opiekę waszego wuja. Prosiła, by wam to oddał, gdy jej mąż, wasz ojciec, odejdzie z tego świata. Rustam nie chciał się zgodzić, uważał bowiem, że powinno to trafić prosto do was, o czcigodne królowe, ale ona nalegała. Teraz oddaje wam te bransolety jako znak miłości waszej matki i jego własnej. Proszę, pani, przyjmij ten dar, jak pragnęła tego wasza matka.

Arad buntował się we wnętrzu swego umysłu, wyzywał się od tchórzy, nie mógł jednak powstrzymać rąk, które wsunęły delikatną bransoletkę na nadgarstek księżniczki. Azarmiducht siedziała jak skamieniała, wpatrując się w swą rękę opasaną wąską wstęgą białego złota wysadzanego szmaragdami. Przez krótką chwilę Arad mógł zajrzeć do serca księżniczki i poczuć ogromny ciężar długo tłumionej miłości. Wola czarownika nie pozwoliła mu zapłakać nad własną słabością, gdy odwrócił się i wsunął drugą bransoletę na rękę Purandocht. Zielonooka księżniczka płakała, łzy

żłobiły głębokie bruzdy w warstwie białej farby pokrywającej jej twarz.

– Wasz wuj prosił mnie także, bym przekazał wam te słowa. – Arad zniżył głos do szeptu, by nie usłyszał go nikt poza dwiema młodymi kobietami. – Leżąc na łożu śmierci, wasza matka powiedziała mu, że wielce was kochała i była z was dumna. Żałowała ogromnie, że tak długo okazywała wam tylko chłód, ale to było konieczne. Musiała dać wam siłę, przygotować na ten właśnie dzień, kiedy to stałyście się cesarzowymi. Na ten dzień zachowała też te bransolety, byście wiedziały, jak bardzo was kochała.

Arad usłyszał szelest otwieranych drzwi i wstał, ujmując dłonie obu księżniczek. Teraz płakała także Azarmiducht. Purandocht z trudem chwyciła powietrze, czując jak długie lata gorzkiej nienawiści, którą żywiła do swej matki, znikają pod falą ogromnej miłości. Tymczasem w piersiach Arada wzbierała coraz większa nienawiść i obrzydzenie do czarownika i jego metod. Mimo to pomógł księżniczkom wstać z tronów.

Do komnaty wszedł Dahak. Za nim postępował Chadames oraz kilkunastu gwardzistów. Czarownik odziany w lśniącą zbroję, z włosami ściągniętymi do tyłu i zaróżowionymi od jazdy policzkami, przeszedł przez całą komnatę i uklęknął przed księżniczkami.

– Umiłowane bratanice, minęło tyle czasu. Byłyście jeszcze maleńkie, kiedy widziałem was po raz ostatni.

Jego głęboki, przywykły do rozkazywania głos wypełnił serca wszystkich obecnych w komnacie nadzieją. Dahak podniósł wzrok, spoglądając w zapłakane oczy księżniczek. Arad wycofał się za złote trony, uwolniony na chwilę z więzów woli jego pana. Dahak przytulił mocno obie kobiety i pochylił ku nim głowę, szepcząc coś do ucha każdej z nich. Azarmiducht chlipała cicho, widząc w oczach czarownika miłość, uczciwość i akceptację.

W tym świetle, pod tymi lampami, twarz czarownika przypominała do złudzenia oblicze zmarłego króla.

ROMA MATER

Wóz toczył się powoli między hałdami śmieci wyższymi od piętrowego domu. Droga biegła po nasypie wzmocnionym ciasno ułożonymi kamieniami. Krista drzemała, oparta o postrzępioną poduszkę wciśniętą za oparcie siedzenia woźnicy. Czarny kotek spał na jej piersiach, zwinięty w ciasny kłębek. Miasto było już bardzo blisko, o czym świadczyły kłęby dymu przesłaniające niebo i gorzki posmak w powietrzu. Droga prowadziła prosto z doliny, którą przed chwilą opuścili, do bram miasta. Po lewej stronie wznosiła się wielka sterta rozbitych dzbanów, słoików i amfor, po prawej zaś hałdy zniszczonych mebli, uszkodzonych dachówek, popękanych cegieł i rozbitych beczek. Nad tymi górami śmieci unosiły się słupy czarnego dymu wypływające ze świątyń pogrzebowych i obozowisk włóczęgów.

Mimo że większość śmieci produkowanych przez miasto wywożono do portu na barkach, które wracały tam po kolejne transporty różnych towarów, wysypisko pod murami stolicy było naprawdę olbrzymie. Niemal bez ustanku unosiły się nad nim wielkie stada ptaków, które czasem przesłaniały nawet słońce.

Krista trzymała dłoń we wnętrzu swej torby, zaciskając dłoń na rękojeści taniego żelaznego noża. Woźnica był gburowatym mężczyzną o czarnej brodzie i ponurym obliczu. Wziął od niej pieniądze i pozwolił jechać ze sobą, ciągle jednak zerkał na nią kątem oka. Krista, choć zmęczona, nie spała. Nawet teraz, gdy ledwie przymknęła powieki, wóz zaczął zwalniać. Otworzyła jedno oko, oceniając dystans dzielący ją od Bramy Appia. Nie więcej niż mila, uznała. Mogłabym wysiąść i dojść na piechotę.

Przeciągnęła się, ziewając, i usiadła prosto. Woźnica odsunął szybko rękę z nad jej kolana. Krista obdarzyła go przeciągłym spojrzeniem, a potem odwróciła wzrok. Ze wschodu nadciągały gęste chmury, które mogły zwiastować deszcz. Krista zadrżała, żałując, że nie wzięła grubszego płaszcza. W Rzymie bywało czasem bardzo zimno, nawet latem. Wóz zaczął się kołysać na wszystkie strony, gdy przejeżdżał przez gorzej utrzymany fragment drogi. Krista wsunęła kota do torby, ignorując jego piskliwe protesty.

Kątem oka dojrzała jakiś ruch na pobliskiej stercie rozbitych naczyń. Jakiś mężczyzna w brudnych biało-brązowych szatach wspinał się na nasyp drogi. Jego twarz i dłonie owinięte były brudnymi szmatami. Krista wyjęła nóż z torby i obróciła się w miejscu. Woźnica, zaniepokojony jej zachowaniem, obejrzał się za siebie. Zza hałdy po drugiej stronie drogi wychyliło czterech kolejnych mężczyzn, którzy biegli w stronę wozu. Woźnica krzyknął przerażony i smagnął woły batem.

Krista zeskoczyła z wozu i opadła na drogę, uginając nogi w kolanach. Cały czas przyciskała mocno do piersi worek z czarnym kotkiem. Czterej mężczyźni wbiegli już

na drogę i ruszyli w jej stronę, ignorując zupełnie wóz. Ich przywódca krzychał coś, lecz szmaty zakrywające mu twarz skutecznie tłumiły głos. Krista podbiegła do mężczyzny, który przed momentem wspiął się na drogę. Pochylał się właśnie, by otrzepać tunikę, kiedy dziewczyna wyprowadziła szerokie kopnięcie z półobrotu i trafiła go prosto w głowę.

Mężczyzna krzyknął i zachwiał się, czyniąc krok do tyłu. Dziewczyna przeskoczyła nad krawędzią drogi i wylądowała na nasypie, wzbijając przy tym fontanny kurzu. Mężczyzna oszołomiony kopniakiem przewrócił się do tyłu, stoczył z nasypu i wylądował w stercie połamanych wiklinowych koszy. Krista była już na dole i biegła co sił w nogach, lawirując między hałdami odpadków.

Jeden z czwórki mężczyzn na drodze zaklął szpetnie i uderzył pięścią w udo.

– Krista! – zawołał ponownie, przykładając dłonie do ust, lecz dziewczyna już zniknęła.

Było już dobrze po zachodzie słońca, kiedy Krista weszła w końcu do miasta. Po niemilej przygodzie na Via Appia przeszła między górami śmieci do sąsiedniej bramy, dostrzegła jednak jakieś podejrzaną postacie kręcące się w pobliżu wież strażniczych. Siedziała w cieniu rozbitych posągów niemal przez dwie godziny, nim przy bramie pojawił się jeden z obszarpanych mężczyzn, których widziała już przedtem, i powiedział coś do stojących tam obserwatorów. Dziewczyna nie czekała dłużej, lecz ruszyła niespiesznym krokiem na wschód. Rzym miał wiele bram, lecz jak się wkrótce przekonała, wszystkie znajdowały się pod obserwacją. Mogła zaryzykować i spróbować przemknąć się przez którąś, licząc na nieuwagę obserwatorów, nie miała jednak pewności, czy w pobliżu nie czekają już mężczyźni w łachmanach.

Gdy nad miastem zapadł zmrok, nakarmiła kota resztką wędzonej ryby z Herkulanum. Siedziała w cieniu muru przy wschodniej części miasta, w miejscu, gdzie zwykle umocnienia łączyły się pod kątem z fragmentem trzypoziomowej kolumnady wypełnionej ceglami i betonem. Zza tego dziwacznej fragmentu muru w ciągu dnia dobiegał zgiełk dzielnicy Asinaria, teraz jednak, gdy ludzie zamykali już sklepy i stragany i rozchodzili się do swoich domów, robiło się coraz ciszej. Mały kot buszował w trawie pod murami, szukając myszy. Dziesięć stóp dalej w zagłębieniu murów osadzona była żelazna brama. Krista przekonała się już, że jest zamknięta na klucz, czuła jednak również zapach moczu na ceglach po obu stronach furtki.

Dziewczyna dobrze знаła tę okolicę; wiedziała, że zamurowana kolumnada to zewnętrzna ściana dużego amfiteatru Castrense, włączona przed laty w zewnętrzne mury miasta. W ciągu dnia wystawiano tu spektakle przeniesione z innych teatrów,

organizowano też różnego rodzaju uroczystości państwowe i religijne, wieczorem zaś wynajmowano go na prywatne przyjęcia. Nawet zza wysokiej i grubej ściany docierały do niej dźwięki cymbałów i rozbawione głosy gości. Czarny kotek przybiegł do niej i trącił ją nosem w rękę. Krista uśmiechnęła się i otworzyła dłoń. Nie miała już ryby. Kot westchnął i wskoczył jej na kolana. Dziewczyna siedziała cicho, czekając, aż nadmiar wina przyniesie nieunikniony efekt.

Krista z drżącym sercem przemykała się wzdłuż uliczki na tyłach willi księżnej. Pomimo twardych rządów cesarza Galena Rzym po północy nadal był niebezpiecznym miejscem, pełnym złodziei i morderców. Miasto było po prostu za duże i mieszkało w nim zbyt wielu cudzoziemców, by można je było należycie kontrolować. Droga na Kwirynał zajęła Kriście niemal trzy godziny, w końcu jednak stanęła pod tylną bramą, zmęczona całodzienną podróżą. Na szczęście księżna przyjmowała gości o bardzo różnych porach dnia i nocy, więc zawsze ktoś czuwał przy drzwiach.

Zastukała ręką nożem w furtkę i czekała cierpliwie. Po chwili zgrzytnęła odsuwana klapka wizjera, a w otworze pojawiło się zaspane niebieskie oko, które otworzyło się szerzej na widok Kristy. Dziewczyna skłoniła lekko głowę i warknęła cicho:

– Wpuść mnie.

Była bardzo zmęczona i bardzo brudna. Gdy tylko usłyszała zgrzyt odciąganej zasuw, sama pchnęła drzwi i weszła do środka. Strażnik chciał coś powiedzieć, lecz Krista podniosła rękę, uciszając go.

– Później, Macrusie, później, kiedy już się wykąpię i wyśpię. Och, co stało się z twoim okiem?

Wartownik, mężczyzna o grubych jak konary ramionach i potężnym karku, miał na głowie bandaż zakrywający jedno oko. Otworzył usta, by jej odpowiedzieć, Krista zignorowała go jednak i przeszła dalej.

– Nieważne, opowiesz mi o tym jutro. Sama znajdę księżną. Oddaliła się w głąb domu, gnana myślą o gorącej kąpieli i łóżku z czystą pościelą. Macrus pokręcił głową z rozbawieniem i zamknął bramę.

Krista zbiegła po schodach prowadzących do sali ćwiczeń i łaźni. Pod pachą trzymała płaszcz zwinięty w ciasny tobolek i worek z kotem. Na niższym poziomie skręciła w lewo, do okrągłego atrium, skąd zamierzała przejść do sąsiednich pomieszczeń z wannami wpuszczonymi w marmurową podłogę, zatrzymała się jednak zaintrygowana brzękiem stali. Po prawej stronie sali gimnastycznej znajdował się niewielki plac do ćwiczeń, wysypany piaskiem i obwiedziony kolumnami. Krista

podkradła się bliżej i stanęła za jedną z kolumn. Na akantowych kapitelach płonęły zamknięte w brązowych uchwytach lampy, oblewające prostokąt piasku równym ciepłym blaskiem.

Na środku placu stała Thyatis z mieczem w dłoni, ubrana tylko w krótką spódniczkę i bawełniane *strophium* podtrzymujące piersi. Długie włosy dziewczyny spięte były w kok i ułożone z tyłu głowy. Jej skóra lśniła od potu, maleńkie srebrne krople opadały szerokim łukiem na piasek, gdy ruszała do kolejnego ataku. Jej przeciwnikiem był Nikos, także ubrany jedynie w przepaskę biodrową. Ich miecze wirowały w szalonym tańcu, uderzały o siebie z brzękiem. Thyatis odskoczyła do tyłu, próbując wytrącić broń z dłoni Nikosa, ten jednak nie dał się zaskoczyć i przeszedł do ataku, mierząc ostrzem w wewnętrzną część jej ręki. Dziewczyna zablokowała uderzenie i obróciła się w miejscu, chcąc przepuścić go obok siebie. Nikos w porę wyhamował i wyprowadził uderzenie łokciem z półobrotu.

Thyatis odchyliła się do tyłu, unikając ciosu i uderzając jednocześnie mieczem w gardło przeciwnika. Hir w ostatniej chwili sparował cięcie. Przez chwilę zwarli się w bliskim starciu, wymieniając całą serię pchnięć, ciosów i cięć, by wreszcie odsunąć się od siebie i zaczerpnąć powietrza. Echo uderzeń wygasło pod wysokim kopulastym sufitem. Łysa głowa Nikosa i jego nagie piersi błyszczały od potu. Krista pokręciła głową z niedowierzaniem: oboje zachowywali się jak opętani.

– Wystarczy – rozległ się nagle głęboki, zmysłowy kontralt księżnej. Krista drgnęła zaskoczona, ujrawszy księżną wychodzącą spomiędzy kolumn po drugiej stronie placu. Anastazja wydawała się bardzo zmęczona. Była ubrana w prostą suknię, włosy miała spięte w zwykły kok, a jej twarz okrywała wyjątkowo gruba warstwa makijażu. Krista oblizwała nerwowo usta: jej pani miała jakiś poważny problem.

– W ten sposób tylko się zmęczycie, a umiejętności wam nie przybędzie – rzekła księżna ze znużeniem, wchodząc na wysypany piaskiem prostokąt. Tuż za nią szła drobna blondynka. Krista uniosła lekko brwi, widząc swą następczynię. Zauważyła, że dziewczyna zerka raz po raz na Nikosa, i uśmiechnęła się pod nosem. Hir wycierał twarz ręcznikiem, schowawszy swój miecz do starej, wytartej pochwy. Jego muskularne ciało, osłonięte tylko fragmentem mokrej od potu tkaniny, z pewnością mogło pobudzać wyobraźnię młodej dziewczyny.

– Musimy jak najwięcej trenować – odparła Thyatis z posępną miną. – Wszyscy obrastamy tu tłuszczem.

Anastazja skinęła głową i podała jej ręcznik. Młoda kobieta uśmiechnęła się w odpowiedzi i zaczęła wycierać wilgotną twarz i ramiona. Mała blondynka podeszła do Nikosa, by zabrać jego ręcznik. Hir wyszczerzył do niej zęby, a niewolnica

zgromiła go spojrzeniem i uciekła za plecy swej pani.

– Wiem. – Księżna westchnęła, pocierając skronie. – Moi ludzie muszą najpierw odnaleźć księcia, więc do tego czasu możemy tylko czekać i trenować. Zniknął nam z oczu, nim dotarł do Kurne, ale moi agenci przeczesują całą okolicę. To tylko kwestia czasu.

Krista przełknęła niepewnie i wyszła spomiędzy kolumn. Czarny kot wystawił łepkę z torby, rozglądając się dokoła z zainteresowaniem.

– Pani? – Wszyscy obecni w sali odwrócili się w jej stronę, Krista jednak patrzyła tylko na księżną. Na jej twarzy malowało się najpierw niedowierzanie, potem zdumienie, a wreszcie – co najważniejsze – radość. – O jakim to księciu rozmawiacie?

Poranne słońce wypełniło ogród złotym blaskiem, który kładł się także na drewnianym stole i otaczających go krzesłach. Służący rozłożyli na zewnątrz płócienny dach, by osłonić przed słońcem księżną. Mgła zalegająca nad miastem poprzedniego dnia zniknęła, przegnana przez chłodną bryzę, Rzymianie mogli więc cieszyć oczy widokiem pięknego błękitnego nieba i słuchać śpiewu ptaków ukrytych w koronach drzew.

Szkoło na stole zabrzęczało cicho, gdy Krista odstawiła pusty puchar, z którego piła sorbet. Położyła się spać bardzo późno, rozgrzana cudownie gorącą i długą kąpielą. Miała jeszcze w pamięci ciepły uścisk księżnej i jej czułe słowa. Stół zaściewały resztki obfitej kolacji; kawałki świeżego chleba, pocięte na plastry owoce i mięsiwa, świeże granaty i kieliszki z lekkim słodkim winem. Krista odchyliła się do tyłu i oparła głowę na poduszkach. Była bardzo zmęczona, szczególnie że ostatnie trzy godziny spędziła na opowiadaniu o tym, co przeżyła podczas długiej nieobecności.

Księżna trzymała ją mocno za rękę, a jej twarz ściągnięta była grymasem bólu. Cień ukryty na dnie jej oczu pogłębiał się w miarę, jak Krista opowiadała o kolejnych etapach podróży na wschód – o pracach wykopaliskowych w Rzymie i Konstantynopolu, o locie wielkiej Machiny do Persji, o bitwie w podziemnych kryptach Dastagirdu, o otwarciu grobowca ze złota i ołowiu. Wszyscy słuchali jej w skupieniu, przerażeni i zafascynowani zarazem. Nawet teraz, w pięknym słońcu poranka, Krista wyczuwała ich przygnębienie. Jej opowieść wywarła szczególne wrażenie na Thyatis, która od dłuższego czasu ostrzyła miecz. Zgrzyt osetki o metal najwyraźniej ją uspokajał, działał jednak na nerwy wszystkim pozostałym.

Krista przyglądała się księżnej uważnie. Nie opowiedziała jej wszystkiego, ba, przedstawiła tylko ogólny zarys całej historii, wiedziała jednak, że Anastazja

dopowiedziała sobie całą resztę, że domyśliła się w jakiś sposób, czym jest klątwa, która pchnęła księcia do wszystkich tych czynów. Księżna westchnęła ciężko i powoli wypuściła z uścisku dłoni Kristy, a potem oparła rękę na ramieniu siedzącego obok mężczyzny, jakby szukając u niego oparcia. Krista zmarszczyła brwi – do tej pory księżna nie szukała pomocy ani wsparcia u żadnego mężczyzny. Ten barbarzyńca mógł się podobać – był wysoki i muskularny, miał szlachetną twarz i nienaganne maniery – lecz Krista mu nie ufała.

W komnacie przebywało wielu pobratymców tego człowieka, a Krista zastanawiała się, co stało się z bandą wesołych opryszków, którzy służyli przedtem pod komendą Thyatis. Wiele zmieniło się pod jej nieobecność! Wyglądało na to, że ci barbarzyńcy czuli się tutaj jak u siebie w domu i bez skrępowania pochłaniali jedzenie i napitki księżnej.

– Znamy więc wreszcie całą prawdę – przemówiła Anastazja, siadając prosto. W jej głosie pojawiła się nuta dawnej pewności siebie i energii, która pozwoliła jej tak wiele osiągnąć. – Wiemy, czym jest istota, z którą walczyliście w domu na wzgórzu. Wiemy, do czego zmierza książę i kto mu w tym pomaga.

– Wiemy też, gdzie mieszka. – Thyatis pochyliła się do przodu i oparła głowę na rękach. Przez chwilę patrzyła na twarze zgromadzonych w komnacie ludzi, na Nikosa, Anagatiosa, Jusufa, Kristę, by wreszcie zatrzymać spojrzenie na księżnej. – Nadal jednak nie rozumiem kilku rzeczy. Dlaczego książę gotów był poruszyć niebo i ziemię, by odnaleźć ciało tego Greka. Dlaczego trzyma wszystko w tajemnicy? Co zamierza teraz zrobić? Jaki związek ma z tym wszystkim cesarz?

Krista spojrzała śmiało w oczy rudowłosej kobiety, nie wiedziała jednak, jak mogłaby jej odpowiedzieć, by nie narazić tym samym wszystkich zgromadzonych na wielkie niebezpieczeństwo.

– Uważam – odezwała się wreszcie księżna, przerywając niezręczną ciszę – że książę chce skrzywdzić cesarza.

– Ale... – Thyatis umilkła, gdy księżna podniosła przybraną klejnotami rękę.

– Jest tutaj kilka spraw, o których nie będziemy rozmawiać. Wystarczy, że wiemy to, co podejrzewaliśmy już wcześniej; że książę wszedł na drogę zła i że trzeba się z nim rozprawić.

Thyatis skrzywiła się lekko i spojrzała na księżną znad złączonych palców.

– Chcesz pojmać księcia żywcem, czy go zabić? Co myśli o tym cesarz?

Krista uśmiechnęła się pod nosem, widząc, że i rudowłosa kobieta nabrała pewności siebie. Przez chwilę księżna i Thyatis mierzyły się spojrzeniami. Wreszcie księżna skinęła lekko głową i spojrzała w bok, jakby szukając tam kogoś. Nikt jednak nie stał za jej krzesłem.

– Cesarz nic o tym nie wie – rzekła Anastazja zmęczonym głosem. – Uważam, że

należy księcia zgładzić. Jeśli los się do nas uśmiechnie i zdołamy go ująć żywego, oddam go w ręce cesarza. Obawiam się jednak, że dysponuje teraz zbyt wielką mocą, by dał się łatwo pojmać. Zakładam więc, że zostanie zabity, a jego ciało spalone na popiół, który wrzucimy do morza.

Krista zadrżała, usłyszawszy słowa, które sama powtarzała w myślach przez trzy ostatnie dni. Nagle stanęła jej przed oczami twarz księcia, jego ciemnobrązowe oczy, rozchylone w uśmiechu usta, wspomnienie nocy, gdy leżeli przytuleni do siebie w splątanej pościeli. Widziała jego bladą, zakrwawioną twarz w krypcie magów, obwiedzioną dymem i ogniem, zamyślane oblicze pochylone nad skryptami i mapami w domu w Konstantynopolu, oczy rozpalone ogniem i błyskawicami podczas magicznych obrzędów. Zakryła dłonią usta i zacisnęła mocno powieki, próbując powstrzymać łzy napływające jej do oczu.

Księżna mówiła coś do Nikosa, odpowiadając na pytanie, którego nie dosłyszała Krista.

– ...tylko ci, którym możemy zaufać, a żaden taumaturg nie zgodził się nam pomóc. Książę nadal jest tylko człowiekiem i musi spać. Krista dostarczy wam wszelkich potrzebnych informacji o tym domu na Ottaviano. Uderzymy nocą w przyszłym tygodniu. Podróż może zająć kilka dni, więc bądźcie gotowi do wymarszu już jutro.

Thyatis skinęła głową i zamyśliła się, analizując w myślach poszczególne elementy nowej misji. Tymczasem księżna zwróciła się do siedzącego obok niej mężczyzny i ujęła jego dłoń:

– Ty, szlachetny Jusufie, także nas opuścisz, choć pojedziesz gdzie indziej, daleko na wschód.

Chazar usiadł prosto i spojrział z niepokojem na księżną.

– Pani, jesteś tego pewna? Jestem pewien, że bardziej bym się przydał tutaj. Księżna pokręciła głową, choć Krista widziała, że ta decyzja naprawdę sporo ją kosztuje.

– Rozmawialiśmy już o tym. Musisz wrócić do swego ludu. Wolę, byś był daleko stąd, gdyby sprawy nie poszły po naszej myśli. Karmi i Efraim postarają się godnie cię zastąpić.

Jusuf pochylił głowę, przyjmując jej decyzję. Krista zmarszczyła lekko brwi: księżna prowadziła jakąś inną grę, w czym nie było nic dziwnego. Zastanawiała się jednak, dlaczego Thyatis i Nikos nie brali w niej udziału.

Anastazja westchnęła ciężko i postawiła lampkę na stoliku przy swoim łóżku. Było już bardzo późno, a perspektywa rychłego odpoczynku wcale jej nie cieszyła.

Dzień należał do długich i męczących, nie tylko ze względu na budzącą grozę opowieść Kristy, ale i ze względu na gniewne nastroje panujące wśród jej podwładnych. Thyatis czuła się urażona faktem, że księżna nie chce, nie może, zdradzić jej całej prawdy. Jej ludzie to wyczuwali i reagowali w podobny sposób.

Księżna wyjmowała srebrne szpilki podtrzymujące jej włosy, pozwalając, by kolejne kosmyki opadały luźno na ramiona. Nadchodzący dzień miał być jeszcze gorszy; czekała ją rozmowa z cesarzem. Galen przystąpił do zarządzania cesarstwem ze zdwojoną energią, przygotowując do realizacji kilka wielkich projektów. Chciał wiedzieć, kto skorzysta na każdym z nich, a kto może stracić. Cesarz był zdolnym politykiem, domagał się jednak od Anastazji mnóstwa informacji o wszystkich uczestnikach prowadzonej przez niego gry. *W innych okolicznościach nawet cieszyłabym się na takie spotkanie. Ale teraz, kiedy nie potrafię myśleć o niczym innym, jak tylko o tej sprawie?*

Księżna usłyszała skrzypienie otwieranych drzwi i obejrzała się przez ramię, pewna, że zobaczy nieśmiałą twarz Betii niosącej jej grzebienie i szczotki. Uśmiechnęła się mile zaskoczona, ujrawszy Kristę. Młoda kobieta trzymała w dłoni koszyk Betii oraz butelkę oleju i czyste szmatki. Tuż za nią dreptał mały czarny kotek, który zdążył się już zadomowić w rezydencji księżnej. Jego małe żółte oczka rozglądały się z zaciekawieniem po pokoju, wypatrując myszy i owadów.

– Nie musisz tego robić – powiedziała Anastazja, siadając na skraju łóżka. – Nie jesteś już służącą. Teraz zajmuje się mną Betia.

Krista usiadła przy boku księżnej i uśmiechnęła się ciepło, przesuwając dłonią po gęstych włosach starszej kobiety.

– Ta mała blondyneczka? Zdaje się, że teraz zajęta jest zupełnie czymś innym. Kazałam jej się stąd ulotnić.

Anastazja zerknęła na nią z ukosa, unosząc lekko brew.

– Byłaś dla niej niemiła? Ona jest słodziutka... Krista zrobiła kwaśną minę.

– Prawie piszczała ze strachu, kiedy ją stąd odsyłałam. Ale rzeczywiście wygląda na uczciwą dziewczynę. Wiem, że ta posada jest już dla mnie stracona.

Anastazja pogłaskała Kristę po policzku, widząc w niej przez moment wystraszoną dziewczynkę o wielkich oczach, którą przywiozła tu przed laty. Teraz miała przed sobą młodą kobietę o sporym doświadczeniu i cennych umiejętnościach.

– Tak się cieszę, że wróciłaś. – Anastazja uśmiechnęła się i otarła oko. – Bałam się, że dawno już nie żyjesz. Potem myślałam, że wolisz zostać z księciem.

Krista pokręciła głową, pozwalając, by gęste, ciemne loki opadły na jej twarz. Tymczasem jej mały ulubieniec, rozczarowany brakiem myszy i much, wskoczył na

łóżko i ułożył się wygodnie wśród poduszek.

– Książę był obiecującym młodzieńcem – powiedziała cicho. – Ale moje miejsce jest tutaj. Nad Maksjanem ciąży jakieś odium, które zatruwa wszystko, co znajdzie się wokół niego. Trzeba go powstrzymać.

Księżna westchnęła ciężko. Czuła to samo. Czuła też, że ten dzień należy do takich, kiedy wydaje się, że cały świat spoczywa na jej barkach.

– Myślisz, że on ma rację? Cesarz opowiadał mi o tej klątwie, którą tylko Maksjan może zobaczyć. Czy to prawda? Czy naprawdę musi chwytać się takich sposobów?

Krista wzruszyła ramionami i odgarnęła zabłąkany kosmyk z oczu. Czarny kotek zmienił decyzję i przeniósł się w drugi koniec łóżka, gdzie zakopał się pod kołdrą.

– Pani, wiem, że on w to wierzy i że wierzył też ten biedny Abdmachus. Nie mam takiej mocy ani umiejętności jak oni, więc sama niczego nie widziałam, ale oni traktują to bardzo poważnie. Pozostali, Gajusz i Aleksander, myślą tylko o władzy i zaszczytach. Stanowią wielkie zagrożenie dla cesarza: jak mogliby zgodzić się na zwykłe życie, skoro zasmakowali już cesarskiej władzy?

Anastazja potarła twarz szmatką zanurzoną w olejku, ścierając część makijażu. Gdy starła już wszystko, podniosła srebrne lustro i przyjrzała się swemu odbiciu. Stwierdziwszy, że nie wygląda jeszcze najgorzej, odłożyła zwierciadło.

– Czy oni są prawdziwi? Czy ci ludzie to naprawdę ożywione legendy? Nie są szaleńcami ani oszustami...

Młoda kobieta skinęła głową w zamyśleniu.

– To naprawdę oni. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale... – Krista zsunęła tunikę z ramienia i pokazała księżnej długą cienką bliznę, ślad po wypadkach, które rozegrały się w egipskim domu za miastem. – Książę dwa razy wyrwał mnie z objęć śmierci. Pozostałych wyciągnął z samego Hadesu. Siła ich legendy daje im życie i moc, z której korzysta także książę.

Anastazja westchnęła ciężko; w innych okolicznościach uznałaby to za prawdziwy cud, wydarzenie godne wielkiego święta, ale teraz...

Krista dotknęła policzka księżnej i delikatnie obróciła jej głowę, sięgając do koszyka po grzebień z kości słoniowej i rogu.

– Powiedz mi, pani, co dobrego wydarzyło się w czasie, kiedy mnie tutaj nie było – poprosiła, przystępując do rozczesywania długich ciemnych włosów księżnej. Wiedziała, że zajmie to niemal godzinę, gdyż gęste włosy Anastazji sięgały pośladków. Krista uśmiechnęła się pod nosem, przypominając sobie, jak się denerwowała, robiąc to po raz pierwszy. Miała wrażenie, że zdarzyło się to przed wiekami i że była wtedy zupełnie innym człowiekiem.

– Cóż – westchnęła księżna po chwili – kazałam Petrowi wyrwać wszystkie mieczyki, które rosły po północnej stronie ogrodu i posadzić w ich miejsce róże i lilie. Był wściekły, klócił się ze mną przez parę dni. Przysięgał, że odejdzie i nie wróci, że umrze, zanim popełni takie świętokradztwo... Ale oczywiście jest niewolnikiem, więc w końcu się poddał. Teraz ogród wygląda jeszcze piękniej niż poprzednio, a Petro twierdzi, że to był jego pomysł...

Po śniadaniu Krista odnalazła Thyatis w zbrojowni przylegającej do sali gimnastycznej. Rudowłosa kobieta przeglądała swoją kolczugę, ułożoną na drewnianym stole. Pokój przesycony był zapachem oleju, metalu i potu. Wydawało się, że właśnie tutaj, pośród mieczy, włóczni i narzędzi, Thyatis czuła się najlepiej. Z sąsiedniej sali dobiegały odgłosy walki; Chazarowie ćwiczyli zawzięcie przed czekającą ich wyprawą. Krista stanęła w drzwiach i odruchowo dotknęła wyrzutni przymocowanej do jej lewego przedramienia. Podobnie jak Thyatis ubrana była w krótką lnianą spódniczkę podtrzymywaną przez skórzany pas, luźną bluzkę z długimi rękawami uszytą z zielonej wełny i wysokie sznurowane buty z cielecej skóry. U pasa dziewczyny wisiał długi sztylet schowany w drewnianej pochwie.

– Pani? Mogę zająć ci chwilę? – Krista nie wiedziała, jak odnosić się do wieśniaczki. Kiedy widziały się po raz ostatni, Thyatis była zwykłym żołnierzem, wykwalifikowanym zabójcą w służbie księżnej, która za jej pomocą prała cesarskie brudy. Krista zdawała sobie sprawę, że sama była wtedy kimś jeszcze mniej znaczącym, marudną służącą o ciętym języku. Miniony rok zmienił je obie. Thyatis wydawała się mocniejsza, doroślejsza, bardziej dojrzała niż dawniej. Krista czuła się tylko starsza.

Thyatis odwróciła się i zmierzyła Kristę spojrzeniem.

– Nie – odrzekła krótko i powróciła do sprawdzania oczek kolczugi. Krista omal nie cofnęła się o krok. Czuła się tak, jakby ktoś wymierzył jej siarczasty policzek.

– Wybacz, szlachetna Thyatis, ale...

– Nie – powtórzyła Thyatis z pośepną, zaciętą miną. – Nie pojedziesz z nami do Ottaviano. Zostaniesz tutaj z księżną.

– Dlaczego? – wykrztusiła Krista, z trudem powstrzymując wybuch wściekłości. – Nikt inny nie zna lepiej ode mnie tego miejsca, księcia i jego sprzymierzeńców! To ja powiedziałam wam, gdzie go szukać, to ja przekazywałam księżnej informacje o wszystkich jego poczynaniach! Pojadę tam i zobaczę jego koniec.

Chazarowie skończyli trening i w sali zapadła wreszcie cisza. Thyatis odłożyła kolczugę i spojrzała na Kristę.

– Znasz księcia zbyt dobrze – oświadczyła stanowczym, nieprzejednanym tonem. – Obserwowałam cię wczoraj uważnie, kiedy opowiadałaś tę historię. Wciąż kochasz

księcia Maksjana, choć go zdradziłaś i wydałaś księżnej.

Krista wzdrygnęła się, usłyszawszy te słowa. Książę pozwolił jej odejść, bo ją kochał i nie chciał do niczego zmuszać. Był jej wierny do samego końca, a ona nasłała na niego oddział zabójców w stalowych zbrojach. Thyatis podeszła do niej bliżej i przemówiła przyciszonym głosem:

– Jeśli dojdzie do otwartej walki i książę znajdzie się pod ostrzem twojego miecza, czy będziesz w stanie przebić mu serce? Czy pozwolisz Nikosowi lub mnie pozbawić go życia? Nie sądzę. On nadal jest w twoim sercu, a ty w jego. Gdybyś zaczęła teraz o nim myśleć, uśmiechnęłabyś się czule. Jesteś tutaj... – Thyatis ogarnęła gestem dom i miasto – bo tak ci każe honor i poczucie obowiązku. Jednak gdy kości zostaną rzucone, możesz wybrać miłość.

Krista próbowała się bronić, zabrakło jej jednak słów. Wciąż wracały do niej wspomnienia związane z księciem. Gdy wyobrażała sobie jego zakrwawione ciało leżące na kuchennej podłodze w domu w Ottaviano, robiło jej się słabo. Podniosła rękę i machnęła nią przed twarzą, zmuszając Thyatis do cofnięcia się o krok. Dziwne czarne plamy tańczyły jej przed oczami, czuła też ostry ból w brzuchu.

– Nie będę ryzykowała życia moich ludzi – oświadczyła Thyatis twardo i odwróciła się do niej plecami.

Krista dyszała ciężko, czuła, jak zamyka się wokół niej jakaś straszna siła. Oparła się o drzwi, z trudem zachowując równowagę. Czuła się znacznie gorzej niż tuż po ucieczce, na zboczu góry.

– Ja... – wychrypiała przez zaciśnięte gardło – ja... go zabiję... – Siła gniotąca jej ciało cofnęła się wreszcie, pozwoliła jej oddychać. Krista wciągnęła powietrze do płuc, sycąc się jego cudownym smakiem. – Ja go zabiję – przemówiła mocniejszym głosem. – Muszę go zabić, Thyatis. Wbiję mu nóż w oko, jeśli będę musiała, ale umrze z mojej ręki.

Krista stanęła prosto, odzyskawszy wreszcie siły. Czarna mgła zasnuwająca jej wzrok zniknęła, pozostawiając po sobie uczucie ogromnej ulgi.

Thyatis przyglądała się jej uważnie, zaskoczona jej dziwnym zachowaniem, w końcu jednak pokręciła głową.

– Nie, nie zabiorę cię.

Krista wyprostowała się dumnie i obróciła na pięcie. Nie zamierzała padać na kolana przed tą wieśniaczką o ptasim mózdzku. Musiała sama znaleźć inne rozwiązanie i zakończyć wreszcie tę historię.

– Księżna już się nie zgodziła – zawołała za nią Thyatis, Krista jednak nie zwracała na to uwagi.

MORZE WEWNĘTRZNE, NA POŁUDNIE OD KRETY

Dziób łodzi rozcinał gładko spienione fale, wyrzucając w powietrze delikatną, chłodną mgiełkę. Dwyrin siedział na burcie, przytrzymując się jedną ręką sztagu. Miał na sobie tylko przepocone wełniane spodnie. Na bosych stopach pojawiły się nowe odciski, niemal równie liczne jak te, których dorobił się podczas długiej drogi powrotnej do cesarstwa. Statek, na którym wypłynęli z Konstantynopola, zostawił poprzedniego dnia za sobą skalne urwiska Kreta. Tyryjska załoga statku nie była zbyt pracowita; większą część dnia wylegiwała się w cieniu wielkiego masztu. Teraz siedział tam także Nikolas, który grał z marynarzami w kości.

Dwyrin całymi godzinami wpatrywał się w morze. Uwielbiał patrzeć na roziskrzone słońcem fale, nieraz też zdarzało się mu dostrzec delfiny lub wieloryby towarzyszące im podczas podróży na południe. Gdy minęli już Kretę, kapitan statku zgodził się płynąć zarówno za dnia, jak i nocą, morze w tej okolicy było bowiem wolne od raf i podwodnych skał. Zmierzali w stronę Aleksandrii, potem mieli trzymać się wybrzeża i płynąć na północny wschód, do portów Judei.

Dwyrin oparł się plecami o zwój liny ułożony na rufie. Chłodna bryza łagodziła żar bijący z nieba. Zastanawiał się, czy uciąć sobie drzemkę, postanowił jednak odłożyć to na później. Zbliżali się powoli do delty rzeki, a tam mogli napotkać inne statki. Gdyby dopisało im szczęście, mogliby ujrzeć jeden z olbrzymich transportowców. To dopiero byłby widok!

– Wybacz, chłopcze, mogę się do ciebie dobrać?

Dwyrin spojrzał w górę, odchylając rondo słomkowego kapelusza. Obok niego stał Władimir, człowiek-zwierzę. Dwyrin wzruszył ramionami, zaskoczony nieco, że Wołoch wyszedł na pokład w ciągu dnia. Ciągły ruch i bezmiar morza najwyraźniej nie działały kojąco na jego nerwy.

– Jasne.

Władimir usiadł w dziwnej pozycji, krzyżując nogi jedna na drugiej. Podobnie jak Dwyrin nie nosił koszuli ani butów, poprzestając tylko na długich lnianych spodniach, choć jego spodnie wykonane były z ciemnoniebieskiego materiału wysokiej jakości. Władimir spojrzał na bezkresną taflę wody, przysłaniając oczy ręką.

– Kochasz morze?

Dwyrin uniósł lekko brwi i zsunął kapelusz na tył głowy, odwracając się do Wołocha.

– Mam je we krwi – powiedział, przyciskając dwa palce do piersi. – Mój lud przybył do Hibernii przez morze. Choć mieszkamy na zielonej wyspie, ocean jest tylko o krok. Wydaje się, że wszędzie słyhać szum fal uderzających o brzeg. To, po czym teraz płynie, to spokojne jeziorko. Prawdziwy ocean jest potężny i groźny.

Władimir skinął głową i podrapał się za uchem.

– Mój lud... przyszliśmy z Morza Traw, lecz nawet wtedy, gdy stanęliśmy na brzegu Morza Ciemności i spróbowaliśmy jego wód, wiedzieliśmy, że leży za nimi coś większego. Nasze stare legendy, których *k'shapacara* uczą się na pamięć, mówią o wielkim oceanie opływającym świat. Musieliśmy go kiedyś widzieć, dawno, dawno temu.

Dwyrin pokiwał zyczliwie głową. Nie czuł się już źle w towarzystwie człowieka-bestii, przekonał się też, że łączą go z Nikolasem więzy prawdziwej przyjaźni.

Uważał też, że Wołoch podjął właściwą decyzję, wychodząc wreszcie na zewnątrz; przesiadywanie całymi dniami w zamknięciu nikomu nie służyło. Dwyrin uświadomił sobie nagle, że niemal całkiem już zapomniał o przygnębieniu, które towarzyszyło mu w drodze powrotnej z Antiochii. Wciąż okropnie tęsknił za Zoe i Odenatusem, miał jednak nadzieję, że kiedyś może znów ich zobaczy. Może i oni zapomną już o gniewie, pomyślał z nadzieją.

– Chciałbym zobaczyć wielki ocean, nim odejdę w ciemność – mówił dalej Władimir, spoglądając na morze. – Wiele starych legend opowiada o bezkresnym morzu i wodzie, która smakuje jak krew.

Dwyrin poklepał Wołocha po ramieniu.

– Zobaczysz je, przyjacielu. Taka podróż zajmie wiele dni, lecz może uda nam się namówić Nikolasa, by zmienił kurs i zabrał nas tam. Wtedy zrozumiesz, czym jest prawdziwy ocean...

Władimir odpowiedział głębokim śmiechem, który przypominał Dwyrinowi chlupot leśnego strumienia opływającego pokryte mchem głązy.

AS-SIK, OKOLICE PETRY, RZYMSKA NABATEA

Pochodnie migotały na wietrze, oblewając ściany kanionu rozdygotanym pomarańczowym blaskiem. Cienie ludzi sunęły bezszelestnie po kamiennej powierzchni, to rozrastając się, to znów malejąc. Dno kanionu pokrywały szczelnie dopasowane kamienie, nad którymi unosił się stukot butów i brzęk zbroi. W okrągłych ceramicznych rurach przymocowanych do ścian wąwozu bulgotała woda. Gdzieś wysoko w górze znajdowały się zbiorniki i tamy gromadzące deszczówkę i wodę spływającą z górskich strumieni. Żołnierze byli zmęczeni, obolali i głodni, a wąwóz stawał się coraz węższy. Wkrótce stracili nawet z oczu wąski fragment rozgwieżdżonego nieba, zakryty przez czerwone ściany. Kroczący na czele kolumny Odenatus prowadził za sobą konia. On także był zmęczony długą podróżą przez pustynię. Nagle zwiadowca poprzedzający kolumnę zatrzymał się i podniósł rękę. Odenatus pokręcił głową, próbując odegnać zmęczenie. Podał wodze jednemu ze stojących obok żołnierzy i podszedł do przodu. Zwiadowca, bostrański pasterz, który przyłączył się do nich przed tygodniem, stał przy skalnym załomie. Wąwóz był tutaj tak wąski, że ledwie zmieściłby się w nim koń z jeźdźcem na grzbiecie.

– O co chodzi? – spytał przyciszonym głosem Odenatus, choć hałas, jaki robiła jego armia, słyszalny był zapewne z bardzo daleka. Zwiadowca wskazał głową na wyjście z wąwozu. Ubrany był w obszerne szaty pustynnych plemion, odsłaniające tylko fragment nosa i oczy. Odenatus wysunął się za skalny załom i spojrzał do przodu.

Wąwóz rozszerzał się ponownie, a na jego krańcu stał wykuty ze skały pałac ozdobiony wielkimi posągami wojowników i Amazonek. Odenatus syknął mimo woli, ujrawszy ogromne ogniska płonące przed pałacem. Zauważył też, że wyjście z wąwozu zamyka wielka brama, która teraz jednak była szeroko otwarta. W jej pobliżu kręcili się jacyś ludzie w zbrojach i pustynnych szatach. Na wietrze wiejącym z jaru trzepotały liczne chorągwie i sztandary. Wyglądało na to, że ludzie okupujący pałac czekają na ich przybycie.

Palmyrczyk odwrócił się i podniósł rękę, dając sygnał swym ludziom. Wzdłuż szeregu przebiegł cichy pomruk, kiedy kolejni wojownicy przekazywali do tyłu jego wiadomość. Odenatus czekał w cieniu, przyglądając się ludziom zgromadzonym wokół ognisk. Oni także na coś czekali. Wreszcie z szeregu Palmyrczyków wynurzyły się dwie postacie, które podbiegły truchtem do jego boku. Odenatus uśmiechnął się z ulgą, widząc, że Zoe nie dźwiga ze sobą królowej. Długa wędrowka przez góry Hauran i Trachontis przekonała ją, że nie musi sama nieść ciała Zenobii. W mieście na południe od Jerash kupili wóz i urządzili w nim katafalk. Teraz królowa

jechała na łożu z cedrowego drewna i płatków róży. O świcie i o zmierzchu palono przy niej kadzidło i aromatyczne świece, których woń zabijała zapach zмумifikowanego ciała.

Zoe jednak nadal spędzała bardzo dużo czasu ze swoją ciotką, czasami nawet spała pod jej wozem. Odenatus i pozostali ludzie powoli przywykli do dziwactwa nowej królowej.

Zoe stanęła u boku Odenatusa i odgarnęła kosmyk włosów z twarzy.

– Co się stało? – Tutaj, pod osłoną ciemności wydawała się znów taka jak dawniej, wolna od cierpienia i dręczących ją demonów. Odenatus wskazał głową na bramę.

– Miasto jest strzeżone. Przy bramie stoją ludzie. Książę, czy to zawsze tak wygląda? – spytał, zwracając się do krępego mężczyzny o gęstej, zdobionej klejnotami brodzie, stojącego obok Zoe. Był to ich nowy sprzymierzeniec, Zamanes, książę Bostry i Jerash, król Gerasy. Pomimo młodego wieku książę utykał na jedną nogę i miał kłopoty ze wzrokiem. On także wyjrzał zza załomu skały i pogładził brodę.

– To nie są petrańczycy – mruknął. – Kupiec powiedział prawdę.

Dwa dni wcześniej, kiedy połączone armie – Odenatus uśmiechał się pod nosem, kiedy ktoś nazywał tak przy nim tę garść żołnierzy – Palmyrczyków i bostrańczyków dotarły do wschodniego krańca żyznej doliny, która doprowadziła ich do tego wąwozu, zwiadowcy pojмали arabskiego kupca wędrującego rzymską drogą. Mężczyzna szedł sam, niosąc towary w torbie ze skórzanym pasem. Zamanes zadawał mu pytania, a Odenatus obserwował ukradkiem jego reakcje. Kupiec opowiedział im dziwną historię o „południowcach”, którzy zajęli Czerwone Miasto i zniszczyli wszystkie posągi bogów i bożków. Odenatus nie mógł się temu nadziwić, z drugiej jednak strony wiedział, że południowe plemiona wierzą w różne, najdziwniejsze nawet przesady.

– To wrogowie cesarstwa – rzekła Zoe. Odenatus już otwierał usta, by się jej sprzeciwić, potem jednak uświadomił sobie, że może mieć rację. Każdy, to atakował miasto podlegające władzy cesarstwa, musiał być wrogiem Rzymian. *Ale czy to czyni z nich naszych przyjaciół?*

– Porozmawiajmy z ich wodzem – zaproponowała Zoe i ruszyła w górę jaru, unosząc ręce w geście pozdrowienia. Odenatus bez namysłu skoczył za nią i nagle ujrzał przed sobą trzydziestu lub czterdziestu ludzi czekających w owalnej przestrzeni otwierającej się tuż za wąskim przesmykiem. Wszyscy trzymali w rękach gotowe do strzału łuki. Odenatus dopiero teraz uświadomił sobie, że to miejsce było praktycznie nie do zdobycia: każdy, kto próbowałby wydostać się z wąwozu, trafiłby prosto

w deszcz strzał i włóczy.

– Witajcie! Przyszliśmy pomówić z waszym wodzem. Przywołajcie go tutaj lub pozwólcie nam przejść. – Głos Zoe, czysty i silny, odbił się echem od ścian wąwozu i popłynął do skalnego pałacu. Na schodach prowadzących do wnętrza budynku stał barczysty mężczyzna w zbroi i biało-zielonych szatach. Odenatus przyjrzał mu się uważnie i zauważył, że mężczyzna nosi nakrycie głowy typowe dla południowych plemion, a w drewnianej pochwie na jego plecach spoczywa długi łuk.

– Nasz pan już na was czeka – oświadczył niespodziewanie nieznajomy. – Podejdźcie bliżej, a zaprowadzimy was do niego.

Petra leżała w żyznej dolinie otoczonej wysokimi górami. Setki willi i sklepów okrywały zbocza wzgórz wznoszących się po obu stronach głównej drogi miasta. Skalne urwiska były podziurawione grobowcami i wielkimi świątyniami pogrzebowymi. Choć miasto oświetlały liczne lampy i pochodnie, okoliczne góry okrywał mrok, upstrzony ciemniejszymi plamami grobów otwartych przez złodziei lub trzęsienie ziemi.

Odenatus szedł wraz z Zoe i Zamanesem główną ulicą miasta. Wszystkie budynki wzniesione zostały z kamiennych bloków i pokryte dachówką lub łupkiem. Z ciemności dochodziły jednak głosy wielbłądów i koni oraz zapach wody i roślinności. Za tymi nagimi murami muszą być jakieś ogrody, pomyślał. Strumień As-Sik płynął przez środek miasta, wzdłuż głównej drogi. Wzdłuż tej samej drogi ciągnął się także szpaler pięknych marmurowych kolumn. Nad strumieniem wisiały małe łukowate mosty, choć Odenatus przypuszczał, że służą raczej ozdobie niż celom praktycznym.

Przeszli przez otwarty rynek po lewej, wzniesiony na wielkim tarasie wykutym w zboczu wzgórze, a potem pod bramą triumfalną w rzymskim stylu, ozdobioną licznymi posągami i wieńcami. Za bramą rozciągał się duży prostokątny plac prowadzący do świątyni w greckim stylu. Wielkie łaźnie sąsiadujące z eleganckim budynkiem świątyni wydawały się przy niej toporne i niezgrabne.

Odenatus był niemal pewien, że zmierzają do pałacu królów Petry, zdziwił się więc ogromnie, gdy skierowano ich na schody prowadzące do wnętrza świątyni. Na szczycie schodów ich eskorta – krąg Arabów w długich szatach i barczysty kapitan, który przywitał ich przy wyjściu z kanionu – przystanąła, by porozmawiać z dowódcą straży. Po chwili weszli do wnętrza świątyni, przechodząc najpierw przez portyk ozdobiony pękatymi, czerwonymi kolumnami, a potem przez wysoko sklepiony hol z licznymi posągami ludzi w królewskich szatach. Na końcu holu znajdował się pokój z wieloma stołami. Za stołami wznosił się jakiś wielki posąg, zakryty od stóp do głów

ciemną tkaniną. Przy największym stole siedział mężczyzna w średnim wieku z białymi jak mleko pasmami siwizny w ciemnej brodzie. W jego twarzy rzucały się w oczy szeroka blizna, zakrzywiony nos i ciemne oczy. Mężczyzna podniósł na nich wzrok i nakazał służącym kryjącym się po rogach, by opuścili salę.

– Jestem Mahomet, pan tego miasta.

Odenatus drgnął zaskoczony. Spodziewał się usłyszeć chrapliwy głos nieokrzesanego barbarzyńcy, a tymczasem człowiek ten przemawiał najczystszą greką niczym filozof z Aleksandrii lub Antiochii.

– Witajcie w Petrze. Usiądźcie, proszę, i napijcie się herbaty.

Odenatus chętnie przyjął zaproszenie i usiadł na krześle przy stole, podobnie jak Zamanes i Zoe, która uparcie wpatrywała się w pustynnego wodza. Po chwili wrócili służący, niosąc tace z czajnikiem i filiżankami.

– Nie piję wina – mówił wódz, podnosząc małą żółtą filiżankę z tacy. – Podobnie jak wszyscy moi ludzie. Dlatego ciągle brakuje nam herbaty. Ale częstujcie się, proszę. Jesteście głodni?

W odpowiedzi brzuch Odenatusa zaburczał głośno. Odkąd opuścili żyzne doliny wokół Damaszku, musieli zadowalać się bardzo skromnymi racjami żywnościowymi. Nawet po połączeniu z siłami Zamanesa i sprzymierzonych z nim plemion sytuacja Palmyrczyków wcale się nie poprawiła. Wędrowali przez jałową krainę, w której armia pozbawiona wsparcia lokalnych miast i miasteczek musiała liczyć wyłącznie na swoje zapasy. Mahomet uśmiechnął się rozbawiony i wydał służącym odpowiednie rozkazy.

– Wkrótce będziecie mogli coś zjeść, moi drodzy goście. Książę Zamanesie, ciebie dobrze już znam, ale wasze oblicza są mi nieznajome. Jak się nazywacie?

Zamanes otworzył szeroko oczy i spojrzał ze zdumieniem na wodza.

– Znasz mnie, szlachetny Mahomecie? Skąd?

Mahomet roześmiał się głośno, a potem pogładził po siwej brodzie.

– Wielu uważało, że zginąłem, książę Zamanesie. Dowodziłem lewym skrzydłem twych sił w bitwie na polach Emesy, nim zgubiło nas tchórzostwo Zabdy, tego parszywego palmyrskiego psa.

Odenatus wstał, chwytając za szablę, nim jeszcze przebrzmiały ostatnie słowa Mahometa. Jego strażnicy zareagowali równie szybko, przystawiając ostrza włóczni do gardła młodego Palmyrczyka. Zamanes również podniósł się ze swego miejsca, ogromnie poruszony, teraz jednak znieruchomiał.

– Kalając imię Zabdy, szlachetny Mahomecie – warknął Odenatus – obrażasz całą Palmyrę. Obrażasz szczególnie mnie i mój dom, gdyż Zabda był moim ojcem.

Mahomet sposepniał i przyjrzał mu się uważnie.

– Dobrze ci z oczu patrzy, mój chłopcze, a jeśli przybywasz tu z pięknej Palmyry,

chętnie nazwę cię moim przyjacielem, musisz jednak wiedzieć, że sama królowa przeklęła imię tego człowieka i zabroniła mu kiedykolwiek wracać do jej miasta. Byliśmy już bardzo blisko zwycięstwa nad tymi przeklętymi Persami, lecz jego nadmierna ostrożność wszystko zaprzepaściła. – Głos pustynnego wodza brzmiał jak zgrzyt metalu o kamień.

Odenatus poczerwieniał jak burak, serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Wiadomość o śmierci ojca była dlań prawdziwym ciosem, lecz to było jeszcze gorsze – jego rodzina zhańbiła się tchórzostwem na polu bitwy. Młodzieniec zmagął się przez moment z wypełniającym go gniewem, by wreszcie wsunąć z powrotem miecz do pochwy.

– Wybacz, szlachetny Mahomecie. Jestem twoim gościem i zachowałem się niewłaściwie – powiedział i usiadł ciężko na swoim miejscu.

– Myślałem, że zginąłeś, gdy zobaczyłem, jak pada twoja chorągiew... – Zamanes nerwowo skubał brodę. – Ponieśliśmy ogromne straty, ale udało nam się przedrzeć przez armię Persów i uciec na południe. Słyszałem, że królowa zdołała zebrać trochę wojska i uszła kłesce, ale Persowie i tak zajęli cały kraj.

– Cóż, niewiele brakowało, by nikt nie ocalał – odrzekł Mahomet, odruchowo dotykając blizny na twarzy i szyi. – Ale królowa zdołała nas jakoś z tego wyprowadzić. Ocknąłem się w lektyce, w drodze do Palmyry. – Wódz odegnał od siebie smutne wspomnienia i zwrócił się do Zoe i Odenatusa. – Jak się nazywacie, dzieci tego miasta?

– Jestem Odenatus, syn Zabdy. – Odenatus wstał powoli, pamiętając o strażnikach za jego plecami i ukłonił się, dotykając palcami czoła. – Teraz dowódca sił Palmyry.

Mahomet również pozdrowił go ukłonem. Potem zwrócił się ku Zoe, która siedziała nieruchomo niczym posąg, z rękami złożonymi na kolanach.

– A ty, pani? Jak się nazywasz? – spytał łagodnym głosem, ujrzawszy podkrążone oczy Zoe i jej wymizerowaną twarz.

– Jestem Zoe – odrzekła w końcu. – Regentka królowej Zenobii Siódmej.

– Regentka? – powtórzył Mahomet zadziwiony, spoglądając najpierw na Zamanesa, a potem na Odenatusa. Obaj unikali jego wzroku, spojrzał więc ponownie na Zoe. – Co chcesz przez to powiedzieć, szlachetna Zoe? Widziałem ciało królowej złożone w grobie. Sam wyryłem błogosławieństwo na jej grobowcu.

Zoe podniosła nań wzrok przepełniony strachem i poczuciem pustki. Potem przemówiła cicho:

– Królowa nie umarła, szlachetny Mahomecie. Ona tylko śpi i czeka na przebudzenie. Jedźcie z nami. Teraz odpoczywa za miastem i czeka cierpliwie, aż zostanie tu przyjęta z honorami godnymi królowej.

Zoe wstała, kładąc jedną drżącą dłoń na brzuchu, drugą zaś opierając na blacie stołu.

– Czy widziałeś, jak padła, raniona tak ciężko, jakby była to rana śmiertelna? Czy byłeś tam tego ostatniego dnia?

Mahomet odsunął się o krok, dojrzawszy płomień szaleństwa w oczach młodej kobiety.

– Tak – odrzekł powoli, przyglądając się jej uważnie. Dopiero teraz, gdy sięgnął wzrokiem poza ból i troskę malujące się na jej twarzy, dojrzał tam echo uśmiechu Zenobii i jej delikatną królewską urodę. To musiała być...

nie córka, wiedział bowiem, że zmarła królowa nie miała żadnych dzieci, lecz córka jej siostry. – Byłem tam tego ostatniego dnia, widziałem, jak czarownik podszedł pod miasto i wznosił ręce przeciwko nam...

Odenatus słuchał z krwawiącym sercem opowieści o ostatnich dniach swego miasta. Każde słowo wypowiedane głębokim, dźwięcznym głosem wodza budziło w nim na nowo ból i poczucie straty, każde słowo przypominało mu o ohydnej zdradzie, której dopuściło się cesarstwo, każde słowo umacniało go w przekonaniu, że powinien rozprawić się z winnymi tej straszliwej zbrodni.

– ...i tak wróciłem na rzymską ziemię, prowadząc ze sobą armię sprawiedliwych.

Stół zasłany był talerzami i kubkami. Służący kilkakrotnie przynosili nowe dania i zabierali opróżnione już naczynia. Odenatus po raz pierwszy od wielu dni najadł się do syta, Zamanes także napełnił brzuch, nawet Zoe skosztowała trochę mięsiva i krojonych na plastry owoców. Podczas kolacji dołączyło do nich wielu Arabów, którzy wchodzili cicho do komnaty i siadali na podłodze. Patrząc na ich skupione, zasłuchane oblicza, Odenatus zrozumiał, że wielu z nich nigdy wcześniej nie słyszało tej historii w całości.

Mahomet napił się wody i westchnął. W pokoju zapadła cisza przerywana jedynie sykiem małym lamp oliwnych.

– Co zamierzasz, panie? – Głos Zoe przerwał wreszcie posepną ciszę. – Czy twoja armia stanie do walki z Persją czy z Rzymem?

Mahomet pochylił się do przodu, odstawiając pusty puchar.

– Persowie zabili moich przyjaciół i zniszczyli wasze miasto, ale stanęli przeciwko nam w otwartej bitwie. Wielki i miłosierny Bóg oceni czyny każdego z nas. Wiem, że Persowie zadają się z nieczystymi siłami; Bóg, który przemawia na pustkowiu, kiedyś im za to odpłaci. Już teraz Persja leży w gruzach, wstrząsana wojną domową. Rzym... Rzym postąpił jak wiarołomca, zdradził państwa i ludy, które stały przy nim przez sześćset lat. Dziś Rzym jest moim wrogiem... Więcej, sam cesarz

Herakliusz jest moim wrogiem.

Odenatus zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy przysięga, którą składali wraz z Zoe, przyłączając się do legionów, nadal ich obowiązuje. Chyba nie; odsłużyli przecież to, co mieli odsłużyć, i zostali oficjalnie zwolnieni. Mimo to czuł się dziwnie, słysząc, jak ktoś nazywa cesarza zdrajcą.

– Moim wrogiem – ciągnął Mahomet – nie są Rzymianie. To nie oni nas zdradzili, to nie oni doprowadzili do rzezi dziesiątek tysięcy. To nie armia rzymska; nie, to jeden człowiek, to ten głupiec Herakliusz, który armie Decapolis, Palmyry i Nabatei rzucił Persom na pożarcie. Ich krew doskonale mu się przysłużyła, dała mu cenny czas, dzięki któremu mógł odrąbać głowę perskiego potwora. Tego nie mogę mu przebaczyć. Dopilnuję, by zapłacił za swoje zbrodnie.

Wśród Arabów podniósł się pomruk aprobaty. Odenatus także przyłączył się do tych głosów. Książę Zamanes skinął głową i podniósł puchar, pozdrawiając w ten sposób pustynnego wodza.

– Masz rację, szlachetny Mahomecie. Mieszkańcy dziesięciu miast przeklinają imię cesarza. Nie ma rodziny, która nie wysłałaby do Persji syna, ojca czy męża. Niemal wszyscy zginęli. Nasze miasta i wioski okryły się żałobą, ale tli się w nich także iskra nienawiści... iskra, którą można zamienić w ogromny płomień. Zamanes umilkł na moment i rozejrzał się dokoła, spoglądając w oczy Odenatusa, a potem pozostałych ludzi zgromadzonych w holu. Wstał i przemówił, zwracając się do nich wszystkich:

– Ten syn i córka Palmyry wjechali do mego kraju z bandą obszarpańców. Słyszałem, że w okolicy grasują bandyci i ludzie bez ziemi, zabrałem więc ze sobą wszystkich wojowników, jacy mi jeszcze zostali, i wyjechałem im na spotkanie. Znalazłem ich przy źródle Goliata, gdzie poili konie. Przyglądałem im się z ukrycia, widziałem, że są zmęczeni i że jest ich niewielu. Potem dojrzałem chorągiew królewskiego domu Palmyry. Nie wyglądali na bandytów, podjechałem więc bliżej i porozmawiałem z nimi. Dopiero wtedy dowiedziałem się o upadku tego pięknego miasta. Posłuchajcie mnie teraz uważnie! Wszystkie miasta i miasteczka Decapolis i Judei słyszały o wielkim zwycięstwie cesarza nad Persją. Wszyscy słyszeli o jego podbojach i triumfach. Rzym panuje nad światem, nie ma równego sobie. Wszystkie ziemie za dwiema rzekami przejdą pod jego panowanie. Te słowa nappełniają me serce smutkiem, bo wszędzie widzę groby ludzi, którzy zapłacili życiem za triumf Herakliusza.

Zamanes odwrócił się i skłonił głowę przed Zoe. Ta również odpowiedziała mu ukłonem.

– Szlachetna Zoe uczyniła to samo co szlachetny Mahomet, stając zbrojnie

przeciwko Rzymowi. Jej rany są głębokie, a plama na honorze Palmyry czarna jak noc. Jednak dzielna Zoe nie cofnie się przed niczym, by pomścić swe miasto. Długo o tym rozmyślałem, siedząc przy źródle Goliata, w końcu jednak przyłączyłem się do niej. Teraz mogę powtórzyć to, co powiedziałem wtedy: Gerasa i dziesięć miast powstaną przeciwko zdrazieckiemu Rzymowi.

Zamanes odwrócił się do Mahometa, który przyglądał mu się z uwagą.

– Szlachetny Mahomecie, jesteś doświadczonym żołnierzem i dobrym dowódcą, podobnie jak moi kapitanowie. Czy zechcesz przyjąć mą pomoc i sprzymierzyć się ze mną w braterskiej walce przeciwko Rzymowi?

Mahomet wstał i skinął głową z powagą, choć jego oczy błyszczały radośnie.

– Książę Zamanesie, panie Bostry i Jerash, królu Gerasy, przyjmę twą pomoc. Pan sprawiedliwej wojny patrzy na nas z góry i uśmiecha się, widząc, że oddaliśmy się w jego opiekę.

Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie nadgarstki i skłonili się nisko. Odenatus chciał wstać ze swego miejsca, Zoe jednak uczyniła to wcześniej. Położyła swą szczupłą białą dłoń na rękach mężczyzn.

– Rzecze królowa: Palmyra stoi z wami – przemówiła zimnym, grobowym głosem. Jej palce zacisnęły się na nadgarstku Mahometa paznokcie wbiły w jego skórę.

– Śmierć Rzymowi.

– Śmierć Rzymowi – odpowiedzieli dwaj mężczyźni, a po chwili powtórzyła to cała komnata.

Odenatus zdrzął, przejęty zimnym dreszczem.

– *Roma deletum est* – wyszeptał, dotykając pasa legionisty.

Lejjun? Tak, rozmawiałem z kupcem, który był tam miesiąc temu. Zamanes był wyraźnie zaskoczony pytaniem Mahometa, czekał jednak, aż ten sam wyjaśni, dlaczego interesuje go obóz rzymskich legionów. Odenatus potarł oczy, próbując odegnać senność. Ledwie położył się spać, a już Mahomet wezwał go na poranną modlitwę. Po długiej wieczornej naradzie musiał jeszcze przez kilka godzin zajmować się rozlokowaniem armii w mieście.

Otoczył dłońmi ciepłą filiżankę herbaty. Poranek był bardzo zimny; w chłodnym powietrzu widać było parę wydobywającą się z ust ludzi zgromadzonych przy stole. Wkrótce zza szczytów gór miało wyłonić się słońce, zwiastun kolejnego gorącego dnia, na razie jednak Odenatus musiał otulać się płaszczem, by nie zmarznąć.

Mahomet jadł śniadanie na wschodnim tarasie, otoczonym kolumnadą z czerwonego kamienia. Rozciągał się stąd wspaniały widok na miasto i całą dolinę. Domy i świątynie wypełniały szczerlnie jej dno i wspinały się na skalne zbocza.

Niektóre budynki zostały wykute w litej skale, podobnie jak prowadzące do nich schody. Mimo to w mieście nie brakowało kwiatów ani drzew owocowych, a nad dachami unosił się śpiew ptaków. Mahomet siedział przy niskim wiklinowym stoliku o blacie wykonanym z jednej płyty porfiru, gładko przyciętej i wyszlifowanej na wysoki połysk. Na stole stał czajnik z herbatą, filiżanki i kosz ze świeżym, ciepłym jeszcze pieczywem. Odenatus sięgnął do kosza, zapomniawszy już całkiem o obfitym posiłku z poprzedniego wieczora.

– Czy do obozu wróciły już legiony? – pytał dalej Mahomet, sącząc herbatę z filiżanki.

Zamanes pokręcił głową, zajęty nakładaniem miodu i dżemu na chleb.

– Nie. Ten kupiec, kuzyn mojej trzeciej żony, mówił mi, że w koszarach stacjonują dwie kohorty syryjskich łuczników i kilku rzymskich oficerów. Wygląda na to, że przygotowują obóz na nadejście większych sił, bo wszędzie kręcą się setki niewolników zajętych sprząaniem.

Mahomet skinął głową, wyraźnie zadowolony z tych wieści.

– Szlachetny książę, chciałbym, by moja armia przeszła do Lejjun przez twoje ziemie. Czy twoje miasta zechcą zaopatrzyć nas w jedzenie i paszę dla zwierząt? Czy możemy korzystać z twoich dróg i czerpać wodę z twoich studni?

Zamanes uśmiechnął się szeroko, odsłaniając na chwilę żółte zęby.

– Cóż byłby ze mnie za sojusznik, gdybym nie zechciał okazać sprzymierzonej armii choć odrobiny gościnności! Zamierzasz więc zająć Lejjun. Dlaczego?

Mahomet odstawił filiżankę i przywołał jednego z młodych ludzi kręcących się przy wejściu do pałacu. Młodzieniec przyniósł skórzaną tubę ze zwojami pergaminu i mapami. Mahomet przyjrzał mu się uważnie – wydawał się bardzo młody, może nawet młodszy od Odenatusa, lecz jego białe-zielone szaty wykonane zostały z drogiej indyjskiej bawełny. Miał przystojną szczupłą twarz, którą zdobiły starannie przystrzyżone wąsy i kozia bródka, podkreślające wysokie kości policzkowe i ostry nos. Młodzieniec rozwinął jedną z map, przystawiając jej brzegi filiżankami i kawałkami pomarańczy.

– Szlachetny Zamanesie, książę Odenatusie, oto Chalid al-Walid, kapitan mojej piechoty i admirał floty.

Chalid roześmiał się głośno, ujrawszy zdumione miny Zamanesa i Odenatusa.

– Tak, szlachetni panowie, mamy flotę. Co prawda to zaledwie tuzin starych barek i kilka daw, ale dobrze się nam już przysłużyły. Pamiętajcie, że bogactwo Mekki pochodzi z morza, a nie z lądu. Jesteśmy narodem jeźdźców, jednak morze i żegluga nie są nam całkiem obce.

Odenatus uśmiechnął się szeroko do młodego zawadiaki, który od razu wzbudził

jego sympatię. Nie mógł się też nie zgodzić z jego argumentacją – Palmyra także bogaciła się na zamorskim handlu. Potarł brodę, tknięty nagle pewną myślą; w portach Morza Wewnętrznego stało wiele okrętów należących do Palmyry, dowodzonych przez palmyrskich kapitanów i w wielu wypadkach obsadzonych też palmyrską załogą. W tych samych portach stały też magazyny należące do miasta. Równie cenne były liczne kontakty handlowe łączące Palmyrę ze starymi fenickimi miastami rozrzuconymi wzdłuż wybrzeża. Odenatus zastanawiał się, co stało się z całym tym bogactwem.

– Oto mój plan – przemówił Mahomet, ściągając na siebie uwagę wszystkich obecnych przy stole. – W tej chwili nie brakuje nam ludzi. Mamy ponad dwadzieścia tysięcy Arabów, dwa tysiące petrańczyków, tysiąc Palmyrczyków, księżę Zamanes twierdzi też, że możemy liczyć na pięciuset gerasańczyków.

– Być może nawet więcej – wtrącił Zamanes. – Jeśli inne miasta Decapolis zechcą się do nas przyłączyć.

– Otóż to. Naszą największą słabością jest jednak brak ciężkiego sprzętu; łopat, motyk, wozów, beczek, wszelkiego rodzaju machin oblężniczych, takich jak katapulty i balisty. Brakuje nam również zbroi. Udało nam się zebrać trochę ciężkiej jazdy, ale większość moich ludzi uzbrojona jest tylko we włócznie i łuki, czasami jeszcze w tarcze. Jeśli mamy walczyć z Rzymem, musimy uzupełnić te niedostatki.

– Chcesz zdobyć zbrojownię w Lejjun, zanim jeszcze tamtejszy garnizon zostanie obsadzony większymi siłami – rzekł Odenatus.

– Zgadza się. – Mahomet skinął głową. – Wyposażeni w ciężki sprzęt będziemy mogli ruszyć na wybrzeże.

Zamanes zmarszczył brwi.

– A nie na Damaszek? To centralny punkt granicznego pasa obrony, centrum Strata Diocletiana i najbogatsze miasto w regionie. Czy nie tam powinniśmy uderzyć najpierw?

Nie – odparł z uśmiechem Mahomet. – Naszym celem nie jest podbój Fenicji i Syrii. Nie mamy dość ludzi, by obsadzić tak duży obszar. Naszym celem jest zdobycie portu Cezarea Maritima, tutaj, na wybrzeżu Judei. Spójrzcie na mapę, przyjaciele. Rzymskie prowincje to długi pas lądu ciągnący się wzdłuż wybrzeża. Wszystkie siły z tych prowincji zostały wycofane na północ, na wojnę z Persją. Gdybyśmy uderzali właśnie na północ, wzdłuż osi Strata Diocletiana, byłibyśmy narażeni na atak z flanki. Rzym nadal kontroluje całe morze i w każdej chwili mógłby wysadzić swe armie w dowolnym punkcie wybrzeża. Ponieważ Cylicja i Anatolia nadal nie podniosły się ze zniszczeń wywołanych perską inwazją, przeprawa przez te tereny zajęłaby rzymskiej armii dużo czasu. Wróg będzie chciał uderzyć z morza,

więc musimy my wyrwać tę najważniejszą broń, która przez tyle wieków podtrzymywała jego potęgę.

Mahomet przesunął dłonią po błękitnej mapie.

– Kontrola nad Morzem Wewnętrznym to klucz do zwycięstwa. W Cezarei znajduje się baza rzymskiej floty wojennej. Przechwycimy ich flotę, obsadzimy statki naszymi ludźmi i odbierzemy Rzymowi monopol władzy na morzu. Potem, mój książę, zajmiemy się miastami równiny.

– Śmiały plan – rozległ się głos Zoe, zimny i oficjalny. Mężczyźni drgnęli zaskoczeni, nie zauważyli bowiem, kiedy do nich dołączyła. Odenatus wstał i podsunął jej krzesło, składając przy tym lekki ukłon. Zoe spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się lekko, choć jej oczy pozostały zimne i pozbawione wyrazu. Usiadła i odgarnęła włosy opadające jej na twarz, pobrzękując przy tym metalowymi pierścieniami. Odenatus zmarszczył brwi, zrozumiawszy, że Zoe nosi pod lnianą bluzką ciężką żelazną kolczugę. – Co zamierzasz zrobić potem?

Mahomet milczał przez chwilę, przyglądając się twarzy młodej kobiety. Odenatus widział, że wódz pustynnych plemion martwi się o jego kuzynkę.

– Szlachetna Zoe, zamierzam odszukać cesarza Herakliusza i ukarać go śmiercią za zbrodnie i zniszczenia, które wywołał swą zdradą. Mam nadzieję, że stanie przeciwko nam na czele swej armii. Wtedy spotkamy się na polu bitwy, a miłosierny Bóg wymierzy mu sprawiedliwość moją ręką. Gdyby jednak ukrywał się w swym mieście z kamienia, wyciągnę go stamtąd. Do tego potrzebuję floty.

Zoe uśmiechnęła się ponownie, choć nie był to miły uśmiech.

– Chcesz zdobywać Konstantynopol z tą hałastrą?

Zamanes drgnął, oburzony pogardliwym tonem dziewczyny, Odenatus położył jednak dłoń na jego ramieniu, prosząc go w ten sposób o wyrozumiałość.

– Służyłam jeszcze niedawno w armii cesarstwa – mówiła dalej Zoe. – Miałbyś przeciwko sobie nie trzydzieści ani nawet pięćdziesiąt, ale sto tysięcy wyszkolonych żołnierzy. Twój wróg ma wielką flotę, taumaturgów, włada wielkim imperium. Ty jesteś pustynnym bandytą, który może polegać tylko na grupce podobnych sobie.

Mahomet skinął głową i odrzekł:

– A kim jesteś ty, pani? Masz ten sam cel, chcesz pomścić śmierć swojej królowej. Jak tego dokonasz?

Zoe zeszywniała, jej twarz stała się blada jak popiół. Dziewczyna podniosła się z krzesła, zaciskając pięści.

– Królowa – wychrypiała – wcale nie umarła! Śpi, by wrócić do nas we właściwym czasie. Poprowadzi nas do zwycięstwa. Czy twój wielki i miłosierny Bóg może powiedzieć to samo?

Mahomet pobladł i zacisnął dłonie na krawędzi stołu, starając się za wszelką cenę zachować spokój.

– Głos przemawiający z powietrza powiedział mi, co mam robić. Moi ludzie i ja staną przeciwko ciemnym siłom, które zagrażają światu. Widziałem je na własne oczy. Poddajemy się woli Miłosiernego i zostaniemy zbawieni.

– Doprawdy? – Zoe uśmiechnęła się szyderczo do wodza pustynnych plemion. – Czy twój Bóg pustkowia może przywrócić siłę członkom mojej królowej? Czy może sprawić, by znów chodziła wśród nas, cała i zdrowa? Czy może to zrobić?

Mahomet spojrzał prosto w oczy młodej kobiety, wypełnione bólem i szaleństwem. Powoli pokręcił głową.

– Bóg sam decyduje o naszym losie. Jeśli zechce, by królowa wstała, wstanie. Jeśli nie, musimy z pokorą przyjąć Jego wolę.

– Twój Bóg nie jest mi do niczego potrzebny, bandyto! Niech gnije i płonie w swoim własnym piekle. – Zoe odwróciła się na pięcie i odeszła, dumnie wyprostowana.

Odenatus chciał iść za nią, zmienił jednak zdanie i wrócił do stołu.

– Wybacz, szlachetny Mahomecie. Jak widzisz, moja kuzynka bardzo przeżywa śmierć królowej.

Kurajszyta skinął głową, odprowadzając dziewczynę spojrzeniem. Na jego twarzy malował się głęboki smutek.

– Nie ona jedna.

Długi wij okryty lśniącym, czerwonym jak wino pancerzem maszerował po kamiennej podłodze grobowca. Drobiny kurzu wirowały leniwie w smudze słońca wpadającej do przedsionka przez okno umieszczone nad wejściem. W głębi komnaty zalegał przyjemny chłodny półmrok. Wij zsunął się po stopniach i zniknął między kamiennymi stopami posągu stojącego przy drzwiach.

– Gdzie są bogowie i ich sprawiedliwość? – spytał zachrypnięty, zmęczony głos. Młoda kobieta z rozpuszczonymi włosami, okryta długim czarnym płaszczem, klęczała przy kole wozu stojącego pośrodku starego grobowca. Był to jeden z wielu opuszczonych lub obrabowanych grobowców wydrążonych w urwiskach otaczających Petrę. Wejście do skalnej groty było na tyle szerokie, że zmieścił się w nim wóz, wciągnięty z najwyższym trudem przez podwładnych młodej kobiety. Teraz, pozostawiona sama sobie, klęczała w ciemnościach obok brzemienia, które sama włożyła na swoje barki.

– Gdzie są Furie i ich bicze? Czy Zeus Amon nie patrzy na nas z góry i nie widzi ludzkich grzechów? Gdzie jest jego gniew?

Na burtach wozu widniały płaskorzeźby wykonane przez żołnierzy; obrazy

miasta pełnego ogrodów, pięknych kolumnad i imponujących budynków. Dzieło nie było jeszcze gotowe; na dwóch burtach widniały tylko sporządzone kredą rysunki, szkic przyszłego reliefu. W rogach wozu stały smukłe żłobkowane kolumny podtrzymujące baldachim z grubego płótna. Od spodu,

w miejscu widocznym tylko dla pasażera, na tkaninie znajdował się wizerunek słońca o wielu promieniach.

Kobieta podniosła się z klęczek i oparła się o burtę wozu, dotykając czołem gładkiego drewna. Mówiła głośno, nie wiedząc nawet, że jakieś słowa wydobywają się z jej ust.

– Ten człowiek, ten Herakliusz, powinien być biczowany przez całą wieczność! Powinien krwawić z tysięcy ran. Powinien miotać się w szaleństwie.

We wnętrzu wozu, na posłaniu z miękkiego sukna i zasuszonych płatków kwiatów, leżały z mumifikowane zwłoki kobiety średniego wzrostu i wieku. Okrywały ją starannie ułożone szaty z lnu i jedwabiu. Jej ciało, wysuszone i kruche, rozsypywało się w proch przy każdym nieostrożnym dotknięciu.

– Dlaczego bogowie go nie zgładzą? Dlaczego rządzi w bogactwie i chwale? Dlaczego jego imię wynoszone jest pod niebiosy?

Zoe uderzyła pięścią w kamienną ścianę grobowca, nie czując nawet bólu ani kropel krwi na kostkach. Jej umysł wypełniał gniew, bezsilna wściekłość gorąca niczym żar olbrzymiego ogniska, który sączył się z niej powoli niczym dym, obmywał ściany jaskini, odmieniał ich barwę. Krople krwi spływały z sykiem po kamiennej powierzchni, pozostawiając za sobą czarne smugi.

Córko, nie rozpaczaj.

Zoe odwróciła się raptownie, otwierając szeroko oczy. Świat zawirował nagle wokół niej, grobowiec wydawał jej się ogromny i przerażająco ciasny jednocześnie. Opadła na kolana. Coś poruszyło się na wozie, słyszała szelest ubrań, a potem dziwny dźwięk, jakby trzepot skrzydeł tysięcy chrząszczy. Dźwięk przybierał na sile, wypełniał całą komnatę. Zoe krzyknęła i zakryła dłońmi uszy.

Jesteś dzieckiem mojego serca, mówił głos z wozu, rozbrzmiewający w głowie Zoe. Nie urodziłam własnego dziecka, jednak ty przyszłaś do mnie i wypełniłaś puste miejsce. Jesteś córką mojego ducha. W tobie żyję. W twojej pamięci i wspomnieniach wciąż jestem żywa.

Przerażający dźwięk ustał nagle, pozostawiając po sobie głuchą ciszę. Zoe podpełzła do burty wozu i pochwyciła się jej krawędzi. Znowu usłyszała szelest, coś poruszyło się tuż za brzegiem burty. Zoe przycisnęła czoło do gładkiej powierzchni drewna.

– Ciociu, co powinnam zrobić? – załkała. – Ten wódz, ten Mahomet, chce walczyć

z Rzymem, a przecież Persowie, którzy cię zabili, nadal żyją i chodzą wolno po świecie. Jak mogę nie pomścić twojej śmierci? Los pcha mnie na zachód, lecz serce mówi co innego...

Drogi dziecko, życie nadal wypełniałoby moje piersi, mogłabym cieszyć się twoją obecnością i pięknem naszego miasta, gdyby nie perfidia Rzymu. Gdyby nie Rzym, miałybyśmy to wszystko, co straciłyśmy bezpowrotnie... Musisz pojechać na zachód i pokonać Rzymian. Niech to będzie moją zemstą.

Zoe skinęła głową, zapłakana. Chciała wstać, poczuła jednak dotyk dłoni na głowie. Zastygła w bezruchu, cała drżąc. Ciepłe, delikatne palce gładziły ją po głowie i policzku, a powietrze wypełniło się zapachem pomarańczy i mirry.

OTTAVIANO

Maksjan drzemał na krótkiej, miękkiej trawie porastającej dno grotu. Leżał w ciepłych promieniach słońca, pod cudownie błękitną kopułą nieba. Od czasu do czasu otwierał oczy, by patrzeć na pojedyncze białe obłoczki pchane delikatnym wiatrem. Czasem widział też jastrzębie lub orły krążące nad szczytem góry. Kołysany do snu przytłumionym pomrukiem góry, czuł się niemal szczęśliwy. Codziennie przychodził tutaj, by odpocząć od nieustających ataków kłątwy, i spędzał długie godziny na spaniu lub czytaniu. Okropnie tęsknił za Kristą, szczególnie kiedy myślał o koszu z jedzeniem, który mogła przygotować na taką okazję.

Czasem podnosił nagle wzrok, niemal pewien, że ujrzy ją w cieniu pobliskich drzew.

Zauważył jej nieobecność dopiero po trzech dniach, czego wciąż ogromnie się wstydził. Prace związane z urządzeniem biblioteki i sprzątaniem willi pochłonęły go niemal bez reszty, jednak po tylu miesiącach spędzonych w jej towarzystwie powinien był natychmiast się zorientować. Gajusz Juliusz i Aleksander w ogóle się tym nie przejęli. Młodzi Wołosi przez dwa dni tylko snuli się z kąta w kąt z ponurymi minami, dlatego księżę pozwolił im wreszcie polować na terenie majątku. Od tej pory prawie w ogóle ich nie widywał, choć codziennie mógł liczyć na świeżą porcję dziczyzny. Brakuje nam tylko kucharki, która umiałaby coś z tego zrobić, pomyślał kwaśno.

– Nie – przemówił nagle na głos, podnosząc się z trawy. – Bardziej brakuje mi innych rzeczy Maksjan rozejrzał się dokoła i otrzepał ręce z trawy i ziemi.

– Galen miał rację – mruknął do siebie. – Kiedy się prześpię i wypocznę, mój umysł pracuje znacznie lepiej.

Pomimo pozorów lenistwa przez ostatnie dni dużo rozmyślał. Był pewien, że Krista odeszła od niego, bo uznała jego poczynania za objaw szaleństwa. Nie mógł jej za to winić, bo dwukrotnie omal przez niego nie zginęła. Uważał też, że doszła do wniosku, iż kłątwy nie da się pokonać i że pozostając z nim, znów naraziłaby się na wielkie niebezpieczeństwo. Opuściła go więc, by ratować życie. Rozumując w ten sposób, księżę uznał, że uwolniwszy się wreszcie od niego, Krista nie będzie próbowała mu przeszkadzać.

Nie o Kriście myślał jednak przez kilka ostatnich dni; zastanawiał się przede wszystkim, co powinien robić dalej. Był wielce zatroskany tym, co uczynił i na co się zgodził w ciągu ostatniego roku. Człowiek, którego uważał za dobrego przyjaciela – mały perski czarownik o imieniu Abdmachus – był torturowany, zabity, a potem wskrzeszony jako jego niewolnik, na jego polecenie. Zanim jeszcze do tego doszło, kazał porywać swoim sługom mężczyzn i dzieci, których poddawał potem ohydny

torturom i doświadczeniom w piwnicach egipskiego domu.

– Takich rzeczy nie robi człowiek przy zdrowych zmysłach!

Maksjan przyłożył dłonie do jednego z wielkich czarnych głazów otaczających grootę. Czuł dziwną obojętność względem wszystkiego, co wydarzyło się, nim przybył do tego miejsca. Ogień, ciemność i krew wydawały mu się częścią innego życia, życia prowadzonego przez człowieka, który zastąpił młodego uzdrowiciela Maksjana w chwili, gdy ten wszedł do warsztatu cieśli okrętowego w Ostii. Potarł twarz pokrytą krótkim zarostem. *Co myślisz o mnie moi bracia? Galen wydawał się dość dziwny, kiedy widziałem go ostatnio – ale jeśli wie, czym się zajmowałem, pewnie też uważa mnie za szaleńca.*

Książę pomyślał o matce, do której należał niegdyś ten dom, o jej twarzy oblanej światłem padającym przez okna kuchni ich starego domu w Narbonie. Czy pochwaliliby to, co zrobił? Na pewno nie! Nagle zrobiło mu się słabo, usiadł na trawie, uzmysłowiwszy sobie ogrom zbrodni, których się dopuścił. *Bogowie! Jestem potworem!*

Przez chwilę trwał w bezruchu, przygnieciony ciężarem straszliwych wyrzutów sumienia, potem jednak jego myśli same popłynęły ku pewnemu wspomnieniu z młodości. Oczami wyobraźni ujrzał swego starego nauczyciela, Tarsusa, przemawiającego w galerii szkoły w pobliżu Pergamonu. Jego głęboki, basowy głos odbijał się od kopulastego sufitu i spadał na nich z góry, niczym słowa samego Zeusa z wysokiego Olimpu.

Każdy z was obdarzony został wielką mocą, niezwykle cenną i powszechnie szanowaną, dar kochającego boga, który pozwala wam łączyć i leczyć, przywracać władzę w martwych członkach i wzrok w ślepych oczach. Ludzie będą was traktowali jak półbogów, dobrych i uczciwych. Ale wy nie jesteście bogami; jesteście ludźmi podatnymi na ludzkie słabości. To jest pierwsze prawo naszego zakonu – nie wyrządzajcie nikomu krzywdy.

Maksjan potrząsnął głową, lecz wspomnienie było tak silne, że wyrecytował głośno to, czego nauczył się tamtego pierwszego dnia:

„Przysięgam na Apolla lekarza i Asklepiosa nauczyciela, na wszystkich bogów i boginie, że w miarę sił i możliwości, będę traktował tego, kto nauczył mnie tej Sztuki, jak własnych rodziców, że będę dzielił się z nim wszystkim, co mam, i pomagał mu, jak tylko potrafię; że będę traktował jego dzieci jak własnych braci, że będę uczył ich tej Sztuki, jeśli tego zapragną, bez żadnych warunków i opłat. Przysięgam, że korzystając z wszelkich dostępnych mi metod, przekażę tę wiedzę moim synom oraz synom moich nauczycieli oraz innych uczniów związanych tą samą przysięgą, ale nikomu poza nimi. – Umilkł na moment, by zaczerpnąć oddechu, po

czym kontynuował drżącym głosem: – Będę kierował się wszystkimi nakazami i zakazami, które przynoszą korzyść moim pacjentom, i powstrzymam się od rzeczy szkodliwych i podłych. Nie podam trucizny nikomu, kto o to poprosi, nikomu też nie będę tego doradzał. Przejdę przez życie w czystości i świętości. Dokądkolwiek się udam, to tylko po to, by pomagać chorym i nieść im uzdrowienie. Jeśli ujrzę lub usłyszę cokolwiek, czego nie powinny słyszeć uszy innych ludzi, czy to w związku z moją pracą, czy też nie, zatrzymam to w tajemnicy. Dopóki dochowam tej przysięgi, niech życie moje i moja Sztuka pełne będą radości i szacunku innych ludzi! Jeśli przysięgę tę złamię, niech świat o mnie zapomni!”.

Te słowa wydały mu się teraz kotwicą, liną ratunkową łączącą go z człowiekiem, który stał przed drzwiami warsztatu w Ostii. Odgarnął nerwowo włosy. Słowa przysięgi wryte były w wielkiej marmurowej płycie leżącej w przedsionku świątyni. Pierwszym zadaniem każdego nowicjusza było nauczenie się ich na pamięć. Wiedział, co powinien zrobić, choć było to niebezpieczne i mogło kosztować go życie. *Ale co wtedy z przysięgą, którą złożyłem sobie i braciom w mej sztuce? Co z Kristą? Co z moimi braćmi?*

Odsunął się od kamienia. Jeśli był człowiekiem, za jakiego się uważał, powinien wrócić jak najszybciej do Rzymu i zdać się na łaskę swego brata cesarza. Maksjan uśmiechnął się do siebie. Miał nadzieję, że Galen ucieszy się z tak niezwykłego podarunku jak Machina!

– Książę Maksjanie! Książę Maksjanie!

Maksjan podniósł wzrok, przysłaniając oczy dłonią. Z góry dobiegł go jakiś szelest i stukot strącanych kamieni. Przechylił głowę i wyszedł z grotu. Na szczycie stał jeden z Wołochów, chyba Anatol.

– Tutaj! – zawołał Maksjan, machając rękami. – Co się stało?

– Znaleźli go, panie! Gajusz mówi, że go znalazł! – Głos Anatola odbił się echem od omszałych kamieni i szybko ucichł wśród gałęzi i krzewów.

– Znalazł co? – spytał Maksjan, starając się nie okazywać zniecierpliwienia.

– Tekst, którego szukałeś, panie. Oryginalny tekst przysięgi! Maksjan gwizdnął cicho ze zdumienia i ruszył biegiem w stronę ukrytej ścieżki.

– Czytałeś to, oczywiście. – Książę podniósł cienki arkusz papirusu, stary i pożółkły, do światła padającego przez okna biblioteki. W odróżnieniu od większości pozostałych okien w willi te wykonane były z małych szklanych kwadratów osadzonych w metalowych ramkach. Wpuszczały światło nawet w wietrzne lub zimne dni, podczas gdy inne okna wyposażone były tylko w drewniane okiennice, zamykane szczelnie przy niepogodzie. Maksjan zmarszczył brwi; arkusz pokryty był niewyraźnym, drobnym pismem, sporządzonym atramentem, który przez stulecia

niemal całkiem wyblakł. – Przygotowałeś tłumaczenie?

Gajusz Juliusz skinął głową i pchnął w jego stronę arkusz świeżego białego pergaminu. Zarówno on, jak i Aleksander siedzieli przy prostym drewnianym stole, który przynieśli tu ze stajni. Maksjan podniósł pergamin i opadł na krzesło, porównując oryginał – napisany po grecku – z przekładem Gajusza, sporządzonym w prostej, zrozumiałej łacinie. Maksjan pokpiwał kiedyś z jego stylu, porównując go do kwiecistej mowy wielkich oratorów, na co Gajusz odparł wyniosłym tonem: „Cycero może się wypchać”.

Maksjan przeczytał uważnie tekst dokumentu. W oryginale na marginesie znalazło się wiele poprawek i uwag. Gajusz przetłumaczył je na drugim arkuszu, zaznaczając wyraźnie, do której z oryginalnych notek odnosi się dane tłumaczenie. Przeczytawszy przekład, książkę odłożył pergamin na bok, oryginał zaś ułożył na stole przed sobą. Zamknął oczy, koncentrując się przez chwilę, a potem czubkiem palca nakreślił wokół papirusu zarys skrzynki.

Gajusz Juliusz i Aleksander spojrzeli na siebie porozumiewawczo, a potem zaczęli przyglądać się poczynaniom księcia.

Maksjan położył dłonie na stole, po obu stronach niewidzialnego pudełka. Skierował całą uwagę do swego wnętrza, a po chwili pokój wypełnił się niskim, ledwie słyszalnym pomrukiem. W powietrzu błysnęły drobiny kurzu, doskonale widoczne w blasku słońca. Zwój papirusu przesunął się lekko, tknięty niewidzialną siłą. Głowa księcia opadła na piersi. W powietrzu unosiło się coraz więcej błyszczących drobin. Niesione wąską smugą wiatru, drobiny zaczęły zbierać się w pudełku. Papirus drgnął i unióś się w powietrze, by zawisnąć tuż nad powierzchnią stołu. Pył zaczął przyklejać się do jego powierzchni, odtwarzając poszarpane rogi, przywracając pożątkłej powierzchni pierwotną, białą barwę. Atrament z kolei wyraźnie pociemniał, a litery nabrały wyrazistości.

Aleksander gwizdnął cicho z podziwu i zdumienia. Kurz nadal wypełniał zniszczoną stronę, jednak zaczął też z oszałamiającą prędkością zbierać się obok niej, tworząc drugi arkusz. W powietrzu pojawiły się wykresy i znaki w nieznanym językach. Gdy drugi arkusz nabrał już pełnej formy, pojawiły się nad nim zaczątki trzeciego.

– A niech mnie... przecież to cała księga! – mruknął Gajusz Juliusz, spoglądając na bladą, ściągniętą twarz księcia. W powietrzu pojawiały się kolejne stronicy, wypełnione drobnym pismem i całą masą różnego rodzaju wykresów, rysunków i wzorów astronomicznych. Buczenie przybierało na sile, wprawiało w drżenie cały stół i zęby Gajusza. Słońce schowało się za horyzontem, zapadła noc.

Wreszcie, gdy nad stołem zawisło niemal sto stronic, książkę podniósł głowę

i odetchnął.

– Zrobione.

Oderwał dłonie od blatu stołu, a zawieszony w powietrzu stronice opadły z szelestem na deski. Pokój był nienaturalnie czysty, wszystkie powierzchnie wręcz lśniły, wolne od najdrobniejszego pyłku kurzu. Maksjan otworzył oczy i rozejrzył się dokoła oszołomiony.

Aleksander przeszedł na drugą stronę stołu i delikatnie dotknął manuskryptu. Papirus zaszeleścił pod jego palcami.

– To jest prawdziwe... – Macedończyk uśmiechnął się radośnie i cofnął rękę. – Tak – odrzekł książę ze znużeniem. – Całe i kompletne co do słowa, kropki i znaku, tak jak wyglądało w dniu, gdy zostało zapisane na rozkaz cesarza Augusta.

Gajusz Juliusz cmoknął głośno i wskazał głową na księgę.

– To jest to, co nazywasz podobieństwem? Jak sieci w obrębie przysięgi?

Maksjan skinął głową i sięgnął do arkuszy. Odszukał właściwą stronę i odwrócił księgę, by ją odsłonić. Teraz widać było wyraźnie, że poprawki zostały naniesione innym atramentem.

– Ta książka została stworzona w całości, przez człowieka, który pracował nad nią w szalonym tempie. Człowiek ów – nazywał się Chamun i był Egipcjaninem posługującym się greką – pracował w ogromnym napięciu. Kiedy spisywał tę księgę, miał ją już w głowie. Był czarownikiem jak Abdmachus, a siła jego wizji odcisnęła swe piętno na całości dzieła. Odtworzenie go z jednej stronicy było więc całkiem proste.

Na dźwięk imienia Egipcjanina Gajusz zamyślił się głęboko. Maksjan postukał palcem w blat stołu, przywołując go do rzeczywistości.

– Znałeś tego człowieka? Żył w twoich czasach.

– Tak... – odparł Gajusz Juliusz z wahaniem, odrywając się od wspomnień. – Kiedy przebywałem w Egipcie, królewski dom Ptolemeuszów przeżywał poważne kłopoty. Po jednej stronie stał młody książę, a po drugiej jego siostra. Oboje myśleli tylko o tym, jak pozbyć się przeciwnika. Pamiętam, że chłopiec zatrudnił jakiegoś maga. Narobił trochę kłopotów królowej, ale moi żołnierze szybko się z tym uporali. – Gajusz uderzał paznokciami w zęby, ogarnięty wspomnieniami sprzed stuleci. – To był dziwny człowiek... Odesłałem go chyba do domu...

Maksjan uniósł lekko brwi, a potem skrzywił się z niesmakiem. Aleksander zareagował na słowa Gajusza wybuchem śmiechu.

– To było naprawdę mądre posunięcie – rzekł ironicznie książę. – Odesłać człowieka dysponującego ogromną mocą do miasta pełnego wrogów. Zapewniam cię, że twój szacowny krewniak przyjął go z otwartymi rękami. Zastanawiałem się, jak w ogóle doszło do całej tej historii. Teraz już wszystko rozumiem, choć nie jest to

miła wiedza.

– Naprawdę wiesz? Dowiedziałeś się z tej książki? – Aleksander zerwał się z krzesła, podekscytowany. – Wiesz, jak powstała przysięga i jak ją złamać?

Maksjan spojrzał na Macedończyka i skinął powoli głową, spokojny i wyciszony.

– Wiem.

– Więc? – Aleksander gotów był natychmiast sięgnąć po miecz i stanąć do walki z każdą siłą, widzialną lub niewidzialną. – Co mamy zrobić?

– Nic – odparł Maksjan chłodno i wstał, zabierając książkę ze stołu. – Nic nie będziemy robić.

– Co?! – Teraz i Gajusz Juliusz zerwał się na równe nogi. Aleksander niemal tańczył w miejscu ze zniecierpliwienia. – Chcesz powiedzieć, że po tym wszystkim, co już zrobiliśmy, mamy się wycofać?

– Tak jest – odrzekł książę, spoglądając na obu mężczyzn. Potem westchnął i odwrócił się do nich ponownie. – Gajuszu Juliuszu, miałeś rację. August kazał Chamunowi zabezpieczyć jego panowanie poprzez stworzenie przysięgi, która wiązała każdego żołnierza bezpośrednio z cesarzem. Później zażądał też, by rozszerzyć te więzy na jego najbliższą rodzinę i współpracowników. Przejście wschodnich legionów do Antoniusza musiało go ogromnie zdenerwować! Podejrzewam, że wkrótce potem Chamun został zabity. Był doskonałym architektem, prawdziwym mistrzem tej sztuki.

Więc? – Gajusz Juliusz stanął u boku Aleksandra, przejęty bliżej nieokreślonym strachem. Książę wydawał mu się dziwnie poruszony, jakby podjął właśnie jakąś brzemienną w skutkach decyzję. – Co to oznacza dla nas wszystkich?

– Oznacza to tyle, Gajuszu, że dopóki żyje cesarz, dopóty trwa państwo. Jeśli chcę rozerwać sieci form tworzących tę kłutwę, muszę zabić swojego brata i włożyć jego płaszcz.

To powiedziawszy, książę odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia. Aleksander dopadł go jednym skokiem i pochwycił za ramię.

– Więc zrób to! Człowieku, możesz być królem! Ucieczka przed tym, co nieuniknione, niczego nie zmieni. Uwierz mi, wiem, co znaczy rządzić imperium, zbudowałem je sam na ciałach moich braci i ojca. Teraz ty także już wiesz, że twój brat musi zginąć, by uratować swój lud. Czy wolność milionów nie jest warta śmierci jednego człowieka?

Maksjan odtrącił rękę Macedończyka.

– Nie – warknął, rozgniewany. – Nie jest tego warta. Rezygnuję z tego zadania. Podjąłem tę decyzję dzisiaj na szczycie góry, a to – Maksjan podniósł książkę – tylko umacnia mnie w tym przekonaniu. Mordowałem, torturowałem, okaleczałem w imię

tej sprawy, lecz ona nie jest tego warta!

Gajusz poczuł zimny powiew zbliżającej się śmierci, gorszy od ciosu miecza czy świstu galijskiego topora obok głowy. Przypomniawszy sobie wilgotne, ciemne lasy i wycie wrogów. Oparł się o najbliższe krzesło i zakasłał.

– Książę, niech i tak będzie, skoro taka twoja wola. Ale co z nami? Dalesz nam ponownie życie i jakiś cel. Czy teraz wyrzucisz nas jak stare, niepotrzebne zabawki?

Maksjan westchnął ciężko i machnął zrezygnowany ręką.

– Możecie odejść. Nie odbiorę wam życia. Znajdźcie sobie własne miejsce w świecie.

Z tymi słowami książę odwrócił się i wyszedł, znikając w ciemnym korytarzu. Kiedy jego kroki ucichły już w oddali, Gajusz Juliusz odwrócił się do Aleksandra.

– Cóż, zdaje się, że czas wreszcie pożegnać te gościnne progi. – Rzymianin uśmiechnął się szeroko, błyskając śnieżnobiałymi zębami w bladym świetle lampy. Aleksander odgarnął z twarzy złote loki i również się uśmiechnął. Gajusz dotknął miedzianego krążka, który Macedończyk nosił na szyi.

– Będziemy musieli je wypróbować – rzekł, wciąż uśmiechnięty od ucha do ucha.
– Jeśli zadziałają.

– Otworzy się przed nami nowy świat – dokończył Aleksander.

– Dokąd więc pójdziemy, mój chłopcze? – Gajusz już zastanawiał się, co powinien zabrać z willi. Oczywiście przede wszystkim złoto, ile tylko uda mu się znaleźć. Potem najlepsze konie i miejscowe wino.

– Do Rzymu, starcze, a gdzieżby indziej? – Aleksander zapanował wreszcie nad nerwową energią, która wypełniała go jeszcze przed chwilą. Teraz jego umysł się budził, wynurzał z mgły, która ogarniała go w czasie, gdy jego panem był książę.

– Więc do Rzymu. – Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie nadgarstki i ukłonili się lekko. – Do Rzymu.

CEZAREA, WYBRZEŻE JUDEI

Mewy krążyły leniwie nad powierzchnią morza, od czasu do czasu któraś z nich spadała do wody jak kamień, by po chwili odlecieć z rybą w dziobie. Powietrze nad rozgrzany marmurem doku bezustannie falowało. Nikolas zszedł z trapu tyryjskiego kabotażowca, niosąc przerzuconą przez ramię torbę. Niebo i słońce wydawały się nienaturalnie jasne, blask bijący od nabrzeża z jasnego piaskowca i portowych budynków kłuł go w oczy. Miejskowa przystań słynęła w całym cesarstwie z niezwykłych rozwiązań architektonicznych – została zbudowana na zupełnie jałowym, skalnym wybrzeżu.

Port był niemal całkiem pusty, więc kabotażowiec przycumował przy południowym krańcu doków, tuż przy wyjściu. Władimir, który szedł tuż za Nikolasem, jęknął cicho: Wołoch znosił upał jeszcze gorzej niż jego przyjaciel. Tylko Dwyrin wyglądał na zadowolonego. Choć przez ostatni tydzień snuł się z nieszczęśliwą miną po okręcie, wzdychając do jakiejś dziewczuchy, teraz wyraźnie poweselał.

– Ach... nareszcie ciepło! – Dwyrin rozprostował ręce i uśmiechnął się szeroko, spoglądając z radością na wydmy i brązowe wzgórza wznoszące się za budynkami portu. Nikolas pokręcił głową z niesmakiem – wydawało mu się, że Grecja jest gorąca, ale to było znacznie gorsze. Mimo że trwała jeszcze wiosna, słońce prażyło niemiłosiernie. Nikolas wolał nawet nie myśleć, jak w tym miejscu jest latem.

– Czy tu zawsze panuje taki upał? – spytał Władimir udreńczonym głosem. Dwyrin skinął głową i wciągnął w płuca pustynne powietrze.

– Tak. Mamy dziś piękny dzień. Spójrz tylko na niebo! Zapomniałem już, że może być aż tak błękitne... Nie martw się, na pewno ci się tu spodoba!

– Oczywiście – warknął Wołoch. – Kiedy wyschną mi oczy i całkiem oślepnę. Dwyrin poklepał go po plecach w geście pocieszenia.

– Będzie dobrze – powiedział. – Pij tylko dużo wody.

– Wody? – zareagował Nikolas, który przyglądał się białobrązowym zabudowaniom portu. – Tutejsza woda nadaje się do picia? Może bezpieczniej byłoby pić wino?

Hibernijczyk pokręcił głową i zarzucił torbę na ramię. Nikolas zauważył, że chłopak okrył głowę słomianym kapeluszem o szerokim rondzie. Pomyślał, że i on musi sprawić sobie podobne nakrycie; słońce już paliło go w kark.

– Po winie jeszcze bardziej chce się pić. Woda ma tu dziwny smak, ale jest lepsza niż w Konstantynopolu. Wierz mi, centurionie, tutaj nie można przeżyć bez odpowiedniego zapasu wody.

– Wierzę. Poszukajmy kwater i naszych nowych towarzyszy.

Władimir ruszył prosto w stronę budynków ustawionych wzdłuż drogi wychodzącej z portu. Nikolas z daleka już widział jaskrawe szyldy i drewniane figurki reklamujące mocne napitki, tanie jedzenie i chętne kobiety. Westchnął i przyspieszył kroku. Szukali kwatery w obozie legionów, a nie noclegowni przy dokach.

Dwyrin zaczął nucić jakąś skoczną melodię. Z jego obliczeń wynikało, że gdy dotrą do Aelia Capitolina, od Damaszku dzielić ich będzie tylko tydzień drogi. Przypuszczał, że Zoe się tam wybierze, jeśli jej miasto rzeczywiście było zniszczone. Potrzebowała na pewno zapasów jedzenia i wody – a gdzie mogła je znaleźć jeśli nie tam?

– Pierwsza centuria, dziewiąta kohorta, legion szósty Ferrata? – Nikolas rozwinął arkusz i odwrócił go tak, by mógł odczytać nazwiska. – Pod dowództwem Gnejusza Parsosa?

Podniósł wzrok, spoglądając na szereg mężczyzn, którzy podnieśli się ze swych prycz, gdy zastukał do drzwi. Wyglądało na to, że jest ich prawie stu, tak jak obiecano mu to w Konstantynopolu, co prawdę mówiąc, było dlań sporym zaskoczeniem. Legion Ferrata został przeniesiony do Judei prosto z Persji, gdzie brał udział w niedawnej wojnie, nie miał więc czasu na uzupełnienie braków w swych szeregach. Zaskoczył go też wygląd legionistów – niemal wszyscy mieli ciemne włosy i oczy, typowe raczej dla obywateli Lacjum niż Cesarstwa Wschodniego. Co prawda nie wyglądali na cherlaków, ale Nikolas nie dostrzegł też żadnych blizn, uciętych uszu, złamanych nosów czy też innych uszkodzeń, którymi zwykle poznaczone były ciała żołnierzy. Nie byli nawet opaleni, co jeszcze bardziej zdziwiło Nikolasa, weterani Ferraty stacjonowali bowiem w Judei od wielu lat.

Jeden z żołnierzy rozejrzał się niepewnie dokoła i wyszedł przed szereg swych towarzyszy. Był to łysiejący mężczyzna o sennych oczach i karku grubym jak pień drzewa. Nikolas przyglądał się ze zdumieniem emblematowi na jego ubraniu, który przedstawiał koło z jakimś trójkątem w środku. Mężczyzna odchrząknął i powiedział coś, co Nikolas nie do końca zrozumiał.

– Wybacz – odrzekł Nikolas – ale nie mówię za dobrze po łacinie. Mężczyzna skinął głową, a potem przemówił powoli, jakby szukając w pamięci właściwych słów:

– Centurionie, nie jesteśmy z szóstego Ferrata. I nie ma tu żadnego Gnejusza Parsosa.

Nikolas drgnął zaskoczony i spojrzał na Władimira i Dwyrina, którzy stali przy drzwiach i zajadali się bułkami z serem i salami zakupionymi w drodze do koszar. Władimir przełknął i uśmiechnął się bezradnie. Nie mógł mu w niczym pomóc.

– W porządku! – Nikolas objął szerokim gestem stojących dokoła mężczyzn. – Według tego dokumentu należycie do dziewiątej kohorty, szóstego legionu Ferrata. Chcę, żebyście teraz wyjęli wszystkie swoje rzeczy i przygotowali je do inspekcji.

Mężczyzna z dziwnym emblematem pokręcił głową.

– Ale to nie my! To jest czwarta kohorta inżynierów z legionu pierwszego Minerwy! Jestem Sekstus Verus, główny geodeta. Czy rozmawiam z Nikolasem z Roskilde?

Nikolas zgrzytnął zębami, zastanawiając się, jakim torturom poddałby urzędników z Biura Barbarzyńców.

– Tak – odburknął. – To ja.

– Świetnie! Czekamy na ciebie od tygodni.

Sekstus sięgnął do torby, którą nosił na ramieniu. W torbie kryło się kilka arkuszy pergaminu, niezaostrzone pióra i zakorkowana butelka z niebieskim atramentem. Dwyrin zajrzał do jej wnętrza, zaniepokojony; prócz przyborów do pisania było tam jeszcze mnóstwo dziwnych kawałków metalu i sprężyn. Sekstus zgromił go spojrzeniem i ostentacyjnie zamknął torbę. Dwyrin uśmiechnął się przeproszająco i wrócił na swoje miejsce przy ścianie. Łysiejący Rzymianin podał Nikolasowi jakiś dokument.

Był to pisemny rozkaz podpisany przez trybuna z Antiochii, odpowiedzialnego za nowe przydziały. Nikolas czytał go z coraz posępniejszą miną. Jego centuria doświadczonych w boju weteranów rozviała się we mgle. Zamiast nich została mu przydzielona banda matematyków i hydrologów.

– Czym się właściwie zajmujecie? – Nikolas odłożył rozkaz na bok i rozejrzał się dokoła, skonsternowany. – Te łacińskie terminy nic mi nie mówią!

– Och, zaraz wszystko wyjaśnię – rozpromienił się Sekstus. Brakowało mu jednego zęba z przodu. – Zwykle służymy przy pierwszym Minerwy, budujemy mosty, akwedukty i tak dalej, w Batawii jest ich cała masa...

– Batawii? – warknął Nikolas, zirytowany. – To płaska, wilgotna prowincja Cesarstwa Zachodniego. – Spojrzał jeszcze raz na swój rozkaz. – Wy macie być żołnierzami Cesarstwa Wschodniego, weteranami judejskiego pogranicza!

– Ależ skąd... – obruszył się Sekstus. Niektórzy spośród jego towarzyszy kręcili głowami z niesmakiem. Większość powróciła na swoje prycze, by grać w warcaby lub spać. – Należymy do legionu Cesarstwa Zachodniego, choć utknęliśmy w tym miejscu, na końcu świata... Czy wiesz, panie, że w tej prowincji nie ma ani jednego porządnego akweduktu? Wodę czerpią tu tylko ze studni i przepuszczają podziemnymi kanałami! Przecież w takim kanale nie ma odpowiedniego ciśnienia...

– Milcz. – Nikolas zmarszczył groźnie brwi. – Co stało się z ludźmi z legionu

Ferrata?

– Siedzą w więzieniu – włączył się do rozmowy jakiś szczupły mężczyzna o rzadkich, ciemnych włosach i poobgryzanych paznokciach. – Słyszałem o tym jeszcze w Damaszku. Zapuszkowali ich za jakąś rozróbę w karczmie – mówił mężczyzna, kiwając rytmicznie głową. Nikolas zgromił go spojrzeniem, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

– Kto ci to powiedział? – spytał Sekstus z niedowierzaniem. – Ten gruby wieprz Krassus?

– Nie – odrzekł chudzielec, wymachując rękami. Nikolas zauważył, że jego dłonie poplamione są atramentem. – Martus. Poszliśmy się napić, zanim dostaliśmy te rozkazy. Rozmawialiśmy o kanałach ściekowych i problemach z kanalizacją we wschodniej dzielnicy, wiesz, tam gdzie osiadły fundamenty świątyni i zniszczyły kanał...

– Dość! – Nikolas stanął pomiędzy mężczyznami i zakrył dłonią usta Sekstusa, nim ten zdążył odpowiedzieć. – Ty, chudy, jak się nazywasz?

– Juliusz Frontiusz Alba, panie, do usług.

Nikolas przysunął twarz do twarzy Frontiusza i uśmiechnął się paskudnie.

– Twoje usługi zginą marnie razem z tobą, chudzielcu, jeśli nie będziesz trzymał się tematu. Co stało się z ludźmi z Ferraty?

Frontiusz pisnął cicho i cofnął się o krok, wymachując nerwowo rękami.

– Wysłali ich w pościg za jakimiś bandytami, panie! Naprawdę!

– Osiadające fundamenty! – Sekstus aż zachłysnął się z oburzenia. – Dlaczego nie powiedzieli mi o tym od razu? Siedzimy beczynn timerzy prowincje dalej od naszych właściwych pozycji, a ty... – tu Sekstus przerwał na moment, by dźgnąć Frontiusza palcem – wiedziałeś o tym od samego początku!

– Nie wiedziałem – odrzekł Frontiusz, kryjąc się za Nikolasem. – Nikt nie wiedział, że pierwszy i dziewiąty Ferrata miały być odesłane tutaj!

Nikolas zakrył dłonią usta Frontiusza i uciszył go zimnym jak lód spojrzeniem.

– Sekstusie, gdzie byliście przydzieleni, nim trafiliście tutaj?

– Ach, centurionie! – Sekstus uśmiechnął się tęsknie i położył dłoń na sercu. – Byłoby cudownie, gdybyśmy tam znowu trafili. – Cesarz Galen zostawił nas tutaj, byśmy pomagali wschodnim wojskom w odbudowie infrastruktury, a legat powiedział nam, zanim stąd wyjechał, że mamy się przenieść do Mezopotamii.

– Do Mezopotamii? – Nikolas się skrzywił. Słyszał o tej krainie między dwiema rzekami od żołnierzy, którzy wrócili z cesarską armią. Ogromne mokradła, muchy i komary, zepsuta woda, wroga ludność i paskudne wino. – I co takiego wspaniałego jest w tej Mezopotamii?

Sekstus i Frontiusz westchnęli ciężko i wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Skąd cesarstwo brało takich oficerów?

– Setki mostów – wyjaśnił cierpliwie Sekstus.

– Kanały długie na mile – dodał Frontiusz. – Tamy, groble i młyny wodne większe niż Saeptha Julia!

– Nie zapominaj o kanałach ściekowych – pokiwał głową Sekstus. – Przed wojną Ktezyfon miał prawie pięćset tysięcy mieszkańców. To prawie dwieście mil kanałów! Cieszyliśmy się ogromnie, że będziemy mogli pokazać tym zniewieściałym Persom, jak sobie radzić z takimi rzeczami. Ale siedzimy tutaj, pięćset mil od Babilonu i jego cudów...

Frontiusz znów westchnął ciężko.

– W prowincji, w której nie ma ani jednego przyzwoitego akweduktu... Sekstus zwrócił się do Nikolasa z poważną miną i położył dłoń na jego ramieniu.

– Akwedukty to specjalność Frontiusza. Jest jednym z największych mistrzów w tej dziedzinie.

Frontiusz pokręcił energicznie głową i podniósł palec.

– Skąd, jestem tylko uczniem. Daleko mi do Witriuwiusza!

Nikolas przycisnął palce do skroni, próbując powstrzymać narastający ból głowy.

– Rozumiem – zaczął powoli i ostrożnie – że żaden z was nie jest prawdziwym legionistą. Nie walczyście na froncie, nie maszerujecie po drogach z *pilum* albo włócznią, albo *scutum*?

Sekstus i Frontiusz przyglądali mu się szeroko otwartymi oczyma.

– Ależ oczywiście, centurionie! – Sekstus pierwszy otrząsnął się ze zdumienia i wskazał na przedmioty ułożone pod ścianą. Były tam skórzane *lorica*, żelazne hełmy, krótkie miecze w drewnianych pochwach i włócznie. – Każdy inżynier służący w legionach musi ćwiczyć z innymi, tyle że, my jesteśmy... – urwał na moment, a potem dokończył z uśmiechem: – specjalistami!

– Ja też jestem specjalistą. – Nikolas uśmiechnął się szyderczo. – Ale moja specjalizacja jest znacznie bliższa temu, co mamy tutaj robić, niż wasza.

Frontiusz zmarszczył brwi, zdziwiony.

– Centurionie, inżynierowie zawsze są potrzebni. Ty możesz mówić o ogromnym szczęściu, bo masz ich całą centurię! Często słyszałem, jak trybuni i generałowie narzekają na brak saperów lub inżynierów.

– Albo geodetów – wtrącił z powagą Sekstus. – Geodetów nigdy za wiele! Nieraz musiałem przekradać się pod samym nosem Germanów; tak, tak, życie *libratora*, nie jest usłane różami! – Podsunął skrawek tuniki, obnażając włochate udo i szeroką, różową bliznę. – Pamiątka po frankijskim toporze, trafili mnie, gdy przerzucaliśmy most pontonowy przez Ren. Niewiele brakowało, a już bym stamtąd nie wrócił.

Nikolas rozejrzał się dokoła i usiadł na najbliższej pryczy. Jej poprzedni lokator,

widząc nadchodzącego centuriona, uznał, że musi natychmiast udać się do latryny. Nikolas położył zawiniątko z rozkazami na cienkim bawełnianym prześcieradle i zakrył oczy rękami. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien jak najszybciej udać się do jednej z gospód, które mijali po drodze.

– Powiedzcie mi – przemówił po chwili zrezygnowanym głosem – co robicie... jakie są wasze specjalności.

Sekstus zmrużył oczy i rozejrzał się dokoła, dokonując szybkiego przeglądu centurii. Dwyrin i Władimir, widząc, że centurion zabawi tu dłużej, dawno już się ulotnili. Nikolas był pewien, że znajdzie ich później w gospodzie, chorych z przejedzenia miejscowymi specjami.

– No dobrze, mamy więc dziewięciu geodetów i dwa razy tyle pomocników, dwunastu kamieniarzy z dwudziestoma uczniami, Frontiusz ma swoich cieśli, rachmistrzów i kopistów, razem jest ich dziewiętnastu. Mamy też dwóch kucharzy, to prawdziwy skarb, panie, bo dzięki temu nie będziesz musiał jeść miejscowego jedzenia. Aha, Frontiusz ma jeszcze dwóch kreślarzy, to właściwie jego asystenci. Ile to razem daje?

– Osiemdziesięciu dwóch – mruknął Nikolas. – A co z resztą?

– Słusznie. – Sekstus pokiwał głową. – Mamy jeszcze sześciu sygnalistów i czterech gońców, zawsze o nich zapominam... Choć tak naprawdę trudno się bez nich obejść.

– Rozumiem – rzekł Nikolas, pocierając brodę. – Jeździecie konno? Sekstus rozpromienił się i pogładził po ciemieniu.

Oczywiście. Jak każda kohorta inżynierów mamy dwadzieścia porządných wojskowych *reda* i jedną *carrucę* kucharzy. Bez problemu mieścimy się i na nich razem z całym sprzętem. Nie martw się, centurionie, w każdej chwili możemy spakować nasze rzeczy, zaprząć muły i ruszyć w drogę.

– To słowo, którego użyłeś... miałeś na myśli wozy? – spytał Nikolas, szukając w myślach dawno zapomnianych, łacińskich słów.

– Tak jest, świetne resorowane stałą wozy. Bardzo wygodne. Nikolas wzniosł oczy do nieba, błagając bogów o dar cierpliwości.

– Sekstusie – zapytał po chwili niezwykle uprzejmym tonem. – Czy kiedykolwiek ścigaliście bandytów po górach i dolinach... wozami?

Inżynier zastanowił się przez chwilę, a potem pokręcił ze smutkiem głową. Nikolas stłumił kolejne ciężkie westchnienie, otworzył jeden z rozkazów i rozłożył go na łóżku.

– Zgodnie z rozkazami, mamy przemaszerować stąd... – wskazał palcem na Cezareę – tu, do Aelia Capitolina. Podobno mają tam spore kłopoty z bandytami. Podejrzewam, że ci bandyci śmigają na koniach jak wiatr ze wzgórza na wzgórze,

podczas gdy my będziemy tłuc się po drogach w tych ciężkich wozach...

Frontiusz parsknął lekceważąco.

– W Capitolinie nie ma żadnych akweduktów. Bo i po co – mają źródła w obrębie miasta. Poza tym miasto stoi na szczycie góry, więc z akweduktów nici... Woda nie może płynąć w górę, rozumiesz... – Zamilkł, by po chwili wrócić do tematu. – Choć właściwie można to zrobić, ale w pobliżu musi być naprawdę duża góra...

– Cóż – Sekstus wzruszył ramionami – zawsze możemy przesiąść się na konie.

– Doskonale – mruknął Nikolas, zbierając swoje dokumenty. – Wyruszamy jutro rano.

Wkrótce Nikolas doszedł do wniosku, że im dalej od brzegu, tym gorzej. Po obu stronach drogi wznosiły się nagie, spalone słońcem wzgórza, na niższych partiach terenu sytuacja wyglądała niewiele lepiej. Nawet drzewa oliwne i jałowce były skarłowaciałe, a powietrze miało dziwny ostry zapach. Wszystkie wioski i miasteczka, które mijali po drodze, kryły się za wysokimi murami, a ich mieszkańcy przyglądali im się z daleka z nieskrywaną wrogością. Im dalej posuwali się w głąb lądu, tym większe ogarniało Nikolasa przygnębienie.

– To mi wygląda na bardzo źle zarządzaną prowincję – mruknął do Władimira, który jechał u jego boku, okryty biało-brązowym płaszczem i słomianym kapeluszem. Wołoch skinał głową i owinał się szczelniej. Jego biała skóra pokryła się intensywną czerwienią już podczas podróży z Konstantynopola, a teraz łuszczyła się wielkimi płatami.

– To może trochę potrwać.

Nikolas ściągnął wodze i zatrzymał swą klacz, czekając na pierwszy wóz inżynierów. Wraz z Władimirem jechał na czele kolumny, poprzedzany tylko przez geodetów, którzy pełnili funkcję zwiadowców. Pozostali ludzie Sekstusa i sygnaliści tworzyli tylną straż. Sekstus, jak zawsze w dobrym humorze,

uśmiechnął się szeroko do centuriona. Nikolas musiał przyznać, że tak wychwalane przez niego wozy naprawdę robiły wrażenie.

Reda był czterokołową skrzynią o burtach umocowanych na zawiasach i podwyższonym siedzeniu dla woźnicy i pasażera. Długi drewniany dyszel pozwalał na zaprzęgnięcie czterech mułów. Obręcze kół pokryte były grubą warstwą twardej tkaniny, dzięki czemu nie turkotały tak głośno jak w innych wozach. Nikolas przyjrzał się uważniej zachodnim wozom, nim wyjechali z rzymskiego obozu w porcie. Były naprawdę imponujące; starannie zapakowane, zawierały wszystkie narzędzia i materiały, jakie mogły przydać się inżynierom: szpadle, kilofy, młoty, toporki, siekiery, dłuta, pięć wielkich *dioptria* do prowadzenia pomiarów, tablice

miarowe zwane *chorobates*, metalowe elementy katapult i onagerów, śruby i całe beczki gwoździ i drewnianych kołków. Każdy legionista, prócz lekkiej zbroi, miecza i włóczni, miał swój zestaw narzędzi: piłę, ciężki młot, hebel, poziomnicę, pion i *groma* do wyznaczania linii i kątów prostych. Kamieniarze mieli także sprzęt przeznaczony do wyszukiwania, cięcia, przemieszczania, wygładzania i łączenia kamieni. Każdy wóz załadowywany był w ściśle określonej kolejności – co naprawdę zrobiło wrażenie na Nikolasie, przyzwyczajonym do niezbyt rygorystycznych metod logistycznych Cesarstwa Wschodniego – według znaczków przymocowanych do każdego pakunku.

Na górze wozu znajdowała się rama z laminowanego drewna, na niej zaś skórzany daszek, który chronił ludzi śpiących w czasie podróży na paczkach ze sprzętem. *Reda* Sekstusa, który prowadził całą kolumnę, wyposażona była także w specjalne urządzenie, które wrzucało kamienie do małego wiaderka, odmierzając w ten sposób przebytą drogę. Gdyby Nikolas miał za zadanie zbudować nową drogę lub coś zreperować, byłby najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Niestety, jego zadanie polegało na czymś zupełnie innym.

– Czy czekając na nas w porcie, słyszeliście coś o tych bandytach? Sekstus rozsiadł się wygodniej na miejscu woźnicy i skinął głową zasmucony.

– Oczywiście, centurionie. Ta prowincja od wieków była źródłem wielu problemów, siedliskiem fanatyków religijnych, szaleńców, separatystów i zakazanych kultów. *Optio* opowiedział mi to i owo o tym miejscu. Judea dwukrotnie buntowała się przeciwko władzy cesarza. Za drugim razem miejscowa ludność została stąd wywieziona i rozrzucana po całym cesarstwie. W obu wypadkach przyczyną buntu były jakieś wydarzenia religijne, związane właśnie z tym miejscem, do którego jedziemy. Zdaje się, że tubylcy nie są skłonni oddawać czci kapitołińskiej trójcy.

Nikolas skinął głową – cesarstwo bardzo poważnie traktowało tego rodzaju problemy. Nikt nie mógł kwestionować boskiej natury cesarza i lekceważyć rzymskich bogów.

– A teraz? – spytał, ściągając lekko wodze zniecierpliwionego konia. – Czemu znów chcą się buntować?

Sekstus uśmiechnął się ponuro, podrapał po nosie i zmierzył centuriona spojrzeniem.

– Cóż, panie, jesteś oficerem Cesarstwa Wschodniego, toteż powinienem uważać na to, co mówię do ciebie. Wyglądasz mi jednak na prawego człowieka, więc... Największy problem to, jak zawsze, podatki. To biedna prowincja, wszystkie bogactwa gromadzą się po drugiej stronie rzeki, w Nabatei i Decapolis, gdzie wiedzie szlak handlowy z Sinus Arabicus do Damaszku. Kilka tygodni temu pojawiła się

pogłoska, że cesarz Herakliusz zamierza przeprowadzić spis ludności, co oczywiście oznacza...

– Wzrost podatków – dokończył kwaśnym tonem Nikolas. Taka była zawsze kolej rzeczy. Rozejrzał się dokoła, spoglądając na jałową ziemię, wychudłe owce, suche koryta strumieni, karłowate rośliny i biedne wioski. Nowe podatki byłyby dla mieszkańców tej krainy ciosem trudnym do zniesienia. Jeśli mieli jeszcze jakieś stare żale i pretensje do cesarstwa, mogli łatwo dać się ponieść fali gniewu wzniecanej przez kilku buntowników.

– Centurionie! – zawołał Dwyrin, podjeżdżając do jego boku. Taumaturg zajmował miejsce pośrodku karawany, gdzie mógł liczyć na ochronę krzepkich kamieniarzy. Chłopak miał zatroskaną minę.

– Wyczuwam coś w eterze. Możemy mieć kłopoty.

Nikolas skinął głową – władcy burz z Danii także wyczuwali w powietrzu zasadzkę.

– Przekaż wszystkim, by byli gotowi do walki – rzucił do Sekstusa, a potem zawrócił konia i pojechał z powrotem na przód kolumny. Władimir także wyraźnie się ożywił i unosząc lekko głowę, węszył w powietrzu.

– Tak – mruknął Nikolas, podjeżdżając do jego boku. – Czas trochę popracować. Zęby Władimira błysnęły w cieniu rzucanym przez szerokie rondo.

– Czas na drugie śniadanie.

Nikolas uciszył go ruchem dłoni i skrzywił się lekko. Rzeczywiście, Wołoch mógł to tak odbierać, teraz jednak nie miał ochoty rozmawiać z nim na ten temat. Władimir miał dość makabryczne poczucie humoru.

Dwyrin na niewielkim kucu jechał tuż za Władimirem i Nikolasem. Wybrał sobie takiego wierzchowca, bo był bardzo łagodny i niezbyt ruchliwy. Chłopiec owinał wodze wokół ręki i oczyścił myśli, przywołując słowa medytacji, które miały otworzyć jego umysł na niewidzialny świat. Jego dwaj towarzysze wyciągnęli miecze i przyglądali się ostrożnie okolicznym wzgórzom. Kucyk cierpliwie truchtał za nimi. Droga zakreślała raptownie, kryjąc się pod popękanym urwiskiem z szarego wapienia. Niegdyś fragment skalnej ściany został wykuty, by poszerzyć przejście, droga w tym miejscu była jednak i tak wyjątkowo wąska. Dwyrin pozwolił, by jego zmysły sięgnęły głębiej, poza świat widzialnych form i kształtów. Coraz mocniej wyczuwał zagrożenie wiszące w powietrzu. Widział też pomarańczowe, ogniste kształty ludzi przyczajonych między głazami, za krawędzią zbocza.

Zwiadowcy prowadzący kolumnę wyjechali za róg, a Nikolas i Władimir poderwali konie do galopu, podążając za nimi. Dwyrin pozwolił, by i kucyk przyspieszył kroku, sam zaś sięgnął wolą w skałę, czerpiąc z niej strumień energii.

Z dala dobiegły go okrzyki wojenne napastników. Czerwone postacie wychyły z ukrycia i ruszyły biegiem w dół zbocza. Inne wstały, posyłając w dół deszcz strzał i włóczni.

Dwyrin podniósł rękę, wypowiadając zaklęcie przywołujące tarczę wiatru, którego nauczyła go Zoe. Miał wrażenie, że wszystko to odbywa się przeraźliwie wolno, w końcu jednak przebrnął przez całość zaklęcia, a w wąwozie zerwał się nagle porywisty wiatr. Kurz i drobne kamienie uderzyły w twarze ludzi zbiegających ze zbocza. Strzały i włócznie, które chciał odrzucić na bok, spadły między Rzymian. Jeden z pomocników geodetów krzyknął przeraźliwie, gdy grot włóczni przebił mu nogę. Jego koń, dźgnięty czubkiem ostrza, wierzgnął raptownie i zrzucił go na ziemię. Bandyty wypadli na drogę, gdzie czekali już na nich Nikolas i Władimir.

Dwyrin zaklął pod nosem zawstydzony i wystraszony. Zbocza wzgórz zaroily się nagle od ludzi, ponad dwustu wojowników z włóczniami i małymi okrągłymi tarczami pędziło w stronę wozów. Kolejna grupa biegła drogą, wznosząc wojenne okrzyki. Nikolas zawirował niczym kula białego światła – istota żyjąca w jego mieczu krzyczała z radości w ukrytym świetle – a dwaj napastnicy runęli na ziemię. Dwyrin zaklął ponownie, wściekły na samego siebie. Od rozstania z Blankiem nie ćwiczył wzorów i form, co wyraźnie odbiło się na jego sprawności. Musiał się jednak spieszyć, jeśli chciał ocalić karawanę, którą wkrótce mogła pochłonąć fala napastników. Sięgnął myślą w skałę, szukając tej czystej gorącej iskry mocy, którą pamiętał z oblężenia Tauris.

Nikolas uderzył głowicą Brunhildy w twarz bandyty, który sięgnął po jego wodze. Napastnik zalał się krwią i runął na ziemię. Klacz cofnęła się, spłoszona przez dwóch nadbiegających włóczników, Nikolas poderwał ją jednak do biegu i obrócił, wjeżdżając między uderzające włócznie. Brunhilda sięgnęła w dół i wniknęła między żebra brodatego bandyty. Nikolas wyciągnął ostrze i przeskoczył nad padającym mężczyzną. Z boku dobiegł go okrzyk wojenny Władimira, dziki i przerażający, niczym ryk polującego tygrysa. Nikolas sparował cios kolejnego włócznika i obrócił klacz w miejscu, by wziąć szeroki zamach. Ostrze Brunhildy przecięło tarczę i ramię napastnika niczym ostry nóż ugotowane mięso.

Nagle klacz Nikolasa odskoczyła w bok, tuż obok jej kopyt wbiła się bowiem w ziemię włócznia.

Nad bitewny zgiełk wzbila się nowa fala krzyków i brzęk żelaza. Kamieniarze zeskoczyli z wozów i walczyli na piechotę, zwarci w ciasnym szyku. Geodeci wycofali się na swoje pozycje. Nikolas słyszał też odgłosy walki dochodzące z tyłu, niemal spośród wozów. Nie przypuszczał, że bandytów będzie aż tylu! Zacisnął mocniej dłoń na rękojeści Brunhildy, przygotowując się do walki z kolejnym bandytą.

który szarżował nań z krótkim mieczem i prostokątną tarczą w dłoni. Nikolas otworzył szeroko oczy, ujrzawszy legionowy *spatha* i *scutum*. Bandyta wiedział też, jak się posługiwać bronią legionisty. Nikolas w ostatniej chwili odbił dwa proste pchnięcia skierowane w nogi jego klaczy. Mężczyzna zmienił pozycję i osłaniając się tarczą, zaatakował zad konia.

Nikolas obrócił konia w miejscu i zamachnął się lewą nogą, trafiając mężczyznę czubkiem buta tuż za uchem. Żelazne ćwieki oderwały wąski pas skóry z głowy bandyty. Ten krzyknął przeraźliwie i ciął na oślep mieczem. Nikolas uchylił się przed ciosem i uderzył od dołu. Czuł, jak trójkątny czubek ostrza Brunhildy przebija obojczyk bandyty i rozrywa jego gardło. Fontanna krwi zalała oczy jego wierzchowca. Klacz przysiadła na zadzie, a Nikolas runął do tyłu.

Strzały przelatywały tuż obok Dwyrina, jedna z nich utkwiała nawet w jego płaszczu. Hibernijczyk nie zwracał na to uwagi, gdyż drżąca iskra w jego sercu zapłonęła pełnym ogniem. *To jest znacznie łatwiejsze niż myślałem!* – ucieszył się w myślach. Przywoływanie ognia zawsze przychodziło mu z wielką łatwością, w odróżnieniu od skomplikowanych wzorów i strategii taumaturgów. Rozłożył dłonie i pozwolił, by płomień skaczące wokół niego w ukrytym świecie znalazły ujście.

Nikolas runął na ziemię, uderzając ramieniem o kamienie leżące przy drodze. Jakimś cudem utrzymał Brunhildę w dłoni i próbował wstać. Stojący obok bandyta doskoczył doń i uderzył z góry włócznią. Ostrze przebiło skraj kolczugi i utknęło w szparze między dwoma kamieniami, którymi wybrukowana była droga. Nikolas szarpnął się mocno, próbując wyrwać kolczugę z pułapki, musiał jednak jednocześnie osłaniać się mieczem.

Bandyta w niebieskim turbanie roześmiał się głośno, widząc swego przeciwnika skrępowanego niczym owca prowadzona na rzeź. Sięgnął po włócznię i uniósł ją do ciosu. Nikolas zmrużył oczy, dostrzegając w lśniącej powierzchni ostrza własną śmierć.

Niebo zakrył nagle ognisty obłok, drżący, niebieski płomień objął głowę bandyty. Przeraźliwy krzyk mężczyzny ustał nagle, gdy zapłonęło także powietrze w jego płucach. Nikolas osłonił twarz dłonią i także krzyknął, widząc, jak burnus mężczyzny zamienia się w biały popiół, a skóra na jego twarzy wysycha i odpada od czaszki. Martwy już bandyta runął na ziemię, a grot jego włóczni zamienił się w rozżarzone kropelki płynnego metalu. Dokoła słychać było nieludzkie wycie bandytów trawionych przez ogień. Nikolas podniósł głowę i mrużąc powieki, spojrzał w stronę karawany.

Dwyrin wciąż siedział na swoim kucyku, choć biedne zwierzę drżało niczym osika. Otoczony koroną ognia chłopiec poruszał ustami, wykrzykując jakieś słowa,

które ginęły w ryku płomieni. Z jego dłoni strzelały błękitne błyskawice, które uderzały w bandytów i rozbiły kamienie. Na ziemi leżały już dziesiątki ciał napastników okryte całunem ognia. W powietrze wzbijały się jeszcze pojedyncze strzały i włócznie, większość jednak spalała się w locie. Legioniści, kierowani instynktem i głosem rozsądku, przypadli do ziemi już po uderzeniu pierwszej błyskawicy. Kamieniarze przykryli się prostokątnymi tarczami, geodeci kryli się pod wozami.

Płoneła sucha trawa na zboczach wzgórza, posyłając ku niebu kolumnę czarnego jak smoła ognia, paliły się karłowate drzewa oliwkowe i tamaryszek. Padł ostatni bandyta, przeszyty błękitną błyskawicą. Jeszcze przez moment wył nieludzkim głosem i dygotał, by wreszcie znieruchomieć i zamienić się w poczerniały od ognia szkielet.

Dwyrin opuścił ręce, a płomienie ogarniające ludzi i przedmioty zgasły równie raptownie, jak się pojawiły.

Nikolas podniósł głowę i rozejrzał się dokoła. Chłopiec wciąż siedział na grzbiecie kucyka, kołysał się jednak lekko z boku na bok. Nikolas splunął, próbując oczyścić gardło z drobin kurzu i sadzy. Wstał powoli, starając się uspokoić rozedrgane nerwy i nie myśleć o tym, jak blisko był śmierci. Brunhilda drżała lekko w jego dłoni. Podniósł ją, pogładził delikatnie rękojeść, a potem schował do pochwy.

Ochłonawszy nieco, spojrzął na opustoszałą drogę, nad którą płynęły kłęby białego jak mgła dymu. Nawet blask słońca jakby nieco osłabł, przysłonięty zasłoną dymu okrywającego pole bitwy. Odwrócił się i zobaczył, jak Dwyrin osuwa się z konia prosto w ręce Władimira. Wołoch uśmiechnął się szeroko do Nikolasa, odsłaniając ociekające krwią zęby.

Nikolas gwizdnął cicho pod nosem i pokazał Władimirowi, by otarł zakrwawioną twarz.

– W takim razie jedziemy dalej – mruknął do siebie. – Do Aelia Capitolina.

* * *

Kolejny upalny dzień zegnał ich widokiem na wzgórze Jerozolimy. Nikolas ściągnął konia na pobocze i pozwolił mu trochę odpocząć. Miasto okrywało zbocza wzgórza labiryntem wąskich uliczek i brudnych, białobrazowych budynków. Na szczycie wzgórz wznosiła się najstarsza część miasta otoczona starożytnymi murami. Nowsze i niższe mury otaczały także przedmieścia, choć zabudowania sięgały już kolejnych wzgórz, przechodząc stopniowo w gąszcz sadów i ogrodów. W oślepiającym blasku słońca wszystko wydawało się ciche i spokojne. Ze wschodu wiał lekki wiatr, nad ziemią jednak nadal unosił się palący, trudny do zniesienia żar.

Nikolas westchnął ciężko i ścisnął boki konia kolanami, ruszając w dalszą drogę.

Obok przejechał wóz inżynierów, wzbijając chmurę lepkiego wapiennego pyłu. Nikolas sunął stępą, pozwalając się wyprzedzać kolejnym wozom. Droga wiodła pod jednym z trzech łuków tworzących bramę triumfalną, ustawioną w odległości co najmniej stu kroków od najbliższego budynku. Nikolas pokręcił głową z niedowierzaniem. Ci Rzymianie stawiali łuki wszędzie, gdzie tylko mogli. Chwilę później dołączyli do niego Dwyrin i Władimir, zajęci przyjacielską pogawędką. Nikolas poczekał, aż zrównają się z jego koniem i podkręcił wąsy.

– Wygląda na spokojne miasto – zagaił. Władimir i Dwyrin pokiwali zgodnie głowami.

– O tak – odrzekli. – Na bardzo spokojne i ciche.

Nikolas zgromił ich wzrokiem i zamilkł, zastanawiając się, jakie kłopoty *czekają go za tymi murami*. Kiedy *przejeżdżali pod łukiem* triumfalnym, podniósł wzrok, spoglądając na zatarte napisy i postumenty. Imię budowniczego łuku dawno już zginęło w otchłani czasu, podobnie jak lata największej świetności cesarstwa.

Miasto spało. Niemal wszyscy mieszkańcy pochowali się w domach, uciekając przed najgorszym żarem popołudnia. Nawet przy północnej bramie, otwartej na oścież, nie spotkali żadnego strażnika. Pierwszym człowiekiem, który przeciął im drogę, był jakiś tubylec niosący pod pachą spętane jagnię. Na ich widok zniknął szybko między budynkami.

– Założę się, że je ukradł – szepnął Dwyrin do Władimira. Centurion odwrócił się do nich i zmierzył ich lodowatym spojrzeniem.

Inżynierowie zatrzymywali swe wozy na półkolistym placu przylegającym do bramy. Sekstus wstał ze swego miejsca i przywołał Nikolasa. Skandynaw przejechał wzdłuż długiego szeregu wozów, mijając rzeźbioną kolumnę ustawioną pośrodku placu. Podobnie jak brama triumfalna przed miastem, kolumna była już mocno nadgryziona zębem czasu, a wiele płaskorzeźb ginęło pod warstwą głupawych napisów.

„Tu byłem, Marek”, głosił jeden z nich. Nikolas parsknął cicho, rozbawiony. Bardzo oryginalne!

– O co chodzi?

Sekstus wskazał na drogę odchodzącą od placu. Choć była to zapewne główna ulica miasta, wyglądała raczej jak tunel ginący w ciemnym gąszczu zabudowań, nad którymi wznosił się gmach przypominający cytadelę. Całe miasto w obrębie murów składało się prawdopodobnie z takiej właśnie gęstej zabudowy.

– Nie przejeździemy tędy wozami. Będziemy musieli rozbić obóz poza miastem.

Nikolas skinął głową i obrócił się w siodle. Pozostali legionieści czekali na plaży i przed bramą. Poczul nieprzyjemne mrowienie na karku i uświadomił sobie nagle, że zza zamkniętych okiennic przyglądają im się mieszkańcy okolicznych domów.

– W porządku. Sekstusie, Władimirze, wyprowadźcie wszystkich za miasto. Sprawdźcie inne bramy, jeśli w ogóle są tu jeszcze jakieś inne bramy, i dowiedzcie się, czy stacjonuje to jakiś legion. Jeśli nie, odszukajcie jedno z tych źródeł, o których tyle rozprawia Frontiusz i rozbijcie tam obóz. Ufortyfikowany obóz. Dopóki nie rozprawimy się z bandytami, musimy zachowywać się jak na terenie wroga, zrozumiano?

– *Ave!* – Sekstus zasalutował, wyszczerzył zęby w uśmiechu i zeskoczył na ziemię. Ruszył wzdłuż szeregu wozów, wykrzykując rozkazy. Nikolas przywołał do siebie Dwyrina.

– Chodź ze mną, chłopcze, musimy odszukać gubernatora i powiadomić go o naszym przybyciu.

Uliczki Jerozolimy wyglądały jak wąskie i ciemne tunele. Świątynie i sklepy wypełniały każdy skrawek wolnej przestrzeni na stromych zboczach wzgórza. Wreszcie, po półgodzinnej wędrówce przez opuszczone ulice, Nikolas i Dwyrin wyszli na niewielki plac przylegający do okazałego mostu. Łuk mostu sięgał na wschód i znikał w długim tunelu wydrążonym w masywnym murze.

Nikolas gwizdnął z podziwem. Niemal wszystkie budynki, które widział do tej pory w tym mieście, były małe i niepozorne, lecz ten gmach, sięgający co najmniej trzydziestu stóp nad jego głowę, naprawdę robił wrażenie. Ułożone naprzemiennie kamienie były niemal tak wielkie jak wozy jego inżynierów. Nad dachami okolicznych domów wznosiły się potężne kwadratowe wieże, zbudowane z tego samego kamienia i zwieńczone archaicznymi blankami. Niestety, budynki miasta przylegały do samych murów, zakrywając to, co niegdyś było zapewne fosą. Brama cytadeli także była otwarta na oścież.

Tutaj przynajmniej wartość pełnili dwaj rzymscy żołnierze. Nikolas zsiadł z konia i wprowadził go do środka. Dwyrin szedł za nim, prowadząc kucyka obok siebie.

– *Ave* – przywitał Nikolas dwóch strażników, siedzących na trójkątnych stołkach w cieniu bramy. – Chciałem zameldować się u pretora miasta.

Jeden z żołnierzy otworzył oko i wskazał na uliczkę po drugiej stronie placu. Drugi nadal smacznie spał, oparty o mur.

– Pretura jest tam – burknął. – To jest świątynia Jowisza. Przejdźcie obok tetrapylonu i dojdziecie do bramy Jaffy. Pretura jest po lewej.

– Dzięki – mruknął Nikolas i wskoczył z powrotem na grzbiet swego konia.

Dwyrin podziękował wartownikowi skinieniem głowy, ten jednak go zignorował.

Obaj legioniści ubrani byli tylko w poplamione tuniki i szerokie skórzane pasy, obaj byli też nieogoleni. Ich miecze, prostokątne tarcze i włócznie leżały porzucone pod murem. Nawet ich sandały leżały w nieładzie pod stołkami. Legionista, który pokazał im drogę, usadowił się z powrotem na stołku, machnął leniwie ręką, odganiając jakąś muchę, i zamknął oczy.

Podobnie jak niemal wszystko w tym mieście, siedziba pretora było naprędce wzniesionym, dwupiętrowym budynkiem, wciśniętym w skrawek wolnej przestrzeni przy bramie wychodzącej na Jaffę. Co dziwne, wokół budynku było trochę wolnego miejsca, Nikolas szybko jednak zrozumiał, że w dni targowe placyk wypełniony jest straganami, stadami osłów i stertami śmieci, o czym świadczyły resztki tychże śmieci i odchody osłów. Jednak zaledwie o przecznicę dalej na południe od siedziby pretora, ozdobionego brudną chorągwią cesarstwa, wznosił się prawdziwy mur z kamienia, w którym osadzona była zamknięta brama wojskowa.

Nad bramą wisiały nieruchomo dwie kolejne chorągwie, pod nimi zaś znajdowała się drewniana tablica pokryta łacińskimi literami.

Nikolas zeskoczył na ziemię i podał wodze Dwyrinowi, wskazując głową na zamkniętą bramę.

– Tu jest jakiś obóz, chłopcze. Dopilnuj, żeby należycie zajęto się naszymi końmi.

Nikolas otworzył usta, by powiedzieć, że jest czarownikiem, a nie stajennym, Nikolas stał już jednak w zacienionym wejściu do budynku. Hibernijczyk westchnął więc tylko i machnął na to ręką.

Poza tym, pomyślał, poplotkuję trochę ze stajennymi, może dowiem się czegoś ciekawego.

– Wejść.

Nikolas otworzył jasnozielone drzwi i wszedł do gabinetu wojskowego gubernatora Aelia Capitolina. W obskurnym budynku rzeczywiście mieściły się biura i rezydencja pretora. Wnętrze wyglądało równie ponuro jak fasada siedziby, korytarze i ściany były puste, a umeblowanie komnat bardzo skromne. Senny strażnik urzędujący na parterze wskazał mu drogę. Choć miasto było tak ciasno zabudowane, Nikolas zaczął się zastanawiać, czy ktokolwiek w nim mieszka. Odkąd wszedł za mury, widział zaledwie kilku ludzi.

– Centurion Nikolas z Roskilde melduje się na rozkaz. – Nikolas przyłożył dłoń do piersi, a potem wyciągnął ją przed siebie, trzymając sztywno wyprostowane palce. Mężczyzna siedzący za marmurowym stołem, który pełnił tutaj funkcję biurka, uniósł lekko brwi i wskazał krzesło stojące po drugiej stronie blatu. Nikolas podał mu swoje

rozkazy, a potem usiadł i czekał na jego reakcję z kamienną twarzą.

– Witaj, Nikolasie. Jestem Bardanes Turcus, pretor Judei i gubernator tego miasta. Co sprowadza cię do Capitoliny? – spytał pretor, odkładając rozkazy na bok.

Nikolas milczał przez chwilę, ważąc słowa. Beztroskie zachowanie legionistów strzegących miasta ogromnie go niepokoiło, zwłaszcza że zaledwie dzień wcześniej jego karawana została zaatakowana przez liczną i dobrze uzbrojoną bandę. Po bitwie Nikolas obejrzał ciała bandytów – a właściwie ich zwęglone szczątki – i przekonał się, że wielu z nich nosiło cesarską broń i broje. Tego samego wieczora Nikolas jeszcze raz przeczytał dokładnie swoje rozkazy, nie znalazł w nich jednak żadnej wzmianki o tym, by miejscowy garnizon przyłączył się do „bandytów”. Jeśli ostatnio nie doszło do jakiejś większej bitwy, przegranej przez Rzymian, to tubylcy mogli zdobyć tak dużą ilość cesarskiej broni, tylko kupując ją od legionistów.

Bardanes był przysadzistym mężczyzną o czarnych, gęstych włosach porastających jego głowę i przedramiona. Miał kwadratową twarz o płaskim nosie i blisko osadzonych oczach. Ubrany był w zieloną bawełnianą tunikę obwieszoną złotem i sznurowane skórzane buty. Miał szczerą, sympatyczną twarz, ale Nikolas wolał mu na razie nie ufać.

Ten człowiek przypominał mu borsuka.

Nikolas nigdy nie lubił borsuków.

– Szlachetny Bardanesie, zostałem tu przysłany, by zająć się problemem... bandytów, którzy nękają tę okolicę. Jak wynika z moich rozkazów, mam pozostać tu z moimi ludźmi, dopóki problem nie zostanie rozwiązany. Podobno wysłano do ciebie list, pretorze. Dostałeś go?

Bardanes pokręcił powoli głową, otworzył paczkę z rozkazami i rozłożył je na blacie biurka.

– Nie, nie dostałem takiej informacji. O jakich bandytów chodzi?

Nikolas czuł, jak podnoszą mu się włoski na karku. Ten człowiek albo nie miał pojęcia, co się dzieje na terenie podlegającym jego władzy, albo był bezczelnym kłamcą.

– Do stolicy dotarły raporty mówiące o tym, że co najmniej jedna grupa bandytów wywołała niepokoje w Judei, i że można się spodziewać kolejnych trudności. Do Konstantynopola trafiła prośba o wsparcie. Wynikało z niej, że w mieście stacjonują już jakieś wojska.

Pretor uśmiechnął się serdecznie i położył dłoń na dokumentach.

– Owszem, kłopotów nie brakuje po drugiej stronie rzeki, w Decapolis, centurionie. Ale tutaj? Kradzieże owiec, drobne wykroczenia, pijaństwo... to jedyne problemy, z którym musimy sobie tutaj radzić. Capitolina to sensenne miasteczko na

końcu świata. Co innego po drugiej stronie rzeki... słyszałem, że krążą tam bandy perskich żołnierzy, pustynnych bandytów i innego motłochu. Mieliście jakieś problemy w drodze z Cezarei?

Nikolas opanował się i ułożył starannie dłonie na kolanach. Spojrzał w oczy pretora i zamyślił się na moment. Mógł otwarcie oskarżyć go o kłamstwo albo grać na zwłokę. Gdyby przeciwstawił mu się otwarcie teraz, bez żadnego wsparcia, mogłoby się to dla niego źle skończyć. Nikolas uśmiechnął się krzywo.

– Nie... nic, z czym moi ludzie nie mogliby sobie poradzić.

Bardanes ponownie uśmiechnął się szeroko jak człowiek, który żyje z całym światem w pokoju i przyjaźni.

– Tutaj nie dzieje się nic złego, centurionie. Moi żołnierze i miejscowi strażnicy doskonale radzą sobie sami. Wiem jednak, że będziesz chciał wszystko obejrzeć i wyrobić sobie zdanie. Z pewnością szybko przekonasz się, że wszelkie niepokoje w tej okolicy mają swoje źródło po drugiej stronie rzeki Jordan.

Nikolas skinął głową, starając się sprawiać wrażenie człowieka, który chce skorzystać z doświadczenia starszego stopniem żołnierza.

– Panie, skoro panuje tu spokój, to moi ludzie wreszcie wypoczną. Są bardzo zmęczeni niedawną wojną i długim marszem z wybrzeża. Wyślę depeszę do legata w Damaszku z prośbą o dalsze rozkazy.

– Doskonale! – Bardanes uśmiechnął się, odsłaniając rząd krzywych brązowych zębów. – Często zapraszam na kolację oficerów z mojego garnizonu, mam nadzieję, że i ty zechcesz się do nas przyłączyć, centurionie. Samuel!

Pretor pociągnął za linę wiszącą na ścianie. Z dala dobiegł głos dzwonka. Bardanes znów się uśmiechnął.

– Samuel to szef moich służących, pomoże wam zakwaterować się w starym obozie i oporządzić zwierzęta. Dopóki tu jesteście, możecie korzystać z cesarskich magazynów i spichlerzy. Ilu ludzi przyprowadziłeś ze sobą, centurionie?

Nikolas zauważył, że pretor po raz pierwszy wyglądał na zainteresowanego. Uśmiechnął się lekko.

– Pełną centurię, szlachetny Bardanesie. Samych weteranów.

Za drzwiami dobiegły czyjeś kroki, a potem do biura wszedł wysoki mężczyzna. Bardanes zgromił go spojrzeniem.

– Samuele, ruszasz się jak mucha w smole. Jesteś chyba najbardziej leniwym służącym, jakiego kiedykolwiek miałem! To jest centurion Nikolas z Roskilde. On i jego ludzie zajmą stare kwatery legionów na tydzień lub dwa, zanim przejdą na drugą stronę rzeki, na terytorium gerasańczyków. Dopilnuj, by niczego im nie zabrakło.

Bardanes skinął głową na Nikolasa, a potem zajął się ponownie przeglądaniem dokumentów leżących na jego biurku. Nikolas wstał i zasalutował, a potem wyszedł za służącym na korytarz. Samuel był wysokim, szczupłym mężczyzną o krótko przyciętych, kręconych włosach. Miał na sobie prostą szatę z białej bawełny, przepasaną skórzanym pasem. W młodości musiał przejść jakąś chorobę, która naznaczyła jego twarz małymi, półokrągłymi bliznami. Unikał wzroku Nikolasa, jakby nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

– Mamy wozy i muły – powiedział Nikolas, kiedy zeszli już do głównego holu. – Czy w starym obozie jest dość miejsca na kilkanaście dużych wozów? Możemy rozbić obóz za miastem, jeśli będzie trzeba.

Samuel odwrócił się, spoglądając wreszcie na Nikolasa. Skandynaw drgnął zszokowany, ujrawszy jego ciemne oczy. Ten człowiek skrywał w sobie głęboki i nieprzemijający gniew. Brunhilda zadrżała lekko, niemal niewyczuwalnie. Tak, ten niewolnik z pewnością nie kochał swoich rzymskich panów.

– Panie, cesarska armia może rozbijać obóz, gdzie tylko zechce, ale na górze Syjon stacjonował cały dziesiąty legion, więc nie powinno zabraknąć wam miejsca.

Głos mężczyzny był łagodny i uległy, co przyprawiło Nikolasa o zimny dreszcz. Dysonans między zachowaniem mężczyzny a nienawiścią widoczną w jego oczach nie wróżył niczego dobrego.

– Nie widziałem... – Nikolas odchrząknął niepewnie – nie widziałem tu żadnych akweduktów. Macie tu w mieście jakieś źródła? Wszystkie są za murami?

Samuel zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił powoli w jego stronę.

– Za murami jest kilka źródeł, ale trudno do nich dotrzeć. Sadzawka Salomona, na przykład, albo źródło Syjonu są wysoko na urwiskach po wschodniej stronie miasta. Obóz dziesiątego legionu ma dostęp do zbiorników z wodą. Powinny być pełne.

Nikolas skinął głową.

– Rozumiem. Na pewno sobie jakoś poradzimy. Będę potrzebował pokwitowania do spichlerza.

Mężczyzna uklonił się i wręczył Nikolasowi blok kartek z pieczęcią pretora miasta. Nikolas ukrył zdumienie. Na kartkach nie było żadnego nazwiska, żadnych rozkazów, teoretycznie mógł więc zażądać wszystkiego, od cesarskich spichlerzy, stajni czy zbrojowni, czego tylko chciał. Samuel bez słowa odwrócił się od niego i odszedł, znikając w ciemnym wnętrzu domu. Nikolas po raz ostatni rozejrzał się dokoła i wyszedł prosto w pałac popołudniowe słońce, wciąż ogarnięty zdumieniem i niepokojem. Sługa pełen nienawiści i niedoinformowany pan z pewnością nie stanowili dobrego połączenia.

Dwyrin czekał w cieniu przed stajniami. Przechodząc obok drewnianej werandy

ciągnącej się wzdłuż budynku, Nikolas zauważył, że jest to część jakiejś większej, częściowo zburzonej budowli. Farba na ścianach łuszczyła się w wielu miejscach, odsłaniając oryginalne malowidła i freski. Kolumny też nie przypominały rzymskich ani nawet greckich. Nikolas przeciągnął dłonią po jednej. Wszystkie były pękate w środku i zwężały się ku górze. Kapitale i podstawy miały postać szerokich pasów. Jaskrawoczerwona farba odpadła pod jego dotykiem, odsłaniając ciemną powierzchnię jakiegoś drewna.

– To chyba cedr – rzekł Hibernijczyk, odrywając się od ściany, którą podpierał już przez jakiś czas. – W środku są takie same kolumny, a do tego mozaikowa podłoga, choć trudno ją odgrzebać spod słomy i gnoju. Przypuszczam, że kiedyś mieściła się tu sala audiencyjna, było też więcej pieter.

Nikolas sięgnął po nóż i zdrapał trochę farby z kolumny. Ukryte pod spodem drewno było gładkie jak jedwab.

– Ten, kto rządził wtedy Rzymem... – Nikolas schował nóż do pochwy.

– Nieważne. Dowiedziałeś się czegoś ciekawego od stajennych?

Dwyrin wzruszył ramionami i ostentacyjnie rozejrzał się dokoła.

– Niczego, o czym warto by wspominać.

– Rozumiem, nie tutaj – mruknął Nikolas z kwaśnym uśmiechem.

– Ruszajmy więc w drogę.

Nie mieli większych problemów z odszukaniem inżynierów. Karawana okrążyła miasto, kierując się na zachód. Zbocze wzgórze, na którym leżała Jerozolima, było strome od południa, zachodu i wschodu. Za zachodnią bramą, wychodzącą w stronę Jaffy, rozciągało się strome skalne pustkowie. Mimo to inżynierowie odkryli, że ich wozy zmieszczą się w tej bramie i że wystarczy skrócić za bramą w prawo, by dotrzeć do obozowiska legionu.

Nikolas stał w cieniu bramy, spoglądając na przejeżdżające z turkotem wozy. Miasto rozciągało się na północ na płaskim skalnym podłożu. Jak okiem sięgnąć, ziemia była niemal zupełnie naga, spalona słońcem i smagana wiatrem niosącym ostry piach. Tu i ówdzie z brunatnej powierzchni ziemi wyrastały białe wapienne wzgórza przypominające ogromne stare kości.

– Niewiele dałoby się tu wyhodować... – Dwyrin rozejrzał się dokoła zadziwiony.

– Czy to nie dziwne, że ludzie chcą mieszkać w takich miejscach?

Nikolas potarł szorstką brodę i pomyślał, że musi się wkrótce ogolić.

– Na świecie jest wiele podobnych miejsc. Ludzie zawsze tu mieszkali, choć warunki nie są sprzyjające. Zostają tu, bo zawsze tak robili. Gdzieś w pobliżu na pewno znajdują się jednak żyzne doliny, inaczej musieliby się stąd wynieść. Jak poszło ci ze stajennymi?

– Nie najlepiej. – Dwyrin się skrzywił. – Dowiedziałem się sporo o najlepszych

gospodach i burdelach w okolicy. Wiem też, że nie brakuje tu kłopotów... ale nie takich, jakich się spodziewaliśmy.

– Mów – rzucił krótko Nikolas, zerkając na chłopca. Ostatni wóz inżynierów przejechał właśnie przez bramę, wzbijając obłok białego kurzu, który oblepił ich nogi. Ruszyli w stronę obozu.

Ten pretor – zaczął Hibernijczyk – został tu niedawno przysłany z rozkazem przeprowadzania spisu, o czym już słyszeliśmy. Nie było mu łatwo, bo wszystkie legiony w okolicy zostały wezwane do Konstantynopola na wojnę z Persją. Ten Bardanes jest ponoć z Epiru, jeśli wierzyć stajennym, przywiózł ze sobą tylko dwustu lub trzystu ludzi, ale nie legionistów.

– To jego prywatny oddział? – spytał Nikolas. Osłabienie władzy cesarskiej na wschodzie skłoniło wielu właścicieli ziemskich do tworzenia własnych, prywatnych wojsk. Wielu znaczniejszych wielmożów już wcześniej miało własne armie. Cesarz oczywiście nie pochwalał takich praktyk, ale nie mógł też mieć większych pretensji do gubernatorów, którzy chcieli na własną rękę przywracać porządek w prowincjach.

– Nie – odparł Dwyrin. – To raczej najemnicy, jak ci przy bramie. Tak czy inaczej, najął największy miejscowy ród, Parsi, do przywrócenia porządku w okolicy i zbierania podatków. Samo miasto obsadził, oczywiście, swoimi ludźmi.

Nikolas uniósł lekko brwi, choć w przygranicznych prowincjach zatrudnianie miejscowych rodów czy plemion było dość często stosowaną praktyką. Z drugiej jednak strony rzymscy właściciele ziemscy musieli dostawać białej gorączki, kiedy do ich bram pukali jacyś barbarzyńcy, domagając się podatków.

– Parsi pognębili inne rody i wszystko się uspokoiło. Podatki nie zostały jeszcze zebrane, bo Bardanes czeka, aż Parsi zakończą spis. Zrobią to za miesiąc lub dwa, kiedy z Konstantynopola nadejdą rozkazy z nowymi stawkami.

– Mówisz, że najął tych tubylców – zastanawiał się głośno Nikolas. – Ale za co? Za własne pieniądze? Czy za majątek należący do cesarstwa?

– Jeszcze lepiej – uśmiechnął się Dwyrin, kiedy dotarli do bramy obozu zamkniętego w obrębie murów miasta. – Obiecał im część podatków, które sami zbiorą.

Nikolas skrzywił się z niesmakiem.

– Więc ci oszukają swoich sąsiadów, zabiorą swój procent i jeszcze nabiją kabzę temu Bardanesowi. – Przez chwilę milczał, bębniąc palcami w łęk siodła. – Właśnie takie postępowanie – oświadczył, zwracając się do Dwyrina i okolicznych domów – prowadzi do sytuacji, w której spokój mogą przywrócić tylko co najmniej trzy legiony, cała gromada trybunów i morze krwi. Coś jeszcze?

– Nie. – Dwyrin westchnął. – Nie licząc zażartej kłótni o to, która dziewczyna

z miejscowych burdeli jest najładniejsza.

– Stać!

Nikolas przystanął, widząc, że inżynierowie wystawili już straż przy pierwszym szeregu zabudowań obozu. Z cienia wyszli dwaj geodeci w hełmach i z włóczniami w dłoniach. Nikolas pozdrowił ich skinieniem głowy. Strażnicy zaszalutowali, a jeden z nich powiedział:

– Witaj w obozie, centurionie! Sekstus i Frontiusz są tam, przy głównym budynku.

Nikolas oddał salut i ruszył dalej. Zauważył, że w cieniu budynków kryje się dwóch innych uzbrojonych strażników. Na szczęście ulice obozu, leżącego na szczycie niewielkiego zbocza, ułożone były w tradycyjny, regularny sposób. Wydawało się, że niektóre budynki, podobnie jak stajnie, powstały po przystosowaniu starszych gmachów, większość jednak była – w porównaniu z resztą miasta – całkiem nowa. Wozy stały w rzędzie wzdłuż głównej ulicy – *cardo* – a inżynierowie zajęci byli ich rozładowywaniem. Nikolas podszedł do pierwszego wozu i przystanął, spoglądając na krótszą drogę, *decumanus*, przecinającą obóz wzdłuż osi wschód – zachód.

Na wschodzie droga opadała w dół zbocza prowadzącego do płytkiej doliny biegnącej przez całe miasto. Za zbitymi ciasno dachami i wieżami głównej części miasta wznosił się masywny gmach świątyni Jowisza. Dopiero teraz, patrząc na miasto ze szczytu wzgórza, Nikolas dostrzegł, że potężne mury znajdują się u podstawy ogromnego podwyższenia zajmującego niemal jedną czwartą miasta. Olbrzymia struktura górowała nad okolicznymi domami, otoczona pasem umocnień, znad których widać było dach klasycznej świątyni.

– To musi być świątynia Jowisza.

– Mhm... – przytaknął Sekstus zamyślony. – Prawdziwe dzieło sztuki. Założę się, że to podwyższenie jest sztuczne. Musieli tu nawieźć ogromne ilości ziemi i kamienia. No i te mury! Spójrz na te okładziny, centurionie. Ciekawe, skąd ściągnęli tu takie wielkie płyty, w pobliżu na pewno nie ma dobrego kamienia. Byli naprawdę świetnymi budowniczymi.

Nikolas skinął głową. Widział przecież mury Konstantynopola, bardzo podobne do tego miejsca.

Wraz z głównym inżynierem wszedł do *principia*, czyli głównego budynku. Władimir i Dwyrin wybrali już pokoje dla siebie, a kilku geodetów wносиło jego rzeczy do głównego pokoju.

– To było najlepsze miejsce?

Nikolas odpiął pasek i zdjął hełm z głowy, a potem odwiesił go na specjalny

haczyk na ramieniu zbroi. Inżynier rozejrzał się dokoła i skinął głową. Jego ludzie wbijali właśnie drewniane kołki w nogi składanego stołu dowódcy.

– Z dwóch stron obóz przylega bezpośrednio do miasta, co niezbyt mnie cieszy, z dwóch pozostałych mamy mury zewnętrzne. Są też dwie główne bramy, jedna od północy, przez nią tu wjechałeś, druga od południa – prowadzi bezpośrednio poza mury. Od południowej i zachodniej strony tuż pod murami znajdują się strome urwiska. Nie najgorzej, choć musimy trochę pokopać przy zbiornikach i sprawdzić, czy nie ma tam jakiegoś źródła. – Sekstus wzruszył ramionami. – Cóż więcej możemy zrobić?

Nikolas stukał palcami w brodę, przyglądając się niezwyklej sprawności legionistów, dzięki której już za trzy godziny mógł rozgościć się w uporządkowanej i zorganizowanej bazie. Choć początkowo nie mógł odżałować doświadczonej centurii, którą mu obiecano, teraz patrzył z podziwem na tych ludzi. Nic dziwnego, że Cesarstwo Zachodu przetrwało trzysta lat wojen, zaraz i katastrof.

– *Bobra robota. Kiedy obóz będzie już gotowy, zwołaj naradę dowódców sekcji.* Od jutra zaczniemy poznawać okolicę. Rozstaw też strażę na wszystkich czterech ścianach. Co prawda to rzymskie miasto, ale chyba nie przepadają tu za nami. Dwyryn, mój chłopcze, mam dla ciebie zadanie...

OTTAVIANO

Anatol przestępował nerwowo z nogi na nogę. Miał bose stopy, pokryte gęstwiną czarnych włosów. Podobnie jak inni Wołosi przestał nosić koszulę w ciągu dnia. Tak jak oni przez większość dnia spał na tarasie willi lub kręcił się po lesie. Nie potrzebował do tego koszuli ani tuniki. Takie rzeczy przeszkadzały tylko w polowaniu.

– Wiesz, dlaczego cię tutaj wezwałem? – Maksjan spał przez wiele godzin, regenerując siły nadwątlone odtwarzaniem księgi Chamuna. Dziś, po długiej i odprężającej kąpieli, czuł się niemal wypoczęty. Gdyby odtwarzał martwe ciało, nie straciłby tylu sił, dopiero jednak uczył się kontrolować moc, która pozwalała mu wpływać na martwe przedmioty.

– Nie – odrzekł Wołoch, wpatrując się w podłogę. Pozostali Wołosi stali lub kucali za jego plecami. Maksjan skrzywił się lekko. Odkąd Krista wyjechała, barbarzyńcy wyraźnie zdziczeli. To prawda, pozwolił im biegać po lesie, ale nie miał czasu, żeby się nimi zajmować. Zawsze robiła to za niego Krista, cicho i dyskretnie, podczas gdy on zajęty był czym innym. Teraz jednak Krista odeszła, a on musiał uporać się z tym problemem przed powrotem do miasta.

– Postanowiłem was uwolnić – powiedział i postawił na stole szklaną fiolkę wypełnioną ciemnoczerwonym płynem. Maksjan przeniósł swoje łóżko do biblioteki, która służyła mu teraz za gabinet i sypialnię. Podejrzewał, że Wołosi śpią w stodole, zbici w jedną, pochrapującą masę, nigdy jednak nie szedł tam, by się o tym przekonać. Gajusz i Aleksander zabrali swoje rzeczy i zniknęli, choć Maksjan nie zauważył nawet, kiedy to się stało. Wiedział tylko, że wraz z nimi zniknęły cztery konie i większość srebra. – Wicie co to jest?

Anatol skinął głową, wpatrzony w fiolkę, niczym wygłodniały pies w kawałek mięsa. Jego usta ściągnęły się w zwierzęcym grymasie, odsłaniając białe kły. Pozostali Wołosi także wpatrywali się pożądliwie w szklane naczynie.

– Ból-precz – syknął chłopiec.

– To wasza wolność – rzekł książę. – Każdy z was dostanie porcję, która powinna mu wystarczyć na sześć miesięcy.

Anatol drgnął, jakby chciał sięgnąć po fiolkę, lecz książę pokręcił ostrzegawczo głową. Coraz wyraźniej wyczuwał strach, głód, nienawiść i pożądanie przenikające całe pomieszczenie. Mrugnął powieką, a w niewidzialnym świetle natychmiast otoczyła go tarcza, błękitna, lśniąca i roziskrzona. Teraz mógł już spokojnie przemawiać do zgromadzonych przed nim Wołochów. Anatol cofnął rękę, choć widać było, że nadal z trudem opiera się pokusie.

– Każdy z was... – mówił książę powoli i wyraźnie, świadom, że niektórzy

Wołosi mają problemy z łaciną. – Każdy z was dostanie taką fiołkę. Wystarczy jedna kropla na język tygodniowo, byście nie czuli głodu. Każdy z was dostanie taką samą ilość.

Anatol rozejrzał się ukradkiem na boki, co nie uszło jednak uwagi Maksjana. W Konstantynopolu, gdzie wraz z ich przywódczynią, Alais, oddali się w jego służbę, było ich czternastu. Kilku zginęło w bitwie pod Dastagirdem, kilku innych w domu na wzgórzach. Teraz było ich siedmiu. *A w końcu, kiedy pozagryzają się nawzajem, walcząc o ten płyn, zostanie tylko jeden.* Książę pokręcił głową, wiedząc, że jego wysiłek i tak najpewniej pójdzie na marne. Czuł się jednak odpowiedzialny za te istoty. Jego ojciec zawsze przykładął wielką wagę do brania odpowiedzialności za tych, którzy oddają się pod opiekę możniejszych.

– To jest bardzo ważne – mówił dalej, sięgając pod tunikę i wyjmując stamtąd drewniane pudełko z ciemnego, polerowanego drewna. Znalazł je między różnymi drobiazgami w pokoju na piętrze, wciśnięte w kąt. Było proste, pozbawione ozdób i wystarczająco duże, by zmieścił się w nich wisior ułożony na aksamitnej poduszce. Teraz mieściły się w nim cztery arkusze pergaminu pokryte starannie wypisanymi formułami i przepisami. – To wiadomość dla waszej pani, ciemnej królowej. Zanieście jej to i przeproście w moim imieniu za to, że zabrałem was od niej.

Maksjan umilkł na moment, wracając myślami do jasnych oczu i surowej twarzy nocnego gościa. Zastanawiał się, czy którekolwiek z tych dzieci – domyślał się bowiem, że wśród swego ludu są jeszcze dziećmi, które wyrwały się spod opieki matek – ujdzie z życiem przed jej gniewem. Służyli mu dobrze, ale teraz już ich nie potrzebował. Zrobił dla nich wszystko, co mógł, nie był jednak w stanie uchronić ich przed nimi samymi.

– Weźcie też to. – Zdjął z szyi miedziany łańcuszek, na którym wisiała przedziurawiona srebrna moneta. – Kiedyś przekazaliśmy to sobie jako znak dobrej woli. Może znów się wam przysłuży.

Wstał i podał drewniane pudełko oraz monetę Anatolowi. Chłopiec przycisnął je do włochatej piersi.

– To mój prezent dla waszej królowej, dany z dobrej, nieprzymuszonej woli, w nadziei na pokój między naszymi ludami.

Maksjan wcisnął fiołkę w dłoń Anatola i zamknął na niej jego palce.

– Pamiętaj – mówił, spoglądając na chłopca. – Jedna kropla tygodniowo prosto na język. Ni mniej, ni więcej. Teraz już idź, mój chłopcze, i zanieś moją wiadomość do domu.

Anatol wycofał się, przywarł plecami do ściany i powoli przesunął się do drzwi, by potem wymknąć się na zewnątrz. Niektórzy Wołosi wyraźnie mieli ochotę pobiec

za nim, Maksjan zagrzechotał jednak pozostałymi fiolkami, przywołując ich do siebie.

– Wystarczy dla wszystkich... – wyszeptał. Pierwszy Wołoch wpatrywał się weń lśnącymi oczami. Maksjan odpowiedział uśmiechem i włożył fiolkę w dłoń chłopca.

Gajusz Juliusz poprawił kapelusz, osłaniając twarz przed promieniami południowego słońca. Jechał na dereszowatej klaczy, którą kupił na Forum Boarium, kiedy wrócili do Italii. Był to dobry, mocny koń idący równym krokiem, który nie uciekał przed nim ani przed Aleksandrem. Gajusz doszedł do wniosku, że klacz jest pozbawiona wężu, inaczej bowiem dawno już zrzuciłaby go z siodła. Jechali pośród rozległych pól Lacjum, porośniętych złotymi łanami zboża i drzewami owocowymi. Tu i ówdzie widać było małe budynki z białego kamienia, pokryte czerwoną dachówką. Za klaczą szedł koń juczny, obładowany torbami pełnymi książek, świecidełek i amfor wina. To zwierzę nie lubiło Gajusza, więc niosło bagaże.

Aleksander patrzył na północny wschód. Nie nosił żadnego kapelusza, pozwalając, by jego złote loki opadały luźno na ramiona. Pierwszego dnia podróży Gajusz próbował go namówić, by włożył koszulę, lecz młodzieniec uparcie odmawiał. Właściwie Rzymianin wcale mu się nie dziwił – trzy ostatnie dni były niemal idealne, ciepłe, lecz nie przesadnie upalne. Winogrona szykowały się już do dojrzewania, a cała kraina czekała na rychłe nadejście lata. Tego dnia niebo także było czyste, a ziemia pławiła się w ciepłym blasku słońca.

– Co to takiego? – spytał Aleksander, wskazując palcem przed siebie i starając się nie okazywać podziwu, jaki budził w nim widok ogromnej kamiennej budowli. Złożona z trzech warstw łuków, miała około stu stóp wysokości i trudną do określenia długość – jeden koniec nikał między wzgórzami na horyzoncie, drugi zaś sięgał błękitnego dymu unoszącego się nad Rzymem. Widoczna z drogi, wzniesionej ponad okoliczne pola dzięki wysokiemu nasypowi, długa na wiele mil konstrukcja robiła naprawdę wielkie wrażenie. Dla Gajusza był to jeden z najpiękniejszych widoków na świecie.

– To jest Aqua Anio Novus – oświadczył z dumą. – Jedna z arterii Rzymu. To akwedukt, mój przyjacielu, przenoszący słodką wodę Tybru do łaźni, zbiorników i fontann miasta. Zdumiewające przedsięwzięcie, godne mojego ludu.

Aleksander odwrócił się i uśmiechnął szeroko, błyskając białymi zębami.

– Musieliście się ogromnie natrudzić, żeby zbudować coś takiego. Ile tysięcy niewolników zginęło podczas budowy? Egipcjanie byliby dumni, widząc, że poszliście w ich ślady.

Gajusz parsknął i unióśł dumnie głowę.

– To Rzymianie budowali Aquae, a nie Egipcjanie, i dokonali tego własnymi

siłami i pomysłowością. Zajmowałem się niegdyś wodociągami, mój chłopcze, i muszę ci powiedzieć, że nie jest to rzecz błaha.

– Na pewno. – Aleksander pokiwał głową. – To jest prawie tak duże jak piramidy.

– Większe – warknął Gajusz, pochylając się w siodle. – W każdym z ośmiu głównych akweduktów Rzymu jest więcej kamieni niż w tych rozpadających się egipskich monumentach. Zbudowaliśmy je też znacznie szybciej; w ciągu dwunastu lat, a nie całego pokolenia.

Aleksander spojrzał ponownie na akwedukt, a Gajusz bez trudu domyślił się, jakie pytania zajmują teraz umysł jego młodego towarzysza. *A gdybym ja spróbował zbudować coś takiego?* Gajusz uśmiechnął się, wiedząc, że ów młodzieniec marzył o rzeczach jeszcze większych i jeszcze większych rzeczy dokonał.

– Rzym naprawdę dobrze buduje – przyznał wreszcie z ociąganiem Aleksander.

– Owszem – zgodził się z nim Gajusz. – Tak jak kiedyś ty.

– Nie – warknął Aleksander, posepniejąc. – Wszystkie moje marzenia legły w gruzach w ciągu jednego pokolenia. Twoje nadal tu są, siedemset lat po tym, jak zostałeś pogrzebany. Ludzie, których miałem za braci, zamordowali moje dziecko i żonę, powiesili matkę. Wszystko, co pragnąłem zbudować, zamieniło się w ruinę.

– Nieprawda – zaprotestował Gajusz. – Wciąż żyjesz w ludzkich marzeniach i historii. W każdym zakątku świata znają twoje imię; wystarczy powiedzieć Aleksander czy Aleksandros, czy też Iskander, a wszyscy wiedzą, o kogo chodzi. W ludzkiej pamięci na zawsze pozostaniesz młodym i silnym genialnym generałem i zdolnym politykiem. Twój język ojczysty, ta cholerna greka, wciąż używany jest na całym świecie. Dzieła twoich poetów, artystów, rzeźbiarzy i dramaturgów nadal darzone są uznaniem. Dokonałeś czegoś więcej niż Achilles, bo zyskałeś sławę i – po krótkim śnie – znów żyjesz.

Aleksander otrząsnął się niczym mokry pies po wyjściu z wody. Potem uśmiechnął się promiennie, zapominając o złym humorze.

– No właśnie, żyję. I ty także... Naprawdę, dziwna z nas para. Co zrobimy, kiedy dotrzemy w końcu do miasta?

Macedończyk wskazał na majaczące w oddali białe mury Rzymu.

– Cóż, mój chłopcze, też się nad tym trochę zastanawiałem. To nie jest Pełła ani Persepolis, gdzie możemy zabić króla i zająć jego miejsce. Cesarstwo jest zbyt duże i zbyt dobrze rządzone, by mogło dojść do czegoś takiego. Poza tym brakuje nam środków, za które moglibyśmy kupić sojuszników i mecenasów. Musimy też dać się poznać ludowi Rzymu, choć oczywiście nie pod naszymi prawdziwymi imionami!

Aleksander pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Widzę, że rzeczywiście to przemyślałeś.

– Owszem – przyznał z dumą Gajusz, gładząc się po łysej głowie. – To będzie coś niesamowitego! Najpierw musimy znaleźć jakiegoś patrona czy też mecenasa, kogoś, komu będziemy się mogli przysłużyć, szukając jednocześnie przyjaciół, złota i ludzi potrzebnych do realizacji naszych planów. Zdaje się, że wiem, gdzie szukać takiego człowieka. Słyszałem, jak kiedyś książe wspominał o nim Abdmachusowi, nazywając go „przyjacielem w potrzebie”.

– A potem? Co potem, o najszlachetniejszy ze szlachetnych Rzymian? Myślisz, że ta moc, która pełza między kamieniami i przenika wodę, a także powietrze, którym oddychamy, pozwoli ci obalić cesarza i zająć jego miejsce? – pytał Aleksander lekkim tonem, Gajusz wiedział jednak, że młodzieniec jest całkiem poważny. Doskonale go rozumiał – on też nie chciał rezygnować z tej egzystencji.

Pamiętaj o słowach naszego drogiego księcia... klątwa nie jest przezorna – napominał Gajusz swego towarzysza. – Dbaj tylko o to, by cesarstwo nie upadło, nieważne, kto jest cesarzem. Ludzie żyją i umierają. Cesarze mogą umrzeć w wyniku wypadku, choroby lub ze starości. Państwo trwa nadal, a wraz z nim klątwa. Każdy człowiek może zostać cesarzem, byleby tylko zapewniał w ten sposób przetrwanie cesarstwu.

Aleksander gwizdnął z podziwem i uklonił się w siodle przed starszym mężczyzną.

– Twe obycie na forum dobrze nam się przysłuży.

Gajusz Juliusz przyjął komplement. Rozmyślał o wolności już od dłuższego czasu.

*Przybywaj ognisty wierzchowcu. Leć ponad światem, niesiony wiatrem,
przybywaj do mnie!*

Maksjan stał w ciemnościach na szczycie góry. Wiatr szarpał połami jego płaszcza, a dłoń podniesionej ręki otaczał wieniec błękitnych iskier. Daleko w dole rozpościerała się płachta morza i ciemny kształt lądu upstrzony iskrami światła. W górze, na bezkسیężycowym niebie, migotały miriady gwiazd.

Przybywaj Pegazie, odszukaj mnie w dali, pędź przez rozgwieżdżone niebo!

Pośród gwiazd pojawiła się nagle ruchoma czerwona iskra. Maksjan dojrzał ją i rozłożył szeroko ręce obwiedzione niebieskim światłem.

Przybywaj, podniebny rumaku, mknij ku mnie na skrzydłach ze stali!

Wiatr przybrał na moment na sile, zakolysał drzewami, a potem ucichł. Maksjan stał na skraju krateru, wpatrzony w niebo. Opuścił ręce i pozwolił, by jego głos ucichł w oddali. Czerwona iskra była coraz bliżej, zamieniła się w rozciągnięty pędem

powietrza płomień, a potem opadła ku ziemi, przybierając kształt Machiny. Zakryła gwiazdy swymi ciemnymi skrzydłami i wypluła z żelaznych nozdrzy obłok dymu. Potem osiadła na ziemi, wbijając żelazne pazury w piaszczysty grunt. Gdy tylko wylądowała, żelazne skrzydła złożyły się z piskiem. Blask ognia oblał czerwienią pobliskie kamienie i drzewa. Maksjan zmrużył oczy, czekając, aż światło w ślepiach Machiny przygaśnie. Z tyłu dobiegł trzask łamanego drzewa, gdy długi ogon Machiny zwinął się i wyprężył, osadzając jej tylną część na ziemi.

Maksjan podszedł bliżej i spojrzał z czułością w gasnące ślepie Machiny.

Była to pierwsza rzecz, którą wymyślił i zbudował niemal od podstaw, własnymi rękami. Wszystko zaczęło się od stronic starej, niemal całkiem zniszczonej księgi, a właściwie od rysunków rzeczy, która mogła zaistnieć tylko w czyichś snach. Książę potrzebował jednak wiedzy i umiejętności swego przyjaciela, by sen ten urzeczywistnić i przelać weń swą moc.

Maksjan oparł się o ciepłe łuski Machiny i zadrżał, przejęty bólem i poczuciem straty po śmierci Abdmachusa. *Nie chciałem, żeby tak się to skończyło!* Zacisnął mocno powieki, nie zdołał jednak powstrzymać łez, które pociekły strumieniami po jego policzkach. Wiedział, że zabił człowieka, od którego doznał jedynie dobroci, wykorzystał go, a potem wyrzucił jak niepotrzebny już przedmiot. Zawsze, gdy wracał myślami do osoby starego czarownika, dręczyły go straszliwe wyrzuty sumienia.

Wyprostował się i podszedł do wjazdu. Dla postronnego człowieka wjazd był zupełnie niewidoczny, ukryty między srebrnymi łuskami na ciele Machiny, Maksjan podniósł jednak rękę i wypowiedział zaklęcie otwarcia. Fragment srebrnego poszycia wsunął się do wnętrza urządzenia, z którego wypłynęła smuga czerwonego światła. Książę wszedł do środka, stukając butami o żelazny pokład.

Nieco niżej, na zboczu okrytym całunem ciemności, stał wóz, obok niego zaś homunkulus Chiron.

– Chodź, Chironie. Rozładuj wóz i ułóż księgi w ładowni.

To powiedziawszy, książę odwrócił się i zniknął we wnętrzu Machiny.

Chiron drgnął, wyrwany słowami księcia z bezruchu, i zabrał się do pracy. Podniósł skrzynię wypełnioną księgami i zwojami z biblioteki. Na wozie stało jeszcze kilka podobnych skrzyń. Bose stopy Chirona, zakończone długimi szponiastymi paznokciami, jeszcze długo w nocy stuknęły o pokład ładowni.

PAŁAC BUKOLEON, KONSTANTYNOPOL

Herakliusz wbił zęby w poznaczoną bliznami dłoń, starając się stłumić okrzyk bólu. Siedział w toalecie, z ciężką deską na kolanach. Przez okrągłe okna umieszczone pod sufitem małego pomieszczenia wpadał zimny wiatr, od którego cesarz drżał. Nie radził sobie już nawet z najprostszymi czynnościami. Oparł się o deskę, zmęczony podtrzymywaniem swego chorego ciała w pionie. Zza drzwi, gdzie czekali jego gwardziści, dobiegły jakieś szelesty.

– Rufio? – zawołał płaczliwym tonem. – Pomóż mi.

Kapitan gwardzistów wszedł do toalety i z beznamiętną miną wsunął ramię pod rękę Herakliusza. Po chwili dołączył do niego inny gwardzista. Herakliusz odwrócił wzrok; nie mógł znieść litości widocznej w oczach żołnierza. Rufio stęknął z wysiłku, w końcu jednak cesarz wstał i wygładził szaty drżącymi rękami.

– Zaprowadź mnie na balkon. Mamy dzisiaj trochę pracy. Ciemnowłosey kapitan gwardii skinął na swych ludzi, ci zaś ruszyli w głąb korytarza. Z pomocą jednego ze Skandynawów Rufio posadził Herakliusza na krzesło dostosowanym do jego potrzeb. Specjalne pasy podtrzymywały ciało cesarza pod pachami i w talii, a jego nogi spoczywały na jedwabnych poduszkach. Czterech gwardzistów podniosło krzesło, chwytając za drewniane uchwyty. Kiedy cesarz poruszał się po pałacu, wszyscy jego lokatorzy odsyłani byli do innych pomieszczeń. Tylko Rufio, kilku oddanych gwardzistów i brat cesarza mogli na niego patrzeć. Ogromny labirynt Bukoleonu pustoszał, zamieniał się w martwe, zimne miejsce, co przerażało nawet samego Herakliusza.

Kiedy gwardziści wynieśli go na balkon, przekonał się, że dzień jest chłodny i pochmurny. Było to jedyne miejsce w pałacu, z którego mógł patrzeć na niebo; taras na trzecim piętrze, z widokiem na dach świątyni Zeusa Pankratora. Wzdłuż brzegów tarasu stały drzewka w wielkich drewnianych donicach, dzięki czemu miejsce to było niewidoczne z ziemi i innych okien pałacu. Co ważniejsze, nie było stąd widać morza.

Odkąd zaczęła się jego dziwna choroba, widok morza napełniał Herakliusza irracjonalnym strachem. Wiedział, że to śmieszne, ale nie mógł patrzeć na ciemne fale Propontydy ani nawet na wypełnioną wodą wannę. Gdy tylko patrzył na wodę, jego myśli kierowały się ku cieczy wypełniającej jego rozdęte nogi i przyprawiały go o dreszcz przerażenia. Wciąż czuł pragnienie, z trudem jednak zmuszał się do picia. Tolerował tylko doprawione żywicą wino i słodki sok jagodowy.

Przez niebo przepływała niekończąca się procesja pierzastych chmur. Od czasu do czasu słońce przebijało się przez cienką zasłonę obłoków, oblewając taras ciepłymi promieniami. Herakliusz westchnął i wystawił twarz do słońca. Tutaj, w tym

małym ogrodzie, w otoczeniu zaufanych przyjaciół, czuł się niemal dobrze. Gwardziści postawili jego krzesło przy bogato zdobionym, drewnianym stole umieszczonym pod gałęziami kwitnących drzew cytrynowych. Na blacie stołu leżały jakieś dokumenty oraz pióra, kałamarz i pojemnik z piaskiem.

– Czym mamy się dziś zająć? – spytał Herakliusz, posyknając cicho z bólu. Rufio skinął głową na gwardzistów, którzy wycofali się na skraj tarasu, pomiędzy gęste drzewa i krzewy. Kapitan stanął przy stole, zakładając ręce za plecy.

– Autokratorze, przede wszystkim trzeba ustalić podatek. Wszystkie prowincje doniosły już o zakończeniu powszechnego spisu. Teraz gubernatorzy i legaci czekają na twoją decyzję o wysokości podatku.

Herakliusz uśmiechnął się słabo, przeniknięty kolejną falą bólu. Mimo to podniósł pierwszy z brzegu pergamin i przeczytał raport o wynikach spisu powszechnego.

– Dobrze. Zaskoczmy ich, mój dobry Rufio. Obniżam wysokość podatku.

Podniósł pióro, zanurzył je w kałamarzu, i napisał powoli edykt określający wysokość podatku w całym Cesarstwie Wschodnim. Zignorował wyraz zaskoczenia, który pojawił się na moment na twarzy kapitana gwardzistów. *Zadziwię ich moją hojnością! Odbijemy sobie te braki, kiedy już zaprowadzimy porządek na nowych terenach.*

Złożywszy swój podpis na dole dokumentu, Herakliusz podał go kapitanowi.

– Posyp to piaskiem – polecił drżącym głosem, a potem opadł na oparcie krzesła, dysząc ciężko. – Dopilnuj, by do wieczora były gotowe kopie dla wszystkich gubernatorów, sprawdź też, czy zostały należycie sporządzone. Potem... – Urwał na moment, by złapać oddech. – Potem roześlij kopie do wszystkich miast i miasteczek. Ten edykt ma się znaleźć na każdym forum i każdej agorze, wystawiony w widocznym i dostępnym dla wszystkich miejscu. Każdy obywatel cesarstwa ma się w ciągu miesiąca dowiedzieć, czego od niego oczekuje.

Rufio uklonił się i podszedł do drzwi z boku tarasu. Herakliusz wiedział, że za drzwiami kryje się grupa urzędników, skrybów i ministrów czekających na jego decyzje w kwestiach kluczowych dla funkcjonowania państwa. Nigdy nie lubił tych przebiegłych ludzi o ograniczonych umysłach, łasych na przywileje i łapówki. Teraz miał doskonałą wymówkę, by pozbyć się ich towarzystwa. Była to jedna z niewielu zalet jego obecnego stanu.

Kiedy kapitan gwardii powrócił, cesarz przywołał go do siebie gestem dłoni.

– Co teraz?

Twarz Rufia przybrała jeszcze bardziej obojętny wyraz, nawet jego oczy wydawały się całkiem nieruchome. Kapitan podsunął na skraj stołu dwa listy obwiedzione fioletowym paskiem. Herakliusz zeszywniał i skrzywił twarz

w grymasie niechęci. W takich listach znajdowały się prośby od rodziny królewskiej. Próbował podnieść rękę i odsunąć je od siebie, lecz Rufio przemówił wcześniej:

– Autokratorze... cesarzowa pragnie się z tobą zobaczyć. Chce pokazać ci twojego syna.

Herakliusz wzdrygnął się, jakby ktoś uderzył go w twarz. Jeszcze niedawno myślał, że Rufio nawet nie wie, czym jest miłość, współczucie czy sumienie, lecz teraz słyszał w jego zimnym, na pozór beznamietnym głosie szczerą prośbę. Herakliusz pomyślał o żonie, swojej siostrzenicy – młodej i pięknej, pełnej życia i niezaspokojonego głodu wiedzy – a ta myśl gorsza była od bólu, który obejmował jego nogi i podbrzusze. *Gdyby mnie zobaczyła, nabrałaby do mnie obrzydzenia, jej piękne brązowe oczy wypełniłyby się strachem...*

– Czy... czy mój syn jest zdrowy? Czy jest silny?

Rufio stał w całkowitym bezruchu, wpatrzony w przestrzeń nad głową cesarza. Milczał.

– Odpowiadaj! – syknął wściekle Herakliusz, szukając wzrokiem jakiejś broni.

– Żyje – odrzekł wreszcie Rufio. – Wszystko wskazuje na to, że będzie silny i zdrowy.

– Dość... – Herakliusz odwrócił wzrok. *Nawet moja krew jest zepsuta. Bogowie mnie przeklęli.* – Spotkam się z cesarzową kiedy indziej – powiedział, odsuwając nietknięty list na bok. – Co jest w tym drugim?

Rufio otworzył list i położył go przed cesarzem. Herakliusz zmarszczył brwi, dostrzegłszy w ruchach gwardzisty pełną rezerwy sztywność. Wydawało się, że podczas gdy pierwsza prośba szczerze go wzruszyła, ta budziła jego gniew, a może nawet nienawiść. Herakliusz spojrzał nań pytająco.

– Co to jest?

– Książę Teodor – mówił Rufio przez zaciśnięte zęby – prosi, byś pozwolił mu przysłać jeszcze jednego lekarza. To mistrz zakonu Asklepiosa.

– Jak to możliwe? – Herakliusz był wściekły. – Co on jeszcze robi w mieście? Powinien już dawno być w drodze do Ktezyfonu. – Herakliusz przycisnął drżące z gniewu dłonie do blatu stołu.

Rufio skinął sztywno głową.

– Takie były twoje rozkazy, panie, lecz książę odmówił ich wykonania. Mówi, że za bardzo cię kocha, by zostawić cię samego w chorobie. – Wydawało się, że kapitan ma ochotę powiedzieć coś jeszcze, ale zamilkł.

– Bzdura! Jeśli będzie zwlekał, perscy *dihkuans* zjednoczą siły i przejmą kontrolę nad ziemiami pomiędzy dwiema rzekami. Sprowadź go tutaj natychmiast.

Rufio skinął głową, a potem odwrócił się i podszedł do jednego ze swych ludzi.

Herakliusz wbił zęby w dłoń, ogarnięty bezsilną złością. Czasami jego lekkomyślny brat doprowadzał go do pasji. Wiedział też, że coś niedobrego dzieje się za jego plecami; zachowanie Rufia było wystarczająco czytelne. Przebywając w mieście w czasie, gdy jego brat leżał złożony chorobą, Teodor mógł paść ofiarą przebiegłych pochlebców i intrygantów. Zbyt dużo czasu upłynęło już od ostatniego publicznego wystąpienia cesarza. Miasto na pewno huczało od plotek o jego śmierci, szaleństwie lub czymś jeszcze gorszym. Ambitny i zdrowy brat mógł łatwo wykorzystać taką sytuację.

A do tego, rozmyślał posepnie Herakliusz, nie znosi Martyny... Muszę coś z tym zrobić.

– Natychmiast udasz się do Tyru na wybrzeżu Fenicji. Zabierzesz większą część floty i cztery legiony. W Damaszku jest już jeden legion, który przyłączy się do twoich sił.

Herakliusz zamilkł na moment, spoglądając groźnie na swego młodszego brata, który stał przed nim na tarasie, nieco zszokowany tym nagłym atakiem. Uwagi cesarza nie uszedł fakt, że Teodor wyglądał bardzo elegancko w świeżych czerwonych szatach obwiedzionych fioletową lamówką, złotych butach i wypolerowanym napierśniku z cesarskimi orłami i wieńcem laurowym. Jego broda była elegancko przystrzyżona, włosy starannie ułożone. Idealny obraz zwycięskiego oficera. Bardzo zachodni. *I taki zdrowy...*

– Korzystając ze wsparcia tych sił oraz wszelkich miejscowych oddziałów, które uznasz za godne zaufania, obejmiesz rządami cesarstwa te ziemie, które należały dotąd do władców Palmyry i Nabatei. Utworzysz garnizon w każdym dużym mieście, usuniesz dotychczasowych gubernatorów, sędziów i administratorów i zastąpisz ich naszymi ludźmi.

Teodor pobladł, dotknięty lodowatym tonem cesarza.

– Ale... – wykrztusił i umilkł na moment, by zapanować nad swoim głosem. – Miałem przecież jechać do Persji. Co z planami odbudowy Ktezyfonu jako stolicy rzymskiej Azji?

Herakliusz odwrócił głowę i spojrzał na Rufia, choć kosztowało go to wiele wysiłku.

– Kto... – wy dyszał – kto dowodzi teraz armią w Antiochii?

– Wahań, panie. Ormianin.

– Pamiętam go. – Herakliusz zamyślił się na moment. – Wyślij mu nowe rozkazy. Niech zabierze pięć legionów na wschód i umocni nasze panowanie nad drogami wiodącymi do Ktezyfonu i nad tamtejszymi ziemiami. Mój brat, obsadziwszy wojskami miasta arabskiego pogranicza, może do niego dołączyć. Wahań zostanie na

razie gubernatorem Persji.

Teodor zachłysnął się z gniewu. Został właśnie pozbawiony nagrody, której tak bardzo pragnął, a jego miejsce zajął jakiś najemnik z barbarzyńskiego kraju. Księżę otworzył usta, by zaprotestować, cesarz jednak obrócił ku niemu swe umęczone oczy i przemówił pierwszy:

– Ty... ty dopilnujesz, by podatki z Deca polis trafiały bezpośrednio do skarbcza cesarstwa. Ich armie zostały rozbite pod Emesą albo starte na proch w Palmyrze, więc masz ułatwione zadanie. Postaraj się załatwić to jak najszybciej. Opuścisz stolicę w ciągu tygodnia.

– Ale... – Teodor rozłożył ręce w błagalnym geście. – Sprowadziłem innego lekarza...

– Wynocha – warknął Herakliusz i odwrócił się od swego brata, dysząc ciężko. – Mam już dość tych twoich szarlatanów.

Już siedem razy przeróżni lekarze i kapłani pochylali się nad nim, złani potem, by uleczyć go swoją mocą. Siedem razy im się nie udało. Kto mógł sprzeciwić się gniewowi bogów?

Rufio delikatnie ujął księcia za ramię i odprowadził do drzwi pałacu. Po chwili Teodor wyrwał rękę z uścisku i spojrzał gniewnie na kapitana. Ten odpowiedział mu spokojnym spojrzeniem. Rozwścieczony księżę sapnął tylko gniewnie i zniknął za drzwiami, ponury jak chmura gradowa. Rufio wydał usta w zamyśleniu. Cesarz był bardzo zmęczony i musiał wkrótce wrócić do łóżka. Interesy państwa ogromnie cierpiały z powodu jego choroby.

– Svirod, chodź tutaj.

Młody Skandynaw z długimi, splecionymi w warkocze włosami, który przedtem pomagał nieść Herakliusza, stał w korytarzu i rozmawiał przyciszonym głosem z siwobrodym mężczyzną w stroju achajskiego kapłana. Teraz przeprosił kapłana i podszedł do Rufia. W odróżnieniu od wielu swych towarzyszy Svirod mówił dobrze po grecku. Rufio pochylił się ku niemu, zerkając na cesarza, który wpatrywał się w niebo.

– Znajdź cesarzową i spytaj, czy zechce mnie dzisiaj przyjąć. Potem wróć do mnie, prawdopodobnie będę w komnatach cesarza.

KWIRYNAŁ, ROMA MATER

Thyatis wypuściła powietrze z płuc, obserwując, jak obłoczek pary rozplywa się w powietrzu. Nieoczekiwany atak chłodu zaskoczył obywateli, którzy myśleli, że lato nastąpiło już na dobre, i pokrył kwiaty w ogrodzie księżnej cienką warstwą szronu. Ogrodnik Petro był wściekły, przeklinał kapryśność bogów i kazał swym pomocnikom przykryć wszystkie rośliny grubym płótnem. Tuż przed świtem świat wydawał się jeszcze zimniejszy.

– Dlaczego o tej porze zawsze jest tak zimno? – pytała Thyatis i choć miała na sobie gruby futrzany płaszcz w germańskim stylu, trzymała dłonie pod pachami, licząc na to, że w ten sposób choć trochę je ogrzeje. Była zziębnięta i niewyspana, cały świat działał jej na nerwy. Stała pośrodku podwórza przed domem księżnej. Dokoła kręcili się jej ludzie, przygotowując się do wyjazdu. – Przecież noc już się kończy, powinno robić się cieplej.

– Wcale nie jest tak zimno – rzucił Nikos, przechodząc obok niej z wiązką włóczni na ramieniu. Ubrany był tylko w lekką koszulę i wełniane spodnie. Thyatis obrzuciła go ponurym spojrzeniem, Hir jednak wcale się tym nie przejął. Jego lud od wieków żył z połowów na zimnych wodach Adriatyku i dawno już przywykł do chłodu. Nikos uwielbiał zimno. Z drugiej jednak strony uwielbiał też upały. Thyatis uważała to za niesprawiedliwość losu. Temperatura powinna być taka sama przez cały rok, rozmyślała.

– Pani.

Thyatis odwróciła się i zobaczyła Jusufa, który wyszedł właśnie z domu księżnej. Na podwórzu wisiało kilka latarni, które oświetlały gorączkowe przygotowania do wyjazdu. Ich blask okrywał cieniem połowę twarzy Chazara. Thyatis uśmiechnęła się przyjaźnie; ostatnio nie miała zbyt dużo czasu, by porozmawiać z księciem.

– Wyjeżdżasz dzisiaj?

Jusuf skinął głową i dotknął palcami ciemnoniebieskiej tuniki o czerwonych obszyciach i wojskowym kroju. Jego ramiona okrywała peleryna z ciężkiej zielonej wełny. Na nadgarstkach błyszczały złote bransolety. Chazar jakby nie mógł się nadziwić delikatnej strukturze tkaniny i ciągle pocierał ją palcami.

– Tak, ale najpierw mam rozmawiać z tym waszym cesarzem. Anastazja mówi, że rozmawiał z Sahulem tuż przed jego śmiercią. Będziemy dyskutować o „przyjaźni” między naszymi ludami.

Słowa księcia spowodowały, że Thyatis poczuła, jakby wszystko odwróciło się do góry nogami, przez chwilę miała nieodparte wrażenie, że oddziela się od własnego ciała i patrzy na nie z góry. Myśli kłębiły się bezładnie w jej głowie: barbarzyńca

w pięknych szatach, księżna nazwana po imieniu niczym jego kochanka, wspomnienie śmierci jej przyjaciela. Zamrugnęła gwałtownie powiekami i zakasłała, zakrywając usta dłonią. Dziwne uczucie minęło.

– Przeszedłeś długą drogę, odkąd spotkaliśmy się po raz pierwszy w środku lasu.
– Uśmiechnęła się smutno.

– Tak – odparł równie smutnym tonem. – Sprowadziłaś mnie na złą drogę.

– Coś mi się wydaje, że inni poprowadzili cię nią jeszcze dalej – odparła Thyatis cierpko i natychmiast tego pożałowała. – Przepraszam!

– Nie szkodzi – powiedział cicho Jusuf, spuszczać głowę. Thyatis stwierdziła ze zdziwieniem, że Chazar się czerwieni. – Będę miał o czym opowiadać, kiedy wrócę do swoich. Strasznie mi głupio... Byłem marudny i uparty jak osioł przez cały ten czas, kiedy dowodziłaś nami w Persji.

Thyatis roześmiała się cicho i położyła odzianą w rękawicę dłoń na jego ramieniu. Jusuf uściskał ją lekko.

– Bez was by mi się nie udało. Nigdy nie poznałabym Szirin. Jej dzieci zostałyby cichcem uduszone, a ona żyłaby w niewoli na wschodnim dworze.

– To prawda. Moja rodzina i ja wiele ci zawdzięczamy, Thyatis. Nawet gdy wrócę już do Scytii i zasiądę wśród starszych mego ludu, nie zapomnę o tobie.

– Nie możesz – odparła Thyatis, unosząc lekko brwi. – Przyjedziemy cię odwiedzić, gdy tylko będziemy mogli: ja, Szirin i dzieci. Kiedy zrobi się bezpieczniej, dopłyniemy do Tanais i przejedziemy do was łądem. A jeśli zapomnisz o mnie do tego czasu, będę musiała zdrowo cię walnąć...

Jusuf znów się zaczerwienił i podniósł rękę w rzymskim pozdrowieniu.

– Do rychłego spotkania.

– Tak jest. – Thyatis skinęła głową i odwróciła się, pochłonięta już całkowicie czekającym ją zadaniem.

Księżna wybierała do swych tajnych zadań ludzi potrafiących właściwie zareagować w każdej sytuacji i niecofających się przed użyciem różnych form przemocy. Thyatis długo spierała się z nią o skład grupy, która miała wyruszyć na południe. Za nic w świecie nie chciała włączyć do niej kilku dodatkowych wojowników, Anastazja była jednak uparta. Stawka tego przedsięwzięcia była zbyt wysoka, by mogli sobie pozwolić na najmniejsze ryzyko. Powróciły też do rozmowy o Kriście i jej roli w wyprawie. Thyatis ponownie odmówiła przyjęcia jej do grupy. Tym razem Anastazja zgodziła się z nią bez większych oporów. Thyatis nie spotkała już potem ciemnowłosej służącej, choć wiedziała, że kręci się gdzieś po domu.

Do grupy złożonej z Thyatis, Nikosa, Efraima, Karmiego i Anagatiosa dołączyło

siedmiu ludzi. Wszyscy byli legionistami, którzy mieli za sobą wiele lat służby. Thyatis odbyła kilkugodzinne sparingi z każdym z nich. Tak jak przypuszczała, doskonale władali wybraną przez siebie bronią i byli niesamowicie szybcy. Czterech z nich było wyśmienitymi włócznikami, trzej pozostali znakomicie strzelali z łuku. Nie zgrali się jeszcze do końca z zespołem, ale Thyatis była przekonana, że poradzi sobie z tym bez większych problemów. Jak zawsze, polegała głównie na Nikosie i Chazarach. Wciąż nie mogła odżalować swego pierwszego zespołu, który został wybity w pułapce nad jeziorem Wan – potrzebowała długich lat, by odbudować tak dobraną grupę.

Na podwórzu rozległ się nagle przesywający gwizd, a najemnicy odsunęli się od wozu. Ułożyli właśnie ostatnie arkubalisty i pęki strzał, po czym nakryli wszystko warstwą słomy i dwiema warstwami koców. Z drzwi magazynu wydrażonego pod domem księżnej, w zboczu góry, wyszedł Nikos i Anagatios. Każdy z nich niósł małą drewnianą beczułkę owiniętą pasami żelaza. Szli bardzo powoli, ostrożnie stawiając każdy krok, by nie szarpnąć żadną z beczulek ani jej nie upuścić.

Thyatis uśmiechnęła się, błyskając w ciemności białymi zębami. Skoro ten homunkulus nie mógł krwawić i umrzeć jak człowiek, należało go po prostu unicestwić. Młoda Rzymianka kołysała się na piętach, ogromnie z siebie zadowolona. Księżna utrzymywała na terenie całego cesarstwa sieć informatorów, szpiegów i posłańców, lecz zakup tych beczulek jeszcze wzmocnił jej władzę. Cesarski edykt kategorycznie zabraniał osobom prywatnym posiadania substancji zamkniętej w tych dwóch pojemnikach – lecz czymże jest władza, z której się nie korzysta?

Hir starannie ułożył baryłkę w gnieździe umoszczonym z koców i owinał ją jeszcze jednym wełnianym nakryciem. Anagatios zrobił to samo ze swoją beczułką, po czym obaj nakryli je dodatkowymi kocami. Dwaj legioniści zajęli miejsca na siedzeniu woźnicy. Cztery muły zaprzęzione do wozu przestępowały niecierpliwie z nogi na nogę.

Thyatis rozejrzała się dokoła, sprawdzając, czy pozostali członkowie grupy zajmują już swoje miejsca. Nerwowy ucisk w żołądku zniknął, ustępując miejsca chłodnej pewności siebie i opanowaniu, które zawsze odczuwała tuż przed przystąpieniem do realizacji planu. Za pół klepsydry mieli się znaleźć przy Bramie Appia i wyjechać drogą na południe. Policzyła swych ludzi. Wszyscy byli obecni. Stajenny przyprowadził jej konia, a Thyatis wzięła od niego wodze. Wbrew obowiązującej w mieście modzie nosiła długie ciepłe wełniane spodnie. Spojrzała w górę, na okna willi.

W jednym z nich widać było sylwetkę księżnej odzianej w biały płaszcz z kapturem. Thyatis podniosła rękę w pożegnalnym geście. Anastazja odpowiedziała

jej tym samym.

– Otworzyć bramę!

W chłodnym powietrzu jej głos wydawał się donośny, lecz szczęk łańcucha i zgrzyt otwieranej bramy szybko go zagłuszył. Służący rozstąpili się na boki, gdy ciężki wóz wytoczył się na ulicę. Dwie lampy zawieszane na metalowych kołkach z przodu wozu zakołysały się gwałtownie, omiatając bruk nierównymi kręgami światła. Thyatis ruszyła za wozem, otulona szczelnie płaszczem. Nikos, Anagatios i pozostali jechali tuż za nią. Ich konie parskaly głośno, niezadowolone. Mądre zwierzęta, pomyślała Thyatis. O tej porze chcą być w swoich ciepłych stajniach i smacznie spać.

– Za jakąś klepsydrę będą już na drodze wiodącej na południe – powiedziała księżna, odwracając się od okna. Choć nad miastem dopiero wstawał nowy dzień, Betia już od dawna zajmowała się jej toaletą; nakładała złote drobiny na jej długie rzęsy, wygładzała skórę cienką warstwą masy ze sproszkowanych pereł i arsenu, podkreślała policzki. Rosnące wymagania cesarza od miesiący zmuszały ją do ciężkiej pracy, podkopywały zdrowie i rujnowały urodę. Pod ciepłym futrzanym płaszczem księżna nosiła tego dnia skromną suknię z czarnej wełny obwiedzionej srebrną nicią. Najnowszym pomysłem Galena były spotkania o wschodzie słońca przy kielichu grzanego wina i świeżym chlebie z masłem. Anastazja doskonale rozumiała intencje cesarza – wymęczeniu całonocną rozpustą konsulowie, trybuni i ministrowie skłonniejsi byli do współpracy i ustępstw – i także chętnie wykorzystałaby taką okazję, gdyby sama nie była okropnie zmęczona.

– A ja? – Krista stała w drzwiach pokoju, z dala od okna. Ciemne włosy młodej kobiety splecione były w warkocz i przewiązane rzemykiem. Ubrana była w ciemnozieloną, prawie czarną tunikę i spódnicę oraz stary skórzany pas, do którego przypięła dwa noże i krótki miecz. Podobnie jak księżna narzuciła na ramiona długi płaszcz z kapturem. – Gdzie ja będę?

Księżna westchnęła i wyciągnęła do niej rękę, ozdobioną łańcuchami roziskrzonych pereł. Krista postąpiła o krok i ujęła jej dłoń.

– Będiesz na grzbiecie szybkiego konia, w drodze do Ostii, moja droga. Czeka tam na ciebie „Parys”, moja galera. Kapitan to jeden z moich kurierów. Zabierze cię do Kurne, a stamtąd możesz już w ciągu kilku godzin dojść na piechotę do willi księcia. Wyprzedzisz Thyatis i jej ludzi co najmniej o dwa dni.

Anastazja wcisnęła w dłoń Kristy trzos z wytłaczanej skóry, ciężki i brzęczący.

– Powinno wystarczyć – uśmiechnęła się księżna. – Możesz za to kupić, co tylko zechcesz: konie, gladiatorów, niewolników, broń. W Kurne wypoczywają sami

bogacze, więc miejscowi kupcy starają się zaspokoić wszystkie ich potrzeby. – Anastazja umilkła na moment, a potem nachyliła się ku dziewczynie. – Jesteś tego pewna? Nie musisz narażać się na takie niebezpieczeństwo.

Krista roześmiała się gorzko.

– Dopóki śliczny książę żyje, żadna z nas nie jest bezpieczna. Dopiero gdy uda nam się go zabić, będziemy mogły spokojnie odetchnąć. Zrozum... Ja muszę go zabić. – Ciemnowłosa dziewczyna zacisnęła dłonie w pięści. – Muszę.

Anastazja otworzyła usta, by spytać, dlaczego jej służąca musi to zrobić, rozmyśliła się jednak. Między tym dwojgiem coś się wydarzyło, coś, co wykraczało poza zwykłe relacje mężczyzny z kobietą. Widziała ogromną determinację w oczach Kristy. Sytuacja i tak była już bardzo napięta, toteż księżna wolała nie wywoływać nowych problemów. W końcu to, jaką śmiercią miał umrzeć piękny książę, nie miało większego znaczenia.

– Skoro tak uważasz... – powiedziała. – Potrzebujesz czegoś jeszcze? Krista zacisnęła usta i pokręciła głową.

– Mam już wszystko – oświadczyła, chowając trzos. – Zegnaj, pani. Anastazja skłoniła lekko głowę i wypuściła dłoń Kristy z uścisku.

– Powodzenia.

Młoda kobieta odwróciła się i zbiegła po schodach. Księżna westchnęła ciężko i usiadła za biurkiem. Dzień dopiero się zaczynał. Sięgnęła po stertę raportów i zamrugała kilkakrotnie powiekami, odganiając senność.

CZERWONY PAŁAC, PETRA, NABATEA

Promienie słońca padały na blat stołu z cętkowanego trawertynu. Światło wydobywało z głębi kamienia kremowe i rdzawe wzory, wymieszane ze strumieniami ciemniejszego, czerwonego materiału. Mahomet przyciskał dłonie do gładkiej, chłodnej powierzchni. Obok stał dzbanek z jasnozielonej porcelany i miedziany flakon ze świeżo przyciętymi kwiatami. Pałacowe ogrody, podlewane wodą doprowadzaną z miejscowego źródła, były prawdziwą uczcią dla oczu. Zapach tysięcy kwiatów wypełniał komnatę i wypływał na zewnątrz, niesiony lekkim wiatrem.

Mahomet stał przy stoliku, wpatrzony niewidzącym wzrokiem w dachy miasta. Drżał na całym ciele. Stukot końskich kopyt i odległe krzyki handlarzy z targu Trajana nie docierały do jego umysłu. Grube krople potu rosily jego czoło, łączyły się ze sobą i spływały wąskimi strużkami po twarzy i szyi. Cienka kremowa koszula oblepiała muskularne ramiona i plecy. Powietrze wokół drżało przeniknięte ledwie słyszalnym buczeniem.

Wreszcie moc uwolniła jego umysł i ciało. Kurajszyta chwycił łąpczywie powietrze, odzyskując powoli wzrok i słuch. Oderwał dłonie od blatu stołu i chwiejnym krokiem doszedł do krzesła.

– Szlachetny Mahomecie, chciałabym z tobą pomówić. – Głos młodej kobiety, która weszła do pokoju, wydawał się zaskakująco stary i zmęczony. Przystanęła, przyglądając się ze zdumieniem, jak arabski wódz opada na wiklinowe krzesło, krańcowo wyczerpany. – Źle się czujesz?

Mahomet podniósł na nią wzrok. Palmyrka stała na lekko rozstawionych nogach, podparta pod boki, i przyglądała mu się badawczo. Była ubrana w czarną tunikę nałożoną na pancerz z żelaznych łusek. Jej ramiona okrywały luźne pustynne szaty, spod których wystawała rękojeść szabli. Miała też na sobie ciężkie skórzane buty do jazdy konnej i szeroki pas legionisty.

– Witaj, szlachetna Zoe – przemówił Mahomet. – Jesteś gotowa? Twarz dziewczyny pozostała beznamietna, choć jej brwi powędrowały lekko w górę.

– Moi ludzie i ja jesteśmy gotowi od tygodni. Twój także. Mamy już dość koni i wielbłądów dla kawalerii. Skonfiskowaliśmy wszystkie wozy w mieście i okolicy. Beczki na wodę są pełne, kwatermistrzowie zadowoleni z ilości zapasów. Marnujemy czas na niekończące się ćwiczenia i manewry, w których tak lubuje się ten twój generał. Nawet pogoda nam sprzyja. A jednak wciąż czekamy na twoją decyzję.

– Czekaliśmy – odparł cicho Mahomet. – Czekaliśmy na słowo Miłosiernego.

– Czyżby w końcu nadeszło? – Zoe przystąpiła do stołu, blada z gniewu. Jej niecierpliwość była już dobrze znana wszystkim Sahabom. Dżalal powtarzał często,

że chętnie obdarłaby *chamszina* ze skóry za to, że tak długo zwleka z wymarszem.

– Jesteś gotowa? – odpowiedział pytaniem na pytanie Mahomet. Zmęczenie szybko go opuszczało. Czuł, jak nowa energia wypełnia wszystkie członki jego ciała.
– Nie mówię o twoich ludziach ani o twoim kuzynie, mówię o tobie.

Zoe uśmiechnęła się drwiąco. Włosy opadały na jej ramiona splątana masą. Mahomet wiedział od swoich szpiegów, że dziewczyna całymi godzinami przesiaduje zamknięta w grobowcu swej ciotki. Zmarła królowa leżała w marmurowym katafalku wyciągniętym z innego grobowca. Zoe wędrowała też po kanionach i wąwozach przecinających wzgórze wokół miasta, zaglądała do pustych grobowców i rozpadlin. Niektórzy ludzie Mahometa widzieli tam czasami dziwne kształty i postacie, przypominające ludzi, choć mniejsze, jak przemykały między zniszczonymi posągami i głazami. Wydarzyło się tam wiele zła. Mahomet wyczuwał je niczym żar bijący od pól lawy An-Nafud.

– Jestem gotowa – warknęła, krzywiąc się pogardliwie. – A ty?

– Pan przemówił – odrzekł Mahomet, skłaniając głowę. – Moc, która porusza fale i daje blask słońcu, przemówiła z czystego powietrza. Wyruszymy, gdy tylko zelzeje upał.

Zoe uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając poźółkłe zęby. Jej oczy zapłonęły radością.

– Chwała bogom! Natychmiast powiadomię o tym Chalida i Odenatusa! Odwróciła się, by wyjść z pokoju, lecz Mahomet powstrzymał ją, dotykając lekko jej dłoni. Skóra dziewczyny była zimna jak lód.

– Nie – powiedział. – Pojedziemy sami. Wielbłądy będą na nas czekać u podnóża gór Dżabal Harun.

Zoe spojrzała nań gniewnie spod nastroszonych brwi. Mahomet omal się nie roześmiał, widząc jej irytację. Młoda Palmyrka była bardzo niecierpliwa. Każda cząstka jej ciała pragnęła uwolnić wypełniający ją gniew i nienawiść w ataku niepohamowanej przemocy. W pałacu była prawdziwym postrachem służących. Kiedy miała zły humor, należało przed nią chować wszystkie kruche naczynia i przedmioty. Czasami rozbijała nawet płytki podłogowe. Służący, którzy byli szczególnie wrażliwi na takie rzeczy, dawno już opuścili królewski pałac. Gniew kipiący w ciele i umyśle królowej mógł być bardzo niebezpieczny w połączeniu z jej niezwykłymi zdolnościami.

– Dokąd pojedziemy? Sami? Dlaczego?

Mahomet podniósł szablę i przypiął ją do pasa. Nie spieszył się, czekając, aż młoda kobieta nieco ochłonie. Wreszcie przemówił ponownie:

– Kilka dni jazdy stąd leży miasteczko, a właściwie miasto. Głos przemawiający

z powietrza kazał mi cię tam zabrać i stanąć na szczycie wzgórza. Będziemy jechać nocą, by dotrzeć tam jak najszybciej. To nie potrwa długo.

Kurajszyta założył kaptur, zasłaniając głowę i twarz. Słońce nie oszczędzało nikogo.

– Co to za miasto? – Zoe była zaskoczona i poirytowana faktem, że Mahomet nawet się nie zająknął, kiedy próbowała nagiąć jego wolę do swojej. Zmarszczyła brwi, wyęzając wszystkie siły, a jej moc objawiła się jako delikatna mgiełka oddzielająca ją od Mahometa. Kurajszyta czuł, że coś napiera na jego umysł, było to jednak coś równie słabego i odległego jak powiew wiatru na pustyni.

– W dawnych czasach ludzie nazywali je Jerozolimą. Ja nazywam je *al-kuds*. Zoe zmarszczyła brwi, zaskoczona.

– „Święte”?

– Tak – odrzekł Mahomet, ruszając do drzwi. – To jest właśnie takie miejsce.

Na nocnym niebie królował wielki, biały księżyc w pełni. Zoe czuła jego blask na twarzy niemal równie wyraźnie jak promienie słońca, choć to światło było blade i zimne. Jechali, odkąd słońce skryło się za poszarpaną linią gór otaczających Czerwone Miasto. Dosiadali dwóch czarnych wielbłądów o uprząży zdobionej frędzlami. Zwierzęta truchtały równym krokiem, żwawo pokonując kolejne mile. Zoe kiwała się miarowo na grzbiecie swego wierzchowca i patrzyła na oblaną srebrnym blaskiem pustynię. Księżyc świecił tak jasno, że prócz niego na niebie widoczne były tylko najjaśniejsze gwiazdy.

Czas płynął powoli, choć wielbłądy nie ociągały się ani nie zwalniały kroku. Nim księżyc wydzwignął się na środek nieboskłonu, jechali już wzdłuż piaszczystego brzegu długiego, wąskiego jeziora, które rozciągało się po ich prawej ręce. Po lewej widzieli czarne, poszarpane kształty górskich szczytów i urwisk. Od wielu już godzin nie napotkali żadnego śladu ludzkiego życia, nie widzieli wiosek, miast ani świateł ognisk. Starożytna droga, której trzymali się od początku podróży, zaprowadziła ich na drugi kraniec jeziora, a potem między wzgórzami. Zoe dawno już straciła rachubę kamieni milowych, które minęli od wyjazdu z Petry.

Przez cały ten czas Mahomet nie wypowiedział ani słowa.

Zoe też nie miała ochoty przerywać milczenia. Sapanie wielbłądów, grzechot kamieni pod ich kopytami, pobrzękiwanie uprząży – te dźwięki doskonale łączyły się z ciszą nocy. Myśl o ludzkiej mowie napełniała ją znużeniem. Od czasu do czasu zapadała w drzemkę, pozwalając wielbłądowi nieść się naprzód. Po jakimś czasie zerwał się lekki wiatr, który rozwiewał jej włosy i ubrania. Zoe podniosła głowę, poddając twarz tej delikatnej pieszczocie.

Droga wiła się między wzgórzami o nagich skalnych szczytach. Zbocza,

porośnięte krótką trawą i upstrzone białymi głazami, podzielone były na mniejsze pola i pastwiska, których granice wyznaczyły niskie murki ułożone z kamieni. Poniżej, w piaszczystych dolinach, rozciągały się sady i ogrody. Wielbłądy przemykały cicho drogą między górskimi wioskami. Księżyc nadal stał wysoko na niebie, powoli jednak zmierzał ku zachodowi. Budynki leżały uśpione w jego srebrnym blasku. Co dziwne, ciszy nocy nie przerywało szczekanie psów. Zoe zaglądała do mijanych zagród, patrzyła na uśpione owce i kozy.

Przejechali przez sad pełen kwitnących drzew pomarańczowych i zatrzymali się na krawędzi górskiego grzbietu, skąd rozciągał się widok na szeroką, płaską dolinę. Po drugiej stronie doliny, na szczycie wzgórza migotały światła odległego miasta. Pod wzgórzem zalegał głęboki cień, gdyż księżyc schował się wreszcie za zachodnim horyzontem.

– Jerozolima – powiedział cicho Mahomet. – Dojechaliśmy.

Zoe spojrzała nań ze zdumieniem. Droga z Petry do Judei powinna im zająć co najmniej dwa dni i dwie noce, nawet na grzbiecie tak wytrzymałych wielbłądów jak te.

– Jak...? – wykrztusiła, oszołomiona. Mahomet odwrócił się do niej, choć jego twarz ginęła w mroku.

– Ci, którzy podróżują w imię wielkiego i miłosiernego Boga, nie tracą czasu.

Kurajszyta obrócił wielbłąda i uderzył go trzcina w zad. Zwierzę parsknęło i poderwało się do biegu. Droga zmierzała teraz w dół, ku ciemnej dolinie. Zoe dźgnęła wielbłąda kolanami i ruszyła za Mahometem.

U stóp stromego wzgórza rozciągały się rozległe gaje oliwne. Mahomet puścił wodze wielbłąda, pozwalając, by zwierzę samo wybierało drogę między drzewami. Księżyc schował się już za horyzont, a nad ziemią zaległy głębokie ciemności. Zoe jechała pochylona nisko nad karkiem wielbłąda. Gałęzie i liście ocierały się o nią, zaczepiały o ubranie. Nagle wielbłądy przystanęły. Zoe podniosła głowę i ujrzała przed sobą ścianę potężnych głazów i strome zbocze wzgórza. Mahomet zsiadł z wielbłąda i przywiązał go do pobliskiego drzewa.

– Pójdziemy ścieżką – powiedział cicho. – Jest bardzo stroma i prowadzi do ukrytej bramy.

Zoe zsunęła się z grzbietu wielbłąda. Uda bolały ją tak, jakby rzeczywiście jechała na nim przez dwa dni. Ruszyła za Kurajszytą, który wszedł już między drzewa i wspinał się na zbocze. Palmyrka pospieszyła jego śladem, przeklinając w duchu swe obolałe nogi.

Z dala wydawało się, że między poszarpanymi skałami i głazami nie kryje się żaden szlak, wkrótce jednak Zoe odkryła, że Mahomet prowadzi ją w dół wąskiej ścieżki. Przez chwilę szli dnem krętego wąwozu, by potem wspinać się zakosami

w górę zbocza. Droga była bardzo stroma i po chwili Zoe zaczęła odczuwać coraz dokuczliwszy ból w przeciążonych kostkach.

ZBOCZA WEZUWIUSZA

Thyatis stąpała cicho wzdłuż ceglanego muru, z obnażonym mieczem w dłoni. Na plecach Rzymianki wisiała skórzana torba wypchana różnymi przedmiotami. Mur opleciony był gęstą winoroślą upstrzoną maleńkimi kwiatami. Rzymianka weszła na teren posiadłości od południowego wschodu, przez zapuszczone sady. Tuż za nią szli dwaj legionieści, jeden z włócznią w dłoni, drugi z gotowym do strzału łukiem. Na cięciwę łuku nałożył strzałę zakończoną naostrzoną miedzianą klatką w kształcie diamentu. We wnętrzu klatki znajdowała się bituminowa kulka gotowa do podpalenia. Thyatis przystanęła. Dotarła do łukowatej bramy z drewnianymi drzwiami.

Przez chwilę stała nieruchomo, nasłuchując, słyszała jednak tylko szum wiatru w koronach drzew otaczających willę. Nie docierały do niej nawet typowe dźwięki uśpionego domu – szczekanie psów, odgłosy wydawane przez zwierzęta zamknięte w stajni. Posiadłość wydawała się całkiem pusta, choć mógł to być tylko pozór. Sprawdziła zamek w furtce. Drewniane drzwi otworzyły się z lekkim skrzypieniem. Dwaj legionieści zamarli w bezruchu, gotowi w każdej chwili przejść do ataku, lecz Thyatis otworzyła furtkę do końca. Dziedziniec był pusty, tylko pod ścianą szopy stały dwa duże wozy.

Thyatis weszła do środka, kryjąc się szybko w cieniu muru. Przez chwilę nie ruszała się z miejsca, czekając, aż wzrok przywyknie do ciemności, wsłuchując się w odgłosy nocy. Posiadłość nadal wydawała się pusta. Przyjrzała się uważnie głównej, piętrowej budowli o spadzistym, krytym dachówką dachu. W oknach ani przed domem nie płonęły żadne światła, blask księżyca był jednak wystarczająco jasny. Thyatis cmoknęła cicho. Włócznie wszedł do środka i natychmiast ukrył się w cieniu po prawej, pozwalając łucznikowi zająć pozycję przy furtce. Thyatis nakazała włócznikowi gestem, by ruszył w stronę domu. Chciała wejść do środka od tyłu, przez kuchnię. Legionista kilkoma susami pokonał otwartą przestrzeń między murem i domem. Thyatis czekała w napięciu, z wnętrza budynku nadal jednak nie dochodziły żadne odgłosy. Wreszcie sama podkrađła się do drzwi kuchennych. Tuż za nią szedł łucznik.

– Nic, żywego ducha – stwierdził Nikos, wyraźnie rozczarowany. Thyatis zagłądała właśnie pod wielki stół z desek, ustawiony wzdłuż ściany jednego z pomieszczeń w przedniej części willi. W dłoni trzymała składaną metalową latarnię. Hir ubrany był w stalową *lorica* z nabijanymi ćwiekami ochroniaczami na przedramiona. Pod kolczugą z żelaznych pierścieni, sięgającą mu do połowy uda, nosił filcową koszulę i bawełnianą tunikę. W odróżnieniu od Thyatis, która chodziła

z gołą głową, włożył stary hełm legionisty z osłonami na uszy, nos i policzki, wiązany pod brodą. Zastanawiał się, czy nie wybrać kawaleryjskiego hełmu zakrywającego całą twarz, uznał jednak, że ograniczałby on zbyt jego pole widzenia. Po ostatnim spotkaniu z homunkulusem starał się jak najlepiej zabezpieczyć.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że najlepszym rozwiązaniem byłoby unikanie konfrontacji z tym stworzeniem, ale to było raczej niemożliwe. Zamienił też miecz na włócznię ze specjalną poprzeczką mocowaną do podstawy ostrza. Wciąż miał przed oczami obraz żołnierza, którego homunkulus przyciągnął do siebie wraz z włócznią. Nie chciał podzielić losu tamtego.

Thyatis przeciągnęła palcem po blacie stołu, ściągając cienką warstwę kurzu. Wyglądało na to, że pokój ten używany był jako magazyn, o czym świadczyły puste półki z sosnowych desek i puste drewniane skrzynie ustawione w kącie. Pod stołem leżały jakieś okruchy jedzenia, a na blacie widniała stosunkowo świeża plama po winie. Bez wątplenia jednak, ktoś, kto korzystał z tego pokoju, opuścił już posiadłość.

– Znalazłeś coś w stajniach? Nikos pokręcił głową.

– Nie. Resztki paszy, ale niezbyt świeże. Wygląda na to, że przyjechaliśmy za późno.

Thyatis pokiwała powoli głową. Przypominała sobie wszystko, co ta dziewczyna, Krista mówiła jej o księciu i jego zwyczajach. Z jej opowieści wynikało, że w domu powinno mieszkać co najmniej dwunastu ludzi: księżę, jego homunkulus, dwóch wskrzeszonych i Wołosi. Z tego, co widziała w pokojach na parterze i co powiedzieli o pozostałych budynkach jej podwładni, wynikało, że wszyscy już się stąd wynieśli i to na dobre.

– Przeszukajcie całą posiadłość – poleciła. – Przywieźli tu ze sobą wiele ciężkich skrzyń i pudeł, ale wozy nadal stoją na podwórzu. Nie mogli odejść daleko.

Nikos skinął głową i ruszył do wyjścia, zatrzymał się jednak w drzwiach i spojrzał na nią pytająco. Thyatis uniosła jedną brew i uśmiechnęła się.

– Pracujcie w trzyosobowych grupach, tak jak to ćwiczyliśmy – powiedziała, poprawiając miecz. – Szukajcie też śladów pojedynczego wozu na drodze i wokół budynków. Łucznicy niech będą w gotowości.

Nikos skinął głową i wyszedł.

Thyatis jeszcze raz rozejrzała się po pokoju, a potem sięgnęła po lampę. Schylając się, dostrzegła jakiś kawałek pergaminu za stołem. Zanurkowała pod blat i wyciągnęła go, a potem rozłożyła i odczytała krótką notkę.

Księżę, odchodzę i zabieram ze sobą kotka. Uznałam, że bardziej Kocham życie niż Ciebie. Jeśli bogowie na to pozwolą, spotkamy się kiedyś jeszcze, w bezpieczniejszym miejscu.

Thyatis pokiwała – w zamyśleniu głową. Niewolnica mówiła więc prawdę.
Złożyła pergamin w kostkę i schowała go za pasem, a potem wybiegła na korytarz.
Intuicja podpowiadała jej, że książkę jest blisko.

BRAMA SYCHONA, AELIA CAPITOLINA

Wąska stroma ścieżka prowadziła do furtki znajdującej się w murze. Mur wyrastał ze skalnego urwiska niczym przedłużenie samej skały. Zoe dyszała z wysiłku, nim dotarli do zacienionego korytarza. Od czasu do czasu spoglądała gniewnie na plecy Mahometa, który wcale nie wyglądał na zmęczonego. Biorąc pod uwagę, że był co najmniej dwa razy starszy od niej, Zoe uważała to za niesprawiedliwość losu.

Furtka była mała, niższa niż większość ludzi, więc każdy, kto przez nią przechodził, musiał się nisko schylać. Powierzchnia drzwi pokryta była grubymi żelaznymi płytami, a powyżej wznosiła się kwadratowa wieża. Każdy, kto chciałby sforsować żelazne drzwi, drogo by za to zapłacił.

Mahomet stanął przed furtką i pochylił się, a po chwili Zoe usłyszała cichy zgrzyt i kliknięcie. Otuliła się szczelniej płaszczem i odwróciła od ukrytej w ciemnościach bramy. Ze szczytu urwiska roztaczał się szeroki widok na dolinę. Dno doliny zalegały głębokie ciemności, tylko w jednym miejscu, niedaleko sadu, w którym zostawili wielbłądy, płonęło kilka ognisk.

– Chodź – powiedział cicho Mahomet, a Zoe posłusznie obróciła się w miejscu i ruszyła za nim. Za otwartą furtką widniała ściana nieprzeniknionej ciemności, z której wypływał strumień powietrza przesycony smrodem gnijącej kapusty, moczu i odpadków. Zoe zakryła usta skrajem szaty. Kurajszyta zniknął już w środku, musiała się więc pospieszyć, by nadażyć za odgłosem jego kroków na bruku. Z ciemności dobiegł ją przyciszony głos wodza:

– Nic nie mów. Tu mogą być strażnicy.

Droga prowadziła w górę łagodnego zbocza, potem jednak zamieniła się w szerokie i strome schody o stopniach zniszczonych dotykiem milionów stóp. Wyżłobienia pośrodku stopni były tak głębokie, że Zoe z trudem utrzymywała na nich równowagę. Część schodów zasypana była gruzem i śmieciami, co także nie ułatwiało jej wędrówki. W miarę jak wspinała się coraz wyżej, jej umysł wydostawał się jednak z dziwnego otępienia, jakby budził się ze snu.

Gdy wreszcie wybrudził się całkowicie, poczuła bardzo wyraźnie ból przenikający jej uda i pośladki. Syknęła głośno i przystanęła, opierając się o śliską, omszałą ścianę.

– Poczekaj – zawołała. Nikt jej nie odpowiedział. Kroki Mahometa cichły w oddali.

Zoe zakłęła pod nosem, ale zaraz pomyślała o sięgnięciu do mocy krążącej w jej krwi. Dwa głębokie wdechy uspokoiły umysł i pozwoliły wejść w pierwszy krąg.

Ciemność opadła sprzed jej oczu niczym gruby woal. Teraz widziała, że pod mchem i brudem pokrywającym okoliczne ściany kryją się malowidła i mozaiki. Wyżłobione schody zbudowane były niegdyś z idealnie równych płyt marmuru, nad którymi wznosiły się delikatne łuki. Syknęła, zaskoczona, dostrzegła jednak również, że sylwetka Kurajszyty za moment zniknie jej z oczu.

Pojękując cicho, ruszyła biegiem w górę schodów. Każdy krok sprawiał jej ból, a nogi domagały się kąpieli i odpoczynku, a nie wzmożonego wysiłku.

Na szczycie schodów znajdowały się otwarte drzwi, za nimi zaś komnata o kopulastym dachu. Zoe przeszła przez komnatę i znalazła się na otwartym placu szerokości co najmniej tysiąca kroków, wyłożonym płytami z wapienia i ozdobionym rzędami drzew. Po południowej stronie placu, na lewo od miejsca, gdzie stała Zoe, wznosił się ogromny posąg z ręką wyciągniętą ku niebu. Pomimo gęstych ciemności dziewczyna zrozumiała, że jest to pomnik cesarza.

Splunęła na ziemię.

Pośrodku placu, na sztucznym podwyższeniu, wznosiła się masywna świątynia, obwiedziona z trzech stron rzędami grubych jak pnie drzew kolumn. Dach świątyni zdobiła wielka liczba posągów i rzeźb wotywnych. We wnętrzu budynku, przesłoniętym częściowo kolumnadą, widać było pomieszczenie, gdzie powinien znajdować się ołtarz, jednak w odróżnieniu od większości rzymskich świątyń, miejsce umieszczonego w ścianie ołtarza zajmował jakiś zgarbiony kształt. Co więcej, tylna ściana świątyni także zbudowana była z kolumn, a nie litego muru.

Zoe dostrzegła Mahometa, który był już w połowie drogi do świątyni. Ignorując ból nóg, pospieszyła za nim. Po chwili Kurajszyta zniknął we wnętrzu.

Zoe przeszła między kolumnami, stukając podkutymi butami o marmurową podłogę. Noc zrobiła się zimna, widziała nawet obłoczek pary wydobywający się jej z ust. Po chwili wyszła na otwartą przestrzeń rozciągającą się wokół dziwnego, zgarbionego kształtu na tyłach świątyni.

Z marmurowej podłogi wystawała skalna płyta, czarna i chropawa. Płyty marmurowej podłogi były przycięte tak, by pasowały do jej kształtu. Skalę otaczała też drewniana barierka, która chroniła ją zapewne przed tłumami wiernych. Nagle Zoe uświadomiła sobie, że to sam wierzchołek wzgórza, na którym właśnie stali. Ta świątynia, ten wielki plac, to miasto – wszystko wyrosło wokół tego kamienia, wszystko koncentrowało się na nim. Był bardzo stary, otaczała go jakaś dziwna, nieokreślona moc. Zoe sięgnęła swym nadwideniem wyżej, objęła nim całą świątynię i otaczające ją budynki.

Wszystkie elementy kompleksu świątynnego, nawet rzędy drzew i chodniki przecinające plac, zorientowane były na kamień. Każdy budynek, każdy posąg, każdy

luk ciążył ku niemu, wiązał go, próbował powstrzymać moc wypływającą z pęknięć i zagłębień w tej starej, poczerniałej powierzchni.

Mahomet stał po północnej stronie kamienia, oparty dłońmi o jego czarną powierzchnię. Coś w jego postawie zaniepokoiło Zoe, kazało jej przeskoczyć przez barierkę i wspiąć się na kamień. Kiedy zmierzała ku Mahometowi, usłyszała jakiś dziwny dźwięk, jakby jęk i głośne sapnięcie jednocześnie. Zatrzymała się, wsparta rękami o kamień. Czowała, jak coś wypełnia otaczające ją powietrze. W ukrytym świetle budziła się jakaś moc.

Nagle kamień pod jej stopami jęknął przeciągle i zadrżał.

Nie zastanawiając się długo, przywołała tarczę, a potem sama jęknęła ze strachu i zdumienia.

Kurajszyta zamachnął się szeroko, uderzając pięścią w puste powietrze i wykrzykując jakieś niezrozumiałe groźby. W nadwidzeniu Zoe widziała ciemność wypływającą z gładkich powierzchni kolumn i wypełniającą powietrze wokół niej. Z kamienia i marmurowych płyt sączył się żar. Drżąca błękitna kula jej tarczy zafalowała pod naporem czarnych chmur. Gniew, strach i nienawiść ukryte w kamieniu i marmurze dawały chmurom ogromną moc. Zoe opadła na kolana, wchodząc w medytację wyciszenia.

Macki ciemności owinęły się wokół rąk i nóg Mahometa niczym winorośl, a potem rzuciły jego ciało na kamień, który zadrżał pod uderzeniem. Macki stawały się coraz grubsze, porosły lasem cienkich języków zwieńczonych czerwonym płomieniem. Jeden z nich uderzył Mahometa w policzek. Kurajszyta zawył z bólu, a na jego twarzy pojawiła się czerwona pręga.

Czarna chmura przepłynęła obok kulistej tarczy chroniącej Zoe, zmierzając ku człowiekowi leżącemu na szczycie kamienia. Ogromna moc odepchnęła ją do tyłu. Dziewczyna runęła na podłogę, rozbijając plecami drewnianą barierkę. Przykucnęła i położyła dłonie na marmurowej płycie, próbując wyciągnąć z niej ukrytą moc. Marmur był jednak całkiem pusty, dawno już opróżniony z energii żywej skały. Zoe załkała, uświadamiając sobie, jak nikłą barierą jest jej tarcza.

Mahomet zmagał się z ciemnością, odpychał jej macki od swego ciała. Tymczasem te były już grube jak pnie drzew, objęły jego tułów i zgniatały klatkę piersiową. Nawet Zoe słyszała trzeszczenie kości. Poczowała paniczny strach, który zapierał dech i odbierał zdolność trzeźwego myślenia. Świat wokół niej okryła fala czerni, w jej mrocznych głębiach widziała straszliwe obrazy, ognie płonące we wnętrzu ziemi i wychudłe ludzkie postacie wijące się w mękach. Zebrawszy wszystkie siły, zdołała się wyprostować i wstać. Jej tarcza błyszczała coraz jaśniej, zmagając się z naporem atramentowej czerni. Moc, która syczała i chichotała w jej wnętrzu, domagała się uwolnienia, była to jednak moc gniewu i nienawiści. Pragnęła

połączyć się i wirującym wokół niej morzem czerni.

Tymczasem Mahomet zamiast się poddać, powoli wstał na równe nogi. Zapanował nad strachem, a jego wzrok stał się jasny. Nagle, zamiast nadal walczyć z czernią, rzucił się w jej objęcia. Zwieńczone czerwienią płomieni języki objęły jego ciało, zakryły oczy i wsunęły się do ust i nozdrzy. Zoe próbowała krzyżeć, lecz z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Czarna fala zakryła całkowicie jej tarczę i przesłoniła cały świat.

W oceanie nocy Zoe ujrzała nagle wizję:

Machiny oblężnicze stały pod murami miast, plując ogniem i strzałami. Po ulicach biegali wychudzeni ludzie z szaleństwem w oczach. Ziemia zadrzała, a wieża strażnicza pękła w pół. Ogromna masa kamieni i cegieł runęła na ulicę. Później runęła także sama brama. Drewniane skrzydła bramy objął ogień. Przez wyłom wbiegli ludzie w brązowych hełmach, odrzucając nielicznych obrońców, którzy stanęli im na drodze. Sztandary z głową orła sunęły przez dym, prowadząc kolumny mężczyzn o ponurych twarzach.

Palmyrka zamrugła gwałtownie powiekami i przesunęła dłonią przed twarzą. Obraz zniknął, choć wciąż czuła na rękach i twarzy żar bijący od płonących budynków. Jej nozdrza wypełniał zapach dymu.

Wspaniała świątynia wsparta na smukłych kolumnach zadrzała, płomienie ogarnęły jej dach. Na szerokich marmurowych schodach walczyły setki mężczyzn. Większość nosiła żelazne zbroje i hełmy z końskim ogonem. Inni byli brodaci, odziani w różne zbroje, walczyli z dziką zaciętością. Niebo zasnuła chmura strzał, które zdziesiątkowały szeregi obrońców. Znow ruszyły naprzód sztandary z głową orła, obrońcy padali pod podkutymi butami. Błyskawica przecięła niebo, podświetlając czarne chmury dymu i popiołu. W sercu świątyni kapłani bronili się zaciekle, odwrócenie plecami do centralnej budowli z kamienia. Migoczące tarcze pękały pod wściekłymi atakami opadającymi z nieba. Pośród okrytych żelaznymi zbrojami żołnierzy kroczyli taumaturgowie, z ich dłoni wypływały strumienie ognia.

Zoe poczuła zimny kamień pod plecami i uświadomiła sobie, że upadła. Wszystko dokoła było czarne jak smoła, a jednocześnie wypełnione nieustającym ruchem. Zamknęła oczy, czując jak w jej piersiach znow narasta ból po stracie ciotki. Coraz trudniej przychodziło jej oddychać.

Na nagim szczycie wzgórza stał mężczyzna z nożem w dłoni, z twarzą uniesioną ku niebu. Między chmurami rozbłysła błyskawica, ogromna i błękitna. Kamień u jego stóp ociekał krwią. Na pękniętej skalnej płycie leżało ciało chłopca. Mężczyzna krzyknął do nieba, a niebo mu odpowiedziało. Ów dźwięk był jak trzask bicia, który rozłupywał kamienie, podpalał drzewa. Mężczyzna opadł na kolana. Po jego twarzy

ciekły łyzy. Szlochał, widząc ciało swego syna.

Mężczyzna miał twarz Mahometa.

Mrok przeszło błękitnobiałe światło, a moc napierająca na jej tarczę nagle ustąpiła. W ciemności rozkwitł punkt niewiarygodnie jasnego białego światła, a czarna fala odsunęła się raptownie. Ciemne macki i las języków zadrżały i zaczęły się cofać, choć Zoe miała wrażenie, że stawiają ogromny opór. Po chwili jej oczom ukazał się Mahomet, leżący u podstawy kamienia. Czarno-czerwone języki, które wpełzły we wszystkie otwory na jego ciele, kłębiły się, jakby szarpane potężnym wiatrem.

Rozgniewane niebo drżało niczym morze podczas sztormu. Krople deszczu smagały człowieka stojącego na górze. Rzeki wody unosiły ze sobą błoto, łyzy i krew. W strugach deszczu i świetle kolejnej błyskawicy poruszyła się dłoń martwego chłopca.

Coś stało nad nieruchomym ciałem Kurajszyty. Zoe odwróciła się oślepiąca, lecz pod jej powiekami został obraz czegoś ogromnego o lśniących skrzydłach, wznoszącego się nad świątynią. Oślepiąca, przycisnęła twarz do zimnej płyty podłogi. Świat wydawał się cichy i nieruchomy, lecz Zoe wyczuwała drżenie otaczającej ją ciemności. Ukryty świat był w chaosie, ogromne moce zmagaly się ze sobą. Lewa stopa Mahometa zadrżała nagle, wybijając nierówny rytm na kamieniu.

Zoe odzyskała wzrok i spojrzała na swoje ręce, obwiedzione delikatnym białym blaskiem. Podniosła wzrok i przez moment ujrzała świątynię w jej pierwotnym kształcie. Była ogromna, centralna hala składała się z dwóch poziomów. Otwartą przestrzeń otaczały szeregi grubych kolumn. Ściany błyszcząły bielą, a ku niebu wznosiły się łukowate kopuły. W ścianach widniały setki okien. Zoe wstała i sięgnęła ręką do najbliższej kolumny, która wznosiła się ku odległemu kopulastemu sufitowi.

Obraz zaczął się rozmywać. Najpierw zniknął sufit, zastąpiony przez migocące gwiazdy, potem zniknęły także wysokie ściany, a świątynia wróciła do obecnego wyglądu. Zoe zapłakała bezgłośnie, przejęta poczuciem ogromnej straty. Spojrzała na miasto, po raz pierwszy widząc wyraźnie jego białe dachy i wąskie uliczki. Biały blask odpływał od niej powoli, dotykając okien i altan, podświetlając wszystko, co napotkał na swej drodze, światłem dnia. Drzewa oliwne, zagrody, świątynie, wzgórza, namioty, wszystko to ukazywało się na moment w jasnym blasku, by potem ponownie zniknąć w ciemności nocy.

Światło odpłynęło, a ciemność okryła Zoe niczym wygodny płaszcz. Zniknęły także czarne macki, wchłonięte przez kamień i ciało Kurajszyty, który nadal leżał nieruchomo na powierzchni kamienia. Zoe spróbowała poruszyć nogą i odkryła z ulgą, że może to zrobić. Ślepotą także całkiem już ustąpiła, pozostawiając po sobie tylko pojedyncze iskry na skraju pola widzenia. Czuła się znacznie lżejsza, jakby ktoś

nagle zdjął z jej ramion wielkie i uciążliwe brzemię. Ukłękła i dotknęła szyi Mahometa. Wyczuła puls, najpierw słaby, potem coraz szybciej przybierający na sile. Jego skóra wydawała się bardzo gorąca, szybko zrozumiała jednak, że to ona jest zziębnięta.

Gdzieś w oddali obudził się pies i zaczął wściekle ujadać.

Zoe podniosła kciukiem powiekę Mahometa i doznała szoku. W jego źrenicy lśniła przez moment ciemność, żywa i ruchoma. Zoe wzięła głęboki oddech, by się uspokoić, przyłożyła dłonie do skroni Mahometa i sięgnęła do swego wnętrza. Jej moc obudziła się powoli i sięgnęła dalej, w świat zewnętrzny. Ciało Mahometa świeciło jasno między jej dłońmi. Po raz pierwszy poczuła ukrytą w nim ogromną siłę. Była niczym rozżarzone do białości węgle – niewidoczne z dala, lecz gorące jak samo jądro słońca. Dokoła unosiły się jeszcze pozostałości niedawnej bitwy, zarówno resztki światła, jak i ciemności.

Palmyrka wstała nagle, cała drżąca, i strzepnęła dłońmi, jakby były mokre.

Coś w niego weszło. To było oczywiste i przerażające. Mężczyzna leżący u jej stóp stał się naczyniem jakiejś mocy. Leżała w nim uszpięta, mogła się jednak przebudzić w każdej chwili. Głowa Zoe dźwięczała niczym świątynny dzwon w zetknięciu z jej ogromem. Czysta i niezmacona spoczywała w sercu mężczyzny.

Czy to właśnie ten Bóg pustkowi, któremu służy? – pytała siebie samą z niedowierzaniem. Przez całe życie mówiono jej, że moc bogów – Zeusa Amona, Strażnika Bela i ich świty – wyraża się przez ich sługi, kapłanów. Później, kiedy dołączyła do rzymskich legionów, Zoe przekonała się, że ona, śmiertelna kobieta, dysponuje mocą woli i umysłu, która przewyższa możliwości każdego kapłana. Od tej pory uważała bogów za jakieś marne, słabe istoty, będące zapewne jedynie wymysłem ludzi, narzędziami wykorzystywanymi do mamienia ludzi i kierowania ich wolą.

Ale to? Zrozumienie owej istoty przekraczało jej możliwości. Przycisnęła dłonie do oczu, próbując odegnać od siebie natrętne obrazy, zapomnieć o nich.

Drgnęła, usłyszawszy jakieś głosy. Spomiędzy budynków otaczających plac wyszli ludzie z pochodniami w rękach, zaniepokojeni odgłosami dobiegającymi ze świątyni. Zoe przykucnęła i podniosła ciało Mahometa. Było ciężkie, ale ona była młoda i silna. Postępując, zdołała wsunąć go sobie na ramiona i wstać. Jego głowa opadła na jej ramię, a z ust wydobyło się chrapanie.

Typowy facet, pomyślała gniewnie. Kiedy jest już po wszystkim, po prostu sobie zasypia i zostawia wszystko na głowie kobiety!

Zataczając się lekko pod ciężarem, wyszła ze świątyni i ruszyła w stronę schodów. Stanąwszy na najwyższym stopniu, zauważyła w dole blask pochodni

i usłyszała przytłumione, zaspane głosy jakichś ludzi. Cofnęła się szybko i objęła plac nadwidzeniem, szukając jakiegoś innego wyjścia.

Po południowej stronie placu migotał maleńki, niebieski płomyk, zawieszony w powietrzu na wysokości jej twarzy. Głosy dobiegające z dołu schodów przybierały na sile.

– Przeszukajcie świątynię i plac – rozkazał ktoś dźwięcznym głosem. Zoe odsunęła się od krawędzi schodów. Niebieski płomyk wciąż wisiał w powietrzu, jakby przyzywając ją do siebie. Z braku lepszego pomysłu Zoe ruszyła w jego stronę. Gdy była już blisko, płomyk przesunął się w dół, poniżej poziomego placu. Podeszła jeszcze o krok i ujrzała szeroki okrągły otwór w powierzchni placu. Z jego wnętrza wydobywał się delikatny chlupot wody.

Płomień zamigotał i przesunął się w dół studni. W ścianie szybu znajdowały się wykute spiralne schody prowadzące w ciemną czeluść. Zoe poprawiła na ramieniu bezwładne ciało Kurajszyty i ruszyła powoli w dół kamiennych stopni.

PALATYN, ROMA MATER

Witaj auguście, władco i boże Galenie, cesarzu Rzymian. – Anastazja ukloniła się nisko, nie zwracając uwagi na luźny kosmyk włosów, który opadł jej na oko. Zapadł już wieczór, za oknem gabinetu cesarza migotały światła miasta. Księżna odwróciła się i skłoniła przed Aurelianem. – Aurelianie, cesarzu, księżę cesarstwa, witam i ciebie.

Obaj mężczyźni siedzieli przy stole zasłanym resztkami lekkiej kolacji, na którą składała się pieczona kuropatwa z czosnkiem, karczochy w occie i oleju oraz jajka na twardo posypane papryką. W miarę jak wiosna przechodziła w coraz cieplejsze lato, wszyscy starali się unikać ciężkostrawnych potraw. Wieczory były jednak nadal na tyle chłodne, że obaj bracia włożyli wełniane tuniki, a Aurelian nawet krótką pelerynę. Mimo że większy i cięższy od swego starszego brata, gorzej znosił zmiany temperatury.

Księżna usiadła na podsuniętym jej przez służącego krześle, pozwalając, by fałdy szarej sukni opadły łagodnie na ziemię. Srebrne szpilki podtrzymywały skromny kok na czubku jej głowy, szyję zaś oplatał naszyjnik z czarnych pereł. Nawet sandały księżnej wykonane były z barwionej na czarno skóry. Anastazja nie przynosiła dobrych wieści i jej strój miał odzwierciedlać nastrój. Galen zakasłał nerwowo, przyglądając się twarzy, dłonom i ubraniu księżnej, która ukryła kwaśny uśmiech; cesarz wyczuwał jej nastrój i spodziewał się katastrofalnych wiadomości. Jego brat, prostoduszny Aurelian, marszczył brwi, zastanawiając się zapewne, dlaczego przerwała im tak miły wieczór.

– Co się stało? – spytał Galen, nie bawiąc się w zbędne uprzejmości. Wbił w nią spojrzenie, siła jego osobowości jak zwykle niemal fizycznie wstrząsnęła Anastazją. Zwykle podrywało ją to do czynu, ale dziś czuła tylko zmęczenie. Cesarz doskonale radził sobie z ciężącą na nim władzą i wiedział, jak ją wykorzystywać. – Wydajesz się dzisiaj wyjątkowo ponura, księżno.

– Bo jestem przygnębiona, cesarzu. Przynoszę ci złe wieści.

Wyjęła plik dokumentów z sekretnej kieszeni swego płaszcza. Były niemal idealnie białe – wybrała do tego pergamin najwyższej jakości – i przewiązane czarną wstążką. Położyła je na stole, między talerzem z kandyzowanymi grzybami i pucharem wina. Później zsunęła z palca ciężki pierścień i położyła go na dokumentach.

– Zgodnie z prawem cesarstwa ci, którzy spiskują przeciwko osobie cesarza lub jego rodzinie, zostają pozbawieni wszelkich tytułów, praw i majątku i podlegają bezpośredniemu osądowi cesarza, który, jak ujął to boski August, najlepiej sobie

z nimi poradzi. – Anastazja przemawiała spokojnym głosem, choć jej dłonie drżały lekko, gdy dotknęła leżącego na stole pierścienia. – Oto Dom de'Orelio oraz wszelkie ziemie i nieruchomości do niego należące. Są twoje, cesarzu. – Błady palec księżnej, pokryty cienką warstwą białego proszku ołowiowego, dotknął czarnej wstążki na dokumentach. – To moje przedsiębiorstwa, okręty, spichlerze, winiarnie, inwestycje w Galii i Brytanii, winiarnie w Terraconensis i na Sycylii. Jest tu także zeznanie z moim podpisem i przyznanie się do winy. Proszę, nie marnujcie czasu senatu na publiczny proces. Jestem winna, zdaję się jednak na waszą łaskę, licząc na dyskretne zakończenie tej sprawy. Galen zerwał się na równe nogi, jego oczy płonęły gniewem i strachem.

– Winna czego? – spytał lekko drżącym głosem. – Czyżby opętało cię jakieś szaleństwo? O jakim spisku mówisz?

Anastazja podniosła nań swe wielkie fioletowe oczy, obwiedzione delikatną czarną kreską. Przyłożyła smukłą białą dłoń do piersi okrytej ciemnym aksamitem.

– Nie spiskowałam przeciwko twojej osobie, cesarzu. Nigdy przeciwko tobie. Wysłałam zbrojnych przeciwko twemu bratu, Maksjanowi, do jego rezydencji w Ottaviano, obok Kurne. – Umilkła na moment, by opanować drżenie głosu. – Wysłałam ich tam, by zabili młodego księcia i przywieźli tu jego ciało w żelaznej trumnie.

Galen zachwiał się, zbladł jak ściana i usiadł ciężko na sofie. Twarz Aureliana wykrzywił wściekły grymas, jego dłoń zamknęła się na rękojeści krótkiego miecza, który nosił u pasa.

– Chcesz zabić naszego małego prosiaka? – Głos Aureliana brzmiał jak zgrzyt kamieni w studni. Wstał i podszedł do boku księżnej, sięgając ręką do jej szyi. Anastazja odwróciła głowę. – Naszego brata? Wysłałaś swoich *sicaraii*, by zabili naszego brata w domu naszej matki?

Głos Aureliana przybierał na sile, odbijał się echem od wysokich kolumn i kopulastego sufitu. Miecz wysunął się ze zgrzytem z pochwy i błysnął w jego ręce.

– Tak – odparła Anastazja cicho. Zamknęła dłoń na nadgarstku Aureliana i przycisnęła jego rękę mocniej do swej szyi. – Umrze dziś wieczorem. Nikt nie zdąży już powstrzymać moich ludzi, żaden wierzchowiec ani żaden okręt. Dołożyłam wszelkich starań... – księżna spojrzała prosto w oczy Aureliana – ...wszelkich starań, by dziś zginął.

Aurelian podniósł miecz, by dać ujście swej wściekłości, lecz widok jej oczu, spokojnie wyczekujących śmierci, powstrzymał go przed zadaniem ciosu. W jego oczach prócz wściekłości i strachu pojawiła się także niepewność.

– Dlaczego? – spytał Galen głuchym, przenikniętym rozpaczą głosem. – Nie mogłaś sprowadzić go tutaj w łańcuchach? Nieprzytomnego? Może nawet

oślepionego?

– Nie, panie. – Anastazja odwróciła się i oparła głowę na rękę Aureliana. Była straszliwie zmęczona. – Wiem, że twój brat posiadał moc, która pozwala mu leczyć śmiertelne rany, odtwarzać wyłupione oczy, wyzwolić się z wszelkich więzów, omamić każdego strażnika. Wypił zbyt dużo orientalnej trucizny – para się czarną magią, wskrzesza zmarłych i wysługuje się nimi, plądruje groby i szuka starożytnych tajemnic. Słucha podszeptów perskich doradców. Twój brat, panie, pragnie zająć twoje miejsce, zniszczyć senat i przejąć całą władzę nad twym ludem.

– To niemożliwe! – krzyknął Aurelian, odwrócił się jednak do Galena, szukając u niego wsparcia. – Galen, przecież tu chodzi o prosiaka! O naszego braciszka, kapłana Asklepiosa! Składał przysięgę... nie może być potworem!

– Jest – odpowiedziała mu Anastazja, biorąc go za rękę i sadzając na skraju sofy, obok swego krzesła. – Mordował osierocone dzieci i emerytowanych żołnierzy, nakładał na ludzi zaklęcia, które zmuszały ich do bezwzględności posłuszeństwa. Wskrzesił potwora, homunkulusa, który zabił i pożarł dziesiątki obywateli, w tym wielu doświadczonych pretorianów. Dosiada ognistego węża.

Anastazja pogłaskała Aureliana po policzku. Wydawało się, że ten silny, doświadczony w bojach mężczyzna wybuchnie zaraz płaczem. Potem zwróciła się ponownie do Galena:

– Mój panie i boże, dowiedziałam się o tym wszystkim bardzo niedawno. O niektórych rzeczach wiedziałam już wcześniej, lecz tylko w ogólnych zarysach. Wiem... wiem, że chciałeś dać swemu bratu czas na odpoczynek. Wiem, że wyjechał do majątku waszej matki w Ottaviano. Mój agent towarzyszył mu przez cały ten czas i niedawno wrócił, by opowiedzieć mi o wszystkim. Sprawy wyglądają znacznie gorzej, niż mogliśmy przypuszczać.

Galen podniósł palec i wycelował go w księżną. Na jego twarzy malowała się z trudem hamowana wściekłość.

– Wydałeś wyrok w imieniu cesarza, choć wykracza to poza twoje kompetencje. Uzurpujesz sobie moje prawa, kobieto. Jeśli ten człowiek, mój brat, ma umrzeć, to powinno się to stać na mój rozkaz, a nie twój – mówił cesarz, akcentując każde słowo. Anastazja skłoniła się lekko, nie wstając z krzesła i wciąż trzymając Aureliana za rękę.

– Wiem, panie. Jestem zdrajczynią. Poniosę konsekwencje, jestem gotowa na śmierć. Ale nie mogłam dłużej zwlekać, nie mogłam też ryzykować, że zlitujesz się nad tym człowiekiem. Dla dobra senatu i ludu rzymskiego księżę musi zginąć. Przykro mi.

Galen odwrócił wzrok. Jego dłonie same zacisnęły się w pięści, całe ciało zastygło w bolesnym napięciu. Gdy wreszcie spojrzął na nią ponownie, jego oczy

wydawały się martwe, zasnuwane mgłą.

– Nie będzie żadnej kary – przemówił głuchym tonem. – To musi się dokonać.
Tylko ty masz dość sił, by przeciąć tę ranę na ciele cesarstwa.

Księżna ponownie schyliła głowę, kryjąc łzy napływające jej do oczu. W głosie cesarza słyszała wolę i wyrok senatu i ludu rzymskiego.

WEZUWIUSZ

Mrok panujący we wnętrzu groty otulał Maksjana niczym ciepły *plaszcz, trochę już stary i znoszony, lecz nadal bardzo wygodny*. Po kolejnym słonecznym dniu zapadła ciemna noc. Książę zatrzymał się na dłużej na szczycie góry, medytując i drzemiąc. Ostatni ładunek książek i bagaży z willi został już przeniesiony do wnętrza Machiny. Chiron kręcił się gdzieś między głazami, czekając, aż książę da sygnał do odlotu.

Maksjan siedział na skraju groty, oparty plecami o głaz, sycąc się miękkim dotykiem mchu i miarowym buczeniem dochodzącym z wnętrza góry. Patrzył na rozgwieżdżone niebo. Wkrótce miał wstać księżyc, by wypełnić swym blaskiem wnętrze ogromnej misy na szczycie góry. Książę wciąż ociągał się z wyjazdem, świadom, że z dala od góry znów będzie musiał zmagać się z naporem klątwy. Tutaj mógł cieszyć się spokojem i wolnością. Mógł drzemać w słońcu, nie myśląc o utrzymaniu tarczy. Chiron pilnował go dniem i nocą, odstraszając nieproszonych gości. Po wyjeździe znów musiałby stanąć do walki z nieprzejednaną mocą klątwy. Wtedy nie zaznałby spokoju ani swobody.

Został więc na górze znacznie dłużej, niż zamierzał, choć już od kilku dni powinien być w Rzymie, ze swoimi braćmi.

Maksjan przebudził się gwałtownie, słysząc grzechot kamieni spadających gdzieś w grotcie. Wstał, rozprostowując powoli zeszywniałe członki. Roześmiał się cicho i poklepał omszały głaz. W takim otoczeniu naprawdę łatwo było zapaść w sen: miękki mech służył mu za posłanie, a żar ukryty we wnętrzu góry ogrzewał chłodne nocne powietrze. Maksjan ziewnął i podszedł na skraj groty. Uznał, że czas w końcu opuścić to gościnne miejsce.

– Chironie, chodź tutaj. Czas ruszać w drogę! – zawołał Maksjan, słysząc, jak jego głos odbija się echem od skał.

Przeszedł na drugą stronę trawnika i rozejrzył się dokoła. Gdzie się podziewał ten stwór? Nigdy nie odchodził daleko, nawet gdy szukał między skałami jakichś zwierząt.

– Chironie, chodź do mnie!

Z ciemności między głazami wysunęła się jakaś postać. Maksjan przyglądał się ze zdumieniem poczynaniom swego strażnika, który sunął pochylony nisko nad ziemią, rozglądając się na boki i węsząc jak pies. Książę jeszcze raz ogarnął spojrzeniem ciemności otulające grotę. Wszędzie panowała cisza i spokój. Chiron przysunął się bliżej, wciąż dziwnie zaniepokojony.

– Chiron? O co...

Noc zakwitła nagle ogniem, pomarańczowy blask oblał grotę i otaczające ją głązy. Z nieba spadł jakiś syczący, roziskrzony przedmiot, który uderzył w trawę niemal pod stopami księcia i rozrzucił dokoła krople płynnego żaru. Maksjan odskoczył do tyłu, zdumiony, a w tej samej chwili Chiron wyprostował się nagle i wydał z siebie przerażający ryk wściekłości.

– Aaaaar!

Książę zachwiał się i oparł plecami o pień cedru, przeszyty dziwnym, dojmującym bólem. Spojrzał w dół i otworzył szeroko oczy, zszokowany widokiem strzały wystającej z jego brzucha. Krew spływała już po drzewcu, kapłała z lotek na ziemię. Czerwony blask ognia nadawał każdej spadającej kropki barwę płynnego złota.

Czas jakby nagle zwolnił, niemal stanął w miejscu, gdy książę patrzył na uchodzącą z niego krew i życie.

Kolejna strzała uderzyła go w ramię, przebijając kość i chrząstkę trójkątnym żelaznym grotem, który zatrzymał się dopiero w drzewie. Przyszpilony do pnia cedru, książę próbował powstrzymać ogarniającą go falę bólu i paniki. Pomimo śmiertelnych ran zadanych ciału, jego umysł nadal pracował, choć był oszołomiony i dezorientowany. Zebrawszy całą siłę woli, Maksjan zdołał podnieść głowę i spojrzeć przed siebie.

Z mroku wybiegali jacyś ludzie w zbrojach i hełmach. Z góry spadł kolejny ognisty pocisk, który rozbił się o pobliski głąz, rozbryzgując dokoła płonąca ciecz. W powietrzu zawisała na moment warstwa lepkiej rozżarzonej mgły, którą wiatr poniósł w stronę wnętrza grotu.

W blasku płomieni widać było wyraźnie wszystko, co dzieje się przed grotą. Chiron, przeszyty tuzinem czarnych strzał, doskoczył do najbliższego napastnika, wyciągając ku niemu swe szponiaste ręce. Mężczyzna, odziany w zbroję i pełny hełm legionisty, odskoczył w bok, wbijając w ramię homunkulusa długą włócznię.

Żelazo przebiło kości i ściegna Chirona, zatrzymało się jednak na poprzecznym drążku przymocowanym u podstawy ostrza.

Chiron krzyknął ponownie, wściekły, że nie może dosięgnąć swej ofiary. Pochwyił drzewce włóczni i wyrwał je z ciała jednym szarpnięciem. Mężczyzna w zbroi odsunął się do tyłu, a homunkulus obrócił włócznię w dłoni. Gdzieś powyżej zabrzęczały cięciwy luków, a plecy Chirona przeszły kilka kolejnych strzał. Potwór wrzasnął przeraźliwie i pchnął włócznię przed siebie. Jego lewe ramię, strzaskane i niemal oderwane od tułowia, zwisało bezwładnie.

Maksjan zamrugał powiekami, czując, jak ogarnia go fala wielkiej słabości. Nie

słyszał już krzyku człowieka w zbroi, przeszytego na wylot własną włócznią. Książę próbował zacisnąć dłoń na strzale wystającej z jego brzucha, nie mógł jednak podnieść ciężkiej jak ołów ręki.

Muszę przywołać moc, pomyślał słabo. Wszystko działo się tak szybko...

W blasku ognia pojawiła się nagle postać o długich rudych warkoczach. W jej dłoni lśnił obnażony miecz z indyjskiej stali. Książę powoli podniósł na nią wzrok. Ujrzał jasną owalną twarz o rozpalonych szarych oczach. Kobieta o zaciśniętych w ponurym grymasie ustach podnosiła miecz, by zadać mu śmiertelny cios. Maksjan próbował zasłonić się ręką, lecz było już za późno.

Miecz wbił się między jego żebra i przeszył na wylot serce. Książę wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w twarz kobiety. Znał ją. Była bardzo blisko – czuł jej oddech na swojej twarzy – a po chwili wyrwała miecz z jego ciała. Potem jej dłoń przesunęła się w górę, by zamknąć gardło w żelaznym uścisku. Maksjan nie czuł już własnego ciała, wszystko zastąpił przeraźliwy, paraliżujący chłód. Widział, jak zakrwawione ostrze w dłoni kobiety podnosi się do kolejnego ciosu.

Chiron obrócił się w miejscu i skoczył. Jego potężnie umięśnione nogi przemknęły tuż nad głową przestraszonego żołnierza, zbijając jednocześnie cios jego włóczni. Homunkulus opadł na ziemię i natychmiast poderwał się do biegu. Gąszcz strzał wystających z jego pleców, pośladków i ud nie robił na nim żadnego wrażenia. Chiron nie czuł bólu, a jedynie głód i strach przed unicestwieniem. Na jego drodze stali dwaj mężczyźni z obnażonymi mieczami w rękach. Ich ciała także okryte były od stóp do głów grubą żelazną zbroją. Chiron nie zwracał na to uwagi: wiedział tylko, że tuż za nimi jest jego pan, bliski śmierci.

Nie zważając na miecze, Chiron runął na obu mężczyzn. Pierwszy z nich, uderzony bezwładnym ramieniem potwora, odleciał z jękiem do tyłu i runął jak długi na ziemię. Drugi wbił ostrze głęboko w bok homunkulusa, ten jednak przyciągnął go do siebie i uderzył czołem prosto w osłoniętą hełmem twarz. Żołnierz osunął się bezwładnie na ziemię, a Chiron ruszył w stronę swego pana.

Thyatis odskoczyła na bok, zmieniając kierunek ciosu, który odciąłby głowę księcia od tułowia, i uderzyła w twarz potwora, który zaatakował ją od tyłu. Ciecz z rozbitych pojemników nadal płonęła jasnym, gwałtownym ogniem, od którego zajęły się także drzewa i poszycie wokół grotu. Wilgotna trawa i drewno buchały kłębamii gęstego dymu. Przed grotę nadbiegali kolejni ludzie Thyatis, także łucznicy, którzy bali się trafić któregoś ze swoich. Czubek miecza Rzymianki uderzył w nos potwora, przecinając chrząstki i kość. Głowa homunkulusa odskoczyła na bok, wydawało się jednak, że cios nie zrobił na nim większego wrażenia. Thyatis

przykucnęła, szykując się do kolejnego ataku.

W rdzawym blasku płomieni ciało homunkulusa wyglądało strasznie, pokryte dziesiątkami większych i mniejszych ran. Jedno ramię wisiało bezwładnie, drugie jednak nadal było sprawne. Potwór przesunął się w stronę Thyatis, a ta ustąpiła mu miejsca, choć oznaczało to, że homunkulus będzie ją oddzielał od księcia. Krew szumiała jej w uszach niczym górski potok, czuła się bardzo lekka, jakby niemal unosiła się nad ziemią.

Rzymianka zaatakowała, markując uderzenie w oczy homunkulusa, a potem odchyliła się do tyłu, gdy szpony przecięły powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem znajdowała się jej głowa. Przetoczyła się na bok, a potwór w ostatniej chwili podniósł nogę, unikając ciosu, który roztrzaskałby mu rzepekę. Homunkulus natychmiast przeszedł do kontrataku, wyprowadzając wysokie kopnięcie, które Thyatis przyjęła na ramię. Kopnięcie było tak silne, że cała ręka dziewczyny zdrętwiała na moment, lecz rozpalona walką krew pozwoliła jej zapomnieć o bólu i skupić się na walce.

Nikos podniósł się z ziemi, pojękując cicho, i zerwał wgnieciony ciosem potwora hełm. Krew zalewała mu twarz i przesłaniała jedno oko. Miał wrażenie, że cały świat wiruje wokół niego, zdołał jednak zachować równowagę. Usłyszał krzyki pozostałych członków zespołu i rozejrzał się dokoła.

Thyatis i potwór wymieniali szybkie jak błyskawica ciosy, przesuwali się w poprzek i wzdłuż niewielkiego trawnika. Thyatis wyskoczyła właśnie nad ziemię, wyprowadzając wysokie boczne kopnięcie. Podkuty but uderzył w głowę homunkulusa. Ten padł na ziemię, przetoczył się i błyskawicznie poderwał na nogi, atakując Rzymiankę zdrową ręką. Thyatis pozwoliła, by cios prześliznął się po jej przedramieniu, a potem odpowiedziała uderzeniem łokciem w pierś stworzenia.

Potwór zadrżał, lecz ustał w miejscu. Wywinął się jak wąż i uderzył Thyatis bezwładnym ramieniem, wymachując nim jak maczugą. Rzymianka poleciała do tyłu, uderzając z hukiem o pobliski głaz.

– Strzelajcie! – krzyknął Nikos w panice, widząc, jak homunkulus zbliża się do jego dowódcy. Sam odsunął się do tyłu, sięgając po broń leżącą na ziemi. – Strzelajcie!

Homunkulus obrócił się w miejscu, sycząc przeciągle, i rzucił się na Nikosa niczym lew. Hir odskoczył na bok, ocieęzały i niezgrabny w grubej zbroi. Usłyszał za sobą głucho stęknięcia, a potem zgrzyt metalu ocierającego się o kość. Przetoczył się na bok i zerwał na równe nogi, ocierając krew z twarzy.

Potwór stał w bezruchu, przeszyty ciężką żelazną włócznią. Karmi i Efraim poderwali się do biegu w tej samej chwili, gdy Nikos odskoczył na bok. Trzymali

między sobą sarisę, a gdy homunkulus skoczył za Hirem, sam nabił się na ostrze długości stopy. Do poprzecznego drążka na końcu ostrza przymocowany był pęcherz wypełniony czarną kleistą cieczą, która ochlapała pierś i ramiona potwora.

– Strzelać! – krzyknął Nikos i wycofał się w popłochu. Karmi i Efraim także odskoczyli na bok, porzucając pikę. Łucznicy ukryci za głazami czekali już z zapalonymi strzałami na cięciwach. Ogniste pociski wystrzeliły z sykiem z ukrycia, zmierzając ku potworowi. Tymczasem ten wyrwał włócznię z boku i błyskawicznie odskoczył do tyłu, rozsiewając dokoła krople czarnej cieczy. Płonące strzały uderzyły w ziemię w miejscu, gdzie homunkulus stał jeszcze przed momentem. Jedna z nich trafiła w płamę rozlanej cieczy i nagle nad ziemię wystrzeliła ściana ognia.

Nikos odbiegł na bok, zakrywając dłonią oczy. Flogiston rozlany na ziemi płonął jasnym, huczącym płomieniem. Hir stracił z oczu homunkulusa, który zniknął za zasłoną gęstego gryzącego dymu.

Thyatis otrząsnęła się z pierwszego szoku i wciąż nieco oszołomiona podniosła się z ziemi. Uderzając o głaz, złamała sobie co najmniej jedno żebro, o czym informował ją przeszywający ból w boku. Zgubiła gdzieś miecz, wciąż jednak miała przynajmniej jeden długi nóż. Trzymała go już w dłoni, sięgnawszy do pochwy odruchowo, bez świadomego udziału woli. Jej ludzie krzyczeli coś do niej, zignorowała ich jednak. Ruszyła na prawo, w stronę drzewa, pod którym stał książę. Homunkulus był śmiertelnie groźny, ale ona przede wszystkim musiała myśleć o wypełnieniu misji.

Maksjan uniósł powieki, widząc przed sobą oślepiające białe światło. Gryzący, kwaśny dym wypełnił jego nozdrza. Było mu straszliwie zimno. Z jego ust wypływała spieniona krew.

Co to jest? – pytał przeniknięty bólem umysł księcia. Czy to przewoźnik? Gdzie jest czarna rzeka?

Zebrawszy wszystkie siły, spróbował podnieść rękę. Nie mógł. Był za słaby.

Nagle ujrzał jakąś postać wynurzającą się z oślepiającego blasku. Ukazała się ta sama kobieta, choć teraz jej włosy były rozsypane, a twarz wysmarowana sadzą. Trzymała w dłoni długi nóż. W szarych oczach nie było nienawiści, lecz ogromna determinacja. Wolną ręką pochwyciła go za włosy i odchyliła mu głowę do tyłu.

Maksjan próbował coś powiedzieć, lecz z wypełnionego krwią gardła wydobył się tylko niezrozumiały bulgot. Zimne ostrze dotknęło jego szyi. Kątem oka dojrzał, że włosy kobiety spięte są broszką, która opadła teraz na bok i lśniła w migotliwym blasku płomieni. Na jej brązowej powierzchni widniał znak oka między dwoma skrzydłami.

Cesarskie Biuro Barbarzyńców. Ta myśl przebiła się w końcu przez ścianę strasznego bólu. *Mój brat. Galen. Aurelian. Cesarz.*

Świat dokoła jakby zamarł. Nagle wszystko stało się jasne. Dobrze wyposażeni żołnierze. Zakazane środki chemiczne. Prędkość i gwałtowność ataku. Nagle stanął mu przed oczami obraz brata, jego twarz ściągnięta bólem i zmęczeniem, kosmyk włosów na czole.

Zabiłbyś mnie? Ból, który przeszył jego serce, gdy zanurzyło się w nim stalowe ostrze, był niczym w porównaniu do obecnego. Jego jasne oczy wypełnione były bólem. *Kazałbyś mnie zamordować?* – pytał księżę, czując jednocześnie, jak stalowe ostrze wbija się w jego gardło.

To musi się stać, odparła wizja. Cesarstwo musi przetrwać.

Serce Maksjana pękło na pół.

Powieki księcia zadrżały i zamknęły się, ledwie wyczuwalny puls pod dłonią Thyatis zamarł całkowicie. Zawahała się na moment i odsunęła nóż. W tej samej chwili usłyszała przeraźliwy krzyk i natychmiast przypadła do ziemi, odwracając się jednocześnie w stronę, skąd dobiegał. Potwór wyskoczył nagle z ciemności między głazami i dopadł jednego z żołnierzy, wyrывая mu gardło. Żołnierze, którzy wyszli wcześniej z ukrycia, trzymali broń w pogotowiu, nikt jednak nie spodziewał się ataku homunkulusa z tej właśnie strony. Teraz wszyscy zbili się w ciasną grupę, a powietrze znów przeszył świst strzał. Thyatis pobiegła do przodu, osłaniając oczy przed blaskiem bijącym od płonącego flogistonu.

Chiron oderwał głowę swej ofiary od tułowia. Fontanna krwi, która trysnęła z tętnic umierającego, oślepiła kolejnego żołnierza. Nie zważając na grad strzał lecących w jego stronę, homunkulus dopadł jednym skokiem oślepionego Rzymianina i wbił twarde jak stal palce w jego oczodoły. Mężczyzna padł martwy na ziemię, nie wydawszy nawet jednego dźwięku. Kolejna włócznia minęła o palec bok homunkulusa.

Thyatis, która dobiegała właśnie do walczącej grupy, zgrzytnęła zębami. Żaden z żołnierzy nie mógł pokonać tego potwora w pojedynkę! Otworzyła usta, by wydać rozkazy, kątem oka dojrzała jednak jakiś ruch i przykucnęła.

Nikos uderzył płonąca gałęzią w plecy potwora w chwili, gdy ten wyrwał właśnie włócznię z rąk legionisty. Płonące liście dębu dotknęły czarnego jak olej płynu oblepiającego ciało homunkulusa. Chiron podskoczył, krzycząc z bólu, a potem wybuchnął płomieniem niczym kwiat otwierający płatki ku słońcu. Legioniści rozbiegli się na boki.

Homunkulus rzucił się na ziemię, walił w nią rękami i nogami, tarzał się jak

szalony. Flogiston palił się jasnym, trzaskającym płomieniem. Chiron wył coraz cieńszym, mrozącym krew w żyłach głosem. Jego ciało, utrzymywane w całości tylko dzięki mocy magii, płonęło zdumiewająco gorącym, niebieskim ogniem. Potwór podniósł się z ziemi, otoczony warstwą jasnych niemal niewidocznych płomieni. Nikos odsunął się do tyłu, zasłaniając oczy przed straszliwym żarem. Homunkulus uczynił krok w jego stronę, lecz jego ciało zamieniało się coraz szybciej w płonąca galarete.

Thyatis także się wycofała, odwracając głowę od makabrycznego widoku. Musiała jeszcze dokończyć zadanie. Ruszyła biegiem w stronę księcia.

Serce Maksjana zamarło, a gdy ostatnia iskra myśli niknęła już w czarnej otchłani, podniosło się z niej coś jasnego i gorącego jak słońce. W sercu księcia zapłonęła nagle nienawiść, coś ogromnego krzychało w jego wnętrzu, domagało się uwolnienia. Ostatnia nić woli sięgnęła w zimną ciemność i znalazła tam źródło mocy: kolosalnej mocy, która przez wieki trzymana była w zamknięciu, która rozrastała się z każdym upływającym dniem, wzbierała głęboko pod powłoką ziemi.

Bogowie, wściekał się Maksjan, mój brat mnie zabije? Moja rodzina traktuje mnie jak wściekłego psa?

Rwaca się sieć jego woli i myśli ożyła, zerwane nici połączyły się ze sobą, odtwarzając swój poprzedni kształt. Jego ciało było zniszczone, przebite, pocięte. Płomienie sięgały nóg, parzyły go w stopy. Lecz głęboko w ziemi podnosiła się ogromna jasnozielona fala mocy, sączyła się coraz większym strumieniem przez szczeliny i pęknięcia w skorupie, która tak długo ją więziła. Bliski śmierci książę, który zużył już całą moc swej wściekłości, sięgnął do serca wulkanu.

Thyatis zachwiała się, omal nie straciła równowagi. Ziemia pod jej stopami zafalowała niczym powierzchnia morza. Płonący trawnik podniósł się, a potem gwałtownie opadł, rzucając ją na ziemię. Powietrze wypełniło się stukotem spadających kamieni i zgrzytem skał przesuwających się na nowe pozycje. Grote wypełnił krzyk umierającego człowieka, urwany raptownie, jak nożem uciał; jeden z łuczników spadł ze skały i zginął rozgnieciony na miazgę przez głaz. Thyatis wstała, szeroko rozstawiając nogi.

Podniosła wzrok i ujrzała księcia, a jej twarz wykrzywił wściekły grymas.

Zycie wpływało w jego członki niczym rwący górski strumień. Połamane kości, rozerwane mięśnie i ścięgna, zmasakrowane narządy wewnętrzne odbudowywały się z niesamowitą prędkością. Tułów księcia zadrżał, wypluwając z siebie czarne strzały. Krawędzie ran zaróżowiły się, pijąc krzepnącą już krew, a potem połączyły ze sobą na nowo. Narządy wewnętrzne przybrały swój pierwotny kształt i zaczęły działać ze

wzmoczoną siłą. Świadomość wypełniła jego umysł, przegnała widma bólu. Książę stanął na trawie, przepełniony siłą, radością życia, lekkością nowego bytu. Zobaczył kobietę z nożem w ręku, biegnącą co sił w nogach w jego stronę. Uśmiechnął się, uradowany ruchem mięśni, którym przywrócił pierwotną siłę. Podniósł rękę i wyrzucił z niej smugę błękitnego światła.

Thyatis znów uderzyła z impetem o ziemię i krzyknęła z bólu, gdy złamane żebra przesunęły się w głąb ciała. Zbroja zatrzymała świetlny pocisk, teraz jednak syczała z gorąca. Thyatis przetoczyła się na bok i ujrzała swój nóż wbity w ziemię dziesięć kroków dalej. Rozżarzony do czerwoności napierśnik palił jej ciało. Drżącymi palcami sięgnęła do rzemieni podtrzymujących zbroję.

Kątem oka widziała księcia kroczącego lekko po ziemi, niemal unoszącego się nad nią. Znów podniósł rękę, a z jego dłoni wystrzeliła błękitna błyskawica. Jakiś człowiek krzyknął przeraźliwie, a potem nad ziemią przetoczył się ogłuszający grzmot. Książę emanował drżącym, ciemnoniebieskim blaskiem. Żołnierze, nie zważając na śmiertelne zagrożenie, rzucili się w jego stronę. Powietrze wypełniło się strzałami.

Thyatis zdołała wreszcie rozwiązać rzemienie i drżącymi palcami podniosła rozgrzany napierśnik. Filcowa tunika dymiła już na całej powierzchni, lizana maleńkimi płomykami. Zachłystując się z bólu, zerwała ją i odrzuciła na bok. Ukryta pod spodem tunika przesycona była potem, który uchronił ją przed strasznymi poparzeniami.

Nikos biegł pochylony nisko nad ziemią, z obnażonym *spatha* w dłoni. Obwiedziony ogniem człowiek odwrócił się i wypuścił z dłoni kolejną błyskawicę. Jeden z łuczników, wciąż ukryty na szczycie głazu, zamienił się w kulę ognia i umarł, nie wydawszy nawet krzyku. Drzewa stojące za gładem okryły się płomieniami, dołączając do tych, które otaczały grootę ognistym pierścieniem.

Hir skoczył na księcia, wkładając w cios całą siłę swych szerokich ramion i potężnych pleców. Ostrze *spatha* przecięło powłokę ognia i wbiło się w szyję księcia, by zatrzymać się na jego kręgosłupie. Nikos opadł na ziemię, wyrывая ostrze. Książę odwrócił się do niego i spojrzał nań oczami wypełnionymi czerwonym jak krew ogniem. Hir wpatrywał się z otwartymi ustami w ranę, która zamknęła się niczym powierzchnia wody przecięta nożem. Książę uśmiechnął się, lecz w jego twarzy nie było nic ludzkiego. Strzały uderzały w księcia i opadały na ziemię, jakby natrafiły na ścianę z hartowanej stali.

Maksjan pozwolił, by maleńki fragment ogromnej, ryczącej mocy, która

wpływała weń z serca góry, wyleciał z czubków jego palców. Błękitna iskra rozrosła się nagle do żarłocznego płomienia, który objął ciało napastnika z mieczem w dłoni. Rozżarzone powietrze zamknęło się wokół niego i zastygło na mgnienie oka, by potem wsączyć się w jego zbroję i ciało. W tej samej chwili legionista zapłonął oślepiającym rozbłyskiem i zamienił się w chmurę popiołu, która opadła powoli na ziemię.

– Nie! – Thyatis zatrzymała się w pół kroku, ujrawszy śmierć Nikosa. Efraim i Karmi zaatakowali księcia z drugiej strony. Thyatis nie mogła się ruszyć, patrzyła na ciało swego ukochanego przyjaciela zamienione w popiół i opadające maleńkimi drobinami ku ziemi. Wydawało się, że jej nogi zamieniły się w ołów, niezdolne do najmniejszego ruchu.

Maksjan uśmiechnął się, czując, jak radość góry wypełnia jego umysł. Kolejni dwaj żołnierze atakowali go swą żalosną bronią z drewna i żelaza. Zacisnął dłoń w pięść, posyłając myśl i wolę w głąb ziemi. Grunt pod stopami dwóch mężczyzn wystrzelił nagle oślepiającym czerwonym płomieniem. Obaj padli na ziemię, krzycząc przeraźliwie, okryci całunem ognia.

Księżę pochylił się, czując, jak życie pierwszego z nich przepływa przez jego palce. Czuł dziwne mrowienie, kiedy tchnienie życia przemknęło przez niego. Wyprostował się i spojrzał na swoją dłoń. Na czubkach palców tańczyły maleńkie płomienie, odbicie mocy, którą właśnie posiadał. Tworzyły naprawdę piękne wzory.

Przełykając łzy, Thyatis szukała w trawie broni. Trawę przed grotą otaczała teraz ściana ognia, odcinająca wszystkie drogi ucieczki. Było jasno jak w dzień, choć nad ziemią unosiły się obłoki dymu. Thyatis wciągała powietrze otwartymi ustami. Poruszanie się było utrudnione, gdyż ziemia pod jej stopami drżała bezustannie i trzęsła się jak galareta. Palce Thyatis natrafiły wreszcie na rękojeść miecza i zamknęły się na niej. Z najwyższym trudem, gdyż góra zatrzęsała się nagle niczym pies otrzępujący się z wody, Thyatis podniosła się na kolana.

Przynajmniej Anagatios przeżyje, pomyślała posepnie, choć z odrobiną czarnego humoru. A księżna dostanie z powrotem swoje wozy.

Dostrzegła księcia: uśmiechał się łagodnie i patrzył na swe dłonie, lśniące różnobarwnym światłem. Niebo nad jego głową było ciemne, wypełnione czarnymi chmurami i podświetlone blaskiem ognia płonącego w kraterze wulkanu. Księżę wciąż patrzył na swoje dłonie, zafascynowany niezwykłym widokiem. Thyatis wstała powoli na równe nogi, czekając, aż ziemią zakołysze kolejny wstrząs. Potem ruszyła do przodu, wciąż zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

Nagle usłyszała za sobą czyjeś kroki.

– Nie – powiedział cicho czyjś głos. Thyatis odwróciła się zaskoczona, czując czyjąś dłoń na swoim ramieniu.

Za jej plecami stała Krista odziana w czerń. Jej twarz wykrzywiona była grymasem wściekłości. Przedramiona dziewczyny były odsłonięte, w dłoni trzymała obnażony nóż.

– On jest mój. Ty musisz uciekać.

Thyatis stała nieruchomo, kompletnie zaskoczona, gdy dziewczyna przebiegła obok niej.

Myśl Maksjana skakała do przodu i do tyłu; moc zamknięta w górze śpiewała doń o całkowitym uwolnieniu, o ogromnej powodzi mocy, która wystrzeliłaby błyskawicznie na zewnątrz. Umysł księcia otoczony był mgłą wściekłości, w której majaczył obraz jego brata.

Ty to na mnie sprowadziłeś, krzyczał w swym umyśle Maksjan, nie zważając na łzy wypełniające jego oczy. Ty, cesarz, który stawia państwo przed własnym bratem! Naprawdę gotów byłeś mnie zabić?

Z najwyższym trudem pohamował pędzącą rzekę mocy góry, która napierała z ogromną siłą na jego umysł. Pohamowywana przez tak długi czas, utrzymywana w równowadze delikatnymi siatkami klątwy, teraz pragnęła jedynie wyrwać się na wolność. Maksjan trzymał ją w zamknięciu, był nowym punktem równowagi, uwalniał tylko jej maleńki fragment przez swoje dłonie. Czuł, jak klątwa odsuwa się od góry, drży odpychana falami wielkiej mocy.

Władając tak wielką siłą, radował się ksiączę, mógłbym zniszczyć te formy i zjawy, unicestwić je!

Podniósł rękę, przywołując do siebie moc góry.

– Maksjanie!

Nad ryk płomieni wzniósł się nagle głos wymawiający jego imię. Znajomy głos. Odwrócił się.

Biegła ku niemu Krista. Uśmiechała się do niego, a w jej oczach płonęła nieśmiertelna miłość. Serce zabiło mocniej w piersi księcia, opuścił ręce, by wziąć ją w ramiona. Jego umysł wypełniła ogromna radość. *Przynajmniej ona jedna mnie kocha!*

Krista czuła zar bijący od ciała księcia, zignorowała go jednak, rzucając mu się w ramiona. Otaczająca go warstwa ognia była gorętsza niż rozpalone do białości żelazo, natychmiast objęła płomieniem jej ubrania. Krista krzyknęła z bólu oslepiiona,

ale nadal czuła pod dłońmi jego gęste włosy. Poruszyła lewym przedramieniem i poczuła, jak zimny spizowy pierścień na jej kciuku zwalnia napiętą sprężynę.

* * *

Maksjan krzyknął przerażony, widząc płomień ogarniające Kristę. Dziewczyna zacisnęła zęby w bólu. Książę sięgnął do źródła mocy, by otoczyć ją tarczą ochronną. W tym samym momencie coś trzasnęło przy jego uchu, a potem jego głowa eksplodowała bólem stokrotnie silniejszym od tego, którego doświadczył zaledwie kilka chwil wcześniej. Upadł na plecy, pozwalając, by płomień ogarnął ubranie Kristy i jej włosy. Drżącymi palcami sięgnął do ucha. Palce natrafiły na zimny metalowy pręt tkwiący w jego głowie. Ogarnęła go ciemność, która wchłonęła wszelkie dźwięki, obrazy i doznania.

Thyatis czołgała się przez trawę. Kłęby dymu zbierały się zaledwie dziesięć stóp nad ziemią, fale rozpalonego powietrza uderzały w nią niczym pięści. Góra uspokoiła się nagle, znieruchomiała. Z boku grotu, między dwoma głazami, pozostała jeszcze niewielka przestrzeń wolna od płomieni. W dali widać było jakiś ciemny, przycupnięty kształt. Gdy ziemia znieruchomiała na dobre, Thyatis podniosła się na równe nogi i ruszyła biegiem w tamtą stronę.

Między okrytymi dymem drzewami leżał jakiś ogromny żelazny potwór, zwinięty w kłębek niczym wąż. Thyatis zatrzymała się raptownie, patrząc z trwogą na ogromne złote oczy, które nagle się przed nią otworzyły. Olbrzymi potwór podniósł się powoli ze swego legowiska, szeleszcząc żelaznymi łuskami. Thyatis przypadła do ziemi, oszołomiona tym widokiem. Potwór rozłożył ogromne błoniaste skrzydła, przypominające skrzydła nietoperza. Przedramiona, grube i wysokie niczym kolumny, przesunęły się do przodu i zgięły, podtrzymując ciężar olbrzyma. Machina, wyrwana ze snu, ruszyła powoli w stronę grotu.

Thyatis odsunęła się na bok, w ostatniej chwili unikając śmierci pod ogromnymi szponami. Potwór miał co najmniej sto *pedes* długości, długi węzowy ogon i masywne tylne łapy, przypominające łapy lwa. Jednocześnie z wnętrza Machiny dobiegł jakiś zgrzyt, a w jej brzuchu otworzył się właz. Rozpostarte szeroko skrzydła dotykały już niemal skały nad grotą. Nadpalone drzewa łamały się niczym chrust w zetknięciu z metalowym szkieletem Machiny. Gorące powietrze wydeło błonę skrzydeł, unosząc lekko całą Machinę. Rzymianka wbiegła pod brzuch Machiny.

Dopadłszy kilkoma susami otwartego już na całą szerokość włazu, pochwyciła się jego krawędzi i wciągnęła obolałe ciało do środka.

Bogowie, pomyślała, wtaczając się do ładowni, ten potwór może nas stąd zabrać!

Maksjan zadrżał, czując, jak trucizna wpływa do jego czaszki niczym czarna rzeka. Klątwa dopadła go w przebraniu miłości, by teraz zniszczyć umysł i ciało. Nawet moc góry wydawała się słaba i nieistotna w porównaniu ze stężonym jadem, który syczał w jego głowie niczym kwas. Książę czuł, jak wspomnienia miłości i radości, nienawiści i bólu, ulatują powoli, pożerane przez niszczącą siłę trucizny.

Wystarczy! Miał dość mocy, by odwrócić jeszcze bieg wydarzeń. Czyż nie potrafił naprawiać zniszczonych ciał, uzdrawiać chorych, wskrzeszać zmarłych? Otworzył swój umysł na pełną moc góry, pozwolił, by opadły krępujące ją więzy.
Będę żył!

Góra zwieńczona koroną ognia i dymu zadrżała nagle. Daleko w dole, na zboczach pokrytych lasami, pastwiskami i winnicami, ziemia zakołysała się jak pokład okrętu na pełnym morzu. Kamienie wpadały na siebie ze zgrzytem, a zwierzęta ryczały przeraźliwie. Ludzie zrywali się z łózek i wpatrywali z niepokojem w nocne niebo. Nie widzieli jednak nic, prócz jakichś białych świateł na szczycie.

Nad górą gromadziły się ciężkie, czarne chmury, rozpalane od czasu do czasu płomieniem żółtej błyskawicy. Tworzyły szeroki pierścień, sięgający kilka mil poza szczyt góry. Choć nie spadła z nich ani kropla deszczu, ludzie bawiący na ulicach Kurne i Herkulanum spoglądali z niepokojem w niebo. Niektórzy, dziwnie zdenerwowani, w pośpiechu wracali do domu.

Żelazna strzała wysunęła się z ucha Maksjana i spadła na ziemię. Książę klęczał, wsparty dłońmi o drżącą ziemię. Zdrowym okiem wpatrywał się w zakrwawiony kawałek metalu. Drugie oko lśniło błękitnymi falami mocy, która odbudowywała zniszczoną tkankę gałki ocznej i powieki. Usta księcia wykrzywiły się w grymasie przypominającym uśmiech – znał tę broń, niegdyś sam wypełnił ją śmiertcionośną mocą. Odrzucił ją na bok i unióś się nad drżący grunt.

U jego stóp leżało ciało Kristy, zwinięte w kłębek i częściowo już zwęglone. Książę przełknął ciężko. Chodź, najdroższa, wyszeptał w myślach. Ciało uniosło się nad ziemię, zostawiając po sobie kupkę popiołu i resztki spalonych ubrań. Kierowane jego wolą, wpłynęło do wnętrza Machiny, która czekała już na niego przy wyjściu z grotty.

Gniew góry bliski był uwolnienia, książę otoczył więc siebie i Machinę potężną tarczą. Unosząc się nad ziemię, wpłynął do ładowni żelaznego smoka. Las otaczający grotę był niemal całkiem wypalony, zostały po nim tylko czarne kikuty drzew. Nad pogorzelskiem jednak nadal unosiły się kłęby dymu i pary, wypływające z głębokich szczelin w skale.

Nad szczytem góry powstał gęsty słup dymu, sięgający rozgwieżdżonego nieba.

Maksjan opadł na żelazną kratownicę ładowni i ułożył ciało Kristy na skrzyniach przymocowanych do podłogi, obwiązując je skórzanymi pasami. W głowie kłębiły mu się setki myśli, miał wrażenie, że jego dłonie i osmalona czaszka młodej kobiety, znajdują się gdzieś bardzo daleko. Tylko drganie powietrza i narastająca we wnętrzu góry moc mogły przyciągnąć jego uwagę.

– Zabierz nas stąd – wyszeptał do Machiny.

Ogromne skrzydła rozłożyły się na całą szerokość, a potem Machina odbiła się od ziemi i wzleciała w nocne powietrze. Maksjan pochwycił się mocno żelaznej barierki przymocowanej do ściany ładowni. Niezabezpieczone skrzynie i pudła przesunęły się na tył ładowni, gdy zrodzony w kuźni ptak wzbijał się stromo w górę. Po chwili wypłynął nad warstwę mgły zalegającą nad szczytem góry i ruszył na wschód.

PALATYN, RZYM

Dzban z winem zatańczył nagle w miejscu, potem przesunął się na skraj stołu i spadł na ziemię. Galen zerwał się na równe nogi i zachwiał raptownie, jakby wypił zbyt dużo wina. Anastazja, która wciąż trzymała Aureliana za rękę, drgnęła przerażona, gdy podłoga komnaty zakołysała się pod jej stopami. Ze wszystkich stron dobiegał trzask rozbijanych naczyń i posągów. Z sufitu posypały się kawałki tynku i biały pył. Cesarz poleciał do tyłu, uderzył o sofę i przetoczył się na podłogę. Wszędzie słyhać było przerażone krzyki i dźwięk dzwonów bijących na alarm. Wreszcie podłoga uspokoiła się, a w pałacu zaległa cisza.

– Trzęsienie ziemi? – Galen pochwycił się krawędzi sofy i podniósł z podłogi. – Nigdy nie słyszałem, żeby coś podobnego wydarzyło się w Rzymie!

Aurelian także wstał. Jego twarz była mokra od łez.

– Co robimy?

– Futryna albo łuk – powiedziała Anastazja, podchodząc do łukowatych drzwi prowadzących na balkon. – Tam jest najbezpieczniej.

Galen pospieszył za nią, ciągnąc brata za rękę.

Ziemia znów zadrżała, ale już nie z taką mocą. Marmurowa podłoga zakołysała się lekko, ściany jęknęły ostrzegawczo, a potem wszystko znieruchomiało.

Anastazja spojrzała na zewnątrz, szukając ciemnego kształtu Kwirynału i jej domu. Światła nadal migotały w oknach, miasto wyglądało tak samo jak przed chwilą. Wypuściła powietrze z płuc, oddychając z ulgą. *Może będzie tylko jeden wstrząs?*

– Patrzcie! – krzyknął przerażony Aurelian, wskazując na południe. Księżna odwróciła się i ujrzała nad dachami pałacu wielką czerwoną lunę, rozpalającą nocne niebo. Blask zadrżał, zamigotał, a potem nagle zniknął.

– Pożar w mieście – wyszeptała księżna, nazywając po imieniu to, czego skrycie obawiali się wszyscy. Pomimo licznych oddziałów państwowej i prywatnej straży pożarnej oraz surowych przepisów budowlanych, budynki mieszkalne Rzymu, szczególnie te na Awentynie i w okolicy, mogły w każdej chwili stać się śmiertelną pułapką. Trzęsienie ziemi mogło przewrócić zapaloną lampkę olejową, a płomień w jednej chwili ogarnąć jakieś dokumenty, słomę lub ubranie. Typowe mieszkanie w insuli, zbudowanej z drewna pokrytego tylko cienką warstwą tynku, paliłoby się jak pochodnia, a ogień natychmiast rozprzestrzeniłby się na okoliczne budynki i w końcu całą dzielnicę. Tysiące ludzi mogło spłonąć żywcem. Księżna chwyciła dłoń cesarza, szukając u niego wsparcia.

Galen wpatrywał się z posepną miną w południowy horyzont.

– To nie jest pożar w mieście – powiedział w końcu głosem twardym jak stal, całkowicie pewny swej racji. – Ten ogień płonie gdzieś daleko stąd. Jest olbrzymi, znacznie większy niż jakikolwiek pożar, o jakim słyszeliśmy do tej pory.

MIASTO ZWANE NIEGDYŚ AGAMATANU, PERSJA

Powieki obwiedzione długimi rzęsami podniosły się nagle, odsłaniając oczy o żółtych źrenicach. Wąskie węzowe tęczówki zamigotały ognistą czerwienią, półprzezroczysta zasłona zniknęła pod powieką. Oczy omiotły spojrzeniem pokój, zatrzymały się na moment na wypalonych świeczkach.

Coś zaszeleściło niczym rój chrząszczy uwieczonych w wyschniętej studni, a ciemna postać wstała z ziemi.

Dahak, potomek Sasanidów, niegdyś brat Króla Królów, podniósł rękę.

Ze ścian wypłynęło ciemnoniebieskie światło. Czarownik stał w małej komnacie ukrytej głęboko pod Pałacem Siedmiu Bram. Ściany okrągłego pokoju wykonane były z czerwonej cegły, podłogę zaś pokrywały sześciokątne płytki. Na każdej widniał ten sam kanciasty symbol.

Czarownik syknął cicho zaintrygowany, kierując myśl i wolę do swego wnętrza. Daleko na zachodzie, za krawędzią ziemi, ktoś uwolnił potężną moc. Nawet tutaj, w otoczonej tarczami komnacie zbudowanej przez starożytnych, wyczuwał smak śmierci. Ciało Dahaka zadygotało, przeniknięte głodem.

Ktoś ma dzisiaj prawdziwą ucztę, pomyślał z zawiścią. Budzi się nowa siła. Ciekaw był, komu będzie służyć ta nowo zrodzona moc. Zadrżał nagle, dotykając myślą zimnej otchłani między gwiazdami. Nawet we wspomnieniu wola jego pana budziła w nim przerażenie, paliła żywym ogniem. Uświadomił sobie, że wkrótce nadejdzie świt, a on będzie musiał przybrać miłą dla ludzkiego oka postać. Ta myśl zaostrzyła tylko jego apetyt.

Owinąwszy się czernią i karmazynem, czarownik wyszedł z komnaty, zamykając za sobą ołowiane drzwi. Pomimo ogromnej masy, drzwi przesuwają się lekko niczym piórko. Ten gruby kapłan musi tu gdzieś być, pomyślał, uśmiechając się do siebie. A jest taki pulchniutki.

NAD WEZUWIUSZEM

Machina wzbijała się coraz wyżej i wyżej, wykorzystując w pełni moc krystalicznych kul ukrytych w jej sercu. Na próżno. W dole, poniżej warstwy chmur i dymu, góra wyzwolona wreszcie z więzów krepujących ją od stuleci, wypluła nagromadzoną w jej wnętrzu złość.

Najwyższa ćwiartka ogromnego stożka wulkanu oderwała się od podłoża w gigantycznym wybuchu sprężonego gazu i lawy. Gruba na milę warstwa skał i ziemi wyparowała w mgnieniu oka, a niebo zapłonęło blaskiem jaśniejszym niż serce rodzącego się słońca. Pumeks, a także pył i głązy wielkości kilkupiętrowych budynków wystrzeliły w górę, pędziły przez niebo niczym komety. Fala uderzeniowa sunęła nad ziemią, rozbijając okna, powalając drzewa. Była to tylko przednia straż chmury płonącego gazu, która pędziła z ogromną prędkością w dół zbocza.

Machina, wyczuwając zbliżającą się do niej moc, zakreśliła gwałtownie na północ i zanurkowała pionowo w dół. Pęd powietrza szarpał gwałtownie jej powłokę, nieprzystosowaną do takich prędkości. Żelazne łuski odrywały się od kadłuba. Wielkie żelazne skrzydła skrzypiały i pojękiwały żałośnie. Ogromne ciśnienie sięgało aż do serca Machiny, zamknięte w nim kryształy uderzały o siebie głucho, pokrywając się siatką delikatnych pęknięć. Mimo to Machina nie zwalniała, uciekając przed ścianą ognia.

Wkrótce po tym, jak szczyt góry wyparował w olbrzymim wybuchu, ściana powietrza poprzedzająca płonący gaz zrównała z ziemią zabudowania willi w Ottaviano. Chwilę później nad zboczem przemknęła chmura ognistego gazu, pożerając wszystko, co stało na jej drodze.

Na zboczu opadającym ku morzu erupcja wyrwała potężną dziurę w powierzchni wulkanu. Z wnętrza stożka wypłynęła rzeka lawy, która ze zdumiewającą prędkością zalewała urwiska, pola i pastwiska. Po chwili pierwsza porcja płynnego ognia podzieliła się na dziesiątki mniejszych strumieni zmierzających niepowstrzymanie ku powierzchni morza.

Thyatis, ukryta w tylnej części Machiny, trzymała się kurczowo żelaznego pręta. Drewniane skrzynie zerwały się z mocowań, gdy Machina runęła pionowo w dół, pozbawiając Thyatis oparcia i niszcząc jej kryjówkę. Teraz Rzymianka zapierała się plecami o jedną ścianę ładowni, a zakrwawioną nogą o drugą, przytrzymując się wolną ręką żelaznego pręta. Słabła jednak z każdą chwilą, gdyż podczas długiego pikowania w ładowni wytworzyła się próżnia.

Chmura płonącego gazu dopędziła w końcu Machinę, pozbawiając ją całkowicie kontroli nad kierunkiem lotu. Żelazny rumak kręcił się jak liść pochwycony przez

trąbę powietrzną. Niewyobrażalne siły, potężniejsze nawet od zaklęć perskich magów, wyrwały jedno skrzydło z mocowań i poniosły je w noc. Tylko lśniąca, błękitna tarcza przywołana przez księcia ocaliła kadłub Machiny.

Książę stał w kabinie sterowniczej w przedniej części Machiny, trzymając się kurczowo metalowej barierki. Jego twarz znów pokryła się krwią, pocięta fragmentami szkła z rozbitego okna. Dokoła wirowały różne przedmioty, unoszone falą pędzącego powietrza. Niebo widoczne za owalnymi oknami na dziobie Machiny wyglądało jak ogromna ściana ognia. Książę sięgnął po moc wypływającą z wulkanu, by utrzymać w całości tarczę chroniącą Machinę i jego samego.

Pierwsza fala rozgrzanego powietrza pomknęła dalej, zostawiając Machinę na pastwę losu. Maksjan przysunął się do okna, obejmując myślą okaleczony kształt pojazdu, próbując odzyskać kontrolę nad lotem. Machina jeszcze przez chwilę sunęła bezwładnie w dół, potem jednak wyrównała lot i ruszyła do przodu.

Thyatis opadła z ulgą na podłogę ładowni, chwytając łąpczywie powietrze, które znów zaczęło normalnie krążyć po wnętrzu Machiny. Odwróciła się i przylgnęła do ściany, gdy zerwane z mocowań skrzynie znów zaczęły przesuwac się po podłodze. Tylne drzwi ładowni, wygięte przez odrywające się od kadłuba skrzydło, stały otworem. Wiatr szalejący w otwartej przestrzeni ładowni wyrwał ze zniszczonych skrzyń luźne zwoje papirusu i arkusze pergaminu. Thyatis patrzyła jak urzeczona na zewnątrz, na ogarnięty ogniem świat. Lecieli nisko, bardzo nisko. Tuż pod brzuchem Machiny przemknęły płonące drzewa i zniszczony piętrowy dom.

Rzymianka wysunęła się ze swej kryjówki, zapominając nagle o bólu i połamanych kościach. Jej myśli pochłonięte były całkowicie widokiem owego poszarpanego prostokąta i przemykającej w dole ziemi. Przysunęła się do wyjścia i odepchnęła na bok zniszczone tylne drzwi. Wiatr szarpał jej ubraniami, chwycił za włosy. Machina wciąż leciała z ogromną prędkością nad płaską równiną po północnej stronie góry. Thyatis napała mocno na ukryty w podłodze właz. Po chwili żelazna kłapa ustąpiła pod naciskiem i otworzyła się na całą szerokość. Rzymianka czuła, że stoi na krawędzi przepaści, nie patrzyła jednak w dół.

– Stój! – przemówił nagle zachrypnięty głos za jej plecami. Thyatis odwróciła się i ujrzała księcia stojącego w drzwiach ładowni prowadzących do wnętrza Machiny. Jego ubranie wisiało w strzępach, twarz pokrywała warstwa krwi. Otaczała go sferoidalna warstwa błękitnego światła. Gdy się poruszył, wyciągając do niej rękę, błękitna poświata przesunęła się wraz z nim.

– Nie rób tego! Zginiesz!

Thyatis spojrzała nań nienawistnym wzrokiem i odepchnęła się od podłogi.

Runęła w dół. Ostatnią rzeczą, jaką widziała, była umęczona twarz księcia w obramowaniu włazu.

– Głupia dziewczucha! – Maksjan dotarł do włazu chwilę za późno. Dziewczyna zniknęła, wyssana przez wiatr obmywający z wyciem kadłub Machiny. – Pewna śmierć...

Odwrócił się. Machina drżała, zmagając się z oporem powietrza. Brak jednego skrzydła w normalnych warunkach uniemożliwiłoby dalszy lot, lecz Maksjan czuł w sobie taką moc, że mógł utrzymać Machinę w powietrzu. Nakazał jej, by leciała dalej, szukając chłodniejszej przestrzeni. Ruszył w stronę drzwi, ale zatrzymał się przy wielkiej skrzyni, wbitej niemal w ścianę ładowni. Na skrzyni nadal leżało zmasakrowane ciało Kristy. Księżę pochylił się nad nim i przycisnął usta do spalonego czoła. Na spopieloną skórę spadły dwie słone łzy.

Potem wrócił do komnaty sterowniczej i opadł ciężko na fotel przymocowany do podłogi. Krista znalazła go w sklepie na Porticus Aemillia; ciężki mahoniowy mebel o rzeźbionych poręczach w kształcie baranich głów i wygiętym oparciu, obity miękką skórą. Wołosi męczyli się przez tydzień, by wnieść go do kajuty sterowniczej i przymocować do podłogi.

– W górę – wyszeptał, a Machina posłusznie wzbiła się w zimne nocne niebo.

Poniżej, nad ziemią słała się warstwa duszącej mgły. Trujące gazy okrywały gęstą zasłoną ziemię wokół Wezuwiusza, zabijając tych nielicznych ludzi i zwierzęta, którzy przetrwali pierwsze, ogniste uderzenie. Z nieba spadł deszcz popiołu, okrywając wszystko szarym całunem. Ogromne kamienie wyrzucane z wnętrza góry uderzały w wody Zatoki Neapolitańskiej, niszczyły budynki i świątynie na lądzie. Nadmorskie miasta Herkulanum i Baje zostały niemal zrównane z ziemią, najpierw przez falę płonącego powietrza, a potem przez deszcz gorącego popiołu i kamieni. Tysiące ludzi zginęły, próbując uciec przed pożogą.

Po zboczach góry spływały rzeki roztopionej skały, paląc wszystko, co napotkały na drodze. Z południowej strony góry, gdzie łagodny stok schodził prosto do miasta Pompeje, nic nie mogło powstrzymać owej powodzi. Płonąca fala pochłaniała wszystko: domy, zabudowania gospodarcze, mury, świątynie, nawet most na drodze do Herkulanum.

Piętnaście i dwadzieścia mil dalej, gdzie odległy huk erupcji wydawał się drobnostką w porównaniu ze skutkami trzęsienia ziemi, noc rozpały nagle wielkie bryły płonącej lawy. Deszcz takich bomb spadał na podwórza i place, rozbijał dachy i mury, wzniecał niezliczone pożary.

Wysoko w górze, gdzie chmury podświetlane od dołu blaskiem wybuchów i pożarów wydawały się odległe i nierzeczywiste, Machina kontynuowała swój lot. Nad wulkanem utworzył się niewiarygodnie wielki słup dymu, sięgający nieba niczym jakaś kolosalna kolumna. Jednak w zetknięciu z zimniejszymi, rozrzedzonymi warstwami powietrza dym zaczął się rozpościerać na boki. Machina unosiła się w takiej właśnie warstwie, okrążając górę ognia i wypływający z niej słup dymu.

Maksjan leżał nieruchomo w ciężkim fotelu. Drżał na całym ciele, oddychał ciężko przez szeroko otwarte usta. Upiorny blask wpadający przez wybite okna podświetlał jego twarz. Księżę wpatrywał się w jakiś bliżej nieokreślony punkt, ukryty poza widzialnym światem.

Poniżej, pod chmurami pulsującym kolorowym światłem, umierały dziesiątki tysięcy ludzi: zatrutych gazem, pochłoniętych przez ogień, przywalonych głazami, pogrzebanych żywcem w grubej warstwie popiołu. Inni ginęli w wodach zatoki, próbując uciec przed żywiołem na statkach, jeszcze inni pod stopami oszalałego ze strachu tłumu, który uciekał z konających miast wokół Wezuwiusza. Każdy z nich umierał w strachu i bólu, a maleńka iskra życia, która prowadziła ich przez świat, uwolniona ulatywała w powietrze.

Machina krążyła wysoko nad górą, nie zważając na śmierć i zniszczenie szalejące w dole. Deszcz popiołu przesunął się wraz z wiatrem na południe, by okryć czarnym całunem sto mil żywej ziemi. Chmura wulkanicznego pyłu wyrzucona nad wulkan rozprzestrzeniła się już w wyższych warstwach atmosfery. Następnego dnia niebo nad Rzymem było szarobrazowe, a drobne płatki pumeksu jeszcze przez wiele dni opadały na budynki i ulice miasta.

Maksjan drżał spazmatycznie, chłonąc całą moc i dusze, które zostały tak gwałtownie uwolnione ze swych śmiertelnych naczyń. Otworzył się, stojąc na szczycie góry, u ujścia tej mocy, która teraz niosła śmierć i zniszczenie. Poznał smak ulatującego życia żołnierzy, którzy chcieli go zabić, i sycił się łapczywie płynącą stąd siłą. Teraz wpływały weń istnienia dziesiątek tysięcy, napęlniając go niewyobrażalną mocą. Jego umysł rozmył się w milionach wspomnień ulatujących ku niebu.

Machina leciała dalej, unosiła się nad falami morza, ciemny niewyraźny kształt zalany blaskiem księżyca.

MORZE, OKOLICE NEAPOLU

Ogromny blok rozpalonej do czerwoności skały wpadł do morza zaledwie kilkanaście kroków od dziobu „Dumy Kos”. Morze zafalowało gwałtownie, w górę wystrzeliła chmura pary. Na pokład opadły krople gorącej wody. Szirin, uczepiona kurczowo zerwanej liny, wpatrywała się ze zgrozą w brzeg. Nocne niebo przecinały setki ognistych pocisków ciągnących za sobą pióropusze dymu. Odłamki płonącej góry zasypywały zatokę niesłabnącym deszczem kamieni, lawy i głazów.

Z nieba spadał także popiół, który okrywał wszystko – włosy, pokład, liny, pasażerów stłoczonych poniżej, na środkowym pokładzie. Na brzegu szalały pożary. Z okien budynków buchał ogień i dym. Płonęły niemal wszystkie wille ustawione wzdłuż plaż Oplontis, portu docelowego „Dumy Kos”. Szirin widziała tysiące ludzi tłoczących się na plaży, uciekających ze zrujnowanych domów. Wielu z nich było już w wodzie, niektórzy trzymali na głowach pakunki ze swym dobytkiem. Powietrze przesycone było zapachem dymu i jakimiś cuchnącymi gazami. Wyżej, na zboczach wulkanu widać było ogniste rzeki, które pochłaniały wszystko, co stało im na drodze.

Kolejny kamień przeciął ze świstem powietrze i uderzył w wodę kilka kroków od okrętu. Szirin odwróciła się, zsunęła na moment z twarzy ciekłą warstwę gazy, która chroniła jej gardło przed gorącym popiołem, i krzyknęła wściekle na kapitana:

– Zabieraj nas stąd, głupcze! Zaraz jeden z tych kamieni trafi w statek! Odpłyn od brzegu!

Kapitan wpatrywał się w nią nieprzytomnymi ze strachu oczami. Pogubił się zupełnie, odkąd fala powietrza rozerwała żagiel i omal nie przewróciła okrętu. Szirin była wtedy pod pokładem, w swojej maleńkiej kajucie. Huk erupcji wyrwał ją ze snu. Nie zdążyła jeszcze się podnieść, gdy jakaś ogromna siła rzuciła ją na przeciwległą ścianę kajuty. Na szczęście okręt był zwrócony dziobem ku górze i ognisty wiatr pędzący od strony lądu złamał tylko mniejszy maszt i rozerwał żagiel.

Właściwie statek powinien stać w porcie w Surrentum i czekać na nadejście dnia, kapitan uznał jednak, że nadrobi nocą czas stracony u wybrzeży Sycylii i popłynie wzdłuż wybrzeża, kierując się światłami Herkulanum, Bajów i Oplontis. Teraz jego statek kołysał się na wzburzonych falach, tuż przy płonącym brzegu.

– Hej, wysuńcie wiosła! – Szirin ruszyła na środek okrętu, zamiatając pokład brzegiem luźnej szaty. Od jakiegoś czasu nosiła surową, ciemną suknię z welonem. Odkąd wsiadła w Naxos na pokład przeciekającego kabotażowca, musiała unieszkodliwić pięciu lub sześciu mężczyzn, którzy uznali, że podróżująca samotnie kobieta to łatwa zdobycz. W Brundisium kupiła też długi na dwie dłonie, ostry jak brzytwa nóż. – No jazda!

Wioślarze spoglądali na nią z przerażeniem. Modlili się i składali ofiary z ziarna i wina od chwili wybuchu wulkanu. Klęczeli na głównym pokładzie, zbici w ciasną grupkę, chorzy ze strachu. Szirin zakłęła i wskoczyła między nich.

– Wiosła! – wrzasnęła, kopiąc pierwszego z brzegu żeglarza. Mężczyzna przetoczył się na bok, zgięty w pół. – Musimy odpłynąć od brzegu!

Pozostali pochylili tylko niżej głowy, unikając jej wzroku. Chazarka podeszła do relingu. Od brzegu dzieliła ich niecała mila. Zmrużyła oczy. Na plaży kłębił się coraz gęstszy tłum. Z nieba wciąż spadał deszcz bomb wulkanicznych i coraz gęstsze kłęby popiołu. Mogłabym tam dopłynąć, pomyślała Szirin, analizując różne możliwości. Dotknęła pasa, sprawdzając, czy pieniądze i nóż są na swoim miejscu.

Rozżarzona skała wielkości rydwanu wynurzyła się z rykiem z ciemności i uderzyła w tylny pokład „Dumy Kos”. Statek podskoczył raptownie, jak narowisty koń, a Szirin runęła na pokład, uderzając głową o twarde deski. Ogromne drzazgi i kawałki drewna przeleciały ze świstem nad pokładem, zabijając na miejscu trzech żeglarzy. Z ogromnej dziury w pokładzie wytrysnęła czarna woda, a cały okręt jęknął przeraźliwie. Dziób „Dumy Kos” zaczął wynurzać się nad powierzchnię, w miarę jak woda zalewała tylne ładownie.

Szirin leżała oszołomiona na pokładzie, wpatrzona w rozświetlone łuną pożarów i wybuchów niebo. Kolumny rozpalonego powietrza gnały przed sobą chmury dymu i kurzu, płonące bomby wulkaniczne raz po raz uderzały o morze, nad wszystkim zaś wznosiła się pulsująca ogniem góra. Szirin zamrużyła powiekami, próbując oczyścić zasypane piaskiem oczy. Statek przechylał się coraz szybciej. Szirin czuła, że zsuwa się w stronę wielkiej dziury w pokładzie. Pochwyciła leżącą obok linę i wreszcie się zatrzymała. Okręt stał już niemal pionowo i wsuwał się w wody zatoki.

Zmagając się lękiem wysokości i przejmującym bólem głowy, Szirin podciągnęła się na linie i pochwyciła mocno reling. Nie zdążyła zdjąć butów, musiała więc zrobić to później, w wodzie. Okręt coraz szybciej zanurzał się w morskiej głębinie. Szirin zacisnęła mocniej dłonie na relingu i przesunęła jedną nogę za burtę.

Teraz mogła wreszcie rozejrzeć się dokoła i zorientować, gdzie leży brzeg. Patrzyła jednak w złą stronę, na pełne morze. Znieruchomiała na moment, zadziwiona niezwykłym widokiem.

Fale zniknęły. Morze było całkiem płaskie, niczym powierzchnia sadzawki. Potem zaczęło się przechylać. Szirin pokręciła głową, zdumiona. To nie miało sensu – przechylać powinien się statek, a nie woda. Przy wejściu do zatoki pojawiła się nagle biała linia. Statek zadrzał po raz kolejny, gdy jego kil wbił się w dno morza, a potem zaczął się przechylać. Morze uciekało od brzegu i to z zadziwiającą prędkością. Szirin przywarła całym ciałem do relingu, gdy okręt obrócił się na bok

i zatrzymał w płytkiej wodzie.

Zaledwie o milę dalej w stronę brzegu pędziła ściana wody o wysokości sześćdziesięciu stóp.

Szirin spojrzała w górę. Do jej uszu dotarł głuchy grzmot, jakby tysiąc słoni galopowało po wyłożonym kamieniem placu. Ściana wody była coraz bliżej, wydawała się coraz wyższa i wyższa, lśniąca i ciemna. Statek oderwał się od dna i zawirował w miejscu.

Szirin zasłoniła ręką oczy, choć wiedziała, że ten gest niczego nie zmieni. Nie widziała obrazów z przeszłości, nie patrzyła wstecz na swe życie, czuła tylko ogromną złość, że znów nie zobaczy się z dziećmi.

DOLINA SYJONU

Dwyrin obudził się raptownie, zlany potem. Obrazy człowieka lecącego pośród morza płonących chmur zbladły, rozmazały się. Powietrze w namiocie było chłodne. Choć za dnia nad wzgórzami tej jałowej krainy panował trudny do wytrzymania upał, nocą robiło się bardzo zimno. Ze względu na pozycję, jaką Dwyrin zajmował w centurii Nikolasa – nosił dumne miano starszego taumaturga – otrzymał oddzielny pokój. Zwykle w pomieszczeniu o takich rozmiarach spało czterech ludzi, teraz miał je tylko dla siebie. Noc była spokojna i cicha, choć jeszcze przed momentem jego uszy wypełniał potężny huk. Westchnął, otarł pot z czoła i wsunął swe długie warkocze za uszy. Odkąd wrócił na pustynię, zniknęły złe sny, które dręczyły go w drodze powrotnej z Antiochii. Miał nadzieję, że nie zaczną nawiedzać go ponownie. Usiadł prosto i odsunął koce. Czuł się znacznie lepiej w chłodnym nocnym powietrzu. Jego skóra była zaczerwieniona i gorąca. *Może powinienem zrezygnować z tych koców...* Zamarł w bezruchu, uświadomiwszy sobie nagle, że w pokoju ktoś siedzi. W bladym świetle latarń zawieszonych wzdłuż *via principia* przed budynkiem dojrzał ciemną sylwetkę jakiegoś człowieka. W pokoju było tylko jedno drewniane krzesło i stolik, które pożyczyci mu inżynierowie. Nawet gdyby nie widział nieproszonego gościa, wyczułby jego obecność, która wypełniała pokój niczym chmura burzowa.

– Kim jesteś? – spytał Dwyrin. Poczł absurdalną satysfakcję – jego głos był spokojny i wyważony.

Jest ogień, który wznieca człowiek. Ten ogień może służyć złu.

Dwyrin otworzył szerzej oczy, a potem zamknął je, wchodząc w medytację i otwierając nadwidzenie. Dopiero wtedy dostrzegł, że na krześle siedzi starzec z długą białą brodą, w którą wetknięto liście i drobne gałązki. Delikatne, jakby wypływające z jego wnętrza światło, ukazywało mocne perskie rysy i wystający nos. Odziany był w brudne brązowe szaty i białą chustę ułożoną na piersiach.

– Pytam raz jeszcze, kim jesteś i czego chcesz. – Dwyrin badał swą mocą najbliższe otoczenie, szukając jakichś zasadzek i zagrożeń. Wszystko jednak wydawało się niezwykle spokojne. Obóz pogrążony był w głębokim śnie, pełnym marzeń o powrocie do domu i rodziny.

Jest ogień, który wznieca człowiek. Ten ogień nie może być skalany.

Starzec wstał, poruszając się w całkowitej ciszy, i spojrział z góry na Dwyrina. Chłopiec drgnął zaskoczony – widział już kiedyś tego człowieka, obraził go, napiętnował. Teraz jednak starzec patrzył nań z dobrocią i łagodnością, jakie daje wiek i doświadczenie. Dwyrin zauważył też na jego palcu pierścień w kształcie płomienia.

– Jesteś duchem – rzekł ze spokojem. Widział już zbyt wiele, by bać się duchów i zjaw. – Co cię tu sprowadza?

Starzec odwrócił się i ruszył do drzwi. Przed wyjściem zatrzymał się jeszcze i spojrzał przez ramię.

Jest ogień, który wypełnia serce, prowadzi człowieka do zwycięstwa. Ten ogień trzeba chronić i podsycać, sławić i pobudzać. To jest włócznia życia.

Potem duch zniknął. Dwyrin zamrugał powiekami. Drzwi nadal były zamknięte, jakby nikt ich nie dotykał. Powietrze jednak dziwnie zgęstniało, w pokoju zrobiło się nagle gorąco. Hibernijczyk wstał i wyszedł na zewnątrz, wkładając po drodze starą, nadgryzioną przez mole tunikę.

Niebo iskrzyło się milionami gwiazd. Przez moment, kiedy wyszedł przed budynek, Dwyrin widział białe światło nad szczytami drzew oliwnych i cyprysów, potem jednak stracił je z oczu.

Gdzieś w dali, w którymś z domów w dolinie, rozszczękał się pies.

Świt dotykał już murów miasta, kiedy Nikolas wrócił do obozu. Był ogromnie zmęczony całonocnym bieganiem po mieście w pełnej zbroi. Ulokowany na skraju miasta obóz tonął jeszcze w ciemnościach, a powietrze było tak chłodne, że centurion widział własny oddech. Podszedł pod bramę i czekał, aż strażnicy wpuszczą go do środka.

– Ave – warknął, przechodząc przez bramę. Nocne poszukiwania nie przyniosły żadnego skutku, a Nikolas marzył jedynie o własnym łóżku, nawet jeśli była to twarda prycza. Dwaj kamieniarze pełniący wartę przy bramie zaszalutowali na powitanie, powstrzymując się od jakichkolwiek komentarzy. Nawet zawadiackie wąsy centuriona jakby oklapnęły.

Dotarłszy do swego pokoju, Nikolas rozpiął zbroję i rzucił ją pod ścianę. Zauważył, że łóżko Władimira jest puste. Ciekaw był, czy Wołoch wstał wcześniej, czy też jeszcze nie wrócił.

Pomimo pozornego spokoju panującego w dolinie wszystkie psy w okolicy rozszczękały się nagle w środku nocy. Gubernator przysłał do Nikolasa gońca, prosząc, by centurion zjawił się w jego rezydencji. Po kilku godzinach poszukiwań i przesłuchiwania strażników oraz paru młodzieńców, którzy zabawili w mieście do późnej nocy, dowiedział się tylko, że wszystko zaczęło się od jakiegoś światła widocznego na niebie. Nikt jednak nie widział, ani nie słyszał nic więcej. Nie znaleziono żadnych bandytów ani perskich szpiegów. Nikolas odkrył za to, że miasto w nocy jest wyjątkowo ciemne i że kryje się w nim ogromna liczba schodów. Strażnicy gubernatora twierdzili, że ktoś był wcześniej w świątyni i że słyszeli tam

jakieś krzyki, nie potwierdzały tego jednak żadne ślady.

Ludzie, których Nikolas zabrał ze sobą do miasta, nadal tam byli, zajęci przeszukiwaniem starych ruin. Centurion postanowił, że później, w ciągu dnia, kiedy już pozbędzie się okropnego bólu głowy, każe swym inżynierom sprawdzić, czy w murach nie ma jakichś ukrytych przejść lub tuneli. Strażnicy przy bramach twierdzili, że nikt nie wchodził do miasta po zapadnięciu zmroku. Nikolas miał jednak wrażenie, że coś się wydarzyło. Dziwne mrowienie w karku nie dawało mu spokoju.

EKBATANA, PERSJA

Arad siedział w cieniu, z rękami złożonymi na kolanach, ubrany jedynie w spódnicę z czarnej bawełny i skórzany pas. Znajdował się w altanie w ogrodzie na tyłach starego pałacu. Granitowy budynek pałacu, z jego holami i komnatami, leżał na południe od ogrodu. Tutaj, za murami cytadeli, kryła się maleńka oaza wypełniona kwiatami i drzewami owocowymi. Ostatnimi czasy nikt się nimi nie zajmował, więc wiele roślin zginęło, podczas gdy inne wyrosły ponad miarę.

Altana była stara, wiele drewnianych kratownic zaczęło już gnić. Mimo to w tej niewielkiej przestrzeni, otoczonej kwitnącymi pnączami i krzakami róży, można było znaleźć choć odrobinę prywatności. Kiedy cesarzowe przejęły pałac, wypełniły go całym tłumem swych służących i dworzan. Teraz, gdy dołączył do nich także Dahak, pałac niemal pękał w szwach. Ludzie spali we wszystkich pomieszczeniach, w każdej skrytce czy niszy.

Gdy po okolicy rozeszła się wieść, że Rajskie Ptaki znalazły potężnego obrońcę, do miasta zaczęli napływać moiżni Persji, *spabahadan* i *mobed*. Każdego dnia przybywał ktoś odziany w bogate szaty, w otoczeniu silnego oddziału własnego wojska, przekonany o swej ważności. Ci ludzie musieli jednak czekać, cesarzowe miały bowiem sporo zajęć, które wyznaczał im odzyskany cudem wuj, Dahak. Dworscy próżniacy szybko przekonali się, że pod nowymi rządami nie znajdą miejsca dla siebie, w pałacu pozostali więc ludzie Dahaka albo ci, którzy gotowi byli podporządkować się jego woli.

Późnym popołudniem, kiedy słońce zniżało się nad zachodnim horyzontem, cesarzowe zwykły siadać w altanie w towarzystwie swych służących oraz ukochanego wuja. W tym właśnie czasie przyjmowały *spabahadan*, zawsze pojedynczo, bez żadnych doradców czy współpracowników. Rajskie Ptaki chciały w ten sposób wybrać tych, których gotowe były obdarzyć swą łaską.

Teraz nadeszła właśnie taka pora. Arad siedział w cieniu na tyłach altany, milczący i nieruchomy, przyglądając się wszystkiemu z uwagą.

Dahak siedział na krześle z kości słoniowej, ustawionym z boku altany. Krzesło było przyozdobione jedynie płachtą czarnego jedwabiu. Czarownik miał na sobie czarno-szare szaty, a ściągnięte do tyłu włosy przewiązał szkarłatną wstążką. Odkąd pojawił się na dworze cesarzowych, jego wygląd nieco się zmienił. Teraz przypominał typowego arystokratę, a jego oczy były ciemnobrązowe, podobne do koloru włosów. Nie nosił żadnej biżuterii, prócz pojedynczego pierścienia, a czasem także broszy spinającej jego płaszcz na ramieniu. Na niewielkim drewnianym stoliku obok jego krzesła stał puchar z winem. Arad nie widział, by kiedykolwiek czarownik pił z tego kielicha.

Znacznie bardziej zmieniły się same cesarzowe, choć nikt prócz Arada – i zapewne Dahaka – nawet tego nie zauważył. Dziś, w zalanej słońcem altanie, siedziały swobodnie na swych obszernych tronach ze złota i porfiru, wykładanych miękkimi poduszkami. Obie popijały świeżo wyciśnięty sok z owoców schłodzony lodem. Obie ubrane były w proste, tradycyjne suknie z wysokim kołnierzem, uszyte z żółtego jedwabiu. W ich uszach i na szyjach błyszcząły szmaragdy osadzone w złocie. Obie nosiły też włosy zaczesane do tyłu i podtrzymywane złotą siateczką. Zniknął gruby makijaż, który zamieniał ich twarze w maski. Delikatnie nałożony tusz podkreślał tylko ich oczy, a odrobina pudru wygładzała policzki, ale nic ponadto.

Poza tym wydawało się, że obie promieniają urzekającym wewnętrznym pięknem. Przedtem otaczały się przepychem, teraz wybrały prostą elegancję. Przeladowany pokaz bogactwa zniknął, zastąpiony przez coś, co przyciągało serca mężczyzn jak magnes. Zarówno Azarmiducht, jak i Purandocht nosiły na nadgarstku czarną bransoletę, znak miłości ich matki. Niemal bezustannie, świadomie czy też nieświadomie, dotykały czarnego metalu. Ich służące siedziały z boku, gotowe w każdej chwili poderwać się na wezwanie.

Przed cesarzowymi klęczał *dikuan* Piruz, który pełnił straż przy południowej bramie, gdy Arad wszedł po raz pierwszy do miasta. Wielu bogatych panów przewijało się przez to miejsce, nim nadeszła jego kolej, ich nazwiska i majątki były jednak Aradowi zupełnie obce. Teraz jednak znajoma twarz obudziła jego zainteresowanie.

– Witaj, szlachetny Piruzie – przemówiła Azarmiducht, skłaniając lekko głowę. – Wybacz, że kazałyśmy ci tak długo czekać. Ostatnio jesteśmy bardzo zajęte. Proszę, opowiedz nam o sobie, o swojej krainie, o swoich marzeniach.

Arystokrata poczerwieniał i spuścił wzrok, na wyłożoną mozaiką podłogę altany. Mozaika przedstawiała scenę myśliwską, oddaną w brązie, zieleni i złocie. Ludzie na pięknych białych koniach jechali nad krzewami i żywopłotami, w dłoniach trzymali napięte łuki, a u ich stóp biegły charty. Polowali na ogromne lwy. Arad widział kroplę potu spływającą po szyi Piruza, tuż nad kołnierzem jego bogato zdobionej tuniki. Był bardzo zdenerwowany.

– Płomieniu Wschodu. – Ukłonił się przed Azarmiducht. – Jasności Świata – zwrócił się do Purandocht. – Przybywam z najdalej wysuniętej na wschód części waszego cesarstwa, z przygranicznego miasta Balch. Żyjemy z dala od waszego pięknego dworu, ale jesteśmy lojalnymi Persami. Bronimy brodów Oksosu przed Hunami i innymi barbarzyńcami z północy...

Arad przestał się interesować Piruzem. Znał dobrze tę powtarzającą się od wieków historię – młody arystokrata szukał żony i mierzył wysoko. Cesarzowe także szukały mężów, Arad wątpił jednak, by ten przygraniczny watażka miał dość ziemi,

ludzi i bogactw, by wzbudzić ich zainteresowanie.

Wystarczyło, że Dahak przyglądał się młodemu wodzowi z uwagą, jakby próbował przeniknąć jego myśli. Arad sięgnął do swego wnętrza, odsuwając uwagę i myśli od świata zewnętrznego. Słońce przenikające między drewnianymi kratami przyblakło, osłabł śpiew ptaków i zapach hiacyntów i róż. Arad wycofywał się powoli, pozwalając, by łączność ze światem *zewnętrznym* słabła stopniowo, rezygnował nawet ze świadomej kontroli nad swym ciałem, aż jego *ka* skupiało się w jednej maleńkiej drobince, ukrytej głęboko we wnętrzu jego cielesnej powłoki.

Tutaj, w tej czarnej otchłani wolny był od czarownika i jego nakazów. Co prawda nie mógł tu niczego dotknąć ani niczego zmienić, ale nie musiał też znosić obecności umysłu czarownika. To było wystarczająco cudowne! Arad był pewien, że może porzucić swe ciało i życie, wycofując się do tego miejsca na zawsze. Rozważał to przez chwilę, podobnie jak rozważał to każdego dnia, odkąd znalazł tę kryjówkę. Gdyby zrezygnował z istnienia, czarownik straciłby potężną broń.

Z ciemności wynurzały się także sny i widziadła. Przychodziła do niego kobieta o czarnych włosach, w złotej koronie. Uśmiechała się do niego promiennie, jej błękitne oczy błyszczały radością. Serce rwało się do niej, choć nie mógł dotknąć jej dłoni ani policzka. Widział także twarze mężczyzn – Araba o brodatej uśmiechniętej twarzy i chłopca z długimi rudymi warkoczami – ci ludzie byli jego przyjaciółmi, kiedy serce biło w jego ciele. Tutaj, we wspomnieniach, mógł zawsze być z nimi, wolny od bólu i cierpienia.

Gdyby jednak uciekł, nie miałby już żadnych szans na to, by kiedyś zerwać więzy kępujące jego umysł i zemścić się na tej ciemnej mocy. Gdyby zrezygnował z walki i porzucił nadzieję, owa ciemna istota w ludzkiej postaci odniosłaby zwycięstwo innego rodzaju.

Arad nie wybrał unicestwienia. Wybrał walkę.

Wzory przenikające powietrze uległy zmianie. Arad wypłynął z ciemnej otchłani, odzyskując świadomość i wrażliwość na świat fizycznych form. Piruz stał przed cesarzowymi, w dłoni trzymał szarfę o barwie skruszonego onyksu. Skłonił się nisko, całując białą dłoń cesarzowej Purandocht i ruszył do wyjścia. Wydawał się oszołomiony, na jego twarzy malował się błogi uśmiech. W drodze powrotnej towarzyszył mu Dahak, który szeptał mu coś do ucha.

Arad nie zwracał na to uwagi; czarownik jak zwykle prowadził swoje nikczemne gierki. Trójkątny kształt liścia na kratownicy, oświetlony promieniami zachodzącego słońca, wydawał mu się znacznie bardziej interesujący.

Równina rozciągająca się przed zachodnią bramą starego miasta upstrzona była tysiącami ognisk i namiotów. Obozowiska perskiej arystokracji, choć znacznie uszczuplonej po przegranej wojnie z Rzymem, nadal był ogromne. Tuż przed

zachodem chmury zakryły niebo, nad ziemią panowały więc całkowite ciemności. Brama strzeżona przez kamienne lwy stała otworem, oświetlona szeregiem pochodni. Generał Chadames, dowódca armii cesarzowych Persji, szedł powoli przez bramę, pogrążony w myślach.

Z północy nie nadchodziły żadne wieści. C'hu-lo najwyraźniej nie miał nic do przekazania albo ociągał się z wysłaniem umyślnego. Dahak nie wyjawiał Chadamesowi, na czym polegała misja Hunów, jednak codziennie zaglądał do zatłoczonego biura, w którym pracował generał. Każdego dnia stawał przed jego biurkiem, wsparty na swej żelaznej lasce, i unosił brwi w niemym pytaniu. Generał mógł wtedy jedynie wzruszyć ramionami i wrócić do swej pracy. Praca ta dotyczyła zwykle łagodzenia sporów między *dikuan*, którzy obozowali pod miastem.

U wylotu bramy czekał jakiś człowiek na wielkim czarnym wierzchowcu, odziany w czarny płaszcz i filcowy kapelusz. Przy siodle mężczyzny wisiał łuk w skórzanym pokrowcu i krótki miecz owinięty poszarpaną szmatą. Zad ogiera oblepiony był błotem, a jego sierść matowa. Widać było, że i koń, i jego pan mają za sobą długą drogę.

Chadames zatrzymał się na skraju kręgu światła rzucanego przez pochodnie zatknięte w bramie i skrzyżował ręce na piersiach. Był zmęczony nudną, biurową pracą w pałacu. Czuł za sobą obecność swych gwardzistów – dwunastu ludzi, którzy wyjechali wraz z nim z Damawandu. Choć nie szykował się na bitwę, ubrany był w ciężką żelazną kolczugę. Po wielu latach wojaczki w takim właśnie stroju czuł się najlepiej.

– Masz dla mnie jakieś wiadomości? – spytał Chadames, spoglądając na ciemną postać. Przyzwyczyił się już do dziwnych wizyt i tajnych przekazów, które stanowiły nieodłączną część działalności czarownika. Właściwie generał czułby się zaskoczony, gdyby któregoś dnia nie doczekał się takiej wizyty. – Od kogo?

Mężczyzna roześmiał się cicho, a pod rondem kapelusza błysnęły białe zęby. Dłoń odziana w skórzaną rękawicę z żelaznymi pierścieniami, wyjęła coś z poplamionego płaszcza i rzuciła generałowi. Chadames pochwycił przedmiot i otworzył pięść. Była to pamiątkowa ośmiokątna moneta z ciężkiego złota. Po jednej stronie znajdował się symbol wiecznego płomienia Ahura Mazdy, a po drugiej profil wąsatego mężczyzny. Zimny dreszcz przebiegł Chadamesowi po plecach. Podniósł wzrok na mężczyznę.

– Skąd? – spytał ostrzejszym niż zazwyczaj tonem, wydawało się bowiem, że w jego sercu zapłonął żywy ogień. – Mów albo każę cię obedrzeć ze skóry.

– Jak zawsze w gorącej wodzie kąpany – odpowiedział mu głęboki, dudniący głos. – Minęło tyle czasu, a ty nadal nie nauczyłeś się cierpliwości.

Chadames zachwiał się, jakby rażony piorunem. Zamknął dłoń na krawędzi siodła, nie wierząc własnym uszom.

– Jak...?

Mężczyzna na koniu roześmiał się ponownie, a jego głos odbił się echem od sklepienia bramy i przestraszył wartowników na murach. Jeździec pochylił się i pochwycił Chadamesa za rękę, zamykając ją w żelaznym uścisku.

– Daj mi trochę wina i ciepłego jedzenia, stary przyjacielu, a wszystko ci opowiem!

Trzęsienia ziemi, pożary i wojny zmieniały kształt pałaców w Ekbatanie w ciągu długiej historii miasta. Budynek pałacowy kilkanaście razy legły w gruzach, a potem zostały odbudowane na starych fundamentach. Piwnice i podziemia sięgały daleko w głąb wzgórza. Chadames schodził po stopniach wybudowanych ponad tysiąc lat wcześniej, za czasów Dariusza Wielkiego. Klatka schodowa była wilgotna i ciemna, wzdłuż ścian ozdobionych niegdyś płaskorzeźbami ciągnęła się metalowa poręcz. Generał niósł przed sobą lampę, jej syczący, nierówny płomień wydzielał czarny smrodliwy dym. Mieszkańcy Ekbatany chętnie używali do oświetlenia gęstej, czarnej cieczy, która sączyła się spomiędzy popękanych skał na wzgórzach. Chadames zdecydowanie wolał oliwę.

Schody prowadziły do wykutych w skale drzwi o trójkątnym nadprożu. Za drzwiami otwierał się krótki korytarz prowadzący do okrągłej komnaty o ścianach zbudowanych z wąskich żółtych cegieł. Po drugiej stronie komnaty widniały kolejne drzwi z ciężkiego brązu. Przy drzwiach stały dwie postacie okryte ciemnymi szatami. W koszach osadzonych na żelaznych trójnogach zarzyły się węgle, czerwony blask kładł się na żelaznych maskach zakrywających twarze wartowników.

Chadames zignorował dwóch spośród Szesnastu i bez wahania przeszedł między nimi. Słyszał za sobą równy krok swego towarzysza. Strażnicy nie próbowali ich zatrzymać, nie pytali też o cel wizyty. Stali w absolutnym bezruchu i ciszy. Chadames nie miał pojęcia, jak odróżniają wroga od przyjaciela, wiedział jednak, że Dahak bezgranicznie im ufa. Generał naparł ramieniem na ciężkie drzwi i otworzył je powoli.

Pośrodku komnaty przypominającej do złudzenia tę, która kryła się w podziemiach Damawandu, wznosiło się kamienne podwyższenie. Dahak stał u wezłowania kamiennej płyty, czubkami palców dotykał jej lśniącej czarnej powierzchni. Na bazaltowym blacie szamotał się muskularny mężczyzna o śniadej skórze, przytrzymywany przez czterech spośród Szesnastu. Czarownik nie zareagował w żaden sposób na przybycie Chadamesa, choć z pewnością je zauważył.

Dwaj krzepcy mężczyźni, kowale, sądząc po ich żelaznych fartuchach i poplamionych sadzą rękach, nakładali na głowę śniadego mężczyzny maskę z wypolerowanego brązu.

Chadames znieruchomiał raptownie, czując, jak zbiera mu się na wymioty. Odsunął się na bok, w cienie zalegające przy drzwiach, i wbił wzrok w podłogę. Jego towarzysz stanął właśnie w drzwiach. Wydawało się, że jego postać wypełnia komnatę niemal bez reszty. Chadames wyczuł jego zaskoczenie, a potem odrazę, żaden z nich jednak nie przemówił ani słowem.

Metal zazgrzytał o kamienny stół, gdy maska trafiła w końcu na swoje miejsce. Jeden z kowali sięgnął do torebki zawieszanej u jego pasa i wyciągnął z niej żelazny kołek. Wsunął kołek w kołnierz z tyłu maski i wbił go dwoma szybkimi uderzeniami młotka. Brzęk metalu zawisł na moment w powietrzu, a potem ucichł raptownie. Kowal wbił w żelazny kołnierz jeszcze dwa kołki, a potem zarówno on i czterech spośród Szesnastu odstepili od stołu.

Mężczyzna opadł na kamienny blat i znieruchomiał.

Po chwili Dahak westchnął i poruszył się, szeleszcząc szatami niczym owadźm pancernem. Jego szczupłe blade dłonie zniknęły w fałdach płaszcza.

– Wstań, mój najmilszy. Pokaż nam swoje nowe oblicze.

Na te słowa człowiek leżący na stole usiadł prosto i spuścił nogi na podłogę. Nadgarstki mężczyzny oplatały złote paski, na biodrach wisiała plisowana lniana spódnica. Paski białych sandałów sięgały aż pod kolana. Maską... maska przypominała psa o długim pysku i postawionych sztywno trójkątnych uszach. Otwory na oczy otoczone były czerwonymi pasami, a z uchylonego pyska wystawały białe kły. Maską musiała być bardzo ciężka, lecz mężczyzna stał sztywno wyprostowany.

Chadames zdrygnął się, widząc blask ognia tańczący na metalowej powierzchni. W tym świetle i miejscu wydawało się, że usta maski drżą, a metal pulsuje życiem. Komnata wypełniła się nagle zimnym jak lód śmiechem.

– Dobra robota – ocenił Dahak, ogromnie zadowolony. Odwrócił się do drzwi, spoglądając z ożywieniem na Chadamesa. – Teraz wygląda znacznie lepiej, prawda, drogi generale? Nie krzyw się tak, teraz pokazuje wreszcie światu swą prawdziwą twarz.

Mężczyzna stojący u boku Chadamesa poruszył się, odsuwając skraj szaty od rękojeści ciężkiego miecza. Czarownik przyglądał mu się badawczo. Na jego twarzy pojawił się na moment jakby cień strachu. Potem Dahak podniósł rękę do piersi i ukłonił się lekko, choć z wyraźnym ociąganiem.

– Witaj, panie – powiedział. – Minęło dużo czasu, odkąd spacerowaliśmy razem

w świetle księżyca. Bałem się... Słyszałem, że nie żyjesz.

Chadames drgnął, zaskoczony, słysząc, że czarownik zwraca się do jego towarzysza jak do równego sobie. Potem jednak pomyślał, że nie ma w tym nic dziwnego, gdyż człowiek stojący u jego boku zadawał się z królami i cesarzami. Nawet bezczelność Dahaka musiała mieć swoje granice.

– To ci dopiero – mruknął mężczyzna swym potężnym, basowym głosem. – Nieźle wyglądasz, truposzu. Widzę, że przywłaszczyłeś sobie twarz zmarłego. To śmiały krok. Myślisz, że ludzie już zapomnieli, co zrobiłeś?

Dahak drgnął i cofnął się o krok, a potem wyprostował dumnie. Jego oczy płonęły gniewem.

– Teraz sam jestem wielką mocą, stary przyjacielu. Nikomu nie służę. Śmierć uwolniła mnie od długu i posłuszeństwa. Podobnie jak ciebie, gdybyś zechciał pójść własną drogą.

– Masz rację... – Zamyślony mężczyzna pokiwał głową. – Wszystko, co zbudowaliśmy, leży teraz w gruzach. Wydaje się, że zaledwie kilka dni minęło od chwili, gdy Drewniany Człowiek zginął pod ruinami swych zdradliwych snów. Kraj znów jest podzielony, rozdarty przez Hunów i Rzymian.

– Nie na długo – odrzekł Dahak, robiąc krok do przodu. – Ponad połowa wielkich ksiąg przybyła złożyć pokłon cesarzowym. Wkrótce obie wyjdą za mąż, tworząc przymierza, które znów zwiążą Persję z Domem Sasanidów. To tylko chwilowe kłopoty, wkrótce w cesarstwie znów zapanuje porządek.

– Twój porządek? – spytał mężczyzna sceptycznie.

– Porządek króla królów, mój przyjacielu. – Dahak podparł się pod boki i spojrzał śmiało w oczy potężnego wojownika. – Żadna z cesarzowych nie wyszła jeszcze za mąż. Nie wiemy jeszcze, kim będą ich mężowie, ale na pewno będą grać rolę ich strażników i doradców. O ile mnie pamięć nie myli, dziewczyna z brązowymi oczami urodziła się pierwsza, co oznacza, że Azarmiducht wnosi w posagu całą Persję.

Śmiech mężczyzny zadudnił w puste przestrzeni komnaty niczym lawina.

– A ty, truposzu, będziesz jej kochanym tatą? To będzie naprawdę piękny ślub. Ciekawe, czy pan młody znieśle twój pocałunek, kiedy będzie odbierał twą córkę z ojcowskich rąk.

W oczach Dahaka znów pojawił się błysk gniewu, szybko jednak zniknął bez śladu. Czarownik przechylił lekko głowę.

– O ile wiem, panie, twoja żona nie żyje już od wielu lat. Twoi synowie także zginęli z ręki Rzymu. Nie ma już na świecie nikogo, kto przejąłby twą schedę, kto poniósłby w bitwie twój sztandar. Może powinieneś poszukać sobie młodej żony...

Powietrze między człowiekiem a istotą w ciele człowieka jakby zgęstniało,

przeniknięte wielkim chłodem.

– Te dzieci? Te małe dziewczynki, które trzymałem na kolanach i łaskotałem brodą? Twoje pomysły napawają mnie odrazą, czarowniku. Uważam tę rozmowę za zakończoną.

– Poczekaj! – Czarownik zbliżył się jeszcze o krok, a na jego twarzy pojawił się wyraz szczerzej troski. – Nie chciałem cię urazić, panie. Nie masz żony, a te młode kobiety, nasz najcenniejszy skarb, potrzebują męża, który bronilby ich dziedzictwa. Wszystko, co posiadają, zbudowałeś ty, działając w imieniu Chosroesa. Bez ciebie byłby niczym, wygnańcem bez środków do życia. Broń jego imienia, jego domu, jego rodziny. Weź jego córki za żony. Gdy staną się twoją rodziną, nic im już nie zagrozi.

Dahak umilkł na moment, szukając właściwych słów. Chadames chciał coś powiedzieć, lecz jego towarzysz uczynił nieznaczny gest ręką, a generał posłusznie zamknął usta.

– Jednym pociągnięciem – przemówił wreszcie czarownik – wskrzesisz Persję. Jeśli to zrobisz, nie będzie wojen między *spabadan*. Nikt nie ośmieli ci się przeciwstawić. Jedna decyzja, a odzyskamy wszystko, co straciliśmy.

Chadames był pewien, że potężny mężczyzna u jego boku odwróci się na pięcie i wyjdzie, lecz ten trwał w bezruchu. Czas jakby zatrzymał się w miejscu, generał wyczuwał, jak między oboma mężczyznami narasta coraz większe napięcie. Wydawało się, że ich osobowości i wole zmagają się ze sobą i że czarownik jakby kurczy się w sobie, maleje.

– W twoich żyłach płynęła królewska krew – przemówił wreszcie mężczyzna cierpkim tonem. – Wiele lat temu byłeś ich wujem. Teraz gotów jesteś wyprowadzić je jak zwierzęta na targ i oddać za najwyższą cenę?

– Czyż nie taki jest porządek tego świata? – odpowiedział równie gorzko czarownik. – Każdy z nas płaci bardzo wysoką cenę za to, czego pragnie. Ty poświęciłeś prawie wszystko dla Persji. Teraz nadszedł czas, byś odebrał nagrodę – fundament nowej silnej dynastii, złotą koronę, długotrwały pokój.

Wielki mężczyzna podniósł poznaczoną bliznami rękę do swych gęstych, przypominających kły dzika wąsów. Chadames przełknął ciężko, wyczuwając, że jego stary przyjaciel poważnie zastanawia się nad tą ofertą.

– Nie będzie wojny z Rzymem – rzekł wreszcie. – Poczekamy na właściwy moment. Ludzie muszą odetchnąć, musimy zebrać plony, naprawić mury, przywrócić porządek w naszym własnym domu, wzmocnić granice. Słyszałem, że Hunowie urosli w siłę.

Dahak pokłonił się nisko.

– Co rozkażesz, Królu Królów.

Mężczyzna roześmiał się znowu, głosem potężnym jak dźwięk świątynnego

dzwonu.

– Królu Królów! Nie sądziłem, że to kiedyś usłyszę...

Czarownik uśmiechnął się, na pozór szczerze. Przyklęknął na pokrytej płytkami podłodze, to samo uczyniło Szesnastu. Ukłękł nawet śniady mężczyzna w zwierzęcej masce.

– Witaj, Blasku Świata, Szahr-Barazie, Potężny Odyńcu, Królu Królów, szachinszachu Persji!

Słowa czarownika przetoczyły się pod dachem komnaty i ucichły. Szahr-Baraz gładził swe wielkie wąsy i przyglądał się czarownikowi i jego sługom. Chadames podrapał się po głowie, oszołomiony. Świat stawał na głowie.

Odyniec odwrócił się do swego starego przyjaciela i odsłonił zęby w szerokim uśmiechu.

– Cóż – przemówił, wyraźnie rozbawiony – los to bardzo kapryśne stworzenie, prawda? Chodź, przyjacielu, muszę powiadomić moich ludzi na wzgórzach, bo jeszcze pomyślą, że coś mi się stało.

– Masz swoich ludzi na wzgórzach? – Chadames uniósł brwi w zdumieniu. Jego patrole miały dokładnie przeczesywać lasy, doliny i jaskinie w promieniu dwudziestu mil od miasta. Rosnąca w siłę armia cesarzowych mogła ściągnąć uwagę wielu wrogów. – Ilu?

Szahr-Baraz zmarszczył brwi i zaczął liczyć na palcach. Wreszcie uśmiechnął się i podniósł obie ręce.

– Ponad dziesięć tysięcy. Wszyscy moi Nieśmiertelni, którzy uszli z życiem z bitwy nad Kerenosem i ci, których zgarnęliśmy po drodze.

– Dziesięć tysięcy? Nieśmiertelni? – powtarzał Chadames w zdumieniu. Jeśli była to prawda, dowódcy jego zwiadowców mogli spodziewać się srogiej kary. – Gdzie oni są?

– Tu i tam. – Szahr-Baraz wzruszył ramionami. – Wielu kryje się w obozach pod murami. – Pogroził Chadamesowi palcem. – Twoi zwiadowcy tracą zbyt dużo czasu na szukanie całych armii. My przemykaliśmy się w dziesięcio-, dwudziestoosobowych grupach, ukryci między karawanami petentów, nadętych gubernatorów prowincji i całej tej hałastry, która ciągnie do miasta.

Chadames westchnął. Przynajmniej nie musiał już dłużej dźwigać ciężaru kierowania całą armią. Sama obecność jego dawnego dowódcy podnosiła go na duchu. Odyniec odwrócił się do czarownika, który stał obok w milczeniu, schowawszy ręce w fałdach szaty.

– Wyjdźmy wreszcie z tej paskudnej nory – powiedział Szahr-Baraz. – Chodźmy na górę i porozmawiajmy z cesarzowymi.

Dahak ukłonił się ponownie, uśmiechnięty.

– Co każesz, Królu Królów.

OKOLICE OTTAVIANO, PÓLNOCNE LACJUM

Długie cienie kładły się na szarej powierzchni drogi. Ludzie w hełmach z pióropuszcami, zbrojach w kolorze mosiądzu i czerwonych płaszczach jechali powoli, rozglądając się uważnie na boki. Przyćmiony krąg słońca chował się za grubą warstwą brązowego dymu okrywającego niebo. Przy każdym kroku spod końskich kopyt unosiły się obłoczki drobnego szarocznego pyłu. Z nieba bez ustanku spadały płatki popiołu, przypominającego szary śnieg. Dokoła wznosiły się czarne kikuty drzew, niskie murki z kamienia zostały zburzone, żywopłoty wypalone do samej ziemi. W martwym krajobrazie nie poruszało się nic, prócz grupki żołnierzy na drodze.

Utulona czerwonym płaszczem Anastazja jechała na gniadej klaczy. Fioletowe oczy księżnej, ukryte pod skrajem kaptura, patrzyły w otępieniu na obraz śmierci i zniszczenia. Jedwabny pas okrywający nos i usta kobiety gruby był już od popiołu. Eskorta jechała obok niej w jednostajnym tempie.

Na skraju drogi leżało kilka zwęglonych ciał, rozrzuconych jak pnie drzew przy wjeździe na teren posiadłości. Wykrzywiona, czarna ręka sięgała ku niebu. Wyglądało na to, że nieszczęśnicy szukali schronienia pod łukiem bramy strzegącej wjazdu do willi, choć nie mieli żadnych szans na przeżycie w starciu z ognistym żywiołem. Księżna widziała już setki podobnych scen. Niżej, w dolnych partiach góry, mijała całe wioski zmarłych, nietkniętych niemal przez ogień. Wyglądało na to, że w powietrzu, które spłynęło z góry po wybuchu, była jakaś trucizna. Właśnie to powietrze musiało zabić ludzi, którzy schronili się w piwnicach. Śmiertelna siła nie oszczędziła nikogo, żadnego człowieka, zwierzęcia czy owada.

Grupa żołnierzy dotarła do miasteczka na rozstaju dróg. Budynki były zniszczone, rozerwane na pół, zasypane popiołem. Dach jednego z nich – publicznej stajni, sądząc po wyglądzie – zapadł się. Ten widok także nie zaskoczył Anastazji, choć im dalej posuwali się na południe, tym więcej widzieli tego rodzaju zniszczeń. Góra wyrzucała z siebie wielkie płonące kamienie, które bombardowały całą okolicę. Dwa dni wcześniej księżna przeczytała depezę od dowódcy bazy cesarskiej floty w Misenum. Był to pierwszy raport z tamtych stron, który dotarł do Rzymu.

Na arkuszu pergaminu wciąż przesiąkniętym zapachem siarki trybun napisał:
...ze szczytu góry podnosiła się chmura – z takiej odległości nie potrafiliśmy w nocy określić z której, ale później dowiedzieliśmy się, że to Wezuwiusz. Jej kształt można by przyrównać do sosny. Wznosiła się ku niebu na bardzo długim „pniu”, od którego odchodziły „gałęzie”. Przypuszczam, że została wyrzucona w górę siłą wybuchu, a potem straciła oparcie i zaczęła się rozprzestrzeniać na boki pod własnym ciężarem. Część chmury świeciła jak rozżarzone ognie w palenisku, w innych

częściach była całkiem ciemna.

Legat (Tanicus Marek Liva) kazał przygotować łódź do zwiadu. Słyszałem, że na zboczu góry mieszka jego kuzyn i że legat obawiał się o jego bezpieczeństwo. Wyruszył z grupą swoich ludzi, niosąc pomoc nie tylko swemu kuzynowi, bo ta piękna miejscowość (Recrina) popularna była wśród turystów. Pospieszył do miejsca, z którego inni uciekali, kierując się prosto na zagrożenie. Czy się bał? Chyba nie, obserwował bowiem bez ustanku ruchy i zmiany kształtu tej groźnej chmury, zapisując wszystko, co widział.

Na okręty opadał popiół, coraz cięższy i gęstszy, w miarę jak zbliżali się do brzegu. Później spadały także kawałki pumeksu i spalonej skały. Morze zasłane było śmieciami, odłamki góry blokowały dostęp do brzegu. Legat wahał się, zastanawiał się, czy nie zawrócić, ale sternik nie dawał za wygraną. „Szczęście sprzyja odważnym – mówił. – Płynmy do Stabie. Stacjonuje tam szwadron pod dowództwem Pomponianusa”.

W Stabie, po drugiej stronie zatoki, Pomponianus załadował swoje statki, nim jeszcze nadeszło zagrożenie, widział już bowiem z daleka płonąca chmurę. Planował wypłynąć, gdy tylko wiatr zmieni się na przeciwny. Właśnie ten przeciwny wiatr sprowadził legata. Obaj mężczyźni uściskali się serdecznie, legat dodał Pomponianusowi otuchy, tymczasem wielkie płachty ognia podpalały wiele części Wezuwiusza; ich światło było doskonale widoczne w ciemności nocy. By tchnąć w ludzi odwagę, legat mówił, że to ogień z domów porzuconych w panice przez rolników.

Ulice Stabie były już tak bardzo zasypane mieszaniną popiołu i kamieni, że gdyby zabawili tam dłużej, ucieczka stałaby się niemożliwa. Potężne drgania chwiały budynkami, wydawało się, że całe domy odrywają się od fundamentów i przesuwiają tam i z powrotem. Na zewnątrz jednak mogły spaść na nich fragmenty płonących skał. Z tego powodu postanowili zostać na zewnątrz; legat po prostu spokojnie rozważył ryzyko; inni wybrali to rozwiązanie, które mniej ich przerażało.

Obwiązali głowy poduszkami, co miało ich chronić przed gradem kamieni. Na świecie wstał już dzień, ale tutaj było ciemno jak w nocy. Mieli jednak lampy i pochodnie. Postanowili zejść na brzeg, by zobaczyć, czy coś się zmieniło na morzu. Woda była jednak nadal wzburzona i równie nieprzyjazna jak wcześniej. Legat postanowił odpocząć w cieniu żagla i wypić kilka łyków zimnej wody. Potem w powietrzu pojawił się zapach siarki, zwiastujący nadejście płomieni, a potem same płomienie. Inni rzucili się do ucieczki, ale nie legat Wsparty na ramionach niewolników wstał, a potem natychmiast upadł. Przypuszczam, że przesycone kurzem powietrze utrudniało mu oddychanie, a jego wnętrzości, które nigdy nie były silne

i często się blokowały, po prostu przestały działać. Kiedy dwa dni po jego śmierci nastął w końcu dzień, znaleziono jego ciało w nienaruszonym stanie, w ubraniu, które miał na sobie w chwili śmierci. Wyglądał raczej jakby spał, a nie umarł.

Podobne widoki Anastazja zastała na szerokiej równinie na północ od góry. Obywatele i ich niewolnicy uciekali tłumnie przed erupcją i trzęsieniem ziemi, padli jednak ofiarą duszących oparów. Gęste chmury zakryły także niebo nad Rzymem, pogrążając miasto w ciemności. Wybuchła panika, a w ślad za nią ogień – nie minęła nawet godzina od wybuchu, a nad miastem pojawiła się łuna pierwszych pożarów. Galen przedsięwziął jednak natychmiastowe i stanowcze kroki, ściągając do miasta legionistów, którzy wspomagali wigilów i edylów w gaszeniu ognia i utrzymaniu porządku.

Księżna opuściła w pośpiechu Palatyn i wróciła do domu, ledwie żywa z przerażenia. Kiedy tylko rozeszła się wieść, że wybuchł Wezuwiusz, i że cała okolica góry jest zniszczona, wezwała oddział jazdy i ruszyła w drogę.

W głębi serca wiedziała, że wszyscy, których wysłała na południe, nie żyją. Miała tylko nadzieję, że zginął także książę. Wołała nawet nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby zdołał jednak jakoś umknąć.

Opuścili miasteczko i wjechali w strefę całkowitego zniszczenia u podnóży samej góry. Zbocza Wezuwiusza, niegdyś gładkie i zielone, pokryte były teraz głębokimi szczelinami i rozpadlinami. Szczyt, zakończony jeszcze niedawno łagodnym stożkiem, był teraz poszarpany i lekko przechylony. Co najmniej jedna trzecia wulkanu po prostu zniknęła. Anastazja zjechała na pobocze. Drogę blokowała sterta ogromnych czarnych głazów. Nad ziemią wciąż unosiły się smugi dymu, a warstwa pyłu okrywająca trakt miała co najmniej stopę grubości. W rowach ciągnących się wzdłuż drogi była znacznie grubsza. Księżna podniosła umęczony wzrok ku poszarpanemu szczytowi wulkanu.

Z wnętrza góry wciąż buchały kłęby gęstego czarnego dymu, który przesłaniał słońce zawieszony na bezchmurnym niebie. Anastazja i jej żołnierze jechali w ponurym półmroku, choć minął dopiero środek dnia. Księżna zastanawiała się, jak długo jeszcze czarne chmury będą wisieć nad ziemią. Dni? Miesiące? Galen wydał już kilka edyktów, na mocy których całe zasoby ziarna w Cesarstwie Zachodnim przechodziły pod bezpośrednią kontrolę cesarza. Ogromne połacie ziem uprawnych w Lacjum zostały zasypane kamieniami i popiołem i należało się spodziewać, że wkrótce ceny chleba poszybują w górę.

Centurion oddziału jazdy podjechał do księżnej, blady od popiołu i pyłu.

– Pani, nie powinniśmy jechać dalej. Czujesz żar bijący od ziemi i gęste opary

w powietrzu? Z podziemnego świata wypłynęły niebezpieczne gazy; jeśli nie zawrócimy, możemy wkrótce znaleźć się w łodzi Charona.

W innych okolicznościach Anastazja skwitowałaby te słowa śmiechem, lecz tutaj, pod czarnym zboczem wulkanu, wydawały się aż nazbyt prawdziwe. Skinęła ze znużeniem głową i zawróciła konia. Odkąd wjechali na tereny bezpośrednio dotknięte erupcją, widzieli tylko śmierć i zniszczenie. Nikt chyba nie wierzył, że mogą jeszcze znaleźć kogoś żywego. Poza tym księżna była ogromnie zmęczona długą podróżą. Nie dosiadała konia już od wielu lat. Wiedziała, że obolałe mięśnie będą jej się dawać we znaki jeszcze przez kilka tygodni.

Ruszyli z powrotem na północ, trzymając się drogi. Wiatr ze wschodu podnosił kłęby pyłu i popiołu, które cięły ich po twarzach. Anastazja otuliła się szczelniej, przemarznięta do szpiku kości. Konie szły powoli, z nisko pochylonymi głowami, przedzierając się przez szarą mgłę.

Czekała ich długa podróż do Rzymu.

PAŁAC BUKOLEON, KONSTANTYNOPOL

Rufio służył cesarzowi Wschodu przez całe swe dorosłe życie; najpierw żołnierz w prywatnej armii ojca cesarza, egzarchy Afryki, potem, po upadku uzurpatora Fokasa, w odnowionej przez Herakliusza armii cesarskiej. Podczas nieudanej wojny przeciwko Awarom trafił w końcu do oddziałów służących w bezpośrednim otoczeniu cesarza. Przez cały ten czas mordował mężczyzn i kobiety, kradł, kłamał, oszukiwał, pozorował porwania, fałszował listy, obrażał kapłanów, jadł jedzenie złożone w ofierze na ołtarzach bogów. Pewnego dnia, w ulewnym deszczu, który towarzyszył ich odwrotowi z posepnych pól Adrianopola, Herakliusz nazwał go jedynym człowiekiem, któremu mógł naprawdę ufać.

Był to moment słabości, lecz Rufio, z właściwym sobie stoickim spokojem, nie wziął sobie tego za bardzo do serca.

Poznaczony bliznami, milczący Grek był już od trzech lat kapitanem cesarskiej gwardii i widział, jak cesarstwo odzyskuje wszystko, co niegdyś straciło. Widział, jak złotowłosy młodzieniec staje się mężczyzną i wbrew wszelkim przeciwnościom zwycięża.

Z rozpaczą obserwował, jak jego pan zamienia się w kalekę, oddala od wszystkiego, co niegdyś było mu drogie, i pozwala, by jego ukochane cesarstwo przechodziło w ręce bogatych właścicieli ziemskich, arystokratów i kapłanów. Teraz dopuścił się aktu zdrady wobec swego pana. Zgodnie z cesarskim edyktem tego rodzaju czyn karany był śmiercią przez poćwiartowanie. W myślach dawno już zdradził człowieka, którego uważał za wspaniałego dowódcę, teraz wcielił ten akt w czyn.

– Wygląda jak całkiem obcy człowiek, zmienił się nie do poznania – przemówiła cesarzowa przytłumionym, ledwie słyszalnym głosem. Jej twarz kryła się w cieniu, z dala od jedynej świecy, która rozpraszała mroki cesarskiej sypialni. Martyna weszła tu sekretnym przejściem, okryta szczelnie ciężkim płaszczem i długą suknią. Ubrania te nie należały do niej: jeden z gwardzistów kupił je kilka dni wcześniej na targu. Rufio starał się trzymać z dala od intryg i spisków, które zajmowały umysły ojców miasta, zachowywał jednak wszelkie środki ostrożności.

– Pani – odparł równie cicho. – W tym świetle i tak wygląda znacznie lepiej niż w pełnym blasku dnia. Źle z nim. Jego ciało się zbuntowało.

Martyna spojrzała nań oczami pełnymi łez. Rufio widział, że młoda kobieta pragnie dotknąć dłoni swego męża, lecz nie śmie tego uczynić. Ostatnio Rufio dodawał dwie krople soku z maku do wina, które Herakliusz pił przed snem. Cesarz pił tylko z konieczności, bał się bowiem panicznie wszelkich płynów. Grek wiedział, że naraża się w ten sposób na niebezpieczeństwo, nie widział jednak innego wyjścia.

Gdyby tego nie robił, Herakliusza dręczyłyby okropne sny, a gdy cesarz nie spał w nocy, za dnia był otepiały i niezdolny do jakiegokolwiek wysiłku. Państwo nie mogło sobie na to pozwolić; podpis cesarza był niezbędny na wielu istotnych dla funkcjonowania cesarstwa dokumentach. Teraz, gdy Herakliusz leżał pogrążony w głębokim śnie, dzięki zdradzie Rufia cesarzowa mogła po raz pierwszy od kilku miesięcy spojrzeć na niego.

– Czy on umiera? – Pomimo młodego wieku Martyna była kobietą rozsądną i praktyczną.

Rufio skinął głową, zaciskając mocno splecione za plecami dłonie.

– De to potrwa?

– Może jeszcze z rok... Nie pozwala kapłanom Asklepiosa zbliżać się do siebie. Sviod, jeden z gwardzistów, widział coś podobnego. Ludzie dotknięci tą chorobą umierają bardzo powoli, ich ciało gnije za życia. Wcześniej wielu popada w obłąd.

Martyna odwróciła głowę, zakrywając usta rękami. Rufio czekał cierpliwie, aż cesarzowa się opanuje.

– Mówią, że to moja wina – przemówiła po chwili szeptem. – Moje dworki słyszały takie plotki; na targowiskach, w łaźniach, w hipodromie. Podłe i okrutne. Wiedziałeś, że w Dzielnicy Wyścigów pokazują już sztuki, które... które przedstawiają to, co zwykli ludzie o nas sądzą? Oczywiście nie są to ambitne dzieła, ale wiem, że to właśnie myślą wszyscy ci arystokraci, kiedy chichoczą po kątach i uśmiechają się do mnie fałszywie.

Rufio milczał. On też słyszał te plotki potępiające małżeństwo siostrzenicy i wuja. Znał ich oboje i wiedział, że darzą się głęboką, szczerą miłością. Dziś jednak nie zamierzał o tym rozmawiać, dziś szukał sprzymierzeńca.

– Pani, chciałbym coś zrobić dla cesarza, ale potrzebuję twojej pomocy. Martyna nie słyszała go. Stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach, wpatrzona w ciemność.

– Mówią, że bogowie odwrócili się od nas z powodu naszego małżeństwa. Jesteśmy przeklęci, nasza krew zepsuta. Wszystkie moje dzieci umarły, prócz małego Herakleonasa. Jest taki mały i słaby; myślisz, że przeżyje?

– Cesarzowo! – Rufio położył swe wielkie dłonie na szczupłych ramionach kobiety i odwrócił ją do siebie. *Dotknąłem ciała cesarzowej: to już druga zdrada, jakiej się dzisiaj dopuszczam.* – Musisz mnie wysłuchać. – Gwardzista pochylił się, zaglądając jej w oczy. – Sviod, ten blondyn, mówi, że w jego ojczyźnie dobrze znają tę chorobę. Mówi też, że jeśli zdobędziemy pewne liście i jagody, może uda nam się uleczyć cesarza.

Martyna patrzyła nań tak dziwnym wzrokiem, że Rufio przestraszył się przez chwilę, że i ona popada w obłąd.

– Cesarzowo?

– Och... Tak, Rufio... co mówiłeś?

Gwardzista miał ogromną ochotę potrząsnąć nią z całych sił, powstrzymał się jednak i powtórzył wszystko raz jeszcze. Cesarzowa była ogromnie zdziwiona.

– Jak mogłabym ci pomóc? Mój mąż nie dopuszcza mnie do siebie, nie wspominając już o lekarzach czy kapłanach. Jestem uwięziona w swych komnatach... Nie mam żadnych przyjaciół ani sprzymierzeńców... Jego brat nienawidzi mnie i spiskuje przeciwko mojemu synowi!

Rufio westchnął ciężko. Cesarzowa uwielbiała czytać klasyków, doskonale знаła historię oraz dzieła traktujące o różnych aspektach świata natury. Brakowało jej jednak elementarnej wiedzy o pałacowych intrygach i spiskach. Kapitan podniósł palec i przyłożył go do jej ust. Księżna otworzyła szeroko oczy zszokowana, w końcu jednak umilkła.

– Pani, lekarstwa, które chce zdobyć Sviod, wykorzystywane są także do leczenia różnych kobiecych przypadłości. Ludzie ogromnie by się dziwili, gdyby któryś z moich gwardzistów kupował takie rzeczy. Twoje służki mogłyby jednak bez problemu znaleźć jakiegoś kupca w niższym mieście i kupić te rośliny. Nikt nie widziałby w tym nic podejrzanego. Pomożesz mi?

– Oczywiście. – Cesarzowa energicznie pokiwała głową. – Jak go zmusisz do wypicia tych lekarstw? Słyszałam, że niczego nie przyjmuje...

– Zgadza się – przytaknął Rufio. – Myślę jednak, że zdołam zmoczyć jego wargi tym eliksirem, kiedy będzie spał. Niczego nawet nie zauważy. Jego ciało potrzebuje rzeczy, których on sam mu odmawia – jedzenia, snu, wody. Kiedy jego umysł spoczywa w objęciach Morfeusza, możemy go uratować.

Martyna uśmiechnęła się, ujęła dłoń Rufia i uścisnęła. Kapitan gwardzistów ledwo poczuł ów uścisk przez warstwę blizn i zgrubień. Nie odpowiedział na jej uśmiech. Jego myśli zajęte były wszelkimi trudnościami, jakie mógł napotkać ów plan. Książę Teodor w końcu wyjechał z miasta, lecz w pałacu zostało wielu jego popleczników i szpiegów. Wkrótce sam dostęp do ciała cesarza mógł stać się najważniejszym elementem zakulisowych zmaganiań.

PETRA, NABATEA

Siwobrody starzec leżał uśpiony pod stertą ciężkich kołder wyszywanych kwadratami zieleni, bieli i złota. Jego głowa spoczywała na wielkich puchowych poduszkach. Po ścianach nad łóżkiem przesuwaly się pasy żółtego światła. Ściana pokryta była tynkiem i pomalowana na ciemnożółty kolor piaskowca, choć tuż pod sufitem ciągnął się pas czarnych postaci i znaków. Oddech mężczyzny był spokojny i miarowy, przy każdym wydechu poruszał jego długimi wąsami. Starannie wyczesana broda leżała na kołdrze.

Na wiklinowym krześle stojącym przy łóżku drzemała młoda kobieta z głową wspartą na rękach. W nocy ktoś podłożył jej pod plecy poduszkę i okrył ją bawełnianym kocem.

Długie, czarne włosy młodej kobiety były poplątane i zlepione błotem i rzepami. Brud znaczył czarnymi pasmami jej policzki i paznokcie. Mimo to i mimo poszarpanych, zniszczonych ubrań spała głęboko i bez snów. Z przyzwyczajenia trzymała w dłoni rękojeść schowanego w pochwie noża.

Promienie słońca przesuwaly się po ścianie coraz niżej i niżej, aż dotknęły twarzy starca. Mężczyzna zmarszczył nos i poruszył się. Podniósł powoli jedną powiekę, potem drugą. Przez chwilę wpatrywał się z zainteresowaniem w sufit pokryty nierównym, ziarnistym tynkiem. Wreszcie, odzyskawszy całkiem świadomość, odwrócił głowę, obrzucając spojrzeniem młodą kobietę siedzącą na krześle, niski stolik z dzbankiem pokrytym drobnymi kropelkami wody.

– Zoe? – Głos mężczyzny zupełnie nie pasował do jego siwej brody. Był to głos człowieka w średnim wieku, przyzwyczajony do wydawania rozkazów i przekrzykiwania bitewnego zgiełku. – Obudź się, królowo.

Dziewczyna drgnęła, podrapała się po nosie i uniosła powieki. W jej oczach pojawiła się na moment iskra czerni, która jednak niemal natychmiast zniknęła bez śladu. Dziewczyna uśmiechnęła się do starca.

– Obudziłeś się.

– Pomóż mi wstać i przynieś mi jakiś kubek. Chce mi się pić.

Zoe skinęła głową, przeciągnęła się i ziewnęła. Była senna i rozluźniona. Wyjęła z szafy gliniany kubek i napełniła go wodą.

Starzec wypił trzy pełne kubki, nim wreszcie zaspokoił pragnienie. Zoe ułożyła tymczasem rozrzucone koce i kołdry. Wciąż wydawała się dziwnie senna, wyciszona, jakby pogrążona w myślach. Opróżniwszy ostatni kubek, mężczyzna odstawił go na stół i złapał dziewczynę za rękę.

– Dobrze się czujesz?

Zoe spojrzała nań ze zdumieniem.

– Myślałam, że to wszystko mi się przyśniło – odparła. – Najpierw była ciemność, potem światło. Pamiętasz, co się stało?

Mahomet skinął głową. Pamiętał.

– Prześlij wiadomość moim kapitanom. Dziś wieczorem, przed zachodem słońca pójdziemy na Wysokie Miejsce. Przemówię do tłumów. Widziałem to, co musiałem ujrzeć. Jesteśmy gotowi.

Chłodny wieczorny wiatr szarpał czarno-zielonymi sztandarami Sahabów. Mahomet stał na ołtarzu z kamienia, na szczycie Dżabal Madbah. Z trzech stron ołtarz otaczały skalne urwiska, wznoszące się tysiąc stóp nad doliną Petry. Słońce, ogromna złota kula, wisiało tuż nad zachodnim horyzontem. Z tej wysokości wzgórza otaczające miasto wyglądały jak ogromna układanka plam złotego światła i ciemności. Na wschodzie niebo już pociemniało, zapadał mrok. W powietrzu unosił się zapach nadchodzącej nocy. Poniżej, w wypełnionym już mrokiem wąwozie As-Sik, słychać było popiskiwanie polujących nietoperzy.

Mahomet odwrócił się od przepaści i spojrzał na twarze ludzi zgromadzonych na Wysokim Miejscu. Sadzawka przed ołtarzem została osuszona i zasypana kamieniami i ziemią, ołtarz dokładnie wyczyszczony z krwawych plam. Powietrze było czyste i rześkie. Nawet Mahomet nie wyczuwał już echa zła, które dokonywało się w tym miejscu.

Teraz na placu tłoczyli się arystokraci Petry, kapitanowie Sahabów, władcy Decapolis i Palmyrczyzy. Setki mężczyzn i kobiet czekały cierpliwie w ciszy przerywanej tylko szelestem ich ubrań. Niemal cała armia stała na dole, w kanionach, na placach i amfiteatrach miasta. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że z takiej odległości nie usłyszą jego głosu, w sercu Mahometa zagościła jednak pewność, że będzie inaczej.

Oparłszy się na drewnianej lasce, wziął głęboki oddech i przemówił donośnym głosem:

– Miłosierny przyszedł do mnie w ciemności, mówiąc:

Ty jeden spośród wszystkich ludzi otworzyłeś serce na Naszą prawdę. Wstań i pójdz nocą do Najdalszego Meczetu, który pobłogosławiliśmy, byśmy mogli ci pokazać Nasz znak. Pan powietrza czuwa! Nadchodzi czas wielkiej próby, przed którą cię ostrzegaliśmy.

Kiedy nadeszło pierwsze ostrzeżenie, wysłaliśmy Nasze sługi, byś zaznał okrucieństwa i przemocy. Zniszczyli twój dom, i było to ostrzeżenie, które wzięłeś

sobie do serca. Potem pozwoliliśmy ci znów pokonać wrogów ludzi, daliśmy ci bogactwa i wielu wojowników.

Wysłaliśmy drugie ostrzeżenie, a ty wszedłeś do świątyni i zniszczyłeś wszystko, co ci się sprzeciwiło. Jeśli spełnisz wolę Pana, okazemy ci łaskę. Jeśli odwrócisz się od zadania, które ci wyznaczył, przekonasz się, co to piekło! Przygotowaliśmy straszliwe męczarnie dla tych, którzy nie wierzą w słowo Pana pustkowi.

Mahomet umilkł na moment, a jego głos zawisł w powietrzu niczym bicie dzwonu. Widział, że Sahabowie patrzą nań przepelnieni wiarą. Wiedział, jakie wrażenie robiły słowa Boga na nim, nie miał jednak pojęcia, jak zareagują na nie inni. Opuścił głowę, zawstydzony swą niedoskonałością. Jak głos śmiertelnika mógł przekazać to, co czuł i czego doświadczył w tamtej odległej świątyni?

Lecz głos kazał mu przemawiać do tłumu. Odchrząknął i otworzył usta.

Oto, co powiedziano: Daliśmy noc i dzień jako bliźniacze znaki. Dajemy ciemność nocy i odpoczynek, dajemy światło dnia, byście mogli szukać darów Pana, liczyć dni i lata. Wszystko zostało dokładnie opisane.

Uwiązaliśmy los każdego człowieka na jego szyi; w dzień wskrzeszenia dostanie każdy otwartą księgę: „Czytaj, co mówi księga: dziś poznasz sam, co uczyniłeś za życia!”.

Każdy, kto spyta, co ma czynić, pozna swoją i tylko swoją drogę, każdy kto z drogi zejdzie, zejdzie sam. Żadna dusza nie będzie dźwigać brzemion innych.

Nigdy nie karaliśmy niewinnych, aż wysłaliśmy Nasze sługi, by ostrzegli tych, którzy zeszli z prostej ścieżki. Zawsze jednak, gdy źli i zepsuci zignorują nasze słowa, nie zawahamy się uderzyć. Ile pokoleń zniszczyliśmy od wielkiego potopu? Wystarczy, że pozna Pan wasze grzechy!

Każdy, kto pragnie tylko ulotnego teraz, niech posłucha. Piekło czeka na niego; będzie się w nim smażył, przeklęty, zhańbiony. Każdy, kto wierzy w życie przyszłe, kto uczyni wszystko, by je osiągnąć, zostanie nagrodzony. Każdy otrzyma nagrodę swego Pana; Pan nie odmówi nikomu nagrody.

Jakie jest prawo, które prowadzi człowieka prostą ścieżką? Jak kroczyć ścieżką i nie zejść z niej, by uniknąć bram piekielnych?

W ciemności zapanowało wielkie poruszenie, gdyż słońce pokryło zachód blaskiem złota i szafranu. Wszyscy, którzy stali na Wysokim Miejscu, padli na kolana, bo zadawali sobie to pytanie od chwili, gdy poszli za wodzem.

Widzieli jego moc. Wiedzieli, że mówi prawdę.

Na tyłach tłumu, obok bliźniaczych kolumn znaczących szczyt dziewięciuset

dziewięćdziesięciu dziewięciu stopni, klęczał miody dobrze ubrany mężczyzna. Położył przed sobą zwykłą pochwę z malowanej na czarno miedzi. Z pochwy wystawała rękojeść szabli, obwiązana skórą i mocno naciągniętym płótnem. Mężczyzna wiedział, że szabla jest idealnie wyważona. Dowiedziawszy się, jakie jest przeznaczenie tej broni, mekkańscy miecznicy wzniesli się na wyżyny kunsztu. Młodzieniec przyglądał się uważnie ich pracy, wiedział bowiem, że taki dar wymaga całkowitego oddania.

Chalid al-Walid nie wyciągał szabli z pochwy, odkąd włożył ją tam najstarszy z mekkańskich płatnerzy. Uważał, że tylko jedna para rąk powinna dotykać tej broni.

Oto droga prawdy: Nie wychwalaj innego bóstwa prócz Pana, byś nie został potępiony i opuszczony.

Pan powiedział, że nie będziesz czcił nikogo prócz Niego i że będziesz życzliwy dla swych rodziców: gdy jako starcy nadal będą przy tobie, nigdy ich nie przeklinaj ani nie przeganiaj. Bądź dla nich hojny. Chroń ich przed okrucieństwem świata i mów: „Panie, okaż im litość, dbaj o nich tak, jak dbali o mnie, gdy byłem dzieckiem!”.

Pan wie o wszystkim, co kryje się w waszych umysłach; jeśli będziecie zachowywać się godnie, wybaczy tym, którzy Go słuchają.

Oddaj to, co się należy twemu krewnemu, oddaj żebrakowi i wędrowcowi. Nie trwoń jednak tego, co zebrałeś; rozrzutnicy są braćmi diabła, a szatan zawsze okazywał Panu niewdzięczność. Jeśli musicie ich unikać, szukając miłosierdzia Pana, zawsze miejcie dla nich dobre słowo. Pan karmi każdego, kogo zapragnie, i odmierza to, co daje. Wie, co czynią Jego sługi.

Nie zabijajcie swych dzieci ze strachu przed biedą: damy wam tyle, by starczyło i dla nich. Nie cudzołóżcie; czyn taki budzi odrazę Pana, który stworzył kobietę i mężczyznę z jednej krwi.

Nie zabijajcie żadnej duszy, której zabronił wam dotykać Pan, chyba że w zgodzie z regułami prawa. Daliśmy najbliższemu krewnemu prawo osądzić tego, kto zabił ich brata – niech jednak znają umiar w sądzeniu.

Odmierzaj zawsze pełną miarą i waż uczciwie; taka jest najlepsza droga, droga prawdy.

Nie martw się tym, czego nie znasz; martw się tym, co widzą twoje oczy, słyszą uszy i czuje ciało.

Nie bądź pyszny i nie wynoś się nad innych; nie przebijesz ziemi, ani nie będziesz wyższy od góry.

Wszystko, co Pan twój nazwie złem, znieńawidzisz. Takie są słowa Pana objawione tobie.

Nie wychwalaj bóstwa innego niż Pan, byś nie trafił do piekła, potępiony na wieki.

Siedem niebios i ziemia, i każdy, kto w nich mieszka, chwałą imię Jego. Nie istnieje nic, co nie śpiewa na Jego chwałę; i choć nie rozumiesz tego śpiewu, Pan będzie dla ciebie łaskawy.

Nikczemni będą mówić: „Idziecie za człowiekiem opętanym”. Baczcie, co o was mówią. Zeszli z prostej ścieżki i nie mogą znaleźć drogi powrotnej. Mówią: „Gdy zostaną po nas kości, czy wskrzesi nas ktoś do nowego istnienia?”

Bądźcie jak kamień i żelazo, gdy was zapytają: „Kto przywróci nas do życia?”. Odpowiedzcie: „Ten, który was stworzył”.

Będą kiwać głowami i mówić: „Kiedy się to stanie?”. Odpowiedzcie im: „Być może czas jest już bliski”. Któregoś dnia wezwie was do siebie, a wy będziecie Go wychwalać. Zobaczycie wtedy, jak krótki był wasz czas na ziemi.

Mahomet umilkł, przygnieciony ciężarem słów wypełniających jego serce. Zacisnął mocno dłoń na kiju. Jego słowa toczyły się nad ziemią jak grzmot, gdyż Miłosierny zażądał rekompensaty za łaski, którymi obdarzył ludzką rasę.

Nawet daleko w dole, w wąwozie As-Sik, gdzie stała jego armia, słyszano głos, który wypełniał noc i zapadał w serca. Każdy z nich wiedział, że wyprawa Sahabów na ziemię cesarstwa to nie zwykły napad, to nie zwykła wojna. To było jasne od tygodni. Teraz słuchali, o co walczą, nabierali ducha.

Wśród nich, przy wejściu do świątyni obok bramy kanionu, klęczał Odenatus z Palmyry, przyciskając rękojeść miecza do czoła. Spędził wiele dni w towarzystwie kapitanów pustynnej armii: słyszał, jak Al-Walid opowiadał o cudach i mocy Kurajszyty. Widział oddanie i wierność tanuskich najemników.

Młody Palmyrczyk przysięgał teraz wierność sprawie Kurajszyty, przysięgał, że pójdzie tam, gdzie Mahomet go powie. Odsunął od siebie strach i nienawiść, a nawet smutek po zagładzie miasta. Oddawał się woli Boga, który przemawiał z czystego powietrza. W Nim była wolność i błogosławieństwo.

Pan siedmiu niebios wyznacza nam zadanie: szatan podburza tych, którzy zamykają swe serca na głos mówiący z powietrza; szatan jest wrogiem człowieka! Pan wie o wszystkim, co jest w niebie i na ziemi.

Kiedy powiedzieliśmy aniołom: „Zegnijcie kolana przed Adamem”, uklękli wszyscy prócz szatana. Ten zaś rzekł: „Mam paść na kolana przed kimś, kogo ulepiłeś z gliny?”. Potem powiedział: „Czy przyjrzałeś się dobrze temu, którego szanujesz bardziej niż mnie? Jeśli zechcesz zwlekać do dnia zmartwychwstania, potomstwo jego

przejdzie pod moje władanie”.

Pan miłosierny odrzekł: „Odejdź więc! Każdy, kto pójdzie za tobą, otrzyma swą nagrodę w obfitości. Kuś wszystkich swym głosem. Napadaj na nich całą swą mocą. Dziel się z nimi swym bogactwem i obiecuj im wszystko, czego zapragną. Nie będziesz jednak miał władzy nad moimi sługami. Pan wprawia w ruch twe okręty na morzu, szukaj więc Jego szczodrości. Był dla ciebie taki miłosierny! Kiedy dotyka was nieszczęście, odwracają się od was wszyscy prócz Niego: lecz gdy doprowadzimy was szczęśliwie do portu, unikacie nas. Ludzie są tacy niewdzięczni!

Czy w swej pysze nie wierzycie, że Pan może sprawić, by pochłonęła was ziemia, by spadła na was burza piaskowa? Nie znajdziecie wtedy nikogo, kto się za wami ujmie! Czy jesteście pewni, że zawsze da wam jeszcze jedną szansę i powstrzyma swą karzącą rękę? Gdy spadnie na was gniew Pana, nikt wam nie pomoże. Wywyższyliśmy dzieci Adama i przenieśliśmy je przez ląd i morze. Daliśmy im wszystko, czego potrzebują, i okazaliśmy im laskę większą, niż innym spośród tych, których stworzyliśmy.

Nadchodzi dzień, kiedy wezwiemy synów człowieka, któremu daliśmy schronienie. Szatan krąży po świecie. Mówi nieprawdę i sprowadza nieostrożnych z prostej ścieżki. Ludzie muszą stanąć przeciw niemu, ludzie, którzy wybrali drogę sprawiedliwych. Tak było ze wszystkimi posłańcami, których dotąd wam posyłaliśmy. Nigdy nie powiecie, że działaliśmy pochopnie lub przypadkowo!

Módlcie się od zachodu słońca do nadejścia pełnej nocy; i powtarzajcie słowa na chwałę Pana o świecie, bo Pan będzie widział tych, co modlą się o świecie!

Kiedy się modlicie, mówcie: Panie pozwól mi wejść właściwym wejściem i wyjść uczciwym wyjściem! Wspieraj mnie swą obecnością.

Zwracajcie się do Boga lub do Miłosiernego; takie są Jego imiona. Pan ma wiele imion. Modląc się, nie krzyczcie ani nie szepczcie pod nosem, wybierzcie drogę pośrodku. Chwalcie Pana, który nikogo nie usynowił, z nikim nie dzielił się władzą. Nie potrzebuje żadnego obrońcy, sam potrafi zwyciężyć zło! Wychwalajcie Go pod niebiosami!

Zoe poczuła nagle powiew lodowatego wiatru, który przeniknął jej wełnianej płaszczy, a nawet żelazny puklerz, który nosiła pod tuniką. Ostatnie słowa zawisły w powietrzu, powtarzane przez setki, tysiące drżących głosów. Nad światem zapadła już noc, a Wysokie Miejsce okryły ciemności. Zoe poczuła się nagle ogromnie samotna, choć obok niej stali Szadin i Dżalal. Bił od nich zapach koni, skóry i naoliwionego metalu, który przynosił jej dziwną otuchę. W myślach ujrzała nagle uśmiechniętą twarz królowej, której uśmiech ogrzał ją jak słońce.

Mahomet zszedł powoli z ołtarza. Na jego twarzy malowało się ogromne zmęczenie, szedł nierównym chwiejnym krokiem. Nadanie kształtu tym słowom kosztowało go wiele wysiłku. Tanuchowie otoczyli go ciasnym kręgiem, wzięli pod rękę. Obok rozbłysła iskra złotego światła: to Szadin zapalił małą lampkę. Zoe widziała w jej bladym świetle, że Mahomet odwraca się do niej.

– O królowo – przemówił, patrząc na nią błyszczącymi oczyma. – Wezwij kapitanów tych zastępów: Chalida al-Walida, przywódcę rodu Saridów, księżęta Decapolis. Kiedy nad miastem wstanie słońce, wyjedziemy stąd. Czeka na nas Lejjun, a potem wybrzeże. Zoe ukloniła się i chciała odejść, lecz młody Chalid już przepychał się przez tłum, zmierzając w ich stronę. Nikt nie opuścił Wysokiego Miejsca, wszyscy czekali, aż zrobi to najpierw Mahomet. W całej tej ludzkiej masie tylko Chalid się poruszał. Młodzieniec stanął w końcu przed Mahometem i skłonił się nisko, a potem przyklęknął na jedno kolano. W dłoni trzymał jakiś przedmiot owinięty tkaniną.

– Szlachetny Mahomecie, zatrzymaj się, proszę. Przynoszę dar od tych, którzy zostali w Mekce. Nie mogą się do ciebie przyłączyć – czy to przez brak sił czy liczne obowiązki, chcieliby jednak, byś zawsze pamiętał, że jesteś w ich sercach.

Chalid rozwinął pakunek, odsłaniając niepozorną rękojeść szabli. Młodzieniec ze spuszczonej oczami podał broń Kurajszycie, trzymając ją za pochwę. Mahomet spojrzał ze zdumieniem na podarunek.

– Mam już szablę – powiedział. – Ta mi wystarczy.

– Odłóż to – odrzekł z powagą Chalid. – To ostrze wykute z serc, a nie tylko ze stali. Wyjmij je panie i zobacz, co stworzyła wiara.

Mahomet uniósł lekko brwi, wyciągnął jednak rękę i zamknął dłoń na rękojeści. Zoe zauważyła, że w tej samej chwili jego twarz się zmieniła, jakby rozpałała się jakimś wewnętrznym blaskiem. Ostrze wysunęło się z pochwy ze zgrzytem.

Zoe wstrzymała oddech.

Głównia była czarniejsza niż otchłań nocnego nieba. Pochłaniała światło i przestrzeń. Ściągała na siebie wzrok wszystkich, którzy mogli ją dojrzeć, ukazywała im nieskończoność. Nienazwane kolory pełgały po jej powierzchni. Ostrze było czyste i jedyne, wyważone jak trójnog słońca. Mahomet podniósł szablę nad głowę, a Zoe miała wrażenie, że cały świat się przesuwają, zmienia środek ciężkości. Na moment jej myśli same powędrowały do ukrytego świata, ku mocom, które rzemieślnicy z Mekki przyzwali do swych kuźni.

Wreszcie odwróciła wzrok. To ostrze było zbyt doskonałe, nie należało do świata tych form.

– Ona śpiewa – rzekł Mahomet z zachwytem. – To twórczyni nocy.

CEZAREA MARITIMA, PALESTYNA

Sztandary i chorągwie trzepotały w rześkiej porannej bryzie. Morze uderzało z hukiem o falochrony. Za dwiema bliźniaczymi wieżami rozciągała się spieniona powierzchnia wody, sięgająca aż po horyzont. Wiatr świstał w gęstym lesie masztów i płataninie lin. W porcie stało prawie sto wielkich frachtowców. Cztery trapy – po dwa na burcie – łączyły pokład każdego z nich z nabrzeżem. Ludzie stojący na górnym pokładzie wychodzili na brzeg gęstym, nieustającym strumieniem. Niżej, gdzie przymocowano cięższe pomosty, z brzuchatych ładowni okrętu wyprowadzano ciężkie wozy, konie i muły.

Na stopniach biura zarządcy portu, w cieniu, stał Teodor. Książę miał na sobie ciężki czerwony płaszcz obwieszony fioletowym jedwabiem. Na jego tułowiu lśnił pozłacany napierśnik o wytłaczanych wzorach. Stopy odziane były w doskonałe skrojone buty zdobione czerwonym paskiem.

Książę wręcz promieniował elegancją, choć członkowie jego personelu wyglądali równie imponująco. Teodor nie miał dobrego zdania o tych, którzy pozwalali, by ich zbroje i hełmy pokrywał brud lub rdza. Poza tym dobierał sobie współpracowników równie młodych i energicznych jak on. Wszyscy należeli do armii, która podbiła Persję. Uważał, że dobrze się z nimi rozumie.

Teodor przyglądał się z dumą maszerującym obok wojskom. Nadal uważał, że zbyt dużą część jego armii stanowi piechota, musiał jednak przyznać, że zwarte szeregi włóczników i łuczników robią wrażenie.

To moi ludzie, chełpił się w myślach. Moja armia, nareszcie.

Po przywróceniu cesarskiej władzy w Anatolii oraz odepchnięciu awarskich wojsk na ich pierwotne tereny, za rzeką Danubium, stan liczebny armii cesarskiej znacznie się powiększył. Teodor, działając w imieniu brata, skwapliwie wykorzystał tę okazję, wprowadzając nowy zaciąg. Teraz niemal połowę jego armii stanowili rekruci, wiedział jednak, że ich szkolenie nie potrwa długo. Anatolijczycy byli urodzonymi żołnierzami. Co ważniejsze, mieli stworzyć armię, która nie znała nigdy innego dowódcy. Ludzie ci nie służyli nigdy pod dowództwem cesarza i nie byli mu tak irytująco wierni jak starsi wojownicy.

Wzdłuż nabrzeża przejechał pierwszy oddział kawalerii. Jeźdźcy podnieśli broń, oddając honory księciu. Teodor uśmiechnął się szeroko, nadymając się z dumy. Oto byli najwspanialszy wojownicy świata, rzymscy katafrakci. Podniósł rękę w geście pozdrowienia. Żołnierze odpowiedzieli mu radosnym okrzykiem, który odbił się echem od kamiennych fasad magazynów i portowych urzędów.

– Chodźmy – przemówił książę, tryskając energią. – Musimy dotrzeć do obozu

i zająć się zakwaterowaniem. W ciągu tygodnia, kiedy skończy się rozładunek wszystkich okrętów, musimy wymaszerować do Damaszku, zgnieść tę bandycką pustynną hołotę i wprowadzić cesarskie porządki.

Oficerowie księcia uśmiechnęli się doń promiennie, rozmyślając już o przyszłych zwycięstwach i podbojach. Armie przygranicznych państw – Palmyry, Nabatei i Decapolis – zostały rozbite i zniszczone przez Persów. Miasta, które wzbogaciły się na handlu z Indiami i Chinami, były cenną zdobyczą. Planowano przyłączyć do cesarstwa cztery nowe prowincje zarządzane przez nowo mianowanych gubernatorów.

Teodor zszedł ze stopni i wskoczył na grzbiet swego wierzchowca, wielkiego czarnego ogiera, którego sam wybrał z cesarskich stajni. Czuł, jak wypełnia go ogromna radość. Dźgnął boki konia i ruszył w górę brukowanej ulicy.

Tymczasem wzdłuż portowych biur maszerowała kolejna kohorta piechoty. Na morzu na rozładunek czekała jeszcze setka transportowców ochraniających przez okręty wojenne cesarstwa. W ciągu tygodnia na brzeg miało zejść dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Jeden z centurionów przeklinał głośno swój oddział złożony z samych rekrutów. Żołnierze nie umieli trzymać szyku, a w dodatku przewrócili wóz, wysypując na nabrzeże całą stertę strzał, zaostrzonych drągów, toreb z prosem i beczek z *acetum*.

– Ruszać się, gnojki!

Pałka centuriona uderzała raz po raz w plecy legionistów. Wystraszeni rekruci rzucili się do wozu, by postawić go na kołach. Centurion otarł spocone czoło. W porcie panował ogromny upał, a przecież był dopiero początek lata.

Rzymianin spojrzął spod przymrużonych powiek na okoliczne wzgórza i skrzywił się z niechęcią. Kolonna nienawidził Judei. Służba w tym miejscu zawsze źle się dla niego kończyła.